



DIVENDI

— NATALIA —

LEWANDOWSKA

NOVAE RES

NATALIA LEWANDOWSKA

DIVENDI



Książkę tę dedykuję moim najukochańszym,
najwierniejszym fanom - moim siostram, Mirce
i Irminie, a także ukochanemu Mężowi - Kubie.

Dziękuję, że wspieraliście mnie na tej drodze od
początku
do końca. To dzięki Wam spełniły się moje marzenia.

Divendi

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-700-0

© Natalia Lewandowska i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Gabriela Dobrek

KOREKTA: Emilia Kapłan

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 25 19, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

I

Wielki, malowany dzban na kwiaty znów rozpadł się na kawałeczki. Ze złością warknęłam i kopnęłam w solidną nogę od drewnianego stołu, po którym rozsypały się kawałki porcelany. Mama znów będzie niezadowolona. To już trzecia nieudana próba. Wzięłam kilka głębokich oddechów, po czym skoncentrowałam się, by zająć się tymi pozostałościami dzbana, które upadły na podłogę. Odłamki uniosły się w powietrze i z cichym stukotem wylądowały na drewnianym blacie. Patrzyłam na nie jeszcze przez chwilę, potem wreszcie zrezygnowana ruszyłam na górę do swojego pokoju.

- Jak trening? - zapytał ojciec, kiedy przemykałam obok salonu. Skrzywiłam się tylko w odpowiedzi i poczułam, że od razu zrozumiał. - Będziesz musiała wrócić do tego później, jeśli teraz zrobisz sobie przerwę.

- Wiem, wiem - odparłam niechętnie. - Umówiłam się z Kasią, ma wpaść po mnie za pół godziny.

Poszłam do swojego pokoju. Była dziesiąta rano. Przez otwarte szeroko okno wpadały co parę chwil podmuchy ciepłego letniego powietrza, pieszcząc miłe rozgrzaną

z poirytowania skórę mojej twarzy i przynosząc ze sobą śmiech mojego młodszego rodzeństwa bawiącego się na podwórku przed domem.

Uruchomiłam stojącego na biurku laptopa, położyłam się na kanapie i westchnęłam głęboko z ulgą. Dzisiejszy trening poszedł wyjątkowo kiepsko. Od kilku dni miałam poważne problemy z koncentracją. Nie potrafiłam skupić się na tyle, by złożyć ten zakichany dzban do kupy. A im bardziej się złościłam, tym oczywiście gorzej mi szło.

Swoje nietypowe zdolności, dzięki którym mogłam robić rzeczy o wiele bardziej imponujące niż naprawianie rozbitej porcelany, odkryłam w przedszkolu, kiedy to mój kolega z grupy zabrał mi zabawkę. Poczułam się wtedy bardzo urażona i spiorunowałam go wzrokiem, a on aż zawył z bólu. Nie wiedziałam dlaczego. Drugiego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, chłopiec przyszedł do szkoły z podbitym okiem. Dobrze, że nic gorszego się nie stało. Wtedy jednak moja Divena, moja wewnętrzna moc, nie była jeszcze tak rozwinięta jak teraz. Gdybym w tej chwili tak samo jak wówczas na kogoś spojrzała, leżałby już martwy. Dlatego, jak każdy jej posiadacz, musiałam nauczyć się ją kontrolować, a potem się nią posługiwać.

Moim trenerem była moja matka, podobnie jak ja i niemal cały naszród obdarzona Diveną. Nauka kontroli polegała na regularnym trenowaniu ciała, woli, umysłu i ducha. Każdy z członków naszego rodu musiał przez to przebrnąć. Trening ciała polegał na nauce różnych sztuk walki i utrzymywaniu dobrej kondycji, trening ducha na

kształtowaniu sumienia i moralności, a trening umysłu to po prostu poszerzanie wszelkiego rodzaju wiedzy. Trening woli – ostatnio moja zmora – sprowadzał się do ćwiczenia umiejętności posługiwania się Diveną tak precyzyjnie, jak to tylko było możliwe, czyli najlepiej perfekcyjnie.

Mój dzisiejszy trening woli nie poszedł zbyt dobrze. Miałam za zadanie na powrót scalić potłuczony dzban. Dopasować do siebie kawałeczek po kawałeczku ceramiczne skorupy i skorupki, jednocześnie utrzymując te już złożone przy sobie. Skomplikowane, wymagało wiele wysiłku i koncentracji, której mi ostatnio brakowało. Już widziałam oczyma wyobraźni zawód w oczach mamy, a naprawdę bardzo się starałam. Normalnie takie zadanie nie sprawiłoby mi tyle trudności. Nie wiedziałam, co się ze mną działo. Może to z nerwów? Znow ścisnęło mnie w żołądku.

Kilka dni wcześniej świętowałam z przyjaciółmi maturę, zdaną przez kilku członków naszej licealnej paczki, między innymi moją sąsiadkę Rachelę oraz Mateusza – brata mojej przyjaciółki Kasi. Świętowaliśmy, choć na sercach było nam ciężko, bowiem zdana matura oznaczała, że część ludzi wyjedzie wkrótce na studia z naszej małej miejsciny. Naturalną konsekwencją było rozluźnienie więzi z nimi.

Na myśl o rozstaniu naszej paczki przyjaciół ogarnęła mnie melancholia. Nie lubiłam zmian w swoim życiu. Już i tak było wystarczająco pokręcone, by jeszcze dodawać mu niestabilności. Najbardziej bałam się jednak rozstania z jedną osobą, choć powiedzenie tego na głos, czy nawet

przyznanie się przed samą sobą, nie wchodziło na razie w grę. To byłoby jak przyznanie się do winy, jakby coś odpychanego i ignorowanego nagle okazało się realne i rzeczywiste.

Odruchowo sięgnęłam moją wewnętrzną siłą po laptopa, który popłynął w powietrzu w moim kierunku i mimo mojego rozkojarzenia wylądował nie na podłodze, a na moich kolanach. Wątpiłam jednak, że mama byłaby z tego dumna.

Nie zdążyłam nawet zalogować się na pocztę, gdy zadzwonił dzwonek stacjonarnego telefonu. Choć nieco niechętnie, podniosłam się jednak, by odebrać, chcąc wyręczyć rodziców.

- Halo?

- Dzień dobry, mówi Gabriel Persatti, przyjaciel Dominika. - Usłyszałam mówiący po włosku gruby, niepewny głos. - Rozmawiam może z panią Zofią Divendi-Carmento?

- Witam, panie Gabrielu, z tej strony Justyna, jej córka.

- Automatycznie przeszłam na włoski. W mojej rodzinie używało się go tak często, że znałam ten język równie dobrze jak ojczysty.

- Och, bardzo mi miło. Czy mógłbym rozmawiać z którymś z pani rodziców?

- Oczywiście, proszę chwilę poczekać - odparłam do słuchawki i położyłam ją na stoliczku obok aparatu telefonicznego stylizowanego na staroświecki.

Miałam przeczucie, że stało się coś niedobrego, skoro dzwonił do nas pan Persatti - asystent i bliski współpracownik mojego wuja, Dominika Carmento.

Wpadłam jak burza do kuchni, gdzie tato robił sobie i mamie herbatę. Niespodziewanie drgnął na mój widok. Jego kasztanowe, przydługie nieco i przyprószone lekko siwizną włosy zafalowały, a część wrzątku zamiast do kubków trafiła na stół. Tato jęknął, a ja sięgnęłam szybko po ścierkę.

- Zajmę się tym - powiedziałam, odganiając go od mokrego blatu. - Telefon do ciebie, dzwoni pan Persatti. - Zobaczyłam na twarzy taty to samo uczucie zaniepokojenia, które ogarnęło mnie chwilę wcześniej.

Wuj Dominik, rodowity Włoch wychowany w Polsce, najmłodszy brat mojego dziadka, był zaledwie kilkanaście lat starszy od mojego taty. Zapracowany biznesmen, w swojej branży uchodzący za rekina, przy bliższym poznaniu okazywał się serdecznym i tryskającym dobrym humorem człowiekiem. Uwielbiałam z nim rozmawiać na wszelkie tematy, jego wiedza była imponująca, a przy tym cechowała go ogromna wrażliwość i empatia. Po stracie miłości swojego życia, która zginęła w wypadku, całkowicie poświęcił się swojej pracy, dlatego nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, byliśmy więc jego najbliższą rodziną. Spędzaliśmy razem niemal każde wakacje i święta. Przypomniałam sobie, że już od trzech tygodni nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Nie żeby to było niezwykle, ale ten telefon sprawił, że poczułam wyrzuty.

Po kuchni rozszedł się zapach grejpfrutowej herbaty. Skończyłam ścierać blat i podłogę, usiadłam przy stole i oparłam głowę na przedramionach. Chwilę później naprzeciw mnie usiadł tato. Podniosłam wzrok. Wyraz jego twarzy zdradzał napięcie, marszczył z niepokojem brwi. Melancholia, w której się wcześniej zatopiłam, w momencie wywietrzała mi z głowy.

- Justyna, zawołaj mamę, proszę. Jest na dole.

Widziałam po jego minie, że chce przez chwilę w spokoju zastanowić się nad sytuacją. Bez słowa wstałam i zbiegłam po schodach piętro niżej, do piwnicy. Mama w pralni nastawiała właśnie pranie. Na mój widok podniosła głowę znad pokręteł.

- Tato prosił, żebym zawołała cię do kuchni - powiedziałam, przechylając się przez balustradę schodów.

- Już idę, tylko włączę to ustrojstwo - odparła. Chyba zauważyła moje zdenerwowanie, bo zmarszczyła brwi. Pochyliła się, spojrzała z uwagą na pralkę, nacisnęła guzik włączający automat, po czym poszła do góry, a ja podreptałam za nią.

Weszliśmy do kuchni, gdzie zastałyśmy tatę w towarzystwie mojego rodzeństwa: trzyletniego Szymona i dziewięcioletniej Martynki. Usiadłyśmy, a Szymon od razu wdrapał się na moje kolana i wietrząc jakieś poważne wydarzenie, rozsiadł się wygodnie, z oczekiwaniem wlepiwszy oczka w tatę. Moje gardło ścisnęło się z niepokojem.

- Dzwonił pan Persatti, Dominik nagle stracił przytomność w firmie na jakimś spotkaniu zarządu - powiedział tato powoli. - To był lekki atak serca. Jest w szpitalu, ale wszystko jest już dobrze.

Wielka gula pojawiła się nagle w moim gardle, utrudniając oddychanie. Popatrzyłam z uwagą na zaniepokojonych rodziców.

- Powinniśmy jak najszybciej do niego pojechać - powiedział tato, po czym zamilkł na chwilę, rozważając sprawę.

- Zgadzam się. Będzie potrzebował wsparcia. I kogoś, kto mu wyperswaduje, że może się przemęczać po powrocie ze szpitala - stwierdziła mama. - Moglibyśmy spróbować przebukować bilety. I tak mieliśmy lecieć do niego za dwa tygodnie... - W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

- Idę otworzyć. - Zerwałam się od stołu, przerzucając szybko Szymonka na kolana mamy, i ruszyłam w stronę przedpokoju.

Dzień wcześniej umawiałam się z moją przyjaciółką Kasią. Miałyśmy w planach pójść na basen, toteż zdziwiłam się nieco, gdy zamiast jej ciemnych loków zobaczyłam blond czuprynę i zawadiacki uśmiech jej starszego brata Mateusza. Zdradzieckie serce zadrżało mi w piersi.

Jako dziecko nie cierpiałam go. Znaliśmy się właściwie od zawsze, bo już nasi dziadkowie byli przyjaciółmi. Gdy tylko nadarzała się okazja, był dla mnie niemiły, ciągnął za włosy, podstawiał nogi i chował zabawki. Kiedy

wkroczyliśmy w nastoletniość, było jeszcze gorzej, uważałam go bowiem za nieinteligentną kupę mięśni. Moje zdanie na temat chłopaka zmieniło się dopiero na początku liceum, na kilkudniowej wycieczce w górach. Była to wycieczka dla dzieci pracowników firmy zatrudniającej mojego tatę i pana Wersela - ojca Kasi i Mateusza. Przyjaciółki na niej niestety nie było, ponieważ nie mogła jechać, więc czas spędzałam z jedyną znajomą osobą - jej bratem, który - ku mojemu szczeremu zaskoczeniu - okazał się naprawdę sympatycznym chłopakiem.

Właściwie Mateusz miał w moim przekonaniu tylko dwie wady. Pierwszą z nich były tabuny szalejących za nim dziewczyn. Druga niestety była o wiele poważniejsza - chłopak od dłuższego czasu prócz naszej licealnej paczki zadawał się jeszcze z grupą młodych ludzi o dość wątpliwej reputacji. Wszystkimi siłami próbowałam razem z jego siostrą wyciągnąć go z tego towarzystwa, ale jedyne, co osiągnęłam, to szczerą niechęć bandy i te dziwne motylki w brzuchu, kiedy byłam blisko Mateusza. Usiłowałam ignorować to, co oznaczają, bo wiedziałam, że chłopak widzi we mnie tylko dobrą koleżankę.

Zbagatelizowałam lekki ucisk w żołądku i starając się nie wyglądać na zbyt rozradowaną, rzuciłam:

- Dlaczego nie ma twojej siostry?
- Czyżby moje towarzystwo ci nie odpowiadało? - odparł mi pytaniem na pytanie, szczerząc się przy tym.
- Hej... - udałam, że go ganię. Nie potrafiłam nie odpowiedzieć na jego uśmiech. - Nie zmieniaj tematu.

Czemu Kasia nie przyszła?

- Zwichnęła sobie nogę w kostce, dlatego...

- Ojej... to niedobrze - zaniepokoiłam się i nie dając mu skończyć, spytałam od razu: - Czemu nie zadzwoniła? Jest w domu?

- Jest, ale...

Znowu przerwałam mu, mówiąc:

- W takim razie idziemy do ciebie - oznajmiłam, nie czekając na to, co powie. - Po drodze potrzebuję tylko na chwilę wpaść do Filipa, muszę coś od niego wziąć przed wyjazdem.

Nie czekając, ruszyłam ku wyjściu. Krzyknęłam tylko rodzicom, że wychodzę, i już stałam obok Mateusza na chodniku. Drogę przebyliśmy truchtem.

- Jak chcecie, to możecie gdzieś wyjść razem - stwierdziła Kasia, mając na myśli Mateusza i mnie.

Miałam ochotę spiorunować ją wzrokiem, bo ta propozycja nie była bynajmniej przypadkowa. Postanowiłam jej jednak darować ze względu na to, że naprawdę się męczyła. Siedziała na fotelu w swoim pokoju na piętrze, a mocno opuchniętą kostkę trzymała na czarnym pufie. Starła się, jak mogła, by nie było po niej widać, że coś ją boli. Tylko nienaturalna bladość jej cery świadczyła o tym, że cierpi.

- A ciebie zostawić samą? Nie ma mowy! - zaoponowałam.

Siedziałam na krześle przy biurku i przyglądałam się z zaciekawieniem swojemu telefonowi komórkowemu, który po tym, jak pogrzebał przy nim mój przyjaciel Filip, działał bez zarzutu. Nie po raz pierwszy dochodziłam do wniosku, że Filip jest elektronicznym cudotwórcą.

- To możecie nie wychodzić - odparła Kasia, unosząc w górę obie ręce w geście poddania i zerkając na mnie wymownie. - Jednak, tak czy siak, zostaniecie sami. Jadę na prześwietlenie, ale wcześniej muszę się przebrać - dodała, patrząc znacząco na brata.

- No już idę - fuknął Mateusz i z ociąganiem wyszedł z pokoju.

Zaofiarowałam się pomóc Kasi w ubieraniu, bo ze zwichniętą nogą miała ewidentne problemy z uprawianiem tego sportu.

- Słodka jesteś dzisiaj jak miód - mruknęłam do przyjaciółki, kiedy tylko drzwi za jej bratem się zamknęły.

- Przepraszam cię, kochana, ale przez tę kostkę straciłam cały dobry humor. - Westchnęła i syknęła z bólu, ściągając stopę z pufy. Wyciągnęłam z jej szafy najluźniejsze krótkie spodenki, jakie tam znalazłam, i przyklękałam przy Kasi.

- Wiem, wiem. Dlatego się nie dziwię. A za tę propozycję wyjścia z Mateuszem jeszcze oberwiesz.

- Oberwę? - zaciętrzewiła się.

- Oczywiście! - Spojrzałam na nią. - Mogłaś zadzwonić i dać znać, co się stało. Przecież przyszłabym od razu. A zamiast tego wysłałaś jego. - Staralam się, żeby to

zabrzmiało jak wyrzut, a nie peany wdzięczności na cześć przyjaciółki.

- Mateusz nie wydawał się jakoś szczególnie niechętny - odparła, mrugając do mnie. - Powiem ci, dlaczego nie zadzwoniłam. Nie zrobiłabym tego, bo ty nie masz odwagi, by prowokować sytuacje, które pomogą ci stwierdzić, czy to jest na pewno to... Musisz spędzić z nim trochę więcej czasu. Doszłam do wniosku, że jeśli ja w końcu nie wezmę tego w swoje ręce, to twoje biedne serduszko uschnie z wyczekiwania na mojego ślepego brata. Na dobrą sprawę nie miałaś okazji zweryfikować, czy to zauroczenie jest w ogóle warte takiego męczenia się. Musicie się po prostu lepiej poznać. - Spojrzała na mnie wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu.

- Przecież wiesz, że czasem widujemy się, żeby pogadać. Poza tym znam go całe życie. Jakoś mi tak głupio... - Skrzywiłam się, pomagając jej wciągnąć spodenki.

- Tratatata - odparła przyjaciółka, robiąc z dłoni gadającą buźkę, po czym położyła nogę z powrotem na pufie i znowu syknęła z bólu.

Zgromiłam ją wzrokiem, a w duchu dziękowałam, że mi tak bardzo pomaga. Mimo że jej wysiłki, moim zdaniem, nie miały prawa zostać uwieńczone sukcesem. Ja się za bardzo krępowałam, żeby mu zaproponować jakieś wspólne spędzanie czasu, prócz przypadkowych spotkań u nich w domu czy w mieście. No i był jeszcze jeden „problem”. Mateusz miał dziewczynę. A przynajmniej tak to wyglądało,

gdy szedł przez miasto z tą bandą i uwieszoną na jego ramieniu Żanetą. Westchnęłam w duchu.

- Hej... - Kasia zmierzwiła mi włosy. - Żaneta nawet do pięt ci nie dorasta - powiedziała, jakby czytając mi w myślach.

Uśmiechnęłam się do niej ciepło.

- Zresztą wcale nie jestem pewna, czy między nią i Mateuszem coś jest na rzeczy. A nawet jeśli, to przecież Mateusz się z tobą nie spotka, jak nie będzie chciał. Nie zaszkodzi spróbować czegoś zaaranżować.

Spojrzałam na nią wymownie. Z jednej strony byłam pełna obaw co do tego pomysłu, a z drugiej niczego innego nie pragnęłam. To rozdarcie było dla mnie nieznośne, nie potrafiłam podjąć decyzji. Przyjaciółka przyglądała mi się z uwagą, gdy moje myśli błądziły od jednego rozwiązania do drugiego. W końcu uśmiechnęła się przekornie, najwyraźniej podejmując decyzję za mnie. Była bardzo wyczulona na emocje, zwykle bardzo trafnie oceniała ludzi, ale jednocześnie potrafiła być nieznośnie stanowcza we wpływaniu na życie innych. Ostatecznie odeskortowałam ją z Mateuszem na parter, a potem do auta. Nie oponowałam też specjalnie, gdy tuż przed odjazdem do szpitala przekonała Mateusza, by porzucił na chwilę ślęczenie przy komputerze i zabrał mnie na lody w ramach zadośćuczynienia za jej nieobecność.

- Pojutrze? Żartujecie! Tak szybko? - Spoglądałam z niedowierzaniem na rodziców.

- Tak, kochanie - powiedziała mama. - Ja zaraz zabieram się do pakowania. I tobie sugeruję zrobić to samo.
- Uśmiechnęła się do mnie.

Kiwnęłam głową i ruszyłam po schodach do swojego pokoju.

- A tak nawiasem mówiąc, jak tam twój dzban? - zawołała za mną mama.

Zakłęłam w duchu. Już miałam nadzieję, że nie zapyta o mój trening woli. Cofnęłam się i stanęłam przed nią wyprostowana. Grunt to nie pokazywać porażki swoją postawą.

- Czyli kiepsko? - mama bardziej stwierdziła, niż spytała, i nie czekając na moją odpowiedź, dodała: - Nie przejdziemy do kolejnych etapów treningu, jeśli nie ukończysz tego, a przecież twoje wtajemniczenie jest coraz bliżej. Nie wierzę, że jest to dla ciebie zbyt trudne zadanie. Wiem, jak dobrze idzie ci trening ciała i ducha, o trening twojego umysłu nigdy się nie martwiłam. Ale twoja wola ostatnio szwankuje. Nie wyobrażam sobie, jak przejdiesz Próbę Diveny, nie potrafiąc się nią prawidłowo i precyzyjnie posługiwać. Musisz nad tym porządnie popracować.

- Tak, mamó - powiedziałam spokojnie, spoglądając prosto w jej oczy. Odwrócenie wzroku byłoby równoznaczne z brakiem szacunku i lekceważeniem.

- Przed wyjazdem chcę, żeby dzban stał w salonie. Cały - dodała stanowczo.

- Dobrze, mamó - odparłam, po czym ruszyłam do swojego pokoju.

Reprimenda mi się należała. Ale kolejne zadania, które przede mną stawiała, bynajmniej nie były coraz łatwiejsze, więc mogłaby być czasem nieco bardziej pobłażliwa. Obiecałam sobie jednak, że jak tylko się spakuję, zejdę na dół do naszej sali treningowej koło pralni i zmierzę się jeszcze raz z tą skorupą.

II

- Dobrze, ale mogą państwo zostać tylko na chwilę. - Po tych słowach miłej, choć surowej pielęgniarki, weszliśmy na oddział kardiologiczny prywatnej kliniki gdzie był leczony wuj.

Po wyjściu z lotniska i zostawieniu bagaży w rezydencji Carmento w pośpiechu udaliśmy się do kliniki. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że wszelkie zagrożenie już minęło. To był tylko lekki zawał, ale lekarze w trakcie badań stwierdzili niewielką niewydolność serca. Przy zachowaniu regularnego trybu życia, zdrowego odżywiania, odpowiedniej dawki ruchu i leków sytuacja nie powinna się powtórzyć w przyszłości. Weszliśmy do pokoju, w którym leżał wuj. Pomieszczenie prawie w całości zajmowało łóżko, a także cała masa specjalistycznych aparatów. W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekujących. Wuj, widząc nas, uśmiechnął się szeroko.

- Moi kochani! Wiedziałem, że po rewelacjach Gabriela nie usiedzicie długo w domu, ale nie spodziewałem się was tak szybko!

- A co, masz jakieś plany na najbliższe kilka dni? - żartował tato, przysiadając na brzegu łóżka i ściskając chorego za rękę.

- A owszem, mam kilka pomysłów - odparł wuj z błyskiem w oku. - Gdyby tylko ci szarlatani mnie stąd wypuścili... - Mrugnął porozumiewawczo, a my się roześmialiśmy. Wuj wyglądał blado i dość mizernie, ale to, że żartował, było bardzo dobrym znakiem.

Po kilku minutach przyszedł lekarz i musieliśmy opuścić salę na czas oględzin. Wuja czekały jeszcze kompleksowe badania po tym, jak zaczął przyjmować nowy zestaw farmaceutyków. Lekarz prowadzący poinformował nas jednak, że najdalej za kilka dni, jeśli wszystko będzie przebiegało pomyślnie, wuj będzie mógł wrócić do domu.

Minął niemal tydzień, nim wuj Dominik stanął wreszcie w progu swojej rezydencji na obrzeżach Neapolu. Co dzień odwiedzaliśmy go w szpitalu, jednak jego powrót do domu sprawił nam tyle radości, jakbyśmy nie widzieli się co najmniej od roku.

Chory bardzo szybko dochodził do siebie, twierdził, że była to tylko zasługa naszej obecności przy nim. Miał już nawet w planach powrót do swojej firmy. Wysłuchawszy jednak sterty argumentów, która posypała się jak lawina, gdy tylko usłyszeliśmy o tym pomysle, postanowił dać sobie jeszcze trochę czasu na odpoczynek i spędzenie paru tygodni z rodziną. Będący w gościnie w rezydencji pan Gabriel Persatti nie ukrywał zadowolenia i satysfakcji

z faktu, iż dopiął swego - bo właśnie zmuszenie przemęczonego szefa do odpoczynku było jego głównym celem, gdy do nas dzwonił kilka dni wcześniej. Doskonale wiedział, że tylko to jest w stanie skłonić Dominika Carmento do spędzenia kilku dni bez wizyty w biurze. Nieraz się zastanawiałam, jak to się stało, że wuj w swojej branży zawodowej trafił na tak uczciwego i serdecznego człowieka jak pan Gabriel. Miał niesamowite szczęście.

Nastał czas odpoczynku, choć wakacje niestety nie oznaczały dla mnie przerwy od treningów. Rezydencję wuja otaczał wspaniały park, po którym lubiłam biegać. Był też basen i siłownia z sauną, tak więc trening ciała był więcej niż przyjemny. Jednak to w bibliotece wuja najbardziej lubiłam spędzać czas. Tam, wśród zapachu starych woluminów i kleju introligatorskiego, czułam się najbardziej komfortowo i tam też postanowiłam odbębnić nakazany przez mamę trening ducha i umysłu. Dziś polegał on głównie na ogólnym rozwijaniu wiedzy o świecie i zagłębianiu się w różne filozofie, choć wciąż między filozofiami pojawiała się w mojej głowie myśl o Mateuszu.

Liczyłam trochę na to, że choć przez chwilę pogadam z wujem i podpytam, czy jego księgozbiór wzbogacił się ostatnio o coś szczególnie godnego uwagi. Wiedziałam, że ma w zwyczaju przychodzić do biblioteki po obejrzeniu wieczornych wiadomości, bo często właśnie wtedy rozmawiał z nami przez internet. Miałam nadzieję, że wuj, mimo tego, że był jeszcze zmęczony, wstąpi tu choć na kilka minut. Nie pomyliłam się.

- Kogo ja tu widzę! - powiedział wuj, przekraczając próg. Zamknął za sobą masywne drewniane drzwi, po czym zaśmiał się. - Przerwałem jakieś ważne rozważania?

- To miejsce sprzyja refleksji - powiedziałam, odrywając myśli od uśmiechu Mateusza.

Wuj Dominik powoli usiadł w wielkim fotelu, spojrzał na mnie uważnie i zapytał:

- No to co tam czytasz?

- Schopenhauera - odparłam z ciężkim westchnieniem, zamknąwszy książkę.

- Za dużo pesymizmu? - Wuj uśmiechnął się ze zrozumieniem, mając zapewne na myśli nie tylko filozofa, ale i moją minę. Bez przekonania odpowiedziałam na uśmiech.

- No nie powiem, żeby pomagał pozytywnie patrzeć na świat.

- Świat nie jest aż taki skomplikowany. - Wuj zamyślił się, utkwivszy spojrzenie w oknie, choć wyglądało na to, że jego myśli pognały gdzieś bardzo daleko.

Uśmiechnęłam się pod nosem, patrząc na jego minę, i pozwoliłam również swoim myślom popędzić przed siebie. Przez kilka długich chwil tkwiliśmy w pozbawionej skrzepowania ciszy, każde pochłonięte swoimi refleksjami. Wreszcie twarz wuja rozjaśniła się i po chwili usłyszałam:

- Nie jest aż taki skomplikowany. Chociaż czasem daje się we znaki.

- Tak. - Uśmiechnęłam się z przekąsem. - Zwłaszcza kiedy są wakacje, a ja muszę ślęczeć nad treningami,

a wolałabym zajmować się czymś zupełnie innym.

- Mama cię pilnuje, co?

Wuj jako bliski członek rodziny został dopuszczony do naszej rodzinnej tajemnicy. Odbyło się to, jak to u nas bywa, z fanfarami i w odpowiedniej atmosferze. Tajemnica Diveny była pilnie strzeżona przez ród Divendi od wieków. Jej poznanie dostępowali prawie wyłącznie członkowie naszej licznej rodziny, wuj Dominik był więc jednym z wyjątków.

- Pilnuje, i to nieubłaganie. - Westchnęłam. - Niemal nie mam czasu na nic innego.

Wuj uśmiechnął się ze współczuciem, przechylił się w przód i rzekł podniośle:

- Młodość ma swoje prawa! Matka nie może zamykać cię w klatce treningów, bo kiedy znajdziesz czas na miłość?

Od razu stanął mi przed oczami pewien zielonooki blondyn i poczułam, że się rumienię.

- Po co mam szukać miłości? Jak będzie chciała, to sama mnie znajdzie. - Spróbowałam buńczucznie wybrnąć z sytuacji, ale wuj zaśmiał się tylko i stwierdził zaczepnie:

- Nie oszukasz czułego serca doświadczonego starca! Na mój gust to ktoś już tam gdzieś jest i czeka, aż znajdziesz czas!

Moje policzki, ku jego uciesze, zapłonęły jeszcze bardziej. Zaśmiałam się, czując się głupio skrępowana. Jednak postanowiłam nie tłumaczyć się i nie wykręcać, bo zapewne moje nieprzewidziane reakcje i tak niechybnie by mnie zdradziły. Stwierdziłam więc tylko:

- Po prostu czasem niektóre sprawy nie układają się po naszej myśli.

- Rozumiem. - Opadłszy z powrotem na oparcie fotela, wuj spojrzał na mnie uważnie. - Pozwól, że ci coś poradzę: nigdy nie smuć się niczym za długo, bo smutek zasłania te twoje piękne, ciemnoniebieskie oczy i przed nosem może przeparadować ci szansa na coś wyjątkowego!

Uśmiechnęłam się w podzięcie za komplement. Policzki powoli przestawały mnie palić. Zdradliwy organizm!

Pogadaliśmy jeszcze trochę o książkach w jego bibliotece, o ostatnich wydarzeniach w polityce, która niezmiennie go pasjonowała, o wszystkim i o niczym. Wuj po całym dniu wyglądał na wyczerpanego, twarz miał bladą, więc przekonałam go szybko, że powinien pójść się już położyć i odpocząć. Mieliśmy w perspektywie jeszcze wiele dni, by spokojnie spotkać się i porozmawiać.

- Pamiętaj, moja droga, o tym, co ci powiedziałem - odezwał się, wychodząc z biblioteki. - Nie warto się smucić. Lepiej tę energię spożytkować na zrobienie czegoś dobrego, co pomoże ci poprawić samopoczucie i sprawi, że przeżycie pewnych rzeczy przyjdzie ci łatwiej.

Pokiwałam głową, stwierdzając, że uważne słuchanie tego człowieka jest bardziej wartościowe niż techniki rozwoju ducha i moralności. Ciekawe tylko, czy mama byłaby tego samego zdania. Westchnęłam i z ociąganiem wróciłam do lektury filozoficznego tomiszcza, które leżało na moich kolanach.

Narodziny słońca. Olbrzymia czerwona kula wynurzająca się zza horyzontu oświetlała chmury, nadając niebu fantazyjne odcienie różu, fioletu, błękitu i złota. Lubiłam świt, choć rzadko udawało mi się zwlec z łóżka na tyle wcześnie, by go zobaczyć. Było po czwartej, a ja siedziałam na mostku nad strumieniem, z bosymi stopami zanurzonymi w zimnej wodzie. Przez moje ciało przeszedł dreszcz, kiedy chłodny wietrzyk musnął mój mokry od potu kark.

Poprzedniego wieczora rozmawiałam z Mateuszem. Nie był konkretny, gadał o wszystkim i o niczym, ale sprawiał wrażenie, jakby dręczył go jakiś temat, który trudno mu było poruszyć. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, ale czułam się przez całą rozmowę straszliwie spięta, bojąc się, co chłopak może mi chcieć powiedzieć. Kiedy się w końcu pożegnaliśmy, poczułam jednocześnie ulgę i zawód. Nie mogąc wytrzymać z tym zamieszaniem, zadzwoniłam do Kasi i rozmawiałyśmy do późnej nocy. Skutek tych uczuciowych dywagacji był taki, że kiedy się wreszcie położyłam, najpierw nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie się to udało, obudziłam się przed świtem, przespawszy ledwie godzinę. Kiedy na zewnątrz było jeszcze zupełnie ciemno, wstałam, żeby pobiegać.

Trenowanie sztuk walki nie było moim ulubionym zajęciem, choć jak każdy kandydat na Wojownika Diveny miałam obowiązek znać podstawy. Zdecydowanie za to wolałam zwykłe dbanie o kondycję. Przebiegłszy kilka kilometrów w kółko po wielkim ogrodzie wuja Dominika

i uspokoiwszy nieco myśli, zziębnięta, ale rozgrzana i zadowolona dotarłam nad strumień. Wyjęłam telefon komórkowy i wystukałam SMS-a do mojej przyjaciółki Joasi. Wiedziałam, że jest teraz we Włoszech na wakacjach. Pomyślałam, że fajnie by było, gdyby udało się z nią spotkać. Może mama by mi odpuściła trochę te treningi i pozwoliła na chwilę relaksu. Ostatnio zrobiło się ich zdecydowanie za dużo.

Joasię, tak jak Kasię i Mateusza, znałam od wielu lat, praktycznie wychowywałyśmy się razem. Była bardzo żywą, lecz skrytą dziewczyną, przeważnie ciepłą i serdeczną, choć również nerwową i wybuchową, co nieraz bywało między nami zarzewiem konfliktu. Zanim wyprowadziła się z rodzicami cztery lata temu, była moją sąsiadką. Teraz obok mojego domu mieszkała tylko jej babcia. Joasia przyjeżdżała do niej na wakacje i święta, więc miałyśmy trochę mniej okazji do spotkań, niemniej obie dbałyśmy o tę czasem trudną, choć wartościową dla nas obu przyjaźń.

Tego roku rodzice Joasi zdecydowali się zabrać babcię na miesięczny urlop za granicę. Nieoczekiwany zbieg okoliczności, że wybrali właśnie południowe Włochy. Nie mogłyśmy odżałować, że spędzimy wspólnie tylko krótką część wakacji. Wcześniejszy wyjazd do wuja Dominika wypadł nam tak niespodziewanie, że zupełnie wyleciało mi z głowy, by dać jej o tym znać. Chciałam to nadrobić, jak tylko nie będzie za wcześnie na telefon. Póki co rozkoszowałam się pięknem poranka i starałam się nie wpadać w melancholię. Nic jednak nie mogłam poradzić na

to, że moje myśli wciąż wracały do wczorajszych rozmów i poruszeń mojego beznadziejnie niereformowalnego serca.

Z Mateuszem spędzałam trochę czasu, choć byłam ostrożna z myśleniem o tej relacji jako bliższej niż koleżeńska. Czasami wręcz miałam wrażenie, że gdybym ja pod różnymi pretekstami nie utrzymywała tego kontaktu, wszystko by się urwało, bo on by się o to nie zatroszczył. Po prostu mijałby mnie na korytarzu w ich domu, kiedy wpadałabym odwiedzić Kasię. Z aranżowaniem sytuacji, kiedy byliśmy sam na sam, byłam od jakiegoś czasu szczególnie ostrożna, gdy tylko zorientowałam się, co się święci. A zaczęło się przecież całkiem niewinnie – ratowaniem brata przyjaciółki z kiepskiego towarzystwa.

Mateusz jest chłopakiem zamkniętym w sobie, typem, u którego na pierwszy rzut oka widać, że ma swój własny świat, własnych znajomych i niekoniecznie wszyscy mają prawo łądować się w jego życie, ale to nie tłumaczyło, dlaczego czasem stawał się taki obojętny. Nie tłumaczyło go też to, że był facetem. Prosty przykład – Filip. Dbał o naszą przyjaźń z równym zaangażowaniem, co ja. Chociaż nie wiem, czy „dbał” to odpowiednie słowo. Po prostu wiedziałam, że mogę na niego zawsze liczyć, a on wiedział, że może liczyć na mnie.

Z Mateuszem było inaczej... Często miałam wrażenie, że jemu zwyczajnie nie zależało. Jakby między nami była jakaś bariera, której nie chciał albo nie umiał przekroczyć. Czasem mu odbijało i potrafił w środku nocy przyjść

i powiedzieć, że koniecznie musi ze mną pogadać. Tak jak wczoraj z tym telefonem. Po co w ogóle zadzwonił?

Początkowo, gdy jeszcze traktowałam go jak brata mojej przyjaciółki, nie robiło mi to różnicy. Nic na siłę, jesteśmy tylko znajomymi. Ale potem się zaczęło... sny na jawie, marzenia, motylki.

- Musisz coś z tym zrobić, bo oszalejesz. - Usłyszałam swój własny głos. - Tak nie wolno! Facet nie może przysłonić ci całego świata! Zresztą to nie jedyny kwiat na łące...

Zabrzmiało to w moich ustach jakoś bez przekonania.

Lekki wietrzyk musnął moje plecy, a przez ciało przebiegły ciarki. Tak się zagłębiłam w rozmyślaniach, że zdążyłam nie tylko ochłonąć, ale zupełnie zmarznąć. Zaczęłam się zbierać do powrotu do domu, kiedy ogarnęło mnie jakieś dziwne, nieznane uczucie... Usiadłam z powrotem na mostku, ale tym razem podwinęłam nogi pod siebie tak, że kolana miałam tuż pod brodą. Objęłam nogi rękami, bo zrobiło się nagle lodowato i zamarłam w bezruchu. Uczucie narastało, poczułam, że krew odpływa mi z twarzy, zaczęło szumieć w uszach, a oczy nagle zasłoniła mi jakby mgła. Po chwili już wiedziałam, to był strach. Nie pochodził ode mnie... Ogarniało mnie przerażenie, które ktoś lub coś we mnie powodowało.

Zatrzęsłam się jak w febrze, zaczęło robić się ciemno, było mi coraz zimniej. Poczułam, że coś ciepłego skapnęło mi z nosa na rękę... Czyżby krew? Nie mogłam być pewna, bo moje oczy przestały normalnie funkcjonować.

W przerażeniu spróbowałam choć na chwilę się skoncentrować, by użyć Diveny. Czułam podświadomie, że coś się zbliża, coś bardzo złego. I wtedy nagle to coś zaczęło wyłaniać się z ciemności, tuż przede mną. Mój żołądek skręcił się w supeł, a ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze. To coś miało kształt twarzy, tyle że ta twarz była cała czarna, niewyraźna i miała czerwone, jarzące się oczy, które chciały przeszyć mnie na wylot. Spojrzałam prosto w nie i aż skurczyłam się z przerażenia. Oddech uwiązał mi w gardle. To była kwintesencja zła.

Nie czułam nic, prócz panicznego strachu i zimna. Po kilku chwilach wszystko zniknęło, a ja z powrotem znalazłam się w ogrodzie, na mostku. Tyle tylko, że leżałam na plecach, a słońce było już wysoko na horyzoncie.

- Wizja? - powtórzyłam z niedowierzaniem słowa mamy i szczerzej owinęłam się puchatym kocem. Było ponad trzydzieści stopni, ale ja od czasu obudzenia się na mostku nie mogłam się dogrzeć. - Jaka znowu wizja? I co miałyby oznaczać?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć. Jedno jest pewne: ma związek z Diveną, a w takim razie muszę zawiadomić, kogo trzeba.

- Kogo? - zdziwiłam się.

- Kogoś, kto może mieć o tym jakieś pojęcie - odparła ze stoickim spokojem, którym nieudolnie maskowała zdenerwowanie, i podała mi gorącą herbatę ze stolika przy moim łóżku.

- Nie powiesz mi nic więcej? - zapytałam zawiedziona.

Miałam nadzieję, że uchyli choć rąbka tajemnej tajemnicy. Od dziecka, jak każdy posiadacz Diveny, uczyłam się o historii rodu Divendi i opanowywałam posługiwanie się moją wewnętrzną siłą, stosując czterotorowy system treningowy. Jednak póki nie zostanę Wojownikiem, nie będę dopuszczona do tajemnic Diveny, a nie wszyscy kandydaci przechodzą Próbę i zostają Wojownikami.

- Już niedługo dowiesz się wszystkiego, kochanie. Za parę dni twoje urodziny. Odpocznij jeszcze trochę.

Z tymi słowami wyszła z pokoju. Tradycyjnie nie dowiedziałam się niczego. Odepchnęłam jednak od siebie irytację, która i tak nie doprowadziłaby mnie do czegoś sensownego. Przez lata przyzwyczaiałam się do tego, że mogę wiedzieć o Divenie tylko to, co niezbędne, a cała reszta miała nadejść po Próbie, do której przygotowywała mnie mama. Jednak dzisiejsza sytuacja obudziła we mnie nadzieję, że krąg informacji „niezbędnych” może się nagle poszerzyć. Jak się okazało, nic bardziej mylnego. Miałam do mamy nieskończoną ilość pytań, postanowiłam jednak zacisnąć zęby i nie zdręczać jej niepotrzebnie, zwłaszcza że tak bardzo przejęła się tym, co mnie spotkało. Zawsze przejmowała się, gdy coś niepokojącego działo się z którąkolwiek z bliskich jej osób, ale tym razem na jej twarzy - tak bardzo podobnej do mojej - nie było zwyczajnego zaniepokojenia. Nieco mnie to zaniepokoiło.

Opadłam na poduszki. Cała ta „wizja” fizycznie bardzo mnie wyczerpała. Z mostku do rezydencji dotarłam,

ślaniając się na nogach. Tato, który wyszedł akurat na zewnątrz, zobaczył mnie i poważnie zaniepokojony zaprowadził do pokoju. Najmocniej wystraszyły go chyba ślady krwi na mojej twarzy i ubraniu. Tak jak podejrzewałam, w czasie wizji dostałam krwotoku z nosa. Nie przebierając się, padłam na łóżko i przespałam ponad trzy godziny. Zbudziła mnie mama, żeby ze mną porozmawiać. Przyniosła tacę ze śniadaniem, ale zanim się do niego dobrałam, mimo lekkich zawrotów głowy zmusiłam się do wejścia na chwilę pod prysznic.

Rozmowa z mamą przypominała bardziej przesłuchanie. To ja opowiadałam, a ona słuchała, od czasu do czasu dopytując o coś. A chciała znać wszystkie szczegóły. Tak jak zawsze, gdy sprawy dotyczyły Diveny, nie wytłumaczyła mi zbyt wiele. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że każdy członek rodziny Divendi w okolicy dnia, w którym osiąga pełnoletniość, bierze udział w jakimś spotkaniu czy rytuale, w trakcie którego dowiaduje się, skąd ta wewnętrzna siła się wzięła oraz co zrobić, by rozpocząć Próbę i stać się Wojownikiem. Ale wizja spowodowała, że naprawdę bardzo się przestraszyłam i poczułam, że dni, które dzielą mnie od poznania pochodzenia Diveny i rozpoczęcia Próby, to cała wieczność. Miałam w głowie zbyt wiele pytań, na które nie znałam odpowiedzi, a zdenerwowanie mamy tylko pogłębiało moją niepewność i strach.

Divena zawsze była dla mnie obciążeniem. Ciągłe treningi, intensywność życia sportowego i naukowego, dodatkowe zadania. Były chwile, kiedy szczerze tego

nienawidziłam. Tylko wpajane mi od dziecka poczucie obowiązku i służby nie pozwalało mi rzucić tego wszystkiego w cholerę. Z powodu Diveny musiałam stać się dorosła dużo wcześniej niż moi rówieśnicy, a przecież chciałam być normalną nastolatką, chciałam mieć zwyczajne życie, popełniać błędy, łamać zasady, a potem ponosić tego konsekwencje. Ale odziedziczyłam Divenę – nadzwyczajną wewnętrzną siłę. I choć bywały momenty, kiedy czułam, że jest to jakaś pomyłka, że nie chcę jej i z radością bym się jej pozbyła, doskonale wiedziałam i czułam, że jest integralną częścią mnie. Mimo że nie rozumiałam jej przeznaczenia i sensu, bez Diveny nie potrafiłabym istnieć. Jak dwa bieguny – nienawidziłam tego, że ją mam, i jednocześnie nie wyobrażałam sobie życia bez niej. Rozpaczliwie chciałam dowiedzieć się, co tak naprawdę odziedziczyłam.

Owszem, byłam tylko kandydatką na Wojownika, wielu takich ludzi jak ja było i jest w naszym rodzie, lecz ta niewiedza chwilami doprowadzała mnie do pasji. Trudno było normalnie funkcjonować ze świadomością, że przez niemal całe życie przygotowywano każdego z nas do czegoś, o czym nie mieliśmy bladego pojęcia, dopóki nie stawaliśmy się gotowi na poznanie tajemnicy.

- Proszę – powiedziałam cicho, gdy z zadumy wyrwało mnie pukanie do drzwi. Ujrawszy wuja Dominika, spróbowałam wstać.

- Siedź, dziecko. Nie podnoś się, jeszcze jesteś słaba. Nie chciałem ci przeszkadzać, ale szukam twoich rodziców.

Wiesz może, gdzie mogli się podziać?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam. - Mama była tu jakiś kwadrans temu, ale nie mówiła, dokąd idzie, a tato jakiś czas temu pomagał jej zrobić dla mnie śniadanie. Co dalej, to nie wiem.

- No dobrze, chyba najlepiej będzie, jak rozejrzę się za maluchami. Któreś z nich na pewno ich pilnuje. - Już miał zamiar wyjść, kiedy coś mu się przypomniało. - Za dwa dni lecę w interesach do Sztokholmu przez Polskę i mógłbym cię zostawić na dzień, może dwa u Werseli. I tak miałem w zamiarze wstąpić do Jakuba. Przynajmniej byś się tu nie nudziła. - Mrugnął do mnie łobuzersko.

Dziadek Kasi i Mateusza, pan Jakub Wersel, był bliskim przyjacielem mojego dziadka Rafała i wuja Dominika. Kiedy dziadek zmarł, pan Jakub stał się dla wuja Dominika zastępczym starszym bratem. Przy każdej możliwej okazji spotykali się i godzinami rozmawiali i grali w szachy.

- W sumie to całkiem niezły pomysł - stwierdziłam ostrożnie, zastanawiając się, skąd taka myśl przyszła wujowi do głowy.

Czyżby się czegoś domyślał? Raczej nie tego, że chodzi o Mateusza. Ale po ostatniej rozmowie w bibliotece rozszyfrowanie mnie było dla niego niewątpliwie banalne, więc być może chciał mi dać szansę znalezienia czasu dla mojej „miłości”, którą porzuciłam, wyjeżdżając niespodziewanie na wakacje. Uśmiechnęłam się na myśl o tym jego bawieniu się w swatkę.

- Tylko rodzice...

- Tym się nie martw, już ja to załatwię. - Wuj mrugnął zawadiacko, nie dając mi skończyć. - To jesteśmy umówieni.

- Dziękuję! - powiedziałam.

Mój dobroczyńca uśmiechnął się, po czym wyszedł. Z mojej głowy w momencie ulotniły się wizje, Divena, rodzina i treningi, kiedy oczyma wyobraźni zobaczyłam uśmiechające się na mój widok zielone oczy.

III

- Ufff... w końcu czas na relaks - westchnęłam rozanielona, przeciągając się w wiklinowym fotelu.

Nie wyspałam się zbyt dobrze. Był bardzo wczesny ranek, kiedy wraz z wujem Dominikiem wysiedliśmy z samolotu. Taksówka z lotniska przywiozła mnie do domu około szóstej, więc zdrzemnęłam się godzinę i już o ósmej byłam u Kasi.

- Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie na obiad. W lodówce w domu mam tylko światło.

- Nie ma problemu. - Kasia się zaśmiała.

Siedziałyśmy na tarasie domu Werseli. Przyjaciółka dwa dni wcześniej ściągnęła opatrunki i usztywnienie kostki, więc starała się jeszcze uważać na nogę i dlatego póleżała na wiklinowej otomane. Promienie słońca delikatnie gładziły moją skórę, choć nie było tak ciepło jak na południu o tej porze. Rozmawiałyśmy właśnie o Mateuszu, gdy rzeczony wilk wychynął nagle z lasu.

- Dziewczyny, macie ochotę na coś zimnego do picia? Albo do jedzenia? - zapytał. - Potrzebuję wpaść do Filipa,

więc na pewno zahaczę o spożywcza. Mogę kupić jakieś lody czy coś.

- Mmm... chętnie. - Na twarzy Kasi zagościła błogość.

- A może umówimy się na wspólne spotkanie w pubie w galerii dziś wieczorem? - zaproponowałam. - Wzielibyśmy oczywiście auto - dodałam, zerknąwszy na Kasię. - A w galerii jest przecież parking podziemny i winda.

- Świetny pomysł- poparła mnie przyjaciółka. - Mam już serdecznie dość siedzenia w domu.

- No dobra - stwierdził jej brat i dodał, mrugając: - To nicy z lodów?

- Ależ nieee, lody kup, koniecznie! - Kasia wyszczerzyła się radośnie, po czym zaczęła ostrożnie zbierać się z fotela.

- A ty dokąd? - zapytałam.

- Tam, gdzie królowa chadza piechotą - odparła.

- Pomogę ci - odpowiedziałam, wstając.

- Daj spokój, mam kule i serdecznie dość tego skakania wokół mnie. To tylko kostka, jestem poza tym całkowicie sprawna. No i nie wybieram się na wycieczkę po schodach - dodała z uporem.

- No dobrze. - Wiedziałam, że nie było sensu oponować, gdy się na coś uparła.

Kasia ostrożnie chwyciła kule, podparła się nimi i całkiem zwawo ruszyła do wyjścia. Mateusz przytrzymał jej drzwi i przez chwilę jeszcze zerkał na siostrę, sprawdzając, czy wszystko w porządku. W końcu uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Uparciuch z niej, co? - Wszedł na taras i zaczął mi się z uwagą przyglądać.

- To jak tam wakacje? - zapytałam, chcąc przerwać niekomfortową dla mnie ciszę.

- Powoli lecą, wiesz, jak jest. W zasadzie od maja nic nie robię, prócz jakichś robót przy domu, no i prowadziłem przez ostatnie dwa tygodnie zajęcia w zastępstwie za Krzyśka, w szkole, z grupą dzieciaków.

- Super! I jakim jesteś nauczycielem? - zainteresowałam się.

Chłopak już od kilku lat łapał się różnych technik walki: taekwondo, karate, a przez ostatnie dwa lata szczególnie upodobał sobie capoeirę.

- Wydaje mi się, że dzieciaki mnie polubiły. - Uśmiechnął się, choć wyglądał na nieco niepewnego. - Ale muszę się jeszcze sporo na...

W tej samej chwili usłyszeliśmy krótki krzyk i głucho uderzenie. Jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Wpadliśmy do domu i zaczęliśmy gorączkowo się rozglądać. Z kuchni na parterze nadbiegł pan Tomasz, ojciec rodziny.

- Co się dzieje?! - krzyknął. - O Boże...

Jego kroki zatrzymały się nagle. Idąc bez zastanowienia w kierunku jego głosu, zbiegliśmy schodami na półpiętro. Już wiedzieliśmy, co spowodowało ten hałas. Na podłodze leżała nieprzytomna Kasia.

Karetka odjechała na sygnale, zabierając do szpitala również mamę Kasi, panią Weronikę. Pan Wersel wsiadał

właśnie do auta z zamiarem ruszenia za nimi. Pomyślałam, że również mogłabym pojechać, ale państwo Wersel byli tak zmartwieni i przejęci tym, co się stało, że nie chciałam im zwracać głowy.

Czułam wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie dałam się przekonać, że przyjaciółka sama sobie poradzi. Wprawdzie wiedziałam, że przez ostatnie dni świetnie sobie radziła z kulami, ale odkąd zdjęli jej szynę, chyba czuła się z nimi mniej pewnie. Musiała zachwiać się i oprzeć na wciąż obolałej i nierozruszanej jeszcze kostce, nieszczęśliwie stało się to w pobliżu schodów. Spoglądając za oddalającym się samochodem, otarłam kilka łez, które zamgliły mi wzrok.

Siedzieliśmy z Mateuszem przy stole w kuchni przez pół godziny, czekając na telefon czy jakiegokolwiek inne wiadomości, ale nic się nie działo. W końcu nie wytrzymałam i wstałam, mówiąc:

- Za chwilę będzie jechał autobus. Jedziemy do szpitala.
Po półgodzinnej tułaczce dotarliśmy na miejsce.

- Moja kochana biedulka!

Siedziałam obok łóżka Kasi w szpitalu, a obok mnie pani Weronika. Kasia była po narkozie; przeszła operację. Jej prawa noga poniżej kolana podczas upadku pękła w dwóch miejscach. Na szczęście nie było to złamanie otwarte, ale mimo wszystko kości musiały zostać poskładane operacyjnie. Prócz tego, najwyraźniej przy spadaniu, kula tak zakleszczyła się na jej ramieniu, że spowodowała wybicie barku. Na szczęście wymagał tylko

nastawienia. Teraz dziewczyna spała. Tymczasem przyszedł doktor i musieliśmy wyjść. Sytuacja Kasi była stabilna, jednak jej tato postanowił czuwać przy niej całą noc.

Ze szpitala wróciliśmy bardzo późnym wieczorem. Postanowiłam nie pałętać się pod nogami zmartwionym rodzicom przyjaciółki i zebrawszy swoje rzeczy, ruszyłam do swojego domu. Po niespełna minucie dogonił mnie Mateusz.

- Poczekaj, odprowadzę cię - oznajmił, wciągając na siebie bluzę.

Uśmiechnęłam się tylko w odpowiedzi, nie zwalniając kroku.

Po drodze rozmawialiśmy o bieżących sprawach, moim wyjeździe do Włoch i planowanej przez Mateusza eskapadzie w góry.

- Nie rozumiem jej - powiedział chłopak, nie ukrywając złości.

- Kogo? - zapytałam.

- Mojej matki. Strasznie się piekli, kiedy choćby wspominałam o tym wyjeździe z chłopakami. Jestem już dorosły! Poza tym mam jeszcze trochę odłożonej kasy z ostatniej pracy. Nie musi mi nawet nic dokładać!

- Mateusz, wiesz dobrze, że ani kasa, ani twoja dorosłość nie mają tu nic do rzeczy - powiedziałam i zaśmiałam się w duchu. - Kto się tam jeszcze wybiera?

- Biały, Paweł, Bastek, Łysy...

- No to masz odpowiedź, dlaczego twoja mama nie chce, żebyś jechał! - przerwałam mu wyliczankę. - Przecież to sama elita tego pieprzonego gangu!

- Świetnie! Ty też jesteś po jej stronie! - prawie krzyknął.

- Nie jestem po niczyjej stronie! - Zdenerwowałam się. Był tak bardzo zapatrzonej w tę bandę. - Ja próbuję tylko... tylko cię ochronić - dodałam szeptem, a moje serce niemal zamarło, gdy do świadomości dotarło, co powiedziałam, a dokładniej, co to dla mnie znaczyło.

Minął już ponad rok, odkąd dziewczyna Mateusza wciągnęła go w to towarzystwo. Byli niby zwyczajnymi, wyluzowanymi młodymi ludźmi, no może mieli trochę bardziej szalone pomysły i nie bali się ich realizować, ale to nie było wszystko - „wtajemniczeni” wiedzieli, że jednym ze źródeł ich zysków jest nielegalna sprzedaż narkotyków w szkołach, na imprezach w klubach, na koncertach i nie tylko. Oczywiście do tej pory nikt ich za rękę nie złapał, więc oficjalnie informacji nie potwierdzono, a jeśli była prawdziwa, zapewne handlowali raczej na niewielką skalę. Może dopiero rozkręcali biznes, a do tego najwyraźniej doskonale się maskowali, bo w przeciwnym razie dawno by ich już złapano. Najgorsze jednak, że wciągnęli w to Mateusza... Zaniepokojone tymi plotkami o narkotykach próbowałyśmy najpierw przekonać Mateusza, żeby przemyślał sprawę i zerwał z nimi kontakt, ale nie było to takie proste, bo mieli na niego zbyt duży wpływ. Postanowiłam więc pomóc przyjaciółce podstępem wydostać brata z tego bagna. Staraliśmy się spędzać z nim jak najwięcej czasu po to, żeby z nim rozmawiać i żeby go od nich odseparować.

Mateusz był z jakichś powodów dla nich ważny. Może dlatego, że dobrze znał środowisko sportowców, a to mogła być dla nich potencjalna grupa nowych klientów? Tak bardzo im zależało, że w jakiś sposób potrafiliby go do siebie przekonać. Nie byłam pewna, czy chłopak był na tyle naiwny, że nie dostrzegał, jacy oni są, czy może podobał mu się ich styl bycia i ryzykanctwo... A może próbował ich przekonać do zrezygnowania z tych procederów, bo mimo wszystko miał ich za dobrych ludzi? Jakkolwiek było, moje działania doprowadziły w końcu do tego, że „śmietanka” zwróciła na mnie uwagę i pewnego zimowego wieczora w parku kilku osiłków próbowało mnie zastraszyć. Sytuacja była jakby żywcem skopiowana z komercyjnego filmu sensacyjnego, bo nagle pojawił się Mateusz i złapał ich na gorącym uczynku. Na szczęście, bo gdybym mu o tym po prostu opowiedziała, pewnie by mi nie uwierzył.

Od tamtego czasu zaczął podchodzić do nich z dystansem i rzadziej się z nimi widywał, choć nie zrezygnował zupełnie z kontaktu. Mnie w pewnym momencie, zupełnie nieświadomym, zaczęło na nim zależeć... Chciałam, żeby częściej był przy mnie, żeby nie kręciły się jak zwykle wokół niego inne dziewczyny. Ale też zauważyłam, że zablokowałam się wobec niego, bo dotychczas luźne kontakty koleżeńskie zaczęły stanowić dla mnie problem i powód do krępowania się z najbardziej błahych powodów. Nie umiałam już przy nim czuć się tak zupełnie swobodnie jak wtedy, gdy był dla mnie po prostu potrzebującym pomocy bratem przyjaciółki. Nie robiłam

sobie jednak nadziei na coś więcej, bo Mateusz nie zwracał na mnie uwagi jak na dziewczynę, lecz traktował jak dobrą koleżankę. No i dobrze – powtarzałam sobie i swoim dwóm przyjaciółkom, mając nadzieję, że z czasem mi przejdzie. Jednak na razie zależało mi nadal, chociaż miałam momenty wątpliwości, kiedy telepało mną z wściekłości na jego zapatrzenie w tych naćpanych idiotów.

- Przed kim ty chcesz mnie chronić? Przed moimi kumplami? Niby dlaczego? - powiedział rozdrażnionym głosem.

Wzdrygnęłam się, bo miałam nadzieję, że nie usłyszał mojego ostatniego zdania.

- Bo jesteś dla mnie ważny, do cholery! - warknęłam.

Mateusz przystanął i spojrzał na mnie z zaskoczeniem, jakbym go uderzyła. Zamrugał oczami, po czym chwycił mnie za rękę.

- Przepraszam... Ale zrozum, przy nich staję się zupełnie innym człowiekiem. Oni są jak... jak narkotyk. Rozrywkowi, trochę szaleni... - Zaśmiał się, najwyraźniej coś sobie przypominając. - Lubię z nimi imprezować, nie zerwę kontaktów tak po prostu.

Patrzył na mnie intensywnie. Nie, nie mogłam tego słuchać. Odwróciłam głowę, zdecydowanie wyswobodziłam dłoń z jego uścisku i ruszyłam dalej, z wielką gulą w gardle i zaciśniętym z nerwów brzuchem. Coś było w tych ludziach, co go fascynowało, wręcz hipnotyzowało. Może jakaś niezależność, poczucie złudnej wolności. Nie mogłam

mu pomóc, dopóki sam tego nie zechce. Po kilku krokach odwróciłam się do niego i przystanęłam.

- Przykro mi, że postrzegasz mnie jako swojego wroga... - Spojrzałam mu w oczy. - Ja naprawdę nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę też, żeby oni cię skrzywdzili!

Byliśmy już przed moim domem. Całe szczęście, bo nie wytrzymałabym dalszej drogi w takiej atmosferze. Mateusz przystanął kilka kroków ode mnie, włożył ręce do kieszeni i spojrzał na mnie z ukosa.

- To jest... - zaczął z wahaniem - bardzo miłe, że się o mnie troszczysz. Dawno pewnie próbowałbym twardszych rzeczy niż samo popalanie od czasu do czasu, gdyby nie... gdyby nie to, co jest między nami... gdyby nie ty...

Tym wyznaniem kompletnie zbił mnie z tropu. Zamrugałam z niedowierzaniem, a mój żołądek zrobił się nagle o wiele cięższy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptałam przez ściśnięte gardło, zaciskając spocone, drżące dłonie.

- Nic. Po prostu... nic. Dobranoc - urwał, odwracając wzrok, choć miałam wrażenie, że chce jeszcze coś dodać. Nie chciałam jednak naciskać.

- Dobranoc - odpowiedziałam i weszłam do domu.

- Gdzie ja jestem? - zapytałam samą siebie, rozglądając się ze zdziwieniem.

Po chwili jednak oprzytomniałam. Byłam w domu, w pokoju gościnnym i leżałam na kanapie w ubraniu, opatulona grubym kocem. Szyja bolała mnie niemiłosiernie,

musiałam jakoś wyjątkowo krzywo ułożyć się na poduszce. Poprzedniego wieczora od razu po wejściu do domu włączyłam jakiś film, chcąc oderwać myśli od rozmowy z Mateuszem. Nic jednak z tego nie wyszło. Nawet nie pamiętałam, co takiego leciało w telewizji. W końcu musiałam zasnąć, nawet nie wiedziałam kiedy.

Było mi zimno. Za oknem lało jak z cebra. Jak na początek wakacji pogoda była wyjątkowo kapryśna. Wstałam, zrobiłam sobie herbatę, wyjęłam z szafy drugi ciepły koc i wróciłam do gościnnego pokoju. Włączyłam telewizor, opatulłam się i usiadłam. Spojrzałam na zegar stojący na kominku; była szósta czterdzieści pięć.

Poranek spędziłam, oglądając powtórki jakichś brazylijskich telenoweli. Normalnie pewnie wyszłabym pobiegać albo też zeszła na dół do sali i spróbowała popracować nad precyzją w używaniu Diveny. W pobliżu nie było mamy, więc stwierdziłam, że dziś sobie to po prostu odpuszczę. Około dziewiątej zadzwonił dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć. W progu stał Mateusz, otrząsając wodę z parasola. Na jego widok, jak zwykle ostatnio, moje serce wykonało gwałtowne salto. Chłopak uśmiechał się, ale dostrzegłam oznaki zmartwienia na jego twarzy.

- Cześć, Justyna. Przyszedłem po ciebie. Jadłaś już śniadanie?

- Wejdz - powiedziałam, robiąc krok do tyłu. - Jak Kasia? Wiesz coś?

Chłopak wszedł do środka, zostawiając rozłożoną parasolkę na ganku. Milczał, co mnie zaniepokoiło. Zdjął

buty w przedpokoju, po czym zmarszczywszy czoło, spojrzał na mnie z uwagą i powiedział powoli:

- Moja siostra miała wstrząs mózgu.

- Co?! - prawie krzyknęłam.

- Spokojnie, wyjdzie z tego, nic jej nie będzie. - Spojrzał na mnie i zaczął wyrzucać z siebie nagromadzone emocje. - Nie wiem, jak oni w tym szpitalu ją wczoraj badali... Dopiero gdy długo nie odzyskiwała przytomności po zabiegu... - Popatrzył na mnie i nagle przerwał. - Wszystko w porządku? Strasznie zbladłaś.

- Tak, to tylko nerwy... - odparłam, starając się brzmieć spokojnie. - Jedźmy do szpitala.

Po wuja Dominika na lotnisko pojechałam autobusem. Wiedziałam, że sam świetnie dałby sobie radę, ale jakoś nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Poranek spędziłam w szpitalu, ale wczesnym popołudniem, kiedy Kasia wreszcie się obudziła, lekarz prosił, byśmy pozwolili jej spać. Państwo Wersel udali się do domu, żeby trochę odpocząć, a ja pojechałam do siebie. Mateusz miał się spotkać ze znajomymi w związku z tym sławetnym wyjazdem w góry. Widziałam, że jeszcze się wahał, co zrobić wobec sprzeciwu jego mamy, jednak nie rozmawiałam z nim już o tym.

Z lotniska przyjechaliśmy do domu taksówką. Po drodze opowiedziałam wujowi o wypadku Kasi, był bardzo zmartwiony. Gdy dojechaliśmy na miejsce i wnieśliśmy bagaże do środka, zaproponował, żebyśmy poszli do

państwa Wersel. Zapewne miał nadzieję pogawędzić trochę z panem Jakubem, seniorem rodziny.

Na miejsce dotarliśmy piechotą, stanęliśmy przed drzwiami i wuj nacisnął dzwonek. Otworzyła pani Weronika.

- Witam szanowną gospodynię - powiedział wuj, wręczając jej kupione po drodze pudełko czekoladek.

- Dzień dobry, panie Dominiku! - przywitała go pani domu. Widać było po niej zmęczenie, ale była spokojniejsza, odkąd stan Kasi zaczął się poprawiać. - Zapraszam! Wejdźcie. Tato już jedzie, Tomek zawiózł go do Kasi, ale już wracają ze szpitala.

Weszliśmy do środka. Pani Weronika zaprowadziła wuja do salonu i poszła do kuchni. Twarz miała bladą i zmęczoną. Poszłam więc pomóc jej przygotować wszystko w kuchni. Byłam tu tak częstym gościem, że czułam się prawie jak u siebie.

Szybko uwinęliśmy się z przygotowaniem herbaty, a w międzyczasie dotarli wracający ze szpitala pozostali. Pani Weronika wydobyła ze swoich zapasów konfitury i ciasteczka, po czym wróciliśmy ze wszystkim do salonu, gdzie wuj Dominik wraz z panem Jakubem i panem Tomkiem raczyli się cygarami.

- Jak twoje szachy, Jakubie? - zagadnął wuj. - Nie zardzewiałeś jeszcze?

- Płonne nadzieje - zaśmiał się starszy pan. - Jeszcze się przekonasz, jak ci dogryzę po kolacji.

- No, no, spokojnie, tato. - Pan Tomasz udał, że gani ojca. - Nie strasz nam gościa.

- Taki z niego gość jak ze mnie - zaśmiał się pan Jakub.
- Znam go od dziecka, zawsze pałętał się Rafałowi i mnie pod nogami.

- A Rafał usiłował się mnie pozbyć. Wszelkimi sposobami. Raczej wam przeszkadzałem, zwłaszcza w schadzkach z dziewczętami. - Wuj Dominik zaczął wspominać, a pozostali rozweselili się nieco, słysząc zabawne opowieści.

Widać było, że państwo Wersel bardzo potrzebowali takiego rozluźniającego towarzyskiego spotkania po stresie związanym z wypadkiem ich córki. Ku mojemu zdumieniu wuj wspomniał pani Weronice, że nosił się z zamiarem zaproszenia Kasi i Mateusza do swojej rezydencji we Włoszech, twierdząc, że jeśli wokół mnie nie będzie moich przyjaciół, to już wkrótce zwariuję, a on nie może do tego dopuścić. Jednak ten plan nie mógł się udać w obecnej sytuacji, ponieważ Kasia była w szpitalu.

- No ale Mateusz mógłby pojechać - zaproponowała pani Weronika. - O ile pan się zgodzi, oczywiście.

Zatkało mnie. Mateusz sam ze mną? W Neapolu? Nie, nie, nie... Spotkanie Mateusza, gdy byłam u Kasi, w szkole czy nawet gdy umawialiśmy się ze znajomymi to jedno, a spędzanie w jego towarzystwie dwudziestu czterech godzin na dobę to zupełnie co innego...

- Zapraszam serdecznie. - Uśmiechnął się wuj, zerkając na mnie z ukosa.

- Przynajmniej nie pojedzie w te góry - dodała po chwili pani Weronika znacząco, patrząc mi prosto w oczy.

Zmusiłam się do uśmiechu. No tak, więc o to chodziło. Pani Wersel już od jakiegoś czasu podejrzewała, w jakie towarzystwo wplątał się jej pierworodny. W zaproszeniu wuja dostrzegła szansę na zmianę planów syna. W jakiś sposób ją rozumiałam, pewnie sama zobaczyłabym w tym okazję... Gdyby tylko razem z Mateuszem jechała też Kasia, a w tej sytuacji... W gardle pojawiła mi się znajoma gula.

Dasz sobie radę, nie jesteś dzieckiem! – spróbowałam samą siebie uspokoić i postanowiłam przynajmniej spróbować o tym nie myśleć. Przecież nic jeszcze nie jest postanowione, nie wiadomo, co na ten pomysł powie główny zainteresowany.

Mateusz pojawił się dopiero jakiś czas potem. Pani Weronika ku mojemu przerażeniu niemal od razu przeszła do dywersji: „Pan Carmento był tak łaskawy, że zaprosił jego i Kasię do Włoch, ale że Kasia to i tamto, to on sam rozumie, bla bla bla, byłoby niezwykle nieuprzejmie, no i sprawiłby przykrość dziadkowi, a poza tym i tak nie ma przecież żadnych poważnych planów, tratatata”. To było zwykłe zaproszenie, ale w ustach pani Weroniki brzmiało co najmniej jak propozycja objęcia stanowiska prezydenta. Musiała być faktycznie mocno zdeterminowana. Myślałam, że oboje z wujem zapadniemy się pod ziemię, rzucając sobie nieco speszone spojrzenia.

Ku mojemu ogromnemu zdumieniu chłopak, usłyszawszy tę propozycję, szeroko się uśmiechnął, podziękował i powiedział, że jest zaszczycony i z chęcią skorzysta. Rozładował tym nagromadzone między nami

napięcie. Zupełnie nie wiedziałam, jak zareagować. Pani Weronika wyglądała na równie zaskoczoną co ja, pewnie przygotowała już sobie ciężką artylerię argumentów, jak również i nakazów.

Jeszcze tego samego późnego wieczora ponaglałam wuja i Mateusza, którzy wkładali walizki do bagażnika taksówki, by się pospieszyli, bo w innym wypadku samolot odleci bez nas.

- Joasia! - wykrzyknęłam i padłyśmy sobie w ramiona.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - wołała przyjaciółka, ściskając mnie tak mocno, że nie mogłam złapać oddechu.

Kiedy wreszcie przestałyśmy się ściskać, Joasia zapytała:

- A gdzie Mateusz?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - W całym tym zamieszaniu, jakie zrobiłam, oczekując na twój przyjazd, gdzieś mi zniknął. Ale nie martw się, zdążysz się jeszcze przywitać. A teraz opowiadaj, co robiłaś przez ten czas, kiedy się nie widziałyśmy!

Zrelacjonowałam Joasi pobyt w domu, a ona mi opowiedziała o tygodniu, który spędziła u ciotki przed wyjazdem do Włoch i o wielkich zakupach, jakie sobie razem urządziły.

- Było naprawdę fantastycznie! Wydałam tyle pieniędzy, że aż bałam się powiedzieć rodzicom! - opowiadała z entuzjazmem.

Joasia miała zostać ze mną przez tydzień. Jej rodzina robiła miesięczną wycieczkę objazdową po Włoszech, ale ona koniecznie chciała spotkać się ze mną. Rodzice podrzucili ją więc do Neapolu, z zamiarem zabrania jej w drodze powrotnej z południa.

- No a jak ty sobie radzisz z Mateuszem tutaj? - zapytała, ścisząc głos.

Spojrzałam na nią znacząco.

- Świetnie, wręcz doskonale sobie radzę. Cudownie mi wychodzi. W ogóle bez krępacji - odparłam sarkastycznie.

W odpowiedzi ścisnęła mi lekko dłoń.

Cieszyłam się bardzo z jej przyjazdu. Byłam również wdzięczna losowi, że wybawił mnie przynajmniej na tydzień od przebywania niemal bez przerwy sam na sam w towarzystwie Mateusza, bo było to chwilami totalnie krępujące, nawet jeśli znaliśmy się bardzo dobrze. Nawet jeśli to wuj Dominik, a nie ja, go tu zaprosił. Nawet jeśli nasze rodziny były ze sobą tak blisko. Na litość, on nie był jedną z moich przyjaciółek! Uśmiechnęłam się szeroko do Joasi. Teraz będzie trochę normalniej.

Zbiegłam cicho po schodach do holu, w którym czekała mama z Szymonem na rękę.

- Co się stało, mamó? Mam zająć się małym?

- Nie, nie. Mateusz wrócił z miasta z tatą i cię szuka.

- A gdzie on teraz jest? - zapytałam, rozglądając się, ale nigdzie go nie widziałam.

- Wszedł do parku.

Chciałam już tam pójść, ale mama zatrzymała mnie, dodając:

- Jeszcze jedno, musimy koniecznie porozmawiać!

- O czym? - zapytałam.

- Dowiesz się, gdy przyjdiesz dziś o dwudziestej drugiej do salonu. Odpowiada ci taka pora?

- Zjawię się na pewno! - Ucałowałam mamę w policzek i wyszłam na zewnątrz.

Mogłam tylko domyślać się, że to spotkanie, które mama tak oficjalnie wyznaczyła, będzie dotyczyło spraw związanych z moją Diveną. Po plecach przebiegły mi ciarki. Niemal każdej nocy w snach przeżywałam na nowo tę wizję, którą miałam na mostku nad strumieniem. Chciałam wreszcie dowiedzieć się, co się ze mną działo, ale jednocześnie bałam się tego. Jak można odczuwać jednocześnie dwie tak skrajne emocje? Jedyne, czego w tej sytuacji mogłam być pewna, to tego, że kiedy już dowiem się prawdy, moje życie ulegnie poważnym zmianom. I to takim, na które mogę zupełnie nie mieć wpływu.

IV

Była za kwadrans dziesiąta. Zeszłam do salonu i mimo że przyszłam wcześniej, niż byłyśmy z mamą umówione, ona już na mnie czekała. Widząc mnie, wstała i przyjrzała mi się z uwagą. Pod jej spojrzeniem automatycznie się wyprostowałam, a jakiś strach przed nieznanym ścisnął mój żołądek. Bardzo przyzwyczaiałam się do tego, że tajemnica jest częścią mojego życia, że o pewnych sprawach się nie rozmawia. Teraz, gdy być może miałam się czegoś wreszcie dowiedzieć, czułam obawy. Mama wyszła bez słowa przez drzwi do ogrodu i skręciła w kierunku parkowych alejek. Ruszyłam za nią.

- Czy to dziś poznam tajemnicę Diveny? - odważyłam się zapytać po kilku chwilach.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziała mama, uśmiechając się.

Westchnęłam nieco rozczarowana, choć tego się spodziewałam.

- No to co tu robimy?

- Cóż, powiedzmy, że muszę przygotować cię do poznania tej tajemnicy.

Nie było sensu więcej pytać, doskonale wiedziałam, że nie uzyskam żadnej odpowiedzi. Gdy przychodziło do spraw Diveny, zarówno moja mama, babcia Julia, jak i pozostali Wojownicy, którzy poznali tajemnicę, nie puszczali pary z ust, a ich stanowczość skutecznie zabijała chęć zadawania pytań. Trzeba było po prostu być posłusznym, przygotowywać się i czekać na swoją kolej. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaufać mamie i robić to, co każe.

- Od początku istnienia rodu Divendi, którego historię poznasz niedługo - zaczęła mama, zrównując krok z moim - Divena wykorzystywana była w dobrych celach. Aby w następnych pokoleniach żaden z członków rodziny nie zszedł na drogę zła, składał Przysięgę, zanim poznał tajemnicę rodu. Przyniósł, że nigdy nie będzie działał po stronie Zła i nigdy nie użyje swych umiejętności w złej sprawie. Jeżeli Przysięga zostanie złamana, nad tym, kto ją złamał, będzie ciążyła klątwa. Dziś przyszła kolej na ciebie.
- Popatrzyła na mnie z uwagą.

- Mam dziś złożyć Przysięgę... - powiedziałam ostrożnie nieco zaskoczona.

Mama kiwnęła głową.

Sprawy Diveny zawsze były dla mnie czymś, co się po prostu przyjmowało, co nie podlegało dyskusji, jakby dotyczyły mnie tylko pośrednio, dlatego chłonełam je jak gąbka, nie poddając ich pod żadną wątpliwość. Dziś jednak poczułam, że w sprawę tej niezwykłej siły wchodzę całą sobą. I że to nie będzie już coś pośredniego. Wkrótce miałam zostać poddana Próbie i być może dołączyć do

grona Wojowników. Teraz ten proces miał się rozpocząć. Czułam, jakby dziś ta wewnętrzna siła miała stać się centrum mojego życia... Wiedziałam, że oznacza to, iż w oczach mojego rodu staję się dorosła.

- A czy wszyscy członkowie rodu musieli składać ją tak niespodziewanie? - zapytałam, nadal nieco zaskoczona.

- Niestety tak - odparła mama.

- No to co mam zrobić? - zapytałam. Mimo groźby klątwy nie czułam najmniejszego lęku. - I czemu właśnie dziś?

- Dlatego, że dokładnie za siedem dni o tej porze poznasz historię rodu Divendi - odpowiedziała mama, spoglądając uważnie w moje oczy, jakby próbowała coś z nich odczytać, po czym uśmiechnęła się. - Oczywiście te siedem dni to tylko taki zwyczaj, ważne, żebyś złożyła Przysięgę przed poznaniem tajemnicy i przystąpieniem do Próby.

- Za siedem dni mam urodziny - stwierdziłam ze zdziwieniem, uświadamiając sobie, że w ferworze ostatnich wydarzeń zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Wiem, kochanie. - Mama uśmiechnęła się. - To właśnie ten dzień wybrałam dla ciebie na wtajemniczenie.

Dotarliśmy do drewnianej altany w samym centrum parku, ale nie weszliśmy do środka. Mama powiedziała, wskazując na drewnianą konstrukcję:

- Teraz tam wejdiesz. Usiądź albo stój, byleby było ci wygodnie, i skup się, zamykając uprzednio oczy. Ja z oddali będę się przyglądała.

- Dlaczego nie wejdiesz ze mną? - zapytałam zaskoczona.

- Ponieważ gdy będziesz myślała o Przysiędze i ją składała powoli, skupiając na niej całą swoją uwagę, twoja wewnętrzna siła ukaże się w całej okazałości pod postacią świetlnej łuny, która mogłaby zabić. Nie mogę znaleźć się w jej zasięgu.

- Moja Divena się ukaże... To jak daleko odejdiesz? - zapytałam zaintrygowana.

Ilość odziedziczonej Diveny nie była zależna od pochodzenia, umiejętności czy wiedzy członka rodu. Właściwie chyba nawet Wojownicy z Rady Diveny - naszej instancji rządzącej - tego nie wiedzieli. Nie dało się jednak uniknąć oceniania i porównywania z innymi.

- Sądząc z moich obserwacji, na około sto metrów - odparła. - To bardzo dużo - dodała po chwili ściszym głosem.

Spojrzałam na nią uważnie, zastanawiając się, co miały oznaczać te słowa. Wydawała się opanowana, ale miałam wrażenie, że od czasu mojej wizji wciąż ją coś martwi.

- Jaka jest treść Przysięgi? - zapytałam jeszcze.

- Jesteś Divendi, będziesz wiedziała, co robić. Po prostu skoncentruj się i własnymi słowami powiedz to, co podyktuje ci serce. - Mama uśmiechnęła się i odeszła.

Weszłam do altany. Nie usiadłam jednak, ale stanęłam na środku. Zamknęłam oczy i skupiłam całą swoją uwagę na Przysiędze i na tym, co ona dla mnie oznacza. Myślałam o mojej wewnętrznej sile, o złu i dobru i czułam, jakby

promieniowało ode mnie ciepło. W końcu w głowie same zaczęły mi się układać słowa przysięgi. Wypowiedziałam je szeptem.

Nagle zaczął we mnie narastać niepokój, lęk... Coś się zbliżało jak w tej wizji na mostku. Oczy zasłoniła mi gęsta, czarna mgła, a ciało zadrżało od fantomowych podmuchów lodowatego powietrza, które pojawiły się znikąd. Zadrżałam. I wtedy nagle przed moimi oczyma znikąd pojawiła się ta sama twarz... Była wyraźniejsza niż poprzednio. Skądś, nie wiem skąd, w mojej głowie objawiła się oczywista myśl - to była Twarz Zła... Zbliżyła się do mnie, a mój żołądek skurczył się nagle i podjechał pod sam przełyk. Nie byłam w stanie zapanować nad wstrząsającymi moim ciałem dreszczami, ledwo trzymałam się na nogach. Próbowałam odwrócić wzrok, ostatkami sił powstrzymując krzyk przerażenia, ale spojrzenie Twarzy jakby ściągało na siebie moją uwagę.

Drżałam ze strachu, chciałam się stamtąd jak najszybciej wydostać, ale moje ciało mnie nie słuchało. Byłam jak sparaliżowana. W końcu moja wola jakby się złamała i spojrzałam w kierunku Twarzy. Świdrujące czerwone oczy przeraziły mnie. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza, tonęłam w czarnych czeluściach źrenic... Walczyłam wszystkimi siłami. Z wysiłku na oczy zaczęły mi spływać kropelki potu, ale nadal nie potrafiłam odwrócić wzroku. To było jak hipnoza, Zło spojrzeniem usiłowało wedrzeć się w moje wnętrze.

Zatracałam się w przepaściach oczu Zła, gdy nagle w głowie, jakby przypadkiem, zakołatała mi jedna niewyraźna, jasna myśl. Nie mogłam pozwolić na to, by Zło wdarło się do mojej duszy! Skupiłam całą swoją Divenę, aby na to nie pozwolić. Sekundy płynęły nieznośnie wolno, czas mijał, a mocowanie się ze Złem nie odnosiło efektów. Traciłam siły, drżałam przeraźliwie na całym ciele, a jednocześnie czułam się, jakbym skamieniała. Czyste przerażenie oplotło mnie jak dzikie pnącza. Nagle w mojej myśli pojawiły się tajemnicze słowa. Nigdy wcześniej ich nie słyszałam, ale w jakiś sposób byłam przekonana, że gdy je wypowiem, nadejdzie pomoc. Zrobiłam więc to, nie mając nic do stracenia.

- Wzywam cię, Błękitny Kamieniu! Przybądź, Divendi! Przyjdź z pomocą swojemu Władcy!

Zaraz po tym zobaczyłam przed swoimi oczami mały, wiszący w powietrzu kamyczek o błękitnej barwie, który, w miarę zbliżania się do Twarzy, jaśniał coraz bardziej oślepiającym blaskiem. Na jego widok Twarz zaczęła się odsuwać, aż w końcu zniknęła z jękiem. Wiedziałam jednak, że to nie oznacza, że już nie istnieje i nie wróci. Kamień również zniknął - spełnił już swoją misję.

Otworzyłam oczy, poczułam, że kręci mi się w głowie, zrobiło mi się słabo i upadłam.

- I wtedy Twarz zniknęła.

Siedziałyśmy z mamą w kuchni. Opowiadałam jej o tym, co zobaczyłam w czasie tej wizji, a jednocześnie pomagałam

mamie zrobić opatrunek na oparzenie na jej ramieniu. Odsunięcie na sto metrów nie wystarczyło. Moja Divena sięgała dwa razy dalej i mama musiała uciekać. Udało jej się ujsć z życiem tylko dzięki temu, że umiejętnie wykorzystwała swoją wewnętrzną siłę.

Moja koszulka była przemoczona od zimnego potu, a ciałem wciąż wstrząsały lekkie dreszcze, ale bardziej przejmowałam się tym, co niechcący zrobiłam mamie, niż swoją osobą.

- Widziałam, że coś dziwnego się z tobą dzieje. Powinnaś już dawno złożyć Przysięgę, a ty nadal stałaś, tylko łuna dookoła ciebie zmniejszała się. W pewnym momencie, tuż przed twoją twarzą, w jasnej poświacie Diveny pojawił się jakiś czarny cień, a w chwilę po niej jakby tarcza między wami, która sprawiła, że cień zniknął. Po chwili zniknęła też tarcza i łuna, a ty upadłaś. Bardzo się o ciebie bałam!

Widziałam, że jest zaniepokojona i nie zwraca uwagi nawet na swoją ranę i na ból, jaki wywoływała. Po chwili powiedziała:

- Muszę się jak najszybciej skontaktować z Radą... Proszę cię, tylko nie myśl o tym za dużo, bo nie czas i nie miejsce na to. Odpocznij za to porządnie. - Szybko wstała, cmoknęła mnie w czoło i poszła do swojego pokoju, ja natomiast, mimo wyczerpania, postanowiłam odświeżyć się szybko i poszukać Joasi. Znalazłam ją w pierwszym miejscu, do którego się udałam - w jej pokoju. Czytała akurat

książkę. Na mój widok odłożyła ją i zapytała z udawaną podejrzliwością:

- Gdzie byłaś? - Zaśmiałam się, bo doskonale to wiedziała, ale odpowiedziałam tajemniczym szeptem, zachowując kamienną powagę:

- Z moją mamą w ogrodzie. - Usiadłam na stojącym obok łóżka fotelu.

Joasia uśmiechnęła się ciepło.

- Chętnie bym podpytała, o czym rozmawiałyście, ale jesteś zmęczona. Na pewno chcesz tu ze mną koczować? Nie wolisz się położyć?

- Nie, nie. - Odwzajemniłam uśmiech. - Zostawiłam cię samą, mimo że jesteś moim gościem. Muszę to teraz jakoś nadrobić.

- No przestań. Nic nie musisz nadrabiać. Zresztą ja też jestem już trochę zmęczona, właściwie to wybierałam się pod prysznic. Możemy pogadać jeszcze chwilę, a potem pójść spać, OK?

- Dobrze - zgodziłam się z wdzięcznością. Joasia miała rację, padałam ze zmęczenia.

- A może masz ochotę na czekoladę? - zapytała przyjaciółka, wyciągając ze swojej torby wielką tabliczkę.

- Czekolada? Zawsze! - Uśmiechnęłam się szeroko i przesiadłam się na łóżko.

Przez parę chwil delectowałyśmy się słodkim smakiem czystej przyjemności. W końcu Joasia zaczęła ostrożnie:

- Wiesz, rozmawiałam dziś z Mateuszem... - Poczułam, że przygląda mi się uważnie, ale nie podniosłam wzroku. -

To naprawdę bardzo fajny facet. Żałuję, że nie miałam wcześniej okazji poznać go lepiej.

Uśmiechnęłam się, ale poczułam skurcz w żołądku.

- Nie rób takiej miny, przecież nie mam zamiaru się do niego dobierać. - Zaśmiała się.

Domyśliłam się, że chciała mnie tymi tekstami sprowokować, zmarszczyłam brwi i odparłam trochę za ostro:

- Och, proszę cię. Wiesz dobrze, że między nami nigdy do niczego nie dojdzie.

- Hej, spokojnie. - Joasia przyjrzała mi się z uwagą, po czym dodała łagodnym tonem: - Wiesz, myślę, że nie masz racji. Przecież to widać na pierwszy rzut oka, że coś jest między wami.

Spuściłam wzrok, jednocześnie poirytowana i pełna nadziei. Tak bardzo pragnęłam, by jej słowa okazały się prawdą, ale rozsądek podpowiadał mi, żeby czym prędzej to pragnienie zdusić w sobie.

- Ej, chyba nie zaprzeczysz, co? - Dziewczyna chwyciła mnie za ramię i zmusiła, bym na nią spojrzała.

- Owszem - potwierdziłam w końcu. - Jest coś między nami. Przy dobrych wiatrach można by to nawet nazwać przyjaźnią.

- No tak, wiedziałam - stwierdziła moja przyjaciółka, odwracając głowę z cieniem irytacji. - Ty będziesz twierdziła, że to nie jest chłopak dla ciebie, bo przecież jesteście przyjaciółmi, natomiast on nadal będzie wpatrywał się w ciebie, ale nic nie powie, bo przecież widzi, jaka

zimna jesteś wobec niego pod tym względem. Aż w końcu się zniechęci.

- Joasiu, czy ty się dobrze czujesz? - zapytałam z niedowierzaniem, niespokojna o psychiczną równowagę przyjaciółki.

Musiała jej się coś poprzewracać w głowie. Sama wpatrywałam się w niego ukradkiem tak często, że na pewno zauważyłabym, jeśli on by się na mnie patrzył.

- Jak najbardziej, czuję się doskonale. I wiem, że mam rację. Pomyśl nad tym, co ci powiedziałam. - Mrugnęła okiem i wyszła do łazienki, zabierając ze sobą kosmetyczkę.

Po chwili i ja opuściłam pokój, a wracając do siebie, zastanawiałam się nad jej słowami. To niemożliwe, żeby miała rację. Nie mogę sobie pozwolić na to, by jej uwierzyć. Nie otworzę się przed nim, bo tylko mnie skrzywdzi.

Od rana byłam w kiepskim stanie. Rano ledwo zeszłam na śniadanie, walcząc z zawrotami głowy i osłabieniem. Później rozbolała mnie głowa, więc za radą Joasi poszłam się położyć, rezygnując tym samym z wyjazdu z przyjaciółką do miasta. Joasia pojechała sama, a ja zostałam w łóżku przed telewizorem. Ciągle czułam się osłabiona. To zmaganie z Twarzą bardzo mnie wyczerpało. Mimo tego, że było mi strasznie głupio zostawiać gości, nie dałam rady zejść na obiad. W końcu zmartwiona mama przyniosła mi do pokoju sok pomarańczowy i ciasto. Usiadła na łóżku obok mnie i zapytała:

- Co się dzisiaj z tobą dzieje?

- Jestem wykończona - westchnęłam. - Jakby ta wczorajsza wizja wyssała ze mnie wszystką energię. W głowie mam tyle pytań...

- Martwię się o ciebie. Boję się, że te wizje będą się powtarzać, aż zupełnie cię wyczerpią i nie będziesz miała już sił na... - Przerwała, jakby zorientowała się, że powiedziała za dużo.

- Na co? - zapytałam zdziwiona.

- Na to, co podejrzewamy, że cię czeka. Ale nie możesz się o tym teraz dowiedzieć. Poza tym jak na razie są to tylko podejrzenia. - Zmarszczyła brwi, milknąc na chwilę, po czym pokiwała głową i dodała: - Nie przejmuj się tym, co mówię. Wszystko będzie dobrze.

- Nie martw się, mamó. Może i nie jestem silna fizycznie, ale mam Divenę, która mi pomoże dać sobie ze wszystkim radę. - Stwierdziłam, że muszę ją podnieść na duchu.

Moje słowa zabrzmiały może nieco pompatycznie, ale naprawdę w nie wierzyłam, no i najwidoczniej mamie pomogły. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Poradzę ci coś: nigdy nie przestawaj w to wierzyć!

Przechadzałam się po parku, czerpiąc przyjemność z podziwiania bujnej roślinności. Obok mnie biegł Szymon, z zapamiętaniem kopiąc w toczącą się przed nim piłkę i śmiejąc się radośnie. W ręce miałam książkę do przeanalizowania w ramach treningu ducha, ale nie czytałam jej, lecz tylko rozmyślałam. Jeszcze dwa dni

zostały do moich urodzin. Bałam się, sama nie wiem czego... Właściwie to dokładnie wiedziałam, czego się boję. W każdej chwili znów może pojawić się ta wizja... Strach, który mnie ogarniał, był paraliżujący. Nie przespałam spokojnie ani jednej nocy od czasu tej pierwszej i miałam wrażenie, że im bardziej boję się, że znów zobaczę tę ohydłą Twarz, tym szybciej to się stanie. A że się stanie, nie miałam wątpliwości.

Jedyna moja nadzieja była w tym, że poznanie tajemnicy Diveny cokolwiek mi wyjaśni. Snułam się więc z kąta w kąt po rezydencji, po parku albo po tych miejscach, do których zaciągali mnie moi przyjaciele w ramach zapewnienia mi rozrywki. Widzieli, że się zamartwiam, i próbowali na swój sposób coś na to poradzić, ale nie tego wieczoru. Dziś Mateusz i Joasia wyszli gdzieś, miałam więc tylko własne towarzystwo. Przypuszczałam, że kombinują jakąś niespodziankę z okazji moich urodzin. Joasia wybłagała od rodziców jeszcze trzy dni, żeby zostać na świętowanie.

Szłam tak, obserwując młodszego braciszka, i z nudów zastanawiałam się nad sobą. Nie byłam zwykłą dziewczyną. Byłam wyjątkowa, sama nie wiem, czy w dobrym, czy w złym tego słowa znaczeniu. Miałam swoją Divenę, której mogłam używać do różnych celów, a która do niedawna jeszcze czasem wymykała mi się spod kontroli. Do niedawna, bo od kilku dni – a konkretnie od momentu złożenia przeze mnie Przysięgi – działała dokładnie tak, jak tego chciałam, co było dla mnie nieprawdopodobne. Na treningach woli nawet moja mama była pod wrażeniem.

Mogłam przenosić myślą wielkie ciężary, a ogromne skalne bloki zamieniać w kupę piachu. Mogłam siłą woli poskładać wielki dzban na kwiaty i tak poruszyć cząsteczkami porcelany, by go na powrót scalić, bez uszczerbku dla pięknych wzorów. Mogłam dowolnie kontrolować temperaturę powietrza, wody czy ciał stałych. Mogłam zabijać. Ale to nikomu nie przynosiło żadnego bezpośredniego pożytku. No i musiało pozostać tajemnicą. Czy mój dar miał jakieś dobre strony, jakieś przeznaczenie? Wiedziałam, że musiał, skoro od wieków wszyscy posiadający Divenę składali tę samą Przysięgę, którą i ja niedawno złożyłam. Skoro istniała Przysięga, to po co byłaby Divena, jeśli nie dla czynienia jakiegoś dobra? Dlaczego surowo zabronione było jej ujawnianie?

Jedyną dobrą stroną, jaką znałam, była zdolność uzdrawiania, mieli ją tylko ci z rodu, których wewnętrzna siła była naprawdę duża. Dopiero przy składaniu Przysięgi okazało się, że należę do grona tych szczęśliwców. Nie mogłam jednak uzdrowić ran zadanych własną Diveną.

Do rozpatrzenia, do jakiej kategorii ją zaliczyć, pozostawała też sprawa snów. Od czasu do czasu miewałam sny, w których ukazywała mi się przyszłość. Gdy we śnie na przykład mama tłukła dzbanek, to samo działo się w rzeczywistości. Sny te czasem sama wywoływałam, choć to nie zawsze się udawało – były rzeczy, których po prostu nie mogłam się dowiedzieć. Zobaczoną przyszłość dałabym radę zmienić, ale wtedy mogło wydarzyć się coś innego,

jakby na konto tego, czego udało mi się uniknąć. Było to więc bardzo ryzykowne.

Czy istniały inne dobre strony? Być może miałam się o nich dowiedzieć za dwa dni, a moment ten nieustannie się zbliżał. Kiedyś tak bardzo wyczekiwana chwila, gdy teraz nadchodziła wielkimi krokami, była powodem wielu lęków i już nie chciałam, żeby tak szybko nadeszła. Jakbym obawiała się, że nastąpi wielka zmiana w moim życiu i ono już nigdy nie będzie wyglądało tak samo.

Bzdura - pomyślałam. Jaka zmiana? Wszyscy członkowie rodu Divendi prowadzą normalne życie. No, prawie normalne. Nie wybierałam sobie rodziny. Divena to bonus, trzeba go przyjąć i iść dalej. Jak już to wszystko minie i zostanę Wojownikiem Diveny, życie wróci do normy. Pozostawało mi więc tylko czekać na to, co nieuchronne.

Zbudziłam się wraz ze wschodem słońca. Tego dnia rozpierała mnie energia - to był wielki dzień! Po raz pierwszy od dwóch tygodni o niczym nie śniłam, nawet strach przed kolejną wizją gdzieś zniknął. Czułam się pewna siebie i silna, choć gdzieś w głębi mojej duszy czaiło się zwątpienie. Wstałam, ubrałam się, zasłałam łóżko i usiadłam przy stoliku. Posługując się moją wewnętrzną siłą, wyciągnęłam z szafki notes i długopis. Otworzyłam go i zaczęłam notować wszystkie te etapy, jakie ostatnio udało mi się przejść podczas poszczególnych treningów. Dawało to mnie i mojej mamie stały wgląd w progres rozwoju i przygotowań do Próby.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi i zanim zdążyłam odpowiedzieć, do pokoju wbiegła cała moja rodzina, wraz z Joasią i Mateuszem, wołając:

- Niespodzianka!

Szymon podbiegł do mnie, pocałował w policzek i z uśmiechem wręczył bukietik kwiatów. Za nim stała Martynka z własnoręcznie zrobioną laurką. Od niej również dostałam buziaka. Gdy wszyscy złożyli mi życzenia i wręczyli prezenty, do pokoju weszła mama, która niepostrzeżenie wymknęła się minutkę wcześniej, niosąc wielki tort z zapalonymi świeczkami. Zdmuchnęłam je wszystkie, życząc sobie, aby sprawy związane z Diveną potoczyły się dobrze.

Zeszliśmy na uroczyste śniadanie, po którym każdy dostał kawałek tortu. Atmosfera była luźna i pełna radości, tylko chwilami mama spoglądała na mnie znaczącym wzrokiem.

Szłam za mamą przez ogród do altany, tej samej, w której tydzień wcześniej składałam Przysięgę. Bałam się, ale nie tajemnicy rodu Divendi, którą miałam poznać. Napawały mnie lękiem wspomnienia Twarzy. Nie chciałam, żeby się znów pojawiła - przynajmniej nie dziś.

Na miejscu, ku mojemu zaskoczeniu, czekało na nas troje ludzi: kobieta i dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręku grubą walizkę. Kiedy weszliśmy do środka, nieznajomi wstali, przyglądając mi się bacznie, jakby

oceniając. Poczułam się przez to dziwnie skrępowana. Jeden z mężczyzn bardziej stwierdził, niż zapytał:

- Więc to ona?

Mama skinęła głową.

Kobieta, zwracając się w moim kierunku, stwierdziła:

- Nie znasz nas. Pozwól jednak, że na razie pominiemy tę kwestię. Na początek poprosimy, byś odpowiedziała nam na pytanie.

Nieco zdezorientowana spojrzałam na mamę, a ona skinęła głową. Zrobiłam to samo w kierunku nieznajomej, która gestem wskazała, żebyśmy usiedli na ławkach wokół stojącego w altanie stolika. Kiedy to zrobiliśmy, kobieta spojrzała znacząco na mężczyznę trzymającego walizkę. Ten położył ją na blacie i odpiął zatrzaski. Nieznajoma zwróciła się do mnie:

- Coś ci teraz pokażę, a ty mi powiesz, co to jest, dobrze?

Po raz kolejny skinęłam głową, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Tymczasem kobieta otworzyła przede mną walizkę. Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu nie miałam wątpliwości, co znajdowało się w środku.

- To jest Divendi, Błękitny Kamień, który jest moim Sługą i obrońcą. - Usłyszałam swój pewny głos, choć nie wiedziałam, skąd znałam odpowiedź na to pytanie. Pojawiła się w moim umyśle znikąd i była po prostu oczywista. Zmarszczyłam brwi. To był ten sam kamień, który pojawił się, kiedy go wezwałam podczas ostatniej wizji.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz triumfu. Zwróciła się do mojej matki i mężczyzn, którzy zbliżyli się do stołu:

- W końcu się pojawił... pojawiła. Znaleźliśmy ją!

Mężczyźni również byli zadowoleni. Patrzyli na mnie z zachwytem pomieszany z czymś jeszcze. Nie chciałam się jednak zastanawiać w tej chwili, co nimi kierowało. Siedziałam, kompletnie nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Ich reakcja była dla mnie zupełnie niezrozumiała, podobnie jak i to, że wiedziałam o Kamieniu, mimo że widziałam go właściwie po raz pierwszy i nie spodziewałam się takiego testu. Skąd w mojej głowie wzięła się ta odpowiedź? Czy cały czas tam była? I skąd ten kamień wziął się podczas mojej wizji? Ze zdenerwowania ścisnęłam dłońmi ławkę, na której siedziałam.

Nieznajoma rzekła do mnie:

- Wierzę ci, ale musisz jeszcze udowodnić, że to twój Sługa, bo Divendi słucha tylko swojego Władcy. Divena na niego nie działa.

Nie zastanawiając się, spojrzałam na Błękitny Kamień i w myślach powiedziałam to, co podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos: „Divendi, rozpal Biały Ogień!”. Mój Sługa spełnił zadanie; uniósł się w powietrze i zaśnił oślepiającym blaskiem, a wszyscy oprócz mnie odwrócili wzrok. Po chwili wysunęłam dłoń i Kamień zawisnął nad nią. Nagle kobieta zniecka zaatakowała mnie swoją Diveną. Zdażyłabym zareagować, ale nim to zrobiłam, Kamień utworzył tarczę i odbił cios, broniąc mnie jak wtedy, w czasie wizji.

Mimo że w mojej głowie w jakiś zagadkowy sposób pojawiały się odpowiedzi, nadal byłam dezorientowana i nie bardzo wiedziałam, jak to wszystko rozumieć. Tymczasem kobieta zwróciła się z entuzjazmem do pozostałych:

- Mamy wystarczającą ilość dowodów, żeby przestać wątpić! To ona! Ostatni sprawdzian to udowodnił. Błękitny Kamień broni tylko swojego prawowitego Władcy. - Skinęła głową w moją stronę.

Nic z tego nie rozumiałam. Spojrzałam na nią, a ona powiedziała:

- Teraz możemy ci zdradzić, kim jesteśmy. Ja nazywam się Mercedes i, co pewnie oczywiste, należę do rodu Divendi, a to - wskazała na mężczyznę - Francesco i Marco. Jesteśmy członkami Rady Diveny. Jak wiesz, Rada podejmuje wszystkie najważniejsze decyzje związane z rodem i typuje kandydatów na Wojowników Diveny, a to, czego nie wiedziałas do dzisiaj, to jej główne zadania: opieka Błękitnym Kamieniem i oczekiwanie Dziedzica. Ale o tym potem. Najwyższy czas, żebyś poznała tajemnicę powstania i przeznaczenia rodu Divendi. Zdarzyło się to w starożytnej północnej Italii. Pewne małżeństwo od dawna czekało na potomstwo. Gdy wreszcie pierworodne dziecko było w drodze, bardzo się cieszyli. Pewnego razu, niedługo przed rozwiązaniem, ciężarna kobieta wybrała się do lasu. W drodze powrotnej zastała ją burza. Jej mąż, widząc nagłą zmianę pogody i wiedząc, że żonę niedługo czeka rozwiązanie, wyszedł jej naprzeciw z sąsiadem i jego

małżonką. Szukali jej długo, pośród huku piorunów i szumu deszczu. Kobieta natomiast szła prędko do wioski, przedzierając się przez zasłone ulewy. Nie dotarła jednak do celu. Gdy szła przez łąkę, trafiła w nią błyskawica. Zmarła w chwilę po tym, jak znaleźli ją mąż i sąsiedzi. Martwą kobietę zabrano do jej domu. Dzięki temu, że znaleziono ją tak szybko, udało się uratować dziecko; był to chłopiec. Gdy kilka dni po śmierci kobiety jej mąż poszedł w miejsce, gdzie skonała, pod jedyne na dużej polanie drzewo, znalazł tam błękitny kamień wielkości kciuka, który jarzył się dogorywającym blaskiem jakby białego płomienia. Mężczyzna zabrał go do domu i ukrył. Chłopcu dano na imię Vertus, co w tamtejszej gwarze znaczyło „zrodzony z błyskawicy”. W dniu, gdy każdy dwunastoletni chłopiec osiągał dojrzałość i dostawał swoje drugie imię, odbywała się wielka uroczystość. Dzień przed nią Vertus natknął się na obluzowaną deskę w podłodze w izbie, w której spał jego ojciec, a pod nią zawiniątko. Nie rozpakował go jednak, lecz zaniósł ojcu, pytając, co to takiego. Ojciec rozwinął zawiniątko i przypomniał sobie o kamieniu. Vertus, gdy tylko zobaczył, co było tam ukryte, powiedział: „Wybacz, ojcze, niepotrzebnie pytałem. Przecież to Błękitny Kamień! Divendi!”. Ojciec, zdziwiony zachowaniem chłopca, zapytał: „Co to oznacza, synu?”. Odpowiedział: „Ten kamień, ojcze, to moja tarcza. Sługa, który słucha tylko swojego Władcy. Na razie jednak słucha mnie, bo jestem Pierwszym z rodu. Dzięki niemu znam swoje imię. Od jutra będę nosił imię Divendi!”. Mały Vertus szybko odkrył w sobie wewnętrzną

siłę, Divenę. Potrafił swobodnie przesuwać ogromne ciężary siłą woli, rozpalać ogniem i chłodzić jak lód, niszczyć i naprawiać, zabijać i uzdrawiać, zadawać ból i ratować od złego. Potrafił też, w sposób, którego nie znamy, porozumiewać się z Divendim, wiedział więc o wielu sprawach związanych z Diveną, rozumiał ją. Ludzie stronili od niego ze względu na rzeczy, których dokonywał, lecz nie uciekali przed nim, ponieważ był dobrym człowiekiem, który nieraz jako jedyny potrafił pomóc w chorobie. Vertus dorósł, ożenił się i miał dzieci. Każde z nich odziedziczyło wewnętrzną siłę, ale tylko drugi z kolei syn niemalże dorównywał Diveną ojcu. I tak z pokolenia na pokolenie dar był przekazywany, niektórym mniejszy, niektórym większy, nieliczni potomkowie nie otrzymywali go wcale. Gdy Vertus był na łożu śmierci, zawołał swoje dorosłe już dzieci i zdradził to, co objawił mu Kamień Diveny: „Ludzie są źli, nienawidzą się, zabijają. Ich zło wędruje do Czary Zła. Gdy Czara się przepełni, przyjdzie na świat Wybrany Dziedzic, którego Divena - wewnętrzna siła, przewyższy nawet moją. Tylko on będzie w stanie walczyć ze Złem i pokonać je. I tylko on będzie mógł poprowadzić Armię Wojowników na Wojnę. Poznacie go po tym, że będzie mu posłuszny Błękitny Kamień - Divendi, który będzie go bronił i nie pozwoli na zrobienie mu krzywdy. Kamień jest przeznaczony tylko dla Dziedzica, a mnie był posłuszny, gdyż byłem Pierwszym z rodu Divendi. Nawet jeżeli jeden z moich potomków będzie miał dużą Divenę, to zanim o czymkolwiek postanowicie, pokażcie mu Kamień. Tylko

Dziedzic rozpozna go od razu i nazwie po imieniu! Wszyscy, których wewnętrzna siła będzie wielka, będą musieli przejść Próbę Diveny, aby stać się Wojownikami. Wszyscy Wojownicy Diveny, a będzie ich wielu, będą czekać na Dziedzica w innym świecie niż ten, by wspomóc go w walce ze Złem. Oczekujcie Dziedzica!”. Po dwóch wiekach od narodzin Vertusa, gdy ród Divendi urósł w siłę, powołano Radę Diveny strzegącą Błękitnego Kamienia, dbającą o kandydatów na Wojowników i oczekującą na przyjście Dziedzica.

- Teraz nasza misja dobiegła końca - powiedział Marco - oddajemy bowiem Błękitny Kamień jego Władcy - mówiąc to, zamknął walizkę, w której był Divendi, i oddał ją mnie.

Od chwili, gdy Błękitny Kamień zawisł nad moją dłonią, zaczęło do mojej świadomości docierać to, co się właśnie wydarzyło, czego się dowiedziałam. Trwałam tylko w osłupieniu, czekając na słowne potwierdzenie moich podejrzeń. Podejrzeń, które były tak bardzo nieprawdopodobne, a jednocześnie zupełnie oczywiste.

- Ja jestem Dziedzicem? - wyjąkałam cicho.

- Tak, jesteś nim - powiedziała Mercedes.

- Ale ja... ja... nie, nie! Ja tego wcale nie chciałam, nie wiem, czy dam sobie radę... - powiedziałam, nadal szepcząc, zupełnie niepewna siebie i naprawdę mocno przestraszona, kiedy, jakby falami, docierała do mnie świadomość tego, co się działo, co właściwie już dawno się stało, ale z czego dopiero teraz zaczynałam zdawać sobie sprawę.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Nie potrafię ci dać żadnych wskazówek, ponieważ jestem tylko Wojownikiem Diveny - powiedziała, po chwili wyjaśniając: - Wojownicy, jak wiesz, to członkowie naszego rodu, których Divena jest na tyle wysoka, by mogli przejść Próbę. Na jej końcu kandydat zostaje mianowany, ale tylko wtedy, gdy ją przejdzie i nie zboczy z drogi. Przy mianowaniu dzieje się dziwna rzecz: przyszły Wojownik widzi jaśniejący Błękitny Kamień, a z oddali dochodzi do niego głos: „Ja, Vertus, mianuję cię Wojownikiem Diveny! Czekaj na Dziedzica! Nigdy nie zbacжай z drogi!“. Wtedy Próba się kończy i Wojownik, ze znamięm na ramieniu, jaki widziałś u swojej matki i babki, wraca do swojego świata.

Wydawało mi się, że próbuje mnie zagadać, zarzucić ogromną ilością informacji, bym zapomniała o nerwach.

- Próba odbywa się jakby w innym wymiarze, w Świecie Diveny. Tam wędrują wszyscy Wojownicy po tym, jak upłynie ich czas przeznaczony dla tego świata. W naszym świecie Próba trwa około kilku sekund, ale w tamtym, w świecie Próby, do kilku dni, a czasem nawet do kilku lat. Próba dla każdego Wojownika jest inna, jak różni są Wojownicy. Czasami przechodzi ją jednocześnie kilku Wojowników, ale jest wtedy trudniejsza. Ja przechodziłam Próbę razem z moimi kuzynami. - Z uśmiechem wskazała na Marco i Francesco. Ci również się uśmiechnęli. - To nas bardzo do siebie zbliżyło.

Tylko jednym uchem słuchałam tego, co mówiła Mercedes. Byłam jej wdzięczna za to, że daje mi czas na oswojenie się z sytuacją. Jednak tak naprawdę od momentu, kiedy dotknęłam Kamienia Diveny, który teraz obracałam w palcach, wszelkie tajemnice stały się dla mnie odkryte. Pomyślałam o Próbie i wiedziałam, na czym polega jej zadanie. Pomyślałam o Radzie i wiedziałam, jaki jest jej cel. Pomyślałam o świecie Diveny, równoległym wymiarze, i zachłysnęłam się wiedzą. Oczywiście nie byłam teraz wszechwiedząca, ale wyglądało na to, że w Błękitnym Kamieniu zawarta była cała wiedza rodu. I chyba nie tylko wiedza... Czułam, jakby w środku było coś świadomego, żywego, jakby Divena w nim... żyła.

Wreszcie podniosłam wzrok na otaczających mnie ludzi i powiedziałam:

- Chcę wiedzieć, przez co przechodzą Wojownicy podczas Próby, co myślą, w co wierzą, co pozwala im przetrwać. Sama też muszę ją przejść.

Nie miałam pojęcia, skąd w moich myślach pojawiło się to przekonanie, ale z chwili na chwilę coraz mniej mnie to wszystko dziwiło.

- Dziedzic musi przejść Próbę? Skąd to wiesz, pani? - zapytał Francesco.

Zaśmiałam się nerwowo. Nadal byłam spięta i skrępowana tą sytuacją.

- Proszę, nie zwracajcie się do mnie tak... wyniośle. To brzmi zbyt pompatycznie.

- Jesteś godna naszego szacunku - rzekł z przekonaniem Marco.

- Tylko dlatego, że jestem Dziedzicem? Nawet jeśli pół godziny temu nie miałam o tym pojęcia? To raczej ja powinnam zasłużyć na wasz szacunek.

- Nosisz ogromną odpowiedzialność, która była twoim przeznaczeniem od samego początku istnienia Diveny. Tym sobie zasłużyłaś na nasz szacunek.

W tej samej chwili znów poczułam lęk i zadrżałam pod dotykem lodowatego podmuchu, odczuwalnego jedynie przeze mnie. Przestałam widzieć cokolwiek poza ciemną mgłą. Twarz Zła nadchodziła. Wynurzyła się z czarnego dymu i spojrzała na mnie swoimi czerwonymi jak krew, jarzącymi się oczyma i powiedziała:

- Pewnie, Dziedzicu, wiesz już, kim jestem. Masz mnie pokonać, ale to ci się nie uda! Jesteś małym, nic niewartym prochem, który myśli, że jest silniejszy ode mnie! Zniszczę cię! Nie pozostanie z ciebie nic! Zło zwycięży!

Przezwytrzymałam swój strach i krzyknęłam w myślach:

- Dobro zawsze zwycięża! Tak łatwo ci ze mną nie pójdzie!

Twarz zaśmiała się, a ja uderzyłam ją Diveną. Śmiech natychmiast umilkł, a obraz zaczął znikać. Zanim jednak zniknął zupełnie, rozległ się głos:

- Jeszcze się zobaczymy, Dziedzicu.

V

- To naprawdę piękny kamień. Ma prześliczny odcień błękitu - powiedziała mama, przyglądając się ponownie Dividemu, spoczywającemu na blacie stolika kawowego.

- Tak - odparłam nieco podenerwowana jej zbaczaniem z tematu. - Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Mama spojrzała na mnie uważnie, marszcząc brwi. Jej twarz spoważniała. W końcu odpowiedziała powoli, ważąc każde słowo:

- Tak, jeżeli chcesz i czujesz, że to dobra decyzja, ale musisz naprawdę ufać osobie, której zdradzasz tę tajemnicę.

- Inaczej bym tego nie zrobiła - odparłam poważnie. - A ty zdradziłaś ją komuś oprócz taty?

- Tak, mojej najbliższej przyjaciółce, Helenie.

- To pani Helena wie o Divenie?!

Byłam zaskoczona. Pani Helena, odkąd pamiętam, była przyjaciółką mamy. Bywała u nas tak często, że czuliśmy się przy niej jak przy członku rodziny, ale nigdy ani słowem nie zdradziła się, że wie.

- Tak. - Mama się uśmiechnęła.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy. Ja patrzyłam przed siebie, mama zajęta była odpowiadaniem na jakieś maile z pracy na laptopie. Nic nie mąciło spokoju. Postanowiłam w końcu powiedzieć na głos to, co mnie gnębiło.

- Boję się, że nie podołam temu wszystkiemu. To mnie przytłacza. - Czułam, że głos mi drży. - Mamo, ja wcale tego nie chcę...

Mama spojrzała na mnie z uwagą i powiedziała pewnym siebie głosem:

- Nie mów tak. Nie przypadkiem to właśnie ty jesteś Władcą Diveny. Dasz sobie radę. Wiem to, bo przecież cię wychowałam. Czuję twoją siłę. Kiedy już pokonasz Zło, czeka nas wspaniała przyszłość w Świecie Diveny. Tak zawsze powtarzał Vertus. Znajdą się tam wszyscy z rodu Divendi i ludzie wybrani, małżonkowie członków rodu i ci, którzy im pomagali w jakikolwiek sposób. A ty będziesz naszym władcą. Tak wiele razy mówił to Vertus. Wierzę w ciebie, nawet jeśli dziwnie mi trochę z tym, że Dziedzicem jest moja córka, a może właśnie tym bardziej w ciebie wierzę, bo cię znam.

Zamyśliłam się. Mama mówiła z ogromnym przekonaniem. Coś w tych słowach było takiego, co poruszyło jakąś strunę w moim wnętrzu. Może nie powinnam się tyle martwić, tylko zadbać o to, by zrobić wszystko, co mogę. Wątpliwości zawsze będą częścią moich zmagania, ale skupianie się na nich na pewno nie będzie pomocne. W końcu się odezwałam:

- Chyba w głębi serca wiem, że choćbym miała walczyć ze wszystkich sił i oddać wszystko, co mam, aby nie dać się omotać Złu, nie poddam się aż do końca.

Mama spojrzała na mnie z dumą.

- Wiem o tym. Jesteś w końcu Divendi.

Był wieczór. Siedziałyśmy w pokoju kominkowym. Wzięłam ze stolika Błękitny Kamień. Od wczoraj nosiłam go na szyi. Z jakiejś wycieczki przywiozłam kiedyś ametyst w metalowej oprawce w kształcie sieci. Udało mi się delikatnie, aby nie naruszyć całej konstrukcji, rozchylić druciki, a następnie wyciągnąć stamtąd ametyst i włożyć Kamień. Nie musiałam go nosić przy sobie, bo gdziekolwiek by był, zawsze przybyłby na moje wezwanie, jednak czułam się pewniejsza siebie, gdy miałam go na szyi.

Moi przyjaciele poszli już dawno spać, ja jednak nie miałam ochoty. Wciąż po głowie kołatały mi się wydarzenia poprzedniego dnia. Kamień, Divena, przepowiednia Vertusa, walka ze Złem... Brzmiało to wszystko zbyt fantastycznie, bym mogła uwierzyć. A jednak, mimo że chwilami zbierało mi się na nerwowy śmiech niedowierzania, byłam Dziedzicem i miałam na to dowody. Po rozmowie z mamą miałam też pewność, że jeśli będzie taka potrzeba, nie muszę zostawać z tym sama. Tylko jak w perspektywie życia jako Dziedzic Diveny mam odnaleźć czas na swoje własne życie, na miłość?

- Wszyscy w ciebie wierzymy - powiedziała mama, przerywając ciszę. - A ja wierzę, że nie zawiedziesz pokładanych w sobie nadziei.

- Nie zawiodę - powiedziałam. - Nie mogę zawieść! -
Uśmiechnęłam się, ale serce miałam ściśnięte strachem.

- Ej, to chyba już przesada, Joasiu!

- Jaka tam przesada?! - Przyjaciółka machnęła ręką.

- Dostałam już od was tyle prezentów, a wy chcecie mi dać jeszcze jeden - powiedziałam, starając się przekonać przyjaciółkę, że robienie wycieczki z okazji moich urodzin naprawdę nie było konieczne, choć to bardzo miły gest ze strony Joasi i Mateusza.

- Ale to jest konieczne. - Stanowcza mina przyjaciółki zasygnalizowała mi, że lepiej odpuścić. - Po pierwsze, pojutrze zabierają mnie rodzice, a więc to właściwie ostatnia szansa na jakiś wypad. I po drugie... - Popatrzyła na mnie z troską, a wyraz jej twarzy złagodniał. - Od kilku dni jesteś rozdrażniona i zdenerwowana. Martwimy się o ciebie! Brakuje ci dobrego humoru. Chcemy, żebyś się trochę rozerwała, a twoje urodziny to świetny ku temu pretekst.

- Mamy takie małe rodzinne zmartwienie, ale to nic takiego. Przepraszam, jeśli ostatnio byłam za bardzo przygnębiona - stwierdziłam, nie chcąc zagłębiać się w szczegóły.

- Czy to coś poważnego? - zaniepokoiła się Joasia.

- Sprawa życia i śmierci. - Mrugnęłam okiem w jej stronę, po czym dodałam, już na poważnie: - Nie jestem jeszcze przygotowana na to, aby o tym rozmawiać.

- W porządku, ale pamiętaj, że zawsze jestem obok. A teraz o naszej eskapadzie: jedziemy do Castello di Arechi. Wszystko jest już gotowe, transport załatwiony, twoja mama wie o wszystkim. Wyjazd jutro rano.

- Jak wcześniej? - zapytałam.

- Bardzo wcześniej - stwierdziła Joasia grobowym tonem. - Około piątej. - Wybuchliśmy śmiechem. - Nie martw się! Zdążysz się wyspać! - dodała.

Byłam szczęśliwa. Tacy przyjaciele to skarb. Oczywiście czułam się w obowiązku, żeby im tę niespodziankę zrekompensować, więc już godzinę później siedzieliśmy przy stoliku w kawiarence, zajadając się przepyszными pistacjowo-waniliowymi lodami z ogromną ilością owoców i bitej śmietany, śmiejąc się i rozmawiając. Potrzebowałam takiej beztroski. Joasia właśnie opowiadała nam o swojej wycieczce do Londynu, gdy nagle jakiś chłopak, może dwudziestoletni, idąc między stolikami, potknął się i upadając, zahaczył o sąsiedni stół, który runął na podłogę z hukiem. Całe szczęście, że nikt przy nim nie siedział. Zerwaliśmy się szybko, aby mu pomóc. Mateusz podniósł stół, a my pomogłyśmy wstać poobijanemu biedakowi.

Chłopak pozbierał się i zaczął nas energicznie przeproszać. Poprosiliśmy go, aby usiadł przy naszym stoliku i ochłonął. Zgodził się i dodał:

- Ale tylko na chwilę. Nazywam się Angelo. Jestem tutejszy, a wy?

- Mieszkamy w Polsce - powiedziałam, siadając na swoim krześle. - To jest Joasia, a to Mateusz. Ja jestem Justyna - przedstawiłam nas wszystkich.

- Ale ty mówisz, jakbyś od dziecka miała kontakt z językiem, dałbym głowę! - powiedział z przekonaniem Angelo, przyglądając mi się uważnie, jednocześnie rozmasowując sobie kolano, na które upadł.

- I nie pomyliłbyś się - powiedział Mateusz. - Jej rodzina stąd pochodzi.

- A nie mówiłem? - Mrugnął do mnie i potrząsnął kasztanową czupryną sterczących w nieładzie kręconych włosów. Zauważyłam, że ma piękne, ogromne orzechowe oczy. - Jesteście tu na wakacjach? Gdzie mieszkacie?

- U mojego wuja - odparłam - ale nie wiem, co to za dzielnica.

- A jak się nazywa twój wuj? Może go znam.

- Nazywa się Dominik Carmento.

- Carmento?! - Chłopak mało co się nie zachłysnął z zaskoczenia. - To przecież jeden z najbogatszych ludzi tutaj!

Spróbowałam się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiłam się, skrępowana jego entuzjazmem. Nie po raz pierwszy spotkałam się z taką reakcją na moje nazwisko. I nie po raz pierwszy uświadamiałam sobie, jak wielką wagę dla innych mają pieniądze. Przy nich blednie dobroć i piękno drugiego człowieka. To było przykre, bo nie wolno ludzi oceniać po stanie konta.

Angelo mimo wszystko okazał się sympatycznym rozmówcą, zaproponował nam nawet, że któregoś dnia może oprowadzić nas po Neapolu, pokazać miejsca, których turyści raczej nie zobaczą z przewodnikiem. Ucieszyła nas bardzo ta propozycja, więc wymieniliśmy się numerami telefonów. Niedługo potem chłopak zniknął, spiesząc się do swoich zajęć, a my gorące popołudnie zakończyliśmy spacerem po plaży.

- Jest dość duży, stary. Właściwie bardziej przypomina warownię. I można stamtąd zobaczyć piękną panoramę Salerno.

- Tylko tyle? - zapytałam z rozczarowaniem.

- A co byś chciała jeszcze usłyszeć? - odparł mi pytaniem na pytanie Mateusz, śmiejąc się przy tym.

- Cokolwiek - mruknęłam, udając rozczarowanie. - Jesteś mało romantyczny. A czy widać stamtąd morze?

- Oczywiście. - Mateusz zmrużył oczy, spojrzął w niebo i uniósł w górę rękę teatralnym gestem. - Wznosi się majestatycznie, górując nad falami. U jego stóp leży miasto Salerno.

- No, to już coś! - Zaśmiałam się, widząc jego wygłupy.

Spacerowaliśmy po ogrodzie. Był późny, duszny wieczór, ale nie mogliśmy już wytrzymać w domu. Klimatyzacja klimatyzacją, ale najbardziej ze wszystkiego lubiłam pooddychać świeżym powietrzem. Po powrocie z lodów Joasia od razu pobiegła do swojego pokoju, żeby się spakować. Następnego dnia, po naszym powrocie

z wycieczki do Castello di Arechi, mieli się tu zjawić jej rodzice, a że wycieczka trwać miała do późnego wieczora, dziewczyna już teraz potrzebowała czasu na opanowanie swojego bałaganu, a przynajmniej tak twierdziła, kiedy wypychała mnie na spacer z Mateuszem.

Chłopak opowiadał mi, jak wygląda zamek, do którego mieliśmy się wybrać nazajutrz. To on wpadł na pomysł zwiedzenia właśnie jakiejś twierdzy. Widział sporo zdjęć tego miejsca, więc teraz go o nie wypytywałam. Mateusz chciał koniecznie gdzieś usiąść, więc gdy tylko zobaczył altanę, w której składałam Przysięgę, zaproponował, żebyśmy się na chwilę zatrzymali. Miałam pewne opory, ale w końcu się zgodziłam.

Weszliśmy i usiedliśmy. Przez chwilę siedzieliśmy w zupełnej ciszy, dobiegał nas tylko szmer strumienia. W pewnym momencie Mateusz rzucił:

- Zamartwiasz się ostatnio.
- Nie, skądże - skłamałam niemal od razu.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, jakby jego oczekiwanie miało mnie przekonać do otwarcia się. Nie byliśmy ze sobą na tyle blisko, bym nawet zaczęła się zastanawiać nad tym, żeby powiedzieć mu o Divenie. Nawet jeśli zdecydowałabym się, to nie był to najlepszy moment. Nie teraz, kiedy sama jeszcze nie przemyślałam dobrze tego wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło.

- Nie chcesz mówić, to nie będę nalegał - powiedział w końcu. - Nie mam do tego prawa, ale jak nabierzesz ochoty na rozmowę, daj znać.

Mateusz oferujący rozmowę, to ci dopiero! Uśmiechnęłam się półgębkiem i od razu przyszyły mi na myśl słowa Joasi. Może faktycznie nie powinnam zamykać się i ciągle go tak odtrącać?

- Dziękuję - powiedziałam po chwili, przełamując skrępowanie. - To dla mnie bardzo cenne, że chcesz mi pomóc, ale jeszcze nie chcę o tym rozmawiać.

Kiwnął tylko głową. Poczułam, jakby między nami zawiązało się jakieś niepisane porozumienie. Okazał mi wsparcie mimo tego, że nie wiedział dokładnie, o co właściwie chodzi. Podwinęłam nogi i oparłam głowę na kolanach.

Faktycznie mój stan, tak jak zauważyli to przyjaciele, był kiepski. Gnębiło mnie poczucie odpowiedzialności. Jestem Dziedzicem Diveny... To brzmi jak jakiś żart... Naprawdę nadaję się do tego? A jeśli przegram walkę ze Złem? Czy wtedy wszyscy ludzie zostaną nim przesyceni do tego stopnia, że się pozabijają? A może świat przestanie istnieć? A jeśli, żeby wygrać, będę zmuszona poświęcić czyjeś niewinne życie? O swoje się nie martwiłam, byłam Dziedzicem Diveny. Miałam przekonanie, że moim przeznaczeniem jest wygrać lub zginąć. Ale jeśli jakaś bliska mi osoba będzie musiała umrzeć, żeby mi się udało? Oczami pokrętej wyobraźni ujrzałam moją mamę, jak pożera ją jakieś paskudne stworzenie. Później nasunęła mi się wizja taty, który próbuje mnie osłonić przed atakiem Twarzy i ginie. Zobaczyłam Joasę, której nie zdążyłam uratować przed rzuconiem w ogień, później Mateusza,

który nie chciał mnie zostawić na polu walki sam na sam ze Złem, a chwilę potem ujrzałam, jak silne uderzenie Zła strąca go w przepaść... Miałam łzy na policzkach i poczułam, że Mateusz mnie obejmuje i delikatnie przyciąga do siebie. Położyłam głowę na jego ramieniu. Na razie nic mu się nie stało, ale mogłoby się stać, jeśli nie dam rady go obronić, jeśli nie będę miała dość siły i wytrwania, aby wygrać Wojnę...

- Czy życzą sobie państwo przewodnika?

Byliśmy w muzeum w starym zamku Arechi. Nasze plecaki były prawie puste, ponieważ mieliśmy zamiar zjeść obiad w mieszczącej się w zamku restauracji. Znajdowało się w nich kilka kanapek i trochę słodczy. Tylko w moim poukrywałam trochę drobiazgów, które mogłyby się przydać w czasie Próby. Lepiej być przygotowanym, skoro nie wiadomo, kiedy i gdzie nastąpi wezwanie.

- Nie, dziękujemy - powiedział Mateusz. - Wolelibyśmy, jeśli oczywiście można, dołączyć do tamtej grupy. - Ruchem głowy wskazał na kilkunastu turystów z przewodnikiem.

- Ależ oczywiście, możecie dołączyć - odpowiedziała korpulentna ciemnowłosa kobieta obsługująca wchodzących.

- Dziękujemy - odrzekliśmy chórem.

Już po chwili przysłuchiwalismy się słowom przewodnika:

- Budowę zamku rozpoczęto w szóstym wieku jeszcze za panowania Bizancjum. Świadczy o tym

charakterystyczna dla tego okresu konstrukcja najstarszej części murów obronnych stworzonych z bloków piaskowca. Na przestrzeni wieków zamek wielokrotnie zmieniał właściciela. Prace archeologiczne pozwoliły zidentyfikować między innymi ślady bytności Normanów. Na północ od zamku wybudowana została wieża strażnicza, z której można było prowadzić obserwacje Zatoki Salerno. Teraz jesteśmy w sali... - Tu słowa przewodnika ucichły, albo raczej ja przestałam ich słuchać.

Stałam u wylotu długiego, ciemnego korytarza, którego końca nie widziałam. Wstępu do niego broniła ozdobna taśma rozciągnięta między dwoma słupkami. Wiedziałam, że muszę ominąć tę przeszkodę i pójść w głąb korytarza. Coś mnie tam ciągnęło. Nie słyszałam niczego, ale czułam, że coś mnie tam prowadzi. Przeszłam pod taśmą i zaczęłam iść. Nie wiedziałam, dokąd idę, prowadziło mnie wezwanie. Po kilku chwilach usłyszałam za sobą wołanie i pospieszne kroki. Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam swoich przyjaciół.

- Co ci jest? - zapytał Mateusz. - Jesteś blada jak ściana. - Złapał mnie pod ramię.

Faktycznie było mi trochę słabo. Prowadzona przez przyjaciół dotarłam do muzealnego korytarza wyściełanego dywanem i usiadłam, oparłszy się o ścianę.

- Dlaczego tam poszłaś?

- Stałam przy jednej z gablot, w której coś mnie zaintrygowało. Po chwili zorientowałam się, że was nie ma. Szukałam was, aż w końcu trafiłam tutaj - paplałam

wymyśloną na poczekaniu, niezbyt wiarygodną historyjkę, po czym dodałam: - Czy nie moglibyśmy wrócić do wejścia i pójść do tej restauracji po jakąś zimną wodę? Źle się czuję.

- Idziemy - powiedziała Joasia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mijając wejście, Mateusz zatrzymał się przy kobiecie, która sprawdzała nasze bilety. Poszliśmy dalej, w kierunku restauracji, ale słyszałam, jak Mateusz tłumaczy, że źle się poczułam i czy będziemy mogli za jakiś czas wejść z kolejną grupą. Chyba nie robiła problemów, bo już po kilku chwilach chłopak wrócił do nas. Kelner przyniósł do stolika trzy duże szklanki wody z lodem i cytryną. Wypiłam swoją niemal jednym haustem, po czym wzięłam kilka głębokich oddechów i przeprosiłam przyjaciół, udając się do łazienki. Stamtąd od razu zadzwoniłam do mamy i opowiedziałam jej o sytuacji.

- Zignorowałaś wezwanie na Próbę Diveny?

- Dostałam wezwanie, ale nie poszłam za nim... - jęknęłam, potwierdzając jej obawy.

- Jak to? - Mama wyraźnie się zaniepokoiła.

- Zatrzymali mnie Joasia i Mateusz. Nie mogłam im przecież powiedzieć! Musiałam przestać słuchać wezwania i odejść.

- Musisz tam wrócić. Jak najszybciej - zdecydowała mama. W jej głosie słychać było wielkie przejęcie. - Koniecznie musisz pójść za wezwaniem. Tylko uważaj... Kiedy w grę wchodzi Divena, to, co będziesz widziała, może

znacznie odbiegać od rzeczywistości. Możesz znaleźć się w miejscach, które tu, w naszym świecie, nie istnieją.

Wezwanie brzmiało w moich uszach. Otulało mnie i ciągnęło do siebie. Wiedziałam, dokąd iść, choć nic nie wskazywało mi drogi.

Wróciliśmy do muzeum niemal od razu po mojej rozmowie z mamą, mimo że Joasia i Mateusz nieco oponowali. Już od progu prowadziła mnie nieznana siła. Mogłam się jej oprzeć, ale nie chciałam. Za mną po zakazanych korytarzach szli moi przyjaciele, o nic nie pytając. Niepokoiłam się o nich, bo zachowywali się zupełnie bezwiednie, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje. Nie mogłam teraz zatrzymać się i sprawdzać, czy wszystko z nimi w porządku. Jeśli dobrze pójdzie, to w tej rzeczywistości nie będzie mnie tylko przez kilka sekund. Kiedy przyjdę, na pewno wszystko wróci do normy i na pewno zdążę w czasie Próby wymyślić jakieś wytłumaczenie.

Nie wiedziałam, czy byliśmy nadal w Castello di Arechi, czy może gdzieś w innym świecie... Szliśmy, a ja byłam coraz bardziej przekonana, że zmierzam w dobrym kierunku. Nagle u wylotu jednego ze słabo oświetlonych korytarzy wpadłam na kogoś i krzyknęłam. Usłyszałam za sobą zduszony okrzyk Joasi i zobaczyła znajomą twarz z wpatrującymi się we mnie orzechowymi oczami.

- Angelo! - zawołałam.

- To wy? - Chłopak zdębiał, rozpoznawszy nas.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał Mateusz.

- Zgubiłem się - odparł zapytany, nieco agresywnym tonem. - A wy?

- My też - odpowiedziałam szybko, spoglądając ukradkiem na moich towarzyszy.

- To może razem poszukamy wyjścia? - zapytała nieco otumaniona Joasia.

- Nie! - krzyknął Angelo, ale sam przerażony tym, co powiedział, pospiesznie dodał: - Zgubiłem coś i muszę to znaleźć.

- Pomożemy ci - zaofiarowała się Joasia. - Dobrze?

Zobaczyłam w oczach Angelo, że chce, ale nie może odmówić. Korzystając z chwili ciszy, powiedziałam:

- No to idziemy.

W tym samym momencie wyczułam, że Angelo atakuje mnie... Diveną! Odruchowo odepchnęłam atak, chyba zbyt mocno, bo chłopak uderzył w ścianę. Na szczęście Joasia i Mateusz nie zwrócili na to zbyt wielkiej uwagi. Chłopak szybko pozbierał się i powiedział do mnie znaczącym tonem:

- Chodźmy. Im szybciej tam dotrzemy, tym lepiej.

Domyśliłam się, że i on czuje wezwanie na Próbę, a to oznaczało, że należy do rodu Divendi i że najprawdopodobniej Próbę będziemy przechodzić razem. Dłuższą chwilę wędrowaliśmy po ciemnych korytarzach i salach, aż w końcu dotarliśmy do ślepego zaułka.

- Tu musi być jakieś przejście - powiedział Angelo. - Może ta ściana?

Zaczął ją popychać, a ta odrobinę się przesunęła. Mateusz pomógł mu, nadal nie pytając o nic. Po chwili tajemne przejście stało dla nas otworem. Weszliśmy do sali, która choć niewielka, oszałamiała bogactwem. Pod ścianami stały marmurowe posągi, wszędzie było pełno złota i purpury. Był to chyba swego rodzaju skarbiec. Na drugim końcu sali widniały małe, drewniane drzwiczki, zupełnie niepasujące do wystroju pomieszczenia. Jednak to właśnie zza nich dobiegało wezwanie. Poszliśmy w kierunku drzwiczek, nie poświęcając uwagi otaczającym nas skarbowi. Otworzyłam je szarpnięciem, spodziewając się, że stawiają opór. Zawiasy nie wydały najmniejszego pisku, drzwi otworzyły się tak gładko, że nieomal się przewróciłam.

Za drzwiczkami był mały pokój z jednym małym oknem bez szyby. Pomieszczenie miało brudną drewnianą podłogę, ciemnobrunatne ściany, całe było brudne i zakurzone. Na ścianie po lewej stronie wisiało wielkie lustro. Jego tafla lśniła. Miało pięknie rzeźbione złote ramy. U dołu ramy widniała czara z jakby bulgoczącą cieczą wewnątrz. Czara Zła - pomyślałam. W górnej części ramy wyrzeźbiona była błyskawica trafiająca w kamień. Zrozumiałam symbolikę. Poczułam, że Błękitny Kamień drży. Zacisnęłam na nim dłoń. Najdziwniejsze było to, że lustro nie było wcale brudne. Na pięknej ramie nie było nawet najmniejszej warstwy kurzu.

Zauważyłam, że lustrzana tafla lekko faluje. Joasia dotknęła jej, nim zdołałam ją powstrzymać. Na szczęście nic się nie stało. Angelo podszedł do lustra, stanowczym

ruchem odsunął od niego otumanioną dziewczynę i delikatnie, niemal czule dotknął tafli dłonią. Na powierzchni lustra zaczął tworzyć się wir, najpierw maleńki, potem coraz większy, a gdy zajął już całą tafle lustra, zaczął rozprzestrzeniać się poza nie. Poczułam, jakby coś mnie ciągnęło w kierunku wiru, chcąc wessać mnie do środka. Wiedziałam, że choćbym chciała, nie oprę się jego sile. Pozwoliłam więc, by mnie wciągnął. Rzuciłam ostatnie spojrzenie za siebie, chcąc upewnić się jeszcze, czy z moimi przyjaciółmi wszystko jest w porządku. Moje serce zamarło. Joasia i Mateusz byli tuż przy mnie, wciągani w wir lustra. Teraz było już za późno na zrobienie czegokolwiek. Byliśmy wszyscy wewnątrz.

VI

- Nie, nie, nie, nie... To się nie może dziać... To mi się tylko wszystko wydaje... - jak mantrę powtarzała Joasia.

Martwiłam się o nią. Siedziała na suchej ziemi z kolanami pod brodą i przyciągnąwszy nogi ramionami do siebie, rozglądała się szeroko otwartymi oczami, przerażona rozwojem sytuacji. Bynajmniej nie sprawiała wrażenia otumanionej, no chyba że przerażeniem. Mateusz stał tylko, marszcząc brwi i zaciskając pięści. Nie umiałam niczego wyczytać z jego twarzy. Angelo za to nie ukrywał zafascynowania. Ja byłam zaskoczona, nie tak wyobrażałam sobie Próbę. Poza tym nie miało tu być ludzi zupełnie niezwiązanych z Diveną. Byłam teraz zmuszona wytłumaczyć im to, co się stało.

Tymczasem był wczesny ranek, a my znajdowaliśmy się na suchej, skalistej wyżynie, porośniętej miejscami kępami trawy. W oddali na południu widać było las, rozpościerający się u stóp długiego pasma wysokich gór. Na zachodzie mieniła się srebrem szeroka wstęga rzeki, której brzegi były gdzieś porośnięte nieco większą ilością zieleni niż reszta pobliskiego krajobrazu. Słońce dopiero co

wyłoniło się z za horyzontu. Mimo że ziemia wyglądała na taką, która dawno nie widziała deszczu, nic w powietrzu nie zapowiadało nadchodzącej spiekoty. Wręcz przeciwnie, wiał nieprzyjemny, przeszywający wiatr.

Wyżynę porastały zeschnięte karłowate drzewa i trawy, nie było osłony od słońca ani wiatru. Stwierdził się więc zgodnie, że jedynym dla nas w tej chwili wyjściem jest dotrzeć do lasu, który wydawał nam się być w zasięgu kilkugodzinnej wędrówki, i tam dopiero porozmawiać. Wspólnymi siłami udało nam się uspokoić Joasię, po czym niezwłocznie wyruszyliśmy. Droga była dość daleka, mimo że las widać było jak na dłoni. Z doświadczenia wiedziałam jednak, że nasz cel tylko wydaje się być bliżej, niż jest w rzeczywistości.

Późnym popołudniem na niebie zaczęły się zbierać ciężkie burzowe chmury. Zrobiło się jeszcze chłodniej, więc założyliśmy bluzy, które zapobiegliwie wzięliśmy ze sobą mimo ciepłego dnia, i zaczęliśmy szukać schronienia przed deszczem. Na szczęście, zanim jeszcze z nieba zaczęły spadać wielkie, chłodne krople wody, dotarliśmy do lasu. Udało nam się znaleźć kilka wielkich głazów, które tworzyły całkiem niezłe schronienie, i ukryliśmy się przed deszczem. Miejsca we wnętrzu było tylko na tyle, byśmy wszyscy usiedli, ale dla nas liczyło się przede wszystkim to, że było w miarę sucho. Przemoczenie ubrań wcale nie było nam na rękę, zupełnie nie wiedzieliśmy, czego się tu spodziewać, a więc naturalnym priorytetem stało się bezpieczeństwo i jako taki komfort.

Rozłożyliśmy się w miarę możliwości wygodnie na małym skrawku suchego miejsca, które udało nam się znaleźć. Zapanowała pełna napięcia cisza, przerywana tylko stukotem ciężkich kropli wody o liście drzew i ziemię. Spojrzałam porozumiewawczo na Angelo. Najbardziej teraz pragnęłam, by zdjął ze mnie ciężar tłumaczenia tego, co się stało. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie mogę mu na to pozwolić, nawet gdyby on chciał. Byłam Dziedzicem, nie mogłam tak po prostu uciec od odpowiedzialności, zwłaszcza w tych najmniejszych sprawach. Poza tym Joasia i Mateusz byli moimi przyjaciółmi. Spojrzałam więc na niego znacząco i westchnąwszy, powiedziałam:

- Ja to zrobię.

Skinął tylko głową i uśmiechnął się lekko, trochę z ulgi, a trochę, żeby dodać mi otuchy. Poczułam, jakbym zyskała nieprzewidzianego sprzymierzeńca.

- Jesteśmy wam winni wyjaśnienia - zaczęłam, zwracając się do moich przyjaciół.

- Wy? - powiedział Mateusz, patrząc na mnie zdziwionym wzrokiem.

Zignorowałam jednak jego pytanie i kontynuowałam:

- Jestem jednak zmuszona prosić was o cierpliwość. Najpierw Angelo i ja musimy wyjaśnić coś sobie.

- Dlaczego wy? - zapytała Joasia, drżąc na całym ciele. Wyglądała, jakby wpadała w panikę. - Co tu się, do cholery, dzieje? Co macie sobie wyjaśniać?

Zaniepokojona chwyciłam ją za dłoń i uścisnęłam. Dziewczyna nieco się uspokoiła, ale nadal wyglądała na

zdezorientowaną.

- Ponieważ to my jesteśmy powodem waszej obecności tutaj - powiedziałam powoli, przenosząc wzrok z Joasi na Mateusza i z powrotem. Trudno mi jednak było ocenić ich reakcję na moje słowa. Westchnęłam więc tylko i kontynuowałam. - Ale wcześniej żadne z nas nie wiedziało, że może nas łączyć coś takiego.

- Co masz na myśli? - zapytał od razu Mateusz, podejrzliwie się nam przyglądając.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Odpowiedział mu Angelo:

- Ma na myśli między innymi to, że jesteśmy rodziną.

Rozległ się huk, a potem szum, gdy, żeby udowodnić przyjaciółom, że Divena naprawdę istnieje, rozwalłam na proch gład wielkości ciężarówki. Zebrałam cały kurz wiszący w powietrzu i ukształtowałam go w unoszącą się nad ziemią kulę, po czym pozwoliłam jej opaść na dół, nie pozwalając pyłowi do nas dotrzeć.

- Ktoś was uczył, jak się nią posługiwać? - zapytała Joasia.

Była już spokojna, choć nadal lekko zdezorientowana. Przestała już jednak negować otaczającą ją rzeczywistość, co sprawiło, że czułam się nieco pewniej. Obojgu, jej i Mateuszowi, musiałam dać czas na oswojenie się z tym, czego tak niespodziewanie doświadczyli.

- Oczywiście - odparłam. - Każdy członek naszego rodu przechodzi treningi od momentu odkrycia swojej Diveny aż

do chwili, kiedy zostanie wezwany na Próbę.

- Mnie posługiwania się Diveną uczył mój ojciec - powiedział Angelo. - Podziwiam go za cierpliwość, bo byłem wyjątkowo opornym uczniem. - Uśmiechnął się pod nosem. - W przeciwieństwie do moich dwóch starszych braci. Ale to ja mam najwyższy poziom Diveny. - Wyszczrzył zęby, a ja poirytowałam się jego słowami.

Chwalił się czymś, co nawet nie było jego zasługą.

- Nigdy nie zauważyłem u ciebie niczego nadzwyczajnego - powiedział pod moim adresem Mateusz. - Dobrze się maskowałaś.

- Tego nie trzeba maskować. Zarówno Justyna, jak i ja jesteśmy normalnymi ludźmi - powiedział Angelo nieco ironicznym tonem, uśmiechając się przy tym, po czym dodał już poważniej: - Divena to jakby dodatek z racji przynależności do rodziny.

Kiwnęłam głową, przytakując mu. Nie rozmawialiśmy jeszcze o Divenie ani o Próbie, zdążyliśmy tylko ustalić, co powiedzieć, a co, przynajmniej na razie zachować w tajemnicy przed Joasią i Mateuszem. Mieliśmy na spokojnie porozmawiać dopiero wieczorem. Tymczasem planowaliśmy przez cały dzień iść przed siebie na południe, dopóki nie znajdziemy jakiegoś strumienia lub nie dotrzemy do rzeki. Poprzedniego wieczora, nie mając zbyt wielu zajęć, gdy padało, stwierdziliśmy, że i tak nie mamy pojęcia, co nas tu czeka, więc najlepszym wyjściem będzie znaleźć wodę, coś do zjedzenia, a potem rozejrzeć się po tej dzikiej

krainie. Tak właśnie naszym celem stały się pochylające się nad lasem góry.

Była noc. Ciemnozielone liście otaczających nas roślin oświetlał przebijający się gdzieś blask księżyca. Na nocleg ulokowaliśmy się między kilkoma drzewami. Mateusz i Joasia rozmawiali cicho, dyskutując o tym, czego się dziś dowiedzieli. Nie chciałam im przeszkadzać, podejrzewałam, że po tych rewelacjach moja obecność mogła być dla nich trochę krępująca. Zdecydowałam więc, że dam im czas na przyzwyczajenie się do myśli o mojej, bądź co bądź, odmienności.

Przewracałam w dłoniach Błękitny Kamień, dotykając go Diveną. Kiedy to robiłam, czułam coś na kształt jego świadomości. Intrygowało mnie to, powoli więc eksplorowałam tę więź, zagłębiając się w nią za każdym razem bardziej. To było tak, jakby w Kamieniu była ukryta wiedza na temat Diveny. Jeśli się nie myliłam, mogłam w ten sposób poznać wiele odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Tu, w Świecie Diveny, na Próbie, istota Kamienia była o wiele wyraźniejsza niż w naszej rzeczywistości, jakby pulsująca. Odczuwałam ją bezustannie gdzieś na granicy swojej świadomości. Uśmiechnęłam się, stwierdzając, że to całkiem przyjemne, a Divendi rozświetlił się na moment. Jeszcze chwilę wpatrywałam się w niego, jakby był żywą istotą, po czym schowałam go pod bluzę i rozejrzałam się wokół.

Spostrzegłam, że wśród nas nie ma Angelo. Nawet nie zauważyłam, kiedy się oddalił. Wstałam, rozejrzałam się i zobaczyłam go siedzącego nieopodal na jakimś głazie. Nie chcąc go przestraszyć, dotknęłam delikatnie jego ramienia Diveną. On odwrócił się i kiwnął ręką na znak, żebym podeszła. Dotarłszy do miejsca, gdzie siedział, usiadłam obok, a Angelo zwrócił się do mnie, mówiąc:

- Nie mogę przestać się nad tym wszystkim zastanawiać. Jak to się stało, że oni są tu z nami? I co mamy robić dalej?

Skinęłam głową, dając mu do zrozumienia, że i mnie to zastanawia. Tymczasem on kontynuował:

- To miejsce... nie wiem... nie powinno być takie.

- Też tak czuję - powiedziałam, dodając po chwili zastanowienia: - Uważasz, że powinniśmy powiedzieć im wszystko?

- Oczywiście, że tak, ale jeszcze nie teraz. Chyba jest na to za wcześnie. Niech się najpierw oswoją z tym, co usłyszeli dzisiaj.

- Masz rację - zgodziłam się. - Czy wiesz może, w jakim stopniu jesteśmy ze sobą spokrewnieni? - zmieniłam temat.

- Nie wiem. - Angelo zamilkł, zastanawiając się nad czymś, po czym dodał: - Marcos Divendi to mój prapradziadek. Słyszałaś może o nim?

- Jak mogłabym nie słyszeć o tak wielkim Wojowniku Diveny, który całe swoje życie poświęcił na skrupulatnym organizowaniu działania Rady? - odparłam patetycznie i mrugnęłam do niego. - Przeszłam przez te wszystkie

lekcje historii rodu... - Zamyśliłam się na chwilę. - Wydaje mi się, że to było wieki temu, kiedy się tego uczyłam... Był starszym bratem mojej praprababci.

Angelo kiwnął głową i zamilkł. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy, patrząc na gwiazdy i księżyc wychylające się spomiędzy drzew. Podziwiałam okolicę. Było tu całkiem ładnie, choć trochę obco. Czuło się jakieś nieznane siły - to zdecydowanie nie był nasz świat i nie byłam pewna, jak powinnam się w nim zachowywać - swobodnie wędrować, czy też z przesadną ostrożnością maskować swoją obecność. Ostatecznie jednak miała to być nasza Próba, ciężko więc oczekiwać, że będzie przyjemnie i komfortowo jak u siebie w domu.

- Jak sobie wyobrażasz Dziedzica? - zapytał ni stąd, ni zowąd chłopak, potrząsając kasztanową grzywą.

Wzruszyłam lekko ramionami, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaskoczyło mnie jego pytanie.

- Mam nadzieję, że będzie silny. Zadanie, które na niego czeka, to nie lada wyzwanie. Dobrze, że to nie na mnie padło.

- Czemu tak mówisz? - wyrwało mi się, zanim zdążyłam się zastanowić.

- Moja Divena jest bardzo duża - odparł jakby od niechcienia i wzruszył ramionami.

A na drugie mi skromność... - pomyślałam z ironią.

- Mój ojciec miał nadzieję, że to właśnie ja jestem Dziedzicem. Niestety nie przeszedłem próby, która miała to wykazać. Za to dowiedziałem się, że jego wewnętrzna siła

ma być od mojej o wiele większa. Niezły musi być w takim razie... - Uśmiechnął się do swoich myśli. - Ponoć Rada wzmogła poszukiwania Dziedzica, ponieważ są prawie pewni, że się pojawił. Czara Zła się przepełnia. Mam nadzieję, że będzie umiał nas wszystkich poprowadzić... Twoja wewnętrzna siła musi być spora, skoro masz być Wojownikiem, prawda? - spytał jakby niepewnie, ale spojrzał na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

Zdębiałam. Czyżby należał do tych z naszego rodu, którzy uważali, że wewnętrzna siła kobiet Divendi jest słaba? Nie było ich wielu, pewnie w każdej rodzinie zdarzają się tacy szowiniści, ale żebym właśnie ja na takiego trafiła, i to na Próbie? No, to się nazywa ironia losu...

- Mam wrażenie, że dziwi cię, co ja tu robię - powiedziałam gorzko, wyrażając na głos swoje wątpliwości.

- Nie o to chodzi - zaczął się tłumaczyć, jakby wystraszył się, że powiedział za dużo. - Po prostu mój ojciec mówił mi, że kiedy kobieta ma Divenę, to zwykle małą. Pomyśl sama, jak kobiety miałyby walczyć na Wojnie na równi z mężczyznami? Dlatego one przekazują tylko Divenę swoim synom, choć mój dziadek z kolei twierdził inaczej.

- Naprawdę? - zapytałam ze złością w głosie i wstawszy, odeszłam kawałek, żeby stłumić emocje, które chciały mną zawładnąć.

Wiedziałam doskonale, że nie mogę się tak zachowywać, bo złość nigdy nie była i nie będzie dobrym doradcą. Nie wiedzieć jednak czemu, chłopak zaczynał

wzbudzać we mnie irytację. A może po prostu wyciągał na wierzch wszystkie moje lęki? Skoro on nie widział we mnie tej siły, którą widziała we mnie mama, to może nie jestem wystarczająco silna, żeby stawić czoła Złu?

Wzięłam głęboki oddech. Takie myślenie na pewno mi nie pomoże. Muszę w siebie mocniej wierzyć, bo na pewno znajdą się tacy, którzy będą wobec mnie sceptyczni.

- A jakie jest twoje zdanie? Uważasz, że mam małą Divenę, więc nie powinnam pchać się tam, gdzie nie trzeba, tylko siedzieć w domu? - Usłyszałam swój własny głos, nadal przepełniony niechcianą, prześmiewczą irytacją.

- Nie, skądże.

Chłopak zaniepokoił się chyba, bo wstał i podszedł do mnie. Widząc, że jestem zdenerwowana, zaczął wyjaśniać mi, że to nie on tak myśli, ale jego ojciec.

- Angelo, nie powinieneś powielać zdania swojego ojca, ale z doświadczenia życiowego wyciągać własne wnioski - powiedziałam dobitnie.

- Wiem o tym. - Zmarszczył brwi. - Ale sama pomyśl, jakie to jest trudne, kiedy od małego do głowy wbijają ci takie właśnie podejście. Chcąc nie chcąc, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy tak nie jest. - Spojrzał na mnie kątem oka i dodał: - Poza tym ja jakoś ciebie nie widzę na polu bitwy.

- Trudno - odparłam, wzruszając ramionami, ale w moim wnętrzu wszystko się gotowało.

Odetchnęłam głęboko kilka razy i powiedziałam spokojnie:

- Divena to dar; jeżeli go dostałam w takiej, a nie innej ilości, to nie dlatego, że jestem kobietą, ale z innych, niestety nieznanymi mi powodów. Nie pchałam się przecież do tego... Mogłabym prowadzić zwykłe, spokojne życie, nie mając pojęcia o całym naszym rodzie, ale przyszłam na świat, mając w swoich żyłach krew Divendi. Divena jest moja, bo ją dostałam po to, aby walczyć ze Złem z Czary Zła, gdy się przepełni. - Przerwałam na chwilę.

Angelo stał tuż obok mnie, wargi miał zaciśnięte, brwi ściągnięte, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Westchnęłam raz jeszcze i kontynuowałam:

- Czara się przepełnia... Czujesz się za to odpowiedzialny. Od kilku dni, odkąd dowiedziałam się, kim jestem, zastanawiam się, gdzie jest ta obiecana mi pomoc. Gdzie jest moja Armia. Przecież ja temu nie podołam... - zaczęłam mówić bardziej do siebie niż do niego.

Wszystkie moje obawy wyszły na wierzch i jedyne, czego pragnęłam, to wrócić z przyjaciółmi do domu, zapomnieć o tym wszystkim i żyć jak inni.

- Sprawy Diveny zawsze były dla mnie czymś, co się po prostu przyjmowało. Nie dyskutowałam, kiedy wcisnęli mi tę walizkę, w pewien sposób nawet byłam dumna z tego zaszczytu... ale chyba jeszcze wtedy, chociaż to było zaledwie kilka dni temu, nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile może mnie to kosztować... Obawiam się, że sprawy stoją już na takim etapie, że nie zdążę sobie nawet ułożyć życia, normalnego życia. Dlaczego nie mogę żyć normalnie?

Dlaczego nie mogę się nawet zbuntować? – Zachciało mi się płakać z bezsilności.

Usiadłam ciężko na skałce i ukryłam twarz w dłoniach. Mimo ścisku w gardle moje oczy pozostały suche. Angelo milczał, nie poruszając się. Przez kilka chwil jedynym dźwiękiem, jaki było słychać, był wiatr poruszający liście drzew.

– Moja mama tak głęboko wpoila mi odpowiedzialność za podejmowane zadania, że mam wrażenie, jakby płynęła ona w moich żyłach. Właśnie dlatego, gdybym nawet mogła oddać komuś Divenę, nie zrobiłabym tego... – Westchnęłam ciężko i spojrzałam w piękny, rozgwieżdżony skrawek nieba widniejący między koronami drzew.

Chłopak usiadł koło mnie i zapytał głosem, który zdradzał, że usiłuje ukryć zaskoczenie:

– Justyna... nie wiem, czy dobrze zrozumiałem twoje słowa, ale czy ty...

Zanim skończył pytanie, wyjęłam Błękitny Kamień i pokazując mu go, zapytałam:

– Czy to tego nie potrafiłeś nazwać po imieniu?

Jeszcze bardziej zaskoczony spojrzał na mnie i skinął powoli głową.

– Wystarczy ci to za odpowiedź? – upewniłam się jeszcze.

Chłopak znów skinął głową i zapadła cisza. Przez chwilę jeszcze uspokajałam się, patrząc w gwiazdy, po czym podniosłam się i skierowałam ku swojemu posłaniu, mówiąc jeszcze na odchodnym:

- Może i nie jestem spełnieniem twoich nadziei, ale postaram się ciebie nie zawieść. Dobrej nocy.

Położyłam się i jeszcze przez kilka minut leżałam na plecach, wpatrując się w ledwo widoczne na tle nieba korony drzew. Mimo zdenerwowania zasnęłam szybko.

- Coś dzisiaj taka zamyślona? Stało się coś? - zapytała Joasia nazajutrz rano, kiedy zostałyśmy na chwilę same.

Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej, najwyraźniej udało jej się w końcu przyjąć do wiadomości to, że świat, który oglądała od trzech dni, nie jest bynajmniej tylko jej wyobrażeniem, a na zbyt długie zastanawianie się żadne z nas nie miało czasu. Po prowiancie, który wzięliśmy z domu, zniknęły już nawet ślady, zajmowaliśmy się więc głównie poszukiwaniem wody i jedzenia.

- Nic takiego - odparłam zgodnie z prawdą. Po wyrzuceniu z siebie nagromadzonych emocji byłam pogodzona ze sobą i z całą sytuacją. - Miałam małe spięcie z Angelo, zaczęliśmy rozmawiać i... - Zamilkłam, wzruszając lekko ramionami.

- I to przez niego jesteś taka nieobecna? Pewnie chodzi o sprawy związane z tą waszą... Diveną?

Uśmiechnęłam się do niej i skinęłam głową. Próbowала przyzwyczać się do tego, co się działo. Była nadal wytrącona z równowagi, zagubiona, a jednak martwiła się o mnie.

- Faktycznie chodzi o sprawy związane z Diveną - odparłam. - Powiedzmy, że nasze zdania na pewne tematy

są zupełnie odmienne. I wyszło tak, że powiedział coś, co mnie bardzo zirytowało, ale to nie do końca jego wina, tak został wychowany – wyznałam ogólnikowo i wróciłam do rozdzielania owoców, które zebraliśmy wczoraj, na południowy posiłek.

Słońce stało już wysoko i dlatego zatrzymaliśmy się wśród kilku drzew, dających słaby cień. Wczesnym rankiem postanowiliśmy wrócić na skraj lasu i wędrować wzdłuż niego, by nie narażać się na zabłądzenie w gąszczu. Po drodze mieliśmy nadzieję trafić na rzekę lub przynajmniej jakiś strumień, który by do niej płynął, i jego brzegiem dotrzeć przez puszcę do podnóży gór. Na brzegu lasu rosły niewielkie drzewka, powykręcane zapewne przez burze. Gatunku żadnego z nich nie rozpoznawaliśmy. Chłopcy poszli szukać pożywienia, bo znalezione wczoraj cierpkowinne owoce, przypominające trochę owoce pigwy, już się kończyły. Lepiej było jak najszybciej zatroszczyć się o jedzenie. Miałyśmy trochę czasu na rozmowę.

Nie wiedziałam, co mam zrobić – czy dźwigać ten ciężar dalej, czy powiedzieć całą prawdę przyjaciółom. Wtedy czułabym się może lepiej, ale nie miałam pewności, jak oni to przyjmą. Patrzyłam przed siebie na zieloną, tętniącą życiem ścianę lasu, błękitne niebo bez najmniejszej choćby chmurki i wiszące na nim pałace niemiłosiernie słońce.

– Waham się, czy powiedzieć ci, co mnie tak naprawdę martwi – wyznałam w końcu.

– Boisz się, jak przyjmę kolejne tajemnice – bardziej stwierdziła, niż zapytała Joasia, uśmiechając się niepewnie.

Zacisnęła wargi w cienką linię i zamyśliła się nad czymś przez chwilę. W końcu pokiwała głową i spojrzała na mnie twardo.

- Ostatnio moje życie wywróciło się do góry nogami. W zasadzie chyba mam prawo podejrzewać, że tak naprawdę bardzo mocno uderzyłam się w głowę. Wiem, że początkowo spanikowałam, ale już mi przeszło. Przyswojenie sobie tylu dziwnych informacji to nie jest prosta sprawa, ale jak na razie skończyłam z bieganiem w kółko i panikowaniem, że jakieś magiczne lustro przeniosło mnie w miejsce, którego najprawdopodobniej wcale nie ma na ziemi.

Roześmiałam się, słysząc jej słowa. To, że zaczynała żartować z sytuacji, było bardzo dobrym znakiem.

- Ale tak poważnie - dodała po chwili - jesteś moją przyjaciółką i bardzo cię kocham. Bądź spokojna, szok już mi minął, więc każde kolejne udziwnienie przyjmę i przemilczę jak grób! Bo rozumiem, że po zakończeniu tej całej Próby wrócimy do domu i wtedy to, co tu się zdarzyło, musi pozostać między nami.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością. Znałam ją bardzo dobrze, więc tym bardziej byłam wdzięczna za jej postawę. Joasia była osobą bardzo wrażliwą, ale i nerwową. Na własne oczy widziałam, jak wydarzenia i rewelacje ostatnich dni wytrąciły ją z równowagi, a mimo to dostrzegałam, jak starała się odsunąć to wszystko od siebie, by zatroszczyć się o mnie. Czułam, że jest mi to potrzebne jak powietrze. Nie wahając się dłużej, opowiedziałam więc

przyjaciółce o Divenie, o tym, co już przeszłam, kim jestem i co jest mi przeznaczone.

Kiedy skończyłam, spojrzałam na przyjaciółkę uważnie, może trochę z obawą. Na jej twarzy odkryłam jednak tylko zmartwienie i troskę.

- Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla ciebie trudne - powiedziała powoli. - Nawet jeśli masz tę Divenę od zawsze, jeśli całe życie uczyłaś się jej używać, uczyłaś się o swoim rodzie i o tym wszystkim, to taka wiadomość musiała być szokująca. Ale nie rozumiem, czemu nie wybrali kogoś innego. Nie możesz zrezygnować?

- To nie tak, Joasiu - powiedziałam. - To nie była kwestia niczyjego wyboru. W chwili, gdy przed wiekami piorun uderzył w kobietę rodzącą mojego Przodka, Divena została mi dana bez względu na to, kiedy bym się miała pojawić na świecie. Mogłam się przecież urodzić sto lat temu, mogłam za dwieście. Czara Zła przepęlnia się właśnie teraz, a niedługo nadejdzie czas, kiedy będę musiała zrobić to, co jest mi przeznaczone, i nikt nie może mnie zastąpić. Według przepowiedni Vertusa tylko ja jestem w stanie stanąć w obronie wszystkich... To jest służba. - Spojrzałam na nią uważnie, szukając oznak niedowierzania. Odnalazłam jednak tylko zaniepokojenie.

- Boję się o ciebie! A jeśli coś ci się stanie? Jeśli... zginiesz? - Była przejęta.

- Nawet jeśli coś mi się stanie, to zanim zginę, zrobię wszystko, by Zło zostało pokonane! Inaczej okazałoby się, że nie jestem godna Diveny - powiedziałam.

- Nie mów tak. Najwyraźniej tylko ty jesteś jej godna, skoro było ci to przeznaczone od samego początku. - Chwyciła moją dłoń i uścisnęła lekko. - Myślę, że to ziarno niepewności, które w tobie kiełkuje, zasiał Angelo w czasie waszej rozmowy. Nie pozwolę, aby taki chwast tkwił w twojej, i tak już nazbyt obciążonej, świadomości! I będę tak długo go wypleniać, aż wyrwę go razem z korzeniami z gleby twojego umysłu! - powiedziała dobitnie i nieco poetycko, jak to miała w zwyczaju w podniosłych momentach. - Musisz mi jeszcze obiecać, że nie będziesz o tym więcej myśleć. Nie o Divenie oczywiście, ale o wątpliwościach. - Spojrzała na mnie wyczekująco i tonem nieznoszącym sprzeciwu dodała: - Obiecujesz?

- To będzie bardzo trudne, ale obiecuję, że się postaram - powiedziałam.

Wiedziałam, że bardzo jest jej to potrzebne, zaopiekowanie się kimś dla odnalezienia własnej równowagi. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko zgodzić się i poddać jej opiece, jednocześnie pomagając jej wrócić do siebie.

- Uważaj, bo będę na bieżąco to kontrolowała. - Zaśmiała się i objęła mnie, a ja uścisnęłam ją, nie wiedząc, jak inaczej wyrazić swoją wdzięczność.

- Ja już nóg nie czuję. Trzy dni chodzenia bez przerwy, a jeszcze nie dotarliśmy do gór - jęknęła Joasia, zatrzymując się na chwilę. Nie była przyzwyczajona do tak długich dystansów.

- Jak myślicie, ile jeszcze nam zostało?

- Jakieś cztery kilometry, sądząc po tym, co widziałem z tego drzewa, na które udało mi się wleźć - odparł Angelo, uśmiechając się krzywo. Po chwili dodał, zwracając się do mnie: - Musimy porozmawiać, kuzynko. Proszę.

Joasia spojrzała na mnie znacząco i razem z Mateuszem przyspieszyli kroku. Gdy byli już na tyle daleko, że nie mogli nas usłyszeć, Angelo powiedział:

- Przepraszam.

- Słucham? - zapytałam zdziwiona i spojrzałam na niego. - Nie masz mnie za co przepraszać. Każdy ma prawo mieć własne poglądy.

- Nie jestem moim ojcem - powiedział powoli i twardo, chyba bardziej do siebie niż do mnie. - To wszystko wina wpajanych mi przez niego zasad, ale też i moja, bo zamiast jego, mogłem słuchać dziadka. On jest mądrym człowiekiem i odważnym Wojownikiem Diveny. Ale ja nie słuchałem ani jego, ani nawet siebie... Wszyscy posiadający Divenę mają wyczuwać swojego przywódcę sercem i ja wyczułem, ale dopiero, kiedy powiedziałaś, kim jesteś. To było... jakby łuski spadły mi z oczu i dostrzegłem coś tak oczywistego, że dziwiłem się, jak mogłem nie zauważyć tego wcześniej. Jestem ci winien szacunek ze względu na to, jaką odpowiedzialność nosisz. Powinienem cię wspierać i pomagać ci, a zamiast tego robię z siebie durnia. - Kopnął mocno leżący przed nim kamień i westchnął głęboko, jakby zrezygnowany i rozczarowany sobą. - Dlatego chciałem, korzystając z okazji, że mam zaszczyt przechodzić z tobą

Próbe, przyrzec ci moje oddanie. Chyba kiepsko w świetle tego, co powiedziałem ci ostatnio, wygląda to, jak bardzo godny jestem mojej wewnętrznej siły, ale skoro już ją mam, to obiecuję służyć nią tobie.

Uśmiechnęłam się, słysząc jego słowa. Brzmiał naprawdę szczerze. Może jednak pomyliłam się co do niego? A może po prostu wtedy te słowa, którymi tak pochopnie rzucał, to nie był on, tylko cień nauk jego ojca?

- To dla mnie wiele znaczy, Angelo - powiedziałam z wdzięcznością. - Ale czy to nie aby za dużo? Kiedy już wrócimy z Próby...

- Wybacz, ale przerwę ci. Wszystko dokładnie przemyślałem. Nie chcę, żeby to wyglądało jak jakieś zadośćuczynienie. Uwierz, że to jest to, czego bardzo pragnę! Służba, ochrona. I spokojnie wszystko da się zorganizować. To dla mnie bardzo ważne, zresztą myślę, że wszystkim Wojownikom będzie zależało na tym, by przy Dziedzicu zawsze był ktoś, kto w razie czego może mu pomóc.

Był bardzo przejęty tym, co mówił. Z każdym jego słowem znikwały moje wątpliwości co do tego, że dobrze to wszystko rozważył i mówił szczerze, z serca. Czułam to. Po chwili powiedziałam:

- Wierzę ci, Angelo. Wierzę i dziękuję za szczerść i ofiarność, ale naprawdę świetnie potrafię dać sobie radę sama. - Uśmiechnęłam się.

- Proszę, nie odrzucaj mojej służby. - Spojrzał na mnie.
- Nie mówię przecież o nieodstępowaniu cię ani na krok,

ale o byciu w pobliżu. To dla mnie bardzo ważne... Do tej pory nie miałem żadnego naprawdę ważnego celu, właśnie ze względu na to, iż wiedziałem, że Wojna nadchodzi i nie zdążę sobie poukładać życia... Zupełnie jak powiedziałaś wczoraj. Ale teraz mogę przynajmniej spróbować na nie wpłynąć!

- Angelo! I ty, i ja mamy szansę normalnie poukładać sobie życie, nie możesz w to wątpić. Żadne z nas nie może.
- Spojrzałam na niego z uwagą. Na jego twarzy widać było determinację. Westchnęłam, musiałam mu pozwolić się poświęcić. - Jeżeli jednak jest to dla ciebie tak ważne, to przyjmuję twoją służbę. I wiesz... jestem z ciebie dumna.

Angelo popatrzył na mnie zdziwiony, a ja uśmiechnęłam się do niego i kontynuowałam, teraz już pewna tego, co chciałam zrobić:

- Jestem naprawdę dumna, że mam u swego boku tak dzielnego, mądrego i dobrego Wojownika Diveny.

Angelo zmarszczył brwi i nic nie rozumiejąc, powiedział:

- Ależ ja jeszcze nie jestem Wojownikiem Diveny. Nie przeszedłem Próby i nie zostałem mianowany!

- Ja znam swoje kompetencje, pozwól więc mi to ocenić.

Już wcześniej dokonałam w sercu wyboru, pytając uprzednio Divendiego o to, czy jako Dziedzic mogę mianować Wojownika Diveny i czy dobrze zrobię, jeżeli desygnuję nim tego chłopaka, którego kompletnie nie znałam, ale który według mnie był tego godzien. Odpowiedź mojego Sługi była zaskakująca: „Jeśli ty go

mianujesz, będzie twoją prawą ręką”. Przez chwilę stałam jeszcze, delektując się tą sytuacją. Wiedziałam już, że to dla takich momentów Divena warta była wszelkiego poświęcenia – gdy młody mężczyzna dzięki pokorze i ofiarności zmieniał się w rycerza.

Uśmiechnęłam się do własnych myśli, po czym rzekłam do Angelo:

– Stań naprzeciw mnie i skup się, jakbyś chciał zebrać całą swoją wewnętrzną siłę. Patrz mi w oczy. – Ściągnęłam Divendiego z szyi i położyłam na lewej dłoni.

Ten po chwili uniósł się nad nią i zabłysnął Białym Ogniem. Drugą dłoń położyłam na piersi Angelo i powiedziałam:

– Naznaczam cię Znakiem Diveny na Wojownika. Twoim zadaniem jest pomagać w służbie Dziedzicowi, którego przyjscia doczekałeś, wspierać go zawsze oraz dzielnie stanąć u jego boku w walce ze Złem z Czary Zła – mówiłam słowa, które jakby płynęły od Kamienia przez moje myśli aż do warg.

Divena w postaci Białego Ognia spłynęła do serca Angelo przeze mnie, a na jego ramieniu ukazał się błyszczący Znak w kształcie koła, od którego biegnie osiem promieni – symbol Wojowników. Zabrałam rękę i z powrotem włożyłam łańcuszek z kamieniem na szyję. Nagle Angelo, który dotąd nie uczynił żadnego ruchu, niespodziewanie ukląkł na jedno kolano przede mną, ujął delikatnie moją dłoń i powiedział:

- Niezależnie od tego, co się stało i do czego zostałem zobowiązany, chcę ci obiecać, że zawsze będę przy tobie i będę cię wspierał bez względu na to, co to będzie dla mnie oznaczało, choćbym miał umrzeć. Proszę, uczyni mnie członkiem swojej Drużyny, która z tobą wyruszy naprzeciw Złu!

O czym on mówi? - zastanowiłam się i poczułam impuls od istoty Kamienia naładowany wiedzą. Dziedzic Diveny stworzy Drużynę Diveny, która u jego boku pójdzie na wojnę ze Złem z Czary Zła. Wystarczy jedno słowo i jeden gest, a także przysięga złożona dobrowolnie przez kandydata. Zrozumiałam i wyciągnęłam dłoń nad głową Angelo, mówiąc:

- Przyjmuję twą służbę. Należysz odtąd do Drużyny Diveny.

Dotknęłam go swoją wewnętrzną siłą, a na jego znaku Wojownika, ku mojemu i jego zdumieniu, pojawiła się strzała, która lśniła zupełnie jak Divendi. Znow z pomocą przyszedł mi Błękitny Kamień. To znak przynależności do Drużyny, który zajaśnieje Białym Ogniem, ilekroć służy Zła będą w pobliżu.

Zabrałam dłoń. Angelo wstał i spojrzał na mnie, a jego spojrzenie mówiło, że jest naprawdę szczęśliwy.

- Dziękuję, Dziedzicu - powiedział.

- Dziękuję, Wojowniku - odparłam i po prostu szczerze uścisnęłam go.

Dosyć miałam tych podniosłych gestów i słów. Byliśmy przecież normalnymi ludźmi, którzy potrzebowali

zachowywać się jak ludzie. To rozładowało napięcie i usunęło resztki granicy, która była między nami. Po chwili ruszyliśmy dalej, rozmawiając.

- Skąd, u licha, wiedziałeś o tej Drużynie? - zapytałam z zaciekawieniem.

Angelo uśmiechnął się.

- Mój ojciec jest członkiem Rady. Ma dostęp do pism samego Vertusa, a że od zawsze byłem ciekawski, jak tylko nadarzyła mi się okazja, dobieierałem się do tych starusieńkich ksiąg. Inicjację przeszedłem już prawie miesiąc temu, tak że zanim doczekałem się wezwania na Próbę, zdażyłem się sporo douczyć. Było tam multum ciekawych informacji, do których pewnie dawno nikt nie zaglądał, bo opowiadały o tym, co się będzie działo, kiedy się pojawisz. Dopiero teraz te pisma są na nowo czytane.

- No to miałeś szczęście - odparłam. - I ja też, bo trafiłam na ciebie.

- Przecież wiesz, że to nie przypadek - powiedział Angelo.

- Masz rację. Kiedy idzie o Divenę, nie ma przypadków - przyznałam, po czym dodałam ze śmiechem: - Wygląda na to, że mam wielce wyedukowanego bodyguarda.

Znów przedzieraliśmy się przez las, tym razem obrawszy trasę wprost do szczytów. Ścieżka biegła teraz pośród zielonej trawy i świeżych roślin. Zieleń była bujna i mieliśmy nadzieję, że znajdziemy wśród tego gąszczu jakieś owoce lub cokolwiek, co nadawałoby się do spożycia.

Prędzej czy później planowaliśmy też urozmaicić naszą dietę o mięso.

Nagle zakręciło mi się w głowie i upadłam. Angelo krzyknął na Joasię i Mateusza, którzy prędko zawrócili. Zdziwiłam się, skąd to nagłe zasłabnięcie. Nie straciłam przytomności, ale gdy wzrok przyćmiła mi smolista mgła, wiedziałam już, co się dzieje. Poczułam silny powiew lodowatego powietrza, jakby wiatr wiał mi prosto w twarz, choć nie słyszałam nawet szmeru podmuchu. I wtedy znów Ją zobaczyłam, wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Przed sobą miałam ohydną, zdeformowaną Twarz o zgniłofioletowej cerze, przeraźliwie bladą. Miała długi, szpiczasty, orli nos, szpiczaste uszy, czarne wargi i język... Ale najgorsze były oczy - krwistoczerwone, do głębi złe... Przebijał przez nie nieprzyjemny blask. Wydawały się widzieć wszystko, jednak czułam, że nie są w stanie mnie dojrzeć. Nagle usta poruszyły się i usłyszałam głos, od którego ciarki przeszły mi po plecach:

- *Zło... Tyle Zła... Tak! Popelniajcie złe czyny! Kradnijcie, cudzołóźcie, zabijajcie! A gdy Czara wreszcie się przepelni...* - Wstrętne usta rozwarły się, ukazując żółknięte, powykrzywiane, ociekające śliną zęby, a w moich uszach rozległ się śmiech, który swym przerażającym, rechoczącym dźwiękiem sprawiał, że się trzęsłam.

Nagle wstrętny rechot się urwał, a ja po chwili ciszy usłyszałam szept, od którego zafalowało otaczające mnie lodowate powietrze:

- Już niedługo... Już niedługo... Już niedługo...

VII

To popołudnie było wyjątkowo chłodne. Dopóki szliśmy, ruch nas rozgrzewał, ale kiedy usiedliśmy, żeby odpocząć, zaraz zrobiło się nam zimno. Rozpaliliśmy więc ognisko. Nie było wprawdzie niczego suchego, co by się nadawało do spalania, ale nazbierałyśmy z Joasią drewna, które osuszyłam Diveną z wilgoci.

Usiadłyśmy przy ogniu i ogrzewając zziębnięte dłonie, powoli jadłyśmy słodkawe owoce, podobne kształtem do gruszek, choć czerwone. W smaku przypominały mango, no i były bardzo pożywne. Nasza dieta była wprawdzie dość uboga, ale cieszyliśmy się, że mamy co jeść. Chwilę później przysiadł się do nas Mateusz. Słońce usiłowało przedrzeć się przez zasłonę chmur, z miernym niestety skutkiem. Zimny wiatr poruszał gwałtownie gałęziami drzew ponad naszymi głowami. Cieszyłam się, że jesteśmy w lesie, bo zimne podmuchy nie mogły szkodzić nam tak, jak na otwartej przestrzeni.

Spomiędzy drzew wyłonił się Angelo z podejrzanie ucieszoną miną.

- Zupełnie niedaleko stąd płynie strumień - powiedział, szczerząc się.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Woda! Może idąc wzdłuż niego, dotarlibyśmy bez błędzenia do szczytów, skąd rozejrzelibyśmy się trochę.

- To jest niezły pomysł - powiedziałam. - A na pewno o wiele lepszy niż kluczenie po tych lasach.

- Będziemy mieli świeżą wodę!

Joasia była podekscytowana, ale nie tylko jej brakowało bieżącej wody, nie mówiąc już o pitnej. Nasze zapasy zabrane z domu zniknęły krótko po prowiancie. Udało nam się wprawdzie uzupełnić je deszczówką, gromadzącą się tu i ówdzie, jednak i ona wyczerpywała się w zastraszającym tempie mimo naprawdę restrykcyjnego oszczędzania.

Po posiłku ruszyliśmy we wskazanym przez Angelo kierunku. Gdy dotarliśmy do celu, oczom moim ukazały się wysokie drzewa z jasnozielonymi liśćmi i grubymi pniami o sinym odcieniu, na których wisiało całe mnóstwo „czerwonych gruszek”.

- O, proszę, mamy dziś szczęście!

Roześmialiśmy się w głos, czując opadające z nas napięcie. Każdy z nas przejmował się naszym położeniem. Bez jedzenia jakiś czas da się przeżyć, ale bez wody nie ma szans. Rzuciliśmy się w kierunku szemrzącego potoku, ciesząc się jak dzieci.

Zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę przy strumieniu, aby się odświeżyć, a krystalicznie czysta góraska woda orzeźwiła nas i usunęła wszystkie oznaki zmęczenia, jakie

nagromadziły się w nas w ciągu ostatnich dni. Ucieszyłam się, myśląc, że prawdopodobnie sporą część drogi w góry będziemy pokonywać w sąsiedztwie dobroczynnego potoku.

Zieleń dookoła była bujna i świeża. Najbardziej dziwiło nas to, że żadne ze spotkanych zwierząt – ptaków, owadów – i roślin nie było nam znane. Wędrowaliśmy więc, podziwiając obce twory tutejszej flory i fauny, którą widać i słyszać było zewsząd, a także usiłując nie dać obsiąść się przez niezliczone ilości wrednych i nieustępliwych owadów, które pojawiały się, gdy tylko robiło się ciepło. Po pokonaniu jakichś pięciu kilometrów droga zaczęła biec bardziej stromo.

Szliśmy, gdy nagle coś poczułam. Jakaś siła ciągnęła mnie w stronę gąszczy, w kierunku zupełnie odwrotnym do tego, w który zmierzaliśmy. Owa siła przypominała mi trochę wezwanie na Próbę, ale czułam, że przywołuje mnie do czegoś innego.

- Stójcie – powiedziałam.

- Co się stało? – zapytał Mateusz.

- To coś dziwnego... Muszę tam iść – odparłam, wskazując stronę, skąd dochodziło wezwanie. Poczułam się niezręcznie, wiedząc, że znów muszę odprawiać ten cyrk na kółkach i iść, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzam.

- Ale dlaczego? – zapytała Joasia.

- Nie wiem – odparłam krótko. – To przypomina wezwanie na Próbę. – Ruszyłam, a pozostali szli za mną.

Usłyszałam z tyłu głos Mateusza:

- Nie rozumiem... Dokąd ona idzie?

- Zdaje się, że sama do końca tego nie wie - odpowiedział mu Angelo.

- Jakbyś zgadł, mój drogi - rzuciłam przez ramię. - Jakbyś zgadł...

Nie wiedziałam, którądy iść, dopóki tamtędy nie poszłam. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie i kiedy skręcić, dopóki nie skręcałam. Coś mnie ciągnęło prosto przed siebie, z nieznoszącym sprzeciwu uporem.

Wyszłam spomiędzy drzew na niewielką polanę, gdzie moim oczom ukazała się budowla przypominająca świątynię. I rzeczywiście to była świątynia. Stara, zbudowana z wielkich, ociosanych do odpowiednich kształtów głazów i kamieni, porośnięta mchem i jakimiś pnączami. Ściany zewnętrzne ozdobione były różnymi płaskorzeźbami, których znaczenia nie rozumiałam. Wejście z wkomponowanymi po bokach kolumnami zdawało się zapraszać mnie do środka.

Weszłam bez wahania do wnętrza świątyni oświetlanego jedynie przez światło wpadające przez dwa małe otworki. Usytuowane były po prawej i lewej stronie centralnego punktu świątyni, jakim był dziwny, wielki, kamienny posąg stwora trzymającego w łapach misę. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że ściany pokryte są pismem i obrazkami. Powoli i ostrożnie podeszłam do posągu i przyjrzałam się mu. Czyżby to miejsce mnie wzywało? Na to wyglądało, bo gdy tylko weszłam do środka, wezwanie ustało.

Przyjaciele weszli za mną i rozglądali się. Angelo podszedł do mnie i zapytał:

- Jesteśmy na miejscu?

- Chyba tak - odparłam i wskazując na posąg, dodałam:

- Co o tym sądzisz?

Chłopak przyjrzał się posągowi, marszcząc brwi.

- Sam nie wiem. Może to część naszej Próby. - Zamyślił się. - Dziwne... Przecież to musi coś oznaczać, ale nie widzę tu żadnego symbolu Diveny...

Rozglądaliśmy się jeszcze chwilę w milczeniu, po czym nagle Mateusz powiedział:

- Ciekawe, ta figura nie ma źrenic.

Rzeczywiście ich nie miała. Zobaczyłam, że zamiast źrenic, posąg miał szparki, które jakby prowadziły do jego wnętrza. Po chwili, kiedy podeszłam jeszcze bliżej, zauważyłam coś jeszcze dziwniejszego - wewnątrz misy zostało wyrzeźbione tak, aby wyglądało, że jest ona pełna jakiegoś płynu. Na jego powierzchni odcisnięta była dłoń z wyraźnymi liniami papilarnymi.

- Co myślicie o tym? - zapytałam moich towarzyszy.

Pozostali podeszli do misy, żeby przyjrzeć się zjawisku.

- Sprawdzę, czy moja dłoń tam pasuje. - Wyciągnęłam rękę w kierunku kamiennego naczynia.

- Nie! - krzyknął Angelo i odtrącił moje przedramię, nim zdążyłam sięgnąć misy. - Zrobię to pierwszy - dodał spokojniej, patrząc na mnie z naciskiem, po czym wyciągnął rękę i odważnie włożył ją do misy. Jednak jego dłoń zupełnie nie pasowała do tamtego odcisku, była zbyt duża.

- Nic... - Angelo skrzywił się i zabrał rękę.
- To znaczy, że teraz kolej na mnie - odparłam.

Podeszłam do stwora i zdecydowanym ruchem włożyłam dłoń we wgłębienie. Pasowała jak ulał! Zrobiło mi się nagle chłodno. Pewnie nawet linie papilarne się zgadzały... Tylko skąd tu się wziął odcisk mojej dłoni? Przecież nigdy tu nie byłam...

Nagle poczułam, że moja dłoń nie dotyka już zimnego kamienia, ale zanurza się w jakiejś cieczy. Świątynia zaczęła się trząść, a wszystkie napisy, obrazki, szparki w oczach stwora, a także ów płyn z misy zaczęły się jarzyć oślepiającym, błękitnym blaskiem. Chciałam zabrać rękę zanurzoną w płynie z naczynia, ale nie mogłam. Coś mnie trzymało! Nie wiedziałam, co mam zrobić. Rozpaczliwie potrzebowałam pomocy, bo ręka zaczęła robić się lodowata, gdy nagle poczułam impuls od mojego Sługi - Błękitnego Kamienia:

- *Uwolnij się, Dziedzicu, jeśli chcesz ocalić życie!*

Nie zastanawiałam się ani chwili. Diveną rozwalłam misę, która rozprysła się wraz z zawartością po całym pomieszczeniu. Nagle trzęsąca się świątynia zaczęła się walić. Kawałek sufitu odpadł i z hukiem runął w dół, prawie przygważdżając mnie do podłogi. Ruszyliśmy wszyscy biegiem do wyjścia i ledwo go dopadliśmy, gdy cały budynek runął. Rozpędzeni upadliśmy ciężko na ziemię. Grunt przestał się trząść tak nagle, jak zaczął.

Leżałam wraz z pozostałymi na ziemi i łapałam oddech. Z nerwów zrobiło mi się słabo i szumiało mi w głowie. Moja

dłoń nadal była chłodna i trochę zaczerwieniona, ale wyglądało na to, że nic się nie stało. Nikt z nas nie śmiał się odezwać. Dopiero po dłuższej chwili Mateusz obrócił głowę w moim kierunku i powiedział do mnie, uśmiechając się zawadiacko:

- No nieźle, rozwaliłaś świątynię.

- To nie ja! - odparłam i zaśmiałam się, czując, jak powoli opada ze mnie napięcie. - Sama się rozsypała. Nie widziałeś, jaka była stara?

- A te światła? - zapytał Angelo poważnie. - I czemu to coś nie chciało cię puścić?

- Nie mam pojęcia, co to wszystko miało znaczyć - odparłam szczerze, marszcząc brwi i wstając. Zaczęłam rozmasowywać sobie dłoń. - Teraz nie da mi to spokoju.

Nie oglądając się na przyjaciół, wzięłam do ręki plecak i zdecydowanym, szybkim krokiem podążyłam w kierunku strumienia. Niedługo później szłam wzdłuż niego, pod górę. Dopiero gdy przeszłam jakiś kilometr od świątyni, usłyszałam za sobą kroki. Po chwili Mateusz dołączył do mnie.

- Gdzie reszta? - zapytałam.

- Z tyłu - odparł.

Przez chwilę szliśmy powoli w milczeniu. Wyprzedzili nas Joasia i Angelo, wesoło rozprawiając. Cieszyłam się, że to dziwne wydarzenie nie odbiło się na ich samopoczuciu tak jak na moim. Nie rozumiałam, dlaczego w czasie Próby wydarzyło się coś, co ani nie sprawdzało żadnej z naszych umiejętności, ani nie miało związku z symboliką Diveny.

Para przed nami oddaliła się, a my nadal szliśmy w milczeniu. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo potrzebowałam czasu, żeby się uspokoić. To wszystko wybijało mnie z równowagi. Czułam, że potrzebuję takiego normalnego, najzwyczajniejszego wsparcia. Zwłaszcza wsparcia kogoś, na kim mi zależy...

No tak - ofuknęłam samą siebie w myślach - nawet tutaj, mimo że mam tyle na głowie, nadal nie potrafię wyrzucić uczuć z serca.

Spojrzałam kątem oka na Mateusza, karcąc się w duchu za brak pohamowania. Zastanawiało mnie jednak, dlaczego idzie przy mnie i dlaczego ma taki zadumany wyraz twarzy. Chłopak tymczasem przerwał ciszę.

- Raz już o to pytałem, ale zapytam jeszcze raz. Jesteś smutna i zdenerwowana od jakiegoś czasu. Rozumiem, że to przez te sprawy Diveny, ale masz ją przecież nie od dziś. Coś szczególnego się ostatnio wydarzyło? - Ku mojemu zaskoczeniu był naprawdę szczerze zmartwiony.

- Nie - powiedziałam i zmarszczyłam brwi.

Choć tak bardzo pragnęłam podzielić się z nim moimi myślami, nie widziałam powodu, by obarczać go wiedzą, która nie była dla niego niezbędna. No i nie chciałam, by mieszał mi w głowie, okazując troskę. Nie mogłam po raz kolejny narobić sobie nadziei, ale tak bardzo chciałam powiedzieć mu wszystko, co leżało mi na sercu. Czułam, jakby w moim wnętrzu kłóciły się dwie zupełnie różne osoby i, co najgorsze, jakby obie miały rację. Westchnęłam głęboko. To musi się skończyć.

- Wiesz, że ci nie wierzę - powiedział po chwili, a mnie coś ścisnęło żołądek.

- Wiem - odparłam. - Co mam ci wobec tego powiedzieć?

- Prawdę. Czy to jest jakaś tajemnica, której nie możesz zdradzić? - zapytał dla upewnienia.

- Nie o to chodzi - odparłam szybko.

- No to o co?

Spojrzałam w jego kierunku i powiedziałam cicho, trochę wbrew sobie:

- O strach...

- Ale przed czym? Czego ty się boisz? - zapytał, marszcząc brwi jak zawsze, gdy czegoś nie rozumiał.

- Nieważne... - odpowiedziałam, ponownie zamykając przed nim drzwi do mojego serca, które przez przypadek się uchyliły.

- Dla mnie ważne, do diabła! - niemal krzyknął Mateusz, a ja, przestraszona jego trochę zbyt gwałtowną jak na te okoliczności reakcją, zadrżałam.

Zatrzymałam się, zaplotłam ręce na piersi i odwróciłam głowę, bojąc się na niego spojrzeć. Poczułam, że Mateusz kładzie mi dłoń na ramieniu bardzo delikatnie, jakby bał się, że mnie uszkodzi.

- Przepraszam - powiedział. - Poniosło mnie. Martwię się o ciebie i niesamowicie mnie irytuje, że nie mogę nic zrobić, by ci pomóc.

- A myślisz, że ja się o was nie martwię? - zapytałam, strącając jego rękę. - Nie dość, że ściągnęłam tu ciebie

i Joasię, to jeszcze mam coraz mniej wiary w siebie i sama nie wiem, czy będę w stanie was obronić, gdy przyjdzie moment starcia... - Zamilkłam, plując sobie w brodę za mój za długi język.

- Starcia z czym? - zapytał zaniepokojony.

- Ze Złem... - odparłam cicho i ku mojemu przerażeniu poczułam, że jedno z moich „ja” zaczyna brać górę.

Ruszyliśmy dalej.

- Powiedz mi, o co chodzi, proszę - powiedział.

I wtedy się złamałam. Czując się, jakbym zdradzała jakąś część samej siebie, opowiedziałam mu o wszystkim: o Radzie Diveny, Przysiedze, o wszystkich przepowiedniach związanych z Dziedzicem Diveny, który ma walczyć ze Złem. I o tym, że to ja nim jestem. Bałam się tylko, żeby nie przyszło mi tego żałować. Chłopak słuchał ze skupieniem, nie przerywając mi ani na moment. Kiedy skończyłam, szedł jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym przerwał ciszę, mówiąc:

- Wiesz... żaden ze mnie Wojownik, ale będę ci pomagał tak, jak umiem. Jak ci będzie zimno, to ci dam swoje ubranie. Gdy będziesz głodna, to oddam ci swój posiłek. Jak się zmęczysz, to cię poniosę. - Uśmiechnął się szelmowsko tym swoim uśmiechem, który zawsze mnie rozbrajał.

- Dziękuję... - odpowiedziałam, zaskoczona tym nagłym wyznaniem. - Myślę, że nie będzie ze mną aż tak źle, żebyś musiał mnie nosić - powiedziałam, siląc się na żart, ale co innego w tej chwili chodziło mi po głowie. - Jeżeli jednak

robisz to, bo tak wypada w tej sytuacji, to może lepiej daj spokój... - powiedziałam, zanim pomyślałam.

- Justyna, przestań. Nie rób tego jeszcze raz! - Zdenerwowany spojrzał mi w oczy.

- Ale czego? - zapytałam, czując, jak wszystkie moje nerwy napinają się, a w brzuchu robi się skurcz. Popełniłam błąd. Znowu.

Chłopak westchnął głęboko, odwracając się i powiedział:

- Nie zamykaj się przede mną.

- Co? - Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

Odwrócił się energicznie w moim kierunku i powiedział:

- Justyna, ja wiem, co do mnie czujesz.

Poczułam, jak mój żołądek skręca się z nerwów, a na policzki wpływają mi rumieńce, ale bardziej niż zawstydzona, że odkrył moją tajemnicę, byłam zdenerwowana. - Wyciągnąłem to od mojej siostry tuż przed twoim przyjazdem.

To mnie dobiło. Moja przyjaciółka?! Taka zdrada?!

- Nie wiem, o czym mówisz, Mateusz - powiedziałam twardo, usiłując jakoś się wydostać z tej krępującej sytuacji.

- Widzisz! - Chłopak był bardzo poruszony. - Znowu robisz to samo. Kiedy tylko próbuję okazać ci trochę głębszego uczucia, ty się zamykasz w sobie i robisz się taka zimna... - wyrzucił z siebie, spoglądając na mnie ze zrezygnowaniem, ale i z irytacją. - Rozumiem, że to może być z twojej strony jakaś reakcja obronna, by nie dać się

zranić, ale to jest i tak już samo w sobie cholernie trudne. Nie utrudniaj jeszcze bardziej, dziewczyno.

- Nie rozumiem... - wydukałam tylko, bo na więcej nie pozwolił mi brak tchu. Trzęsłam się z nerwów.

- Czy ja naprawdę wyrażam się niejasno?! - Mateusz niemal krzyknął ze zdenerwowania, podszedł do mnie, objął mocno i zdecydowanie pocałował.

Z nerwów nie wiedziałam, co zrobić. Spięta zeszywniałam i poczułam jego lekkie wahanie. Co ja robię? Przecież czekałam na to tyle czasu... Powoli rozluźniłam się i poddałam się jego objęciom i pocałunkowi. Poczułam motylki trzepoczące w moim brzuchu, a gdzieś nad moją głową ktoś wystrzelił w powietrze milion fajerwerków.

Po kilku chwilach chłopak odsunął się ode mnie, oddychając szybko. Dotknął dłonią mojej twarzy i oparł swoje czoło o moje, zamykając oczy.

- Czy teraz dotarło do ciebie, że od roku nie potrafię myśleć o niczym i nikim innym, jak tylko o tobie? - Odsunął głowę. Niemal czułam na sobie jego wyczekujące spojrzenie.

Zmarszczyłam brwi, wpatrując się w moje drżące dłonie spoczywające na jego ramionach. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać to, co właśnie usłyszałam i czego doświadczyłam. Powoli podniosłam wzrok, spoglądając mu w oczy, po czym dotknęłam czule jego policzka i powiedziałam, uśmiechając się:

- Zabiję twoją siostrę...

- Myślę, że tutaj będzie dobrze. Nie musimy chyba obawiać się deszczu, a nawet gdyby padało, to przecież jesteśmy pod osłoną drzew. - Joasia szczebiotała i śmiała się.

Rozpierała mnie energia. Nie mogłam jeszcze uwierzyć w to, co się stało. Co chwila spoglądałam na Mateusza, który uśmiechał się teraz i patrzył mi w oczy inaczej niż przedtem... a może tak samo, tylko dopiero teraz to zauważałam?

Był wieczór. Zmierzchało, więc musieliśmy znaleźć sobie miejsce na nocleg. Mała polanka u stóp ogromnego i bardzo rozłożystego drzewa była bardzo obiecująca i całkiem przytulna jak na te spartańskie leśne warunki, więc rozłożyliśmy się tam, po czym chłopcy poszli po świeżą wodę.

Usiadłyśmy sobie wygodnie niedaleko dopiero co rozpalonego ogniska, a Joasia zaczęła streszczać mi swoją rozmowę z Angelo.

- Wyznał mi, że ten czas, od kiedy tu przybyliśmy, jest dla niego bardzo trudny. Wiele się tu już nauczył, dużo też z jego poglądów się zmieniło. Teraz ma do wykonania zadanie swojego życia: chronić cię.

- Wszyscy chcą mnie chronić - powiedziałam - a to ja powinnam chronić was. Tymczasem nie mogę sobie poradzić sama ze sobą i muszę liczyć na wsparcie ze strony przyjaciółki, kuzyna i... - Nie dokończyłam i spojrzałam na Joasię, a ta w lot pojęła, o co chodzi.

- Powiedział ci to? - zapytała z entuzjazmem. - Wreszcie się odważył?

- Dlaczego „wreszcie”? - zapytałam, czując, że się rumienię.

- Myślałam, że zrobi to wcześniej. Mówiłam ci już, odkąd przyjechał do twojego wuja, nieustannie wpatrywał się w ciebie, a ty nic. Nie mogłam uwierzyć, że tego nie widzisz! Przecież on ma wypisane na twarzy, że za tobą szaleje! I ty też! - Zaśmiała się. - No więc?!

- Powiedział - odparłam spokojnie z uśmiechem, choć chciało mi się krzyknąć ze szczęścia.

Joasia przytuliła mnie, szepcząc:

- On nawet chyba nie wie, jakim jest szczęściarzem!

Uśmiechnęłam się tylko w odpowiedzi i uścisnęłam ją mocniej.

Angelo i Mateusz wrócili z wodą. Zjedliśmy skromny posiłek i rozmawialiśmy, ogrzewając się przy ogniu, kiedy w końcu postanowiłam poruszyć temat, który chodził mi po głowie od kilku godzin.

- Zastanawiałam się już tysiąc razy, co zobaczymy ze szczytu gór - stwierdziłam, patrząc znacząco na Angelo. Ten jednak zajęty był akurat szukaniem czegoś w plecaku.

- Na pewno to, co już widzieliśmy, widzimy i będziemy widzieć, idąc na szczyt. - Wojownik zaśmiał się. - A co będzie z drugiej strony. - Wzruszył ramionami. - Chyba żadne z nas nie ma pojęcia. To nie nasz świat...

- Racja - przytaknęłam - dlatego może lepiej by było dla nas, żebyśmy chociaż spróbowali przewidzieć, co nas

tam czeka. Może się na przykład okazać, że ta wycieczka nie jest najlepszym pomysłem. – Spojrzałam jeszcze raz znacząco na mojego kuzyna, mając nadzieję, że wie, o co mi chodzi.

Tym razem pojął w lot i z niedowierzaniem zapytał:

– Sny?

– Tak – odparłam. – Czuję, że być może warto byłoby spróbować.

– Czemu nie... – powiedział z wahaniem. – W zasadzie nie wiem, czemu miałyby to służyć, ale skoro masz takie przeczucie, to chyba nie mamy nic do stracenia. – Tego ostatniego nie byłam taka pewna.

– Chodzi o te sny, których zupełnie nie rozumiałam? – zapytała Joasia.

Wszyscy się roześmialiśmy.

– Chodzi o to – zaczął wyjaśniać Angelo – że Justyna potrafi wywołać sny, w których widzi przyszłość. Nie wszystko jednak może zobaczyć. Zależy to przede wszystkim od tego, czego ten sen ma dotyczyć. Jeżeli będzie chciała sprawdzić, czy wygra walkę ze Złem, to nie zobaczy tego, bo to zależy tylko od niej. Nie zobaczy też, jak ktoś się zachowa w trudnej dla niej sytuacji, bo to z kolei zależy od czyjejś decyzji. Ale gdyby chciała zobaczyć coś, na co ona ani nikt inny nie ma żadnego wpływu, jak na przykład jaki widok zobaczymy po drugiej stronie szczytu, to może się to udać.

– Czasem Divena chce, żebym coś zobaczyła – wtrąciłam. – Wtedy sen przychodzi sam i ma z reguły na

celu ostrzec mnie przed tym, co się może stać, żebym zdążyła temu choć po części zapobiec.

- W takim razie może dobrze by było spróbować - powiedziała Joasia.

- Tak - przyznałam niepewnie i ścisnęłam mocniej dłoń Mateusza, dla dodania sobie otuchy.

Sny zawsze budziły we mnie wiele obaw i dlatego wolałam ich nie miewać.

Chłopak uśmiechnął się pokrzepiająco, a ja dodałam:

- Chyba to zrobię.

Źle czułam się z tym, że nie powiedziałam przyjaciołom o wszystkim, co jest związane ze snami. Że pokazują tylko pewne prawdopodobieństwo tego, co się zdarzy, i że lepiej nie mieszać w przyszłych wydarzeniach, bo to ryzykowne i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Kładłam się spać, nadal wążąc za i przeciw. To jednak była Próba i w jakiś sposób czułam, że trzeba zdobyć się na odwagę.

Kilka godzin później byłam już niemal przekonana, że moje próby wywołania snu spełzły na niczym. Ognisko już dogasało, a dookoła było ciemno, kiedy podniosłam się, usiadłam i stwierdziłam, że po prostu nie mogę wywołać tego snu. Nie wiedziałam dlaczego, ale wiedziałam, że nie potrafię. Coś mnie blokowało. Wcale nie chciało mi się spać, ale było coś jeszcze. Bałam się. Ogarnął mnie zupełnie irracjonalny strach, że nie wszyscy dotrzemy na szczyt. Nie chodziło, rzecz jasna, o mnie, ale o pozostałych, bo gdyby coś się stało, a ja wiedziałabym o tym wcześniej

i nie mogła temu zapobiec, czułabym się za to odpowiedzialna i nie umiałabym sobie tego wybaczyć.

Siedziałam na posłaniu z liści i mchu, przyglądając się księżycowi i gwiazdom, które nie różniły się niczym od tych z naszego świata. Mrugały jasno między liśćmi wysokiego drzewa. W końcu nie wytrzymałam i podniosłam się z ziemi. Wszyscy głęboko spali. Postanowiłam przespacerować się w nadziei, że ruch i chłodne powietrze sprawią, że zmęczone się i w końcu zasnę.

Dołożywszy uprzednio kilka drewnienek do ogniska, abym w razie czego mogła kierować się w stronę blasku ognia, żeby wrócić na polankę, ruszyłam w kierunku strumienia.

Szłam powoli, wdychałam świeże powietrze i rozmyślałam, jak skończy się Próba, ile jeszcze drogi zostało do pokonania, ile sytuacji do przejścia, ile czasu upłynie, zanim wrócimy do naszego świata.

Dotarłam wreszcie do strumyka. Zamoczyłam dłonie w lodowatej wodzie. Usiadłam na brzegu i spojrzałam w gwiazdy. Przez chwilę siedziałam tylko, słuchając szumu wody, po czym położyłam się na ziemi na plecach, włożyłam ręce pod głowę i zatonęłam w rozmyślaniach.

Marzyłam o powrocie do domu, do rodziców, rodzeństwa, wuja, zostawieniu tego wszystkiego i o świętym spokoju. Marzyłam o normalnym życiu bez tej ciężącej na mnie odpowiedzialności, o miłości i szczęściu. W którymś momencie musiałam myślami zapędzić się tak

daleko, że przestałam już słyszeć szmer lasu i strumienia, a także widzieć jasne światło księżyca i gwiazd.

Pot drobnymi strużkami ściekał mi po ciele, słańiałam się na nogach, jednak pięłam się dalej pod górę, nie zważając na piekący ból mięśni. Powietrze było rozrzedzone i ciężko mi było oddychać. Droga była trudna i uciążliwa; kamienie męczyły stopy, słońce mocno przygrzewało, a mimo że szliśmy długi czas, nie mieliśmy możliwości, żeby się napić. Nie mogłam się zatrzymać, by odpocząć, bo z tyłu co chwilę jakiś człowiek popychał mnie tępym zakończeniem swojej włóczni. Raz po raz dobiegał mnie brzęk mnóstwa koralików, które miał na szyi. Całe jego skąpe, prowizoryczne, skórzane ubranie było zroszone potem, ale nie okazywał zmęczenia, tylko z rzadka coś powiedziawszy do kilkunastu swoich towarzyszy, którzy nas prowadzili siłą nie wiadomo dokąd, nieustannie przyspieszał kroku, jakby chciał jeszcze bardziej nas wykończyć.

Nie mogłam zadziałać na nich Diveną, żeby się bronić, ponieważ byli to bezbronni ludzie wobec mnie i mojej siły, a dar nie został mi dany, aby bez przyczyny atakować tych, którzy nie mogli się obronić. Abym mogła to zrobić, musiałyby się okazać, że są po stronie Zła - sieją Zło i zbierają jego plony. Jeżeli by tak było, Diedzic by to wyczuł, a tego nie czułam, dlatego nie mogłam bronić siebie i przyjaciół.

Przede mną w rzędzie szli Joasia, Mateusz i Angelo. Otaczała nas banda dzikich ludzi. Byliśmy ich łupami, które prowadzili zapewne do swojej kryjówki. Nie wiedzieliśmy, co chcą z nami zrobić, ale nie traktowali nas zbyt przyjaźnie. Nagle Joasia potknęła się i upadła. Pomogłam jej szybko wstać, lecz gdy chciałam, żeby wsparła się na moim ramieniu, jeden z mężczyzn dał mi znak, żebym się od niej odsunęła. Joasia, idąc bez niczyjej pomocy, upadła po raz kolejny, kolejny i kolejny. Przy czwartym upadku nie mogła stanąć na skręconej nodze, która dosłownie puchła w oczach. Dzicy wymienili między sobą kilka słów, po czym jeden z nich zamachnął się i wbił mojej przyjaciółce w plecy włócznię. Trysnęła krew...

VIII

- Nie! - krzyknęłam, widząc, co zrobili mojej przyjaciółce. Moją duszę rozdarł nieogarniony ból, a w piersi zabrakło oddechu. - Nie! Zostawcie ją! - krzyczałam histerycznie, próbując wyrwać się z uścisku jednego z nich.

Dzicy patrzyli na mnie, jakby nic nie rozumiejąc. Joasia poruszyła się, jęcząc z bólu. Jeden z nich, widząc, że w dziewczynie tli się jeszcze iskierka życia, zamachnął się powtórnie, aby ją dobić. Odtrąciłam go Diveną, aż wzleciał w powietrze i wylądował parę metrów dalej. Rzuciłam się w stronę przyjaciółki, ale, o dziwo, to już nie była ona. Obok mnie nie było już Mateusza i Angelo wrywających się napastnikom, by nam pomóc. Na ścieżce obok miejsca, gdzie przedtem leżała Joasia, siedział stary mężczyzna ubrany w długi, po staroświecku skrojony płaszcz, przypominający nieco szatę średniowiecznego mnicha. Spod płaszcza wystawały nogawki przybrudzonych spodni, opadające na ciężkie, skórzane buty. Miał białą brodę i wąsy, białe włosy opadające nieco za ramiona, krzaczaste brwi, sporo zmarszczek i wielkie, ciemnoniebieskie oczy, głębokie i tajemnicze. W ręku trzymał sękatą laskę.

Stałam tak i patrzyłam na niego zdziwiona, aż w końcu on odezwał się do mnie przyciszonym głosem:

- Zachowaj to dla siebie. - W jego tonie usłyszałam jednocześnie rozkaz i prośbę. - Zachowaj to dla siebie, przynajmniej na razie, Aido Nicoletto.

Starzec wstał i wspomagając się swoją laską, zaczął powoli zmierzać w dół ścieżki.

- Kim jesteś? - zapytałam, oszołomiona.

Starzec szedł dalej i nie odwracając się, najpierw cicho i tajemniczo zaśmiał się, a potem rzucił mi krótką wymijającą odpowiedź:

- Dowiesz się wkrótce. Niech cię prowadzi twój żywioł!

Nie zrozumiałam, co miał na myśli. Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale starzec jakby rozpląnął się w powietrzu. Zniknął i nagle wokół mnie zapanowała ciemność.

Poczułam na twarzy ciepłe promienie słoneczne i usłyszałam szum wody. Byłam zlane zimnym potem. Otworzyłam oczy i podniosłam się z ziemi, nie bardzo wiedząc, jak się tam znalazłam. Nagle przypomniałam sobie, co robię nad strumieniem. Sen! - pomyślałam. Tak, to był sen... ale skąd ten człowiek się tam wziął?

Mając nadzieję, że moi towarzysze jeszcze się nie obudzili i że zdążę niepostrzeżenie wrócić do obozowiska, wstałam. Myjąc dłonie i twarz w strumieniu, usłyszałam niewyraźne, zbliżające się nawoływania. Szukali mnie przyjaciele, pewnie się martwili. Podniosłam się i szybko ruszyłam im naprzeciw, przyzywając ich i zastanawiając się

jednocześnie, czy wiedzieli, że nie nocowałam tam, gdzie powinnam. Już po kilku minutach siedziałam z nimi przy ognisku, jedząc śniadanie.

- Tak się przestraszyłam, gdy rano zbudziłam się, a Ciebie nie było na Twoim posłaniu. Najpierw miałam nadzieję, że za chwilę wrócisz, ale gdy tak czekałam i czekałam, a Ciebie nadal nie było, stwierdziłam, że coś musiało się stać i zbudziłam chłopaków, żeby pomogli mi Ciebie szukać - referowała Joasia.

W końcu jej opowieść dotarła do momentu, w którym usłyszała wołanie Angelo, że się znalazłam, po czym Wojownik zadał wreszcie pytanie, którego tak bardzo nie chciałam usłyszeć:

- Czy udało ci się wywołać sen?

Tylko przez chwilę zastanawiałam się, czy pójść za radą nieznanomego starca, po czym odparłam:

- Próbowałam, ale nie wyszło. W dodatku nie mogłam zasnąć. Dlatego właśnie przeszłam się nad strumień. Miałam nadzieję, że świeże powietrze i woda pomogą mi zwalczyć bezsenność.

Zobaczyłam zawiedzioną minę Wojownika, zmartwienie Joasi, troskę w oczach Mateusza i poczułam się okropnie, że ich okłamuję. Ale gdzieś w głębi serca wiedziałam, że postępuję słusznie, że moje kłamstwo nie zaszkodzi im, a może nawet wyjdzie na dobre. Może w ten sposób ratuję ich przed czymś, zapobiegam jakiemuś tragicznemu zdarzeniu. Bałam się tylko, że nie uda się odwrócić losu, jaki nas czeka, a jaki widziałam we śnie.

Minęły już dwa dni, odkąd przyśnił mi się starzec, a w moim sercu jak drzazga tkwił lęk przed tym, że to, co widziałam, stanie się prawdą. Zastanawiałam się, dlaczego nieznajomy nazwał mnie Aidą Nicolettą i co miało oznaczać stwierdzenie: „Niech cię prowadzi twój żywioł”. Nie doszłam jak na razie do żadnego wniosku, ale stwierdziłam, że warto to wszystko dobrze przemyśleć. Temat żywiołów tak bardzo nie dawał mi spokoju, wydał mi się wręcz niezwykle istotny w naszej dalszej drodze. Nie bardzo wiedziałam, jak ruszyć temat, żeby dowiedzieć się czegokolwiek, a żeby jednocześnie nie zabrzmiało to nieporadnie i nie zdradziło mnie. Nie mogłam przecież rzucić: „Hej, słuchajcie, może byśmy tak ruszyli za moim żywiołem? Tylko wiecie, nie bardzo mam pojęcie, o co w tym chodzi”. Temat jednak dosłownie maltretował moje myśli, nie chcąc się odzepić.

- Wiecie, co mi chodzi po głowie? - przerwałam w końcu ciszę, jaka zapadła po południowym posiłku, postanawiając w końcu ruszyć tę sprawę i modląc się jednocześnie, żeby nie brzmiało to niezdarnie i niedorzecznie.

- Co takiego? - zainteresowała się Joasia.

- Jesteśmy tu zdani całkowicie na siebie. Jedyne, co nas otacza, to przyroda. I żywioły.

- To prawda - odparł Wojownik.

- Ale jeśli będziemy odpowiednio z nich korzystać, można by powiedzieć, że mogą się nam przysłużyć -

dodałam po chwili, starając się rozważnie dobierać słowa, mimo że czułam, jakbym bredziła od rzeczy.

- Masz rację. Żywioły to potężne siły... - powiedział Angelo i zamilkł, nie dokończywszy zdania.

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie bardzo. A więc ktoś jednak wziął moje słowa na poważnie, a nie zaczął dopytywać, o co mi chodzi. Nie chciałam przerywać kuzynowi, bo czułam, że zaczyna się dobrze, dlatego umilkliśmy, czekając na to, co powie. Wreszcie odezwał się:

- Dużo czytałem o żywiołach. Jeśli macie ochotę, opowiem wam coś ciekawego.

- Jasne! - odparłam, może trochę za bardzo ochotczo, ale temat załapał się, więc czułam, jak kamień spada mi z serca.

- Żywioły są cztery: woda, ogień, ziemia i powietrze. Razem są one nie do pokonania dla istot żywych. Wiążą się ze znakami zodiaku: każda siła przyrody to trzy znaki, a każdy człowiek wraz ze znakiem zodiaku ma przypisaną daną siłę. Dawno temu istniało plemię w odległej dziczy puszczy amazońskiej oddające cześć żywiołom. Według nich woda, która gasiła ogień, bez której na ziemi nie byłoby życia i której wiatr nie daje rady, jest najsilniejszym żywiołem. Później jest ogień, potem ziemia i wiatr. To jednak nie oznaczało, że wiatr jest najsłabszy! Przecież to on niszczy ziemię tajfunami i huraganami, a wraz z wodą tworzy ogromne fale i wiry. Ziemia natomiast jest jakby podstawą, po której szaleją pozostałe. Bez niej nic by się nie ostało. O plemieniu owym krąży masa legend. Jest ona

jakoby w posiadaniu jakichś niewiadomego pochodzenia przedmiotów, mających władzę nad żywiołami. – Chłopak się uśmiechnął. – Ale to tylko legendy.

– No to jaki jest mój żywioł? – zapytała Joasia.

– A jaki masz znak zodiaku?

– Bliźnięta.

– To jest ziemia.

– Ja jestem spod znaku raka – powiedziałam.

– Woda – odparł Angelo. – Ja jestem strzelec, czyli powietrze. – Wyszczrzył zęby.

– Mój znak to byk – powiedział Mateusz.

– Twoja siła to ogień – powiedział Angelo, dodając ze zdziwieniem: – Są tu wszystkie cztery żywioły!

Uśmiechnęłam się pod nosem. Czyżby to był przypadek? Nie sądzę.

Była późna noc. Jasny księżyc rozlewał swój blask na zieloną polanę usianą skałami, które pojawiały się co jakiś czas na naszej drodze, a tutaj było ich szczególnie dużo. Wszyscy spali, ale mnie męczyła bezsenność, więc odeszłam nieco od obozowiska, żeby nikogo nie obudzić. Nie potrafiłam oderwać myśli od snu, bałam się o Joasię. Jednocześnie powoli opanowywała mnie frustracja z powodu bezsilności wobec całej sytuacji. Dlaczego dane mi było zobaczyć śmierć mojej przyjaciółki, gdy ona jeszcze żyła? Może dlatego, żebym mogła temu zapobiec? Ale skąd miałam wiedzieć, czy mi się uda i co stanie się, jeśli się powiedzie? Czy zamiast niej nie umrze ktoś inny?

Ostatnie dni były dla mnie emocjonalnie bardzo trudne. Próba, rozmowa z Angelo, powiedzenie prawdy przyjacielom. Później świątynia, w której otarliśmy się o śmierć. No i rozmowa z Mateuszem. A na koniec ten sen, który zachwiał ledwo co wypracowaną pewnością siebie, i ten tajemniczy starzec gadający o żywiołach.

Całe szczęście miałam przy sobie wspaniałych przyjaciół, których obecność i wsparcie podtrzymywały mnie na duchu. Świadomość bycia Divendi też pomagała, choć przede wszystkim zobowiązywała. Obok tego wszystkiego byłam też jednak kobietą, a kobieta to takie stworzenie, które czasem potrzebuje mieć swoją chwilę słabości, żeby dać upust strachom i obawom. Teraz taka chwila przyszła do mnie i po raz pierwszy, odkąd dowiedziałam się, że jestem Dziedzicem, łzy popłynęły z moich oczu. Były to łzy bezsilności.

Płakałam i przynosiło mi to ulgę i uspokojenie, którego tak bardzo potrzebowałam. W końcu usiadłam na ziemi, ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam rozmyślać. Prowadził nas mój żywioł – szliśmy cały czas brzegiem strumienia, ale dokąd zaprowadzi mnie ta droga? Do rozwiązania tajemnicy starca, końca Próby, do spełnienia się przeznaczenia Joasi, a może cudownej odmiany czekającego ją losu? Wokół mnie nastała długa cisza, przerywana tylko szumem wiatru i szmerem wody.

Nagle tę ciszę zakłóciły czyjeś zbliżające się kroki. Nie odwróciłam się jednak, rozpoznawszy, kto to jest.

Usiadł obok i widząc moje łzy, objął mnie. Nie spytał o nic i byłem mu za to wdzięczna. Swoją obecnością sprawił, że było mi łatwiej.

- Nie martw się, moja najmilsza. Razem damy sobie radę - szepnął.

Chciałam mu powiedzieć, że właśnie takiego wsparcia teraz potrzebuję, ale nie odezwałam się. Jedyne, na co potrafiłam się zdobyć, to milczenie, które mogło nie znaczyć nic, ale znaczyło wszystko.

Tętniąca życiem dolina, szaro-zielono-złota równina, w oddali srebrno-błękitna wstęga rzeki - to było wszystko, co już minęliśmy. Tymczasem mimo wznoszenia się naszej drogi coraz wyżej, do szczytu trochę nam jeszcze zostało. Teraz spotykaliśmy coraz mniej roślin, a dzika trasa była wyboista, trudna i męcząca. Od dwóch dni jakimś cudem znajdowaliśmy łatwiejsze dróżki, przesmyki i półki skalne. W końcu jednak nasza mozolna wspinaczka została przerwana; nie mogliśmy iść dalej, bo skalna półka przed nami, po której szliśmy przez ostatnie pół dnia, była oberwana. Wracać też nie mieliśmy po co, bo to była jedyna droga pod górę. O wspinaczce bez lin nie mogło być mowy.

- No i co my teraz zrobimy? - zapytała z lekkim przestraszaniem w głosie Joasia.

- Chyba jedyne, co nam pozostało, to usiąść i na spokojnie zastanowić się nad sytuacją - stwierdził Angelo. - No bo cóż innego możemy wymyślić? - Jego podenerwowanie niestety było zaraźliwe.

Zrezygnowani usiedliśmy tam, gdzie staliśmy. Zaległo milczenie, przerywane tylko od czasu do czasu głośnymi westchnieniami. W końcu cisza była tak nieznośna, że postanowiłam ją przerwać, mówiąc cokolwiek.

- Czy ma ktoś coś do picia? - zapytałam.

- Tak - odpowiedział Angelo. - Zostało mi jeszcze trochę wody ze strumienia w butelce, ale musimy oszczędzać, bo niedługo może się skończyć - dodał.

Wyjął z plecaka butelkę, każdy z nas się napił i reszta wody powędrowała z powrotem do plecaka. Woda się kończy i nie zapowiada się, byśmy w najbliższym czasie mieli uzupełnić jej zapas. Dziś przed świtem zostawiliśmy strumień za sobą z konieczności, ponieważ spływał on z góry, spomiędzy skał, tworząc wodospad, a jedyna w miarę dogodna dla marszu ścieżka skręcała w lewo.

Zmarszczyłam brwi. Odkąd minęliśmy strumień, nie znaleźliśmy żadnej innej dogodnej ścieżki oprócz tej, którą podążaliśmy i która doprowadziła nas tutaj - do ślepego zaułka. Dalej iść nie możemy.

Nagle mnie olśniło. Zerwałam się na równe nogi. Przyjaciele patrzyli na mnie zdziwionym wzrokiem, a ja zapytałam:

- Czy pamiętacie dokładnie drogę do wodospadu?

- Tak, ja pamiętam - odparł Mateusz. - Nie zgubiłbym się nawet w nocy. Ale na co może to się przydać?

- Myślę, że znalazłam drogę na szczyt - powiedziałam.

- Którędy? - zapytał zaskoczony Angelo.

- Dowiedcie się wkrótce - powiedziałam z drżącym sercem, trochę niepewna swego, ale zdeterminowana, by trzymać się rady starca. - Musicie mi tylko zaufać.

- No to co robimy? - zapytała Joasia.

- Wracamy do strumienia - odpowiedziałam.

Do wodospadu dotarliśmy dość późno. Okazało się bowiem, że aby dotrzeć na miejsce tego samego dnia, musieliśmy zarwać noc. Nieopodal rozpaliliśmy ogień i rozłożyliśmy prowizoryczne posłania. Po szybkim odświeżeniu się w strumieniu położyliśmy się wreszcie spać. Było późno, więc obiecaliśmy sobie, że rano nie zrywamy się przed świtem, tylko się wysypiamy.

Rankiem, kiedy wszyscy wstali, złożyliśmy nasze obozowisko i rozpoczęliśmy trudną wspinaczkę w górę, do miejsca, skąd - jak się zdawało z naszej perspektywy - wypływał strumień. Z dołu ta niemal stumetrowa ściana wyglądała na prawie niemożliwą do pokonania, ale jak się już po kilku chwilach okazało, była całkiem przystępna. W kilkadziesiąt minut pokonaliśmy ją i stanęliśmy na pewniejszym gruncie, na dość szerokiej półce skalnej. Ponad nami wznosił się stromo jeden ze szczytów. Spomiędzy skał wytryskiwał strumień, opadający kawałek dalej, rozlewając się u naszych stóp do wydrążonego przez wodę niewielkiego zagłębienia, który okalały zimne, szare głązy. Roślinności było niewiele - tylko ta wysokogórska, karłowata. Od czasu do czasu wzrok nasz cieszyła niepospolita odmiana flory górskiej pod postacią małych,

rosnących kępami, białych kwiatów, przypominających dzwoneczki, które rozsiewały dookoła siebie cudowny, słodki zapach.

Półka skalna, na której staliśmy, była rozleglejsza, niż myślałam - patrząc od strumienia w lewą stronę, rozszerzała się, po czym za załomem skalnym tworzyła mały taras.

Zaczęłam z uwagą przyglądać się ścianie skał. Nie było tu nic, żadnej drogi. Nie można było przecisnąć się przez szczelinę, z której wypływał strumień. Poczułam się strasznie zawiedziona. Całe staranie, aby jak najszybciej tu dotrzeć, cała nadzieja, poświęcenie mimo zmęczenia, wszystko to na nic... A może jednak da się coś z tym zrobić?

- No to jaki masz pomysł, Justyno? - zapytał Angelo.

- Sugerowałam się tym, że... - zawahałam się, nie chcąc wygadać się o starcu - że źle by było, gdyby zabrakło nam wody. Dlatego pomyślałam, że najlepiej byłoby nie oddalać się od strumienia - kręciłam. - Miałam nadzieję, że szczelina, z której wypływa strumień, będzie na tyle szeroka, że się przez nią przecisniemy, ale niestety, tej drogi nie ma.

Popatrzyłam na pozostałych. Uwierzyli mi, tylko Angelo miał chyba jakieś obiekcje. Chwilę później, gdy znalazł się blisko mnie, zapytał cicho:

- Jesteś pewna tego, co mówisz? Sugerujesz, że dobrze byłoby przejść przez to pasmo i dotrzeć dokąd? Skąd wiesz, że to dobra droga?

- Nie jestem pewna, ale zaufaj mi - odparłam.

Nie spytał o nic więcej, ale zaczął gorliwie szukać przejścia. Ja tymczasem stałam nieco zrezygnowana, myśląc, co powinnam teraz zrobić. Drogi nie było i nie wiedziałam, jak zdołamy dalej trzymać się strumienia. Wtedy nagle do głowy przyszło mi coś tak oczywistego, że śmieszne mi się wydało, że mogłam o tym zapomnieć. Oparłam się o skalną ścianę i zaczęłam nerwowo chichotać. Przyjaciele popatrzyli na mnie zdziwieni.

- Co się stało? - zapytała Joasia.

- Nic. A wszystko przez to, że nie pomyślałam logicznie. Nie ma drogi, ale to nie znaczy, że nie może jej być!

- No tak! - Angelo roześmiał się z zadowoleniem.

- Odsuńcie się, jak najdalej możecie - powiedziałam, nadal się śmiejąc.

Powoli schodziły ze mnie nerwy i zmartwienie.

Joasia i Mateusz usunęli się na bok, za skalny załom, Angelo jednak pozostał na miejscu. Zdziwiona spojrzałam na niego, a on z tajemniczym uśmiechem powiedział:

- Ty wpadłaś na pomysł, żeby zrobić przejście w skałach. Pozwól teraz mnie go wykonać. Chcę się zmierzyć z tą skałą. Będziesz miała jeszcze dużo do zrobienia, zanim dotrzemy do ciężkiego celu naszej podróży.

- Proszę bardzo - powiedziałam, uśmiechając się zaczepnie. - Ale pozwól, że o coś spytam. Robisz to z troski o mnie, czy po prostu chcesz pokazać, co potrafisz?

Angelo uśmiechnął się rozbrajająco, po czym zbliżył się do mnie i szepnął:

- Nic się nie martw, Aido Nicoletto... - Wyszczrzył zęby, a mnie zatkało.

Przecież zwrócił się do mnie tak, jak starzec we śnie! Byłam tak zaskoczona, że zupełnie automatycznie odeszłam od niego i ukryłam się za załomem. Poradziłam przyjaciółom, żeby się pochylili. Parę sekund po tym usłyszeliśmy donośny huk. Przyłgnęłam do skalnej ściany, cały czas usilnie próbując sobie wytłumaczyć to, czego nie umiałam wyjaśnić.

Po kilku chwilach skończyło się. Angelo, wyraźnie dumny z siebie, wychylił się zza głazu.

- Możecie już wyjść.

Wytoczyliśmy się więc zza skały i oczom naszym ukazał się tunel, zdawałoby się, ciągnący się w nieskończoność. Nie było widać, dokąd zmierza. Jedyne, co można było zobaczyć, to ciemność. Niestety nie biegł wzdłuż strumienia, ale to, jak przypuszczałam, było niemożliwe. Wierzyłam jednak, że to dobra droga.

- Chyba nie mamy na co czekać. Musimy tylko uzupełnić zapas wody i pożywienia - stwierdziła Joasia.

- Słuszna uwaga - powiedział Angelo. - Ale na to potrzeba trochę czasu. W zasadzie nie wiemy, jak długo będziemy musieli iść tym tunelem. Nie jestem dobry w ocenianiu odległości, nawet po tym, jak utworzyłem ten korytarz. Mogę tylko powiedzieć, że na pewno jest bardzo długi. Trzeba zebrać sporo zapasów. Lepiej, żeby zostało, niż żeby zabrakło.

- Może w takim razie zostańmy tu do jutra, a przygotowania do wyprawy w głąb góry musimy zacząć od zaraz - zaproponowałam. - Podzielimy się pracą.

Angelo szybko rozdzielił między nas obowiązki. Od samego początku wyprawy przejął pałeczkę nad organizacją rzeczy codziennych. Wychodziło mu to bardzo dobrze. Gdyby nie jego zdroworozsądkowe podejście, podróż na pewno nie szłaby nam tak sprawnie. Nie marnując czasu, zabraliśmy się do wykonywania naszych zadań.

IX

Leżałam na gołej skale, pod głową mając swój plecak. Wszyscy spali. Nie wiedzieliśmy, jaka jest pora dnia, bo tu, w tunelu, cały czas było ciemno. Spaliśmy wtedy, gdy byliśmy bardzo śpiący, jedliśmy, gdy byliśmy bardzo głodni, a resztę czasu zużywaliśmy maksymalnie na posuwanie się w ślimaczym tempie w głąb góry.

Nie mogłam zasnąć. To już druga nieprzespana „podziemna” noc, którą spędziłam na gapieniu się w ciemność. Oczywiście byłam zmęczona, ale gdy tylko zamknęłam oczy, widziałam, jak moi przyjaciele giną w ogromnych mękach.

Przekręciłam się na drugi bok. Nagle usłyszałam jakieś szmery, a po chwili głos Angelo:

- Dlaczego kolejną noc nie śpisz? Coś ci jest?
- A ty? Skąd wiesz, że znowu nie śpię? - odpowiedziałam mu zdziwiona pytaniem na pytanie.
- Bo też nie śpię - odparł szeptem. - Masz siłę wstać?
- Po co? - Zdziwiłam się jeszcze bardziej.
- Odeszlibyśmy trochę, żeby nie pobudzić reszty i móc spokojnie porozmawiać. - Wstał i wziął jedną ze

sporządzonych przez nas prowizorycznych pochodni, która pod działaniem jego Diveny zapłonęła.

- Jasne - powiedziałam, podnosząc się z lekkim zaskoczeniem.

Odeszliśmy kawałek od śpiących Joasi i Mateusza i usiedliśmy naprzeciw siebie, opierając się plecami o ściany tunelu. Wreszcie mogłam zadać pytanie, które nurtowało mnie od dłuższego czasu:

- Czy ty spotkałeś tego starca?

Uważnie spojrzałam na niego, żeby zobaczyć, jaka będzie jego reakcja. Zobaczyłam błysk w jego oczach, a po chwili wahanie: powiedzieć czy nie?.

- Kogo? - Mimo że wiedział doskonale, o co mi chodzi, z niewiadomych mi powodów postanowił wymigać się od odpowiedzi na to pytanie.

- Bądź ze mną szczery, proszę. Jeśli nie chcesz o tym mówić, to...

- Nie o to chodzi - powiedział twardym głosem.

Jego nagła i w dodatku tak stanowcza odpowiedź zaskoczyła mnie bardzo.

- Zabronił ci o tym mówić? - zapytałam po prostu, zgadując raczej, niż wiedząc na pewno. Angelo przez chwilę jeszcze milczał, aż w końcu powiedział:

- Też go spotkałaś, prawda?

- Inaczej nie wiedziałabym o jego istnieniu - odparłam.

Chłopak westchnął i po kolejnej chwili milczenia zaczął powoli mówić:

- Przyśnił mi się w noc po tym, kiedy dokąś wywędrowałaś i szukaliśmy cię w lesie. Powiedział mi, że przed nami bardzo trudne zadania i że źle się stało, że mamy ze sobą parę zwykłych ludzi, ale skoro już się tak zdarzyło, to on musi zatroszczyć się o ich bezpieczeństwo. Kompletnie nie mam pojęcia, co miał na myśli. Na koniec natomiast dodał, że mam chronić Aidę Nicolettę. Nie zrozumiałem, o kim mówi, a gdy zapytałem, wyjaśnił mi, że to imiona nadane przed wiekami, na początku istnienia Diveny, Dziedzicowi. Pokazał mi, co może się stać, jeżeli moja misja obrony ciebie nie powiedzie się. Wszyscy umrzemy, ale tylko po to, żeby wejść do Otchłani ognia i bólu... a stamtąd nie ma ucieczki. Cały świat opanuje Zło... To były straszne obrazy! Na koniec powiedział jeszcze, żebym zachował te wszystkie sprawy dla siebie. Tylko że te wizje prześladują mnie. Zawsze, gdy tylko zamknę oczy, widzę Otchłań. Nie mogę spać, a jestem tak potwornie zmęczony...

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Zastanawiałam się, dlaczego ten mężczyzna tyle powiedział Angelo, a mnie rzucił tylko jakąś niejasną wskazówkę o podążaniu za żywiołem. W końcu i ja opowiedziałam kuzynowi o moim spotkaniu ze starcem wtedy, gdy zasnęłam nad strumieniem.

- Dziękuję, Angelo - powiedziałam w końcu.

- Za co? - zapytał zaskoczony.

- Za to, że mi zaufałeś i powiedziałeś o tym, mimo że wcale nie musiałeś, a nawet nie powinieś.

- Nie ma tu za co dziękować. - Uśmiechnął się lekko. - Zresztą zrobiłaś przecież dokładnie to samo. Może teraz będzie nam łatwiej.

- Może... ale wiesz, nad czym się zastanawiam? Skąd przed wiekami, na samym początku istnienia Diveny, wiadano, że Dziedzic wcale nie będzie mężczyzną i dlaczego o tym zapomniano?

- To proste.

Tuż obok nas rozległ się nieznajomy głos. Miałam wrażenie, że gdzieś go już słyszałam. Niemal równocześnie z lekkim przestachem spojrzeliśmy z Angelo na siebie. Nagle po mojej prawej stronie zajaśniała jasnoblękitna luna światła. Odwróciliśmy wzrok w tamtą stronę.

- Nawet Wielka Rada nie znała imion Dziedzica. Znał je tylko Vertus, jego synowie i wnuki, którym zdradził tę tajemnicę na łożu śmierci. Dalej tej informacji nie przekazywano, a skąd wiadomo było o tym wszystkim - to tajemnica Diveny.

Starzec wydawał się aż nazbyt spokojny. Snując swe wyjaśnienia, zbliżył się do nas, podpierając się na swojej lasce, choć widać było, że wcale nie odczuwał takiej potrzeby. Powoli usiadł obok nas.

- Skąd pan się tu wziął? - zapytał po chwili z wahaniem Angelo.

- Powiedzmy, że tymczasowo kieruję tym wymiarem, zwanym Światem Diveny, choć prawdę mówiąc, rządzi się on swoimi prawami. Tę część Świata Diveny

przystosowałem dla potrzeb Prób Wojowników. Mogę więc pojawić się, gdziekolwiek zechcę.

- Ale jak to się stało, że nikt nie powiedział nam o tym, że spotkamy tu kogoś, kto będzie egzaminował? - zapytał Angelo.

- Bo nie egzaminuję. - Mężczyzna zaśmiał się. - Poza tym nie każdy wiedział o moim istnieniu. Tylko niektórym Wojownikom się ukazywałem, ale zabraniałem im o sobie mówić. Po swojej śmierci przybyli tu, do Świata Diveny, aby czekać wraz ze mną.

- Na co? - zapytałam.

- Na ciebie, Aido Nicoletto. Na ciebie, aby pomóc ci, gdy nadejdzie czas, w walce ze Złem z Czary Zła. Dlatego przybywali tu tylko ci o dużej wewnętrznej sile, prawdziwi Wojownicy, którzy okazali się godni. Rozpoznałem cię już na początku, ale naszym ostatecznym upewnieniem się był odcisk dłoni w świątyni. Istnieje ona tak długo, jak istnieje ten wymiar.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział, Angelo - ale my, jak by to ująć, nie mamy pojęcia, z kim rozmawiamy.

- Jeszcze się nie domyśliłeś, Wojowniku, kim jestem?

- Tak się złożyło, że nie - powiedział Angelo.

Starzec uśmiechnął się, widząc, że chłopak jest typem młodego buntownika, w jak najlepszym tego słowa znaczeniu, po czym rzekł:

- Nazywam się Vertus Divendi.

Wreszcie wyszliśmy z tunelu na światło dzienne. Nasze oczy, które od dłuższego czasu obcowały przede wszystkim z ciemnością i już się do niej przyzwyczyły, teraz trochę bolały. Mimo to dawno już nie cieszyłam się tak ze słońca. Wodę znaleźliśmy od razu, bo tuż obok wyjścia z tunelu było źródło. Ten mały strumyczek był dla mnie jakby potwierdzeniem, że tunel był dobrym pomysłem i że mój żywioł jest nadal ze mną. Woda spływała, szemrząc cicho po kamieniach, i ginęła w gęstwinie roślin w dole.

Siedząc i zjadając resztki zapasów, rozglądaliśmy się, podziwiając krajobraz. U stóp góry, z której wyszliśmy, ciągnął się położony w niewielkiej dolinie gąszcz zieleni. Niespotykane w naszym świecie drzewa, rośliny i zwierzęta cieszyły nasze oczy feerią barw. Po drugiej stronie doliny wyrastało kolejne górskie pasmo, wyższe od tego, które pokonaliśmy.

Mateusz, biorąc na swoje barki wyznaczenie bezpiecznej trasy, oszacował, że aby zejść do doliny, potrzeba nam całego dnia. Było popołudnie, jednak byliśmy tak wyczerpani, że myśl o ponownym wyruszeniu w drogę, choć całkiem rozsądna, wręcz nas przerażała. Postanowiliśmy więc zostać na noc przy źródle.

Przy wieczornym posiłku, po uprzedniej konsultacji z Angelo, opowiedziałam Mateuszowi i Joasi o starcu, naszym z nim spotkaniu, o tym, co nam powiedział i w końcu o tym, kim jest. To mnie w pewien sposób uspokoiło. Cieszyłam się, że nie muszę niczego ukrywać przed przyjaciółmi.

Nagle niespodziewanie zakręciło mi się w głowie i poczułam przejmujący chłód. Nie zamknęłam jednak oczu ani nawet nie upadłam, tylko siedziałam i patrzyłam przed siebie, wprost w gromadzące się przede mną smoliste opary, nie mogąc się ruszyć. Po kilku sekundach zobaczyłam, jak coś wynurza się zza mgły. To była Twarz z moich wizji. Przez moje ciało przebiegł przejmujący dreszcz, znów poczułam ogarniający mnie strach. Twarz śmiała się, jakby miała niezwykle ważny powód do radości. Jakby nad kimś zatriumfowała i cieszyła się z klęski wroga... Miałam wrażenie, że w moim gardle urosła wielka gęsia skórka, przeszkadzając w oddychaniu.

Nagle poczułam impuls od Kamienia Diveny i wiedziałam już, że to nie może dłużej trwać. Nie mogę po raz kolejny pozwolić się zdominować, witać tego przerażenia jak starego znajomego, bez słowa sprzeciwu. Wraz z pojawieniem się tego przekonania zobaczyłam, że Divendi zapulsował światłem. Nie namyślając się wiele, chcąc przerwać ten upiorny śmiech, uderzyłam w Twarz moją wewnętrzną siłą. Z pewnością poczuła, a nawet chyba ją zabolowało, bo przestała się śmiać i wykrzywił ją okropny wyraz bólu i złości. Spojrzała prosto w moim kierunku swoimi odrażającymi czerwonymi oczyma, mierząc mnie wzrokiem. Wytrzymałam jednak to spojrzenie, czego chyba się nie spodziewała. Ponownie użyłam Diveny, próbując odepchnąć ją od siebie. Po chwili zniknęła, a ja po prostu dalej siedziałam tak, jak przedtem, tylko było mi bardzo

zimno, a przez moje ciało przebiegały dreszcze. Zupełnie osłabłam, atak na Twarz wyczerpał do ostatków moje siły.

- Cała drży... przykryj ją tym. - Usłyszałam głos Joasi, a zaraz po tym poczułam, że ktoś mnie czymś okrywa. Zamknęłam oczy i wtuliłam się w czyjeś opiekuńcze ramiona.

- Wtedy nagle zrobiłaś się bardzo blada, a całe twoje oczy zrobiły się błękitne. Nie miałaś źrenic ani białek, tylko ten błękitny blask. Patrzyłaś przed siebie, a ten kamień, który nosisz na szyi, rozjarzył się tak, że nie mogliśmy na niego patrzeć - opowiadała Joasia, kiedy się obudziłam następnego ranka.

- W pewnym momencie użyłaś Diveny, której wiązka była równie jasna jak Biały Ogień w Kamieniu - powiedział Angelo - ale nie biegła do żadnego konkretnego, rzeczywistego celu tutaj, tylko po jakichś dwóch metrach znikwała, jakby trafiała w jakiś niewidzialny punkt. Zaraz po tym Kamień i twoje oczy wróciły do normy, a ty dostałaś dreszczy.

- Strasznie się trzęsałaś - powiedziała Joasia - więc okryliśmy cię, czym się dało i po krótkiej chwili zasnęłaś.

Potrząsnęłam głową. Więc tak to wyglądało z zewnątrz. Nieprzyjemnie...

- Znów ją widziałaś, prawda? - spytał cicho Mateusz, jakby nie chcąc wytrącać mnie z zamyślenia.

- Twarz Zła... - odparłam i spojrzałam na niego. - Ona się makabrycznie śmiała, tak perfidnie, złośliwie, jakby coś

jej się udało. Uderzyłam ją Diveną i wtedy zaczęliśmy mierzyć się wzrokiem. Ledwo wytrzymałam, ale to mnie wyczerpało, a potem ona zniknęła. Było mi tak okropnie zimno...

Pozbieraliśmy wszystkie rzeczy i już wieczorem, po przebyciu trudnej trasy prowadzącej przez kamienisty stok, byliśmy na dole. Bardzo solidnie burczało nam w brzuchach. Gdy tylko dotarliśmy do lasu i rozbiliśmy prowizoryczny obóz w najdogodniejszym miejscu, Joasia i ja zabrałyśmy się do przygotowywania ogniska, a chłopcy poszli zapolować.

Noc zapewne przespałabym całą, gdyby nie obudziły mnie uderzające w moją twarz i ciało duże ciepłe krople deszczu. Niebo nad naszymi głowami zapowiadało solidną ulewę, która mogła nam przeszkodzić w drodze i zmusić do postoju, a zanim by to zrobiła, udałoby jej się nieźle nas zmoczyć, jeśli jak najszybciej nie znaleźlibyśmy jakiejś porządnej kryjówki. Pozostali obudzili się niemal zaraz po mnie, więc pospiesznie zebraliśmy wszystko i nie przejmując się żarem pozostałym po naszym niedawnym ognisku, pobiegliśmy szukać schronienia przed deszczem. Jakimś cudem udało nam się znaleźć dość sporą jaskinię, w której mogliśmy spokojnie przeczekać tę okropną pogodę bez obawy, że ugrzęźniemy po kolana w błocie. Po ponownym rozłożeniu naszych rzeczy i przygotowaniu niezbyt wygodnych, ale za to względnie suchych pościeli ponownie położyliśmy się spać.

Rano obudził mnie plusk ulewy, która mimo upływu czasu tylko przybrała na sile. Cały dzień padało, a wieczorem rozpętała się prawdziwa burza. Błyskawice przesywały rozgniewane niebo, a my siedzieliśmy w jaskini skuleni, blisko siebie i nie śmieliśmy wystawiać choćby nosa na zewnątrz. Było bardzo zimno, ale nie znaleźliśmy ani kawałeczka suchego drewna czy trawy, z której dałoby się rozniecić ogień.

Kolejnego dnia nieustająca ulewa zaczęła nas poważnie martwić. Zapasy nam się już skończyły, a temperatura spadła tak bardzo, że można było zobaczyć własny oddech. Na szczęście Diveną osuszaliśmy wszystko, co wyglądało na nadające się do spalania, więc praktycznie cały czas u wejścia do jaskini płonął ogień. Nikt nie wspominał o tym wcześniej, ale przed południem byliśmy na tyle głodni, że musieliśmy coś z tym zrobić.

- Jak tylko deszcz trochę zelżeje, dwoje z nas pobiegnie po pożywienie. Z mokrymi ubraniami lepiej sobie poradzimy niż z głodem - stwierdził rozsądnie Angelo.

- Tylko kto pójdzie? - zapytała Joasia z lękiem. Nie należała do strachliwych, ale burza z piorunami była tym zjawiskiem, które naprawdę ją przerażało.

- Ja - powiedziałam z przekonaniem w głosie. - Muszę się wreszcie do czegoś przydać.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Mateusz. - Ze mną przynajmniej nie zgubisz się w tym gąszczu.

Nie zastanawiając się więc zbyt wiele, zaczęliśmy na odpowiedni moment, gdy deszcz wydał nam się nieco

lżejszy, i pobiegliśmy.

- Owoców i mięsa wystarczy najwyżej na dwa dni, tylko co dalej, jeśli nie przestanie padać? - zastanowił się Angelo. Był bardzo zmartwiony, zresztą jak my wszyscy.

- Nie wiem - odparłam. - Mateusz jeszcze śpi.

- To dobrze - powiedziała Joasia. - Teraz sen jest mu bardzo potrzebny.

- Tak... - odpowiedziałam cicho i odeszłam do miejsca, gdzie spał mój obrońca.

Usiadłam obok niego, wzięłam delikatnie do ręki jego dłoń i zaczęłam po raz kolejny przypominać sobie naszą wczorajszą desperacką wyprawę w poszukiwaniu pożywienia.

Szliśmy w strugach deszczu, trzymając się za ręce i rozglądając się uważnie dookoła na tyle, na ile pozwalała nam lejąca się strumieniami po naszych twarzach woda. W końcu, gdy byliśmy już na najlepszej drodze do rezygnacji z przedsięwzięcia i powrotu z niczym, jakimś cudem natknęliśmy się na drzewo owocowe z dobrze nam już znanymi czerwonymi gruszkami. Zebraliśmy ich trochę, gdy nagle z gęstwiny drzew wyskoczył ogromny drapieżnik podobny do tygrysa, tyle że biały. Warczał groźnie i zaczął biec w naszym kierunku, przygotowując się do ataku. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam zareagować Diveną, a Mateusz, widząc, że zwierzę biegnie prosto na mnie, zasłonił mnie przed jego atakiem własnym ciałem. Bestia powaliła go na ziemię, po czym uderzając go

uzbrojoną w potężne i ostre pazury łapą, odrzuciła na bok. Wtedy skoczyła w moim kierunku. Uderzyłam Diveną, zabijając ją. Niestety ogromne, bezwładne już cielsko spadając na ziemię, uderzyło mnie tak mocno, że upadłam i straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co robię w lesie, na ziemi i w dodatku wtedy, kiedy pada. Zobaczyłam martwą bestię i moja pamięć z przerażeniem zaczęła odtwarzać to, co stało się, nim straciłam przytomność. Pobiegłam do Mateusza. Na szczęście żył, ale był nieprzytomny i ciężko ranny. Bładość twarzy i plamy na ziemi wokół, nie do końca zmyte przez deszcz, świadczyły o tym, że stracił sporo krwi. Bestia rozorała mu pazurami bok. Było już za późno, bym mogła użyć mojej wewnętrznej siły, aby cofnąć o kilka chwil czas. Spróbowałam więc użyć Diveny do uzdrowienia go. Ku mojemu zaskoczeniu nic to nie dało. Zawiodła mnie moja uzdrawiająca siła i to w momencie, kiedy najbardziej jej potrzebowałam!

Nie mając najmniejszej możliwości opatrzyć choćby najcięższych jego ran, postanowiłam nie zwlekać i Diveną przetransportowałam rannego i owoce do jaskini. Tam Joasia przejęła ode mnie opiekę nad rannym. Jako jedyna z nas nieco bardziej się na tym znała. Marzyła o medycynie i chodziła na wolontariat do szpitala. Ja byłam tak wyczerpana, że nie na wiele zdałaby się moja pomoc. Trwałam więc tylko obok dziewczyny, przypatrując się sprawnym ruchom jej rąk rozcinających mój szal

i opatrujących rany chłopaka. Angelo miał wprawdzie w plecaku podręczną apteczkę, ale znajdujących się tam bandaży nie wystarczyło na rozległe zranienia.

Bezsilność, która mnie ogarnęła, kiedy okazało się, że nie mogę pomóc mu Diveną, była druzgocąca. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś takiego. Po raz pierwszy ktoś, kto był dla mnie tak ważny, był tak bliski śmierci... i to z mojej winy!

Oparłam głowę o skalną ścianę, a łzy wbrew mojej woli płynęły mi po twarzy. Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu, a ciepły głos mojej przyjaciółki powiedział:

- Nie płacz. On na pewno wyzdrowieje. Wszystko będzie dobrze.

Przytuliła mnie mocno. Wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju, panicznie też bałam się, że Mateusz z tego nie wyjdzie.

- To wszystko przeze mnie! - powiedziałam. - Gdybym zareagowała Diveną wcześniej, albo gdyby on stał trochę dalej, albo... albo gdybym się odsunęła... Przecież ta bestia chciała zaatakować mnie, nie jego! To ja tu powinnam leżeć albo nie żyć i mieć wreszcie spokój! Czemu? Dlaczego on, nie ja? - Łkałam po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wczesnego dzieciństwa. - Nie wybaczę sobie, jeśli... - Nie odważyłam się skończyć na głos tego zdania.

- To nie jest twoja wina! Widocznie tak musiało być. I przestań wreszcie zastanawiać się, co by było, gdyby... To nie pomoże ani jemu, ani tym bardziej tobie... Nie płacz - szeptała mi do ucha Joasia.

- Boję się o niego - wydukałam między kolejnymi spazmami.

- Wiem - odrzekła tylko, głaszcząc mnie uspokajająco po plecach. - Ale nic nie możesz zrobić ponad to, co już zrobiłaś.

Sama nie wiem, kiedy zasnęłam, oparta na jej ramieniu. Obudziłam się z dziwnym przekonaniem, że zaraz stanie się coś ważnego. Sięgnęłam do dłoni leżącego obok Mateusza. Jego ręka była rozpalona...

Angelo i Joasia rozmawiali cicho, żeby nas nie obudzić. Dziewczyna usłyszała jednak, że wstałam, bo odwróciła się i gestem przywołała mnie do siebie. Usiadłam obok i nic nie mówiąc, ze ściśniętym sercem wsłuchiłam się w deszcz.

- Witaj, Aido Nicoletto i Wojowniku Angelo. Witaj, Joanno. Żałuję, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Starzec, z wyrazem smutku w oczach, stanął nagle obok nas.

- Musiałem pojawić się, bo szkoda mi tego chłopca. - Gestem wskazał na Mateusza i ruszył w jego kierunku. - Wygląda na to, że jest ważny dla nas, a sami nie poradzicie sobie z wyleczeniem go. Trzeba coś zrobić, żeby nie dopuścić do najgorszego.

Serce zabiło mi mocniej. Za Vertusem podbiegłam do chorego i przyglądałam się, jak delikatnie ściąga prowizoryczne opatrunki i ogląda rany.

- Zastanawiasz się zapewne nad tym, dlaczego nie udało ci się go uzdrowić i nadal nie znasz odpowiedzi - starzec zwrócił się do mnie, jakby czytając w moich

myślach. - Wiem, dlaczego tak się stało, ale nie jestem pewien, czy dobrze będzie, jeśli poznasz prawdę.

Przestraszyły mnie jego słowa, ale powiedziałam stanowczym głosem:

- Najgorszą prawdę cenię sobie tysiąc razy bardziej niż najpiękniejsze kłamstwo, dlatego chcę wiedzieć... Proszę. - Spojrzałam w jego ciemnoniebieskie oczy, tak bardzo podobne do moich, i zobaczyłam w nich dumę, wahanie i współczucie. Po dłuższej chwili milczenia Vertus powiedział:

- Po tym, co powiem, możesz zacząć mnie uważać za człowieka okrutnego, nieznającego ludzkich uczuć, ale taki naprawdę nie jestem. Każdy Wojownik Diveny, gdy przechodzi Próbę, musi również zdać egzamin z walki, najczęściej z jakąś bestią. Jeśli wygra, to dobrze. Jeśli jednak mu się nie uda, bestia zrani go, a wtedy posiadacz Diveny umiera od zadanych mu ran, uczynionych pazurami lub zębami z trucizną. Nie może ich wyleczyć, jeśli nawet ma taką zdolność. Umiera, bo nie przechodzi Próby i budzi się w Głównej Rzeczywistości. Te pazury były przeznaczone dla ciebie, ale mimo że ostatecznie pokonałaś bestię, trucizna dostała się jemu. - Wskazał na Mateusza. - Tylko jeżeli on w tym świecie umrze, to nie obudzi się w swoim ani w żadnym innym. Umrze na zawsze...

- Mateusz już od dwóch dni leży nieprzytomny, a od wczoraj w gorączce... - powiedziałam, bardziej do siebie niż do Joasi, mimo iż przyjaciółka siedziała obok mnie.

- Nie martw się - próbowała uspokoić mnie dziewczyna.
- Przecież twoje zmartwienie i nerwy nic nie dadzą.

- Wiem. Tylko... ja już nie mam siły. To mnie przerasta.
A co będzie, jeśli...

- Nawet tak nie mów - powiedział Angelo.

Nagle przed nami stanął Vertus.

- Mam lekarstwo! - powiedział, choć jego ręce były puste. - Znalazłem odpowiedzi na kilka pytań i mam lekarstwo dla Mateusza.

Był zziębnięty, zmęczony i najwyraźniej trzymał się na nogach ostatkiem sił. Wydobył z poły swego płaszcza liść, podobny do miseczki. Nabrał do niej wody deszczowej, dotknął jej Diveną, aż zabłysła, jakby były w niej zanurzone diamenty, po czym odstawił na bok. Spojrzał na mnie i rzekł:

- Musisz mnie wysłuchać.

Kiwnęłam głową zdziwiona i stałam przed nim dalej.

- Jako jedyna masz lekarstwo, które może mu pomóc. Zanim jednak wytłumaczę ci, dlaczego i jak ono działa, muszę cię poprosić, abyś użyczyła mi kilku swoich łez.

Spojrzałam zdziwiona na swojego przodka, ale nie pytałam o nic, bo czas był dla nas bardzo cenny... Tylko jak miałam się zmusić do płaczu? Już wolałabym, żeby użył jakiegoś podstępu. Płacz nigdy nie przychodził mi łatwo. Zawsze starałam się raczej smutek złagodzić inaczej, niż wylewając z siebie litry płynów... Dopiero ostatnie wydarzenia przyniosły jakieś przesilenie. Teraz jednak,

choć bardzo chciałam pomóc chłopakowi, którego przecież kochałam, po prostu nie umiałam tego zrobić.

- Nie potrafię, Vertusie... - powiedziałam po kilku chwilach, z powątpiewaniem kręcąc głową.

Starzec spojrział na mnie ze zrozumieniem, sięgnął do kieszeni po jakiś proszek i sypnął mi nim prosto w oczy. Zaślepił mnie na chwilę, ale zaraz z moich oczu pociekły łzy. Vertus uczynił gwałtowny, choć wyjątkowo precyzyjny ruch ręką, w której trzymał liść tak, że nie uronił ani kropli. Moja łza wpadła do połyskującej wody, tworząc na niej kręgi i sprawiając, że jej blask stał się błękitny.

- Woda - powiedział Vertus. - Jedyne z żywiołów, który może pokonać ogień i przeniknąć ziemię, oczyszczając ją jednocześnie. Przepraszam, Aido Nicoletto, za ten podstęp, ale wiem, że na zawołanie płakać jest trudno - powiedział, po czym szybkim krokiem poszedł w kierunku Mateusza.

Ściągnął mu bandaż, a ranę obmył delikatnie wodą z liścia. Płynu została połowa. Vertus podał mi liść, mówiąc:

- To za godzinę i jutro o świcie. Poradzisz sobie.

Założył bandaż z powrotem i zniknął bez żadnych wyjaśnień. Wiedziałam jednak, że wróci niebawem.

X

- Zobacz sama, że rany już się praktycznie zagoiły, a ja z każdą chwilą czuję się coraz lepiej. Nie ma sensu czekać tu dłużej. - Mateusz przekonywał mnie, że jest już w stanie wyruszyć dalej.

- Dobrze już, dobrze. Ale dopiero jutro - powiedziałam w końcu niechętnie. - Tylko obiecaj mi, że nie będziesz pędził na złamanie karku...

- Nie będę - powiedział, ściskając moją dłoń.

Uśmiechnęłam się.

Tego dnia Mateusz nie wytrzymał już na swoim posłaniu, więc łąził przez większość czasu w kółko po jaskini, chcąc się rozruszać. Cieszyło mnie, że wracał już do siebie. Nawet gdy chorował na grypę, nic nie było w stanie utrzymać go w łóżku. No, może prócz pani Weroniki.

Deszcz po pięciu dniach rzęsistej ulewy zelżał i widać było, że niedługo przestanie padać. Rośliny, skulone i zbite padającą z nieba w takich ilościach wodą, miały pod dostatkiem wilgoci. Zwierzęta nie pokazywały się w okolicy. Owadów również nie było widać. Tylko od czasu do czasu

nisko nad drzewami przelatywały różne ptaki, zapewne szukające pożywienia.

Powoli układaliśmy się do snu. Angelo siedział jeszcze u wylotu jaskini, wpatrując się przed siebie.

- Jutro ruszymy dalej - powiedziałam i usiadłam obok niego, wciągając do płuc świeże, wilgotne powietrze.

- Jesteś pewna, że Mateusz da radę? - zapytał Angelo.

- Tak sędzę. Gorączka ustąpiła, a to lekarstwo Vertusa działa świetnie; rany już się zasklepiły i goją się intensywnie, o wiele szybciej niż normalnie. Siły też mu wracają. Sam widziałeś, że niemal swobodnie się dziś poruszał. Poza tym czuję, że musimy wyruszyć jak najprędzej. Coś się zbliża - powiedziałam z przekonaniem.

- Co takiego? - zapytała z obawą w głosie Joasia, która stanęła obok nas. - Lepiej, żeby to nie było nic niedobrego, bo naprawdę nie lubię, gdy takie przeczucia się spełniają.

- Wiem - odparłam i zamilkłam, zamyśliwszy się nad tym dziwnym przekonaniem.

Rankiem na pogodnym niebie nie było nawet najmniejszego śladu po kilkudniowej ulewie. Było chłodno, słońce jeszcze na dobre nie wyłoniło się zza wschodniej granicy horyzontu. Przyjaciele jeszcze spali, gdy obudziłam się i cicho wyszłam z jaskini. Odetchnęłam świeżym powietrzem i usiadłszy na jakimś leżącym nieopodal głazie, z zachwytem obserwowałam budzącą się do życia przyrodę. Działo się to tak szybko, że już po kilkunastu minutach zielona, gęsta płatanina drzew i krzewów wrzała pełną parą życia.

- Piękny widok, nieprawdaż? - odezwał się nagle nieopodal znajomy mi głos.

- Istotnie, Vertusie - odparłam, gdy podszedł.

Stał przez chwilę obok mnie, wpatrując się to w zieleń lasu, to w błękit nieba. W końcu przerwał ciszę, mówiąc poważnym tonem:

- Lubię czasem tak zatrzymać się i przez chwilę po prostu podziwiać Świat Diveny. Ta przyroda, to piękno zasługuje na adorację... - Uśmiechnął się radośnie jak dziecko.

- Masz rację - odparłam. - Szkoda tylko, że czas nie pozwala nam na razie zatrzymać się na dłużej. Ale nie o tym chciałeś rozmawiać, prawda?

- Niczego nie można przed tobą ukryć. - Zaśmiał się. - Istotnie, mam z tobą do pomówienia o pewnej ważnej sprawie. Właściwie zainteresowani nią jesteście wszyscy, ale tobie powiem jako pierwszej.

- Zamieniam się w słuch - powiedziałam.

- Pamiętasz, jak przeprawialiście się przez góry i ścieżka wam się skończyła? Wiesz, dlaczego to się stało?

- Bo zeszła lawina i oberwała skałę? - zapytałam niepewnie, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- No, niezupełnie. Półka skalna oberwała się po to, żebyście nie mogli tamtędy przejść. Zeszliście z drogi, którą wytyczał wam twój żywioł. Do końca jeszcze nie wyjaśniłem tej zagadki, ale faktem jest, że jeżeli nie idziesz wzdłuż rzeki lub strumienia, na twojej drodze pojawiają się trudne do pokonania przeszkody. Na podstawie tego, czego się

dowiedziałem, mogę stwierdzić, że najprawdopodobniej siły przyrody w jakiś sposób czują, że Czara Zła się przepelnia, i pomagają Wojownikom, prowadząc was i udzielając pomocy w odpowiednich momentach, abyście czym prędzej zakończyli Próbę. W tej sytuacji bardzo korzystnym zbiegiem okoliczności jest fakt, że każdemu z waszej małej grupki patronuje inny żywioł, bo w ten sposób wszystkie cztery będą wam pomagały.

Siedziałam przez chwilę w milczeniu. W końcu odezwałam się, zdradzając Vertusowi wnioski, jakie nasunęły mi się po tym, co powiedział.

- Rozumiem, że prowadzi nas woda, bo jest najlepszym wyznacznikiem trasy, ale przecież nie możemy za nią podążać w nieskończoność...

- Aido Nicoletto, nie mam prawa wnikać w to, co robicie w czasie Próby. Myślę jednak, że kiedy potrzeba będzie, żebyście się rozstali ze strumieniem, po prostu będziecie wiedzieli.

Zamyśliłam się na chwilę, rozważając jego słowa. A więc żywioły oznaczały coś więcej niż tylko siły przyrody? Vertus wyrażał się o nich niemalże, jakby były żywymi istotami. Wydało mi się to zarazem dziwne... i słuszne.

- Powiedz mi, czemu mamy za sobą cztery żywioły? Rozumiem, że jest nas czworo, ale przecież sam zasugerowałeś, że siły przyrody mają jakoby pomagać Wojownikom Diveny. Co mają z tym wspólnego Joasia i Mateusz?

- Widzisz, nigdy wcześniej w świecie Próby nie pojawili się ludzie spoza naszego rodu, niemający Diveny. Nie wiedzieliśmy, jak oni na to zareagują, czy zdołają przetrwać, co się stanie, jeśli coś im się przytrafi. Wiele strachu napędził nam Mateusz, bo, jak już wiesz, gdyby umarł tutaj, umarłby na zawsze. Z żywiołami jest związany sposób, w jaki wyleczyłem Mateusza. Doszedłem do wniosku, że skoro żywioły wam pomagają, to kiedy one same bezpośrednio nic nie mogą zdziałać, trzeba tę pomoc wykorzystać. Nawiązując więc do tego, które z was jaki ma żywioł, stworzyłem lekarstwo. - Spojrzał na mnie kątem oka i wyjaśnił: - Znakowi zodiaku Mateusza patronuje ogień, ale jak się okazało, nie miało to wielkiego znaczenia. W przeciwieństwie do ognia, który pod postacią gorączki może ugasić woda lub ziemia. Jednak tylko woda przenika przez ziemię, organizm ludzki, i potrafi go oczyścić z tkwiącej w nim trucizny. Sama czysta woda jednak, nawet naładowana Diveną, nie pomogłaby, dlatego potrzebowałem wody od tego, komu patronuje ten żywioł, czyli od ciebie. Tym, czego potrzebowałem, była choćby jedna twoja łza.

- Trudne to było zadanie. - Uśmiechnęłam się smutno. - Divendiego niełatwo zmusić do płaczu. Ale mów dalej o żywiołach.

- Niedawno odkryłem coś niesamowitego. Jak ci już wspominałem, przybycie tu Joasi i Mateusza było dla nas czymś zupełnie nowym i nie wiedzieliśmy, co może się stać. W każdym razie, w jakiś niewiadomy mi sposób, świat Próby naznaczył twoich przyjaciół. Dzięki temu, że

przechodzicie Próbę jako zespół, a jednocześnie każdy z osobna, doskonalicie się. A dodatkowo Joasia i Mateusz przygotowują się do Wojny ze sługami Zła. Naznaczenie to sprawiło bowiem, że stali się pomocnikami Wojowników Diveny, połączeni jakąś niezwykłą więzią z Dziedzicem. Owa więź właśnie powoduje, że nie tylko tobie i Angelo, ale również tamtej dwójce ich żywioły pomagają.

- I to jest we mnie, tak? - upewniał się Mateusz.

- Tak, jesteś naznaczony i tak dalej, ale mnie to martwi - zaczęłam wyrzucać z siebie potok słów. - Głównie z mojej winy tu się znaleźliście, w mojej obronie omal nie zginąłeś, a teraz jeszcze przeze mnie jesteście zmuszeni do brania udziału w Wojnie ze sługami Zła!

Mateusz ujął moją drżącą dłoń.

- Spokojnie. Po to tu jesteśmy, żeby się do niej przygotować, więc damy sobie radę. A poza tym, szczerze mówiąc, jakoś specjalnie nie przeszkadza mi fakt, że jestem połączony jakąś niezwykłą więzią z Dziedzicem... - Puścił do mnie oczko i uśmiechnął się. Odwzajemniłam uśmiech, a on nie mówiąc nic, objął mnie i przytulił.

Zachowywał się jak zwykle, w jego oczach jednak dostrzegłam coś, czego wcześniej nie było. Przyszło mi na myśl, że czymś się martwi. Nie chciałam naciskać, doszłam do wniosku, że jeśli sam zechce, powie mi, co się dzieje. Ale zaniepokoiło mnie to.

Wcześniej, po rozmowie z Vertusem na temat żywiołów, spędziłam chyba z godzinę, obserwując wschód słońca.

Układałam sobie w głowie wszystkie sprawy, starałam się nabrać dystansu do burzy emocji i uspokoić myśli. Kiedy wróciłam do jaskini, Mateusz już nie spał, ale siedział zamyślony, oparty o skalną ścianę. Zauważyłam, że uporządkował posłanie, na którym leżał chory po starciu z białym tygrysem. Postanowiłam powiedzieć mu o tym wszystkim, co usłyszałam wcześniej od mojego przodka. Wyszliśmy więc na zewnątrz, aby nie obudzić pozostałych. Chłopak wysłuchał mojej opowieści, po czym stwierdził, ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, że nie jest to dla niego wcale zdumiewające czy dziwne. Chyba powoli przyzwyczajał się do tego typu niecodziennych wydarzeń i wiadomości, takich, z jakimi ja miałam do czynienia na co dzień, albo przynajmniej starał się sprawiać takie wrażenie.

Tymczasem obiekt moich rozmyślań i niepokojów na wpół stojąc, na wpół siedząc, oparty o skałę wpatrywał się w coraz jaśniejsze różowo-błękitne niebo. Ja natomiast, usłyszawszy dochodzące z jaskini szmery i domyślając się, że Joasia i Angelo już się obudzili, poszłam im przekazać niezwykle wiadomości od Vertusa.

Po krótkiej rozmowie postanowiliśmy, że po posiłku ruszymy w dalszą drogę, dając sobie czas na przetrwanie najnowszych rewelacji, a porozmawiamy wieczorem.

- Jak tam twoje przeczucia? - zagał Angelo. - Nic się nie zmieniło?

- Nadal jestem przekonana, że powinniśmy jak najszybciej wyruszyć - odparłam, dodając po zastanowieniu: - Czuję coraz mocniej, że coś nam grozi.

- To źle - powiedział Wojownik. - Wolałbym, żebyśmy podróżowali sobie w spokoju, niepoganiani przez nic osobliwego, nie wiedząc nawet, co nam depcze po piętach.

- Mnie też bardziej by to odpowiadało - powiedziałam szczerze - ale nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę zapobiec czemuś, jeśli nie mam pojęcia, co to jest.

- Dlatego właśnie lepiej nie lekceważyć tych ostrzeżeń i ruszać w dalszą drogę - stwierdził Mateusz. - Ja dam radę iść. Czuję się o wiele lepiej.

- To dobrze - powiedział Angelo. - Ale będziemy często robić postoje, żeby się nie okazało, że przeceniłeś swoje możliwości.

- Co jak co, ale potrafię ocenić, ile jeszcze mam siły - zaoponował Mateusz.

Jego męska duma kazała mu bronić się przed posądzeniem go o to, że jest mięczakiem, mimo że nikt naprawdę tak nie myślał. Nie skomentowałam tego jednak, nie chcąc go urazić. Spojrzałam tylko na niego z troską. Skinął lekko głową, jakby chcąc mi dać do zrozumienia, że nie będzie się forsował.

Zebraliśmy wszystkie swoje rzeczy i ruszyliśmy w drogę. Trasa przez dolinę nie była uciążliwa. Następnego dnia po południu mieliśmy ją już za sobą. Dalej czekał nas wcale niełatwy szlak: stromy i niebezpieczny ze względu na podłoże, z jakiego był zbudowany - z kamieni, które sprawiały wrażenie, że przy najlżejszym nacisku runą lawiną w dół.

Spojrzałam ukradkiem z troską na Mateusza. Rany chłopaka mogły się przy takim wysiłku otworzyć, nie były w końcu jeszcze całkowicie zagojone. Do tej pory radził sobie całkiem nieźle, jakby niedawne wydarzenia nie zostawiły śladu na jego organizmie. Wiedziałam jednak, że może to być wrażenie złudne. Moja chyba dość zmartwiona mina nie uszła uwadze Mateusza, który patrząc mi w oczy, jakby chciał dać mi znać, że robi to tylko dla mnie, powiedział:

- Może zrobimy mały postój?

- Jasne - powiedział od razu Angelo.

- Nie wiem, czy poradzimy sobie z wejściem na szczyt tędy... - Joasia wyraziła słowami obawy, które rodziły się od jakiegoś czasu w mojej głowie, odkąd pierwszy raz spojrzałam z niewielkiej odległości na zbocze góry, na którą mieliśmy zamiar wejść.

- Też mi się tak wydaje - zgodził się Wojownik. - Ale co moglibyśmy zrobić?

- Chyba mam pewien pomysł - powiedział Mateusz.

Wszyscy zwróciliśmy się w jego stronę.

- Przemów więc, kopalnio pomysłów - powiedział Angelo z uśmiechem.

- Już się robi. - Mateusz, śmiejąc się, uczynił w kierunku przyjaciela ruch, jakby salutował, po czym powiedział: - Czy my musimy wejść koniecznie na tę górę?

- No, tak - powiedziałam z wahaniem. - Masz lepszy pomysł?

- Mam lepszy pomysł od wejścia na tę konkretną - powiedział z przekonaniem, podkreślając ostatnie dwa słowa. - Poszukajmy sobie szczytu, na który wejście będzie łatwiejsze.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. W zasadzie moje przecucie tylko poganiało mnie do przodu, nie czułam parcia do wejścia akurat na ten szczyt, zatem logiczna propozycja Mateusza była doskonałym rozwiązaniem naszego kłopotu.

- To świetny pomysł - powiedziała Joasia, a Angelo i ja tylko skinęliśmy głowami, zgadzając się z nią.

- To prawda. No ale przecież nie przez przypadek mianowaliśmy cię przewodnikiem tej wycieczki, nie? - powiedziałam, a przyjaciele roześmiali się. - Najlepiej chyba będzie, jeśli będziemy szli tuż u stóp gór i zatrzymamy się, kiedy już znajdziemy odpowiednie miejsce.

- Ruszajmy - stwierdził Mateusz. - Nie ma na co czekać.

Ruszyliśmy więc dalej. Droga to pięła się w górę, to znów opadała. Różnorodność kolorów i zapachów oszałamiała, a ruch ptaków i owadów był tak intensywny, że zdawał się niekiedy nieuchwytny dla oczu. Kiedy wreszcie, idąc od dłuższego czasu bez przerwy, zatrzymaliśmy się, słońce chyliło się już ku zachodowi, kryjąc się powoli pomiędzy dwiema górami i rzucając na dolinkę ciepły złoty blask. Usiedliśmy, dysząc ciężko ze zmęczenia, i wzięliśmy

w usta po łyku wody. Chłodny wiatr wiejący tu zawsze wieczorami orzeźwił szybko nasze spocone ciała.

- Witajcie!

Przed nami ni stąd, ni zowąd pojawił się Vertus i uśmiechnął się półgębkiem, jakby jego niespodziewane jak zawsze pojawienie się było czymś najzupełniej normalnym. Był jednak dziwnie niecierpliwy, jakby poganiał go czas.

- Jak zwykle zjawiasz się znienacka - powiedział Angelo. - Co tym razem się dzieje?

- Nic takiego - odparł Vertus. - Muszę porozmawiać z Aidą Nicolettą.

Gestem dał mi do zrozumienia, abyśmy na chwilę się oddalili.

Vertus od razu przeszedł do rzeczy:

- Chcę cię prosić o pomoc.

- Co się stało? - zapytałam zaniepokojona.

- Aido Nicoletto, jak wiesz, twoi przyjaciele są zmuszeni do wzięcia udziału w Wojnie... Odkąd to odkryłem, martwi mnie to. Prócz tego naznaczenia nie otrzymali bowiem niczego, co mogłoby im posłużyć jako broń. Nie możemy zostawić ich tak na łaskę Zła, bo taka nie istnieje... Musimy ich uzbroić.

- Co w takim razie radzisz? - zapytałam.

- Myślę, że musi to być broń związana z Diveną. No i właśnie tutaj spotykamy się z pewnego rodzaju barierą - stwierdził Vertus. - Dlatego zmuszony jestem prosić cię o pomoc.

Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc.

- Zmuszony?

- Właściwie to nie powinienem żadnego kandydata na Wojownika odrywać w jakikolwiek sposób od Próby, ale myślę, że to jest sytuacja wyjątkowa i to mnie usprawiedliwia.

- Rozumiem - odparłam. - Masz moje pozwolenie na zakłócanie spokoju mojej Próby, jeśli tylko jest to dla naszego dobra. - Uśmiechnęłam się do mojego przodka. - A teraz, proszę, wytłumacz, o co chodzi.

- Mój plan jest dość nowatorski - powiedział - dlatego nie wiem, czy ma szansę powodzenia, ale musimy spróbować wszystkiego. Polega on na tym, że ty użyjesz swojej Diveny, aby część mojej wewnętrznej siły przekazać im.

- To się może udać? - zapytałam zaskoczona.

- Tego nie wiemy, ale trzeba spróbować. Dobrze wiem, że taki eksperyment na zwyczajnych ludziach nie odniósł skutku, ale kto wie, jak będzie z tym dwojgiem naznaczonych? Poza tym muszę cię poinformować, że takie „przekazanie” Diveny najprawdopodobniej odbędzie się bez uszczerbku na mojej wewnętrznej sile. Jednak w razie czego to ja wolę zaryzykować, bowiem ty, Aido Nicoletto, będziesz potrzebowała na Wojnie swojej Diveny bez żadnych ewentualnych braków. Natomiast jedynie z tobą przekazanie Diveny może się udać, ponieważ uważam, że przekaźnikiem cząstki wewnętrznej siły może być tylko osoba o większej Divenie niż ta, która ją przekazuje. W tym wypadku tylko twoja wewnętrzna siła przewyższa moją.

- Ale skąd mamy pewność, że to się uda? - Joasia próbowała powoli przyzwyczajać się do myśli, że zostanie obdarzona czymś nadprzyrodzonym, co ma ją ochronić przed Złem i jego sługami, z którymi będzie musiała walczyć.

- Nie mamy - powiedziałam - ale to nie znaczy, że nie może się udać, a spróbować warto.

- Nawet trzeba - stwierdził z przekonaniem Angelo. - Ani ty, ani Mateusz nie możecie przecież pójść na Wojnę, nie mając niczego do obrony! Czy możesz mi wyjaśnić, jak to się odbędzie? - zwrócił się do mnie.

- Nie wiem - odparłam - ale zapewne będzie podobnie jak przy mianowaniu na Wojownika Diveny.

- A co ze skutkami? - zaciekawiał się Mateusz. - Wiesz, jakie będą?

- Niestety, z tym będziemy musieli poczekać aż do momentu, kiedy ujawnią się po przedsięwzięciu. Nie jestem w stanie ich teraz przewidzieć - powiedziałam.

Siedzieliśmy na skałach u stóp góry, na którą mieliśmy zamiar wejść. Miała dość przystępne podejście. Była już noc, ale my nadal nie zasypialiśmy, wciąż rozmawiając o tym, co ma się wydarzyć następnego dnia. Vertus powiedział nam, że niekoniecznie powinniśmy zwlekać z wprowadzeniem naszych zamierzeń w czyn, dlatego wspólnie podjęliśmy decyzję, że ten decydujący moment będzie miał miejsce nazajutrz o zachodzie słońca.

Księżyc i gwiazdy rzucały na ziemię zimny, jasny blask. W oddali srebrzył się i szumiał strumień. Wokół panowała cisza i spokój. Nasi panowie z zaangażowaniem rozmawiali na jakiś techniczny temat, Joasia zaczęła przygotowywać się do snu. Ja natomiast wstałam i odeszłam spory kawałek. Zatrzymałam się na skale wiszącej nieco ponad ścieżką, którą przechodziliśmy niedawno. Blask księżyca i jego srebrnych towarzyszek odbijał się od gładkich liści roślin, sprawiając wrażenie, że cała dolina lśni.

Zaczęłam rozmyślać o tym, co zaobserwowałam w zachowaniu Mateusza. W ostatnich dniach był milczący i głęboko zamyślony. Znałam go na tyle dobrze, by zauważyć, że nie jest to zachowanie codzienne. Coś go trapiło, nad czymś poważnie rozmyślał. Z doświadczenia wiedziałam, że nie warto wypytywać go, co się dzieje, bo nie tędy droga do jego wnętrza. Trzeba po prostu poczekać, aż sam dojrzeje do rozmowy, a wtedy przyjdzie i opowie. Mogłam więc tylko czekać i uważać, by nie zacząć zabawiać się w mniemanologa... a w tym ostatnim każda kobieta była przecież dobra. Gdyby nie hamulce, które sobie sama wypracowałam, w ciągu tych kilku dni dorobiłabym sobie do jego miny tysiąc różnych historii, z których dziewięćdziesiąt procent kończyłoby się tragicznie, dlatego przycisnęłam hamulec do samego końca i zamiast myśleć, gapiłam się w gwiazdy.

Tymczasem przysiadła się do mnie Joasia, więc trochę jej opowiedziałam o moich obawach.

Mogłyśmy rozmawiać swobodnie, bo chłopcy byli na tyle daleko, że nie mogli nas usłyszeć. Poza tym najwidoczniej znaleźli jakiś wyjątkowo zajmujący dla nich temat, bo rozmawiali z zapalem i nie zwracali na nas najmniejszej uwagi, co było nam na rękę.

- Nie wiesz nawet, jak cię podziwiam. Za zimną krew i chłodne rozumowanie - powiedziała Joasia.

- Proszę cię, kochana, nie mów tak. - Uśmiechnęłam się sarkastycznie.

- Ale to prawda - stanowczo odparła przyjaciółka. - Potrafisz niesamowicie panować nad swoimi uczuciami i myślami wtedy, kiedy jest taka potrzeba.

- Tylko wtedy, kiedy jest taka potrzeba. - Zaśmiałam się, dodając po chwili: - Nie mam w zwyczaju manifestować fałszywej skromności, więc przyznam ci rację. To prawda - powiedziałam, a Joasia uśmiechnęła się do mnie z satysfakcją. - Nauczyłam się tego, bo moja rodzina skrywa ważną tajemnicę. Muszę umieć kontrolować swoje uczucia, bardzo mi się to przydaje. Zwłaszcza kiedy przy problemach sercowych pojawiają się problemy ważniejsze i trzeba nad uczuciami zapanować, aby nie popełnić błędu. Ale przyznaj sama, że takie to kobiece, jak wiertarka udarowa...

Joasia roześmiała się, a ja jej zawtórowałam. Chłopcy zaciekawieni odwrócili się w naszą stronę, ale widząc, że niczego się nie dowiedzą, wrócili do swojej rozmowy.

Tego wieczoru zasnęłam wyjątkowo szybko.

XI

Obudziłam się nieco przed wschodem słońca nad wyraz wypoczęta. Przyjaciele jeszcze spali, Angelo pochrapywał z cicha. Postarałam się bezszelestnie wstać i poszłam na występ skalny, na którym poprzedniego wieczoru rozmawiałam z Joasią.

Przeciągnęłam się i ziewnęłam. Jutrzenka rozjaśniała niebo, nadając dolince ciepłą bladoróżową barwę. Wynurzające się zza leżących na wschodzie gór słońce rzucało na chmury tęczę kolorów. Usiadłam tuż przy brzegu skały, nad skarpą i opuściłam nogi na dół. Zaczęłam nimi huśtać i nucić pod nosem uspokajającą melodię dobrze mi znanej piosenki, którą mama śpiewała mi, gdy byłam mała. Wkrótce zza gór wyłoniła się już połowa tarczy słońca. Było chłodno, więc wstałam i zaczęłam się przechadzać, rozcierając skórę dłońmi. Nagle poczułam, że otaczają mnie ręce Mateusza, wtuliłam się więc w jego silne ramiona.

- Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę w naszym świecie przed twoim domem? - zapytał nagle.

Skinęłam głową, przypominając sobie te niedomówienia, a on kontynuował:

- Już wtedy miałem zamiar ci powiedzieć, co do ciebie czuję, ale coś mnie powstrzymywało. Tutaj przyszło mi to o wiele łatwiej. - Zamilkł na chwilę.

Dotknęłam policzkiem jego twarzy, a on przytulił mnie mocniej.

- Nieraz bałam się o ciebie, i tam, i tutaj. - Znów na chwilę zamilkł, jakby zastanawiając się, jak ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć. W końcu usłyszałam: - Obawiam się tego, co będzie, gdy wrócimy do domu.

Poczułam smutek, ale, ku mojemu zdumieniu, i ulgę.

- Ja też się tym martwię - powiedziałam.

Chłopak przytulił mnie, a po chwili szepnął:

- Będę potrzebował trochę czasu na poukładanie wszystkiego od nowa... Wiesz, jacy oni są. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Ale będę walczył o nas.

Wiedziałałam już, że wszystko musi skończyć się dobrze. Odwróciłam się i pocałowałam go, mówiąc:

- Dzień dobry, kochanie!

Wspinaliśmy się bez dłuższego odpoczynku od czterech czy pięciu godzin. Nadchodziło południe, a my planowaliśmy największy upał przeczekać gdzieś w cieniu. Droga po skałach była stroma, ale starając się ją ułatwić, szliśmy serpentyną, klucząc między skałami. Roślinność była tu bardzo uboga, o ile za roślinność można było wziąć porastające tu i ówdzie podłoże trawy i pojawiające się od czasu do czasu niewielkie wysuszone krzewy.

Szłam z przodu, pozwalając pozostałym iść moimi śladami. Suche, gorące powietrze utrudniało oddychanie. Moje ciało było zroszone potem od czubka głowy do palców u nóg. W końcu Joasia dogoniła mnie i bardziej stwierdziła, niż zapytała:

- Zakładam, że odbyłaś rozmowę z Mateuszem.

- Skąd wiesz? - zapytałam zdziwiona.

- Taka nić porozumienia między wami. - Mrugnęła do mnie. - A tak serio, to widziałam was rano, no i chyba bardziej miałam nadzieję, że rozmawiacie, niż domyśliłam się czegoś.

- Muszę więc powiedzieć, że twoje nadzieje spełniły się. Powiedział wreszcie, co mu leżało na sercu.

Krótko streściłam przyjaciółce poranną rozmowę z Mateuszem.

- Jego obawy były dokładnie takie same jak moje - dodałam, kończąc. - Ale mimo tych trudności, które czekają nas po powrocie, jego słowa w jakiś sposób sprawiły, że jestem spokojna. Trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Po półgodzinnym marszu wcisnęliśmy się za większy głąz rzucający wystarczającą ilość cienia, by osłonić nas przed lejącym się z nieba żarem. Siedzieliśmy za głązem może kwadrans, gdy nagle pojawił się Vertus. Szybko poprosił na chwilę Angelo. Odeszli na bok, gdzie przez moment Vertus tłumaczył coś Wojownikowi, po czym obaj wrócili do nas. Angelo nic nie mówiąc, wyciągnął do mnie dłoń, jakby chciał pomóc mi wstać. Zrozumiałam jego gest i podałam mu rękę.

Wzrokiem nakazał pozostałym milczenie i pociągnął mnie za sobą. Odeszliśmy niecały kilometr w górę, jak zwykle serpentyną, po czym schroniliśmy się za głazem nieco większym niż ten poprzedni. Dopiero tutaj miałam odwagę się odezwać:

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?
- Żebym to ja wiedział - odparł Angelo.
- No ale przecież Vertus kazał ci...
- Vertus wytłumaczył mi, jak daleko mam cię zabrać, którądy iść i gdzie zaczekać - powiedział łagodnie.
- Pewnie chciał z nimi porozmawiać - stwierdziłam.
- Tak. I nie chciał, żebyśmy przy tym byli, ani cokolwiek usłyszeli - skończył myśl Wojownik.
- Ale jak dowiemy się, że skończyli? - zapytałam.
- Mamy tu siedzieć i czekać. Gdy słońce przestanie tak prażyć, oni przyjdą i ruszymy dalej - wyjaśnił. - Nie daje mi spokoju myśl, co takiego chciał im powiedzieć, a przy czym my nie możemy być.
- Troszkę to dziwne - przyznałam. - Ale myślę, że w końcu i tak wszystko się wyjaśni.

- Prędzej czy później i tak dowiesz się, co było tematem naszej rozmowy z Vertusem, na razie jednak proszę, żebyśmy o tym nie mówili - powiedziała Joasia, gdy wspinaliśmy się dalej. Chłopcy dwadzieścia metrów za nami grali tylną straż i rozmawiali.
- Więc nie spiskujecie? - zapytałam, śmiejąc się.

- Skądże! - Joasia puściła do mnie oczko, chociaż po jej minie widziałam, że nad czymś mocno się zastanawia i najwyraźniej ma twarde orzech do zgryzienia.

- No dobrze - odparłam. - Zostawmy to w takim razie.

Droga była coraz bardziej stroma i trudna. Posuwaliśmy się o wiele wolniej, ale mieliśmy nadzieję, że następnego dnia dotrzemy na szczyt. Było późne popołudnie, lecz słońce nadal dokuczało, rzucając w naszą stronę swoje gorące promienie. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

W końcu nasi towarzysze dotarli do nas i razem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy znaleźliśmy dogodne miejsce na nocleg. Była to skała z wierzchu prawie tak idealnie płaska, że przypominała wielką patelnię. Rozłożyliśmy nasze posłania, a zostało na niej jeszcze sporo miejsca.

Odeszłam kawałek od reszty, wyciągnęłam Divendiego i przywołałam Biały Ogień. Kamień rozbłysnął. Moi towarzysze odwrócili się zdziwieni w kierunku blasku, lecz gdy machnęłam w ich stronę ręką, żeby nie zwracali na mnie uwagi, wrócili do swoich zajęć.

Divendi wisiał w powietrzu pół metra przede mną. Przymknęłam oczy i spróbowałam połączyć się z istotą Kamienia. Poczułam delikatne pulsujące poruszenie, gdzieś na brzegach mojej świadomości, jakbym zetknęła się umysłem z inną istotą. Sformułowałam powoli w myśli pytanie o przekazanie komuś Diveny. Przez chwilę nic się nie działo, potem tajemnicza świadomość jakby przekazała

mi swoje myśli. Wiedziałam już, na co powinnam zwrócić uwagę. Uśmiechnęłam się w myśli do Divendiego, który zapulsował na krańcu mojej świadomości i znikł. Otworzyłam powoli oczy i powiesiłam Kamień z powrotem na szyi.

Wróciłam do pozostałych i powiedziałam:

- Nadszedł czas. Musimy się przygotować. Angelo, ty chwilowo nie będziesz miał nic do roboty. W razie gdyby stało się coś nieprzewidzianego, Divendi przekaże ci myślową wiadomość, co masz robić.

Wojownik skinął głową.

- Wy zaś - zwróciłam się do Joasi i Mateusza - stańcie kawałek od siebie tak, żeby między wami mógł zmieścić się Vertus.

Zrobili, o co prosiłam.

- Teraz zamknijcie oczy i rozluźnijcie się. Nie wiem, jak to będzie dokładnie wyglądało, ale możecie poczuć coś obcego w sobie, jakąś siłę. Proszę, spróbujcie się na nią otworzyć.

Joasia uśmiechnęła się, chcąc dodać mi otuchy, choć widziałam jej niepewność.

- Dobrze, postaramy się, a ty skup się na swoim zadaniu. Przecież oboje wiemy, że chcecie nam pomóc - powiedział spokojnie Mateusz.

W tej samej chwili między nimi pojawił się mój Przodek, mówiąc:

- Witam. Skoro wszyscy już gotowi, nie ma na co czekać - rzekł i zamknął oczy.

Rozluźniłam się, zdjęłam Divendiego z szyi i przywołałam Biały Ogień. Wyciągnęłam ręce w kierunku przyjaciół. Od Vertusa zaczął płynąć jasny strumień Diveny, która przez Kamień docierała do mnie, a kierowana przez moje wyciągnięte dłonie dopływała do Joasi i Mateusza. Czułam przepływające przeze mnie ciepło. Po chwili na ramionach obojga moich przyjaciół ukazały się znaki - kółko i odchodzące od niego cztery promienie Diveny. Wyglądały jak symbole Wojowników, te ostatnie miały jednakże osiem promieni. W pewnym momencie Divendi dał mi znak, żebym skończyła. Przerwałam więc, a stojąca przede mną trójka otworzyła oczy. Vertus odsunął się do tyłu, a Joasia i Mateusz spojrzeli na siebie, po czym uklękli przede mną i zaczęli wypowiadać słowa tak bardzo podobne do tych, które raz usłyszałam z ust Angelo:

- Niezależnie od tego, co się stało i do czego zostaliśmy zobowiązani, chcemy przyrzec ci, Dziedzicu, że zawsze będziemy przy tobie i będziemy wspierać cię bez względu na konsekwencje, choćbyśmy mieli ponieść śmierć. Prosimy, uczyn nas członkami Drużyny Diveny, która z tobą wyruszy do walki ze Złem z Czary Zła.

Zatkało mnie, przez chwilę zupełnie nie rozumiałam, co się dzieje. Kiedy jednak zaczęło powoli do mnie docierać, jakie znaczenie mają ich słowa, wszystko wydało mi się jasne. To o to chodziło Vertusowi, kiedy chciał z nimi sam na sam porozmawiać. Pewnie dobrze przemyślał tę sprawę. Musiał zaproponować im takie rozwiązanie, mając na uwadze ich bezpieczeństwo. Nie mógł przecież im tego

powiedzieć przy nas, musieli sami podjąć decyzję. Jeśli więc według niego Joasia i Mateusz staną się bezpieczniejsi, będąc członkami mojej Drużyny, niech tak będzie. Po chwili wahania wyciągnęłam nad ich głowami dłonie i dotknęłam ich Diveną, mówiąc:

- Przyjmuję waszą służbę. Należycie odtąd do Drużyny Diveny.

Na znakach na ich przedramionach, tak jak u Angelo, pojawiły się strzały, które lśniły Diveną. Nowi członkowie Drużyny wstali i pokłonili się lekko. Skinęłam głową w ich stronę i odeszłam w kierunku Vertusa, podczas gdy Angelo wyjaśniał im, że koło z promieniami to zapewne symbol towarzyszy Wojowników Diveny, a strzała - przynależności do Drużyny.

- Ona rozbłyśnie tym samym błękitnym światłem co Kamień, jeśli w pobliżu znajdzie się Zło. Ja mam podobną. - Wojownik pokazał im swój symbol.

- Jak się czujesz? - zapytałam Vertusa.

- Świetnie. Nie czuję uszczerbku w swojej wewnętrznej sile. Mam tylko nadzieję, że nasze zabiegi odniosą widoczne efekty i tych dwoje będzie miało się czym bronić przed Złem - odparł.

- Jak myślisz, kiedy się o tym przekonamy? - zapytałam.

- Czas pokaże - powiedział, po czym jak zwykle skłonił się lekko i zniknął.

Ułożyliśmy się do snu. Przed samym zaśnięciem usłyszałam jeszcze szept Angelo:

- To o Drużynie Diveny Vertus rozmawiał z Joasią i Mateuszem.

- Wiem - powiedziałam. - Chociaż chyba nie wpadłabym na to wcześniej.

Angelo zaśmiał się cicho, a ja po krótkiej chwili odpłynęłam do krainy snu.

Z objęć Morfeusza wyrwałam się gwałtownie, z krzykiem, cała złana potem.

- Ciii... - Joasia chwyciła mnie i potrząsnęła. - To był tylko zły sen. Nie bój się, jestem tutaj.

Trzęsłam się ze strachu. Wciąż miałam przed oczyma tę scenę: Joasia i Mateusz torturowani przez sługi Zła. We śnie byłam tuż obok nich, patrzyłam na ich męki i widziałam pragnienie śmierci w ich oczach, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca, aby im pomóc.

Spojrzałam na Joasię. Była chyba przejęta tym, że obudziłam się z krzykiem. Wszyscy byli na nogach, mimo że był środek nocy. Chyba nieźle ich wystraszyłam...

Mocno przytuliłam zdziwioną przyjaciółkę i szepnęłam jej do ucha:

- Dobrze, że jesteś.

- Ależ ja zawsze będę tutaj. Nie martw się - odparła.

Skąd możesz wiedzieć, że będziesz zawsze obok mnie?
- pomyślałam. Moim ciałem nadal wstrząsały dreszcze, a serce łomotało jak oszalałe.

- Przepraszam was, kochani - powiedziałam cicho, kiedy zdołałam się trochę uspokoić.

Mateusz chwycił mnie za rękę i uścisnął. Spojrzałam na niego z wdzięcznością, po czym zwróciłam się do Angelo:

- To Twarz zsyła mi wizje, złe sny, jestem tego niemal pewna. Noszą te same znamiona, co wizje. Czarna jak smoła mgła, przejmujący wiatr znikąd i ten strach... Nie wiem, co ma na celu, ale chyba chce mnie zamęczyć psychicznie...

Wojownik, zaniepokojony, zapytał:

- A co widziałaś tym razem?

- Tortury... - Zmarszczyłam brwi i dodałam: - Nie mogłam im zapobiec.

Wiedziałam, że do rana już nie zasnę, ale nie mogłam pozbawiać możliwości odpoczynku moich towarzyszy. Kiedy więc wreszcie zdołałam ochłonąć i uspokoić się, udałam, że zasnęłam. W chwilę później oni również ułożyli się do snu. Niedługo po tym, gdy słysząc ich miarowe oddechy, upewniłam się, że śpią, wstałam, przeciągnęłam się i ruszyłam ku skrajowi „patelni”. To siedząc, to leżąc i podziwiając rozgwieżdżone niebo, co uwielbiałam i co mnie uspokajało, trwałam aż do świtu, kiedy nadeszła pora na pobudkę.

Zjedliśmy śniadanie, na które składały się po dwie czerwone gruszki i łyk wody. Już poprzedniego wieczoru stwierdziłam, że mimo naszej oszczędności nie możemy być pewni, że jedzenia i picia wystarczy nam do czasu, kiedy zbierzemy nowe zapasy. Ten moment nie musiał wcale nadejść lada dzień. Pocieszała mnie tylko myśl, że coraz bardziej zbliżaliśmy się do szczytu.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Mimo że stroma i trudna do pokonania zanadto nas nie męczyła. Po tylu dniach chodzenia nasze organizmy były coraz bardziej przyzwyczajone do wysiłku fizycznego. Zniknęły zakwasy, popękały i pogoły się bąble na stopach, tylko organizmom brakowało pożywnej diety.

Powietrze było chłodne i orzeźwiające. Oddychało się wprawdzie ciężko, ale o wiele łatwiej, niż kiedy grzało słońce. Dlatego też najlepiej chodziło nam się od świtu do przedpołudnia i wieczorami.

Byliśmy już wysoko. Był stąd wspaniały widok: bliskość chmur, które wydawały się być niemalże na wyciągnięcie ręki, wyłaniające się powoli zza gór słońce, w dole zieleń lasu, przecinająca ją srebrną wstęgą niewielkiej rzeki, a w oddali skalista wyżyna porośnięta karłowatymi drzewkami. To gdzieś stamtąd rozpoczęliśmy naszą podróż. Przystanąłam na chwilę i spoglądałam przed siebie, gdy nagle w zasięg mojego wzroku wszedł Mateusz. Uśmiechnął się, a mnie jasno zrobiło się na sercu. Zaczekał, aż dojdę do niego, i przytulił mnie.

- Co się stało? - zapytałam niepewnie, zastanawiając się, skąd ten nagły objaw czułości. Jakoś trudno było mi się do tego przyzwyczaić.

- Cieszę się twoją obecnością - powiedział. - I podziwiam widoki - dodał po chwili, patrząc mi prosto w oczy.

- Widoki? - Zaśmiałam się, rozluźniając nieco. - Chyba patrzysz nie w tę stronę, co trzeba.

- Gdzieżby tam. - Uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od moich oczu. - Patrzę dokładnie tam, gdzie trzeba. Nawet te piękne krajobrazy nigdy nie przewyższą pięknem widoku, na który spoglądam.

- No niech mnie... - powiedziałam, śmiejąc się i wtulając w jego ramiona. - Obudził się w tobie poeta!

Pod koniec dnia stanęliśmy na pogrążonym we mgle szczycie góry.

Poprzedniego wieczoru, gdy dotarliśmy na szczyt, było już na tyle ciemno, że nie było sensu męczyć sobie oczu wypatrywaniem po drugiej stronie góry tego, co niewidoczne. Dlatego też następnego ranka naszą pierwszą czynnością było przyjrzenie się nieznanym terenom u stóp tego masywu górskiego. Co odleglejsze widoki przykrywała jeszcze mgła, pozostało nam więc tylko zastanowienie się nad tym, co robimy dalej. Usiedliśmy na skałach.

Wiatr wiał mocno, sprawiając, że włosy sterczały w każdą możliwą stronę. Po ostatnich dniach, kiedy szliśmy w pełnym słońcu, byliśmy spieczeni jak raki. Gdyby nie nasze skarby z apteczki, to chyba obłazilibyśmy już ze skóry. Dotykanie mocno zaczerwienionych i napiętych fragmentów nie należało do najprzyjemniejszych. Wyjęłam z plecaka tubkę z maścią i wycisnąwszy z niej odrobinę, podałam opakowanie Joasi.

- Siedzieć tu i czekać nie ma sensu - stwierdził Angelo.

- Masz rację - powiedziałam, wcierając specyfik w ramiona. - To nam w niczym nie pomoże, a mgły

oczekiwaniem nie podniesiemy.

- No i nie mamy już nic do jedzenia - dodała Joasia.

- W takim razie najlepiej będzie, jeżeli zaczniemy schodzić - stwierdziłam.

- Tylko teraz nie wolno się spieszyć, za to trzeba patrzeć pod nogi i bardzo uważać - zauważył słusznie Mateusz. - O upadek tutaj nie trudno.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, po czym zabrawszy swoje rzeczy, ruszyliśmy w dalszą drogę. Stromy, kamienisty stok był niemal jak przepaść, musieliśmy być niezwykle ostrożni. Po pół godzinie zatrzymałam się. Niewysypianie się przez niepokojące sny, które zsyłał mi mój wróg, dawało mi się we znaki. Nie byłam w pełni sił, zmęczenie przychodziło zbyt szybko. Joasia również zatrzymała się, a ja, ciężko siadając na skale, sapnęłam:

- Muszę chwilę odpocząć. Idźcie dalej.

Przyjaciółka niemalże natychmiast dodała:

- Idźcie, a my was za chwilę dogonimy.

- Nie będziemy szli szybko - powiedział tylko Mateusz i razem z Angelo powoli ruszyli.

Joasia tymczasem usiadła obok mnie i powiedziała z lekkim wyrzutem:

- Ty chyba w ogóle nie sypiasz.

Pochyliłam się, przyglądając się z uwagą własnym butom. Były już tak znoszone i brudne, że chyba tylko cudem jeszcze trzymały się kupy. Westchnęłam głęboko i zmarszczyłam czoło.

- Chciałabym, ale nie mogę. Sen, nawet krótki, nie daje mi w ogóle odpoczynku, kiedy zaczynają się w nim pojawiać te koszmarne obrazy. Ale nie martw się o mnie. Jeszcze trochę i będziemy na dole, myślę, że wtedy, jak wreszcie zjemy coś porządnego i umyjemy się w jakimś strumieniu, wyśpię się porządnie. - Uśmiechnęłam się do przyjaciółki, chcąc ze wszystkich sił uwierzyć w to, co mówiłam.

Joasia doskonale wiedziała, że tylko próbuję ją uspokoić, ale nie powiedziała nic, nie mogła mi przecież pomóc.

- Powiedz lepiej, jak się czujesz po wczorajszym dniu.

- Źle się czuję, boli mnie głowa... ale myślę, że to z konkretnego powodu - odparła dziewczyna.

- Jakiego? - zaniepokoiłam się.

- Z powodu tego, co się stało. Chyba pojawiły się skutki przekazania Diveny. - Spojrzała na mnie z wahaniem.

Skinęłam głową, żeby kontynuowała.

- Bo widzisz... ja parzę!

- Jak to parzysz? - spytałam lekko zaskoczona.

- Przekonaj się sama - odrzekła. - Spojrzę na ten kamień, a gdy dam ci znać, to go delikatnie dotkniesz, dobrze?

- Dobrze - odparłam.

Joasia zrobiła, co powiedziała, po czym skinęła na mnie głową. Powoli dotknęłam kamienia. Był gorący, mimo że słońce nie mogło go nagrzać.

Mgła powoli unosiła się i lada chwila mieliśmy zobaczyć to, do czego zmierzaliśmy - krajobraz po drugiej stronie gór. Skoro wreszcie dane nam będzie to zobaczyć, trzeba obrać jakiś konkretny cel, do którego będziemy dążyć, gdy już dotrzemy do stóp wzniesienia. A co, jeżeli okaże się, że tam jest tylko las? Wtedy trudno nam będzie znaleźć jakiś konkretny cel. Będziemy mieli jedynie wątpliwy zaszczyt wybrania między siedzeniem i czekaniem a ruszeniem w dalszą drogę i błąkaniem się bez celu w zielonym gąszczu. Każdy z nas zdawał sobie chyba z tego sprawę, więc mimo że o tym nie rozmawialiśmy, ze zniecierpliwieniem czekaliśmy na to, co miało ukazać się naszym oczom.

W końcu mgła ustąpiła zupełnie i zobaczyliśmy zieleni aż po kres horyzontu, a pośrodku, w oddali, trzy błyszczące trójkąty tuż obok siebie, jakby ułożone w płaską piramidę. Z naszej perspektywy były wielkości pudełka zapalek.

Zatrzymałam się i wskazując na trójkąty, zapytałam:

- Czy któreś z was ma jakiś pomysł, co to może być?

Pozostali tylko pokiwali przecząco głowami.

- A macie coś przeciwko temu, żeby iść w ich kierunku?

- Chyba nie - powiedział Wojownik.

- Tak naprawdę nie ma tu żadnego innego celu do obrania. Lepiej mieć jakikolwiek, ale konkretny, niż nie mieć żadnego - stwierdził Mateusz. Mogliśmy się tylko z nim zgodzić.

Szliśmy powoli w dół. Joasia tuż obok mnie, a chłopcy trochę bardziej z przodu. Byłam zamyślona. Zastanawiałam

się, czym mogą być trójkąty przed nami i czy aby na pewno dobrze robimy, idąc w ich kierunku. Muszą być jakoś związane z naszą Próbą.

Z zamyślenia zostałam wyrwana nagle, ponieważ pod moimi stopami niespodziewanie pojawił się spory kamień. Nie zauważyłam go, potknęłam się i... runęłam w dół. Ogarnął mnie paniczny strach. Po chwili usłyszałam krzyk Joasi. Spadałam, uderzając o skały, które boleśnie mnie raniły, rozrywając skórę i ze stukotem ścierając się z kośćmi. Czułam ogromny ból. Próbowałam Diveną uchwycić się czegoś, ale panika nie pozwalała mi na koncentrację. Odruchowo usiłowałam złapać się kamieni, by wyhamować, kiedy poczułam mocne uderzenie w głowę i straciłam przytomność.

XII

- Słyszysz mnie?

Niewyraźny głos dochodził jakby zza grubej zasłony. W całym ciele czułam okropny ból, który jednak najbardziej dawał się we znaki w okolicy lewej kości udowej, prawego ramienia i tyłu głowy.

Powoli spróbowałam otworzyć oczy. Poraził mnie blask księżyca, więc je zamknęłam. Ponowna próba powiodła się zdecydowanie lepiej. Zobaczyłam pochylonego nade mną Mateusza.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Westchnęłam ciężko i wyszeptałam:

- Nie za dobrze, ale jakoś to przeżyję. Co się stało? Nic nie pamiętam...

- Musisz mu podziękować - powiedział Angelo, podchodząc i wskazując na siedzącego obok mnie Mateusza. - Ja spostrzegłem zbyt późno, że spadasz. Nie zdążyłbym zadziałać swoją wewnętrzną siłą. Mateusz z pomocą Diveny stworzył jakąś nić między wami i to powstrzymało cię przed upadkiem. Potem wspólnymi siłami wciągnęliśmy cię z powrotem. Ale gdyby nie on... Co ty

u licha robisz?! - zapytał zaskoczony, widząc, że próbuję się podnieść z mizernym skutkiem. - Nie możesz wstawać!

- Właśnie! Przez pół dnia leżałaś nieprzytomna... Nie ma mowy! - Joasia poparła go gorąco, próbując przy okazji udaremnić moje wyczyny i położyć z powrotem.

- Ale ja muszę... - Rozpaczliwie, choć z kiepskimi efektami, stawiałam im opór.

- Na razie, dopóki twoje rany się nie zagoją, a kości nie zrosną, żadna siła nie przekona mnie, że powinnaś wstać! - powiedziała stanowczo moja przyjaciółka i ułożyła mnie z powrotem na sporządzone posłanie.

Wiedziałam, że nie będą mnie słuchać.

Pomocy! - pomyślałam. - Ja chcę się uzdrowić!

Mateusz spojrział na mnie zdziwiony. Popatrzyłam mu w oczy i pomyślałam jakby pod jego adresem: „Co?”. On wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony. Nagle usłyszałam w myślach jego głos:

- *Słyszę cię w swojej głowie!*

- *Ja ciebie też!* - przesłałam totalnie zaskoczona.

To musiał być efekt przekazania mu Diveny. Delikatnie przecząco pokręciłam głową, chcąc dać mu do zrozumienia, że teraz nie czas na rozmowę o tym. Uśmiechnęłam się mimo bólu i poprosiłam go w myśli:

- *Pomożesz mi wstać?*

- Muszę usiąść... - szepnęłam jeszcze raz, tym razem na głos. - Nie dam... nie dam rady sama. Ale potrafię... sobie samej pomóc. - Z bólu niemal zachłysnęłam się powietrzem.

- Nie ma mowy, żebyś wstawiała w takim stanie - powiedział z troską, ale i stanowczo Angelo.

- Ale ona ma rację - poparł mnie Mateusz. - Przecież mówi, że może siebie uzdrowić. - Z tymi słowami zaczął mnie powoli podnosić.

Starałam się mu pomóc, ale mimo jego delikatności nagle moje ciało przeszył ogromny ból i krzyknęłam.

- Powoli! - krzyknęła przestraszona Joasia i razem z Angelo rzucili się, by pomóc Mateuszowi.

W końcu się udało, ale takiego bólu jeszcze nigdy nie czułam. Jeśli jednak miałam spróbować się uzdrowić - a powinno to się udać, gdyż rany nie zostały zadane ani Diveną, ani w wyniku żadnej z części Próby - to musiałam przynajmniej usiąść. Potrzebowałam zobaczyć swoje rany. Nie mogłam sama siedzieć prosto, więc za moimi plecami usiadł Mateusz, bym mogła się o niego wygodnie oprzeć.

Walcząc z bólem, wyjęłam Błękitny Kamień i położyłam na lewej dłoni, gdyż prawej nie mogłam unieść. Rozpaliłam w nim Biały Ogień i nakazałam mojemu Słudze, by mnie uzdrowił z ran za pomocą mojej Diveny. Po kolei przyglądałam się stłuczeniom, złamaniom i opuchliznom. Otoczyła mnie jasnoblękitna poświata, a w całym ciele poczułam przyjemne mrowienie i ciepło. Ból powoli i stopniowo ustępował, aż po kilku minutach przestałam go czuć zupełnie. Łuna znikła, a ja podziękowałam Divendiemu.

Powoli podniosłam się i o własnych siłach, nie czując bólu, stanęłam przed przyjaciółmi. Patrzyli na mnie

z niedowierzaniem, ale i niepokojem. Nie dziwiłam im się. Mimo że rany i złamania znikły, czułam się bardzo osłabiona, co mogło odbić się na mojej twarzy. Ich niepokój tylko ugruntował się, gdy nagle zakręciło mi się w głowie i zachwiałam się. Mateusz delikatnie pochwycił mnie w porę, zanim wylądowałam na ziemi.

- No dobra, dosyć tego. Teraz masz grzecznie się położyć i wypocząć - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Położyłam się i odetchnęłam. Może i nie czułam się najlepiej, bo ogarnęła mnie ogromna słabość, ale przynajmniej nic mnie już tak bardzo nie bolało. Dopiero teraz rozejrzałam się wokół. Byliśmy niewiele poniżej miejsca, z którego - jak sobie przypominałam - spadłam.

Mateusz usiadł obok mnie i otoczył ramieniem, pozwalając, bym się o niego oparła. Joasia uśmiechnęła się do mnie znacząco i pociągnęła gdzieś Angelo.

- Napędziłaś mi stracha... - westchnął chłopak.

- Dzięki za ratunek - odparłam.

- To ja dziękuję. Gdyby nie to, że przekazałaś mi Divenę, nic nie mógłbym zrobić. Wiem, że i tak byś nie zginęła, bo obudziłabyś się w naszym świecie, ale miałbym ten obraz przed oczami do końca życia...

- Ja niczego nie jestem pewna - stwierdziłam. - Nawet tego, że nie mogę tu zginąć, bo podobno śmierć tutaj oznacza obudzenie się tam, z niezaliczonym egzaminem z Diveny. Czy ja mogę nie przejść pomyślnie tej Próby? I czy aby na pewno wróciłabym do naszego świata?

- Nie strasz mnie, dobrze? - Zaśmiał się, choć wiedziałam, że mówi poważnie. Spojrzał mi w oczy. - Gdybyś zginęła, ja nie byłbym w stanie żyć. Nie miałbym dla kogo...

Wtuliłam się bez słowa w jego silne ramiona. Czułam się w nich bezpiecznie i choć wiedziałam, że to tylko złudzenie, wydawało mi się, że nic mi nie może grozić.

- Jak dokładnie działa przekazany ci dar? - zapytałam po kilku chwilach.

- Chyba jak... lasso. No i możemy się porozumiewać poprzez myśli - odparł.

- To właśnie jest niebywałe... - Byłam zaintrygowana. - Ciekawe, czy to działa jak telefon komórkowy, tyle że za darmo... w sensie czy na dużą odległość będzie tak samo? Byłoby dobrze być z tobą w stałym kontakcie. - Uśmiechnęłam się.

- Podoba mi się ten pomysł. Znowu potwierdza się, że jesteśmy w specjalny sposób ze sobą połączeni. - Uśmiechnął się. - Tyle tylko, że tym razem chodzi jedynie o nas... - powiedział to tak miękko, jakby mówił o jakimś niebywałym skarbie.

Zrobiło mi się niespodziewanie lekko na duszy i poczułam się naprawdę szczęśliwa.

- A jak się czujesz? - zapytał.

- Jestem bardzo słaba, ale myślę, że niedługo mi przejdzie.

- Jutro zostaniemy jeszcze tutaj - stwierdził nagle pewnym siebie głosem.

- Ale nie możemy przerywać podróży tylko ze względu na mnie! - zaproponowałam.

- Ani Joasia, ani Angelo, ani też ja nie będziemy się zanadto przejmować twoim zdaniem, słonko. Nie masz w tej sprawie zbyt wiele do gadania.

- Mimo to nie zgadzam się - powiedziałam, próbując brzmieć stanowczo, mimo że właśnie rozdzierająco ziewałam. - Dam sobie radę.

Spojrzał na mnie i powiedział:

- Porozmawiamy o tym później, dobrze? Tak, żeby wszyscy zainteresowani byli obecni.

Kiwnęłam głową. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno, a przed oczami zapanowała zupełna pustka. Zacisnęłam dłonie na otaczających mnie ramionach Mateusza. W moim sercu pojawiło się druzgoczące przerażenie... Zbyt dobrze wiedziałam, czego się spodziewać. Drżałam na całym ciele, wszystkimi siłami starając się zatrzymać cisnący się w gardle okrzyk trwogi, gdy przed moimi oczyma powoli wyłaniała się z nicości wielka misa.

Wiedziałam od razu, co mam przed sobą - to była Czara Zła. Ogromne naczynie, zrobione z czarnego marmuru, wypełniała niemalże po brzegi smolista czarna ciecz. Sponad niej, jakby z tej pustki, skapywały kolejne krople płynu, wpadając do Czary. Już niewiele trzeba było czekać, by Czara się przepełniła. Nagle naczynie znikło, a na jego miejscu pojawiła się Twarz jeszcze bardziej odrażająca niż poprzednio - była bledsza, skórę pokrywały dziwne, jątrzące się bąble. Krwistoczerwone oczy lśniły

makabrycznie, przebijał przez nie blask nienawiści, czystego Zła.

- *Już niedługo... Już niedługo!* - *Usłyszałam odpychający szept i tuż po nim szyderczy śmiech. - Żaden Dziedzic, żadna Divena nie jest w stanie mnie powstrzymać! A oni nadal w to wierzą! Przekonają się, co to znaczy! Ona jest za słaba! Ulegnie mi!* - Twarz przeszła mnie wzrokiem. - *Ulegnie mi...*

Wiedziałam, że ma na myśli mnie... Nagle Twarz znikła, a przed moimi oczami zaśnił blask, jak niewielki, ale bardzo jasny płomień, z którego doszedł do mnie głos otulony jakby delikatnym dźwiękiem dzwoneczków:

- *Dziedzicu, nie upadaj! Dąż za swoim żywiołem i obserwuj znaki! Dotrzesz do celu i otrzymasz pomoc! Wszystkie siły świata wspierają cię!*

Niebiańskie dźwięki umilkły, a ja powoli wróciłam do rzeczywistości i zobaczyłam zatroskaną Joasię. Podniosłam się mimo osłabienia i rozejrzałam. Mateusz leżał na ziemi i nie ruszał się. Angelo próbował go ocucić. Rzuciłam się w jego stronę. Dotknęłam jego policzka i szepnęłam do Wojownika:

- Co mu się stało?

- Nie mam pojęcia. Po prostu... zemdłał - odpowiedział równie zaniepokojony co ja.

- Tak bez przyczyny? - Zaczęłam nerwowo ocierać twarz Mateusza wodą z butelki podanej mi przez Joasię. - Nie wierzę.

- Masz rację - powiedział Angelo po chwili zastanowienia. - Zanim zemdlał, próbował jakby... jakby... - Spojrzał na mnie niepewnie. - Z tobą też działo się coś dziwnego.

Spojrzałam mu w oczy i powiedziałam:

- Miałam wizję.

- Stąd te dreszcze. A on jakby... był tam z tobą...

Te słowa dały mi do zrozumienia, co stało się z Mateuszem. On musiał myślami połączyć się ze mną w czasie wizji! A przynajmniej próbował...

- Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem - powiedział Mateusz, kiedy tego samego wieczora, po zjedzeniu posiłku, zostaliśmy na chwilę sami.

Po tej dziwnej utracie przytomności dość szybko doszedł do siebie, ale nie mieliśmy szansy porozmawiać od razu na osobności.

Skinęłam głową, a on kontynuował:

- Gdy zobaczyłem, jak drżysz, zrozumiałem, że znów masz wizję i po prostu wiedziałem, że nie mogę cię zostawić. Nie miałem zamiaru wchodzić do tej wizji, zresztą nie zrobiłem tego. Zacząłem wołać do ciebie w myślach, próbowałem cię stamtąd wyciągnąć, a w odpowiedzi usłyszałem to, co... co chyba słyszałaś ty... - Spojrzał na mnie z wahaniem.

Zajrzałam mu głęboko w oczy, a on odwzajemnił spojrzenie, mówiąc:

- Nie ulegniesz mu! Ja nie pozwolę!

- Ty to naprawdę słyszałeś! - powiedziałam z niedowierzaniem. - Ale jak?

- Nie wiem. Wiem tylko, że więcej już tego nie zrobię.

- Bo ja nie chcę? - zapytałam.

- A chcesz? - spytał, po czym, jakby sam zaskoczony swoimi słowami, zachnął się i rzekł: - Po prostu nie mogłem patrzeć, jak znów się męczysz... Chciałem ci pomóc przez to przejść.

- Przez chwilę przyszło mi do głowy, że chciałeś po prostu sprawdzić, co widuję w tych wizjach... - przyznałam.

- Przepraszam. Nie mam powodu podejrzewać cię o złe intencje.

- Daj spokój. Idiotyczna sytuacja. Zareagowałem, zupełnie nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Wszystko stało się zbyt szybko, pewnie dlatego, że zupełnie jeszcze nie znam tej więzi myślowej, którą mamy.

- Dojdziemy i do tego. Na razie zostawmy to dla siebie, dobrze?

Mateusz tylko skinął krótko głową, po czym wstał i poszedł porozmawiać z Angelo na temat planu na kolejny dzień. Nagle tuż obok mnie pojawił się Vertus. Spojrzał na moich towarzyszy okiem znawcy i powiedział pod moim adresem:

- No i?

- No i co? - odparłam pytaniem na pytanie. - Pojawiłeś się, żeby zorientować się w sytuacji?

- Mniej więcej. - Zaśmiał się. - Nie mogłem wcześniej, choć wiedziałem, że stało ci się coś złego. No ale opowiedz

mi o wszystkim.

Uśmiechnęłam się i zaczęłam referować:

- Spadłam, a uratował mnie Mateusz. - Widziałam kątem oka, że Vertus uniósł brwi. - Stworzył dzięki przekazanej mu Divenie jakąś nić i powstrzymał mnie od upadku w przepaść. A Joasia potrafi parzyć wzrokiem.

- Ciekawe, ciekawe... Więc wyszłaś z tego upadku cała?

- No niezupełnie - powiedziałam. - Miałam dwa złamanie, że już o stłuczeniach nie wspomnę, ale czego nie potrafi Divendi z moją wewnętrzną siłą?

- Chciałaś chyba powiedzieć, czego ty nie potrafisz. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

Odwzajemniłam uśmiech i powiedziałam cicho i ostrożnie:

- To jeszcze nie wszystko, Vertusie...

Tym razem spojrzał na mnie uważniej. Zawahałam się.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz mi niczego mówić - powiedział. - To ty jesteś Dziedzicem i ja nie mam prawa ingerować w twoje decyzje co do tego, czy chcesz coś zachować w tajemnicy, czy nie.

- Wiem o tym. - Uśmiechnęłam się. - I chcę się z tobą tym podzielić.

- No to śmiało - zachęcił.

- Mateusz potrafi coś jeszcze. Porozumiewa się ze mną poprzez myśli.

Po tych słowach nastąpiła chwila ciszy. Przerwał ją Vertus, mówiąc:

- Jestem pierwszy, który się o tym dowiedział?

- Tak - przyznałam.
- Chyba wiem, dlaczego nie chciałaś powiedzieć pozostałym.
- Wiesz? - Zdziwiłam się. - Więc jak sądzisz, czemu?
- Jeśli ktoś więcej będzie o tym wiedział, może się to obrócić przeciw wam.
- Właśnie. - Skinąwszy głową, przyznałam mu rację. - Dlatego wejście Mateusza do mojej dzisiejszej wizji wcale nie było dobrym pomysłem.
- Znow miałaś wizję... - powiedział z zatroskaniem. - Bardzo mi się nie podoba to, że przeciwnik tak cię nęka. To znaczy, że już na pewno wie, że się pojawiłaś i podjęłaś służbę. Miejmy tylko nadzieję, że jeszcze nie zna twojej tożsamości... - Przerwał na chwilę, zamyśliwszy się. - Ale dlaczego mówisz, że Mateusz wszedł do twojej wizji? - zapytał spokojnie.
- Poniekąd brał w niej udział. Odruchowo połączył się ze mną myślami i słyszał to, co ja słyszałam.
- To nie wina tego chłopaka, że usłyszał głos Zła - powiedział Vertus po kolejnej chwili milczenia. - Na pewno tylko chciał ci pomóc. To wina samego Zła. Nie może zadziałać na ciebie, bo chroni cię Divendi, a to najsilniejsza tarcza, jaką możesz mieć. Jednak może spróbować nękać pozostałych członków Drużyny Diveny, a oni nie mają się czym bronić, jeżeli ty ich przed Złem nie będziesz chroniła.
- Jak to? - zapytałam przestraszona. - Jak Zło może na nich działać?

- Może ich kusić. Kto wie, czy to właśnie nie nasz przeciwnik podkusił Mateusza, by wszedł do wizji pod pozorem pomocy tobie... Ale bądź dobrej myśli! - Położył mi rękę na ramieniu. - Im bliżej jesteście końca Próby, tym stają się wytrzymalsi i odporniejsi.

Z tymi słowami zniknął, pozostawiając mnie, jak zawsze, z pytaniami, które czekały na odpowiedź.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Joasia. - Jesteś ostatnio bardzo zamyślona i małomówna. Coś się wydarzyło w związku z twoimi sprawami?

- Nic mi nie jest - powiedziałam, mimo że przyjaciółka dobrze odgadła mój nastrój. Zawsze należała do tych, którzy potrafią bezbłędnie wyczuć każdą zmianę w nastroju osób, z którymi przebywają.

Po tym, co powiedział Vertus, niepokoiliam się o przyjaciół, jednocześnie zastanawiając się, jak im pomóc. Z czasem dowiadywałam się coraz więcej o Świecie Diveny i choć wiele spraw pozostawało nadal niejasnych, czułam, że wkrótce dużo się zmieni. Coraz częściej sięgałam po Divendiego, pytając o różne sprawy związane z moją wewnętrzną siłą. Istota Kamienia dozowała mi informacje, jakby odsłaniała powoli karty, które to ja trzymałam w rękach, ale których znaczenia nie rozumiałam. Wciąż jednak szukałam pomocy dla moich bliskich. Mogłam faktycznie sprawiać przy tym wrażenie ciągle zamyślonej.

Było wczesne popołudnie. Przedzieraliśmy się przez zielony gąszcz przy nieziemskim śpiewie ptaków. Nie

obawialiśmy się już słońca, bo chroniły nas od jego promieni liście drzew. Pogoda była cudowna na leniuchowanie, aczkolwiek nie do końca nadawała się na wędrówkę taką jak nasza. Byliśmy już wprawionymi podróżnikami, więc specjalnie nam to nie przeszkadzało. Dwa dni temu zostawiliśmy za sobą góry, wśród drzew znów mieliśmy pod dostatkiem pożywienia, szybko też udało nam się znaleźć zimny górski potok. Zbliżaliśmy się do tajemniczych trójkątów, a ja czułam, że nadchodzi coś ważnego. Moim dodatkowym zmysłem, danym mi wraz z moją wewnętrzną siłą, doświadczałam wrażenia, że tam, dokąd zmierzamy, odmieni się nasz los. Nie byłam jednak pewna, czy będzie to zmiana na lepsze.

Bardzo dziwiły mnie moje zachowania. Czułam, jak bardzo Świat Diveny na mnie oddziałuje - zmieniałam się pod względem uczuć i zachowań. Stare zasady modyfikowałam przez nowe doświadczenia i wnioski. Doskonaliałam w sobie zdolność zachowywania spokoju i używania zdrowego rozsądku przez całą dobę, zwłaszcza w momentach krytycznych. Przyzwyczajałam się do rzeczy niesamowitych i zaskakujących, uczyłam się reagować na nie ze spokojem. Wprawiałam się w nieustannym analizowaniu wszystkich wydarzeń i sytuacji, jednak nie potrafiłam zupełnie tłumić swoich uczuć. Czasem udało mi się je ukryć, zepchnąć na drugi plan, kiedy działo się coś ważniejszego, ale sprawić, żeby zniknęły, to chyba było niemożliwe.

W milczeniu szliśmy dalej, co jakiś czas przystając, by odetchnąć gorącym i ciężkim od wilgoci powietrzem. Wczesnym wieczorem, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a my znaleźliśmy już miejsce na nocleg i rozłożyliśmy nasz prowizoryczny obóz, wyciągnęłam mojego Sługę i w myślach wydałam mu rozkaz, by przywołał mojego przodka. Już po kilku sekundach Vertus stał obok mnie.

Spojrzałam z wahaniem na protoplastę rodu Divendi, a on tylko uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

- Skoro zanosi się na dłuższą rozmowę, to muszę cię zabrać gdzieś, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Możesz powiedzieć przyjaciołom, żeby się nie martwili?

Szybko zrobiłam, o co prosił, uprzedzając, że mogę wrócić naprawdę późno, niech więc nie czekają na mnie z kolacją. Kiedy wróciłam do Vertusa, ten chwycił moją rękę, a ja nagle poczułam lekkie łaskotanie w brzuchu. Zobaczyłam, jak świat wokół mnie zamienia się jakby w stado migoczących motyli i nagle znalazłam się z Vertusem w cudownej, wielkiej komnacie, całej ze złota i purpurowego marmuru.

Wypolerowana podłoga i ściany lśniły tak, że można się w nich było przejrzeć. Moje odbicie jednak nie wyglądało zbyt zachęcająco, więc postanowiłam nie zwracać nań uwagi. Pomieszczenie było ogromne. Z wysokiego sufitu zwisały imponującej wielkości, masywne i rzucające cudne refleksy kryształowe żyrandole. Nie paliły się jednak, ponieważ niezbędnego światła dostarczały szeregi okien na

dwóch przeciwległych, dłuższych ścianach komnaty. Okna sięgały od podłogi do wysokości żyrandoli, miały złoto zdobione framugi, uwieńczone ostrym łukiem. Na jednej z krótszych ścian prostokątnej sali stały otworem potężne, piękne złote drzwi. Kilka metrów od nich dwie złoto zdobione kolumny z czerwonego marmuru podtrzymywały sklepienie. Takie same dwie kolumny były po drugiej stronie sali, stojąc na straży podwyższenia, na którym królował cudowny, pięknie i bogato zdobiony złoty, wybity purpurą tron.

Rozglądałam się wokół, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Vertusie, czy ja śnię, czy to może jakieś twoje czary? - Moje słowa, choć wypowiedziane cicho, odbiły się echem po komnacie.

- To nie żadne czary. - Vertus roześmiał się. - Spójrz za okno i powiedz, co widzisz.

Zrobiłam, o co prosił.

- Widzę chmury i błękitne niebo, ale nie widać ziemi! Chyba ta mgła ją zasłania... - stwierdziłam zdziwiona, przyglądając się uważnie widokowi.

- Nadal jesteśmy w Świecie Diveny, ale już nie w tej części, w której odbywa się Próba. To tutaj udają się wszyscy Wojownicy po śmierci. Czekają tu na przyście Dziedzica, by pomóc mu w walce ze Złem z Czary Zła. Jednak żadne z nich nie weszło nigdy do pałacu, w którym się znajdujemy.

- To jakim cudem wszystko tu tak lśni?

- To, że jest to świat równoległy, nie znaczy, że wszystkie prawa natury są identyczne. Ten świat kryje wiele niespodzianek. Ta mgła to jedna z nich. Zastłania ona Pałac przed oczami Wojowników, zatrzymując w nim jednocześnie czas. Opadnie dopiero, kiedy przyjdzie odpowiedni na to moment.

- Co w takim razie my tu robimy? - zapytałam.

- Aido Nicoletto, przybyłaś do swego domu.

Zaniemówiłam. Mój... dom? Zamrugałam kilka razy, wbijając wzrok w białą, puchatą mgłę za oknami. Okrywała wszystko, co było poniżej, ale nie zastłaniała nieba. Delikatne obłoki wyglądały, jakby można było się po nich przespacerować, zapadając w miękki puch. Oderwałam w końcu oczy od hipnotyzującego widoku i zwróciłam się z drzeniem w głosie do Vertusa:

- Ja na to nie zasługuję.

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie z serdecznością.

- Zasługujesz na to wszystko i na jeszcze więcej ze względu na to, jaką odpowiedzialnością jesteś obarczona. Przecież doskonale wiesz, że zostałam wybrana na Dziedzica przez samą Divenę, więc tylko ty jesteś w stanie podołać tej służbie. - Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

Oczywiście wiedziałam, że miał rację. Ale mimo iż wierzyłam coraz mocniej w to, że sobie poradzę z czekającymi mnie zadaniami, jakaś inna część mnie wciąż drżała w obawach. Czułam się rozerwana na dwoje, trudno mi było to wszystko uporządkować.

Rozejrzałam się jeszcze raz po cudownej sali. Jej przepych zapierał dech, wystrój pełen był dobrego smaku. Wciągnęłam głęboko powietrze, uśmiechając się, i przez chwilę poczułam się naprawdę jak u siebie w domu. W końcu oderwałam wzrok od tych wspaniałości i zwróciłam się do mojego przodka:

- Vertusie, przez ostatnie dni mam bardzo złe przeczucia co do naszego losu. Coś mnie niepokoi.

Starzec podszedł do mnie i z troską objął ramieniem.

- Czuję to. Zło tak na ciebie działa. Musisz spróbować się na to uodpornić. Przede wszystkim jednak staraj się nie ulegać zwątpieniu. Wiem, że ta służba jest ciężka, jednak to ty zostałeś wybrana, by walczyć. Divena została przeznaczona właśnie tobie! Na ciebie przez wieki czekali Wojownicy, z myślą o tobie został stworzony ten świat, tobie oddany jest Divendi, Kamień Diveny. Wszyscy w ciebie wierzą! Uwierz w siebie, tego nikt inny za ciebie nie zrobi.

- Nie mam zamiaru poddawać się zwątpieniu - odparłam, uśmiechając się - ale prawda jest taka, że przeciwnik robi, co w jego mocy, by mnie pognębić.

- Czara się przepełnia... - powiedział Vertus. - On jest coraz silniejszy.

- Wiem - powiedziałam. - Przeciwnik nie omieszkał mi o tym przypominać. Ostatnia wizja też tego dotyczyła. Nie wiem tylko, ile mamy jeszcze czasu, choć jestem pewna, że niewiele.

- Pośpiech nic tu nie pomoże. I my, i przeciwna strona przygotowujemy się do Wojny od dawna, a wiem, że armia

Zła nie jest jeszcze w pełni gotowa. - Spojrzałam na niego zdziwiona. - Mamy szpiegów wszędzie, również w czasoprzestrzeni wroga - wyjaśnił.

Skinęłam głową i zaczęliśmy przechadzać się wokół sali. Vertus kontynuował:

- Niedługo nadejdzie czas twojego spotkania z Wojownikami. To wydarzenie nastąpi dopiero po twojej Próbie. Zabierze cię na to spotkanie wraz ze wszystkimi Wojownikami będącymi obecnie na ziemi Wielka Rada. Nie możesz dać po sobie poznać, że jesteś Dziedzicem. Ujawnisz się dopiero w ostatniej chwili. To ważne, żeby pozostali nie wiedzieli, kim jesteś - zachnął się. - Zresztą wiesz o tym najlepiej. A ja sam złapałem się na tym, że rozmawiam z tobą jak z początkującym Wojownikiem. Takie przyzwyczajenie starego człowieka. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Uśmiechnęłam się, a on kontynuował:

- Ujawnisz się dopiero w Świecie Diveny. - Zaśmiał się lekko pod nosem. - Niewiele osób będzie wiedziało o tym, kim naprawdę jesteś. Rozmawiałem z twoją matką. Nie powiedziała nikomu o tej tajemnicy i na razie jej nie zdradzi.

- Nawet babci? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Ty jesteś Dziedzicem i jeżeli uważasz, że to dobra decyzja, to nie będę oponował, jeśli zechcesz jej powiedzieć. Ale im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej. Na razie wie tylko twoja mama, Rada Diveny, Angelo i ja. Sama powiedz swojemu Wojownikowi, żeby trzymał język

za zębami. On będzie cały czas przy tobie. Dobrze by było, gdyby w Głównej Czasoprzestrzeni, jak nazywamy świat, w którym żyje nasz ród, stale był blisko ciebie, bo Zło czai się wszędzie. On z własnego wyboru stał się pierwszym członkiem twojej Drużyny i tym samym twoim obrońcą.

- Dobrze - powiedziała. - Ale co z Joasią i Mateuszem? Przekazaliśmy im przecież Divenę. Czy oni także będą brali udział w tym wydarzeniu?

- Owszem - odparł Vertus. - Ale inaczej. Ja sam ich tu osobno zabiorę. Nie mogą dotrzeć wraz z innymi Wojownikami, ponieważ są w pewnym znaczeniu wyjątkowi, a nie byłoby dobrze, gdyby to wyszło na jaw zbyt wcześnie.

Zamilkł na chwilę. Zatrzymaliśmy się. Przodek spojrzał na mnie i powiedział:

- To już wszystko. Chciałem tylko jeszcze dodać, że to, co powiedziałem wcześniej, było szczerą prawdą. Ufam ci i wierzę w ciebie. Nie dlatego, że to ty jesteś wybrana, ale dlatego, że trochę cię poznałem w czasie Próby i cieszę mnie to, jaka jesteś. Nie byłoby nad ciebie lepszego Dziedzica.

Ostatnie słowa wypowiedział z ogromną mocą. Poczułam się onieśmielona, ale i niezwykle doceniona.

- Mam nadzieję, że stanę na wysokości zadania - powiedziała pewnym siebie głosem.

Vertus uśmiechnął się i znów chwycił mnie za rękę. Poczułam łaskotki w żołądku, zobaczyłam błyszczące stado motyli i po kilku sekundach siedziałam już na swoim

posłaniu. Podłożyłam jeszcze cicho kilka dREW do dogasającego ogniska, położyłam się i zasnęłam.

XIII

Obudziły mnie promienie słońca przebijające się przez ścianę drzew. Rozejrzałam się, postanawiając wstać i pójść poszukać czegoś do jedzenia. Ruszyłam więc w gąszcz i po kilku chwilach natrafiłam na czerwono-gruszkowe drzewo. Zerwałam kilkanaście owoców i wróciłam do obozowiska. Angelo, widząc mnie, podniósł się z posłania i powiedział:

- No nie! Ja śpię, a kobieta wyprawia się sama do lasu!
- Zaśmiał się.

- Ktoś musiał to zrobić - powiedziałam, również się śmiejąc. - Ale polowanie zostawiłam wam.

- Mogłaś mnie zwlec z tego niewygodnego posłania, słonko - odezwał się nagle Mateusz, obudzony naszą rozmową. - Nie na darmo tu chyba jestem? - Przeciągnął się i ziewnął. Roześmialiśmy się.

- Skoro tak bardzo chcecie być potrzebni - powiedziałam ze śmiechem - to mam dwie rzeczy do zrobienia. Jeden z was wdrapie się na któreś z tych wysokich drzew i zorientuje się w naszej sytuacji, a drugi pójdzie ze mną po wodę.

- Ja wejdę na drzewo - powiedział z przekonaniem Angelo, po czym puścił oczko i dodał: - My, Divendi, mamy swoje sposoby. Jesteśmy jak małpy!

Roześmialiśmy się.

- Śmiesz twierdzić, że nie poradzę sobie z byle drzewkiem? - zapytał z udawanym bojowym nastawieniem Mateusz i napuszył się jak paw, wykrzykując: - Ja ci pokażę, co znaczy prawdziwa małpa!

Wszyscy jednym chórem wybuchliśmy śmiechem, łącznie z Joasią, która dopiero co otworzyła oczy, a już było jej dane zobaczyć wygłupy Mateusza.

- Bardzo śmieszne! - powiedział chłopak, udając ciężko urażonego.

Dałam mu całusa i trzymając w jednej ręce butelki, drugą pociągnęłam go za sobą, mówiąc i śmiejąc się jednocześnie:

- Spotkał cię zaszczyt towarzyszenia mi w tej wyprawie, panie orangutanie, więc nie marudź już i chodź.

Szliśmy, przedzierając się przez gąszcz, ale nie byłam pewna, czy idziemy w dobrą stronę. W końcu zrezygnowana zapytałam:

- Mateusz, czy ty wiesz, gdzie jest ten potok? Byliśmy tu wczoraj wieczorem, ale nie umiem trafić.

- Szczerze mówiąc... - Przerwał na chwilę, trzymając mnie w niepewności. - Wiem dokładnie.

Zaśmiałam się.

- Już myślałam, że błądzimy bez celu!

- Nie ufasz mi?

Zbliżył się do mnie i objął w talii, patrząc mi w oczy. Złożył na moim czole pocałunek, po czym rzekł:

- Cieszę się, że poprawiło ci się samopoczucie. Martwiłem się o ciebie, ale teraz znów jesteś sobą.

Przytuliłam się do niego i wsłuchałam się w bicie jego serca. Miałam ogromną nadzieję, że uda mi się ochronić je przed manipulacjami Zła. Dotarliśmy do potoku, nabraliśmy wody i wróciliśmy do pozostałych, po czym w tempie ekspresowym zebraliśmy swoje rzeczy i ruszyliśmy dalej. Mieliśmy ambitny plan dotarcia do naszego celu jeszcze tego samego dnia.

Trójkąty okazały się wysokimi na jakieś trzy piętra konstrukcjami z wielkich głazów połączonych jakąś grafitową masą. Z oddali nie wiedzieliśmy jeszcze, dlaczego tak lśniły. W jednym z trójkątów odnaleźliśmy ogromne wrota, co sugerowało, że dziwne obiekty były budynkami. Okien nie było na żadnej ze ścian, zdążyliśmy się jednak zorientować, że połączone są niewysokimi korytarzami przysypanymi kamieniami. W sytuacji zorientowaliśmy się, nie wychodząc z gąszczu. Postanowiliśmy bowiem dla własnego bezpieczeństwa poczekać z podejściem do dziwnych obiektów do zapadnięcia zmroku. Rozłożyliśmy się obozem jakieś dwieście metrów od budowli. Czekając na nadejście odpowiedniego momentu, poprosiłam Angelo o rozmowę na osobności.

- Co się stało? - zapytał Wojownik.

- Muszę prosić cię o dyskrecję w pewnej sprawie.

- Nie ma problemu, potrafię trzymać język za zębami.
O co konkretnie chodzi?

- Nikt nie może się dowiedzieć, że jestem Dziedzicem.
Nikomu nie możesz powiedzieć. Ani dziadkowi, ani ojcu.

- A czy mogę spytać dlaczego? - Angelo wyglądał na nieco zmieszanego.

- Oczywiście, że możesz. Zbliży się czas, kiedy wszyscy Wojownicy się o tym dowiedzą, ale zanim to się stanie, wszystko musi pozostać tajemnicą. To przede wszystkim dla mojego dobra i dlatego, że moment przedstawienia Dziedzica Wojownikom będzie jakby wypowiedzeniem Wojny Złu. Jeżeli przeciwnik zorientuje się wcześniej, kto jest Dziedzicem, nasze wielowiekowe przygotowania mogą pójść na marne... Jediną osobą, która wie, oprócz Rady, Vertusa i nas, jest moja mama. Była przy próbie z Divendim. Poza nimi nikt nie może znać prawdy.

- A kiedy dowie się reszta? - zapytał.

- Dokładnie nie wiem. Na pewno po Próbie. Wszyscy Wojownicy, łącznie z nami, wyprawią się do świata Diveny. Joasia i Mateusz też będą obecni. Dostaną się tam jednak w inny sposób, by nikt niczego nie podejrzewał. Ich zdolności to owoc eksperymentu z Diveną. Lepiej, by nikt niepowołany o tym nie wiedział. W każdym razie dopiero tam się ujawnię.

- Byłaś w Świecie Diveny? - zapytał nagle.

- Przecież teraz w nim jesteśmy - odparłam.

- Tak, ale to nie to samo. Ta część jest przeznaczona do Prób. Dziadek mówił mi, że tamta część, gdzie czekają

wszyscy Wojownicy, to nasza prawdziwa ojczyzna. Dopiero po śmierci się do niej udawali, żeby czekać na ciebie. Myślałem, że może już widziałaś naszą stolicę.

- Masz rację. - Uśmiechnęłam się. - Zabrał mnie tam ostatnio Vertus. Ale widzę, że jesteś lepiej zorientowany niż ja.

- To wszystko dzięki księgom - odparł Angelo. - Poczytałem co nieco. Każdy z członków Rady Diveny tam był, ponieważ tam ona obraduje, a w każdym pokoleniu jest przynajmniej jeden żyjący członek Rady. Teraz mamy ich aż troje, pewnie dlatego, że się pojawiłaś.

- Cenne informacje - stwierdziłam. - Mogę ci jedynie powiedzieć, że tam jest cudownie. Zresztą sam niedługo się przekonasz. Na razie proszę cię tylko, abyś nie dał nikomu powodów do podejrzeń, że wiesz, kim jest Dziedzic.

- Nie ma problemu. Twoja prośba to dla mnie rozkaz. - Uśmiechnął się. - Tylko co mam powiedzieć, jak zapytają mnie o Próbę?

- Wierzę w ciebie - powiedziałam pewnie. - Wymyślisz coś.

- No to kto ma jakiś pomysł? - zapytała Joasia.

Staliśmy właśnie kilka metrów od ogromnych wrót do trójkątnych budynków. Były jeszcze większe, niż nam się początkowo wydawało. Była już noc, ale księżyc dawał wystarczająco dużo światła. Na tyle dużo, byśmy bez szczegółowych obserwacji mogli się z tej odległości przekonać, że wrotom brak jest klamki czy też

jakiegokolwiek innego uchwytu, za pomocą którego można by je otworzyć.

- Siły fizyczne nie zdadzą się tu chyba na nic - powiedziałam.

Mateusz stanął odważnie naprzeciwko wrót, sugerując, że spróbuje je otworzyć. Skupił na nich całą swoją uwagę. Wokół nas zaczął wiać silny wiatr, uderzając w nas i wrota, które - choć powoli - zaczęły się otwierać. Po chwili stały otworem. Ciemność za nimi wcale nie zapraszała do środka. Wzięłam głęboki oddech, wyciągnęłam Divendiego i rozpałam w nim Biały Ogień, by oświetlić nam drogę, po czym z duszą na ramieniu przekroczyłam próg.

Znaleźliśmy się w sporym korytarzu prowadzącym w dół. Uderzył nas panujący tam zaduch. Koniec korytarza ginał w gęstym mroku, pachniało stęchlizną i wilgocią. Szliśmy, nie ośmielając odezwać się choćby jednym słowem. Jedynym światłem, jakie mieliśmy, był blask Kamienia Diveny. Korytarz skończył się zupełnie nagle. Tuż przed nami zionęła ogromna dziura, zdająca się nie mieć dna. Tylko dzięki najwyższej ostrożności nikt z nas do niej nie wpadł.

- Co robimy? - zapytał Angelo, wgapiając się w przepaść. - Może w ścianach korytarza są jakieś drzwi, mogliśmy coś przeoczyć.

- Niezły pomysł - przyznałam mu rację. - Zacznijmy od razu.

Nie zwlekając, rozpoczęliśmy badanie. W związku z tym, że Divendi był naszym jedynym źródłem światła,

postanowiliśmy z jego pomocą zbadać pobieżnie jedną stronę korytarza, a potem wyjść na zewnątrz. Tam chcieliśmy sporządzić zapas pochodni i rozpocząć dokładne poszukiwania. Tak też zrobiliśmy. Pocięliśmy kilka małych, dobrze i wolno palących się drzewek, owinęliśmy je na końcach suchymi łodygami roślin przypominających liany, po czym wróciliśmy. Mimo że poszukiwania z Divendim nie dały żadnych rezultatów, nie traciliśmy nadziei. Wkrótce znów znaleźliśmy się obok dziury, niestety bez efektów poszukiwań.

- Może coś przeoczyliśmy? - zapytała zawiedzionym głosem Joasia, spoglądając z niepokojem w ciemną otchłań otworu.

- Wątpię - rzekł Mateusz zrezygnowanym tonem.

Pograżyliśmy się w ciszy. Nie gasiłam Kamienia Diveny bardziej dlatego, że dawał mi pewne poczucie bezpieczeństwa, a nie dlatego, że jego światło było potrzebne. Gorączkowo zastanawiałam się, czego mogliśmy nie zauważyć. Przecież gdzieś musiało być wejście do wnętrza ogromnego trójkąta. Nagle przyszło mi do głowy, że jednak na coś nie zwróciliśmy uwagi.

Ruszyłam z powrotem wzdłuż korytarza w kierunku wejścia i z Divendim zaczęłam po raz kolejny penetrować ścianę. Moi przyjaciele, nie wiedząc, jak mają zareagować na moje zachowanie, podeszli, obserwując ze zdziwieniem moje czynności. Po kilku minutach znalazłam to, co spodziewałam się odszukać. Co jakiś czas przez długość całego tunelu powtarzał się pewien wzór - trzy

półtorametrowe kamienie ułożone jeden obok drugiego w pozycji pionowej. Jednak w jednym miejscu płyty zakłócały wzór, przy jednym z brzegów były bardziej śliskie i błyszczące, jakby wygładzone od częstego dotykania dłońmi.

- Co się stało? - zapytali stojący obok mnie przyjaciele.

- W zasadzie nic - powiedziałam. - Po prostu zorientowałam się, że nie patrzyliśmy na to, na co trzeba.

- Co przez to rozumiesz? - zdziwiła się Joasia.

- Pomyśl - powiedziałam. - Gdyby zależało ci na tym, by nikt niepowołany nie dostał się do wnętrza tych budynków, mimo pokonania wrót, to co byś zrobiła?

- No pewnie bym jakoś zabezpieczyła wejście - powiedziała.

- Właśnie - zgodziłam się z nią. - A co w takim wypadku jest najlepszym zabezpieczeniem wejścia?

- Oczywiście zamaskowanie go - stwierdził Mateusz.

- Otóż to. - Skinęłam głową i wskazałam na trzy kamienie. - Najlepiej w taki sposób, żeby było na widoku, bo ten, kto będzie go szukał, na pewno je wtedy przeoczy. Ten wzór, trzy kamienne płyty, powtórzył się kilka razy na całej długości korytarza, ale tylko w tym miejscu płyty są z innego rodzaju kamienia niż pozostałe. To nie muszą być drzwi, ale też nie może to być zupełnie pozbawione znaczenia.

Pozostali zaczęli przyglądać się z zaciekawieniem kamiennym płytom.

- Tylko co teraz zrobimy? - zapytała Joasia.

- Tu musi być jakaś dźwignia - rzekł Angelo i zaczął dokładnie badać ścianę, naciskając kolejne jej miejsca.

Niezwłocznie wszyscy zaczęliśmy robić to samo. Ściana miała rozmaite wgłębienia i wypukłości. Staraliśmy się, badaliśmy bardzo dokładnie, jednak nie udało nam się posunąć ani trochę do przodu. Zrezygnowani usiedliśmy na ziemi i zaczęliśmy zastanawiać się, co dalej.

- Zostaje nam chyba tylko jedno - powiedział Angelo, patrząc na mnie znacząco. - Divena.

- Zdaje się, że tak - odparłam. - Chociaż zaczekaj - dodałam po momencie. - Może uda mi się to załatwić bezboleśnie. - Wszyscy spojrzeli na mnie pytająco. - Przecież nikt nie powiedział, że Divena jest tylko po to, żeby rozwalać wszelkie przeszkody na drobne kawałeczki! - Uśmiechnęłam się. - Nie prosiłam jeszcze mojego Sługi o pomoc.

Stałam naprzeciw kamieni i położyłam Divendiego na wyciągniętej przed siebie dłoni. W myślach poprosiłam go o pomoc. Mój Sługa dał mi do zrozumienia, że na mój rozkaz otworzy każde drzwi, nawet takie, które zamknęło Zło.

Kamień rozjarzył się i mury korytarza zaczęły dygotać. Trzy głazy wsunęły się w głąb ściany i zniknęły w ciemnościach. Przejście stało otworem. Moi przyjaciele podeszli do mnie. Popatrzyliśmy na siebie milcząco i z wahaniem weszliśmy do środka.

Siedzieliśmy w zmurszałej, śmierdzącej stęchlizną piwniczce. Grube powrozy krępowały nam ręce i nogi. Nie mogliśmy się ruszyć, a siedzieliśmy tak już dobrych kilka godzin. Kończyny miałam tak zdrętwiałe, że nawet gdyby nadarzyła się możliwość ucieczki, chyba nie dałabym rady z niej skorzystać. Po raz kolejny, dla zabicia czasu i odwrócenia swojej uwagi od bólu, zaczęłam rozpamiętywać wydarzenia, które sprawiły, że się tu dostaliśmy.

Po przejściu przez tajemnicze drzwi znaleźliśmy się w ogromnej ciemnej komnacie. W świetle naszych pochodni zobaczyliśmy tylko brązowe znaki na ścianach. W centralnym punkcie sali stał złoty posąg przedstawiający postać pół-człowieka, pół-kota, wysokością sięgający drugiego piętra bloku. Zamiast oczu w twarzy monumentu lśniły dwa imponującej wielkości rubiny, natomiast postać trzymała w rękach coś na kształt pucharu.

Zaczeliliśmy się rozglądać. Każde z nas poszło w inną stronę ze swoją pochodnią. Komnata była zupełnie pusta. Jediną rzeczą oprócz posągu, którą odkryliśmy, był ustawiony za złotym monumentem kamienny ołtarz. Tam chyba składano ofiary, bo zauważyliśmy na nim niedawno zaschniętą krew. To upewniło nas w przekonaniu, że budowle mają swoich użytkowników.

Mateusz podszedł do posągu i zaczął go oglądać. Odkrył, że na dnie pucharu był wylot i naczynie przypominało lejek. We wnętrzu kielicha również była

zaschnięta krew. Domyślił się więc, do czego służył. Po złożeniu ofiary jej krew wlewano do pucharu bożka.

Następne wydarzenia rozegrały się jak na przyspieszonym filmie. Mateusz przypadkiem nadepnął na nogę posągu i wcisnął ją w podłogę. Sala zadrżała, a nas po chwili otoczyła gromada uzbrojonych we włócznie ludzi. Wyglądali dokładnie jak dzicy z mojego snu, w którym widziałam śmierć Joasi. Wyprowadzili nas z komnaty jakimś kolejnym tajemnym przejściem, związali i wrzucili do piwnicy, zostawiając dwóch swoich pobratymców u drzwi.

Bałam się o przyjaciółkę, obawiałam się spełnienia snu. Musiałam temu zapobiec, ale trzeba to było zrobić tak, by obyło się bez szkody dla innych. Oczywiście mogłam przeciąć pęta Diveną, ale gdybym to zrobiła, nie spełniłoby się to, co było pisane Joasi. Odmienić przyszłości nie mogłam jednak zbyt wcześnie, bo mogłoby to się skończyć tragicznie.

Wreszcie do piwnicy weszło kilku ludzi. Po naszej kilkugodzinnej katordze bez jedzenia i picia zostaliśmy oswobodzeni z więzów krępujących nasze stopy i wyprowadzono nas z naszego więzienia. Przeszliśmy przez szereg korytarzy i pomieszczeń, aż w końcu wyszliśmy na powietrze przez wrota, które zamknęły się z hukiem za nami i naszą złożoną z kilkunastu dzikich strażą.

Prowadzili nas przez gąszcz. Dokładnie wiedziałam, dokąd zmierzamy – we śnie Joasia zginęła na kamienistej górskiej ścieżce. Brzęk koralików zdobiących szyje ludzi należących do tego dziwnego plemienia przyprawiał mnie

o dreszcze, nie dając zapomnieć o śnie. Szliśmy przez cały dzień. Raz tylko pozwolili nam się zatrzymać i napić wody z rzeki. Nie zabrali nam żadnej z naszych rzeczy, jednak mimo głodu nie mogliśmy wyciągnąć z plecaków jedzenia ani picia ze względu na związane ręce. Późnym wieczorem pozwolili nam się położyć, wiążąc z powrotem nasze nogi. Zasnęłam szybko mimo strachu.

Zbudzono nas tuż po świcie, dano do zjedzenia po jednej czerwonej gruszce oraz po małym placku z ciemnej mąki, który smakował jak trociny, rozwiązano nogi i ruszyliśmy dalej. Dzięki temu, że tempo naszej podróży było bardzo szybkie, jeszcze przed południem dotarliśmy do stóp gór. Rozpoczęła się męcząca wspinaczka. Szłam ledwo, dysząc, a pot spływał po mnie strumieniami. Byłam krańcowo wyczerpana – bez jedzenia i wody mogłam bardzo szybko stracić resztki sił i upaść. W dodatku co kilka chwil czułam na plecach ukłucia włóczni idącego za mną człowieka. Nie myślałam o tym jednak, ponieważ moje myśli zaprzętał teraz gorszy problem. Czułam, że chwila, w której przyjdzie do spełnienia się losu mojej przyjaciółki, nieuchronnie nadchodzi.

I nagle stało się: Joasia potknęła się i skrzyła kostkę. Zatrzymałam się i nie uczyniłam żadnego ruchu. Dzicy popatrzyli na leżącą dziewczynę, szepnęli do siebie kilka słów i któryś z nich podszedł do niej. Chwycił ją za ramiona i postawił. Zachwiała się, ale ustała na nodze. Wtedy podjęłam decyzję – choćbym miała zginąć, muszę jej pomóc. Jedyne i zarazem najlepsze, co mogłam dla niej zrobić, to ją

uzdrowić. Podeszłam do niej i nie zważając na wymierzone we mnie włócznie, uklęknęłam przy przyjaciółce i objęłam obiema dłońmi jej skręconą kostkę. Divendi rozjarzył się i uleczyłam ją. Dzicy patrzyli z niedowierzaniem to na nią, to na mnie. Wymienili między sobą kilka słów i popchnęli nas do dalszej drogi. Odetchnęłam.

Wieczorem dotarliśmy do szczytu jednej z gór. Poniżej szczytu znajdowała się wioska, do której wprowadziła nas straż. Stały tu kamiennie-słomiane chaty, również kamienny pałacyk, zapewne należący do władcy. Leniwym krokiem spacerowały udomowione zwierzęta. Od razu zwróciło moją uwagę to, że nigdzie nie było widać kobiet ani dzieci. Gdy przyjrzałam się domom, odkryłam, że tuż pod ścianami każdego bieliły się gładkie czaszki, niektóre jeszcze ze śladami zeschniętej ludzkiej skóry i włosów.

Zaprowadzono nas przed oblicze władcy. Był to młody człowiek, ubrany podobnie jak reszta, jednak miał rzeczy, które go wyróżniały. Na piersiach nosił złoty medalion wielkości ludzkiej dłoni z podobizną bożka z komnaty w trójkątnych świątyniach. Skórę ramion, klatki piersiowej i pleców pokrywały tatuaże. Jego postawa była niezwykle dumna i wyniosła, natomiast z jego oczu wyzierało okrucieństwo i nienawiść. Wódz zaczął nas mierzyć wzrokiem. Kiedy spojrzał mi w oczy, zadrżałam i bezwiednie wysłałam myśl do Mateusza:

- On jest zły! Może być po stronie wroga.

- *Jestem przy tobie* - odpowiedział i nieznacznie się do mnie przybliżył.

Tymczasem jeden z tych, którzy nas tu przyprowadzili, widząc, że jego władca patrzy na mnie, powiedział do niego kilka słów. Wódz przez chwilę jeszcze mierzył mnie wzrokiem, po czym coś powiedział. Kilku mężczyzn pobiegło gdzieś, po chwili zaś wróciło, niosąc na noszach jednego ze swoich. Zauważyłam, że leżący miał zabandażowaną liśćmi nogę. Nosze położono przed wodzem, bandażę zdjęto, a chory zajęczał. Jeden z dzikich podszedł do mnie i popchnął mnie w kierunku noszy. Zrozumiałam, o co im chodzi: chcą, bym go uzdrowiła! Obejrzałam się na swoich towarzyszy, chcąc się z nimi porozumieć, ale w tej samej chwili poczułam wbijające się w moje ramię ostre zakończenie włóczni i zobaczyłam kątem oka, jak Mateusz i Angelo próbują wyrwać się spośród dzikich, by zapobiec mojej krzywdzie.

- Nie! - krzyknęłam. - Zostańcie. Uzdrowię go.

Chłopcy uspokoili się, a ja podeszłam do chorego, uklękłam i wyjęłam Divendiego, na którego widok rozległy się wśród dzikich szepty. Rozpaliłam Biały Ogień, wyciągnęłam ręce nad raną chorego i uleczyłam paskudną, jątrzącą się ranę, po czym wstałam.

Nagle wódz wydał jakiś rozkaz, dwóch dzikich chwyciło mnie za ramiona, trzeci podszedł do mnie z nożem i wyciągnął rękę po Kamień Diveny. Joasia krzyknęła, Mateusz i Angelo rzucili się, by mnie ochronić, a Divendi nagle rozjarzył się i poparzył dzikiego, który go uchwycił.

Ten odskoczył z krzykiem. Żaden inny nie odważył się podejść i spróbować odebrać mi Kamień. Zostaliśmy zabrani sprzed oczu władcy. Wrzucono nas do głębokiej jamy w ziemi i tak zostawiono.

- Dziękuję, kochana! - powiedziała Joasia, obejmując mnie, kiedy już wszyscy z pomocą Diveny uwolniliśmy się z pęt. - Dziękuję za to, co zrobiłaś.

Odwzajemniłam uścisk, mówiąc:

- Nie ma za co. Przecież nie zrobiłam nic nadzwyczajnego - odparłam, ale uścisnęłam ją mocno, dodając po chwili: - Cieszę się, że nic ci nie jest.

- Kto to? - zapytałam, obudzona nagle ze snu przez czyjś głos.

Przez chwilę zastanawiałam się, co robię w głębokim dole w ziemi, ale przypomniałam sobie, co zaszło. Spojrzałam w górę i zobaczyłam pochylającego się nad dołem jednego z dzikich. Obudziłam pozostałych i wstaliśmy. Człowiek powiedział coś w niezrozumiałym dla nas języku i cicho odbiegł.

- O co chodzi? - spytał Angelo.

- Nie wiem - powiedziałam. - Wybił mnie ze snu jego głos, więc obudziłam was. Nie mam pojęcia, czego ten człowiek od nas chce.

Po kilku chwilach dziki wrócił, niosąc linę, którą nam rzucił.

- Co robimy? - zapytał Mateusz.

- Idziemy - postanowił Angelo. - Najpierw ty, potem Justyna, Joasia i ja.

Zrobiliśmy więc, jak powiedział. Kiedy wyszłam i przyjrzałam się człowiekowi, który przyszedł nam z ratunkiem, rozpoznałam w nim mężczyznę, którego uzdrowiłam. Był to młody chłopak, nie mógł być wiele od nas starszy. Jego czarne oczy lśniły w ciemności.

Kiedy wszyscy byli już na zewnątrz, nieznajomy poprowadził nas do granicy wioski i na migi poprosił, by na niego chwilę poczekać. Wrócił z jakimś zawiniątkiem, pewnie z rzeczami na drogę. Kiwnął głową, żebyśmy poszli za nim, po czym chwycił mnie za rękę. Mateusz szybko jednak wszedł między nas, zmierzył chłopaka bojowym spojrzeniem, zabrał moją rękę i już jej nie wypuścił. Chłopak w lot pojął jego gest. Spojrzał na mojego ukochanego i skinął głową na znak, że rozumie. Mateusz zrobił to samo. Mężczyźni - pomyślałam zaskoczona i nieco rozbawiona tym, że w tak poważnej sytuacji oni i tak muszą zachowywać się jak przewodnicy stada. Ruszyliśmy w dół prowadzeni przez nieznajomego.

Nad ranem zrobiliśmy postój. Posililiśmy się, napiliśmy i siedzieliśmy, rozmawiając.

- Mateusz, nie powinieneś tak ostro go traktować - powiedziałam. - Przecież on nam pomaga.

- Aida ma rację - powiedział Angelo.

Chłopak ujął i ścisnął moją dłoń.

- Jestem zazdrosny - szepnął mi do ucha. - A to jest dzikus.

- Dzikus, który nam pomaga. Jesteś już za duży na takie rzeczy. Poza tym nie ma powodu - powiedziałam, udając obrażoną.

Mateusz połaskotał mnie, więc ze śmiechem zwinęłam się w kłębek, zasłaniając się rękami. Nieznajomy przysłuchiwał się naszym rozmowom, czasem się uśmiechając. W pewnej chwili podszedł, złapał mnie za rękę i powiedział, wskazując na mnie:

- Aida. Aida...

Kiwnęłam głową. On wskazał na siebie i rzekł:

- Sanzerin.

- Sanzerin - powiedziałam, patrząc w jego ciemne, wielkie oczy.

Mateusz speszył się, ale Joasia uratowała sytuację, mówiąc:

- Sanzerin. Joasia. - Wskazała na siebie.

Chłopak powtórzył. Tak samo przedstawił się Angelo i z ociąganiem Mateusz. Na końcu Sanzerin spojrzał jeszcze raz na mnie i powtórzył ciepłym tonem:

- Aida.

Dla Mateusza tego było już chyba za wiele. Wstał i ostentacyjnie oświadczył, że powinniśmy już ruszać. Puścił Sanzerina pierwszego, za nim pchnął Angelo, przepuścił Joasię, a mnie objął ramieniem i powiedział:

- Idziemy.

Wyswobodziłam się z jego objęć i zapytałam:

- Nie przesadzasz trochę? - Zezłościłam się na chłopaka. - Ten człowiek najprawdopodobniej ryzykował

życiem, żeby nas uratować! Nie bądź o mnie zazdrosny, bo nie dam ci ku temu powodów.

- Ale skąd ty wiesz, czego on od nas chce?

- Ostatnimi czasy zrobiłam się bardzo wrażliwa na zło. Wyczuwam, kiedy ktoś ma złe zamiary. On takich nie ma!

- No dobrze. - Zrezygnował z zaprzeczania i spojrzał mi w oczy. - Po prostu jestem o ciebie cholernie zazdrosny. Nie widzisz, jak on na ciebie patrzy?

Uśmiechnęłam się, bo wiedziałam, że mówi prawdę. Dziki nie odrywał ode mnie wzroku, ale nie mogłam zrobić nic, prócz okazywania bliskości Mateuszowi, mając nadzieję, że obcy zrozumie.

Schodziliśmy w dół, więc tempo marszu było szybsze nawet od ostatniego, zwłaszcza że Sanzerin poganiał nas, oglądając się z niepokojem za siebie. Chyba obawiał się, że zaczną nas szukać. Późnym wieczorem dotarliśmy do trójkątów. Sanzerin nie namyślając się wiele, wcisnął jeden z kamieni, otworzył wrota i weszliśmy do środka. Ruszyliśmy korytarzem. Sanzerin cicho odliczył sobie wzory na jednej ze ścian korytarza, po czym na przeciwległej ścianie nacisnął jakąś dźwignię. Kamienie wsunęły się w głąb ściany i weszliśmy do środka. Nasz przewodnik zatrzymał się na chwilę i poszperawszy w ciemnościach, wyciągnął pochodnię. Angelo wziął ją od chłopaka i zapalił. Ruszyliśmy wąskim korytarzem. Mijaliśmy kolejne pomieszczenia i korytarze, aż w końcu chłopak wprowadził nas do małej komnaty ozdobionej na ścianach tak samo, jak ta z posągami. Pozapalał pochodnie umieszczone na

ścianach i wskazał na ramię Angelo, na którym miał znak Wojownika Diveny, po czym wskazał na jedną ze ścian. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu na ścianie zobaczyłam złoty znak Wojowników o średnicy co najmniej dwóch metrów. Popatrzyłam na Angelo i powiedziałam, spoglądając znów na znak:

- Co to może oznaczać?

Podeszłam do ściany. Wojownik położył rękę na moim ramieniu.

- Spytaj Divendiego - rzekł.

Wyciągnęłam mojego Sługę i rozpałam w nim Biały Ogień. Równocześnie z kamieniem zalśnił cały znak. Zdziwiona patrzyłam, co stanie się dalej. Nagle znak zaczął się zmniejszać, a gdy osiągnął wielkość znaku Angelo, popłynął w powietrzu w moim kierunku, po czym spoczął na moim ramieniu. Pomędzy ośmioma promieniami Diveny, mniej więcej w połowie ich długości, pojawiły się jednak niewielkie gwiazdki. Zalśniły i zgasły, jak zgasł chwilę wcześniej cały znak. Obróciłam się do przyjaciół. Ci stanęli naprzeciw mnie i uklęknęli, pochylając głowy. Skinęłam w ich kierunku i poprosiłam, by wstali. Wiedziałam już, co się stało: pozytywnie przeszłam Próbę. To już koniec.

Ściana, na której był znak, rozsunęła się nagle z hukiem i naszym oczom ukazało się kolejne długie i brudne pomieszczenie. Na jego końcu lśniło duże lustro.

Odwróciłam się, by podziękować i pożegnać się z Sanzerinem. Po kolei podaliśmy mu ręce, po czym spojrzeliśmy na siebie i podeszliśmy do lustra. Dotknęłam

palcami jego lśniącej tafli, na której utworzył się wir. Po chwili wylądowaliśmy jedno na drugim w tajemniczej komnacie w muzeum. Lustro zniknęło. Wstałam i otrzepałam z kurzu swoje sfatygowane ubranie. Angelo krzyknął:

- Dokonaliśmy tego!

Wszyscy z radością padliśmy sobie w ramiona.

XIV

- Nie powiedziałałabym, że strażnik muzeum z kamienną twarzą potraktował nasze przedefiladowanie w tych zniszczonych ubraniach tuż przed jego nosem. Mimo że nie powiedział nic, przypuszczam, że był zaskoczony tym, że takie obdartusy zostały wpuszczone do środka! - Śmiałam się, opowiadając mamie naszą drogę z Castello di Arechi do domu. - A najbardziej zaskakujące było to, że dla nas Próba trwała wiele dni, a tu minęła zaledwie godzina. - Uśmiechnęłam się, przeczesując ręką świeżo umyte włosy, i zamyśliłam się na chwilę. - Mam do ciebie mnóstwo pytań, mam - powiedziałam, a ta, mimo że jeszcze przed chwilą się śmiała, widząc mój wyraz twarzy, spoważniała.

- Jeśli tylko będę umiała na nie odpowiedzieć, odpowiem.

- Muszę cię też o coś prosić - dodałam.

- O cokolwiek zechcesz - odparła poważnym tonem, patrząc mi w oczy. - To dotyczy Diveny?

- Tak - powiedziałam.

- Chodzi o dyskrecję?

Skinęłam głową, a ona kontynuowała:

- Vertus był tu i powiedział mi wszystko.

- Wiem, ale chciałam powiedzieć ci o tym osobiście. Bez sensu, żeby ktoś wyręczał mnie w rozmowie z własną mamą. - Uśmiechnęłam się do niej.

Mama odwzajemniła uśmiech i zamilkła, zastanawiając się nad czymś. Po chwili uśmiechnęła się do własnych myśli i powiedziała:

- Zauważyłam, że zmieniło się zachowanie młodego Wersela w stosunku do ciebie... - powiedziała zaczepnie.

- Trochę się zmieniło. - Zarumieniłam się i uśmiechnęłam.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa - powiedziała mama, obejmując mnie. - To takie dla mnie ważne. Myślę, że dobrze trafiłaś.

- Też tak myślę, mamó.

Poczułam łaskotanie w żołądku i wszystko wokół mnie zaczęło blednąć, zamieniając się w stado błyszczących motyli. Po chwili zupełnie zaskoczona i lekko wytrącona z równowagi stanęłam na posadzce w ciemnoczerwonej sali Pałacu, w Świecie Diveny.

Przede mną stał Vertus. Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Przepraszam cię, Aido Nicoletto, za to niespodziewane przeniesienie cię tu bez uprzedzenia, ale sprawa jest ważna.

- Co się stało? - zapytałam.

- Dopiero się stanie. - Vertus uśmiechnął się tajemniczo, po czym otworzył przede mną jedne z drzwi,

które prowadziły na wielki balkon, zapraszając gestem, bym przez nie przeszła.

Spojrzałam na niego niepewnie jeszcze raz, po czym zbliżyłam się do drzwi i przekroczyłam próg. Równocześnie mgła, która była na zewnątrz, zaczęła się podnosić, ukazując najpierw potężny dziedziniec, przepiękne ogrody, do których po chwili zaczęło przebijać się słońce, a dalej kotlinę, piękne wielkie miasto u stóp pałacowych zabudowań, a jeszcze dalej tętniące zielenią łąki, błyszczącą rzekę i pasma górskie.

Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Zachłysnęłam się tym cudownym widokiem, zupełnie go jednak nie rozumiejąc. Tymczasem Vertus stanął obok mnie i wpatrując się w horyzont, powiedział spokojnym głosem:

- Czekałem na to tyle wieków! - Wziął głęboki oddech, napawając się cudownym zapachem powietrza. - Świat Diveny starałem się udoskonalić, przynajmniej w tej części, która była dla mnie dostępna. Większość bowiem tego, co widzisz, od czasu powstania tego świata zakrywała gęsta mgła. Dopiero twoje przybycie tutaj sprawiło, że Pałac ukazał się w całym swym przepychu. Tym samym Wojownicy, którzy zamieszkują te tereny, dowiedzieli się właśnie, że Dziedzic jest już między nami, przeszedł Próbę i wkrótce poprowadzi ich do Wojny.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Więc to wszystko dlatego, że się tu znalazłam? Ta mgła?

- Tak, tak. - Przodek zaśmiał się, spoglądając w dół, w kierunku kotliny, gdzie zlokalizowane było piękne miasto. - To Noribia - powiedział, wskazując na miejskie zabudowania. - Stolica Świata Diveny. Nazwę swą wzięła od góry Norib, tej, u stóp której stoi Pałac. Norib to najwyższy szczyt gór Tallen. To drugie pasmo, które masz po swojej prawej stronie, nosi nazwę Sevres. A w oddali, na wschodzie, widnieją góry Karfen. One są najdłuższym pasmem, bo biegną aż po ocean Ademarski. Na nim są jeszcze dwie wielkie wyspy. Jedna z nich to właśnie miejsce, gdzie odbywają się Próby. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, widząc zachwyt w moich oczach.

Czułam, że wzruszenie ściska mi gardło. Chłonełam całą sobą te obrazy, mając nadzieję, że będę się mogła cieszyć wspomnieniami tego miejsca, gdy przyjdą chwile grozy i zwątpienia.

Vertus chwycił mnie za ramię i powiedział:

- Jedną z właściwości Świata Diveny jest to, że najsilniejsi Wojownicy mogą się teleportować, gdziekolwiek chcą, oczywiście w obrębie tego świata. Czeka nas więc mała wycieczka, by pozbyć się całej zalegającej tu mgły.

W tej samej chwili poczułam lekki wiatr, zakręciło mi się w głowie i znaleźliśmy się w zupełnie nowym miejscu. Staliśmy na szczycie wysokiego klifu, a u naszych stóp szumiał Ocean Ademarski. Nie dane mi było jednak długo podziwiać tego cudownego widoku, bo zaraz znów poczułam na ramieniu dłoń Vertusa i teleportowaliśmy się do kolejnego miejsca. Całą sobą chłonełam piękne, nowe,

a jednocześnie dziwnie znajome obrazy. Po niedługim czasie stanęliśmy z powrotem na balkonie w Pałacu. W jakiś sposób czułam, że cała mgła zniknęła, jakby równocześnie z tym procesem rozjaśniał się jakiś zakątek w mojej duszy.

Vertus szybko popchnął mnie do środka budynku. W Noribii bowiem zaczęli na ulice wychodzić Wojownicy, ciekawie przyglądający się odsłoniętemu dopiero co otoczeniu i Pałacowi. Przodek zamknął szybko drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie uważnie.

- Aido Nicoletto, zostaw to na razie dla siebie, proszę.

Zdziwiona spojrzałam na niego. Nie spytałam jednak, dlaczego, ale tylko skinęłam głową. On uczynił to samo. Po chwili znalazłam się z powrotem w swoim pokoju, nadal ledwo wierząc w to, co przed chwilą widziałam. Obrazy były we mnie jednak jak żywe. I miałam nadzieję, że nie wyblakną zbyt szybko.

- Wracamy? Ale przecież nie tak było zaplanowane. -
Zdziwiłam się. - Dlaczego?

- Porozmawiamy o tym później, kochanie -
odpowiedział stanowczo ojciec.

Minął dopiero tydzień, odkąd opuściliśmy świat Próby, był początek lipca. Mieliśmy w planach pozostanie we Włoszech do końca miesiąca, gdy nagle mój tato oświadczył, że wracamy do kraju, nie podając przyczyny tej nieoczekiwanej decyzji. Nie wypytywałam jednak, ponieważ był bardzo stroskany. Musiałam po prostu zaufać, że powód jest naprawdę ważny.

- Wuj Dominik wszystko dla nas załatwił. Wyjeżdżamy jutro rano - powiedziała mama.

Nie mówiąc już nic więcej, poszłam na górę, by się spakować. Zastanawiałam się, czy nie zostać u wuja do końca lipca, jednak wiedziałam, że wkrótce w moim życiu pojawi się niezłe zamieszanie w związku ze sprawami Diveny, zatem tym cenniejszy był dla mnie czas spędzony w gronie rodziny. Joasia już kilka dni wcześniej dołączyła do swoich rodziców, zostało mi więc tylko poinformować o wszystkim Mateusza.

Od czasu powrotu ze świata Próby widziałam, że Mateusz bywał zmartwiony. Wiedziałam naturalnie, że chodzi o powrót do domu, ale nie miałam pojęcia, jak mu pomóc. Nie chodziło o to, że bał się zerwać kontakty ze swoimi starymi znajomymi. Problemem było to, że wiedział o nich bardzo dużo i to oni mogli nie chcieć zerwania kontaktów z nim. Wiedziałam, że chłopak próbuje wymyślić jak najłagodniejszy sposób wykaraskania się z tej sytuacji. Chcąc go jakoś wesprzeć, starałam się pokazywać mu delikatnie, że mi na nim zależy, i podtrzymywać w ten sposób na duchu.

Siedziałam w swoim pokoju na kanapie. Byłam zmęczona podróżą i rozpakowywaniem bagażów, ale postanowiłam, że po prostu muszę pójść pogadać z moją przyjaciółką, a będąc u niej, przy okazji zobaczę, jak ma się mój chłopak. Przed powrotem rozmawialiśmy jeszcze o nas. Zaproponowałam, żeby przez jakiś czas po powrocie nie

pokazywać, że jesteśmy razem do czasu, aż Mateusz nie uporządkuje swoich spraw. Chłopak był mi za tę propozycję bardzo wdzięczny, widziałam, że mu ulżyło. Pewnie sam chciał to zaproponować, ale obawiał się mojej reakcji.

Przebrałam się szybko, zrobiłam lekki makijaż i zeszłam na dół. W kuchni siedzieli rodzice, cicho o czymś dyskutując. Na mój widok zamilkli i spojrzeli po sobie.

- Coś się stało? - zapytałam niepewnie.

- Musimy z tobą porozmawiać. Wieczorem - powiedziała mama. - Ale nie martw się - dodała, widząc niepokój w moich oczach - to nic straszego.

Odetchnęłam w duchu, słysząc zapewnienie mamy, choć i tak byłam pewna, że nie da mi to spokoju.

- Dobrze. Idę do Kasi - powiedziałam szybko, w biegu złapałam jeszcze jabłko i skierowałam się do drzwi wyjściowych.

Po kilkunastu minutach dotarłam na miejsce. Drzwi otworzyła mi pani Weronika.

- Witaj, Justynko! Dawno cię u nas nie było! Niech cię uścisknę. Jak tam rodzice? Pewnie zmęczeni po podróży? - zarzuciła mnie pytaniami, jak to miała w zwyczaju.

- Rodzice mają się dobrze, dziękuję. Czy jest Kasia?

- Jest u siebie. Wejdz.

Zdjęłam buty i spojrzałam na panią Wersel.

- Wiem, że to trochę niekulturalnie, ale Kasia nie przyzna mi się, że źle się czuje, dlatego spytam panią. Jak ona się ma po tym wypadku?

- Wstrząs nie był mocny i niczego nie uszkodził - powiedziała spokojnym głosem. - Wszystko skończyło się dobrze, Kasia dochodzi jeszcze do siebie po tej operacji. Na razie nie może zbyt dużo chodzić. Na szczęście łazienkę ma blisko.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się, uspokojona jej słowami, po czym skierowałam się na górę, do pokoju przyjaciółki. Do tej pory nie mogłam wybaczyć sobie tego, że nie udało mi się jej wtedy uzdrowić, ale gdy Kasia spadła ze schodów, byli obok niej jej rodzice i Mateusz, a nie mogłam przecież odsunąć ich i na ich oczach uzdrowić przyjaciółki. Konsekwencje takiego czynu nie zatrzymałyby się wtedy zapewne na zdziwieniu obserwatorów. Również później, w szpitalu, przez ich obecność nie mogłam jej ulżyć w cierpieniu. Teraz informacja o dobrym stanie zdrowia przyjaciółki podniosła mnie na duchu. Z uśmiechem na ustach wkroczyłam więc do jej pokoju.

Kasia bardzo się ucieszyła na mój widok. Uścisnęłam ją i zaczęłam opowiadać, jak było we Włoszech.

- Ty mi tu pleciesz o widokach i muzeach, ale nie mówisz o tym, co najważniejsze! - powiedziała w końcu Kasia.

- To znaczy? - zapytałam zaskoczona.

- No jak tam stoją sprawy z Mateuszem?

Zamilkłam na chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć przyjaciółce, po czym postanowiłam, że będę lojalna wobec mojego chłopaka, mówiąc:

- Wszystko jest w najlepszym porządku. - Spojrzałam na nią z niepokojem.

Uśmiechnęła się.

- Spokojnie, kochanie. Wiesz, że możesz mi zaufać - powiedziała. - Chyba coś między wami zaszło, ale oboje nie bardzo chcecie o tym mówić...

- Co masz na myśli? - zapytałam zaskoczona.

- Dzisiaj, gdy zapytałam Mateusza, jak było, powiedział z kamiennym wyrazem twarzy, że świetnie. Zapytałam wtedy, jak z tobą, a on tylko tak dziwnie się uśmiechnął pod nosem, po czym powiedział, że opowie mi wszystko później, bo właśnie musi wyjść pozałatwiać „swoje sprawy”.

- Wiesz... - Wyprostowałam się i skrzyżowawszy ramiona, spojrzałam na nią z góry, mówiąc: - Właściwie to przyszedłam tutaj z zamiarem popełnienia morderstwa.

Oczy Kasi zrobiły się wielkie jak spodki, ale już po chwili pojawiło się w nich zrozumienie.

- Chyba wiem, co masz na myśli - powiedziała powoli z lekką skruchą w głosie, po czym dodała już pewniej: - A tak na poważnie, Justyś, to nie mogłam pozwolić, żebyście się oboje tak męczyli. On się przyznał przede mną do tego, że jest bardzo za tobą... To była jedyna w swoim rodzaju okazja. To znaczy... właściwie to on bardziej wyciągnął to ode mnie... ale i ja powiedziałam mu w końcu bez większych oporów... - kręciła moja przyjaciółka.

- No wiem, Mateusz mówił. Ale koniec końców jestem ci wdzięczna - powiedziałam. - Nie wiem, co będzie dalej, ale wiemy o swoich uczuciach.

Chwilę jeszcze siedziałam, nie mówiąc zupełnie nic, a tylko po raz kolejny zastanawiając się nad tym wszystkim. W końcu opowiedziałam przyjaciółce o tym, jak spędzaliśmy czas, oczywiście pomijając wszystko, co było związane z Diveną, po czym przeszliśmy do najświeższych ploteczek z naszego miasta. Atmosfera się rozluźniła. Wtedy właśnie usłyszałam w myślach głos Mateusza.

- *Gdzie jesteś?*

Nie przerywając rozmowy z przyjaciółką, odpowiedziałam:

- *W pokoju twojej siostry.*

- *Musimy porozmawiać.* - Usłyszałam.

- *Jeżeli masz zamiar tu przyjść, przynajmniej udawaj, że jesteś zdziwiony* - przesłałam.

Nie odpowiedział. Po chwili jednak drzwi się otworzyły i stanął w nich opalony, świetnie zbudowany, zielonooki blondyn, wyraźnie zdenerwowany, mówiąc:

- Cześć, siostra. O, cześć, Justyna, nie wiedziałem, że jesteś - powiedział to bez żadnego wyrazu. Nawet nie udawał zdziwienia. Spojrzał na mnie, zmarszczył brwi i dodał: - Właściwie to nawet spodziewałem się ciebie tu spotkać. Musimy pogadać - zwrócił się do Kasi. - Nie obrazisz się, jeśli ci ją na chwilę zabiorę?

Kasia popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakby była zaskoczona jego zachowaniem. Uśmiechnęłam się do niej uspokajająco.

- Nie, tylko odstaw ją w całości - powiedziała, patrząc na mnie znacząco. - Poczekam tu na ciebie.

Wyszłam i podążyłam za Mateuszem do jego pokoju. Usiadłam na krześle obok komputera i czekałam z obawą na to, co ma mi do powiedzenia. Coś musiało być nie w porządku, normalnie nigdy się tak nie zachowywał.

- Coś się stało? - spytałam niepewnie.

- Wiem, że mamy teraz „ciche dni”. - Uśmiechnął się nagle. - Kurczę! To brzmi, jakbyśmy byli starym małżeństwem! - Spojrzał na mnie ciepło. Odwzajemniłam uśmiech, a on kontynuował: - Ale ja nie wiem, jak to wszystko się potoczy.

Zaniepokoiłam się nie na żarty.

- Mateusz, powiedz mi, proszę, co się dzieje.

- Właściwie to nic wielkiego. Myślałem, że powłóczę się z Łysym, Bastkiem i resztą przez kilka dni, że powoli się wycofam, że da się załatwić to wszystko polubownie. Ale kiedy rzuciła mi się na szyję Żaneta, zrozumiałem, że muszę to skończyć natychmiast, bo nie wytrzymam długo bez ciebie. - Rozbroiła mnie jego szczerość. Uśmiechnęłam się szeroko, a on kontynuował: - Ale jest pewien problem. Nie wiem, czy potrafię się od nich tak po prostu uwolnić. Powiem inaczej: nie wiem, czy oni mnie uwolnią. - Spojrzał na mnie niepewnie z uwagą. - Spotkałem się dziś z nimi. Nie wytrzymałem jednak długo i dałem im do zrozumienia, że kończymy znajomość. Oni w odwecie zasugerowali, że może lepiej dla mnie i dla tych, na których mi zależy, byśmy jednak nadal byli przyjaciółmi. Justyna, oni podejrzewają, że to ty wpłynęłaś na zmianę mojego zachowania. - Złapał

mnie za rękę i powiedział: – Boję się o ciebie. To są ludzie, którzy nie mają skrupułów.

– Kochany... – Pieszczotliwym gestem rozczochrałam jego jasną czuprynę. Ukląkł obok krzesła, na którym siedziałam, i objął mnie w pasie. – Wiesz przecież, że nie jestem zupełnie bezbronna. Jeśli tylko będzie się ze mną coś złego działo, będę mogła obronić się Diveną. Ale to ostateczność... Tymczasem obiecuję, że nigdzie nie będę chodziła sama.

– Jeszcze przez jakiś czas nie będziemy mogli się spotykać tak, jak bym chciał. – Uśmiechnął się smutno. – Powiedziałem im, że nie chodzi o ciebie, więc lepiej, byśmy się na razie jeszcze nie pokazywali razem tak oficjalnie. No i chyba będę musiał się z nimi spotkać parę razy, tak żeby przestali cię podejrzewać.

– Rozumiem, masz rację, tak będzie lepiej. Ale obiecuję, że będę często odwiedzała twoją siostrę... – powiedziałam zaczepnie. – Żeby jednak taki plan zadziałał, musiałabym powiedzieć jej o nas.

– Powiedz. Chyba jest godna zaufania. – Mrugnął do mnie.

– No po tym, co ci ostatnio wypaplała, to nie jestem tak do końca pewna.

Roześmialiśmy się oboje. Tak naprawdę mogliśmy być Kasi tylko wdzięczni.

– Obiecuj mi coś jeszcze – powiedział Mateusz. – Gdyby cokolwiek się działo, wyślesz mi sygnał myślowy.

- Dobrze - odpowiedziałam, pocałowałam go lekko w usta i dodałam: - Bierz się w końcu do porządkowania tych swoich spraw, bo chcę cię już mieć z powrotem...

- Pewnie zastanawiałaś się, czemu tak niespodziewanie postanowiliśmy wyjechać od wuja Dominika? - zapytała mama.

- To chyba zrozumiałe - odparłam na jej pytanie.

- Musimy ci to wyjaśnić. Otóż troszeczkę pogmatwało się u taty w pracy... Nie chcieliśmy cię martwić, ale po prostu musieliśmy wrócić z obawy przed zwolnieniem. Firmę przejął jakiś prywatny właściciel, który zwalniał niektórych pracowników.

- No i? - zapytałam niepewnie, patrząc na tatę.

- No i w porządku. - Uśmiechnął się. - Byłem dziś w firmie na rozmowie. Nowy szef widząc moje referencje, stwierdził z oburzeniem, że nie rozumie, jak mogłem pracować na tym stanowisku i... dał mi wyższe, a co za tym idzie, zdecydowanie lepiej płatne!

Bardzo się ucieszyłam. Objęłam tatę, serdecznie mu gratulując. Dobrze, że był zadowolony.

Rodzice stwierdzili, że mają ochotę coś obejrzeć w telewizji, więc zebrałam się i poszłam do swojego pokoju. Usiadłam przed komputerem i doszłam do wniosku, że poproszę Filipa o pomoc w całej tej sprawie z Mateuszem... oczywiście nie mówiąc mu do końca o wszystkim. Filip chodził z Mateuszem do klasy, przyjaźnili się.

A przynajmniej tak było do czasu, jak Mateusz zaczął zadawać się z Bastkiem, Łysym i całą resztą tych szumowin.

Zostawiłam mu na komunikatorze wiadomość, prosząc o spotkanie następnego dnia. Odpowiedział od razu, pytając, co się stało. Odpisałam, że po prostu chciałam porozmawiać.

Miałam nadzieję, że napisze, o której może się spotkać. Czekając na wiadomość, poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Po powrocie do pokoju zobaczyłam na ekranie krótką wiadomość od Filipa: „Wpadnę za chwilę. Długo się nie widzieliśmy”. Już miałam mu odpisywać, kiedy zawołała mnie mama. Zeszłam na dół i spytałam, o co chodzi.

- Masz gościa - odparła.

Zaskoczona poszłam do przedpokoju, gdzie czekał na mnie Filip, uśmiechając się szeroko.

- Hej, słonko - powiedział z uśmiechem i przytulił mnie.

Zrobiłam dla niego herbatę i poszliśmy do pokoju. Pogadaliśmy troszkę, opowiedziałam mu o Włoszech.

- Mateusz Wersel był tam z tobą, prawda? - spytał chłopak bez skrępowania.

- Tak - odparłam. - Miałam zabrać też Kasię, ale miała ten wypadek...

Pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym przyjrzał mi się uważnie.

- Skąd twoje złe samopoczucie? - zapytał. - To coś poważnego?

- Znasz Mateusza nie od dziś - zaczęłam prosto z mostu. Kumpel kiwnął głową. - Wiesz więc, z kim miał w zwyczaju się zadawać...

- Miał w zwyczaju? - zdziwił się chłopak. - Więc jednak udało ci się przekonać go, że to nie jest najlepsze towarzystwo?

Uśmiechnęłam się skromnie.

- Wygląda na to, że tak - potwierdziłam. - Teraz Mateusz stara się doprowadzić znajomość z nimi do końca... Problem w tym, że oni zorientowali się, że maczałam w tym palce, i Mateusz obawia się o mnie...

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Przerwał ją Filip, mówiąc:

- No to ładnie...

- No to żeś mnie pocieszył. - Zaśmiałam się. - Myślę, że nie ma sensu martwić się na zapas. W każdym razie ja nie mam ochoty siedzieć ze strachu cały czas w domu i narażać się na przepalenie mózgu z powodu nadmiernego używania, więc może jutro gdzieś się wybierzemy?

- Pytanie! - powiedział ze śmiechem. - Oczywiście! Właściwie miałem zamiar to właśnie zaproponować. W mieście jest z naszej paczki tylko Monika i Tomek, ale to już wystarczy, żeby fajnie spędzić czas. Może pojedziemy nad jezioro? Możemy też zabrać Kasię. A wieczorem wybierzemy się do kina. Po kinie możemy jeszcze wpaść do pubu.

Cały Filip. Sto pomysłów naraz. Zanim wyszedł, ustaliliśmy jeszcze, że spotkamy się o dziesiątej przed moim

domem. Obiecał jeszcze raz, że da znać Tomkowi i Monice, i zobowiązał się wziąć od swojego ojca samochód, bo jakoś musieliśmy dotrzeć nad oddalone kilka kilometrów od miasta jezioro.

Położyłam się spać spokojniejsza, mając nadzieję, że dzień spędzony w gronie przyjaciół pozwoli mi odpocząć i oderwać się trochę od spraw związanych z Diveną.

Wróciliśmy do miasta i odstawiliśmy do domu Kasię, która wprawdzie cały dzień spędziła, siedząc na pomoście, ale była przeszczęśliwa, że mogła w końcu wyjść z domu. Potem mój przyjaciel odstawił samochód ojcu, więc na piechotę skoczyliśmy jeszcze do pubu z Moniką i Tomkiem. Kiedy w końcu pożegnaliśmy się z nimi, Filip zaproponował mi jeszcze spacer po parku, na co z chęcią się zgodziłam. Zanim jednak tam dotarliśmy, chłopak pobiegł do domu po swojego boksera Juranda.

Park wyglądał przepięknie w blasku zachodzącego słońca. Jurand, jak to miał w zwyczaju, ganiał za ptakami i wiewiórkami, a my szliśmy, rozprawiając na ulubiony temat Filipa - książki. Nagle w oddali przed nami zobaczyłam Bastka i Pawła - kumpli Mateusza, kilku osiłeków, których nie znałam, i jakieś dwie panny. Byłam pewna, że mój ukochany jest z nimi. Po chwili wyłonił się zza drzew. Obok niego szedł Łysy, a na ramieniu Mateusza uwiesiła się... jego była dziewczyna Żaneta. Poczułam ukłucie w żołądku. Wiem, że chciał po prostu oddalić ich

podejrzenia ode mnie, ale bardzo trudno było mi na to wszystko patrzeć.

- Chodźmy stąd... - powiedziałam cicho do Filipa.

Chłopak spojrział w stronę, w którą patrzyłam, i skinął głową, gwizdząc na Juranda.

- Skręcimy tutaj, żeby nie pomyśleli, że uciekamy - zaproponował.

W duchu dziękowałam za jego domyślność. Grupa zbliżyła się na niebezpieczną odległość. Na szczęście dotarliśmy właśnie do ścieżki, w którą mieliśmy skręcić. Spojrzałam jeszcze raz na Mateusza. Niestety w tym samym momencie w moją stronę spojrzała Żaneta. Uśmiechnęła się złośliwie i pocałowała chłopaka. On odsunął się tylko od niej, z trudem ukrywając niechęć, i zdjął jej ręce ze swojego ramienia. Odwróciłam się i przyspieszyłam kroku.

- *Justyna?* - Usłyszałam głos Mateusza w myślach.

Nie odpowiedziałam. Nie chciałam z nim teraz rozmawiać, więc zamknęłam umysł przed jego wiadomościami. Wiedziałam, dlaczego robi to, co robi, ale z trudem powstrzymywałam się przed podejściem i trzaśnięciem tej dziewczuchy w twarz. Fajny ze mnie Dziedzic, walczący ze Złem, skoro z zazdrości o faceta nachodzą mnie mordercze instynkty.

Przyspieszyłam jeszcze bardziej, Filip również. Kiedy już znikli z naszego pola widzenia, usiedliśmy na ławce. Jurand przydreptał do nas z patykiem w pysku. Wzięłam go i rzuciłam najmocniej, jak potrafiłam. Pies z radością pobiegł za nim. Po kilku chwilach Filip stwierdził:

- Tak wygląda to porządkowanie swoich spraw. - Zamilkł na chwilę, rozmyślając o czymś.

Zastanawiałam się, co mam mu powiedzieć. Prawdę? Po dłuższym milczeniu odezwałam się:

- Filip, my jesteśmy razem. Mateusz i ja.

- Wiem - odparł chłopak. - Domyśliłem się ze sposobu, w jaki o nim mówiłaś wczoraj. I cieszę się ze względu na ciebie, ale nie podoba mi się to, co on robi. Może i chce załatwić to wszystko polubownie, ale czy to da się w jakikolwiek sposób załatwić?

- Powiedział mi, że ma w planach przebywać jeszcze jakiś czas w ich towarzystwie, żeby oddalić podejrzenia, że to przeze mnie się od nich odwraca.

- A tobie to odpowiada? - spytał chłopak sarkastycznym tonem.

Westchnęłam tylko. Oczywiście, że mi nie odpowiadało. Było mi bardzo trudno zaakceptować fakt, że to szemrane towarzystwo ma na Mateusza tak ogromny wpływ. Czy aby na pewno chodzi tylko o oddalenie podejrzeń ode mnie? A może po prostu jest mu zbyt ciężko skończyć z tym uzależnieniem od nich? Nie chciałam nawet o tym myśleć. Powiedziałam więc tylko:

- Dużo o nich wie, ale przeze mnie oni mają na niego haka.

- Czyli sytuacja patowa. - Filip oparł łokcie na kolanach i pochylił się, zastanawiając nad czymś.

Rzuciłam jeszcze raz patyk Jurandowi. W końcu odezwał się powoli:

- Mateusz to jeden z moich najlepszych kumpli. Właściwie przyjaciel... mimo tego, że się z nimi zadaje, więc mu pomogę. Mam pewien pomysł, ale będę musiał z nim pogadać.

- Jaki pomysł? - zapytałam.

- Ano taki, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie - odparł Filip zagadkowo, ale wiedziałam, że nie ma sensu pytać, bo i tak pomysł zdradzi dopiero, gdy spotka się z Mateuszem.

- Wiesz co? - powiedziałam, udając, że go ganię. - Jesteś naprawdę nieznośny z tym zaczynaniem zdania i niekończeniem go.

- To akurat wiem - stwierdził, uśmiechając się zawadiacko i głaszcząc Juranda.

Pies wywiesił język i sapał głośno, patrząc na nas z wyczekiwaniem. Nie doczekawszy się naszej reakcji, oparł pysk na moich kolanach. Pogładziłam go i idąc za jego przykładem, oparłam głowę na ramieniu Filipa, mówiąc:

- Dziękuję.

Obudziłam się bardzo wcześnie rano. Zapowiadała się słoneczna niedziela. Już ponad tydzień minął od powrotu z Włoch, a od ostatniego spotkania z Mateuszem pięć i pół dnia. Każda godzina bez niego była dla mnie trudna, pełna tęsknoty i złości, ale czułam jednocześnie, że póki on się nie wyrwie z tamtego towarzystwa, nie będziemy w stanie stworzyć normalnego związku. Kilka razy kontaktował się ze mną myślowo, ale nie pozwalałam sobie na dłuższą

rozmowę. Dawałam mu tylko znać, że u mnie wszystko w porządku, i zamykałam przed nim swój umysł.

Nie byłam pewna, czy dobrze robię, tak się od niego separując, ale też musiałam przyznać uczciwie przed samą sobą – nie potrafiłabym się z nim spotkać i udawać, że nie przeszkadza mi to, że nadal się z nimi spotyka, nawet pod pretekstem ochrony mnie. Mimo obietnicy do Kasi zaglądałam tylko wtedy, gdy jej brata nie było w domu. Myślałam, że przyjaciółka wlezie mi na głowę i zacznie okładać ją pięściami, kiedy wyjaśniłam jej, dlaczego nie chcę zobaczyć Mateusza. A prawda była taka, że mimo tego, że chciałam go zobaczyć najbardziej na świecie, to bałam się, czy przypadkiem nie okaże się, że tamta banda jest dla niego ważniejsza.

Przeciągnęłam się na łóżku, stwierdzając, że trzeba zadzwonić do Kasi i poprosić, by dała mi znać, gdy Mateusza nie będzie w domu przez jakiś dłuższy czas. Wstałam, ubrałam się i mimo wczesnej pory wyszłam pobiegać do parku. Było już po Próbie, ale nie zamierzałam zrezygnować z regularnych treningów.

Poranki były zdecydowanie bezpieczniejszą porą na bieganie niż późne wieczory. Ci, którzy potencjalnie mogliby zaatakować samotną dziewczynę, mają w zwyczaju kręcić się po parku raczej późnym wieczorem i nocą, a nie wczesnym rankiem. Wciągnęłam w płuca powietrze, napawając się nim. Zdałam sobie sprawę, że bardzo brakuje mi tego kontaktu z naturą, jaki miałam podczas Próby. Brakuje mi świeżego powietrza, zieleni drzew,

orzeźwiającej wody, szumu ptasich skrzydeł. Kochałam naturę. To wspaniały dar, którego jednak wielu ludzi nie potrafi docenić.

Okrażyłam park swoją ulubioną ścieżką, która docierała aż do znajdującego się w jego rogu dużego stawu. Nad stawem rosły wierzby płaczące, w cieniu których stały ławeczki. W stronę jednej z nich skierowałam swoje kroki i opadłam na twarde siedzisko, dysząc ciężko.

Siedząc, jeszcze raz zaczęłam roztrząsać sytuację, jaka zaistniała między Mateuszem a mną. Ukryłam twarz w dłoniach, po raz kolejny zastanawiając się, jak to się w ogóle stało, że trafiłam akurat na niego, przecież tylu chłopaków było wkoło. Ale czemu nie skomplikować sobie życia? Musiałam zakochać się akurat w tym, który zadaje się z gangiem, no i w którym, na domiar złego, kocha się połowa żeńskiej części naszego miasta, a jedna trzecia dziewcząt z mojej klasy wpatruje się w niego jak w obrazek. No bo Mateusz jak nikt inny miał talent do rozkochiwania w sobie płci pięknej. Był popularny, zupełnie o to nie zabiegając. Dla większości był jednak zupełnie niedostępny. Wprawdzie wiązał się od czasu do czasu z którąś z uganiających się za nim dziewczyn, ale żaden z tych związków nie trwał zbyt długo.

Widziałam jednak, jak się ostatnio zmienił – zachowywał się o wiele dojrzej od chłopaka, którego znałam jeszcze kilka miesięcy temu. Szczególnie mocno doświadczyłam tego w czasie Próby. Stawał się mężczyzną, zaczął myśleć o stateczności, co raczej nie było w jego dawnym stylu.

Zastanawiał się nad przyszłością, studiami. Cieszyło mnie to, ale z drugiej strony martwiło. Mogłam się tylko domyślać, jak wielki wpływ w tej jego przemianie miała Próba. Z szalonego nastolatka, za którym biegają wszystkie dziewczyny, a o którym i ja skrycie marzyłam, musiał nagle stać się odpowiedzialnym mężczyzną. Owszem, takiego mężczyzny właśnie potrzebowałam... tylko za jaką cenę? Za cenę walki z całym Złem tego świata. Czy w ogóle będzie nam dane po prostu być razem? Do tego dochodziła jeszcze sprawa narkotyków. W tej kwestii nic nie zależało ode mnie, a wszystko od niego. Czy ten mężczyzna, który się w nim obudził, wygra i będzie umiał uwolnić się spod zgubnego wpływu swoich pseudoprzyjaciół?

Stwierdziłam, że muszę porozmawiać z Kasią, choćby to miało mnie kosztować spotkanie z Mateuszem, które było teraz jedyną i jednocześnie ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam. Wstałam i truchtem ruszyłam do domu. Była już prawie ósma, więc chwyciłam telefon i wykręciłam numer komórkowy Kasi. Odebrała po dwóch sygnałach.

- Coś się stało? - zapytała niespokojnie, słysząc mój głos.

- Musimy porozmawiać. Czy twój brat jest w domu?

- Niestety. I chyba dziś nie ma zamiaru nigdzie wychodzić. Justyna, on... - Zawahała się.

- Co? - ponagliłam zaniepokojona. - Coś się stało?

- On kilka razy mnie o ciebie wypytywał.

- Kasiu, muszę kończyć - powiedziałam szybko. - Po obiedzie do ciebie przyjdę, dobrze?

- Czekam - powiedziała miękko, jakby chcąc mnie uspokoić.

Po chwili usłyszałam głuchy sygnał w telefonie.

XV

- Ja już sama nie wiem - powiedziałam do przyjaciółki.

Siedziałyśmy w pokoju Kasi przy herbacie i cudownym cieście z kremem - dziele pani Weroniki. Tak jak zaplanowałam, poszłam tego dnia do niej. Rozmawiałyśmy już od dwóch godzin. Powiedziałam jej o wszystkich dręczących mnie wątpliwościach, no i dyskutowałyśmy, nie dochodząc do żadnego konkretnego wniosku, pomijając te, do których doszłam sama.

- Rozumiem cię, kochanie. Powiem ci jednak coś innego: znam swojego brata. Wiem, jaki jest. Wiem też, że nigdy nie zachowywał się tak w stosunku do żadnej dziewczyny! Tak bardzo zmienił się, odkąd wrócił z Włoch...

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- On jakby nagle wydorósł. Nawet rodzice patrzą na niego trochę inaczej. Poza tym sama wiesz, jak traktował wszystkie swoje dziewczyny. Zaczynał związek z każdą tylko dla świętego spokoju, w żaden poważnie się nie zaangażował. Każdą szybko się męczył, czyli średnio po jakimś miesiącu, dwóch, kiedy tylko poznawał je trochę lepiej. W każdej potrafił znaleźć milion wad, które, według

niego, przeszkadzały w ich związku, byleby jak najszybciej go skończyć.

- No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną? - zapytałam niepewnie. - Bo teraz to ja już niczego nie rozumiem.

- Powiem ci, co mam na myśli, bo dziś do ciebie coś wszystko powoli dociera. - Mrugnęła. - Jak na mój gust, mój kochany braciszek wpadł po uszy... czyli na zabój się zakochał w dziewczynie, o którą sam musiał zawalczyć.

Skinęłam głową, rumieniąc się lekko.

- Sama wiesz, że nigdy o żadną dziewczynę się nie starał. Jestem przekonana, że dla niego jesteś zupełnie wyjątkowa.

Byłam wdzięczna przyjaciółce; powiedziała mi to, co potrzebowałam usłyszeć, ale wątpliwości nie zniknęły zupełnie.

- Kasiu... - powiedziałam - ja się boję, że on się od nich nie uwolni, że mu nie starczy siły.

- Jeszcze raz powtórzę - powiedziała przyjaciółka stanowczo - Mateusz bardzo wydorósł. Myślę, że skoro podjął decyzję o skończeniu tych znajomości, to je skończy. Możesz mu zaufać... właściwie już to zrobiłaś. Po prostu bądź spokojna.

Pogadałyśmy jeszcze trochę, w końcu jednak zaczęłam zbierać się do wyjścia. Uścisnęłam Kasię i obiecałam ją odwiedzić również następnego dnia. Wyszłam na korytarz, zamykając za sobą drzwi od pokoju przyjaciółki. Ruszyłam w stronę schodów, jednak nie dane mi było do nich dotrzeć.

W progu swojego pokoju stał Mateusz z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Myślałem, że nigdy stamtąd nie wyjdiesz - powiedział. - Musimy porozmawiać.

Zawahałam się.

- Proszę - dodał, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

Weszłam do pokoju i usiadłam tam, gdzie miałam w zwyczaju, czyli przy biurku obok komputera. Przez chwilę nie wiedziałam, co powinnam zrobić, w końcu jednak z oporem powiedziałam:

- Słucham.

- Myślę, że powinienem ci kilka spraw wyjaśnić. - Mateusz był bardzo skupiony, jego głos brzmiał pewnie, jakby tę przemowę szykował sobie od dawna. - Wtedy, kiedy widzieliśmy się w parku, gdy byłaś z Filipem, Żaneta was zobaczyła. Ona świetnie wie, że nie jestem ci obojętny i dlatego mnie pocałowała.

Zobaczyłam żar w jego oczach. Chyba naprawdę zależało mu na tym, żebym mu uwierzyła.

- Powiedziałem Żanecie, że koniec z nami, ale ona zwyczajnie nie przyjmuje tego do wiadomości. Powiedziałem też kumplom, że uświadomiłem sobie, kim są naprawdę.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem i zapytałam:

- No a co z twoim planem, żeby to skończyć powoli? - Nie byłam w stanie ukryć zaskoczenia.

- Zrozumiałem, że tak się tego załatwić nie da. Próbowali mnie wkręcić w dealowanie, żeby mieć coś na

mnie, i grozili mi. Ja w odwecie zagroziłem, że pójdę na policję. Powiedziałem im też, że mam na nich parę solidnych haków, dobrze zabezpieczonych u zaufanych ludzi, i w razie gdyby coś im przyszło do głowy, to wszystko trafi od razu na policję.

- Uwierzyli?

- Nie mają powodu, żeby nie wierzyć. Zresztą mówiłem prawdę. Spotkałem się z Filipem. Bardzo dużo mi pomógł - powiedział, patrząc na mnie z uwagą. - To wszystko dzięki tobie.

Uśmiechnęłam się do niego. A więc wszystko szło w dobrym kierunku.

- To co teraz? - zapytałam.

- Mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Po tym mam nadzieję, że wszystko wróci do normy.

Było ciemno i zimno, była prawie północ. Wracałam przez park do domu. Jurand uciekł, więc podenerwowany Filip około dziesiątej przyszedł do mnie, żebym mu pomogła w poszukiwaniach. W końcu, po prawie dwóch godzinach, udało nam się go znaleźć. Pies zapędził się prawie na drugi koniec miasta za jakimś kocurem i nie mógł znaleźć drogi do domu. Przekonałam Filipa, że nie musi mnie odprowadzać. Z niechęcią zgodził się, wymuszając jednak na mnie obietnicę, bym zadzwoniła, jak będę na miejscu. Obiecałam mu to i ruszyłam. Wybrałam krótszą drogę przez park. To był błąd.

Już z daleka ich poznałam. Za późno było jednak na to, by zawrócić. Nie byłam pewna, ale zbliżając się do nich coraz bardziej, odnosiłam wrażenie, że czekają na mnie. Nie myliłam się.

- Idzie ta cwaniaczka... - Usłyszałam bełkot jednego z osiłków.

- Cześć, młoda. Co porabiasz sama w nocy w lesie? Chyba nie chcesz, żeby spotkało cię coś złego? - Zarechotał drugi.

Zatrzymałam się niepewnie. Łysy, ich szef, podszedł do mnie i powiedział:

- Co ja ci już raz mówiłem na temat Wersela? Nie pamiętasz? Trudno. Powiem ci tylko, że zrobiłaś ogromny błąd, buntując go przeciw nam. - Mrugnął na osiłków, którzy w mgnieniu oka mocno zacisnęli ręce na moich ramionach, uniemożliwiając mi jakiekolwiek ruchy.

- Dostaniesz to, na co zasłużyłaś. Będziesz przykładem, że nie można ze mną zadzierać.

Bandziory zaczęły prowadzić mnie w kierunku stawu. Wiedziałam, że w razie potrzeby mogę użyć Diveny, ale nie mogłam ich tak po prostu zaatakować. Poddałam się im na razie. Trzęsąc się z nerwów, szłam prowadzona przez dwóch z nich. Jeden, o ile pamiętam, miał na imię Krzysiek i mieszkał niedaleko mnie. W grupie dojrzałam Żanetę. Zmierzyła mnie i wykrzywiła wargi w złośliwym uśmiechu. Przeszedł mnie dreszcz. Mogłam odpowiedzieć Diveną, gdyby mnie zaatakowali fizycznie, ale jak miałam zareagować na nienawiść? Przecież dokładnie takie

zachowania jak ich sprawiały, że Czara Zła była bliska przepełnienia się.

Nie miałam pojęcia, co mają zamiar mi zrobić, ale nie miałam też zamiaru bezczynnie na to czekać. Jediną rzeczą, jaką mogłam zrobić, był kontakt z Mateuszem. To była moja szansa na ratunek na normalnych warunkach.

- Mateusz, odezwij się!

Przez chwilę nic nie słyszałam. Ponowiłam więc wołanie.

- Co się stało? - odpowiedział.

- Pomóż mi! Oni na mnie czekali, Łysy i reszta. Prowadzą mnie właśnie nad staw w parku. - Chłopak nie odpowiedział, ale poczułam jego niepokój.

Po kilku minutach marszu moim oczom ukazał się wreszcie staw. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Grupa zatrzymała się, a Łysy powiedział:

- No w końcu. Będiesz moją pierwszą poważniejszą ofiarą! - Uśmiechnął się złośliwie.

- Wątpliwy zaszczyt - warknęłam.

Przestał się uśmiechać i popatrzył na mnie. Widziałam nienawiść w jego oczach. Powiedział tylko:

- Kobiety mają pierwszeństwo. Żaneta?

Tego się właśnie obawiałam. Dziewczyna podeszła do mnie i złapała brutalnie za bluzkę, mówiąc:

- Nie oddam ci mojego chłopaka. Jeżeli ma nie być mój, twój nie będzie tym bardziej.

Wymierzyła mi ręką cios w policzek. Poczułam, jak jej paznokcie rozorały mi skórę. Nadal trzymało mnie dwóch

mięśniaków, więc nie miałam szans się zasłonić. Pod wpływem ciosu moja głowa odskoczyła w bok. Poczułam ostry ból i usłyszałam śmiech grupy. Nagle z za ich pleców dotarł okrzyk:

- Nie ważcie się jej tknąć!

Zobaczyłam biegnących w naszą stronę Filipa i Mateusza. Ludzie gwałtownie odwrócili głowy w stronę nadbiegających chłopaków. Zdziwienie malujące się na twarzy Łysego rzuciło mi się w oczy. Zaraz potem usłyszałam jego gniewny krzyk:

- Nie wtrącaj się!

Chłopcy dotarli na miejsce. Mateusz zmierzył Łysego wzrokiem i powiedział:

- Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy, ale na to nie mogę nie zareagować. Przymykałem oko na wiele twoich zagrywek, ale nie daruję ci znęcania się nad moją dziewczyną.

- Ależ przecież nic mi nie jest, koteczku! - wykrzyknęła słodkim głosem Żaneta.

- Milcz! - warknął Mateusz.

Widziałam, że był bardzo rozgniewany. Zwrócił się do trzymających mnie bandziorów:

- Puśćcie ją!

Zrobili, co kazał. Podbiegłam do Filipa i stanęłam między nim a Mateuszem. To wyprowadziło Łysego z równowagi.

- Czy ja wam kazałem ją puszczać?! - krzyknął do typków, po czym zwrócił się groźnym tonem do Mateusza: -

Naprawdę chcesz się od nas odwrócić? I to dla takiej szmaty?

To wystarczyło i tak już zdenerwowanemu Mateuszowi. Zamachnął się i przyłożył Łysemu, który zatoczył się i klnąc, upadł. Żaden z osiłków nie ruszył się, żeby pomóc hersztowi bandy. Chyba Mateusz był tu znaczącą osobą, bo uznali, że nie będą przeszkadzać w załatwianiu porachunków między nimi.

Łysemu krew leciała z ust. Nie wstawał, ale trzymając się za policzek, spojrzał gniewnie na Mateusza i powiedział:

- Zadarłeś ze mną! Uważaj, bo...

- Nie próbuj mi grozić! - przerwał mu Mateusz. - Wiesz doskonale, ile o tobie wiem. Nie próbuj więc niczego, bo to może się dla ciebie źle skończyć! - Chwycił mnie za rękę. - Nie waż się więcej tknąć mojej dziewczyny!

W tym momencie Żaneta rzuciła się w moim kierunku z pazurami, krzycząc:

- Ty zdiro! Nie dostaniesz go!

Zasłoniłam się instynktownie rękami. Mateusz odepchnął ją, zanim do mnie dotarła. Jeszcze raz zmierzył Łysego i jego kumpli, po czym odeszliśmy.

Cała się trzęsłam z nerwów, a rozorany paznokciami Żanety policzek bardzo mnie bolał. Mateusz delikatnie objął mnie ramieniem. Zatrzymaliśmy się tuż przy wejściu do parku i usiedliśmy na ławce.

- Wchodziłem właśnie do domu z Jurandem, kiedy go spotkałem - powiedział Filip pod moim adresem. -

Powiedział mi tylko, że cię dopadli i żebym z nim poszedł, bo może potrzebować pomocy.

- Dziękuję - powiedziałam.

Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

- To skoro nie jestem już potrzebny, pójdę do domu, na razie.

Kiedy Filip zniknął z pola widzenia, Mateusz powiedział:

- Przepraszam. Powinienem był to przewidzieć, ale ja się łudziłem, że zostawią cię w spokoju. - Spojrzał na mnie.

- Pokaż ten policzek.

Ujął moją twarz w trzęsące się dłonie i spojrzał. Odsunęłam jego rękę, mówiąc:

- Wiesz, że mogę sobie sama z tym poradzić.

Odeszłam kilka metrów w głąb parku, chcąc, by zasłoniły mnie krzewy. Wyjęłam Divendiego i nakazałam mu, by mnie uzdrowił. Gdy wróciłam, Mateusz rozmawiał przez komórkę.

- Tak. Słowo członka Drużyny Diveny. Jutro ją osobiście odstawię. Dziękuję i dobranoc. - Odsunął telefon od ucha. - Rozmawiałem z twoją mamą. Śpisz dziś u nas.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Pójdę do domu... - zaproponowałam.

- Proszę, nie wygłupiaj się. Wolałbym mieć cię w pobliżu... przynajmniej dziś.

Usiadłam obok niego na ławce. Przez chwilę milczeliśmy, po czym Mateusz powiedział:

- Wiesz, jak zawsze było mi trudno dostosować się do nowej sytuacji... zwłaszcza uczuciowej. - Zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając, po czym powiedział: - Do żadnej dziewczyny nie czułem tego, co czuję do ciebie. Zasadniczo to nigdy nie byłem w prawdziwym związku. Nigdy nie zależało mi na żadnej dziewczynie, z którą się spotykałem. Każdą kolejną szybko się nudziłem, bo każda w miarę, gdy ją poznawałem, okazywała się nie taką, jaką wydawała się być. Ale ty... Ciebie znam, a jednak wydajesz mi się tajemnicą. To prawda, na początku traktowałem cię jak dobrą koleżankę, bo nią przecież byłaś, ale potem zacząłem zauważać w tobie kobietę taką, z którą chciałbym się związać. To było takie nagłe, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ale bałem się zaryzykować. Moje związki kończyły się szybko, a ty jesteś przyjaciółką Kasi i trudno byłoby mi ciebie omijać, gdyby nam nie wyszło. Wtedy poznałem Żanetę. Ładna z niej dziewczyna, ale zupełnie pusta. Łudziłem się, że przy niej o tobie zapomnę. - Zaśmiał się. - Nic z tego. Po dwóch miesiącach dźwigania jej na ramieniu miałem serdecznie dość. W dodatku zdałem sobie sprawę, że nie potrafię zapomnieć, co gorsza, to było coraz mocniejsze. Nie potrafiłem już nawet z tobą rozmawiać. Wtedy właśnie wyjechałaś. W końcu pan Dominik zaprosił mnie do Włoch. No i wreszcie Próba. Wspomnienia stamtąd wyglądają jak niezły film. Gdybym tam naprawdę nie był, nigdy bym nie uwierzył w istnienie Diveny. To mnie bardzo zmieniło. Cały mój świat się zmienił. A ty stałaś się jego centrum. - Spojrzał mi w oczy. - Kocham cię.

Po raz pierwszy ujrzałam w jego oczach taką mieszaninę niepewności, nadziei i miłości. Westchnęłam głęboko i po chwili ciszy odpowiedziałam:

- Zmieniłeś się bardzo, Mateusz... Dojrzałeś. Ja też chyba zmieniłam swoje spojrzenie na wiele spraw... Wiele rzeczy przemyślałam. I doszłam do wniosku, że nie jesteś już tym chłopakiem, w którym się kiedyś zauroczyłam. Na moich oczach zmieniłeś się w mężczyznę, którego potrzebuję i którego kocham... - Uśmiechnęłam się do niego.

Chłopak wstał, objął mnie i uniósł lekko nad ziemię.

- Dziewczyno, gdybyś ty wiedziała, jak ja za tobą szaleję...

- Wiem - szepnęłam mu do ucha. - Tak, jak ja za tobą...

Dotarliśmy do domu Mateusza. Nadal jeszcze byłam zdenerwowana po tym wszystkim, co przeżyłam zaledwie pół godziny temu w parku. Weszliśmy do środka.

- Rodziców nie ma, ale nie martw się, poradzimy sobie. Nie będziemy budzić Kasi, chyba że chcesz z nią pogadać... - Spojrzał na mnie niepewnie.

- Nie, niech śpi - powiedziałam.

- Będziesz spała w moim pokoju. Ja się prześpię w salonie na dole.

- Nie mam piżamy - powiedziałam cicho.

- Pożyczylbym coś od siostry. - Zastanowił się. - Albo nie, bo jeszcze się zbudzi. Dam ci jakąś moją koszulkę, o ile się w niej nie utopisz. - Zaśmiał się.

- Nie martw się. Jakby co, będziesz mnie ratował - odparłam, puszczając mu oczko.

Poszliśmy na górę. Mateusz zabrał swoją pościel na dół, a mnie przyniósł czystą. Wzięłam prysznic. W łazience spojrzałam w lustro na swój policzek. Nie było na nim śladu po ranie. Moją uwagę przykuło jednak coś innego - wyraz mojej twarzy.

Byłam blada jak ściana. Dopiero, kiedy już było po wszystkim, uczucia, które wtedy opanowywałam, powróciły i uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. W żołądku poczułam nieprzyjemny ucisk, który pojawiał się zawsze, gdy tylko się bardzo denerwowałam.

Oparłam się plecami o zimną ścianę, wciągając głęboko w płuca powietrze i czekając, aż emocje ze mnie opadną. Po kilku minutach usłyszałam delikatne pukanie do drzwi i cichy głos Mateusza, pytający, czy wszystko jest w porządku. Odparłam, że tak, po czym wzięłam jeszcze kilka głębokich wdechów i wyszłam z łazienki.

Nazajutrz, gdy się obudziłam, przez kilka chwil nie zdawałam sobie sprawy, gdzie jestem. Rozejrzałam się i zobaczyłam Mateusza śpiącego w fotelu obok. Usiadłam na łóżku. Szmer zbudził go; otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Czemu nie śpisz na dole? - zapytałam zdziwiona. Wyglądał, jakby całą noc nie zmrużył oka.

- Nie chciałem cię zostawić samej - powiedział.

- Jak to?

- Zszedłem na dół i położyłem się. Nie pamiętam, ale chyba nawet chwilę drzemałem. Obudził mnie twój krzyk.

- Krzyczałam przez sen? - zapytałam zaskoczona. Mateusz skinął głową.

- Przestałaś, gdy wziąłem cię za rękę. Więc pomyślałem, że lepiej zostanę. - Uśmiechnął się.

- Ale przeze mnie się nie wyspałeś! - powiedziałam, dziękując losowi, że nie pamiętałam, co takiego mi się przyśniło.

- Nie było tak strasznie. - Ziewnął.

- Aha, właśnie widzę. Kładź się. - Odsunęłam się na brzeg łóżka.

- Jesteś pewna? - zapytał.

Skinęłam głową.

Położył się i już po pięciu minutach smacznie spał. Ja nie mogłam zasnąć, więc tylko patrzyłam na niego. Poczułam, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. Ale Mateusz to nie tylko mój chłopak. To też członek Drużyny Diveny. Będzie z mojego powodu wystawiony na wiele niebezpieczeństw. Będzie walczył, a może nawet zginąć. Mimo że przekazałam mu Divenę, nie byłam pewna, czy da radę. Nie był przecież Wojownikiem. Wiedziałam tylko jedno: nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś mu się stało.

Wstałam, ubrałam się i zeszłam na dół. Skoro nie było państwa Wersel, postanowiłam sama zrobić śniadanie. Zresztą nie raz spałam u Kasi i przygotowywałam

śniadanie, więc wiedziałam, że pani Weronika nie miałaby nic przeciwko temu.

W lodówce znalazłam wszystko, co było potrzebne, więc robota szybko mi poszła. Pomyślałam, że zrobię śniadanie również dla Kasi i zjemy razem, w jej pokoju. Nie chciałam, żeby siedziała tam sama. Szybko przyszykowałam więc tacę i podążyłam z nią na górę. Położyłam ją na podłodze, żeby otworzyć drzwi, po czym weszłam do środka.

Moja przyjaciółka była już ubrana i właśnie balansowała na jednej nodze, próbując pościelić swoje łóżko. Na mój widok ogromnie się zdziwiła.

- Co ty tu robisz?

- Przyszłam pomóc ci przy ścieleniu i przyniosłam śniadanie - powiedziałam, kładąc tacę na stole i sadzając przyjaciółkę delikatnie na krześle, a sama zabierając się do zaścielenia łóżka.

- Nie rozumiem - powiedziała, wpatrując się we mnie ze zmarszczonymi brwiami. - Jak się tu znalazłaś? Mateusz jeszcze na pewno śpi, rodziców nie ma, więc kto otworzył ci drzwi? - Nagle ją olśniło. - Spałaś tutaj, prawda?

- Tak - powiedziałam, uśmiechając się.

- Kto cię zaprosił? Ja nic o tym nie wiedziałam! Spałaś na dole?

- Nie, kochanie - powiedziałam, uśmiechając się do niej. - Spałam w pokoju mojego chłopaka.

Kasia wlepiła we mnie swoje głębokie zielone oczy, mówiąc:

- Więc mój brat w końcu wszystko załatwił? - zapytała. Skinęłam głową. - Ale jak to się stało, że u nas nocowałaś?

- Kiepska historia - powiedziałam. - Opowiem ci wszystko, ale bierzmy się za śniadanie, bo kakao wystygnie.

Zjadłyśmy szybko, po czym zaczęłam Kasi referować wydarzenia poprzedniej nocy. Przyjaciółka wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem. Pomięłam fakt, że Żaneta mnie uderzyła, no i powiedziałam, że Mateusz zaniepokoił się o mnie, gdy dowiedział się od Filipa, że nie daję znaku życia.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Mateusz.

- A oto i mój obrońca - powiedziałam, uśmiechając się do niego. Podszedł i cmoknął mnie lekko w usta, po czym spojrzał mi czule w oczy.

Kasia przez chwilę patrzyła na nas bez słowa, po czym uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

- Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że dwoje najbliższych mi ludzi postanowiło wreszcie zmądrzeć!

- Zmądrzeć? - powiedzieliśmy z Mateuszem w jednej chwili, po czym spojrzeliśmy na siebie i się roześmialiśmy.

- No tak. Tylko nie zaprzeczajcie, jak wam powiem, że jesteście dla siebie stworzeni.

Nie zaprzeczyliśmy, tylko spojrzeliśmy na siebie i po prostu się uśmiechnęliśmy.

XVI

Pomagałam mamie przy pracy w ogrodzie. Bardzo na to nalegała, a robiła to zawsze wtedy, gdy chciała ze mną porozmawiać. Tym razem nie było jednak tak, jak zwykle. Tym razem moja mama najwyraźniej nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, choć zazwyczaj przychodziło jej to niezwykle łatwo. W końcu, po pół godzinie gadania o niczym, gdy zauważyłam, że chwasty na grządce się kończą, powiedziałam:

- Mamo, zawsze jak zabierasz mnie na grządkę, to znaczy, że masz coś do omówienia. Powiedz, o czym chcesz porozmawiać, bo nam zielska nie starczy.

Mama przerwała na chwilę pracę i wyprostowała się, odgarniając z czoła jasne kosmyki. Uśmiechnęła się do mnie promiennie i odparła:

- Masz rację. Nie starczy nam zielska. Ale temat nie jest długi. Chodzi o twoją przyszłość.

- I temat nie jest długi? - Odwzajemniłam uśmiech. - Chodzi o Divenę?

- Nie, nie tym razem. Chodzi o twoje studia.
Zaskoczyła mnie.

- Wiem mniej więcej, w jakim kierunku pójdę, ale mam jeszcze czas, żeby o tym pomyśleć. Dopiero za rok skończę szkołę - powiedziałam.

- Wiem, kochanie - powiedziała poważnym tonem. - Ale nie przeszkadza to, by zacząć już teraz. Widzisz, ktoś złożył nam pewną propozycję. Wiem, że lubisz matematykę i przedmioty ścisłe. Właśnie to zadecydowało, że zaczęliśmy z twoim tatą myśleć o tej propozycji poważnie.

- O czym mówisz, mamó? - zapytałam, bo moje zdziwienie rosło coraz bardziej.

- Mówię o przejęciu przez ciebie firmy wuja Dominika...
- Mama spojrzała na mnie wyczekująco.

- Chcesz powiedzieć, że miałabym odziedziczyć firmę wuja? - Moje zaskoczenie sięgnęło zenitu.

- Firmę i cały jego majątek - powiedziała mama. - Jest tylko jeden warunek: firmy nie wolno ci będzie sprzedać. To interes, który wuj wybudował od podstaw, więc nie chce, by go sprzedano. Poza tym musiałabyś studiować we Włoszech. I od razu ci mówię, wuj miał zamiar sam ci o tym powiedzieć, nas tylko spytał o zdanie. To ja go poprosiłam, bym mogła z tobą pierwsza porozmawiać. On wprawdzie wie o Divenie, ale nie ma pojęcia o tym, kim jesteś. Chciałam cię uchronić przed niezręczną sytuacją i dać ci czas do namysłu.

- Cóż... - powiedziałam - to trudna decyzja. Miałabym was zostawić? Chyba że przeprowadzilibyście się ze mną?

- O tym pomyślimy później. Ja boję się, że coś innego będzie stanowiło dla ciebie problem. Albo raczej ktoś. -

Popatrzyła na mnie z uwagą i uśmiechnęła się lekko, kontynuując: - Wiem, że jesteś jeszcze młoda, ale ja w ten sam sposób patrzyłam na twojego tatę, gdy się w nim zakochałam. Twój dziadek chciał mnie wtedy posłać na studia, co nie było zbyt popularne. Musiałabym wyjechać, a bałam się stracić Stefana. Dziadek twierdził, że to na pewno tylko przelotne uczucie, jak każde inne w tym wieku. Ja jednak czułam inaczej... Twoja babcia potraktowała mnie poważnie, pozwoliła mi zostać i sama widzisz, co z tego wyniknęło.

Wpatrywałam się w nią zdumiona.

- Nie patrz tak na mnie. Mateusz to mądry i dobry chłopak. No i przystojny. - Mrugnęła do mnie. - Takiego połączenia w dzisiejszych czasach ze świeczką szukać.

- Mamo! - Zarumieniłam się. Ona tylko się uśmiechnęła. Po chwili dodała spokojnym głosem:

- Znasz mnie, kochanie, więc wiesz, jak wielką wagę przywiązuję do uczuć. Dlatego właśnie, zanim ci powiedziałam o propozycji wuja, musiałam przemyśleć wszystkie aspekty. Nic się nie martw. Wuj to bardzo przedsiębiorczy i przede wszystkim dobry człowiek, a we Włoszech jest wiele świetnych uczelni. Twój chłopak zna przecież język...

Nie dałam jej dokończyć zdania, zarzucając jej ramiona na szyję.

- Cieszę się - powiedziałam. - Tym lepiej dla niego, że w końcu wróci do normalnego życia.

- Fajnie, że to dzięki mnie wreszcie się zdecydował - dodał Mateusz, udając bardzo dumnego. Szturchnęłam go.

- Skromny jesteś! - Zaśmialiśmy się.

Siedzieliśmy w moim pokoju na kanapie. Mateusz, gdy dziś przyszedł, już od progu zaczął mówić, że ma dla mnie zaskakującą wiadomość. Mieszkający niedaleko mnie chłopak, Krzysiek, należący do bandy, z którą zadawał się Mateusz, po zdarzeniu w parku postanowił również z nimi skończyć. Przyszedł do Mateusza i poprosił o pomoc. Oczywiście nie było mowy o odmowie. Mateusz poradził mi, by powiedział Łysemu, co ma do powiedzenia, a gdyby co, żeby dał do zrozumienia, że przyłącza się do niego. Poszedł z Krzyśkiem, ale nie rozmawiał z dawnymi kolegami, tylko stał i patrzył z daleka. Wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie to, że Łysemu wcale nie spodobała się utrata kolejnego członka bandy. Mateusz musiał interweniować, gdy chcieli Krzyśka pobić.

- Nie boisz się, że oni mogą chcieć się zemścić?

- Szczerze mówiąc, trochę się tego obawiam. Ale Filip podrzucił mi pewien pomysł.

- Jaki? - Zainteresowałam się. Przypomniałam sobie, że Filip wspominał coś o poznawaniu przyjaciół w biedzie, ale nigdy nie powiedział mi, o co mu właściwie chodziło.

- Taki, żeby poprosić o pomoc naszą licealną paczkę - odparł Mateusz.

- Opowiedziałbyś im o tym, co stało się w parku?

Skinął głową.

- O tym i o wszystkim innym. Tylko ty i Filip musielibycie to potwierdzić. No i oczywiście wciągniemy w to też Krzyśka. Zaplanujemy jakiś dwudniowy wypad za miasto, gdy już wszyscy wrócą z wakacji i pogadamy z nimi, może zechcą pomóc - stwierdził, dodając po chwili: - Większość ludzi wraca w tym tygodniu.

- To dobrze. Im szybciej, tym lepiej. - Pomysł bardzo mi się spodobał.

Nagle w pokoju zrobiło się ciemno. Instynktownie złapałam Mateusza za rękę i ścisnęłam ją. Odwzajemnił uścisk, przysuwając się do mnie i obejmując mnie ramieniem. Przez kilkanaście sekund nie widziałam zupełnie nic, do chwili, gdy naszym oczom ukazała się świetlista łuna. Patrzyłam zdziwiona, gdy zaczęła wyłaniać się z niej postać. Jej zarys wydawał mi się dziwnie znajomy. Stanęliśmy naprzeciw niej. Nakazałam Divendiemu rozpalic Biały Ogień.

W blasku mojego Sługi ujrzałam twarz postaci. Moim oczom ukazał się Vertus. Skinął głową Mateuszowi i mnie, po czym rzekł:

- Witaj, Aido Nicoletto. Mam dla ciebie ważną wiadomość. Bardzo ważną - powiedział, patrząc znacząco na Mateusza. - Na razie przeznaczoną tylko dla twoich uszu.

Kątem oka zobaczyłam, że Mateusz skinął lekko głową, po czym zniknął.

- Jest bezpieczny, prawda? - zapytałam, by się upewnić.

- Jest tam, skąd go zabrałem - powiedział Vertus. - Czy mogę mówić?

- Jesteś dziś strasznie oficjalny, Vertusie - powiedziałam ze śmiechem.

- Taka postawa wszystkich obowiązuje wobec Dziedzica.

- Nie wygłupiaj się. Wolałabym mieć w tobie przyjaciela.

Uśmiechnął się i kontynuował:

- Rada odkryła coś bardzo niepokojącego. Zło działa w miejscu mojego urodzenia. Nie odkryliśmy jeszcze, o co może w tym chodzić, ale wiemy na pewno, że nikt prócz ciebie nie da sobie z tym rady. Czy jesteś gotowa interweniować?

- Oczywiście, że jestem - odparłam, nadal zdziwiona zarówno wiadomościami, jakie przynosił, jak i jego postawą.

Vertus przyjrzał mi się i powiedział:

- Nawet Rada Diveny nie może ci niczego nakazać. Decyzja należy tylko do ciebie. Boimy się, że ta emanacja siły ma na celu ściągnięcie ciebie tam, dlatego w razie czego dobrze by było, żebyś miała przy sobie całą Drużynę.

- Rozumiem. W takim razie ja zbiorę tu, w Głównej Czasoprzestrzeni, moją Drużynę, a ty spróbuj ustalić, co się da. Dam ci znać przez Divendiego, jak już wszyscy będziemy gotowi.

Vertus nie odpowiedział, skinął tylko głową w geście zgody i pożegnania, po czym znów znalazłam się w swoim pokoju.

Mateusz stał przy oknie.

- Myślałem, że już nie wrócisz. Czy to coś poważnego? - zapytał z niepokojem.

- Sama nie wiem, ale czeka nas mała wycieczka.

- Wszystko załatwione. Wyjeżdżamy jutro - powiedział Filip.

Spojrzałam znacząco na Mateusza. Chyba obawiał się trochę spotkania z naszą starą paczką. Musiał się w końcu przyznać przed nimi do błędu, no i poprosić o pomoc. Nie stracił z nimi nigdy całkowicie kontaktu, ale przecież niejednokrotnie rezygnował ze spotkań z nami dla tamtej bandy. Nie dziwiłam mu się teraz. Znałam jednak swoich kolegów i koleżanki i wiedziałam, że się od nas nie odwrócą, zwłaszcza gdy chodzi o tak poważną sprawę.

Siedzieliśmy w trójkę w moim pokoju. Na stoliku stały trzy szklanki z oranżadą i talerzyk z ciasteczkami. Wszystko nietknięte, mimo że rozmawialiśmy już od ponad godziny. Wspólnymi siłami załatwiliśmy wszystko, co było potrzebne, zaprosiliśmy też, kogo trzeba, łącznie z Krzyśkiem, który okazał się świetnym kumplem, mimo swojego stażu w gangu. Wypożyczyliśmy na weekend domek nad zalewem, a Marek, kuzyn Filipa, powiedział, że spróbuje wyciągnąć od swojego ojca pozwolenie na pożeglowanie jego jachtem.

Wszyscy zrzucili się na jedzenie i picie. Jechać nas miało piętnaście osób. W sumie do kompletu brakowało nam tylko Marty, która wyjechała na miesiąc do Hiszpanii,

no i Kasi, która z racji intensywnej rehabilitacji nie mogła w ten weekend ruszyć się z domu. Początkowo Dorian, mój kolega z klasy, trochę oponował, ale w końcu zgodził się jechać z nami.

- Nic się, chłopie, nie martw. Jak tylko im powiesz, o co chodzi, od razu zapalą się do walki - powiedział Filip, który był pomysłodawcą całego wydarzenia.

- Nie jestem pewien, czy dobrze robię, wciągając ich w to... - powiedział niepewnie Mateusz.

- Weź się nie wydurniaj! Przecież prosisz przyjaciół o pomoc! Co w tym złego?

Chłopak uśmiechnął się tylko, a ja w głowie usłyszałam jego głos:

- *Też tak uważasz?*

- *Oczywiście. Jeśli coś złego się dzieje, to przecież każdy normalny człowiek zwraca się o pomoc do swoich przyjaciół.*

- Zdecydowanie nie ma w tym nic złego. - Usłyszałam po chwili z jego ust i mimowolnie uśmiechnęłam się.

- No to w takim razie zostało nam do zrobienia tylko jedno - powiedziałam.

- Czyli? - zapytał Filip.

- Być dobrej myśli i cieszyć się z wyjazdu.

- Wtedy właśnie przybiegli Mateusz i Filip - powiedziałam. Pozostali skinęli głowami. - Bardzo się bałam, ale jakoś mnie wyratowali, a Mateusz zaczął kłócić

się z Łysym, aż tamten mu zagroził zemstą. Stąd to wszystko.

Siedzieliśmy przed naszym domkiem przy wieczornym ognisku, smażąc kiełbaski. Mateusz miał już za sobą wstępną przemowę, a teraz ja po raz kolejny przypominałam sobie zajścia tamtej pamiętnej nocy. Nagle odezwał się Paweł, wysoki, ciemnowłosy koszykarz z mojej klasy:

- Dlaczego nie powiedzieliście nam od razu, co się święci? Nie wiedziałeś o niczym, Mateusz?

- Podejrzewałem, ale łudziłem się, że dadzą spokój. Już od dawna wiedziałem, że to niezbyt wiele warci ludzie. Ale mieli na mnie zbyt duży wpływ. Dopiero teraz przejrzałem na oczy i postanowiłem, że muszę z nimi definitywnie skończyć. Przepraszam was za to, że wybrałem ich, zamiast trzymać się z wami...

- Przestań. Przecież wszyscy cię znamy i wiemy, że jesteś w porządku, więc po prostu uznajmy, że tamto to niemiła przygoda - powiedziała Monika.

- Przygoda, której konsekwencje zobowiązujemy się ponieść - stwierdził stanowczo Kamil, troszkę tęgawy, przesympatyczny „głos rozsądku” naszej paczki. To do niego zawsze należało ostatnie słowo, jeśli trzeba było podjąć decyzję dotyczącą wszystkich. On też zawsze potrafił pertraktować z dorosłymi tak, by wybawić nas z najgorszych opresji, gdy coś zbroiliśmy. Tym razem również po jego słowach reszta uznała sprawę za zakończoną.

- Dzięki wam, ludziska - powiedział Filip.

- Właśnie, dzięki - dodał od siebie Krzysiek. - Trochę niezręcznie się czułem, przyjeżdżając tu do was, ale teraz wiem, że równi z was ludzie. Szkoda tylko, że nie znałem was wcześniej od tej strony.

- Daj spokój. Teraz jesteś z nami, więc pozostało ci tylko przyłączyć się do zabawy - powiedział Marek, podnosząc się z miejsca. Wesołe iskierki tańczyły w jego oczach. - Widzę, że wszyscy już zjedli, więc czas zacząć. Tak więc, kto ostatni na plaży, ten sprząta!

Poderwaliśmy się wszyscy na nogi i z dzikim wrzaskiem popędziliśmy nad wodę.

- Jestem teraz spokojny. Jednak nie było się czego obawiać.

- Przecież ci mówiłam - odparłam i mocniej wtuliłam się w ramiona mojego chłopaka.

Była ciepła noc. Cała nasza paczka już spała, tylko my siedzieliśmy przed domkiem, wpatrując się w lśniącą tafłę zalewu.

Była czwarta nad ranem. Nie spaliśmy, bo następnego dnia mieliśmy wczesnym rankiem wracać do domu, więc jako odpowiedzialni za wypożyczony domek musieliśmy dopilnować, by oddać go w normalnym stanie. Wszyscy pomagali sprzątać, ale to my zobowiązaliśmy się wszystko jeszcze raz dokładnie sprawdzić, a że piętnastoosobowy domek był dość spory, zajęło nam to niemało czasu.

- Co myślisz o tym, żeby jutro, przy oddawaniu domku, od razu zarezerwować ten mały, ośmioosobowy, na weekend za tydzień? - zaproponowałam.

- Myślę, że to nie problem, o ile będzie wolny. Ale może wyjawisz mi, po co?

Westchnęłam. Nie miałam zamiaru tego ukrywać, jednak ciężko było mi powiedzieć mu, że oto po raz kolejny będzie z mojego powodu wystawiony na niebezpieczeństwo. W końcu wyjawiałam mu treść ostatniej rozmowy z Vertusem. Pokiwał ze zrozumieniem głową i po chwili powiedział:

- Wiem, że się boisz.

- Nie o siebie - powiedziałam.

- Boisz się o nas. Ale myślę, że nie masz powodu. Kiedy Vertus na Próbie powiedział nam o tej przysiędze, którą możemy ci złożyć, zastrzegł, że to tylko i wyłącznie nasza decyzja. W ten sposób dokonujemy wyboru, który nie może być powodowany nieczystymi pobudkami. Wiesz, dlaczego ja podjąłem taką decyzję?

Pokręciłam przecząco głową, choć domyślałam się, że chodzi o ten sam powód, dla którego tak się o niego boję.

- Otóż zrobiłem to dlatego, że cię kocham. Myślisz, że bym cię zostawił, jak miałem możliwość być przy tobie? Nie mógłbym spać spokojnie, gdybym miał świadomość, że może akurat w tym samym momencie, kiedy ja leżę sobie w łóżku, ty walczysz i wystawiasz się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Więc tak naprawdę z własnej woli jestem przy tobie.

- Ale...

Nie dał mi skończyć.

- Sam się na to zdecydowałem i nie żałuję. Dalej tego chcę.

Po raz kolejny westchnęłam. To, co mówił, podnosiło mnie na duchu, ale nie zmieniało stanu rzeczy. Przysięgi nie da się odwołać. A ja już ją przyjąłam. Z drugiej strony chciałam, żeby był przy mnie w tych chwilach. Jak jednocześnie można się z czegoś cieszyć i się tego bać? W każdym razie nie mogłam niczego już zmienić, więc nie było sensu się nad tym dłużej zastanawiać. Z tą myślą wróciłam do domku i zasnęłam, wsłuchując się w spokojne oddechy moich przyjaciół.

Postanowiliśmy zgodnie, że od tej pory żadna osoba z naszej paczki nie może po mieście poruszać się samotnie. Nie oponowałam, mimo że sama poradziłabym sobie z grupą o wiele większą i niebezpieczniejszą od gangu. Ale nie szło tylko o mnie, więc bez słowa dostosowałam się do reszty i również sama nie ruszałam się z domu.

Podzieliliśmy się na kilkuosobowe grupy, mające zawsze trzymać się razem, biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania. Tak, żeby wychodzić razem i wspólnie do domu wracać. Moja grupka była najmniej liczna, mianowicie składała się z Mateusza, Filipa i mnie - oczywiście póki co nie mogliśmy brać pod uwagę Kasi. Zaczęliśmy więc w ten właśnie sposób się spotykać. Przeważnie chłopcy najpierw przychodzili do mnie, ponieważ mieszkałam mniej więcej

pośrodku dzielącej ich odległości, a dopiero potem wychodziliśmy.

Tydzień po powrocie znad zalewu razem z dziewczynami postanowiłyśmy wybrać się na zakupy. Oczywiście chłopcy musieli o wszystkim wiedzieć. Umówiliśmy się więc, że spotkamy się wszyscy w parku, po czym, podczas gdy my będziemy działać w centrum handlowym, chłopaki posiedzą sobie w naszym ulubionym pubie na najniższym poziomie owej instytucji i pograją w bilard.

Jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. Zakupy udały nam się świetnie - w jednym z butików była wyprzedaż. Gdy obładowane i zadowolone przyszliśmy do pubu, chłopcy tylko pokiwali głowami, a Kamil stwierdził:

- Widzicie, faceci, przywlekły nam tu kupę niekoniecznie niezbędnych rzeczy i teraz jeszcze pewnie będą chcieli, żeby im to do domów pozanosić!

- Ależ nic podobnego! - oburzyła się Ola. - Same sobie to zaniemiemy, chcemy poćwiczyć mięśnie.

- Poza tym - dodała Karolina - to wcale nie są niepotrzebne rzeczy. Ciekawe, co powiedzielibyście, gdybyśmy tak wyszły z wami na przechadzkę chociażby w workach po ziemniakach.

Po tych słowach komentarze męskiej części towarzystwa zniknęły. I to tylko dlatego, że na ten temat wypowiedziała się Karolina. Była to bowiem dziewczyna mająca niesamowitego nosa do wyprzedaży, a także genialny gust, jeśli chodzi o ubiór, makijaż i fryzurę. Do

owego gustu odwoływały się wszystkie dziewczyny z paczki, czasem również chłopcy, kiedy wybierali się na randkę. Z tego też powodu jej zdanie na te tematy było przyjmowane przez resztę niemalże jak słowo wyroczni.

Rozsiadliśmy się przy naszych dwóch ulubionych stolikach, które jak zwykle z tej okazji zostały zsunięte razem. Zamówiłam koktajl owocowy, a gdy już wszyscy uporali się ze swoimi napojami i posiłkami, postanowiliśmy wracać. Kroki skierowaliśmy oczywiście do parku.

Trzymając się razem, czuliśmy się o wiele pewniej. Dlatego idąc, zajmowaliśmy całą szerokość chodnika. Było parno i ciężko się oddychało. Zbierało się na burzę. Jednak nie tylko przyroda szykowała się do wyładowania. Od samego rana miałam przeczucie, że coś niedobrego się szykuje. W miarę mijania czasu wrażenie to potęgowało się, a gdy osiągnęło zenit, zaczęłam się poważnie obawiać. Coś miało się za chwilę wydarzyć. Postanowiłam, że podzielę się tym z Mateuszem. Lepiej, żeby wiedział. Wysłałam mu szybko wiadomość. Równie szybko odpowiedział, radząc mi, bym się tym nie przejmowała. Stwierdził, że dobrze jest wiedzieć, że coś się stanie i móc się na to przygotować, ale zamartwianie się na pewno nic nie pomoże i nie zatrzyma tego, co musi się stać.

Idąc za radą Mateusza, zaczęłam z koleżankami po raz kolejny dyskutować, wychwalając zalety zakupionych dziś rzeczy. Tymczasem weszliśmy do parku i po kilkunastu minutach dotarliśmy w okolice stawu. Wtedy właśnie przekonałam się, czego dotyczyły moje obawy. Pomędzy

drzewami dostrześliśmy kilkunastoosobową grupę młodych ludzi na czele z Łysym. Między nami zapadła cisza. Nie zatrzymaliśmy się, tylko Kamil dał pozostałym gestem do zrozumienia, by nie reagowali, dopóki tamci nie zrobią pierwszego kroku.

Łysy, który był chłopakiem bardzo niecierpliwym, ruszył z naprzeciwka, wykrzykując przekleństwa pod naszym adresem. Kamil, Mateusz, Marek i Filip, którzy szli na czele naszej grupy, z kamiennymi twarzami zbliżyli się do niego i zatrzymali się. Reszta gangu stanęła tymczasem za plecami swojego przywódcy.

- Czego od nas chcesz? - zapytał spokojnie Mateusz.

Łysy zaśmiał się chrapliwym głosem. Był blady i miał mętny wzrok. Nawet niedoświadczony obserwator zauważyłby od razu, że ćpał. Rozszerzone źrenice jego towarzyszy też nie pozostawiały wątpliwości.

- Czego chcę, Wersel? Nie domyślasz się? Chcę ciebie i tego drugiego zdrajcy... Ha, ha... i tej twojej panienki. Jak mi się poddacie bez stawiania oporu, to może tylko się z nią zabawię...

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Widziałam, jak Mateusz napiął mięśnie i z ogromnym wysiłkiem starał się zapanować nad emocjami.

Byliśmy zdani sami na siebie. Wzywanie policji lub jakichkolwiek innych osób nie wchodziło w grę. Mieliśmy wprawdzie nad nimi fizyczną przewagę, bo niektórzy słaniali się na nogach, ale te ćpuny były w stanie z zimną krwią nas zamordować, nie zdając sobie sprawy z tego, co

robią, a myśląc tylko o tym, co chcą osiągnąć. A cel mieli jeden - zemstę.

- Daj sobie spokój - powiedział powoli Kamil, podkreślając każdy wyraz.

Oczy Łysego zapłonęły z furją.

- Nie rozmawiam z tobą! - ryknął i zachwiał się. Sięgnął do kieszeni i coś błysnęło w jego dłoni.

- *On ma nóż!* - wysłałam szybko Mateuszowi.

Nie odpowiedział.

- To jak będzie, Wersel? Idziecie ze mną? Inaczej - dodał i skinął głową w moją stronę - wezmę ją sobie sam i...
- Mateusz przerwał mu lewym sierpowym.

I zaczęło się. Banda rzuciła się z pięściami na chłopaków z naszej paczki. Do mnie i moich przyjaciółek podbiegło kilka naćpanych, agresywnych dziewczyn. Mateuszowi, Markowi i Pawłowi szło świetnie. W końcu trenowali sztuki walki. Reszta też dawała sobie radę, choć nie wyglądało na to, by ktokolwiek wychodził bez szwanku. Staraliśmy się ich wszelkimi sposobami ogłuszyć, ale nie robić krzywdy.

Tak jak się spodziewałam, w chwilę po akcji Mateusza ujrzałam biegnącą z krzykiem w moim kierunku Żanetę. Osłoniłam się przedramieniem. Dziewczyna, wykrzykując przekleństwa i grożąc mi, wczepiła się rękami w moje włosy i sięgnęła paznokciami do twarzy. Nie zdążyła. Poczułam ciepło bijące od Kamienia zawieszzonego na mojej szyi i zobaczyłam, jak Divendi załśnił nikłym blaskiem. Dziewczyna w momencie odskoczyła ode mnie. Miała

poparzone dłonie. Rozejrzałam się, czy nikt nie widział tego, co się stało. Na szczęście pozostali byli zbyt zajęci, by zwrócić uwagę na cokolwiek innego niż pilnowanie, by zbyt mocno nie oberwać, ale porządnie przyłożyć.

Nagle moją uwagę przykuł błysk metalu. Odwróciłam się w tamtą stronę i zobaczyłam, jak jakiś ćpun szybkim ruchem zadaje Filipowi cios nożem w brzuch, po czym odbiega w kierunku swoich. Mój przyjaciel, zaskoczony nagłym atakiem bólu, dotknął rany. Ubroczoną krwią dłoń uniósł na wysokość oczu i spojrzał na nią z niedowierzaniem, po czym śmiertelnie blady osunął się na kolana kilka kroków od pozostałych walczących. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Działając pod wpływem impulsu, podbiegłam do rannego chłopaka. Ręce mi drżały. Wiedziałam, że mogę zrobić tylko jedno. I że muszę to zrobić jak najszybciej, zanim ktokolwiek zauważy całe zajście.

- Filip, słyszysz mnie?

Chłopak nie odpowiedział, ale spojrzał na mnie. W jego oczach zobaczyłam wielkie cierpienie, zbliżającą się śmierć i pytanie: „Dlaczego?”. Ścisnęło mi się serce.

- Posłuchaj, teraz coś zrobię. Nie pytaj o nic. Jeśli ktoś będzie zadawał ci pytania, powiesz, że tamten chłopak chybił, rozumiesz? - mówiąc to, pospiesznie wyjęłam Divendiego i zacisnęłam go w lewej dłoni, prawą kładąc na ranie, z której tryskała krew. Poprosiłam mojego Sługę o pomoc i zamykając oczy, skupiłam całą swoją wewnętrzną siłę, prosząc jednocześnie, by nie pojawiała się luna

światła. Poczułam ciepło płynące z mojej ręki na ranę, która zniknęła po kilku chwilach.

Otworzyłam oczy. Filip patrzył na mnie, co chwila z niedowierzaniem spoglądając na miejsce, gdzie zagłębił się nóż jego przeciwnika. Pomogłam mu wstać i powiedziałam jeszcze szeptem:

- Pamiętaj, gdyby ktoś pytał, to tamten nie trafił. Ukryj jakoś tę bluzę i krew. Później ci wszystko wyjaśnię.

- Co się stało? - zapytał Paweł. Wszyscy ćpuni leżeli już pokonani na ziemi.

- Filip się przewrócił - powiedziałam pospiesznie.

- Jeden idiota mnie zaatakował nożem - wyjaśnił chłopak - ale uchyliłem się i nie trafił. Za to wylądowałem na ziemi - dodał, spoglądając na mnie kątem oka.

Na szczęście było już na tyle ciemno, że nikt nie przyglądał się bluzie Filipa, którą ten dla pewności ściągnął. Pozbieraliśmy swoje rzeczy i umówiwszy się na spotkanie kolejnego dnia u Marka, rozeszliśmy się.

Mateusz odruchowo chciał chwycić mnie za rękę, ale wiedząc, że jest na niej krew Filipa, wyrwałam mu ją. Spojrzał na mnie zdziwiony. Przesłałam mu, że porozmawiamy, jak będziemy sami. Pod moim domem rozstaliśmy się z Krzyśkiem. Mateusz wszedł za mną do ogrodu i usiedliśmy na ławeczce. W świetle latarni pokazałam mu ubrudzone zaschniętą krwią rękę.

- Co ci się stało?! - wykrzyknął przerażony.

- Mnie nic - powiedziałam uspokajająco.

- Ale przecież nikt nie oberwał tak mocno, żeby stracić aż tyle krwi! Przynajmniej ja nie zauważyłem. - Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Mateusz... - powiedziałam niepewnie, a głos mi zadrżał - ja po prostu musiałam coś zrobić. Ten ćpun wbił mu nóż głęboko... - Dopiero teraz dotarła do mnie groza sytuacji i zatrzęślam się. - Gdybyś ty widział jego oczy... pełne bólu, on czuł zbliżającą się śmierć! Nie potrafiłam przejść obok tego obojętnie...

Chłopak słuchał mnie z uwagą.

- Ale co zrobiłaś? - zapytał delikatnie i objął mnie ramieniem.

- Uzdrowiłam go. Nie ma nawet blizny... ale wie, że to nie było nic codziennego. Jak ja mam mu to wytłumaczyć? - Spojrzałam na mojego chłopaka, członka Drużyny Diveny i najlepszego przyjaciela.

- O tym pomyślimy później, kochanie. Powiedz mi tylko, komu zwróciłaś życie?

- Filipowi - szepnęłam i przytuliłam się do niego mocniej.

XVII

Rano, po powrocie od Mateusza, poszłam od razu do pokoju. Nie chciałam, żeby rodzice zobaczyli mnie w zachlapanym krwią ubraniu. Jedynym powodem do zadowolenia był dla mnie fakt, że w tym całym zamieszaniu udało mi się nie zgubić zakupów. Zrzuciłam szybko brudne ubranie i poszłam wziąć prysznic. Potem usiadłam przed komputerem.

Wystukałam na klawiaturze krótkie wiadomości do Joasi i Angelo i poprosiłam o szybki kontakt. Kątem oka zobaczyłam, jak do pokoju wchodzi mama z tacą.

- Przyniosłam ci coś do przegryzienia - powiedziała i postawiła tacę obok mnie, na biurku. - Ani się waż mówić, że nie jesteś głodna. Strasznie schudłaś w czasie Próby.

- Mamo! - zajęczałam prosząco.

- Tak, tak. Teraz wszystko wisi na tobie jak na jakimś wieszaku. - Rozejrzała się po pokoju. Na nieszczęście nie zdążyłam pozbyć się jeszcze zaplamionych ubrań, które od razu wpadły jej w oczy. - A co to jest? - zapytała, podnosząc bluzkę i wpatrując się w nią z przerażeniem.

- Mój obecny powód do zmartwień - powiedziałam.

- Co ci się stało?!

- Nic, nic, spokojnie - odparłam.

Usiadłyśmy obie na kanapie i opowiedziałam jej o całym zajściu. Oczywiście musiałam powiedzieć jej również o Filipie.

- Ja wiem, że cała tajność i tak dalej, to wszystko jest bardzo ważne. Ale po co mi Divena, jeśli nie mogę jej używać, by zrobić coś dobrego? Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym pozwoliła mu umrzeć, wiedząc, że mogę go uzdrowić.

- Kochanie, myślę, że zrobiłaś to, co podyktowało ci serce. A to mówi samo za siebie. Twój czyn był szlachetny.

- Żałuję, że nie miałam możliwości cofnąć czasu. Ale nawet gdybym to zrobiła, nie potrafiłabym wyciągnąć Filipa z tej płataniny walczących, nie narażając innych na niebezpieczeństwo. Poza tym wcześniej rzuciła się na mnie Żaneta.

- Ta była dziewczyna Mateusza?

Kiwnęłam głową, po raz kolejny spoglądając na nią pytająco. W końcu powiedziała:

- Na razie nie myśl o tym. A Filipowi powiedz, że wytłumaczysz mu to później. Ja też się zastanowię, ile możesz mu wyjawić. Na razie mam dla ciebie inną ważną wiadomość. Jutro przyjeżdża babcia.

- No to świetnie! - Ucieszyłam się. - Mam nadzieję, że zostanie na kilka dni?

- Zostanie jak zawsze. Ale, Justynko, ona będzie chciała wiedzieć, jak poszło ci na Próbie. Przygotuj się na to. Ułóż

sobie jakąś wiarygodną historyjkę i... zresztą to od ciebie zależy, co jej powiesz. – Mama podniosła się z kanapy i skierowała do drzwi. W ostatniej chwili odwróciła się jeszcze i dodała: – Proszę cię, połącz się dziś wcześniej spać, żebyś nie miała jutro kłopotów ze wstaniem. Chciałabym, żebyś pojechała ze mną po babcię, a pociąg przyjeżdża o piątej trzydzieści rano.

Posłałam jej całusa, kiwając głową z uśmiechem.

Ranek był dżdżysty i chłodny. Słońce wzeszło już prawie pół godziny temu, jednak chmury żadnemu promieniowi nie pozwalały przedrzeć się przez swoją zasłonę. Powiał chłodny wiatr, od którego przeszedł mnie dreszcz. Owinęłam się ciasniej bluzą.

Po raz kolejny, raczej z nudów niż z zainteresowania, rozejrzałam się po osnutym poranną mgiełką peronie. Mimo tak wczesnej pory wokół było sporo ludzi. Jedni z bagażami, inni bez. Ci ostatni, pewnie podobnie jak mama i ja, czekali na kogoś, kto miał przyjechać. Wreszcie z megafonów popłynął niewyraźny głos, informujący, że pociąg wjedzie zaraz na peron. Po kilku minutach naszym oczom ukazała się ciężka lokomotywa, ciągnąca za sobą szereg nowoczesnych wagonów. Usłyszałyśmy nieprzyjemny pisk hamulców i drzwi wagonów stanęły otworem. Obserwowałyśmy, jak zaczyna się z nich wysypywać wycieczka rozespanych, półprzytomnych dzieciaków. Za nimi pojawiła się obładowana bagażami babcia.

Pomogłyśmy jej z walizkami i po krótkim, ale serdecznym przywitaniu ruszyłyśmy do samochodu.

W domu wszyscy jeszcze spali. Było w końcu bardzo wcześnie. Mama chciała zrobić śniadanie, ale postanowiłyśmy z babcią, że poczekamy na resztę.

- Teraz w zupełności wystarczy nam herbata - powiedziała babcia.

Szybko nastawiłam wodę w czajniku i mimo protestów babci, która z salonu miała doskonały widok na kuchnię, zaczęłam przygotowywać śniadanie.

- I tak tato zaraz wstanie, bo będzie szedł do pracy, więc będzie chciał coś zjeść. Im wcześniej zacznę, tym szybciej skończę, a potem będziemy miały czas dla siebie - powiedziałam, ucinając tym samym protesty babci.

Babcia Julia była osobą niezwykłą. Szczupła, zawsze zadbana, choć nie stosowała makijażu - tylko na większe uroczystości. Mimo że czas zostawił na jej twarzy swój znak, nadal widać było, że była piękną kobietą. To po niej mama odziedziczyła Divenę, a także szereg innych cech, a wśród nich niezwykłą umiejętność słuchania. Bo nie każdy umiał słuchać tak jak ona. Była wyrozumiała, łagodna, wyjątkowo empatyczna i tchnęło od niej zawsze dobrym nastrojem. Miodowo-blond włosy, które odziedziczyłyśmy po niej z mamą, poprzeplatane pasmami siwizny, miała krótko obcięte, zawsze starannie ułożone. Żaden kosmyk nie miał prawa sterczeć w inną stronę, niż było mu to przeznaczone. Dziadka straciła dawno. Ledwo go pamiętałam, miałam siedem lat, gdy zmarł.

Babcia nigdy nie ukrywała, że byłam jej ulubienicą, choć nie okazywała tego przy maluchach. Mogłam tylko domyślać się, czemu tak było. Po pierwsze byłam do niej bardzo podobna. Po drugie byłam najstarsza i do mnie zdążyła się najbardziej przywiązać. Po trzecie, i chyba najistotniejsze, ani Martyna, ani Szymon nie odziedziczyli Diveny, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Byli na tyle duzi, że powinno się to już ujawnić. Wiele razy słyszałam, jak mama i babcia zastanawiały się, dlaczego tylko ja z trojga rodzeństwa mam Divenę. Teraz wiedziałam – takie maluchy nie mogłyby przy moim boku walczyć ze Złem z Czary Zła.

Zaniosłam herbatę do salonu i usiadłam na fotelu. Babcia i mama plotkowały na kanapie. Posłodziłam gorący napój i siedziałam, trochę przysłuchując się rozmowie, trochę rozmyślając. Chyba w pewnej chwili zbyt się zamyśliłam, bo usłyszałam słowa mamy:

- Justyna, wróć do nas. Babcia ma do ciebie pytanie. - Zobaczyłam, że obie się we mnie wpatrują.

- Przepraszam – powiedziałam skruszona i skarciłam się w duchu za to rozkojarzenie. - O co chodzi, babciu?

- Pytałam, czy zostałam wezwana na Próbę.

Byłam przygotowana na to pytanie, ale mimo wszystko zaskoczyło mnie ono. W pierwszej chwili trochę się zmieszałam, ale spojrzenie mamy mówiące, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, uspokoiło mnie na tyle, żeby wydusić:

- Tak.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła babcia triumfalnie. - Wiedziałam, że twoja Divena jest wystarczająco duża, by zostać Wojownikiem. No i co? Udało się, prawda?

- Przeszłam ją pomyślnie, babciu - powiedziałam wymijająco. Jej zadowolenie było ogromne.

- No więc pokaż go!

- Co takiego? - Zdziwiłam się.

- Znak Wojownika, głuptasie. Chciałabym go zobaczyć.
- Uśmiechnęła się.

Ogarnęła mnie panika. Przecież mój znak różnił się od innych! Nie miałam jednak wyjścia. Podciągnęłam na chwilę rękaw koszulki i po sekundzie opuściłam go z powrotem. Babcia zdążyła zobaczyć znak, ale nie zdołała się mu bliżej przyjrzeć.

- Chyba się go nie wstydzisz? - zapytała ze zdziwieniem, marszcząc brwi.

- Ależ skąd - odparłam poważnie. - Jestem dumna, że go noszę, choć to wielka odpowiedzialność. Ale nie lubię się nim chwalić.

Babcia uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jak najwięcej nam takich Wojowników potrzeba. Jestem z ciebie dumna! - Objęła mnie mocno. - Tak bardzo pragnęłam, byś dostała zaszczytu walki u boku Dziedzica.
- Mama mrugnęła do mnie ponad babcinym ramieniem.

Tak jak przypuszczałam, rozmowa na temat Diveny potoczyła się dalej.

- Słyszałam z pewnych tajnych źródeł, że Dziedzic już się narodził. - W głosie babci słychać było przejęcie. -

Pozostaje nam czekać, aż odkryje się przed Wojownikami. Nie wiem, czy tego dożyję.

- Tak - powiedziała mama. - Też o tym słyszałam. Nie martw się, mamo, z pewnością dożyjesz tej chwili.

- Tak myślisz? Nie wiem... Zależy, ile lat przyjdzie nam czekać.

W tej samej chwili usłyszałam kroki schodzącego po schodach taty. Dziękując w duchu za to, że ominęły mnie, przynajmniej na jakiś czas, pozostałe pytania, poszłam do kuchni, żeby podać tacie śniadanie.

U Marka mieliśmy być o siedemnastej, ale Mateusz miał przyjść do mnie wcześniej. Musieliśmy obmyślić plan co do Filipa. Wcześniej poprosiłam go jednak w imieniu mamy, żeby po drodze zajrzał na pocztę i odebrał paczkę z zamówioną książką, która właśnie miała nadejść. Nie powinno być problemu z odbiorem przesyłki, ponieważ na poczcie pracował nasz sąsiad, który znał też Mateusza. Czekając na niego, oglądałam z babcią telewizję.

W pewnym momencie babcia wstała i skierowała się do kuchni. Kiedy przechodziła koło drzwi, zabrzmiał dzwonek. Wstałam, ale od razu usłyszałam wołanie babci:

- Siedź, ja otworzę. - Usłyszałam trzask otwieranych drzwi, kilka wypowiedzianych przez babcię słów i drzwi na powrót zostały zamknięte.

- Kto to był? - zapytałam, nie odrywając oczu od ekranu.

- Listonosz. Ale jakiś dziwny, za młody, no i bez uniformu. Przyniósł paczkę twojej mamie i upierał się, że musi ją oddać tobie. Nie rozumiem, przecież...

Zerwałam się z kanapy z przerażeniem w oczach i nie mówiąc niczego zaskoczonej babci, popędziłam na dwór. Na szczęście Mateusz nigdzie nie odszedł. Zaśmiewał się za to do łez. Widząc mnie, zdołał wydusić:

- Twoja babcia otworzyła mi drzwi... Nie poznała mnie widocznie i chyba wzięła mnie za listonosza. - Nie wytrzymałam i też się roześmiałam.

- Całkiem z ciebie przystojny listonosz. - Dałam mu całusa. - Ale według mojej babci trochę za młody. Wejdz, przypomnimy jej, kim jesteś.

Babcia nadal stała zdziwiona na środku salonu z paczką w ręce. Jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy zobaczyła, że wracam, prowadząc za sobą rzekomego listonosza.

- Babciu - powiedziałam - to jest Mateusz. I nie jest listonoszem.

- Mateusz? Syn Tomka, tego, co pracuje z twoim tatą? To dlaczego niby przyniósł tu tę paczkę? - Babcia nie wyzbyła się podejrzeń.

- Bo go o to poprosiłam. I tak szedł do mnie, a pocztę miał po drodze.

W tym momencie wkroczyła do salonu mama.

- Dzień dobry pani - powiedział od razu chłopak, uśmiechając się serdecznie.

Mama odwzajemniła uśmiech, a zobaczywszy paczkę w rękach babci, powiedziała wesoło:

- Witaj, Mateusz, dziękuję serdecznie za przyniesienie tej przesyłki. Może napijesz się czegoś albo coś zjesz?

- Nie, dziękuję - powiedział chłopak. - A z tą paczką to nie ma sprawy. Przecież i tak miałem po drodze.

Babcia patrzyła na nas, niczego najwyraźniej nie rozumiejąc. Mama, widząc jej zmieszanie, powiedziała:

- No i co, mamó? Widzisz, jakiego mam uczynnego przyszłego zięcia?

Spojrzeliliśmy z Mateuszem po sobie i uśmiechnęliśmy się. Chwilę po tym usłyszeliśmy perlisty śmiech babci. Mama spojrzała na nią zdziwiona.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nie, skądże. Najwidoczniej wzięłam tego młodego człowieka za listonosza!

Roześmialiśmy się wszyscy.

Przypomniałam sobie jeszcze raz, jak mama określiła Mateusza - uczynny. Jak najbardziej. Przyszły zięć mojej mamy? Nie miałabym nic przeciwko. Uśmiechnęłam się do siebie w duchu.

- Mam nadzieję, że tym uroczym akcentem zakończy się kariera Łysego - powiedział Kamil. - Takiej klęski chyba dawno nie poniósł.

Zaśmialiśmy się trochę nerwowo. Każdy z nas chyba obawiał się jeszcze, że gang nie da sobie spokoju i ponowi atak. Wcale nie było to takie nieprawdopodobne. W każdym razie na jakiś czas mieliśmy spokój.

Siedzieliśmy wszyscy w ogrodzie u Marka. Ogród był ogromny, jak przystało na posiadłość jednego z bogatszych osobistości naszego miasta, jaką był ojciec Marka i wujek Filipa. Nieczęsto tu przychodziliśmy, nie chcąc się narzucać właścicielom. Nie chcieliśmy, żeby to wyglądało, jakbyśmy trzymali z Markiem tylko ze względu na jego pieniądze. Woleliśmy raczej wyjeżdżać gdzieś razem, chociażby nad zalew czy w inne ciekawe miejsca. Tym jednak razem postanowiliśmy spotkać się właśnie tutaj.

Na stolyczku tuż obok sporego basenu stały napoje, szklanki i okazałe misy z chipsami i ciasteczkami. Rozmowa toczyła się dość cicho - po co ktokolwiek niepowołany miałby nas usłyszeć? Stwierdziliśmy zgodnie, że na razie nie mamy się czego obawiać.

- Mamy na koncie małe zwycięstwo - powiedziała Rachela.

- Ale nie wiemy, czy to była ostateczna bitwa tej wojny - dodał Kuba, przeważnie pesymistycznie nastawiony do wszelkich nowatorskich pomysłów.

- Cieszymy się, że mamy to za sobą. Nieźle nam poszło! - rzuciła jego dziewczyna Ola, dając mu kuksańca w bok.

- No. Podziwiam was, dziewczyny. Nie wymiękłyście. Poradziłyście sobie z tymi ćpunkami na równi z nami! Respekt! - Skłonił się Tomek.

Wśród chłopców rozległ się pomruk, potwierdzający jego słowa. Uśmiechnęliśmy się między sobą.

- Nikt z nas nie wymiękł - powiedziała Rachela. - To raczej tamtym marzyła się ucieczka.

Zaśmialiśmy się, opowiadając sobie swoje najśmielsze wyczyny.

- Wygraliśmy bitwę, ale czy wojna już się skończyła? - powiedział Kuba.

- Przestań pajacować, Kuba! - Ola szturchnęła go. - Musisz zawsze czarno patrzeć na to, co się dzieje? Daj spokój. Cieszymy się, że to już za nami.

- A mamy z czego - stwierdził Kamil.

Kilkakrotnie zauważyłam rzucane mi przez Filipa pytające spojrzenia. Zachowywał się zupełnie normalnie, ale w jego oczach widziałam, że coś jest nie tak. Może zdawał sobie sprawę z tego, że powinno go tu nie być. A my powinniśmy siedzieć i zastanawiać się, czy ta ofiara nie była zbyt wysoką ceną za zwycięstwo, które nie wiadomo, czy coś rozstrzygnęło.

Po powrocie do domu poszłam do pokoju. Nie zostałam z Mateuszem, tłumacząc, że muszę zająć się babcią Julią. No i chciałam skontaktować się z Vertusem, miałam do niego niecierpiące zwłoki pytanie.

Zanim wyszłam do Marka, mama dostała telefon od wysłannika Rady Diveny. Rada nakazywała zbierać się Wojownikom z danego terenu w jedno miejsce, by mógł na to spotkanie przybyć wysłannik z oficjalną wiadomością o pojawieniu się Dziedzica. Nic mi o tym nie było wiadomo. Jedynymi Wojownikami w pobliżu była moja mama i babcia Julia, ponieważ siostra mojej mamy, ciocia Łucja, miała Divenę zbyt małą, by zostać Wojownikiem. Spotkanie mogło

więc być zorganizowane w każdej niemal chwili. Ale wydawało mi się, że również Mateusz powinien o nim wiedzieć. Poza tym nie wiedziałam, jak zachowa się wysłannik, widząc mnie.

Zamknęłam drzwi na klucz, żeby nikt mi nie przeszkodził, wyjęłam mojego Sługę, skupiłam się i przywołałam Vertusa. Tak samo jak poprzednim razem, gdy z nim rozmawiałam, zrobiło się ciemno i po chwili ujrzałam postać mojego przodka, lekko skłaniającego przede mną głowę.

- Wzywałaś mnie, Aido Nicoletto?

- Tak, Vertusie. Mam do ciebie kilka pytań.

- Przypuszczam, że dotyczą one rozkazu zbierania się Wojowników? To ostatnia samowolna decyzja Rady Diveny, do której ma ona prawo. Chodzi o to, by zawiadomić Wojowników, że Diedzic złożył Przysięgę i przeszedł pomyślnie Próbę. Muszą zacząć przygotowywać się do Wojny. Ty oficjalnie staniesz na czele Rady, gdy Diedzic odsłoni swe oblicze przed Wojownikami Diveny. Tymczasem będziemy się z tobą kontaktować.

- Vertusie, a co z moją Drużyną? Oni też powinni się przygotowywać.

- Angelo będzie na spotkaniu wśród swoich bliskich... chociaż to ty jesteś mu teraz najbliższa. Do Joanny i Mateusza udam się sam, ponieważ oni będą osobno przeniesieni do Świata Diveny. A jeśli zastanawiasz się nad ujawnieniem się Julii Divendi, to wyłącznie twoja decyzja i nikt nie może zabronić ci jej podjąć. Chcę tylko, żebyś

wiedziała, że Rada uważa ją za doskonałego Wojownika. Tak jak i twoją matkę. – Uśmiechnął się.

– Kiedy już podejmę decyzję, mój Sługa cię zawiadomi – powiedziałam.

Vertus skłonił się powtórnie i zniknął.

– Babciu, ale mama prosiła, żebyśmy zabrali gdzieś ciebie i dzieciaki! – próbowaliśmy z mozołem przekonać ją do wyjścia z nami do pizzerii.

Mama miała tego dnia kilka spraw do załatwienia w mieście, a dzieciaki od paru dni wręcz zebrały o wyjście na pizzę. Mama zostawiła więc pieniądze i przy okazji poprosiła Mateusza, żeby poszedł z nami. On jako jeden z niewielu potrafi tak zająć Szymona, że ten nie marudzi przy jedzeniu.

Po kilkunastu minutach przekonywania babcia powiedziała:

– Skoro tak bardzo chcecie wyjść gdzieś dzisiaj, to pójdziemy na lody, ale jeśli macie ochotę na pizzę, to nikt nie przyrządzi jej lepiej niż rodowita Włoszka!

Tym sposobem zostaliśmy w domu. Już po godzinie siedzieliśmy przy stole, objadając się przepysznym daniem. Mamie udało się pozałatwiać wszystko dość sprawnie, więc również się załapała. Martyna i Szymon szybko uporali się, między innymi dzięki staraniom Mateusza, ze swoimi porcjami i pobiegli się bawić.

Razem z Mateuszem poznosiliśmy naczynia do kuchni, podczas gdy babcia i mama przeniosły się do salonu.

Dołączyliśmy do nich. Rozmowa toczyła się po prostych torach, gdy nagle babcia zamilkła, wpatrując się w moją szyję.

- Justyś... - zaczęła cicho, zmienionym głosem. - Skąd ty masz ten śliczny kamień?

- Czemu pytasz, babciu? - odparłam pytaniem na pytanie, poczuwszy uścisk w gardle.

- Widziałam kiedyś kamień ładząco podobny do tego, który masz na szyi - odparła z niedowierzaniem.

Decyzję podjęłam w tym samym momencie. Ufałam, że była dobra. Ściągnęłam kamień z szyi i położyłam na dłoni.

- Nie wiedziałam, babciu. Czy to było po złożeniu Przysięgi, ale przed poznaniem tajemnicy naszego rodu? Miałaś tyle lat, co ja, prawda?

Babcia, blada i zaszokowana, kiwnęła tylko głową, a ja kontynuowałam:

- Twoja Divena jest duża, więc pewni ludzie przybyli, by cię wypróbować. Przywieźli ze sobą skrzyneczkę, w której był kamień, i zapytali cię, co to jest.

- Ale tu jest ktoś, komu te słowa nie są przeznaczone! - Babcia spojrzała mi w oczy, dając do zrozumienia, że chodzi jej o Mateusza.

Ja jednak niewzruszenie mówiłam dalej:

- Powiedziałaś, że to zwykły kamień, bo skąd miałaś wiedzieć, co to jest? I więcej nigdy go nie zobaczyłaś. Dopiero przy poznaniu tajemnicy rodu dowiedziałaś się, że to Kamień Diveny. Kiedy zupełnie niedawno pokazali go

mnie, nie miałam wątpliwości, że kamień, który po raz pierwszy widzę na oczy, to Divendi, mój Sługa.

- Jak to?! - Babcia nagle zbladła i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczyma, jakby nie była w stanie uwierzyć w to, co próbowałam jej powiedzieć.

- Od tamtej pory Kamień Diveny jest ze mną i jest moim doradcą i nieocenionym obrońcą.

- Ale ty nie możesz go mieć... Kamień Diveny jest posłuszny tylko... - Zamilkła z wahaniem, wpatrując się we mnie.

Dokończyłam za nią:

- Tylko Dziedzicowi. Tak, babciu, masz rację.

- Ty... Ty jesteś...? - Babcia wstała. Pozostali i ja również.

Babcia chwyciła moją dłoń i uklękła przede mną. Divendi zabłysnął Białym Ogniem, równocześnie zabłysły znaki na naszych ramionach. Dziedzic ujawnił się swoim najbliższym. Usłyszałam z oddali głos Vertusa:

- *To była dobra decyzja, Aido Nicoletto.*

XVIII

- Przyjeżdża jutro - powiedziałam.

- No to szybko - stwierdził Mateusz. - Musi mu się nudzić w tych Włoszech - dodał, wbijając łyżeczkę w sporą porcję waniliowych lodów.

Siedzieliśmy we dwoje w małej kawiarence i rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach. Dyskusja potoczyła się w kierunku podejrzanych rzeczy, dziejących się w miejscu narodzin Vertusa, gdzie cała Drużyna Diveny miała się udać.

- Czy ja wiem... - Zastanowiłam się. - Nam się nie nudziło. - Puściłam mu oczko. - Morze, piękne widoki, średniowieczne zamki... Ale Angelo ma to na co dzień, więc pewnie ma dość i spieszy mu się, żeby poznać coś innego.

- Wezmę samochód od taty i pojedziemy po niego na lotnisko - stwierdził Mateusz.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- A ja?

- Co? - zdziwił się.

- Czemu nie zapytasz mnie o zdanie? - wyjaśniłam, drocząc się z nim.

- Kochanie - odparł poważnym tonem - w naszym związku ktoś musi decydować o takich sprawach. Tym kimś jestem ja.

- Nie mam nic przeciwko. Ale w takim razie do twoich obowiązków będzie należało także sprzątanie, gotowanie, płacenie rachunków, robienie zakupów i wynoszenie śmieci - stwierdziłam dobitnie, uśmiechając się do niego słodko.

- Dla ciebie wszystko. - Również się uśmiechnął, po czym dodał: - To może ja zacznę od razu i zapłacę za nasze lody?

- Przecież każdy miał płacić za siebie. - Nie chciałam się zgodzić.

- A kto tak powiedział? - zdziwił się Mateusz.

- No... nikt, ale...

- Żadnego „ale” - przerwał mi. - Kto cię tu, słońce, zaprosił? Ja, więc ja płacę. - W jego oczach zapaliły się ogniki. - W ramach rekompensaty wystarczy duuuży buziak. - Uśmiechnął się szelmowsko, po czym dodał konspiracyjnym szeptem: - Ale dopiero jak będziemy sami.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i wróciliśmy do lodów.

- Wracając do sprawy odebrania Angelo z lotniska, to muszę skonsultować się z mamą - powiedziałam.

Mateusz wyciągnął telefon komórkowy i powiedział:

- Z mamą, powiadasz? - Wykręcił numer. - Chcesz sama rozmawiać, czy ja mam to zrobić?

No tak, cały on. Jak coś załatwić, to od razu, a nie czekać i zastanawiać się sto razy. Mimo że robił tak zawsze, nadal mnie tym zaskakiwał. Tym razem też.

- Mów - powiedziałam.

Skinął głową. W słuchawce odezwał się głos.

- Dzień dobry, pani Carmento. Tu Mateusz. Nie, nic się nie stało... Tak, jest ze mną Justyna. - Uśmiechnął się do mnie. - Mam sprawę. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, to razem odbierzemy jutro pani krewniaka z lotniska... Proszę? Samochód? Tato powinien mi pożyczyć... Ależ skąd, nie będzie problemu... Dobrze, w razie czego będę o tym pamiętał. - Spojrzał na mnie ciepło. - Niech się pani nie martwi, jest pod dobrą opieką. Dziękuję i do widzenia. - Schował telefon do kieszeni i stwierdził: - No to załatwione.

- Ale co powiedziała? - zapytałam.

- Że mam na ciebie uważać. No i że możemy sami jechać po Angelo. Nawet zaproponowała, że w razie jakichś problemów pożyczy auto.

- Moja mama?! - zdziwiłam się.

- Nikt inny. - Uśmiechnął się. - Widocznie ufa swojemu przyszłemu zięciowi. - Puścił mi oczko.

Skończyliśmy jeść, Mateusz zapłacił i wyszliśmy z kawiarenki. Bez zastanowienia skierowaliśmy się do domu Mateusza, ponieważ już wcześniej mówiłam mu, że chciałabym zobaczyć się z Kasią.

- Mamy jeszcze jedną nierozwiązaną kwestię - powiedziałam, ciągnąc chłopaka na stojącą nieopodal ławeczkę.

- O co chodzi? - spytał, gdy usiedliśmy.

- Filip ostatnio nie pokazuje się na mieście - powiedziałam, patrząc na niego znacząco.

- Myślisz, że powinniśmy do niego pójść? - spytał.
- Myślę, że muszę do niego pójść - odparłam.
- Sama? Chcesz, żebym był zazdrosny? - Udał oburzonego.

- Mateusz, nie zgrywaj się, proszę. Filip to nasz przyjaciel. Problem w tym, co powinnam mu powiedzieć. - Spojrzałam na niego.

Zapanowała cisza. Każde z nas usilnie zastanawiało się, jak wytłumaczyć chłopakowi, dlaczego żyje, podczas gdy powinien być martwy. Najgorsze było jednak to, że praktycznie niemożliwym było wymyślić taką wersję wydarzeń, która nie zawierałaby w sobie zdradzenia tajemnicy istnienia Diveny. Po długich rozmyślaniach powiedziałam:

- Pozostaje tylko jedno: powiedzieć mu prawdę.
- Ale nie mamy pewności, jak on to przyjmie i co z tą wiedzą zrobi.

- A masz jakiś inny sensowny pomysł? Nie przejmowałabym się tym, gdyby mnie nie znał, ale to mój przyjaciel. Jak by to wyglądało, gdybym mu niczego nie wyjaśniła?

- W sumie masz rację - stwierdził Mateusz. - Chcesz to zrobić sama, czy mam iść z tobą?

- Chyba dam sobie radę - powiedziałam.

Uznając temat za tymczasowo skończony, wstaliśmy i skierowaliśmy się do domu Mateusza.

Za drzwiami rozległ się dzwonek. Poczekałam kilka sekund i znów nacisnęłam guzik. Po chwili z głębi domu dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków. Drzwi się otworzyły i w progu stanął młodszy brat mojego przyjaciela.

- Cześć, Krystian. Jest Filip? - zapytałam.

- Pewnie. Zaraz go zawołam. - Odszedł kilka kroków od drzwi i ryknął w kierunku schodów na piętro: - Filiip!

- Czego, zgredzie!?! - Usłyszałam odpowiedź. Nie ma jak braterska miłość.

- Niczego! Znieś tu swoje szanowne cztery litery, bo masz gościa! - Krystian też nie okazywał chęci kapitulacji.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Po chwili na schodach pojawił się mój przyjaciel.

- O, cześć! Wejdz - powiedział.

Na jego twarzy grało zbyt wiele emocji, bym mogła wyczytać z niej to, czy jestem tu mile widziana.

- Cześć. Przyszłam z tobą pogadać - powiedziałam i poszłam za nim na górę do jego pokoju.

Pół pokoju zajmowało łóżko i półki z książkami, drugie pół to była niewielka szafa na ubrania, komputer i krzesło do niego. Usiadłam na łóżku. Filip spojrzał na mnie i bardziej stwierdził, niż zapytał:

- Przysłaś mi wytłumaczyć, jak to się stało, że żyję? - Skinęłam głową. - To, co się wydarzyło... - zawahał się - nie było normalne... Ale wiesz co? Nie musisz tłumaczyć. Znam cię i wiem, że nie chcesz lub nie możesz powiedzieć mi prawdy.

- Filip, to nie tak... - zaczęłam, ale nie dał mi skończyć.

- Mnie wystarczy tylko fakt, że żyję i jestem ci za to bezgranicznie wdzięczny. Nawet jeśli nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś. - Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem. - Nawet jeśli to wszystko sprawia, że zaczynam podejrzewać u siebie jakąś chorobę psychiczną.

Widziałam, jak bardzo był roztrzęsiony. Przez chwilę milczałam, przyglądając mu się uważnie. Tyle razem przeszliśmy, tyle problemów wspólnie staraliśmy się rozwiązać, z różnym zresztą skutkiem. Kto jak kto, ale on zasługiwał na to, bym była z nim szczerą.

- Wiele razy zastanawiałam się, jak ci to wszystko wytłumaczyć - zaczęłam. - Mogę to zrobić tylko w jeden sposób... mówiąc prawdę. Ale zanim to zrobię, musisz mi obiecać, że cokolwiek usłyszysz, czy w to uwierzysz, czy też nie, słowa te będą przeznaczone tylko dla twoich uszu.

Filip przyjrzał mi się uważnie, po czym wstał, otworzył drzwi, rozejrzał się po korytarzu i wrócił do pokoju, zamykając dokładnie drzwi za sobą. Usiadł i powiedział:

- Możesz mi zaufać. Wiesz przecież, że cię nie zawiodę.

Uśmiechnęłam się do niego i zaczęłam powoli mówić, starannie dobierając słowa i uważnie obserwując reakcje Filipa.

- Wiem, że to może zabrzmieć jak niezła bajeczka, ale potrafię udowodnić ci, że to, co powiem, to szczerą prawdą. Tak więc na ziemi jest grupa ludzi... właściwie rodzina, której każdy członek od pokoleń dziedziczy niezwykłą wewnętrzną siłę, którą nazywamy Diveną. Daje ona wiele możliwości, zwłaszcza niektórym. Bo każdy otrzymuje ją

w nieco innym natężeniu, jedni większą, inni mniejszą. Przeznaczeniem każdego członka tego rodu jest wziąć udział w walce przeciw złu tego świata... Wiem, że to brzmi kosmicznie, ale taka jest prawda.

Spoglądałam chwilę na przyjaciela, czekając na jakąkolwiek reakcję. Jednak ten siedział ze wzrokiem utkwionym w widoku za oknem i z kamiennym wyrazem twarzy. Westchnęłam więc tylko cichutko i kontynuowałam:

- Jak się domyślasz, chodzi o moją rodzinę. Divena pozwala nam rozbijać i scalać materiały, przenosić ogromne ciężary, w pewien sposób kontrolować siły natury i między innymi również uzdrawiać. Daje nam różne możliwości, ale niestety nasze prawo ogranicza korzystanie z niej w codziennym życiu. Nie mogłam jednak zostawić cię, mojego przyjaciela, na pastwę okrutnego losu...

Zamilkłam, dając mu tym samym do zrozumienia, że skończyłam.

- To wszystko? - zapytał.

Z jego twarzy mogłam czytać jak z kartki. Mieszało się na niej niedowierzanie z chęcią zaufania mi, jakby podejrzewał, że zwariował, a jednocześnie nie mógł zaprzeczyć moim słowom, skoro doświadczył działania mojej wewnętrznej siły.

- Niezupełnie. Divena ma wiele tajników. Kiedyś ci o tym opowiem, ale... wierzysz mi? - zapytałam, chcąc się upewnić.

Chłopak milczał jeszcze przez chwilę, przygryzając wargę i zaciskając pięści. W końcu spojrzał na mnie

niepewnie.

- Nie mam powodu, żeby ci nie wierzyć, bo ci ufam. Ty ufasz mi, więc nie masz powodu, by kłamać - powiedział powoli, jakby chciał sobie to wszystko na głos poukładać. - Poza tym widziałem to, co potrafisz, na własne oczy - dodał. Na jego twarz wypłynął cień uśmiechu. - Dziękuję, że mi zaufałaś. I przede wszystkim dziękuję za ratunek... Teraz potrzebuję zostać sam i przemyśleć to wszystko.

Musiałam uszanować jego potrzebę. Skinęłam więc tylko głową, wstałam i wyszłam.

- To była dość trudna rozmowa. Był jednak bardzo taktowny, nie zapytał o nic. I jestem mu za to wdzięczna - referowałam Mateuszowi przebieg spotkania z Filipem.

- Pewnie musi przetrwać rewelacje, które usłyszał. Mnie to wszystko zaskoczyło, ale dowiedziałem się o tym w świecie Próby. Musiałem uwierzyć, skoro tam byłem i to widziałem - stwierdził.

- Zapominasz, że on widział, jak go uzdrawiam - przypominałam mu.

- No tak - przyznał. - Widział mistrzynię w akcji. - Uśmiechnął się i rozczochrał mi ręką włosy.

- Mateusz! - Śmiałam się, broniąc się przed tym. - Nie rób tak! Chcesz, żeby twoja dziewczyna wyglądała jak miotła?

- Możesz być nawet mopem, dla mnie i tak będziesz najśliczniejsza. - Uśmiechnął się i mnie objął.

Siedzieliśmy w pokoju Mateusza. Od Filipa przyszedłam prosto do Kasi i spędziłam z przyjaciółką dwie godziny, pozwalając, by mój chłopak umierał z ciekawości. Zostawiłam Kasię dopiero wtedy, gdy chyba po raz setny Mateusz wszedł do jej pokoju, wziął mnie na ręce i nie zważając na moje protesty, wyniósł do siebie, rzucając przez ramię:

- Sorry, siostra, ale za bardzo się stęskniłem za swoją dziewczyną.

Cieszyłam się, że sprawę Filipa mam już za sobą. Ta decyzja kosztowała mnie sporo nerwów, ale teraz została tylko misja Drużyny.

- Justyna, powiedziałaś Filipowi, że ja też jestem w to zamieszany? - zapytał nagle Mateusz.

- Nie - odparłam. - Ograniczyłam się do naprawdę najbardziej niezbędnych informacji. Myślę jednak, że jeśli zechce dowiedzieć się więcej, nie będę oponować, zwłaszcza że gdyby opowiedział o tym komukolwiek, nikt mu przecież nie uwierzy...

- Masz rację - przytaknął. - W każdym razie dzięki.

- Za co? - spytałam zdziwiona.

- Nie tylko tobie brakowałoby tego komputerowo-książkowego maniaka. To jeden z moich najlepszych kumpli, a gdyby nie ty... wolę nie myśleć, co by było. Myślę, że Filip w pełni zasługiwał na to, żeby poznać prawdę, ale nie śmiałem ci tego proponować. - Spojrzał mi w oczy. - W tych sprawach ty rządysz i robisz to najlepiej. -

Pocałował mnie w czubek nosa. - Ale jak już mówiłem w kawiarience, będę decydował o całej reszcie.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Nie martw się, śmieci też będę wynosił.

Przeciągnęłam się i ziewnęłam szeroko. Nie chciało mi się podnieść z łóżka, ale musiałam jeszcze załatwić parę spraw, zanim pojedę na lotnisko. Pójść po zakupy, zrobić rodzeństwu tosty na śniadanie, pomóc babci piec ciasto, no i przygotować dom na przyjazd mojego ulubionego kuzyna.

Babcia, mimo że nie znała Angelo, przejmowała się jego przyjazdem bardziej niż ja. Zmusiła mnie, bym pomogła jej przy cieście, ale byłam stanowcza i nie pozwoliłam jej posprzątać całego domu. W końcu też była naszym gościem, bez względu na to, jak blisko była z nami spokrewniona, na co zresztą usiłowała się powoływać, sprzecząc się ze mną wieczór wcześniej. W każdym razie sprzeczkę wygrałam ja, no i teraz musiałam odbębnić swoją wygraną.

Trochę niechętnie podniosłam się z łóżka, zaścieliłam je, ubrałam się i zrobiłam kilka skłonów i przysiadów. Krew w organizmie zaczęła krążyć szybciej i od razu poczułam się rześka i w pełni gotowa na sprzątanie.

Z podstawowymi porządkami uwinęłam się w niecałe dwie godziny, w sam raz, żeby jeszcze zdążyć przygotować maluchom śniadanie, o które prosiły mnie już wczoraj. Według mojego kochanego rodzeństwa nikt nie potrafił tak przyrządzić tostów, jak ja. Banalne danie, ale tostami mamy,

taty czy babci nie zajadali się tak jak moimi. Trzeba było poświęcić na to trochę czasu, ale widok ich wypchanych policzków i błogich niemalże uśmiechów był najlepszą nagrodą.

Ciasto też nie zajęło dużo czasu, a przynajmniej tak mi się wydawało. Gdy jednak, tuż po włożeniu blachy do rozgrzanego piecyka, spojrzałam na kuchenny zegar, przeraziłam się.

- Babciu, czemu nie mówisz, że już taka godzina?! - krzyknęłam, galopując przez salon i nie czekając na odpowiedź, pognałam do łazienki, żeby wziąć prysznic, po drodze wpadając do pokoju po ubranie.

Wzięłam prysznic i stałam właśnie na środku łazienki w samej bieliźnie, susząc włosy, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Toaleta na dole jest wolna! - krzyknęłam przez ramię.

- Ale ja do ciebie, nie do toalety. - Usłyszałam odpowiedź.

Odwróciłam się gwałtownie. W progu stał Mateusz, wpatrując się we mnie oczami, w których tańczyły ogniki. Chwyciłam kąpielowy ręcznik, owinęłam się szybko, a drugim, nieco mniejszym, zaczęłam okładać chłopaka, który ze śmiechem cofnął się za próg. Z impetem zatrzęsnęłam mu drzwi przed nosem i spojrzałam w lustro.

Moje włosy były w opłakanym stanie, ale mając do wyboru ułożenie ich lub zrobienie makijażu, zdecydowanym ruchem sięgnęłam po gumkę do włosów. W tempie ekspresowym ubrałam się i zrobiwszy szybko lekki makijaż,

wyszłam z łazienki. Do pokoju weszłam z podniesioną głową, nie obdarzając swojego chłopaka słowem ani nawet spojrzeniem. Kątem oka zobaczyłam, że wpatrywał się we mnie rozbawionym wzrokiem.

- Tylko nie mów mi, że się gniewasz - powiedział.

Nie odpowiadając, podeszłam do szafy, w której, otworzywszy ją, zaczęłam bez celu grzebać. Mateusz tylko obserwował moje ruchy. Po chwili dałam szafie spokój i przeniosłam się do biurka, gdzie przez przypadek całą moją uwagę pochłonęły płyty, wiecznie walające się wokół komputera.

- Przepraszam. - Usłyszałam. - Nie gniewaj się już.

Kiedy wszystkie płyty leżały poukładane równo, co do milimetra, przerzuciłam się na poprawianie książek na półkach nad komputerem. Mateusz przez kilka chwil patrzył, co robię, po czym wstał z krzesła, podszedł do mnie i objął mnie w talii.

- Zachowałem się jak gówniarz i więcej nie będę, tylko spójrz na mnie, proszę. Chcesz te książki poukładać czy zetrzeć na proch? - Siłą odwrócił mnie od półki i zmusił do spojrzenia mu w oczy, po czym powiedział: - Kocham cię, wiesz?

Mimo woli uśmiechnęłam się. Ten chłopak był niemożliwy! Widząc mój uśmiech, też się uśmiechnął. Wyszłam z jego ramion i powiedziałam, zbierając się do wyjścia:

- Jesteś okropny! Nie mam wyboru. Muszę jechać z tobą, bo Angelo będzie czekał.

Mateusz ruszył za mną. Czułam na sobie jego wzrok. Wyszłam z domu i bez słowa wsiadłam do auta. Zatrzęsłam drzwiami i odkręciłam okno. Chłopak podszedł do drzwi od strony pasażera i powiedział do mnie:

- Myślę, że powinnaś częściej pokazywać się w bikini. - Uśmiechnął się łobuzersko i nie czekając na moją reakcję, zaczął obchodzić samochód.

Mimo najszczerzych chęci, by tego nie robić, uśmiechnęłam się z satysfakcją. Mateusz i tak nie zdołał obronić się przed porządnym szturchańcem.

- Fajne to wasze miasto - powiedział Angelo. - Spodziewałem się czegoś innego, ale jestem raczej pozytywnie zaskoczony.

- Prawidłowo - stwierdziłam z uśmiechem.

- Spróbowałyby tylko powiedzieć inaczej, nie? - dodał Mateusz dla żartu i puścił mi oko.

Szliśmy właśnie do naszego ulubionego pubu: Angelo, Mateusz, Filip i ja. Wyjście było pomysłem mojego kuzyna. Chciał zobaczyć miasto, i to jak najszybciej, mimo zmęczenia podróży. Nie oponowałam, więc gdy tylko zanieśli razem z Mateuszem bagaże do domu, ruszyliśmy w drogę, zabierając przy okazji Filipa.

W pubie nie było zbyt tłoczno, choć obsługa na brak gości też chyba nie narzekała. Mieliśmy szczęście - przy ulubionym stoliku naszej paczki siedzieli Rachela, Karolina i Marek. Dosiedliśmy się do nich, co przyjęli z entuzjazmem. Przedstawiłam im Angelo.

- Świetnie, że jesteście. Myśleliśmy, że umrzemy tu z nudów! - powiedział Marek.

- No - przytaknęła Rachel. - Nic się nie dzieje.

- Nie? - zapytałam zdziwiona. - W takim razie trzeba to zmienić. Przyjechał do mnie kuzyn, więc dlaczego nie mielibyśmy uczcić jego przyjazdu?

- Właśnie! - zgodził się Mateusz, wyciągając telefon. - Ja piszę do Kamila, żeby zebrał swoich, a ty, Marek, napisz do Pawła.

Wiadomości szybko zostały wysłane, a zamówienia złożone. Po kilkudziesięciu minutach dołączyła do nas pozostała część osób. Brakowało tylko Kasi, Marty i kogoś jeszcze. Nie mogłam jednak skojarzyć kogo. Dopiero po przyjściu pozostałych zorientowałam się, że nie ma Dorian. Miałam złe przeczucia co do jego nieobecności. Postanowiłam dowiedzieć się o niego od jego sąsiadki.

- Karolina - zapytałam - czemu nie ma z wami Dorian?

- Jego mama powiedziała, że nie ma go w domu - odparła dziewczyna.

Pokiwałam głową, ale nie czułam się ani trochę spokojniejsza. Mateusz musiał wyczuć mój nastrój, bo wysłał wiadomość:

- *Czym się martwisz?*

- *Nie ma Dorian* - odparłam.

- *Nie było go w domu. Myślisz, że coś jest nie tak?* - zaniepokoił się.

- *Mam jakieś dziwnie złe przeczucia. Może to Łysy z kolegami?* - wysłałam, patrząc na niego znacząco.

- *Jak wyjdziemy, możemy pójść do niego. Może to cię uspokoi.* - Skinęłam lekko głową.

To dziwne przeczucie nie pozwoliło mi się rozluźnić i bawić razem z przyjaciółmi. Gdy minęło półtorej godziny, szturchnęłam lekko Angelo i powiedziałam pozostałym, że mój kuzyn jest zmęczony i musimy już iść. Szturchnięty nie zrozumiał, więc wytłumaczyłam mu w jego języku, o co chodzi. W pierwszej chwili chciał chyba zaproponować, ale w porę zorientował się, że moje działanie ma coś konkretnego na celu, zaczął mi więc przytakiwać. Reszta paczki postanowiła zostać jeszcze w pubie, czego nie miałam im za złe - przynajmniej nie będzie pytań, po co szliśmy na drugi koniec miasta, skoro Angelo był zmęczony.

- Co się stało? - zapytał zdziwiony kuzyn, gdy tylko przekroczyliśmy próg pubu.

- Mam złe przeczucia... - odparłam, przyspieszając kroku.

- W stosunku do kogo? - Angelo zdziwił się jeszcze bardziej.

- Do tego kolegi, który dziś nie przyszedł - odpowiedział za mnie Mateusz.

- To mój kolega z klasy i należy do naszej paczki - dodałam, zastanawiając się, czy faktycznie może to być związane z gangiem. - Nie wiem czemu, ale mam jak najgorsze przeczucia... Tylko... - Zamilkłam na chwilę, zdając sobie sprawę, że to, co chciałam właśnie powiedzieć, nijak nie pasowało do sytuacji.

- Co? - Mateusz się zaniepokoił.

Zatrzymałam się. Członkowie Drużyny stanęli naprzeciw mnie. Spojrzałam im po kolei w oczy i powoli powiedziałam:

- Mam tak specyficzne przeczucia tylko wtedy, gdy sprawa dotyczy Diveny.

XIX

- *A Dorian nie powinien mieć telefonu?* - przesłał mi Mateusz.

- *Zawsze ma* - odparłam. - *Spróbuj zadzwonić.*

- *Nie ma zasięgu.* - *Usłyszałam po kilku chwilach. - W naszym mieście i okolicach jest tylko jedno miejsce, gdzie zasięgu nie ma! Myślę, że już wiem, gdzie są! Odezwę się, jak ich znajdziemy!*

- *Uważaj na siebie* - dodałam jeszcze.

- *Ty też.*

Myślałam tak intensywnie, że praktycznie nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się wokół mnie, bo dylemat miałam nie byle jaki.

Siedziałam w swoim pokoju. Jak przez mgłę pamiętałam, że co jakiś czas zachodziła do mnie mama. Nie pytała o nic, widząc, że w dłoni cały czas ścisnęłam Divendiego, ale martwiła się o mnie.

W końcu postanowiłam przez mojego Sługę wezwać Vertusa. Odpowiedział niemal natychmiast. Jak zwykle najpierw zrobiło się zupełnie ciemno.

Przodek skłonił przede mną głowę.

- Dlaczego nie wiem o tym, że w naszej rodzinie byli zdrajcy? - zapytałam od razu.

- Jacy zdrajcy, Aido Nicoletto? - Ku mojemu zaskoczeniu zdziwienie Vertusa nie było udawane.

- Posiadacze Diveny, którzy mimo złożenia Przysięgi przeszli na stronę Zła - powiedziałam spokojnie.

Vertus zamilkł i zmarszczył brwi, po czym przyjrzał mi się uważnie. Po kilku chwilach zapytał z lekkim cieniem podejrzliwości, ale i niepokoju:

- Nie wierzysz do końca w moją lojalność? Chcesz ją sprawdzić?

- Twoja lojalność była dla mnie do tej pory nie do zakwestionowania. Nie sprawdzam cię, lecz masz rację, mam ostatnio pewne wątpliwości co do twojej prawdomówności. Dlaczego nic nie wiem o zdrajcach? - Byłam już trochę zniecierpliwiona, choć powoli zaczynałam dostrzegać, że być może bezpodstawnie podejrzewałam Vertusa i Radę Diveny.

- Bo i mnie o nich nic nie wiadomo - powiedział mój przodek, patrząc mi w oczy.

Wiedziałam, że mówił prawdę.

- Ale jak to się stało? - Byłam kompletnie zbita z tropu. Miałam nadzieję, że Vertus mi to wszystko wyjaśni, a tymczasem okazywało się, że wie on jeszcze mniej niż ja.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Ale proszę, jeśli taka jest twoja wola, zdradź mi, co wiesz, może razem jakoś do tego dojdziemy.

Westchnęłam. To wszystko będzie trudniejsze, niż przypuszczałam. Najbardziej ciążyło mi to, że do mnie będzie należało podjęcie ostatecznych decyzji.

- Z pewnego źródła dowiedziałam się, że jest grupa członków naszej rodziny, która przeszła, przed lub po złożeniu Przysięgi, na stronę naszego przeciwnika. Nie mam pojęcia, jakim cudem Rada Diveny o tym nie wie! Skoro nawet nie wiedziała o ich służbie Złu, to czy nie zastanawiali się przypadkiem, co stało się z Wojownikami czy posiadaczami Diveny, po których ślad zwyczajnie zaginął? Proszę Radę o rozpatrzenie tej sprawy w jak najkrótszym czasie. Czekam na informacje o każdej porze dnia i nocy. I spieszcie się, bo sprawa jest bardzo ważna - powiedziałam dobitnie.

Vertus patrzył na mnie z nieukrywanym szacunkiem i podziwem. Skłonił nisko głowę i powiedział:

- Stanie się, jak każesz, Aido Nicoletto. - Uśmiechnął się i dodał po chwili: - Teraz widać, że do głosu dochodzi w tobie prawdziwy Dziedzic Diveny. Przeszłaś metamorfozę, na którą wszyscy czekaliśmy, i naszym oczom ukazało się prawdziwe oblicze Dziedzica, który jest godzien nieść ciężar przywództwa. Chylę głowę przed moją władczynią.

Jak powiedział, tak zrobił, po czym znów znalazłam się w swoim pokoju. Odetchnęłam. Przynajmniej jedna kwestia powoli dążyła do rozwiązania. Na razie zostało mi tylko czekać na informacje od Rady. Powoli powiesiłam Divendiego na szyi, zastanawiając się nadal nad tym wszystkim, gdy niespodziewanie do pokoju po raz kolejny

weszła mama. Przestraszyła mnie trochę, wyrywając z zamyślenia.

- Justyna, powiedz mi, proszę, co cię trapi - powiedziała z troską.

Spojrzałam na nią poważnie i pomyślałam, że powinnam jej powiedzieć. Nie była wprawdzie członkiem Rady Diveny, nie należała do Drużyny, ale była moją matką, a do kogo, jak nie do mamy chodziłam zawsze ze wszystkimi troskami?

- Mam problem, który można by z grubsza nazwać rodzinnym - stwierdziłam z westchnieniem.

Mama spojrzała na mnie totalnie zdziwionym wzrokiem i usiadła na kanapie obok mnie. Zaczęłam opowiadać jej o zdarzeniach, które tak mnie zastanowiły i zdenerwowały.

- Jak wiesz, dziś z Mateuszem wyjechaliśmy po Angelo na lotnisko. Później wybraliśmy się do pubu. Przyszli prawie wszyscy nasi przyjaciele. Nie było Marty, która jest w Hiszpanii, Kasi, no i Doriana. Właśnie z jego powodu zaczęłam się niepokoić, ale był to dość specyficzny niepokój; taki, jaki odczuwam tylko, gdy sprawa dotyczy Diveny, a przecież Dorian z Diveną nie ma nic wspólnego. - Spojrzałam mamie w oczy. - A przynajmniej nie miał do tej pory. Zaniepokojeni poszliśmy do jego domu, ale przezornie poprosiłam Mateusza, żeby sam poszedł zapytać o kolegę. To, co powiedziała jego mama, dało nam wiele do myślenia, ponieważ poinformowała Mateusza, że jej syn poszedł mnie odwiedzić. Na pytanie „kiedy?”, odparła, że jakieś dwie godziny temu. Najbardziej podejrzane wydało mi się jednak

to, że nie poszedł rzekomo do mnie sam, ale z jakimś starszym mężczyzną, który podawał się za mojego krewnego. Szybko zrozumiałam, że ów mężczyzna chciał, żebyśmy wiedzieli, za kogo się podaje. Potem chłopcy odprowadzili mnie siłą do domu i kazali tu zostać, a sami poszli szukać Doriana. Kilkanaście minut temu Mateusz zawiadomił mnie, że ich znaleźli. Dorianowi będzie groziło niebezpieczeństwo, jeśli osobiście nie stawię się, by porozmawiać z członkiem naszej rodziny. Wątpię jednak, żeby to właśnie o rozmowę mu chodziło - zakończyłam.

- Ale jak... Skoro to prawda, że należy do rodu Divendi... Skąd... - Mama nie mogła zrozumieć.

- Ja też nie rozumiałam. Przynajmniej dopóki sobie czegoś nie uświadomiłam i nie rozmawiałam o tym z Vertusem.

Mama spojrzała na mnie pytająco.

- Przypuszczam... właściwie jestem prawie pewna, że jest grupa Divendich, która przed lub po złożeniu Przysięgi przeszła na stronę Zła.

Staliśmy naprzeciw siebie: z jednej strony Mateusz, Angelo i ja, z drugiej wysoki, białowłosy, starszy nieco, ale umięśniony Mulat. Z tyłu, za nim, skuty kajdankami, zakneblowany i bardzo wystraszony siedział nasz kolega Dorian.

Byliśmy w starej, od wielu lat nieużywanej kopalni tuż obok miasta. Mateusz domyślił się, że tu właśnie może znaleźć Dorianą, okolica była bowiem na tyle wyludniona,

że nikt nie usłyszałby dochodzących stąd krzyków. Poza tym miejsce to było jedynym, w którym telefony komórkowe nie miały zasięgu, również telefon Doriany - i to właśnie tym tropem członkowie Drużyny znaleźli Zdrajcę i jego zakładnika. Przyglądałam się spokojnie Zdrajcy, zastanawiając się, co skłoniło go do przejścia na stronę Zła, gdy nagle mężczyzna spojrział mi w oczy, a ja poczułam, że słabnę. Zaczęło kręcić mi się w głowie i zachwiałam się lekko, a gdzieś na skraju świadomości pojawił się ten sam strach, który zawsze towarzyszył mi w czasie wizji z Twarzą Zła. Oderwałam wzrok od Zdrajcy i z niepokojem spróbowałam opanować drżenie całego ciała. Czyżby to jego obecność tak na mnie podziałała? Wcale nie spodobało mi się to, co się stało. Wreszcie zwróciłam się stanowczym głosem do Mulata:

- Wypuść go. - Mężczyzna odwrócił na sekundę głowę, spoglądając na skutego i patrzącego z przerażeniem chłopaka.

- Ten dzieciak doprowadził mnie szybciotko do was, moi drodzy Divendi... Oczywiście niczego się nie domyślał! Więc kto jest tym wielkim Dziedzicem?

- Nie będziemy z tobą rozmawiać na ten temat, Zdrajco - powiedziałam dobitnie, starając się nie zwracać uwagi na osłabienie, jakie mnie opanowało.

- Jaka szkoda... - Uśmiechnął się ironicznie. - Nazywasz mnie zdrajcą, nie znając nawet mojego imienia?

Umilkł na chwilę, jakby spodziewając się, że zareaguję pytaniem, ale nie powiedziałam nic. Nie miałam zamiaru

dawać mu sobą manipulować.

- Jestem Atos i służę własnemu interesowi. - Jego głos stał się donośniejszy. - Moja Divena jest dwa razy większa, dzięki temu, który się mną opiekuje. Zresztą nie jestem jedyny, jest nas kilkunastu, ale tylko ja mam Divenę dużą na tyle, by wyeliminować Dziedzica!

- Dlaczego to robisz?! - krzyknął Angelo.

- Jesteś za młody, by to zrozumieć - powiedział z ironiczną złośliwością Atos. - Nie wiesz, jak to jest mieć Divenę, ale nie móc jej wykorzystać na własny użytek... - Jego wzrok stał się zamyślony, jakby sięgał pamięcią w przeszłość. - Potrzebowałem wolności, chciałem władzy! - Spojrzał na nas z nienawiścią. - Dopiero Czara mi to umożliwiła. Musiałem tylko zniknąć z oczu Radzie i całej rodzinie.

- Czego od nas chcesz? - Zdecydowałam się zapytać, mając nadzieję, że stojący przede mną człowiek nadal nie wie, kim jestem. Nie pomyliłam się.

- Pan Czary póki co nie kwapi się, by odnaleźć Dziedzica i pokonać go... Podobno gotuje się na Wojnę, ale ja postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce! Tylko członkowie rodu mogą doprowadzić mnie do Dziedzica... Podejrzewam, że już się wam ujawnił. - Przyjrzał nam się badawczo. - Jeżeli mnie do niego nie zaprowadzicie, zabiję waszego przyjaciela... Nie zależy mi na ukrywaniu moich celów, bo i tak już jesteście martwi. - Wyraz jego oczu stał się nagle tak bardzo podobny do wyrazu oczu Twarzy, gdy wpatrywała się z nienawiścią w jakiś odległy punkt

niewidzącym wzrokiem. Wiedziałam już, co mam robić. Sięgnęłam dłonią do Kamienia Diveny, chcąc wzmocnić się nieco uzdrawiającą siłą, ale przyszło mi to z trudem. Zaniepokojona musiałam zdwoić wysiłki, zanim poczułam ciepło rozplywające się po ciele, po czym powiedziałam do Zdrajcy:

- Nie doceniasz tego, który narodził się, by być przywódcą Wojowników Diveny! - powiedziałam. - Na kolana!

Jakże zdziwiony wyraz twarzy miał Atos, gdy zorientował się, że wbrew swojej woli wykonuje moje polecenia.

- Zabierz stąd Dorianą, Mateusz - zwróciłam się do niego. - Tylko nie używaj Diveny! - wysłałam mu wiadomość.

Skinął głową i przeszukawszy kieszenie Atosa, który nie mógł się poruszyć, wyjął z jednej z nich kluczyki od kajdanek, po czym szybko wyprowadził zdezorientowanego chłopaka na zewnątrz.

Atos spróbował zaatakować mnie Diveną, ale Kamień zareagował natychmiast. Odbił promień, wprawiając w zdziwienie sługę Zła.

- Więc to ty jesteś Dziedzicem! I masz Divendiego! To znaczy, że przeszłaś Próbę... - zdołał wykrztusić mężczyzna.

Jego zdziwienie stało się jeszcze większe, gdy nagle zrobiło się zupełnie ciemno, a obok mnie pojawił się wezwany przez Kamień Vertus.

- Ja go zabiorę - powiedział. - Twój Pałac posiada również więzienia, ale takie chronione przez Divenę. Stamtąd nie ma ucieczki. Kiedy przyjdzie pora, rozstrzygniemy, co z nim robić dalej.

Skinęłam głowę i Vertus z Atosem zniknęli. Cieszyłam się, że wszystko odbyło się bezkrwawo i nie było żadnych komplikacji. Prawie żadnych. Westchnęłam ciężko i poczułam rękę Angelo na swoim ramieniu.

- Chodźmy do pozostałych. Mateusz pewnie się niepokoi.

Uśmiechnęłam się do niego i ruszyliśmy ku wyjściu z kopalni. Idąc obok Wojownika, przyjrzałam się ukradkiem swoim dłoniom. Nadal drżały. Nie wiedziałam, co się ze mną działo, ale to musiało mieć związek z moją wewnętrzną siłą, ponieważ sama obecność Atosa sprawiła, że z trudem jej używałam. Jeśli maczało w tym palce Zło, to nie było dobrze.

- Coś takiego nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło - powiedziałam zaniepokojona, pomagając mamie przy obiedzie. Mimo że osłabienie mojego organizmu połączone ze spadkiem kontroli nad Diveną na razie mi się nie powtórzyło, czułam się w obowiązku podzielić moimi wątpliwościami. Mama spojrzała na mnie z uwagą.

- Chyba trzeba poinformować o tym Radę. Możliwe, że wróg już wie, kim jesteś.

- Ale skąd? - zastanowiłam się na głos. - Przecież wszyscy pilnie strzeżemy tej wiedzy.

- Przyczyna może być też inna - stwierdziła mama. - Powiedz mi jeszcze raz, co dokładnie poczułaś.

Odłożyłam krojenie warzyw, odwróciłam się i oparłam plecami o ladę.

- Gdy znalazłam się w pobliżu Zdrajcy, mój organizm nagle jakby osłabł. Zaczęło mi się kręcić w głowie i przestałam panować nad swoją Diveną. To znaczy nie tak zupełnie przestałam panować, ale miałam poczucie, jakbym już jej w pełni nie kontrolowała. Musiałam naprawdę się wysilić, żeby unieruchomić Atosa. - Zamilkłam, wbijając wzrok w jakiś punkt przed sobą, a myślami odbiegając daleko od gotowania obiadu.

Jeśli Zło tak mogło na mnie wpływać, to jak miałam stanąć przeciwko niemu? I skąd wzięło się to osłabienie?

- To nie mogło wziąć się tak samo z siebie. - Mama wyrwała mnie z zamyślenia. Zauważyłam, że również odłożyła na chwilę to, co robiła, żeby mi się przyjrzeć. - Porozmawiaj z Radą na dzisiejszym spotkaniu.

Skinęłam głową i wróciłam do przerwanej czynności, ale zaniepokojenie nie opuszczało mnie aż do popołudnia, kiedy to miałam przenieść się do Świata Diveny, by po raz pierwszy stanąć przed Radą. Gdy nadeszła wreszcie pora, poszłam do swojego pokoju i zamknąwszy drzwi, zaczęłam krążyć po pomieszczeniu, nie mogąc usiedzieć spokojnie w miejscu. Wreszcie poczułam lekkie łaskotanie w żołądku, patrząc, jak rzeczywistość, w której do tej pory przebywałam, zamienia się jakby w stado migoczących motyli. Rozejrzałam się po moim prawdziwym domu -

Pałacu Dziedzica. Ogromna sala tronowa z czerwonego marmuru, imponującej wielkości okna ze złotymi framugami, złote zdobienia, cudowne kryształowe żyrandole. I jeszcze to uczucie, że naprawdę jestem u siebie. Uśmiechnęłam się.

Na końcu sali otworzyły się drzwi. Ujrzałam w nich członka Rady, tego, który w dzień mojej Przysięgi przyniósł Divendiego. Nazywał się Marco.

Za drzwiami znajdowała się kolejna sala, nieco mniejsza, ale utrzymana w tym samym stylu. Tym razem marmur miał jednak ciepły, kremowy kolor. Pośrodku stał piękny, duży stół z jasnego drewna, a przy nim kilkadziesiąt wybitych jasnym materiałem krzeseł. Wszystkie prócz trzech były zajęte. Jedno z pustych krzeseł stało w centralnym miejscu stołu. Było bardziej ozdobne od pozostałych i przypominało tron.

Gdy przybyłam do Pałacu po raz pierwszy, Vertus powiedział, że nikt tu nigdy, poza nim, nie bywał. Pałac bowiem czekał na mnie, nie wpuszczając nikogo prócz pierwszego z naszego rodu. Kiedy powiedział mi, że należałoby przyspieszyć moment spotkania Rady z Dziedzicem, podjęłam natychmiastową decyzję - skoro Pałac ma już swojego właściciela, dlaczego ów nie mógłby przeżyć tej podniosłej chwili właśnie w nim? Dlatego Rada przybyła tu na moje wezwanie.

Marco gestem zaprosił Vertusa i mnie do środka. Mój przodek ruszył pierwszy, zasłaniając mnie przed ciekawymi spojrzeniami członków Rady. Wszedł do sali i odsunął się na

bok. Gdy przekraczałam próg, Marco powiedział donośnym głosem:

- Nadszedł wreszcie czas, by Rada Diveny poznała Dziedzica! Oto ta, której przeznaczeniem jest poprowadzić nas na Wojnę! Aida Nicoletta, Dziedzic Diveny i nasz przywódca!

Wszyscy zebrani wstali i skłonili się nisko w moją stronę. Odpowiedziałam tym samym, po czym niechętnie skierowałam kroki w kierunku najbardziej zdobnego krzesła u szczytu stołu. Nie znosiłam się wywyższać, ale starałam się nie okazywać, jak bardzo niekomfortowa była dla mnie ta sytuacja. Dopiero gdy usiadłam, pozostali zajęli miejsca. Pierwszy przemówił Vertus.

- Dla wszystkich pokoleń naszej rodziny nadszedł wielki dzień. Dziś dane nam jest wreszcie, po tylu wiekach oczekiwania, poznać Dziedzica Diveny. To spotkanie miało nastąpić trochę później, jednak zważywszy na okoliczności, jakie nagle wyniknęły, musieliśmy je zorganizować już teraz. Niech narada się zacznie. Wysłuchajmy słów Dziedzica. - Spojrzał na mnie znacząco.

Zawsze miałam małe problemy z przemawianiem, zwłaszcza gdy chodziło o chwile ważne. Teraz po raz pierwszy miałam przemówić do ludzi, którzy przez wieki - bo byli między nimi i ci, którzy Główną Czasoprzestrzeń opuścili dawno temu - podejmowali wszystkie decyzje związane z Diveną. Tym właśnie ludziom miałam przewodzić. Ich wielowiekowe doświadczenie miało zostać skonfrontowane z moją młodością, niewielką wiedzą

i rozumem, który na razie kieruje się tylko sercem i intuicją. Nie bałam się jednak. Miejsce obaw zajął w moim sercu spokój i przeświadczenie, że jakąkolwiek decyzję podejmę, nie będzie ona zła.

Wyprostowałam się, odetchnęłam głęboko i powiedziałam:

- Chylę czoła przed wami, którzy przez wieki tak mądrze sprawowaliście kontrolę nad naszym rodem. Dzięki wam moje zadanie jest o wiele łatwiejsze i choć boję się, że nie podołam celom, jakie są mi od początku istnienia Diveny przeznaczone, jest mi o wiele lżej, gdy pomyślę, że mam za sobą ludzi tak mądrych jak wy! Liczę, że będziecie przy mnie w każdej chwili, służąc radą i podając pomocną dłoń.

Z miejsca przy drugim końcu stołu podniósł się mężczyzna, który, jak się okazało, przewodniczył Radzie.

- Twoja prośba jest dla nas rozkazem. Nie wątpimy, że sprostasz temu, co cię czeka. Właśnie tobie było to od początku przeznaczone, więc to właśnie ty masz siłę, by pokonać Zło! Jeśli Dziedzic tego nie zrobi, nie zrobi tego nikt. - Skłonił się i zajął miejsce.

- Dziękuję - odparłam. - Spotkanie musiało nastąpić jak najszybciej, ponieważ nasz wróg dowiedział się, że Dziedzic się narodził - powiedziałam.

Przez salę przeszedł szmer.

- Aido Nicoletto - zwrócił się do mnie Vertus, wstając - jest rzecz, o której nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć. Tuż przed twoim przybyciem spełniła się klątwa na Atosie,

Zdrajcy, którego pojmałaś. Przed śmiercią w mękach próbował wezwać Zło. Krzyczał, że ty jesteś Dziedzicem... To daje nam niemal pewność, że przeciwnik jeszcze tej wiedzy nie posiada.

Wiadomość Vertusa z jednej strony zaboląła mnie bardzo, ponieważ mimo tego, jaki był Atos, wierzyłam, że ma w sobie jeszcze jakieś dobro i że uda mi się je w nim odnaleźć. Nie życzyłam mu śmierci. Z drugiej strony uspokoiła mnie - to, że przeciwnik nie wiedział, kim jest Dziedzic, dawało nam jeszcze trochę czasu na przygotowania.

- Co wobec tego proponuje Rada? - zapytałam po chwili.

- Zaczekać, aby przekonać się, czy to prawda - powiedział przewodniczący.

- I ja tak sędzę. Pozostała jeszcze kwestia, o której wiecie już od Vertusa, a mianowicie zdrajcy... Czy sprawa została należycie załatwiona, jak o to prosiłam?

- Tak, pani - odparł przewodniczący. - Dopiero gdy zasugerowałaś nam zdradę, zwróciliśmy uwagę na historię życia wszystkich członków rodziny posiadających Divenę. Dzięki tobie, pani, odkryliśmy, że było kilkunastu Wojowników, którzy jakby zniknęli nam z oczu. Najwidoczniej przeszli na stronę Zła. Złamali Przysięgę, co było i jest nadal dla nas szokiem. Jednego z nich, pani, miałaś okazję spotkać. Wygląda jednak na to, że dopóki owi Zdrajcy są pod kuratelą Zła, nie może dosięgnąć ich klątwa za złamanie Przysięgi.

- Rozumiem - odparłam. - Nie mamy więc teraz na to wpływu. Ale cele w Pałacu niech będą przygotowane na przyjęcie Zdrajców, bo nie wiadomo, czy się z nimi jeszcze nie spotkamy.

Vertus skinął głową.

- O czymś jeszcze chciałabym wam powiedzieć. Przydarzyło mi się coś bardzo niepokojącego. Gdy znalazłam się w pobliżu Atosa, na chwilę bardzo osłabł mój organizm, pojawił się niewytłumaczalny strach i utraciłam częściowo kontrolę nad Diveną.

Po moich słowach między zebranymi rozległy się zaniepokojone szepty. Nie chciałam, żeby pomyśleli o mnie, że dramatyzuję, ale musiałam być wobec nich uczciwa, więc ukrywanie tej sytuacji byłoby nie w porządku. Ponadto byli jedynymi osobami, które mogły mi jakoś pomóc.

- To nie jest dobra wiadomość - rzekła kobieta, siedząca przy końcu stołu. - Na tę chwilę chyba nie mamy odpowiedzi na to, co mogło być tego przyczyną, ale zbadamy to i spróbujemy znaleźć remedium, o ile zdradzisz nam szczegóły, Dziedzicu.

Podzieliłam się z Radą swoimi przemyśleniami i odczuciami dotyczącymi sytuacji ze spotkaniem Zdrajcy. Wypytano mnie jeszcze o szczegóły moich treningów oraz przebiegu Próby, a na koniec poproszono o cierpliwość w tej sprawie.

Narada nie trwała długo. Podjęte zostały decyzje dotyczące dziwnych wydarzeń w miejscu narodzin Vertusa oraz ustalono szczegóły ujawnienia Dziedzica Wojownikom

Diveny zamieszkujących oba światy. W ciągu całej historii rodu takich spotkań było wiele i za każdym razem Wojownicy nie mieli pojęcia, czego będzie dotyczyło akurat to, na które się wybierają. W każdym razie Rada miała doświadczenie w organizowaniu spotkań, więc zostawiłam im to. Poinformowałam ich o szczegółach dotyczących Drużyny Diveny i jeszcze raz podziękowałam za wszystko.

Dopiero pod koniec rozmowa z członkami Rady Diveny stała się luźniejsza, mimo że trzymaliśmy się wszystkich zasad zachowania, które obowiązywały. Doszłam do wniosku, że ci ludzie nie są jednak tak śmiertelnie poważni, stanowczy, sztywni i zamknięci w sobie, jak wydawało mi się na początku. Powiedziałam im o wszystkich moich obawach, oni zaś podnosili na duchu i tłumaczyli. Wszystko to uzmysłowiło mi coś bardzo ważnego – całą naszą rodzinę łączyły więzi, których nawet bariery czasowe czy różnice kulturowe nie mogły rozerwać.

- To wszystko – zakończyłam referowanie Mateuszowi i Angelo przebiegu narady.

- Czyli co robimy teraz? – zapytał Wojownik.

- Czekamy – odparłam.

- Na co? – spytał ponownie.

- Na moment, kiedy Drużyna Diveny będzie w komplecie.

- Joasia przyjeżdża jutro, tak? – upewnił się Mateusz.

- Tak. Jutro, ale bardzo późno, koło północy – powiedziałam.

- Wyjedziemy po nią - zdecydował, spoglądając na mnie z miną pod tytułem: „To się mieści w zakresie spraw, o których decyduję ja”.

Nie oponowałam, dodałam tylko:

- Myślę, że moja mama nie będzie miała nic przeciwko.

- No ale do jutra mamy sporo czasu! - stwierdził słusznie mój kuzyn.

- W sumie tak - przyznałam mu rację. - Macie jakieś ciekawe pomysły, jak spędzić czas? W zasadzie przygotowanie do podróży w miejsce narodzin Vertusa nie zajmie nam dużo czasu, a chyba zgadzacie się ze mną, że siedzenie tutaj jest ostatnią z możliwości, na którą mamy ochotę?

Obaj skinęli głowami.

- Co w takim razie będziemy robić?

- Domek nad zalewem mamy zamówiony już od dzisiaj po południu, czemu więc z niego nie skorzystać? - zaproponował Mateusz. - Tylko pod warunkiem, że nikogo nie zabierzemy, bo to byłoby niewskazane dla dobra misji. Musimy być sami.

- To wcale nie taki zły pomysł - stwierdził Angelo. - Idę w takim razie sprawdzić, jak wygląda sprawa z moimi kąpielówkami - dodał, po czym wyszedł z pokoju.

Przeciągnęłam się leniwie na kanapie. Mateusz, który jeszcze przed chwilą siedział na krześle przy biurku, usiadł koło mnie, obejmując mnie ramieniem.

- Jak się ma sprawa z Dorianem? - zapytałam.

Mateusz uśmiechnął się, a w oczach zabłysnęły mu łobuzerskie iskierki.

- Co znów nabroiłeś?

- Nic takiego. Po prostu ratowałem honor swojej rodziny - powiedział zdecydowanie.

- Czyjej rodziny? - zdziwiłam się.

Uśmiechnął się szeroko.

- No dobrze, naszej rodziny - odparł, spoglądając na mnie z czułością.

Uśmiechnęłam się do niego. Po raz kolejny, mimo że przez zwykły żart, dał mi do zrozumienia, że podchodzi do naszego związku bardzo poważnie.

- No to jak uratowałeś honor naszej rodziny? - zapytałam w końcu.

- Powiedziałem Dorianowi, że to bardzo poważna sprawa. Atos to twój wujek i nie chcielibyście, aby ktokolwiek o tym wiedział, ale ostatnio bardzo się martwiliście, bo uciekł z domu wariatów... - Spojrzał na mnie niepewnie.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchłam śmiechem.

- Ciekawe, co powie moja mama na takie przetłumaczenie sprawy. Chociaż wszystko by się zgadzało, nigdy wcześniej u nas nie był, a teraz znów zniknął. Honor naszej rodziny został uratowany... o ile uratowaniem honoru rodziny jest wyjawienie, że jeden z jej członków mieszka w domu bez klamek...

XX

- Denerwujesz się? - zapytał z troską Mateusz.

- Trochę - odparłam, patrząc mu w oczy. - W końcu nie mam pojęcia, co tam zastaniemy.

Siedzieliśmy przed wynajętym przez nas domkiem nad zalewem. Joasia i Angelo poszli do najbliższego marketu na zakupy. Wcześniej umówiłam się z mamą, że gdybyśmy nie wrócili do niedzieli wieczorem do domu, ona przedłuży nasz wynajem. Nie chcieliśmy przenosić się bezpośrednio z mojego domu w obawie przed tym, że ktoś mógłby pójść tropem teleportu i trafić na moją rodzinę.

Czekaliśmy na przybycie Vertusa. Miał się pojawić, gdy tylko się ściemni.

Od strony jeziora wiał delikatny, chłodny wiaterek. Pogoda była cudowna, ale nie potrafiłam się tym cieszyć. Coś wisiało w powietrzu i sprawiało, że wcale nie czułam się pewna siebie.

Wtuliłam się w silne ramiona Mateusza. Nie wiem, jak bym przez to wszystko przeszła, gdyby go przy mnie nie było. Sama świadomość jego obecności podnosiła mnie na duchu.

Wreszcie wrócili pozostali członkowie Drużyny Diveny. Weszliśmy do domku i skierowaliśmy się do wspólnego pokoju, gdzie było najmniej mebli. Usiedliśmy po turecku na leżącym przed kominkiem dywaniku i rozpoczęło się oczekiwanie.

- Czy są jakieś sprawy, dotyczące naszego zorganizowania, o których chciałabyś jeszcze powiedzieć, Aido Nicoletto? - zapytał Angelo.

Zamyśliłam się, z trudem usiłując zebrać myśli. Wydawało mi się, że właściwie wszystko ustaliliśmy. A przynajmniej to, co ustalić się dało. Jednak im bliżej byliśmy wyruszenia, tym bardziej przeczuwałam, że coś jest nie tak. Ogarniało mnie nieprzyjemne uczucie strachu, jak gdyby cień tego, jakie pojawiało się zawsze, ilekroć miałam mieć wizję Twarzy. Żadna wizja jednak nie nadchodziła.

- Przepraszam, ale nie jestem w stanie teraz o tym myśleć - powiedziałam, z oporem wyrwawszy się z rozproszenia. - Wcale nie mogę się skupić... cały czas czuję jakąś niepewność... Proszę, zajmij się tym za mnie, jesteś moją prawą ręką - dodałam, podejmując niezbyt udaną próbę uśmiechnięcia się.

- Dzięki - odparł nieco zaskoczony i jednocześnie zaniepokojony. - W takim razie przede wszystkim powinniśmy uważać na Justynę. Nasza w tym głowa, żeby nie wyszło na jaw, kim jest. - Spojrzał na Joasię i Mateusza. - Pozostaje jeszcze kwestia ewentualnego planu działania. W pierwszej kolejności proponuję ukryć się gdzieś i poobserwować otoczenie. Potem możemy myśleć, co dalej.

Wprawdzie nie mamy pojęcia, gdzie uda się nam przenieść i co tam zastaniemy, ale na pewno nie będziemy stać i zastanawiać się, co robić.

- Na to nie będzie raczej czasu. Najważniejsze, żebyście uważali, aby nikt niepowołany nie dowiedział się o waszej obecności. - Vertus jak zwykle pojawił się niepostrzeżenie. Jego znienacka dana rada była bardzo cenna, ale pod warunkiem, że wiadomo, kogo zaliczyć do osób niepowołanych.

- Vertusie, czy zrobiliście wszystko, jak ustaliliśmy z Radą? - zapytałam.

Przodek skinął głową, mówiąc:

- W okolicach, gdzie przyszedłem na świat, pojawiło się czworo nastoletnich kandydatów na Wojowników Diveny. Dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Rozglądają się wokół miejsca, w którym zauważyliśmy te dziwne oddziaływania Zła. To ich Próba. Główne ich zadanie to krycie was, oczywiście nieświadome, żeby wprowadzić w błąd Przeciwnika, jeżeli faktycznie to o Drużynę Diveny mu chodzi. - Spojrzał na mnie niepewnie. - Wygląda na to, że Zło zorientowało się już o obecności tych nieszczęsnych młodych posiadaczy Diveny. Wszędzie węższą śludzy Zła, snujące się nieprzyjemne cienie. Sądzymy, że z powodu nagromadzenia tam Diveny naszemu Przeciwnikowi udało się otworzyć jakieś przejście, swego rodzaju portal z ich świata do Głównej Czasoprzestrzeni... Musicie bardzo uważać. Nie używajcie Diveny. Zwłaszcza gdybyście się natknęli na tę czwórkę, nie zdradźcie się. Oni nie powinni

się dowiedzieć, kim jesteście, chyba że zechcesz inaczej, Aido Nicoletto.

- Więc gdyby coś cię działo, jakieś ruchy Zła, a i oni, i my znaleźlibyśmy się w pobliżu, mamy udawać idiotów i dawać im się robić w bambuko? - upewnił się Angelo.

Roześmialiśmy się cicho. Jego żart rozładował trochę sytuację.

- Tak jest - powiedział Vertus, nadal się uśmiechając. - W razie gdyby chcieli was ratować, musicie im na to pozwolić. Mam nadzieję, że jesteście dobrymi aktorami.

Zaniepokoiła mnie wiadomość Vertusa. Obawiałam się, czy nie wystawiam tych młodych ludzi na bezsensowne niebezpieczeństwo. Jednak to rozwiązanie, zasugerowane mi przez Radę Diveny, było jedyną rozsądną możliwością. Innego wyjścia nie było. Musieliśmy teraz po prostu ich chronić, jednocześnie się za nimi ukrywając.

Nie zastanawiając się wiele, wstałam i zacisnęłam palce na Kamieniu Diveny.

Poczułam grunt pod nogami. Otworzyłam oczy, rozejrzałam się szybko i zobaczyłam stojącą kilkadziesiąt metrów od nas rozpadającą się stodołę. Nie zastanawiając się, ruszyłam w tamtą stronę. Pozostali poszli za moim przykładem.

Wbiegliśmy do środka i usiedliśmy ciężko na zasłanej słomą ziemi. Eksperyment się powiódł - udało mi się przenieść nas do Świata Diveny, a stamtąd prosto w poblizkie miejsca narodzin Vertusa. Teraz przyszła pora, by

odetchnąć i zastanowić się, co robić dalej. Była noc. Księżyc świecił jednak tak jasno, że nie było problemu z orientacją w terenie. Jego blask przeciskał się srebrnymi nitkami przez nieszczelne drewniane ściany budynku.

Miałam wrażenie, jakbym znała to miejsce. Może wynikało to z nagromadzenia Diveny, które poczułam niemalże natychmiast po pojawieniu się tutaj, a może było to coś innego, jakaś więź łącząca Dziedzica z miejscem, gdzie Divena została dana członkom rodu Divendi. Czułam jednak również Zło. Mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. To uczucie bardzo mnie zaniepokoiło. Wydawało mi się, że zaraz przed moimi oczami ukaże się Twarz mojego wroga, ale nic się nie działo, tylko to uczucie wzrastało. Mogło to przecież być celowe działanie Zła, tak jak ta utrata kontroli i ogarniający mnie strach, gdy spotkałam Atosa. Wiedziałam, że muszę się jak najszybciej na to uodpornić, bo w innym wypadku nie będę zdolna stawić czoła mojemu Przeciwnikowi w bezpośredniej konfrontacji.

- Część naszego planu już mamy za sobą. W zasadzie to tymczasowe schronienie znalazło się samo. Chyba możemy tu zostać - powiedział Angelo.

- Ale tylko na noc - powiedziałam, a pozostali spojrzeli na mnie pytająco. - Nasze przybycie wywołało ruch Diveny, więc jeśli tu zostaniemy, mogą domyślić się, że to my jesteśmy sprawcami owych zawirowań.

- Chyba masz rację - zastanowił się Angelo.

- O tym nie pomyśleliśmy - dodał Mateusz. - Co wobec tego robimy?

- Może poszukamy innego miejsca? - zaproponowała Joasia.

- Poszukamy - powiedziałam. - Proponuję zachowywać się jak najzwyczajniejsi turyści.

Pozostali tylko skinęli głowami. Żeby zmniejszyć możliwość spotkania kogokolwiek, postanowiliśmy opuścić to miejsce dopiero około czwartej nad ranem, a na razie wystawiać warty, w razie gdyby coś niepokojącego się działo.

Moja warta przypadała na końcu. Koło wpół do trzeciej Mateusz delikatnie mnie zbudził.

- Może lepiej śpij sobie jeszcze, ja przecież mogę posiedzieć za ciebie - powiedział szeptem.

- Nie trzeba - odpowiedziałam.

- Jesteś pewna? - szepnął.

- Dziękuję, ale naprawdę nie. Muszę się porządnie obudzić przed wyjściem i oczyścić umysł... bo widzisz... - Zadrżałam i zamilkłam na chwilę, wracając myślą do burzy odczuć, która mnie opanowała.

Mateusz z niepokojem wpatrywał się we mnie.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytał z troską.

- Wróciło to uczucie strachu, jakie zawsze mnie dopadało w czasie wizji i jakie owładnęło mną, gdy spotkaliśmy Zdrajcę - szepnęłam.

Przysunął się do mnie i otoczył ramionami, głaszcząc delikatnie, tak jak zawsze, gdy chciał mnie uspokoić.

- Zło, które tu czuję, sprawia, że panicznie drzę ze strachu, a mój organizm jakby słabnie. To jest niezależne

ode mnie, walczę ze wszystkich sił, ale panika zajmuje cały mój umysł i nie będę w stanie walczyć, jeśli czegoś nie zrobię.

- To jakaś popieprzona pułapka! - Mateusz się zdenerwował. - Nastawiona na ciebie. Zwracałaś się z tym do Divendiego?

- Tak. Prosiłam też o pomoc Radę Diveny. Na razie jeszcze nie znaleźli remedium. Stwierdzili tylko to, o czym sama wiem, że muszę spróbować stworzyć blokadę w swoim umyśle. Nie wiem jednak, czy potrafię... Na razie, mimo prób, efekty są dość mizerne. Ten brak kontroli nad Diveną i nad moim własnym ciałem tak mi dokucza... To gorsze niż ból... Nie będziecie mieli ze mnie w takim stanie żadnego pożytku.

- Bez ciebie my bylibyśmy nieprzydatni - powiedział Mateusz. - Ja byłbym nieprzydatny.

- Nie mów tak. To nieprawda - zaproponowałam.

- Jak to nieprawda? Bez ciebie to wszystko nie miałyby dla mnie takiego sensu. - Pocałował mnie delikatnie w czubek głowy. - Zastanawiam się tylko, co teraz będziemy robić.

Jak przez mgłę usłyszałam nagle delikatny dźwięk dzwoneczków i głos wypowiadający jedno słowo: „czekaj”. Miałam wrażenie, że nie po raz pierwszy słyszę ten głos, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie słyszałam go wcześniej. Bez namysłu powtórzyłam tylko za nim:

- Będziemy czekać, kochany. Będziemy czekać.

Siedziałam oparta o kopę słomy z głową Mateusza na ramieniu. Chłopak drzemał, jego jasne włosy łaskotały mnie po szyi. Moja warta powoli dobiegała końca. Lada chwila miałam obudzić pozostałych. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu, ale niebo zaczynało powoli robić się coraz jaśniejsze. Ziewnęłam szeroko i przetarłam oczy, rozmyślając.

Głos, który powiedział mi, że mam czekać, wydawał się znajomy... Nagle uświadomiłam sobie, że usłyszałam go już wcześniej w czasie naszej Próby. Powiedział wtedy, że wszystkie siły świata mnie wspierają... Chodziło mu chyba o żywioły. Dlaczego przemówił znowu? Co to oznacza? Pytania odbijały się echem w moim umyśle, ale jednocześnie pojawiło się w nim ukojenie, jakby sama świadomość tego, że żywioły znów zapewniają mnie o swoim wsparciu, podnosiła mnie na duchu.

Obudziłam pozostałych, po czym wyruszyliśmy na poszukiwanie jakiegoś osiedla. Niecałą godzinę później staliśmy u początku niewielkiego miasteczka, położonego najprawdopodobniej kilka kilometrów od miejsca narodzin mojego przodka. Mimo wczesnej godziny na ulicach już zaczynał się ruch. Szukając miejsca na nocleg, zaszliśmy do piekarni i kupiliśmy kilka niedawno wyjętych z pieca, ciepłych bułeczek na śniadanie. Przy okazji zapytaliśmy właściciela, gdzie możemy znaleźć jakieś niedrogie schronisko.

- No proszę! Jaki popularny wśród młodych ludzi zrobił się ostatnio nasz zakątek! Nie dalej jak dwa czy trzy dni

temu czwórka w podobnym wieku pytała mnie o to samo! – Spojrzeliśmy po sobie znacząco: to był nasz „kamuflaż”! – Poleciałem im schronisko za miastem. Wystarczy, że będziecie się kierowali z biegiem naszej rzeki. To niedaleko, a warunki mają świetne i wcale nie jest drogo.

– Dziękujemy! – powiedział Angelo.

– Nie ma za co! Miłego dnia!

Opuściliśmy piekarnię.

– Co o tym myślicie? – zapytała Joasia, spoglądając na mnie.

Zdołałam tylko powiedzieć:

– Idziemy tam.

Nie czułam się pewnie na własnych nogach, obecność złych mocy wyciągała z mojego ciała siły fizyczne i mieszała w myślach. Angelo wziął ode mnie plecak, a Mateusz szedł cały czas obok, gotowy podtrzymać mnie, gdybym poczuła się słabiej. Przyjaciele martwili się, ale wobec mojego oporu nawet nie próbowali proponować wyniesienia się stąd. To miała być moja pierwsza bitwa z wrogiem. Było jasne, że jeśli nie pokonam tego wpływu, jaki ma na mnie przeciwnik, jeśli nie uda mi się wznieść jakiejś bariery, nie będę mogła nawet myśleć o poprowadzeniu Armii Diveny. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to postarać się załatwić to jak najszybciej, póki jeszcze trochę sił mi zostało.

Kierując się wzdłuż rzeki, dotarliśmy do polecanego przez piekarza schroniska. Mój kuzyn wykupił dwa dwuosobowe pokoje, do jednego z nich szybko się wtłoczyliśmy. Od razu zwinęłam się w kłębek na jednym

z łóżek. Joasia usiadła przy mnie, a chłopcy przysunęli sobie krzesła, stojące przy znajdującym się na środku pokoju stole.

- Wypadaloby się naradzić - zaczął Wojownik. - Aida, jak się czujesz?

- To mnie wyczerpuje... - jęknęłam słabo. Znienawidziłam tę swoją niemoc fizyczną.

- Musimy coś zrobić! - Mateusz był bardzo stroskany.

- Spokojnie! - Angelo starał się panować nad sobą. - Postępując pochopnie, niczego nie zdziałamy. Zresztą nie jestem nawet pewien, od czego powinniśmy zacząć.

Zamknęłam oczy i spróbowałam się uspokoić, choć serce łomotało mi w piersi jak oszalałe. Przez kilka minut otaczała nas zupełna cisza. Miałam jednak wrażenie, że była ona niesamowicie głośna. Nagle poczułam na twarzy powiew wiatru, a niespodziewana wizja, pochodząca od Kamienia Diveny, przeniosła moją świadomość do świata Próby. Zobaczyłam całą naszą czwórkę wchodzącą do małej świątyni. Potem widziałam siebie samą, jak wkładam rękę do czary, którą trzymał posąg, aby dopasować dłoń do odbitego tam śladu. W chwili, gdy wszystko wokół zaczęło trząść się i świecić, poczułam ogromny strach... Nagle wizja przeniosła mnie pod drzewo, jedyne na środku dużej polany. Mój strach zniknął bez śladu... wiedziałam, gdzie jestem - to było drzewo, pod którym na świat przyszedł Vertus. Po chwili moja świadomość powróciła do pokoju.

- Musimy pójść w miejsce narodzin Vertusa... - powiedziałam słabym głosem, próbując unieść się do

pozycji siedzącej. Czułam się coraz gorzej. - Miałam wizję. Divendi przeniósł na chwilę moją świadomość do świata Próby, do momentu, kiedy na nasze głowy niemal runęła świątynia - powiedziałam szybko, czując, że znów słabnę. - To się stało, kiedy dopasowałam dłoń do tego odcisku w czarze, a zaraz po tym poczułam ogromny strach... i przeniosłam się pod drzewo... tam, gdzie na świat przyszedł Vertus... i cały strach zniknął... to na pewno nie było bez znaczenia. Ten odcisk dłoni... Zło musiało maczać w tym palce... - jęknęłam, czując przeszywający moją głowę ból. Zacisnęłam powieki i opadłam na poduszki. Z każdą chwilą pobytu tutaj czułam rosnący strach i ogarniającą mnie fizyczną słabość. Joasia dotknęła dłonią mojego czoła.

- Ona jest rozpalona - powiedziała przestraszona. - Musimy coś zrobić, i to szybko.

Ból powoli ustąpił. Poczuałam się potwornie zmęczona. Marzyłam tylko o tym, żeby zasnąć. Zdołałam jeszcze tylko usłyszeć głos Wojownika:

- Możliwe, że ten odcisk dłoni to była pułapka... zostałam zainfekowana strachem... czyli nasz przeciwnik musi być bardzo silny, skoro jakimś cudem wyciągnął swoje macki aż do Świata Diveny.

Jakby przez sen zdawałam sobie sprawę, że wiszę nad ziemią... albo raczej wędruję w powietrzu. Byłam jednak tak skrajnie wyczerpana i przerażona, że nie byłam w stanie zrobić czegokolwiek. Tkwiąca gdzieś w środku mnie wewnętrzna siła, która już tyle razy nie pozwalała mi

się poddać, zdopingowała mnie zaledwie do uniesienia powiek.

Była ciemna noc, a mnie było przeraźliwie zimno. Angelo transportował mnie Diveną, Mateusz trzymał za rękę, a Joasia co kilka chwil przecierała moje spocone czoło wilgotną chusteczką. Byłam opatulona kilkoma kocami, lecz to wcale mnie nie ogrzewało. Nie przychodziło mi do głowy, dokąd mogliśmy wędrować o tej porze. Po chwili znów zapadłam w tępe odrętwienie, a moja świadomość odpłynęła do krainy koszmarów.

Cały mój strach, całe przerażenie, którym atakował mnie wróg, nagle zniknęło. Poczułam powolny, ale niesamowicie odżywczy przypływ sił. Przez chwilę wydawało mi się, że szybuję gdzieś nad górami Karfen, w Świecie Diveny, z radością spoglądając na roztaczającą się przede mną kotlinę i Pałac u stóp góry Norib. Potem wróciłam do swojego ciała i powoli otworzyłam oczy. Joasia pochylała się nade mną.

- Wróciła do nas - powiedziała, odwracając się na moment do tyłu.

Położyła mi rękę na czole i uśmiechnęła się.

- Gorączka spadła? - zapytał Angelo, podchodząc do mnie wraz z Mateuszem.

- Na szczęście tak - odparła przyjaciółka, odrzucając za plecy długi ogon jasnych włosów.

- To był dobry pomysł, przynieść ją tutaj - stwierdził Mateusz, a pozostali tylko skinęli głowami.

Rozejrzałam się dookoła siebie. Byliśmy na polanie, ze wszystkich stron otaczał nas las. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dojrzałam żadnych zabudowań. Za to nade mną wisiały grube konary bardzo sędziwego drzewa. Znad wierzchołków drzew padały na nas jasne, ciepłe promienie wschodzącego słońca. Czułam się tu tak dobrze i wyczuwałam delikatne drgania Diveny.

- Gdzie jesteście? - zapytałam cicho, czując się lekko skołowana, ale chciałam się tylko upewnić, że mam rację.

- Nie domyślasz się? - Mateusz uśmiechnął się do mnie, siadając obok. - To tutaj przyszedł na świat Vertus.

Natychmiast rozjaśniło mi się w głowie i przypomniałam sobie wizję, w której widziałam to miejsce. Podniosłam się do pozycji siedzącej i spod bluzy, którą miałam na sobie, wyjęłam mojego Sługę. Delikatny błękitny blask, który go rozświetlał, pulsował w rytmie wyczuwanych przeze mnie drgań Diveny. Wpatrywałam się w niego jak urzeczona. Divendi był jakby zjednoczony z tym miejscem.

- Jak się czujesz? - spytał Angelo.

Zastanowiłam się przez chwilę nad tym pytaniem. Nadal byłam lekko osłabiona, ale myśli miałam czyste, niezmacone żadnymi wpływami wroga. Czułam też, że kontroluję swoją Divenę.

- Wszystko jest w porządku - powiedziałam z lekkim niedowierzaniem i wstałam powoli. Twarze obserwujących mnie uważnie przyjaciół, do tej pory zatroskane, rozjaśniły się promiennie.

- Dobrze - powiedział Mateusz, przytulając mnie. - Choć te kilka chwil możesz od tego odpocząć.

To miejsce było oazą spokoju, ale wiedziałam, że poza nią znów będę przeżywać to, co do tej pory - niewytłumaczalne uczucie paraliżującego przerażenia i ten brak kontroli, wobec którego byłam zupełnie bezsilna.

Odsunęłam się od Mateusza i podeszłam powoli do drzewa. Odwróciłam się do członków Drużyny Diveny i powiedziałam:

- To niezwykły moment. Jestem w miejscu, w którym cała nasza historia się zaczęła. Bez tego nie byłoby walki z Czarą Zła. Możliwe, że wtedy Zło z góry byłoby na pozycji wygranej. Jednak stało się to, czego jesteśmy kontynuatorami. Divena została dana ludziom jako broń do walki ze Złem. I stało się to właśnie tutaj...

Dotknęłam dłonią porowatej kory i zamknęłam oczy. Poczułam drgania Diveny i ogarniającą moje ciało falę ciepła. Divendi zadrżał i rozpalił w sobie Biały Ogień. Znak na moim ramieniu zaśnił. Podobnie znaki na ramionach pozostałych członków Drużyny. Nagle powiał wiatr, unoszący ze sobą drobiny ziemi i kropelki wody. Jednocześnie oświetliły nas ciepłe promienie słońca. To żywioły witały się z nami, uświadamiając nam swoją obecność i stałe czuwanie.

Poczułam się silna jak nigdy dotąd i zdolna stawić czoła całemu Złu tego świata. Rozpierała mnie energia. Uwierzyłam, że będę miała siłę oprzeć się strachowi

i odważnie przeć do przodu mimo przeciwności, dążąc do czekającego na końcu tej drogi celu.

Zabrałam dłoń z drzewa i zwróciłam się do przyjaciół:

- Bierzmy się do pracy. Trzeba poradzić sobie z tym wszystkim.

Znaki na naszych ramionach, wraz z Kamieniem Diveny, zaczęły stopniowo blednąć. Czułam tylko jeszcze drgania Divendiego, które również zaczęły zanikać w miarę, jak oddalaliśmy się od polany. Przejście przez mroczny las zajęło nam ponad godzinę. Cały czas czułam się dobrze. Mimo że lada chwila spodziewałam się powrotu stanu obezwładniającego niemal strachu, nie przejmowałam się tym teraz, chcąc się nacieszyć tymi chwilami spokoju.

Wróciliśmy do schroniska. W pokoju zaczęliśmy się naradzać.

- Musimy pilnować naszego „kamufażu” - stwierdziłam. - Niewykluczone, że mogą się na coś natknąć. I tak narażamy ich na niebezpieczeństwo. Powinniśmy więc nad nimi czuwać na tyle, na ile możemy.

- W takim razie wskazane by było, żebyśmy się na nich przez przypadek natknęli - stwierdził Mateusz. - Co powiesz na to, Angelo, żebyśmy poszli pomóc przypadkowi? Zobaczymy, gdzie oni mieszkają i co robią. Jakby co, zadzwonimy do was - rzucił jeszcze, po czym obaj wyszli z pokoju. Wszystko szło zgodnie z planem.

- Chodźmy zajrzeć, jak sobie radzą chłopaki - powiedziała do Joasi, powoli wstając z łóżka. Przed

momentem Mateusz przesłał mi myślami wiadomość, że nasz „kamouflaż” właśnie wyszedł ze schroniska. – Weźmy tylko kilka rzeczy, w razie gdyby trzeba było za nimi iść.

Zachwiałam się lekko na nogach, na co moja przyjaciółka od razu zareagowała, z troską pytając, jak się czuję.

- Nie najgorzej - odparłam wymijająco, nie chcąc zaprzętać sobie głowy swoim samopoczuciem. Starłam się nie myśleć o tym, że powoli moje ciało słabło, a ów stan strachu wracał, wkradając się w moją podświadomość i zatruwając duszę.

Wyszliśmy z pokoju, zabierając ze sobą kilka niezbędnych rzeczy takich jak: scyzoryk, wodę, trochę pieniędzy oraz linę - w Świecie Próby nauczyliśmy się korzystać z noża i sznura w każdej niemal potrzebie i teraz staraliśmy się zawsze mieć je pod ręką. Zeszliśmy na dół z pierwszego piętra, gdzie znajdował się nasz pokój, i wyszliśmy na zewnątrz.

Schronisko było niewielkie - piętrowy ceglany budynek mogący pomieścić nieco ponad sześćdziesiąt osób, malowniczo sytuowany tuż przy ścianie ciemnego, gęstego lasu. Wokół schroniska rósł zadbane trawnik, a z tyłu budynku było miejsce na zrobienie ogniska oraz kilka ławek przy drewnianych stołach. Od budynku biegła polna, bita droga. Poniżej widniał solidny, mały mostek zawieszony nad płytką rzeką.

Droga ciągnęła się wzdłuż rzeki aż do samego miasteczka. Właśnie na niej zobaczyliśmy Angelo

i Mateusza. Szybkim, lecz niewzbudzającym podejrzeń krokiem podeszliśmy do nich, żeby dowiedzieć się, jaka jest obecnie sytuacja.

Tak jak przewidziałam, grupka młodych potomków rodu Divendi wyprawiła się chwilę wcześniej dokądś, więc nie mając na razie nic lepszego do roboty, postanowiliśmy za nimi pójść. Żeby jednak nie skradać się całą bandą zza krzaków, podzieliliśmy się.

- Będziemy się starali iść równoległe z nimi - zarządziłam. - Ty, Joasiu, z Angelo od lewej, Mateusz i ja od prawej. Nie zbliżamy się do nich za bardzo, a w razie spotkania nie dajemy po sobie poznać, że się nimi interesujemy. Jeśli przypadkiem wam się uda, spróbujcie podsłuchać, o czym mówią, co mają w planach. Ale pamiętajcie, nic na siłę! Nie możemy narażać na niepowodzenie naszej misji przez jakąś błąhostkę. - Uśmiechnęłam się do nich.

- No to na co jeszcze czekamy? - powiedział Angelo, szczerząc zęby. Odwzajemniłam jego promienny uśmiech, finiszując debatę jednym słowem:

- Ruszajmy.

- Tu... są tuż obok nas... nie ruszaj się - szepnął mi do ucha Mateusz, pociągając jednocześnie za rękę w dół i zmuszając tym samym, bym kucnęła.

Nie czułam się zbyt dobrze i miałam chyba lekko zaburzoną równowagę, więc koniec końców wylądowałam na kolanach.

- Wszystko w porządku? - spytał od razu Mateusz.

- Ciii... - syknęłam, kładąc palec na ustach, bowiem kilka metrów od nas przysiadł sobie nasz „kamuflaż”.

Byliśmy w lesie. Wbrew przypuszczeniom grupka młodych ludzi nie udała się do miasteczka. Teraz oddzielało nas od nich tylko kilka, na szczęście dla nas gęstych, drzew i krzaków.

Dopiero teraz, siedząc w lesie i przysłuchując się rozmowie grupki, mogłam się im dokładnie przyjrzeć. Pozostali członkowie Drużyny widzieli ich już wcześniej - kiedy ja byłam nieprzytomna przez gorączkę.

Jedna z dziewcząt, brunetka, była wysoka i miała świetną figurę. Drugą wyróżniały rude włosy oraz niski wzrost i sylwetka „przy kości”. Czarnowłosy chłopak miał niską i kręłą posturę, natomiast ostatni z grupy, o długich kasztanowych loczkach związanych z tyłu, był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, przypominał trochę z wyglądu Angelo.

Skoncentrowaliśmy się na tym, o czym rozmawiali. Szum wiatru i odgłosy lasu bardzo utrudniały nam zadanie, zakłócając słyszalność, ale to, co udało nam się usłyszeć, i tak wystarczająco mnie zaniepokoiło. Z oddali docierał do nas piskliwy głos rudowłosej:

- ...imy iść! Ale co, jeśli coś się stanie?! - Wyraźnie była czymś poirytowana i wystraszona. Możliwe, że doszło między nimi do sprzeczki.

- On może być niebezpieczny! - Usłyszeliśmy ostrą kontrę „loczków”.

- Może... Próby! Ja... że powin... bić, co każe -
zdecydował czarnowłosa. Na tym ich dyskusja się
skończyła.

Chwyciłam Mateusza za rękę. Ścisnął delikatnie moją
dłoń, spoglądając mi w oczy.

- *Wszystko mamy pod kontrolą* - wysłał. - *Gdyby się coś
poważnego działo, zawsze możemy zareagować.*

Skinęłam głową, po czym wstałam, starając się
utrzymać równowagę i spoglądając za oddalającą się
czwórką młodych ludzi. Po krótkiej chwili wahania
ruszyliśmy ich śladem.

XXI

- No dobrze, zatem najprawdopodobniej mają się z kimś spotkać. Ta rudowłosa się go obawia - zastanawiałam się na głos, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Skoro się wahali, podejrzewam, że ten ktoś w jakiś sposób próbuje ich zmusić do przyścia na to spotkanie.

- Nie wiem, o co chodzi, ale nasz przeciwnik ewidentnie kombinuje coś paskudnego. Pogrywa sobie z nimi. Co to za akcja z tą kartką? - Mocno podenerwowany Angelo chodził ze zmarszczonym czołem w kółko po pokoju.

- Trzeba ich pilnować - stwierdziłam krótko, po czym zapadła cisza.

Był późny wieczór. Siedzieliśmy w jednym z naszych pokojów w schronisku, roztrząsając wszystkie wydarzenia minionego dnia. Śledząc nasz „kamuflaż”, dotarliśmy z powrotem do schroniska. W drodze powrotnej, zanim młodzi ludzie przeszli przez mostek nad rzeką, czarnowłosy chłopak zszedł do wody, wsadził rękę pod drewnianą konstrukcję, po czym najprawdopodobniej z jakiejś wnęki wyciągnął kartkę papieru. Musiała to być wiadomość, na którą czekali, bo z zainteresowaniem zgodnie pochyłili się

nad nią. Wyglądało na to, że treść notatki bardzo ich poruszyła, bo wymienili kilka słów, po czym pobiegli do schroniska. Nie byliśmy pewni, czy nie wyprawia się dokądś, więc cały czas któreś z nas kręciło się w okolicach drzwi do ich pokoju. Teraz przypadała właśnie warta Mateusza.

- A co, jeśli zdecydują się pójść na to spotkanie? - Joasia kręciła się przy oknie, spoglądając na dziedziniec schroniska, jakby spodziewała się znaleźć tam odpowiedź.

- Jeżeli przyjmiemy, że nasze domysły są słuszne, to jest to bardzo prawdopodobne - powiedziałam.

- I to mnie martwi - stwierdził Angelo, przestając na chwilę spacerować po pokoju. - Naraziliśmy ich na niebezpieczeństwo, przysyłając ich tutaj. A teraz, zamiast ich z tego wyciągnąć, musimy trzymać się w ukryciu jako posiadacze Diveny.

W momencie, gdy kończył zdanie, do pokoju wpadł zadyszany Mateusz.

- Dwoje z nich wyszło z pokoju, właśnie idą na dół.

- Pójdę z Mateuszem. Wy zostańcie i miejcie oko na pozostałych. - Wstałam, po czym szybko i jak najciszej wybiegliśmy za dwojgiem wymykających się młodych ludzi.

Zbiegliśmy po schodach i wyslizgnęliśmy się za drzwi. Zobaczyliśmy biegnące dziewczyny już na mostku. Zaskoczyło mnie to, że poszły same. Niemal bezszelestnie posuwaliśmy się za nimi w stałej odległości, starając się nie zgubić ich z oczu.

Szliśmy cały czas drogą, rzeka szemrała cicho. Noc była bardzo chłodna, wiał wiatr i zbierało się na deszcz. Chmury zasłaniały niebo, zabraniając światłu księżyca docierać do ziemi. Dzięki temu nie musieliśmy się obawiać, że dziewczyny nas zauważą, gdybyśmy chcieli podejść bliżej. Jednak kiepska widoczność utrudniała nam i tak niełatwe zadanie bycia o krok za nimi i czuwania.

Nagle dwie sylwetki przed nami zatrzymały się i po chwili biegiem puściły się w głąb lasu. Nie zastanawiając się wiele, ruszyliśmy za nimi. Chcąc jednak utrzymać choć minimalny dystans, by nie dać się odkryć, niechcący pozwoliliśmy, by zniknęły nam z oczu. Szliśmy jeszcze na oślep kilka minut, jednak w końcu zrezygnowani usiedliśmy na pniu zwalonego drzewa.

- Co teraz? - spytałam bezradnie, rozglądając się dookoła.

- Dystans był za duży. - Mateusz był zły na siebie. - Ale nie możemy ciągle podejrzewać najgorszego.

- Tylko co... - Nie zdążyłam zadać pytania, gdyż w tej samej chwili z oddali rozległ się pojedynczy krzyk. Sekundę później urwał się, jakby został ucięty nożem.

Spojrzeliliśmy z Mateuszem po sobie i nie czekając, ruszyliśmy w tamtym kierunku.

Po chwili pędu niemalże na oślep złapałam Mateusza za rękę, nakazując mu zatrzymanie. Między drzewami zauważyłam bowiem jakąś poświatę. Powoli, małymi kroczkami, starając się nie uczynić najmniejszego hałasu, zaczęliśmy się skradać w tamtym kierunku. Słabe światło

było coraz wyraźniejsze, a im bliżej niego się znajdowałam, tym mocniej odczuwałam znajome uczucie znienawidzonego przerażenia. Mimo że czułam, co się ze mną dzieje, parłam dalej, mając świadomość, że moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Po chwili naszym oczom ukazał się dość dziwny i w pierwszej chwili niezrozumiały obraz. Oto dziewczyny wisiały pół metra nad ziemią, w powietrzu, zanurzone jakby w mdłej, zgniłozielonkawej poświacie. Tuż obok stało dwóch mężczyzn. Jeden rosły i krzepki, drugi niski i pochylony, najprawdopodobniej stary. Twarzy drugiego nie mogłam zobaczyć, gdyż na głowie miał kaptur od swojej długiej, brudnej i podartej, sięgającej ziemi szaty, która okrywała całą jego postać.

Pochylony człowiek odezwał się nagle głosem, od którego ciarki przeszły mi po plecach.

- To żadna z nich, głupcze!

Wysoki mężczyzna pochylił głowę. Stary zaś kontynuował:

- Przez twoją niesubordynację zaczną na pewno coś podejrzewać! A przygotowania nie zostały jeszcze ukończone! - Jego ton i słowa sprawiały, że mężczyzna coraz bardziej kulił się ze strachu, a mnie mroził krew w żyłach. Mój strach powoli przechodził w panikę, zwłaszcza gdy zaczęłam podejrzewać, o co może w tej sytuacji chodzić. Ostatnie słowa zgarbionego potwierdziły moje najgorsze przewidywania.

- Miałeś odnaleźć Dziedzica! A to? - Szturchnął palcem nagie ramię jednej z dziewczyn w miejscu, w którym powinien znajdować się symbol Wojownika. Ciało dziewczyny zakołysało się, jakby było zanurzone w wodzie. - To nie są nawet Wojowniczk! Są już jednak w posiadaniu Zła. Najłatwiej byłoby je zabić, ale mogą nam się jeszcze przydać. Ale ty... Ty musisz szukać dalej! Możliwe, że nie zorientują się, że dwie z posiadaczek Diveny zniknęły. Może nie... Za to ciebie na pewno spotka kara! Teraz mi pomóż! - warknął.

- Tak, panie - odparł tylko tamten i razem, w powietrzu, przetransportowali dziewczyny kilkanaście metrów dalej. Cały czas szliśmy za nimi.

Stary zatrzymał się w końcu między dwoma drzewami, których korony spletały się ze sobą, rozłożył ręce i użył jakiejś siły, tworząc jakby drzwi w ciemność, otoczone cienką obręczą zgniłozielonego światła. Obaj przez nie przeszli, zabierając bezwładne ciała dziewczyn ze sobą. Zaraz po tym otwór w przestrzeni zniknął.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu Mateusz przerwał ciszę:

- Co to, do cholery, było?

- Szukają mnie... - Mój głos był słaby, czułam się wycieńczona, mimo że mój strach trochę zelżał wraz ze zniknięciem tamtych. - Wysoki mężczyzna to najpewniej jeden z Wojowników, którzy przeszli na stronę Zła. Ten drugi to najprawdopodobniej jakiś sługa naszego Przeciwnika, wyższy rangą. Porwali dziewczyny... Muszą

być już bardzo silni, skoro mają odwagę pojawiać się w Głównej Czasoprzestrzeni...

Mateusz, widząc, że słaniam się na nogach, objął mnie i próbował posadzić. Ja jednak chciałam podejść do drzew, między którymi pojawił się portal w czasoprzestrzeni. Budziły zdziwienie, nie wyglądały tak naturalnie jak pozostałe drzewa wokół.

Dotknąwszy powierzchni jednego z nich, przekonałam się, że miałam rację. Ściekała z niego czarna posoka, a kora nie była żłobkowana, lecz gładka jak szkło.

Zachwiałam się, a Mateusz chwycił mnie wpół, kładąc delikatnie na ziemi. Byłam wyprana ze wszystkich sił.

- Znowu strach... - zdołałam tylko powiedzieć. Wyciągnęłam Divendiego i z niemałymi trudnościami zaczerpnęłam nieco uzdrawiającej siły. Gdy Kamień Diveny przygasł, chłopak bez słowa pomógł mi wstać i ruszyliśmy w kierunku schroniska.

Nadszedł świt. Wschodzące słońce raziło mnie w oczy. Otworzyłam je jednak i zorientowałam się, że leżę w swoim łóżku, w schronisku. Po tej nocnej wyprawie do lasu nasz pokój wydał mi się nagle znajomym i bezpiecznym miejscem. Joasia spała jeszcze na łóżku obok.

Miałam trudności z wykonaniem najprostszych ruchów. Byłam zupełnie wyczerpana, jakbym dopiero co przebiegła maraton, jednak starałam się zmobilizować resztki swoich sił i pokonać ogarniający mnie strach, by podjąć decyzję, jak mogę pomóc dziewczynom. Byłam pewna jedynie tego,

że spróbuję je uratować. Pytanie tylko, czy uda mi się znaleźć sposób, by jednocześnie nie dać się rozpoznać mojemu wrogowi? No i co powinnam zrobić ze Zdrajcą, który ma za zadanie mnie dopaść?

Jeszcze chwilę miotałam się między paraliżującym strachem a chęcią natychmiastowego podjęcia działań, po czym zapadłam w niespokojny sen. Majaki, jakie mu towarzyszyły, nie pozwoliły mi wypocząć. Tkwiły przed moimi oczyma nadal, gdy po jakimś czasie rozbudziłam się zupełnie. Przez moje ciało przelewały się na zmianę fale gorąca i chłodu. Był już późny ranek, a moi przyjaciele przyglądali mi się z nieukrywaną troską.

Joasia przetarła moje spocone, rozpalone czoło wilgotną chusteczką. Mateusz siedział tuż obok łóżka i wpatrywał się we mnie z niepokojem. Staralam się przybrać jak najdzielniejszy wyraz twarzy, jednak sądząc po jego minie, kiepsko mi to wychodziło. Angelo przysłonił okno zasłoną i po raz kolejny przespacerował się na korytarz, by sprawdzić, czy dwaj chłopcy z naszego „kamouflażu” nie wychodzą z pokoju. Gdy wrócił, Mateusz powiedział zdecydowanym głosem:

- Musimy działać szybko. Zabierzmy ją znowu pod to drzewo i podejmijmy jakieś kroki, zanim będzie jeszcze gorzej. - Gestem dłoni wskazał na mnie.

- Ja też się o nią martwię! - powiedział Wojownik z lekkim oburzeniem, ale zaraz opanował się i spokojnie dodał: - Nikt inny nie ma prawa zdecydować, co mamy

robić dalej. To zbyt wielkie sprawy, byśmy zajmowali się tym sami. – Zapatrzył się w krajobraz za oknem.

„Ja tu jestem!” – chciałam krzyknąć, ale moje ciało nie odpowiadało. Spróbowałam wezwać Divendiego, ale prócz słabego błysku Kamienia nie stało się nic. Jakbym zupełnie straciła kontrolę nie tylko nad swoim ciałem, ale też nad Diveną. Nie mogłam pozwolić wrogowi tak się sparaliżować. Zebrałam całą swoją wolę i powoli, z ogromnym wysiłkiem, poruszyłam dłoń. Małymi ruchami, wymagającymi jednak horrendalnego wysiłku woli, udało mi się przesunąć dłoń w kierunku szyi i uchwycić Kamień Diveny. Poczułam, że Divena zaczyna odpowiadać na moje wysiłki, a mnie ogarnęło ciepło rozplywające się po całym ciele. Poczułam nieco ulgi.

Kilka chwil później w pokoju zrobiło się ciemno, całe otoczenie zniknęło. Przed nami pojawił się Vertus. Angelo energicznie ruszył w jego kierunku, mówiąc z wyrzutem:

– Dlaczego nie pojawiłeś się wcześniej?!

– Zatrzymały mnie rozmaite sprawy. Wypełniałem rozkazy Dziedzica – odparł Vertus spokojnie.

– Powinieneś być tu z nami! – Nie dawał za wygraną, ogarniała go złość.

– Przestań, Angelo... – powiedziałam cicho. Chłopak spojrzał na mnie i wzrok mu złagodniał. Widziałam, że jest bardzo roztrzęsiony, ta sytuacja rozstroiła go nerwowo. Zupełnie to było niepodobne do jego rozsądnej postawy i pewnego charakteru.

– Przepraszam. Martwię się o ciebie – powiedział.

Skinęłam głową na znak zrozumienia.

- Wojownik - rzekł mój Przodek - jestem tobie i pozostałym członkom Drużyny winny wyjaśnienia. Ja również martwię się o Aidę Nicolette, ale niestety nie mogę być z wami. Możemy spotykać się tylko w innej czasoprzestrzeni, ponieważ dla waszego świata jestem już umarły. Zaburzenie tego porządku mogłoby doprowadzić do nieprzewidzianych zawirowań, a tego nie chcemy. Dlatego, niestety, choć bardzo bym tego pragnął, nie mogę wam pomagać tak, jak to robiłem w świecie Próby.

Pozostali członkowie Drużyny pokiwali tylko głowami, ale widać było, że są zniecierpliwieni. Vertus zwrócił się do mnie:

- Jak się czujesz, Aido Nicoletto?

- Przeważenie i brak kontroli... - szepnęłam tylko.

Starzec pochylił głowę i zamyślił się głęboko. W końcu zniecierpliwiony Angelo powiedział:

- Potrafisz jej pomóc czy nie?

- Spokojnie, młody człowieku! - Vertus wyrwany z zamyślenia nieco się zirytował. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani i zmartwieni zaistniałą sytuacją. Ale to nie powód, żeby w tym akurat momencie wyładowywać swoje emocje, krzycząc na kogoś. - Spojrzał na mnie jeszcze raz i powiedział powoli: - Jest jedna rada na to, co się z tobą dzieje, Aido Nicoletto.

Przodek pochylił się, ujął w swoje zmęczone ręce moją dłoń i powiedział:

- Słudzy Diveny mają wiele źródeł informacji. Od wieków walczymy ze Złem, wiemy wiele. Z jednego z tych źródeł wiem, jakie lekarstwo może pomóc raz na zawsze na twoją dolegliwość. Twój strach i to osłabienie jest bowiem celowo powodowane przez Zło. Przeciwnik zastawił na ciebie pułapkę w Świecie Diveny podczas Próby... Nie wiem, jak to się stało. Czara w świątyni, w której było odbicie twojej dłoni, była w jakiś sposób połączona z Czarą Zła... Przeciwnik musi już być bardzo silny, skoro bez mojej wiedzy potrafił przeniknąć do świata, nad którym sprawuję kontrolę... niemal bez przerwy. - Zmarszczył na chwilę brwi. - Kiedy dowiedziałem się, że się pojawiłaś, na jakiś czas świat Diveny pozostał bez kontroli, bo uznałem, że będzie ona zbędna... Tak, to mogło stać się wtedy... - Z powrotem zwrócił się do mnie: - Na razie Zło nie potrafi cię znaleźć, ale to zainfekowanie strachem wpływać będzie na ciebie, gdziekolwiek będziesz się znajdowała. A przez to będziesz miała trudności z posługiwaniem się swoją wewnętrzną siłą, chyba że będziesz przebywać w miejscu naturalnie wypełnionym Diveną, jak polana wokół drzewa, pod którym przyszedłem na świat.

Jedyne, na co było mnie stać, to lekkie kiwnięcie głową. Vertus kontynuował:

- Jest na to lekarstwo, jednak to, co musiałabyś zrobić, jest niezwykle niebezpieczne. Posłuchaj mnie uważnie. Aby pozbyć się tej klątwy, musisz dotknąć Czary Zła, która znajduje się w jego królestwie. - Zaskoczenie, które odmalowało się na mojej twarzy, było chyba bardzo

wyraźne, bo starzec przerwał na moment. – W ten sposób się uodpornisz. Czara w świątyni, którą dotknęłaś w czasie Próby, była jakby zmniejszoną kopią Czary Zła. Aby odwrócić tę klątwę, musisz nawiązać fizyczny kontakt z oryginałem. Mam jednak dla ciebie radę i zarazem prośbę. By nie zostać odkrytą, przebywając w świecie naszego Wroga, nie możesz użyć Diveny do żadnego celu. To jedyny sposób, żebyś była pewna, że nie zostaniesz rozpoznana i zaatakowana.

– Rozumiem... – powiedziałam, mając świadomość, że będzie to niezwykle trudne zadanie. – Muszę spróbować.

– Zło nie da ci spokoju, dopóki nie osiągnie swojego celu, a więc dopóki cię nie pokona. Trzeba jak najszybciej temu zapobiec. Możesz za to upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Jak to? – zapytałam cicho.

– Wiem, że porwane dziewczęta są w mocy Zła. Spróbujecie je uratować. Musisz mieć przy sobie jednak więcej posiadaczy Diveny, ale takich z racji urodzenia. A jedyni najszybciej dostępni są chłopcy mający was nieświadomie kryć. Byłoby najlepiej, żebyście się im ujawnili i razem wyruszyli na ratunek. To tobie jednak zostawiam podjęcie decyzji.

– Dziękuję – powiedziałam, nim zniknął.

– Po pierwsze: ja mam bardzo małą Divenę. Mateusz i Joasia nieco większą. Po drugie: z naszej czwórki tylko ty, Angelo, jesteś Wojownikiem i dostałeś wiadomość od Rady

Diveny, że masz pomóc w ratowaniu dziewcząt. A że byliśmy razem na wakacjach, to wspólnie tu przyjechaliśmy. Po trzecie: pamiętajcie o tym, że jesteśmy rodziną! To się tyczy zwłaszcza ciebie i mnie, Mateusz. – Spojrzałam czule na swojego chłopaka. Uśmiechnął się ciepło w odpowiedzi. – Ale i wy musicie o tym pamiętać. Angelo – zwróciłam się do kuzyna – grasz przywódcę naszej grupki. Mnie traktuj przed nimi, jakbym miała z nas najmniej do gadania. Ale proszę, wszystkie decyzje konsultuj ze mną, chyba że będą podejmowane spontanicznie. Wtedy słowem czy gestem postaram się dać ci do zrozumienia, co myślę.

Wojownik skinął głową.

Siedzieliśmy pod drzewem narodzin Vertusa. Musiałam odzyskać siły przed wyprawą do świata Zła. Przygotowywaliśmy też wersję wydarzeń, jaką mieliśmy zdradzić chłopcom. Mieli się tu pojawić lada chwila. Miejsce celowo wybraliśmy takie, by było znaczące i dało im do myślenia. Rzeczywiście, po kilkunastu minutach zobaczyliśmy, jak niepewnie idą w naszym kierunku.

– Witamy – odezwał się Wojownik. – Jestem Angelo Divendi.

– Cześć – odparł niepewnie chłopak z loczkami. – Mam na imię Paolo.

– Tommaso – powiedział czarnowłosa, podając rękę Angelo. – W skrócie Tom. – Był dość pewny siebie. – Więc jesteśmy rodziną? – zwrócił się do mnie, Mateusza i Joasi. Na mnie dłużej zatrzymał wzrok. Przedstawiliśmy się po kolei. – Dziwne te wasze imiona. Skąd jesteście?

- Mieszkamy w Polsce - powiedziała Joasia. Obaj chłopcy skinęli głowami, siadając przy nas na kocu.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. W końcu Tom zwrócił się do mnie:

- Czy moglibyście nam powiedzieć, po co tak właściwie nas tu zaprosiliście? I dlaczego mamy wam wierzyć na słowo, że jesteście naszą rodziną?

- Czy mało wam dowodów? Skąd mielibyśmy wiedzieć to, co wiemy?

Przez chwilę trwała cisza. Chłopcy siedzieli zamyśleni. W końcu odezwał się Paolo.

- Ja już rozumiem. Żeby wszystko było jasne: nasze towarzyszki zniknęły, a my nie wiemy, co się z nimi stało. Z tego, co powiedziałaś, zorientowałem się, że jesteście tu po to, by pomóc nam je odnaleźć... Czy tak? - Spojrzał na Angelo.

- Nie odnaleźć - odparł tamten. - By pomóc wam wyrwać je z mocy Zła.

Na twarzach obu chłopców odmalował się wyraz zaskoczenia i przestachu.

- Moja biedna siostra... - jęknął Tommaso.

Spojrzałam na niego pytającym wzrokiem, jednak ten na skutek szoku nie kwapił się z wyjaśnieniem. Wyręczył go Paolo:

- Jedna z dziewcząt, Lucia, to siostra bliźniaczka Toma. Druga ma na imię Michele.

- Trzeba szybko zacząć działać. - Poderwał się nagle Tommaso. - Idźmy tam, gdzie one miały się spotkać z tym

Wojownikiem! - Chłopak chyba świetnie czuł się w roli prowodyra. Angelo jednak mu na to nie pozwolił.

- Spokojnie - powiedział i nakazał mu usiąść z powrotem, po czym dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu: - Jestem w tym gronie jedynym Wojownikiem, więc pozwól, że to ja będę decydował, co będziemy robić. Najpierw musisz wyjaśnić mi, o jakiego mężczyznę chodzi.

- No więc było tak: przybyliśmy tu na Próbę. Powiedziano nam, że będzie to Próba specyficzna, bo odbędzie się w naszym świecie. Mieliśmy za zadanie zorientować się, skąd pochodzą ruchy sił naszego wroga. Trzeba było w pierwszej kolejności odnaleźć drzewo, pod którym narodził się Vertus. - Chłopak spojrzał na Wojownika, jakby oczekując aprobaty. Angelo skinął głową na znak, żeby kontynuował. - Szukaliśmy i szukaliśmy, ale Paolo jako jedyny z nas wyczuwał te ruchy Zła, których źródło mieliśmy znaleźć. Było więc ciężko, zwłaszcza że on sam nie był czasem pewien tego, co odczuwa. Wczoraj w naszym pokoju znaleźliśmy kartkę o treści mniej więcej brzmiącej tak: „Czekam na was w lesie, dwa kilometry na zachód od drzewa narodzin Vertusa Divendi. Wojownik”. Idiotyczna sprawa z tymi kartkami. Bo dlaczego niby ten Wojownik nie mógł się z nami spotkać? Uznaliśmy jednak, że może to też należy do Próby i nie zastanawiając się wiele, poszliśmy. Jedyne, co tam znaleźliśmy, to kolejna kartka z prośbą o spotkanie, z dopiskiem: „Godzina i miejsce na kartce pod mostem”. Poszliśmy więc i tam również znaleźliśmy kartkę. Z jej treści dowiedzieliśmy się,

że tylko dziewczyny mają pójść. Mimo obaw wysłaliśmy Lucię i Michele na umówione miejsce. Od tego czasu nie mieliśmy od nich znaku życia.

Chwilę jeszcze siedzieliśmy w milczeniu. Zawiesiłam się myślami na sprawie tych kartek... To faktycznie brzmiało na lekkomyślny i nieco naiwny pomysł jakiegoś niezbyt rozgarniętego Zdrajcy, co zgadzałoby się z tym, co widzieliśmy w lesie przy tym portalu. Tommaso, wyraźnie zniecierpliwiony, zerwał się na nogi ze słowami:

- Czas na akcję ratunkową! Chodźcie do schroniska, spakujemy się, a potem powiem wam, co dalej robić.

Paolo spojrział niepewnie na Angelo. Ten nie wykonał żadnego ruchu. My też nie. Zdziwiony Tom przystanął.

- Co jest? - zapytał.

- Mówiłem ci już. To ja jestem tu najstarszy rangą, więc na razie postaraj się podporządkować - powiedział Wojownik. - Usiądź, proszę, a ja wam przedstawię mój plan działania.

Tommaso spojrział na niego zirytowany, ale zaraz usiadł, choć niechętnie. Nietrudno było domyślić się, że na miejscu lidera widziałby raczej siebie. Trzeba go będzie wychować do bycia Wojownikiem, o ile pomyślnie przejdzie Próbę. Rozmyślałam nad tym, podczas gdy Angelo objaśniał nowo przybyłym, jak ma wyglądać cała nasza wyprawa. Tak jak mu kazałam, nakreślił ją tylko w zarysach. Wszystkie decyzje będziemy podejmować na miejscu, gdy będzie taka potrzeba, bo przecież żadne z nas nie wiedziało, co zastanie w Świecie Zła. Wyjaśnił im też, że od Rady dostał

wiadomość o zaistniałej sytuacji i że wspólnie wybadaliśmy, gdzie znajduje się przejście między światami.

- Pamiętajcie jednak, że to, że tam wejdziemy, nie oznacza, że będziemy umieli stamtąd wyjść. To bardzo niebezpieczna misja.

- Dla mojej siostry pójdę nawet do piekła! - powiedział stanowczo Tom.

- Przecież tam właśnie idziemy - mruknął sceptycznie Paolo, dodając po chwili: - Gdyby tak był z nami Dzedzic...

Nie podniosłam głowy, żeby nie dawać po sobie znać, że zdziwiło mnie to stwierdzenie. Joasia wyręczyła mnie, pytając chłopaka:

- Co by było? Myślisz, że to by coś pomogło?

- Właśnie - powiedziałam, nie podnosząc wzroku. - To Wojownicy stanowią barierę przeciwko Złu, nie Dzedzic. On ma tylko za zadanie prowadzić Wojowników.

Paolo spojrział na mnie badawczym wzrokiem, zmrużył oczy, jakby czegoś wypatrywał, po czym spytał:

- Dlaczego tak mówisz?

- Czas się zbierać - uratował mnie przed udzieleniem odpowiedzi Mateusz.

- Właśnie - dodał zaraz za nim Angelo. - Idziemy do schroniska zebrać najpotrzebniejsze rzeczy. Wyruszamy, gdy tylko się ściemni.

- Chyba nic się tu nie dzieje - szepnął Angelo. - Możemy ruszać.

Od pół godziny siedzieliśmy nieopodal czarnych drzew, obserwując, czy nie występują jakieś ruchy złych mocy. Zastanawialiśmy się jednocześnie, jak otworzyć przejście w czasoprzestrzeni, Portal mający nas zaprowadzić do królestwa naszego największego wroga.

Chłód przenikał przez ubrania, powodując gęsią skórę i dreszcze. Księżyc co chwilę nikał za ciemnym masywem chmur, zabierając tak potrzebne nam teraz światło. Z oddali dobiegały nas rzadkie, nieprzyjemne szelesty i pomruki, które leśna cisza jeszcze potęgowała. Zdawało się, że wszystko wokół sprzysięgło się przeciwko naszym desperackim planom.

W końcu zdecydowaliśmy się podejść do drzew. Właściwie nikt z nas nie wiedział, co ma robić. Instynktownie skupiliśmy się w ciasną gromadkę, z niepokojem rozglądając się wokół siebie i czekając na ruch stojącego obok mnie Angelo.

Stałam naprzeciw drzew, cały czas intensywnie myśląc. Czułam się spokojna, chłodno analizowałam wszystko, co się działo. Czułam, jakby budziły się we mnie instynkty przywódcze, w głębi wiedziałam, że to dobrze, choć uczucie strachu, tak mi odległe, gdy znajdowałam się pod drzewem Vertusa, znów zaczynało zakłócać pracę moich myśli. Do tego dochodziło jeszcze napięcie, wyczuwalne w naszej grupie, niemal namacalne. Z chęcią kazałabym im wszystkim tu zaczekać, a sama wyruszyłabym na tę misję, tylko że to nie było możliwe.

Angelo podszedł do mnie i stanął obok. Cicho, ledwie poruszając wargami i cały czas wpatrując się w drzewa, spytał mnie lekko drżącym z napięcia głosem, co powinien teraz zrobić.

- Wiem, że to będzie trudne, ale musisz wziąć się w garść i przestać bać - powiedziałam, nie patrząc na niego.

- Nie boję... - zająknął się. - Dobrze. Spróbuję. Ale to mnie przeraża.

- Twój strach jest niczym, Wojowniku, w porównaniu ze strachem tych niewinnych ludzkich istnień, które ginąć będą w męczarniach, jeżeli nasza misja się nie powiedzie. - Usłyszałam swój własny głos. Angelo spojrział na mnie. - Co noc mam miliony wizji... - szepnęłam. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Chłopak skinął krótko głową, stanął we wskazanym przeze mnie miejscu i nakazał wszystkim się odsunąć. Zamknął oczy, skoncentrował się na przejściu w czasoprzestrzeni i spróbował je otworzyć. Nie udawało mu się. Przy trzeciej próbie wspomogłam go Diveną, mając nadzieję, że żaden z chłopaków nie zorientuje się, co robię.

Portal otworzył się. Szybko zaczęliśmy się przez niego przeciskać. Ja byłam przedostatnia. Idący na końcu Angelo ścisnął moją dłoń i powiedział:

- Dziękuję. Bez twojej pomocy nie dokonałbym tego.

Uśmiechnęłam się. Zaraz po tym, idąc ramię w ramię, przekroczyliśmy granicę królestwa Czary Zła.

XXII

Owionął nas ciężki zapach stęchlizny. Było tu jeszcze zimniej niż w Głównej Czasoprzestrzeni, ale to nie był ten sam chłód. On przenikał nie tylko nasze ubrania, ale nas samych, po to, by dotrzeć do naszych serc i zmrozić je przerażeniem.

Nie spodziewałam się ujrzeć czegoś takiego. Moim oczom ukazały się potężne czarne mury, ociekające obślizgłą mazią. Spojrzałam w górę. Była ciemna, bezgwiezdna noc, tylko na sklepieniu w oddali świeciło ciało niebieskie na kształt księżyca. Miało jednak barwę zgniłej zieleni. Pod nogami mieliśmy zamarzniete, czarne jak smoła błoto. Nawet i bez przenikliwego chłodu wszystko, co nas otaczało, przyprawiało o drżenia nasze skołatane strachem serca.

Od razu wiedziałam, że to miejsce było przeklęte. Wszyscy, którzy tu zamieszkiwali, również.

Mur biegł po dwóch stronach długiego pasa zamarznietej ziemi, tworząc swego rodzaju tunel. Kończył się jakieś dziesięć metrów ponad naszymi głowami.

W miejscu, gdzie było przejście między światami, leżała wielka kamienna płyta, w której wyryte były jakieś znaki.

Z niechęcią i strachem przyglądałam się otoczeniu, sondując, czy nie czyha na nas nieprzyjaciel, podczas gdy mój instynkt zdawał się wrzeszczeć, żeby natychmiast brać nogi za pas i wracać do domu. Nie było to jednak możliwe, jeśli chciałam się pozbyć tej dziwnej infekcji Zła. Nie zważając więc na to, że znów opanowywał mnie strach, nadal uważnie rozglądałam się wokół siebie.

- To fosa - szepnęłam po chwili. Głos mi zadrżał.

- Zamek Zła... - szepnął Tommaso. - Wewnątrz musi być Czara...

- Nie wymawiaj tych nazw w tym miejscu! - skarcił go Paolo. I po nim widać było, że jest w szoku.

Coś kazało mi spojrzeć w tej chwili na mojego chłopaka. To, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną. Mateusz był śmiertelnie blady, usta miał rozchylone jakby w niemym krzyku, dygotał na całym ciele i ze śmiertelnym przerażeniem błędził wzrokiem po otoczeniu. Spróbowałam zbliżyć się do niego, ale w tym momencie Joasia nagle drgnęła, jakby sobie przypomniała o czymś ważnym.

- Schowajmy się gdzieś... - powiedziała szybko. Jej słowa wybudziły Mateusza z tego stanu osłupienia. Wrócił myślami do rzeczywistości, w której przebywaliśmy, lecz bladość twarzy pozostała.

- Ale gdzie? - zapytał Angelo.

Nastąpiła chwila ciszy, zaczęliśmy rozglądać się wokół, wpatrując się w nagie, ciemne mury. W spływającej po nich

mazi odbijało się nieprzyjemne, zielonkawe światło księżycy. Gładkie, ociekające ściany wydawały się jednolite jak okiem sięgnąć, żadne z nas nie wiedziało, co zaproponować. Tylko Mateusz, co niemal od razu zwróciło moją uwagę, nie rozglądał się, ale stał wpatrzony w jakiś punkt w murze, a po kilku chwilach zachrypniętym, jakby nie swoim głosem powiedział:

- Chodźmy w tamtą stronę. - Ruszył truchtem przed siebie. Nie zastanawiając się wiele, ruszyliśmy jego śladem.

Nie wiedziałam, dokąd nas prowadził, ale ufałam jemu i jego intuicji. Po krótkim biegu naszym oczom ukazały się wąskie, przytulone do muru kamienne schody. Niektóre stopnie zniszczały tak, że nie dało się na nie stanąć, a wszystkie pokryte były tą śliską cieczą, jednak to nie przeszkadzało nam wspinać się po nich ku górze.

Przy końcu schodów idący na przedzie Mateusz schylił się i ostrożnie wyjrzał zza krawędzi muru. Rozejrzał się, powoli wyprostował i ruszył ku górze. Zachowując najwyższą ostrożność, wygramoliliśmy się na zamkowe obwarowanie.

Rozejrzałam się. Mur miał kilka metrów szerokości, zaś niedaleko od nas były schody prowadzące w dół po drugiej jego stronie. Wyprostowałam się i spojrzałam przed siebie.

Przed moimi oczami wznosiła się twierdza mojego śmiertelnego wroga. Mury otaczały wysokie, czarne zamczysko stojące na szczycie wzgórza. Jego ściany pokrywała ta sama maź, która teraz lepiała nam się do butów, z niektórych okien sączyło się słabe, nieprzyjemne

zielonkawe światło. Budowla zakończona była strzelistą wieżą. Przez moment zatrzymałam wzrok na dłużej na ścianie zamku i nagle moją duszę wypełniła zgroza. Każdy kamień, który je tworzył, chwilami przypominał wykrzywioną bólem i strachem ludzką twarz...

Zadrzałam lekko na ten widok. Tchnęło tu Złem i śmiercią... Wszystko było martwe, tak odmienne od doliny między górami Tallen, Sevres i Karfen, w Świecie Diveny, do których tak często wracałam myślami. Tylko te obrazy podtrzymywały mnie teraz na duchu.

Poczułam nagle lekki uścisk dłoni Mateusza i usłyszałam jego szept:

- Nie wiem, co jest... - Spojrzałam na niego z niepokojem. Coś złego się z nim działo, coś było bardzo nie tak...

- Co się stało? - zapytałam, widząc, że nagle zaniemówił, jakby jakaś nieznana siła zabraniała mu wypowiedzieć tego, co tak bardzo chciał wyrzucić z siebie. Chłopak jak gdyby się ocknął. Spojrzał na mnie oczami, w których kryła się panika.

- To niemożliwe...

W jego oczach widać było żywe przerażenie, trząsł się jak w febrze i był śmiertelnie blady. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Nie zważając na to, czy ktoś patrzy, ujęłam jego twarz w dłonie, próbując go uspokoić.

- Justynko... - szepnął drżącym głosem - ja... Ja już tu byłem...

Na chwilę zastygłam. Nie działo się nic. Tylko z oddali słyszałam kroki schodzących po schodach na dół towarzyszy. Z letargu wyrwało mnie dopiero uczucie, że coś spływa po dłoniach, którymi cały czas obejmowałam twarz Mateusza. Pot perlił się na jego czole, mieszając się ze łzami przerażenia. Oczy chłopaka były mocno zaciśnięte.

- Pieprzone Zło... dotarło i do ciebie... - Byłam coraz bardziej przerażona sytuacją. Wróg nie tylko maltretował mnie, wzbudzając strach, pozbawiający mnie kontroli nad Diveną i zsyłając mroczne wizje, ale dotarł również do moich bliskich. Coś we mnie drgnęło, nie mogłam pozwolić Złu na mieszanie w sercach najbliższych. Nie pozwoliłam sobie jednak w tej chwili na roztrząsanie słów Mateusza. Wiedziałam tylko, że dla dobra naszej misji muszę postarać się go uspokoić. Chwyciłam go mocno za dłonie i zmusiłam, by na mnie spojrzał.

- Mateusz, musisz zachować zimną krew. Jakoś sobie z tym poradzimy. Porozmawiamy, jak tylko będzie na to odpowiedni moment. Ale teraz musimy uratować dziewczyny - powiedziałam, drżąc z przejęcia i strachu. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaciętości. Wiedziałam już, że udało mu się opanować i zażegnać kryzys. Szybkim ruchem wytarłam łzy z jego twarzy, ścisnęłam jego dłoń i pociągnęłam w kierunku schodów. Zeszliśmy na dół, dołączając do pozostałych.

W zasięgu naszego wzroku nie było żywej duszy. Nie bardzo wiedzieliśmy, jak mamy dostać się do wnętrza budowli, zresztą ta perspektywa chyba nikomu z nas nie

wydawała się przyjemna. Ale tu nie o przyjemność chodziło, więc posuwając się ostrożnie tuż przy murze, zaczęliśmy szukać jakiegoś wejścia. Staralam się ze wszystkich sił nie zwracać uwagi na ukazujące mi się twarze w miejscach kamieni. Miałam wrażenie, jakby z ich ust wydobywał się niemy krzyk... Przez ciało przechodziły mi ciarki.

Co jakiś czas z niepokojem spoglądałam na Mateusza. Chłopak powoli dochodził chyba do siebie, choć nadal był bardzo blady, a wzrok miał rozbiegany.

Zbliżaliśmy się do jednej z flank, gdy moje uszy uchwyciły przybierający na sile pisk. Tknięta intuicją zaalarmowałam pozostałych i szybko schowaliśmy się za drzwiami jakiegoś pustego pomieszczenia we wnętrzu flanki. W samą porę, bo w chwilę później grunt, po którym dopiero co przeszliśmy, deptały trzy stwory – strażnicy twierdzy.

Były to wysokie postacie w ciemnobrunatnych szatach sięgających im do kostek. Ich stopy były brudne i kościste, podobnie jak zakończone szponami łapy. Kaptury przysłaniały im głowy, poruszali się bezszelestnie. Mimo że staliśmy za masywnymi drzwiami, czułam, jak tchnęło od nich mrozem, przejmującym do szpiku kości. Kątem oka wpatrywałam się w lukę w drzwiach, którą zostawiliśmy, nie chcąc robić hałasu przy zamykaniu.

Nagle postacie przybliżyły się do drzwi. Serce podeszło mi do gardła. Nie weszły do środka, jednak zaczęły wydawać odgłosy przypominające zgrzyt metalu o metal. Czyżby tak się między sobą komunikowali? Wstrzymaliśmy

oddechy, bo stwory nagle zamilkły, jakby nasłuchując. Przez te kilka momentów czułam prawdziwą grozę. Chwilę po tym stwory znów podjęły swoje piski i powoli oddaliły się.

Przez dobre kilka minut nie śmieliśmy się ruszyć. Ciężko osunęliśmy się na podłogę, jakbyśmy byli skrajnie wyczerpani. Stopniowo, głęboko i powoli oddychając, zaczęliśmy wracać do siebie, jeżeli przyjąć, że w tym świecie można w ogóle być sobą. Mieliśmy szczęście – tu, we flankowej komnacie, mogliśmy przez chwilę spokojnie porozmawiać i naradzić się. Gdy więc przez dłuższy czas nic się nie działo, Joasia zaproponowała, żeby jedna lub dwie osoby poszły i poszukały wejścia do zamku. Nie było sensu narażać całej grupy na złapanie, ale przerażała mnie myśl, że musimy zdecydować się na ewentualne poświęcenie kilku spośród nas, by reszta mogła zakończyć misję. Ku mojemu przerażeniu sama od razu zgłosiła się na ochotnika.

- Niech z nią idzie Justyna – stwierdził Tommaso.

- Nie! – zaproponował energicznie Angelo.

- Dlaczego nie? – zdziwił się chłopak. – Jeżeli nawet ją złapią, to będzie dla nas najmniejsza strata. Z tego, co zrozumiałem, jej Divena jest nikła.

Angelo wyglądał na zbitego z tropu, usiłował chyba znaleźć argument wystarczający, by przeciwstawić się Tommaso, ale ubiegł go Paolo:

- Daj spokój, Tom. Nie chcesz chyba puścić samych dwóch dziewczyn? Raz już ten błąd popełniliśmy i nie chciałbym go powtarzać. Ja pójdę – powiedział i zanim

ktokolwiek zdążył zareagować, wymknął się cicho z pomieszczenia. Joasia szybko ruszyła za nim.

Spojrzałam na Tommaso, który stał wpatrzony w lukę w drzwiach, potem na Angelo. Wojownik spojrzał na mnie przeprasząco i zmarszczył brwi. Skinęłam mu porozumiewawczo, chcąc dać do zrozumienia, że nic się przecież nie stało, po czym usiadłam na ziemi.

Tommaso nadal stał przy drzwiach. Spojrzałam po raz kolejny na siedzącego pod ścianą Mateusza. Serce ścisnęło mi się z niepokoju na jego widok. Był opanowany, ale z jego twarzy bił smutek pomieszany z niedowierzaniem. Bałam się jednak, że to opanowanie nie jest zbyt stabilne – ta ściana pozornego spokoju, którą się zasłaniał, mogła runąć pod naporem mocniejszego impulsu z zewnątrz. Byleby to nie wytrąciło go z równowagi, bo nie mogliśmy pozwolić sobie na błędy. Potknięcie mogło kosztować życie któregoś z nas.

Zdążyliśmy ledwie chwilę posiedzieć w tej wszechogarniającej, głuchej ciszy, gdy wrócili Joasia i Paolo.

- Jakieś dwieście metrów stąd są drzwi, niestety zamknięte. Ale z tym poradzimy sobie z pomocą odrobiny Diveny. Jeżeli możemy jej tu używać. - Spojrzał pytająco na Angelo.

- Możemy. Ale bez przesady - odparł Wojownik.

- Chodźmy - ponaglił Mateusz. - Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Cicho, pojedynczo zaczęliśmy się wymykać i za idącym na przdzie Paolo ruszyliśmy w kierunku drzwi. Na ścianach zamczyska znów zobaczyłam przerażone twarze, zastygłe jak maski. Mimo że usilnie starałam się nie zwracać na nie uwagi, stale przyciągały mój wzrok. W pewnym momencie usłyszałam w myślach dochodzący zza moich pleców histeryczny krzyk. Dreszcz przebiegł mi po plecach, instynktownie się odwróciłam. Od razu pożałowałam tego, że dałam się poprowadzić impulsowi... Mój wzrok padł na jakby wyświetloną w kamieniu młodą, wykrzywioną wściekłością twarz jakiegoś chłopaka i zagłębił się w jego oczach. Wszystko dookoła zniknęło, zapadło się w nieprzeniknionej ciemności. Wokół mnie nie było niczego. Po chwili zaczęły się pojawiać urywki obrazów, bezbarwne sceny - bite, pokiereszowane dziecko, gwałcona brutalnie kobieta ze związanymi rękoma, błysk ostrza, pocięta z chirurgiczną precyzją w równiutką kratę skóra twarzy... Ogarnęła mnie panika i spróbowałam wyszarpnąć swoją świadomość z tej wizji. Nie wiem jak, ale udało się i po chwili wszystko zniknęło. Jedyne, co czułam, to wszechogarniający chłód. Wreszcie zaczął wracać mi wzrok, a z oddali zaczęły dochodzić do mnie głosy moich towarzyszy.

- Szybciej... wchodź do środka... - Ktoś popchnął mnie i machinalnie zaczęłam iść we wskazanym kierunku.

Wkrótce wszyscy znaleźliśmy się w długim, ciemnym korytarzu. Usiadłam ciężko na zimnej posadzce. Byłam cała mokra od potu. Zdałam sobie sprawę, że pozostali nie

widzieli tych strasznych obrazów. To mogło być tylko działanie infekcji Wroga. Mogłam zobaczyć, z jak przerażających elementów zbudowana była jego warownia, na czym opiera się jego królestwo, doświadczyć, z czego mój Wróg czerpie swoje siły. Moje ciało znów przeszły dreszcze, czułam się coraz gorzej. Wiedziałam, że jeśli się nie pospieszymy, mogę nie być w stanie o własnych siłach dotrzeć do Czary Zła. A musiałam to zrobić samotnie, bez moich towarzyszy. Nie można było tracić czasu. Każda sekunda w tym świecie wyczerpywała nas fizycznie, nie mówiąc już o naszych duszach. Dlatego, mimo osłabienia i miękkości w kolanach, podniosłam się na nogi i chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie. Pozostali poszli za moim przykładem.

Chłód przenikał nas do szpiku kości, nie zważając jednak na niego, parliśmy naprzód, ku końcowi korytarza. Im dalej się posuwaliśmy, tym silniejsze miałam przecucie, że lada moment stanie się coś niedobrego. Nagle usłyszałam zgrzyt i poczułam, że podłoga umyka mi spod stóp. Z okrzykiem trwogi spadliśmy i z głuchym łomotem wylądowaliśmy na kamiennej posadzce ciemnego pomieszczenia, jakieś trzy metry niżej. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak zdradliwy kamień, który okazał się zapadnią, wrócił ze zgrzytem na swoje miejsce.

Czułam pulsujący ból w prawym ramieniu, na które upadłam, jednak szybko podniosłam się na nogi i sprawdziłam, jak mają się pozostali. Poza kilkoma niegroźnymi stłuczeniami nic nikomu się nie stało.

Rozejrzałam się dookoła. A przynajmniej spróbowałam, bo nic nie było widać. Uderzyła mnie groza tego miejsca. Ciemność była tu wyjątkowo intensywna, ale nie była to zwykła ciemność... Czułam, jakby ukrywały się w niej jakieś wcale nieprzychylne nam istoty.

Musiałam sięgnąć do plecaka i wyjąć latarkę. Niestety, mimo nowych baterii nie działała. Tego się jednak spodziewałam. To nie był nasz świat, mógł więc rządzić się innymi prawami. Dziękując w duchu przezorności Angelo, który zaproponował zabranie skonstruowanych wcześniej niewielkich pochodni, wyjęłam jedną z nich. Już miałam ją zapalić, kiedy w ostatniej chwili powstrzymałam się przed tym. To użycie Diveny kosztowałoby mnie bowiem bardzo wiele. I niestety najpewniej nie tylko mnie.

Po omacku odnalazłam Angelo i poprosiłam go o podpalenie pochodni. W jej świetle sytuacja wcale nie wyglądała na ciekawszą. Pomieszczenie było bowiem małe i na pierwszy rzut oka nie miało wyjścia, prócz tego, którym się tu dostaliśmy, a które nie dość, że zamknięte, znajdowało się trzy metry nad nami.

Staliśmy niezdecydowani na środku pomieszczenia. Nie bardzo wiedzieliśmy, co zrobić. Chłodna atmosfera złowróżbnej ciszy nie pozwalała nawet spokojnie myśleć. Dziwne odgłosy dochodzące zza ścian przyprawiały nas o panikę. Kilka razy miałam wrażenie, że coś chłodnego i śliskiego się o mnie ociera... Wcale mi się to nie podobało.

- Pamiętajcie, jak... - zaczął nagle Angelo, zwracając się do Mateusza, Joasi i mnie, ale zająknął się, potrząsnął

kasztanową czupryną i dokończył: - jak opowiadałem wam o mojej Próbie?

- Tak - powiedziała Joasia. - Ale co to ma wspólnego z tą sytuacją? - Wszyscy zamilkliśmy w oczekiwaniu na odpowiedź. W tym samym momencie mrozące krew w żyłach odgłosy zza ścian też umilkły.

- Zakamuflowane przejście - rzucił tylko. Jego słowa odbiły się echem od ścian i jeszcze przez chwilę rozbrzmiewały w pomieszczeniu. Słyszając to hasło, każdy z nas, choć z oporami, podszedł do ściany, przy której akurat stał, i zaczął dokładnie ją badać.

Przez dobre piętnaście minut słyhać było tylko delikatny szmer palców przesuwanych wzdłuż wgłębień w kamieniu i pojedyncze odgłosy stukania w kamienne płyty. Wydawało nam się, że trwa to wieczność. Nasze poszukiwania nie przyniosły jednak skutków. Widziałam, jak powoli wszyscy zaczynają tracić nadzieję. Ja zresztą nie czułam się inaczej... A może to wszystko nie ma sensu? Może nasz wróg patrzy teraz na nas z ukrycia i śmieje się w duchu z naszych prób uwolnienia się? W pewnym momencie zaczęłam zastanawiać się, czy aby na pewno szukamy tam, gdzie powinniśmy. Przecież to pomieszczenie nie składa się tylko ze ścian, została jeszcze podłoga, której również warto było się przyjrzeć. Zwerbalizowałam więc swoje przemyślenia. Rezygnacja na twarzach moich towarzyszy z wolna zaczęła ustępować, a zamiast niej pojawiły się w ich oczach iskielki nadziei... Odgłosy zza

ścian znów zaczęły do nas docierać. Starając się jednak nie zważać na nie, zaczęliśmy przeszukiwać podłogę.

Była ona zbudowana z dużych, kamiennych płyt. Po krótkim czasie naszą uwagę zwróciła jedna, położona w rogu, która, gdy się w nią uderzyło, wydawała głuchy odgłos. Badając ją, Mateusz natrafił na wgłębienie tuż pod ścianą, w której spokojnie mieściła się cała dłoń. Z wysiłkiem uchylił ciężką płytę. Pozostali chłopcy rzucili się mu na pomoc, starając się otworzyć ten kamienny właz bez użycia Diveny. Nie było łatwo, jednak w końcu udało się wyciągnąć płytę. Naszym oczom ukazał się otwór, z którego wąskie i strome schodki prowadziły zakolem w dół, w ciemność.

Spojrzeliliśmy po sobie i, nie zastanawiając się wiele, zaczęliśmy schodzić. Angelo, który niósł w ręku pochodnię, szedł pierwszy. Ja szłam tuż za nim. Nie zamykaliśmy za sobą komnaty, ponieważ to wymagałoby sporego wysiłku, a czas uciekał i bez sensu było go tracić.

Światło, które dawała pochodnia, było niewystarczające, dlatego wyjęłam drugą, którą miałam w plecaku, by oświetlała drogę idącym z tyłu. Idąc, zauważyłam nikły odblask z dołu. Wprawdzie jasność była mdła i niezbyt rozpraszająca mroki, a jednak było to światło, które mogło oznaczać bardzo wiele...

Zeszliśmy niżej i oczom naszym ukazało się źródło owej jasności. Zobaczyliśmy wąskie, niskie okno. Razem z Angelo podeszliśmy do niego i wyjrzeliliśmy.

To było niesamowite. I niemożliwe. Znajdowaliśmy się w jednej z zamkowych wież! Spojrzałam na Wojownika, on na mnie, pozostali również wymienili zaskoczone spojrzenia. Żadne z nas nie umiało wytłumaczyć owego zjawiska. Spojrzałam za siebie na moich przyjaciół. Dopiero teraz zauważyłam, ku mojej rozpacz, ogromne zmiany, jakie zaszły na twarzach moich współtowarzyszy. Oczy wyrażały strach, niepokój, cera przybrała ziemisty, niezdrowy kolor... Wszyscy byli niesamowicie osłabieni i wycieńczeni, jakby infekcja, którą Wróg mnie zaraził, teraz dotknęła również moich towarzyszy. Nie wróżyło to nic dobrego, a oznaczało tylko tyle, że należy się pospieszyć, aby jak najszybciej się stąd wydostać.

Nie chcąc tracić czasu na coś, co – według logicznego rozumowania – nie miało wytłumaczenia, przestaliśmy zajmować się naszym niespodziewanym znalezieniem się w wieży i ruszyliśmy w dół.

Schody wydawały się nie mieć końca. Na dodatek im niżej schodziliśmy, tym większy smród docierał do naszych nozdrzy. W końcu stał się tak natarczywy i ostry, że co wrażliwszym zaczęły łzawić oczy.

Minęło bardzo wiele cennych sekund, nim schody się skończyły. U ich kresu czekał nas krótki, ciemny korytarz, a na jego końcu kolejne schody w dół.

- Czego szukamy? - zapytał szeptem Angelo.

- Lochów, celi, kazamatów, miejsca, gdzie trzyma się więźniów...

- Ale skąd możemy mieć pewność, że właśnie w podziemiach przetrzymuje się tu zakładników?

- Nie mamy. - Usłyszałam własny, opanowany do granic głos. Słowa zabrzmiały jak wyrok. Po chwili pełnej niepewności napięcie wywołane przez moje słowa spadło, a Wojownik upewnił się tylko:

- Schodzimy jak najniżej?

Skinęłam głową. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wnętrza i oświetlenie pogłębiały grozę tego miejsca, z coraz mniejszym przekonaniem moi towarzysze przemykali pod ścianami. Dwa razy jeszcze natknęliśmy się na patrolujących strażników, dwa razy, dzięki piskowi, jaki rozlegał się, gdy się zbliżali, udało nam się ukryć, nim dotarliśmy do ponurego poziomego zamku, na którym natknęliśmy się na niezliczoną ilość cel. Wejście do korytarza z kazamatami poprzedzało kilka sal tortur. Jakby torturą nie było samo przebywanie w tym świecie... Najdziwniejsze było jednak to, że mimo iż nie było widać tu żywej duszy, czułam wokół nas niezliczone rzesze niewidzialnych istot, które, katowane, krzyczały z bólu. Ta cisza była ich krzykiem...

Korytarz, wzdłuż którego usytuowane były cele, rozgałęział się. Ustaliliśmy szybko, że Angelo z Joasią pójdą w jedną stronę, Tom i Paolo w drugą, a Mateusz i ja zostaniemy na czatach. Oczywiście wszystko to miało na celu tylko tyle, by dać mi cenny czas, abym bez zbędnych świadków mogła osiągnąć to, po co tu przybyłam.

Gdy cała czwórka moich towarzyszy zniknęła z zasięgu wzroku, spojrzałam niepewnie w stronę Mateusza. Twarz miał nadal chorobliwie bladą, oczy zaczerwienione i jakby przygaszone. Stał oparty o ścianę, ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie. Wiedziałam jednak, że myślami był bardzo daleko stąd.

Powoli podeszłam do chłopaka i nie chcąc wybijać go nagle z tego bezruchu, czekałam, aż pierwszy mnie zauważy. W końcu spojrzał na mnie wzrokiem pełnym żalu i strachu.

- Śnimy co noc - zaczął - ale najczęściej nie pamiętamy swoich snów. Tylko czasem jakaś sytuacja nam je przypomni. Nazywamy to wtedy déjá vu. - Patrzyłam na niego, nie wiedząc, w jaki sposób to, co mówił, łączyło się z tym, co powiedział mi wcześniej, na murze. - Dziś coś takiego przeżyłem. Jak tylko postawiłem nogę w tym świecie. - Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, ale starał się go opanować. Spojrzał mi w oczy, cedząc powoli słowa: - Patrząc na to przeklęte miejsce, zdałem sobie sprawę, że znam je jak własną kieszeń. Byłem tu wiele razy, błądziłem po tych korytarzach, odwiedzałem komnaty, przemykałem między strażnikami... w snach. A potem budziłem się nad ranem, zlany potem i przerażony, ale zupełnie nie pamiętając, co takiego mi się śniło. - Schylił głowę i westchnął cicho. - Te sny... To się zaczęło tuż po tym, jak próbowałem pomóc ci przejść przez wizję Twarzy Zła, w czasie Próby.

Wiedziałam, że czas płynie nieubłaganie, ale nie mogłam tak po prostu odejść. Powinnam być już daleko stąd, lecz postanowiłam poświęcić jeszcze jedną, cenniejszą nad złoto chwilę i, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, podeszłam do Mateusza i po prostu przytuliłam go mocno. Objął mnie i uścisnął. Czułam, że cały drży. Po kilku sekundach odsunęłam się od niego, dając mu do zrozumienia, że powinnam ruszać. I on był tego świadomy.

Spojrzałam za siebie w kierunku, w którym zamierzałam pójść, żeby znaleźć drogę do celu, jaki musiałam osiągnąć. Mateusz, jakby czytając w moich myślach, powiedział:

- Idź tymi schodami w górę, skręć w prawo, tam będą następne schody. Nimi też musisz pójść. Skończą się u wejścia do połączonych szeregowo ciemnych komnat. Tam musisz uważać na strażników. Przejdiesz przez trzy komnaty, ale nie wejdiesz do czwartej, tylko skręcisz w lewo i przejdiesz przez niewielkie drzwiczki. One są bocznym wejściem do głównego korytarza prowadzącego wprost do komnaty z Czarą Zła. To jedyne miejsce, którego w snach nie odwiedziłem nigdy...

Ścisnęłam go za rękę i szepnęłam:

- Dziękuję.

- Uważaj na siebie, Dziedzicu - powiedział jeszcze, nim odwróciłam się i pobiegłam truchtem ku mojemu przeznaczeniu, na poszukiwanie mojego śmiertelnego wroga.

Ufając słowom Mateusza, bez wahania szłam drogą, którą mi poradził. Wiedziałam, że powiedział mi prawdę o swoich snach, a teraz, idąc, na własne oczy przekonywałam się, że musiał znać naprawdę świetnie ten zamek. Gdyby nie on, pewnie długo błędziłabym po komnatach i korytarzach budzącej grozę budowli. Tymczasem czułam, że zbliżam się do celu.

Tak jak ostrzegł mnie chłopak, w komnatach natknęłam się na strażników. Szli w moją stronę. Na szczęście wcześniej usłyszałam charakterystyczny pisk, więc zdołałam uskoczyć do jakiejś ciemnej wnęki. Wciskając się w lodowatą ścianę, miałam wrażenie, że coś się obok mnie porusza, ociera się o moje ciało, ale nie śmiałam drgnąć w obawie przed strażnikami.

Starłam się ze wszystkich sił uspokoić oddech, czułam, że moje serce kołata się w piersiach jak oszalałe.

Wcześniej, będąc bardziej zaaferowana słowami Mateusza i tym, co się wokół nas działo, nie miałam czasu myśleć o sobie. Dopiero teraz poczułam, że jestem tym wszystkim przerażona bardziej niż kiedykolwiek indziej. Odkryłam jednak jeszcze coś, co mnie bardzo zaskoczyło, a czego cień zauważyłam już kilka godzin wcześniej. Byłam opanowana i mimo tej burzy w moim sercu z chłodną kalkulacją analizowałam wszystko to, co się działo. Żaden szczegół nie umykał mojej uwadze. Mój mózg zdawał się działać z zawrotną szybkością, analizując i porządkując informacje, obliczając ryzyko i rozpatrując konsekwencje. Nigdy nie zachowywałam się tak jak teraz. Choć to nie było

właściwie zachowanie. To działo się samo, nie panowałam nad tym.

Nie miałam czasu nadal zastanawiać się co się ze mną dzieje, więc, oceniając to raczej jako umiejętność przydatną, a widząc, że drogę mam już wolną, ruszyłam dalej.

XXIII

Korytarz był długi i ciemny. Zamknęłam za sobą niewielkie drzwiczki i skierowałam się w prawo, skąd dochodził znajomy, choć wcale przez to nie przyjemniejszy pisk i padało wzbudzające niepokój zielonkawe światło. Na końcu korytarza widniały wysokie na jakieś cztery metry, dwuskrzydłowe ciężkie drzwi. Po kilku minutach do nich dotarłam.

Oba skrzydła wielkich wrót były uchylone na tyle, że mogłam swobodnie między nimi przejść, dawały też możliwość skrycia się za nimi w celu obserwacji. Musiałam dokładnie zorientować się, jak wygląda sytuacja, nim podjęłabym decyzję, co robić dalej. Przyklęłam więc za jednym ze skrzydeł drzwi i przez lukę zaczęłam lustrować otoczenie, modląc się w duchu, by nikt mnie nie dostrzegł. Staralam się też ze wszystkich sił na drugi plan zepchnąć moją fizyczność i siłą woli nie pozwolić mojemu ciału na słanianie się.

Sala za drzwiami była ogromna. Czarna, kamienna posadzka, podobnie jak czarne ściany, była gładka jak lustro, co dawało wrażenie jakiejś tajemniczej głębi za tą

błyszczącą taflą... A może to wcale nie było wrażenie? Z wysokich, wąskich, strzelistych okien padało światło nocy. Komnata miała kształt wielkiego koła o średnicy co najmniej pięćdziesięciu metrów, a wzdłuż ściany, w równych odległościach stały monumentalne, wspierające strop kolumny. Obok każdej z nich, po dwóch stronach, stali zwrócenii przodem ku środkowi sali, z nisko opuszczonymi głowami, strażnicy.

Wtedy zobaczyłam Ją.

Była gorsza niż w moich najstraszniejszych wizjach... To od Niej emanowało owo nieprzyjemne zielonkawe światło. Unosiła się nad Czarą, a jej zamknięte oczy sugerowały, że spała. Nie ufałam jednak tej złudnej nadziei – to była Twarz Zła, więc nie było żadnej pewności, czy zwyczajnie nie udaje, by uspić czujność swoich przeciwników.

Czara wykuta była w czarnym marmurze, z niesamowicie szczegółowymi i doprowadzonymi do perfekcji zdobieniami, które przedstawiały przerażające kreatury, sługusy Zła. Wiele z nich nie raz widywałam w moich snach. Wewnątrz Czary znajdował się smolisty płyn, wypełniający ją niemal po brzegi. Była to esencja zła czynionego przez istoty ludzkie na ziemi, w moim świecie. Każde słowo, każda myśl, każdy uczynek przeciw drugiemu człowiekowi, przeciwko dobru, znajdował oddźwięk właśnie tutaj. Zbliżał się moment, kiedy Czara się przepełni, a wtedy Zło zaleje świat... i jeżeli temu się nie przeciwstawię, to zatriumfuje. Nie mogłam do tego dopuścić, dlatego gdy ujrzałam wysoko, pod sklepieniem

komnaty mgłę, przypominającą trochę ciemne chmury, z których owa esencja musiała skapywać, moje serce zadrżało. Zobaczyłam maleńką czarną kroplę, która oderwała się od chmur i powoli, w żółwym tempie, jakby znęcając się nade mną, spadała wprost do Czary. W momencie, gdy dotknęła płynu w ogromnym naczyniu, na moją dłoń spadła moja własna gorąca łza. Przymglonym wzrokiem spoglądałam na rozchodzące się po powierzchni kręgi.

Z każdą minutą siedzenia pod ścianą za wrotami czułam, jak coraz bardziej ogarnia mnie poczucie rezygnacji. Jak miałam bowiem dotknąć Czary, nie narażając się przy tym na zauważenie przez strażników? Oparłam głowę o ścianę i postanowiłam czekać. Nie mogłam zrobić nic innego, a odejście stąd bez choćby próby pozbycia się infekcji nie wchodziło w grę. Minuty mijały, dłużąc się niemiłosiernie, powoli popadałam w otępienie.

W pewnym momencie poprzez piski usłyszałam jakby zgrzyt metalu o metal. Pokonując zdrętwienie kończyn, podniosłam się i wychyliłam ze swojej kryjówki. Naprzeciw Czary stał strażnik przewyższający innych wzrostem i mający ciemniejszą szatę. Pozostali strażnicy głowy mieli podniesione. Trwało to kilka chwil, po czym dał się słyszeć donośny zgrzyt i wszystko, prócz naturalnie pisku, zamilkło. Zobaczyłam, jak mroczne postacie formują się w skomplikowany sposób w zwartą kolumnę i ku mojemu niedowierzaniu opuszczają komnatę. Żaden nie pozostał wewnątrz.

Wiedziałam, że to może być moja jedyna szansa i jeżeli jej natychmiast nie wykorzystam, to druga taka może się nie przydarzyć. Musiałam więc podjąć ryzyko, mimo że nie miałam żadnej pewności co do stanu, w jakim znajdowała się Twarz.

Wzięłam głęboki oddech i pokonując fizyczną słabość i strach, cicho przebiegłam te kilkadziesiąt metrów dzielących mnie od przeklętego naczynia. Dopiero teraz mogłam zobaczyć, jakie jest wielkie, i przekonać się, jak wielkie zło od niego bije. Nie zastanawiając się wiele, dotknęłam zimnej powierzchni. Przez całe moje ciało przebiegł przejmujący dreszcz. Znów przed moimi oczami zaczęły się pojawiać dantejskie sceny Zła, ale było to coś zupełnie innego. Nie miało mnie przestraszyć. Czułam się tak, jakbym poprzez te straszliwe obrazy poznawała mojego śmiertelnego wroga. Zabrałam dłoń i poczułam, że mimo strachu w moją duszę wlewa się jakieś ciepło, a w moje ciało – utracona siła. Gdzieś w środku usłyszałam znajomy delikatny głos: „Dobro zawsze zwycięża! Pamiętaj o tym!”. Przez chwilę, ku mojemu zaskoczeniu, miałam wrażenie, że znajduję się w jakiejś jaskini. Podświadomie, choć wcale tego nie rozumiałam, wiedziałam, że wizja pochodzi wprost z gór Karfen, tuż przy oceanie Ademarskim, ze Świata Diveny. Potrząsnęłam tylko głową i wszystko zniknęło. Nie miałam czasu do stracenia, ruszyłam więc biegiem w stronę wrót, za którymi się wcześniej ukrywałam. Nim wbiegłam do korytarza, w ostatnim momencie odwróciłam się jeszcze, rzucając spojrzenie w kierunku Twarzy. Jej makabryczny

i wstrząsający wygląd nie przeraził mnie aż tak bardzo jak to, co od niej biło. Tchnęło niemal namacalną nienawiścią.

Poczułam skurcz w żołądku i miękkość w kolanach... Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Miałam ochotę krzyczeć. Wiedziałam jednak, że to by mnie zgubiło, spróbowałam więc się opanować i zaczęłam wycofywać się do drzwi. Cofałam się krok po kroku, z ogromnym wysiłkiem woli stawiając stopę za stopą, podczas gdy mrok wypełniał moje serce... Wtedy po raz drugi, gdzieś głęboko w podświadomości, usłyszałam ten uspokajający mnie głos, który zdawał się odpędzać ciemności zła, a na piersi poczułam ciepło mojego Sługi. W jednym momencie otrząsnęłam się, obejrzałam za siebie w kierunku wyjścia z sali i zaczęłam biec. W ostatniej chwili skryłam się w znajomej kryjówce za wrotami. Kilka sekund później, w towarzystwie zgrzytów i pisku, kolejna grupa strażników przybyła pełnić wartę.

Opierałam się plecami o zimną ścianę. Oszalałe serce w mojej piersi nie chciało się uspokoić. Pot perlił się na mojej twarzy. Starłam go szybko drżącą ręką. Cały czas, niemal spazmatycznie, usiłowałam złapać oddech w płuca. Przez całe moje ciało przebiegały dreszcze. Było mi na przemian zimno i gorąco. Jednocześnie na mojej twarzy zagościł szeroki uśmiech. To uczucie niezwykle mnie ucieszyło – to był strach! Ale jakże ludzki, jakże normalny i inny od tego, który odczuwałam, będąc pod wpływem infekcji Zła. Towarzyszyło mu najzwyczajniejsze w świecie zmęczenie, zupełnie niepodobne do tego przerażającego

braku kontroli nad własnym ciałem. A więc udało się – znalazłam remedium na działanie Wroga. Odzyskałam kontrolę.

Trwało to jeszcze kilka chwil, nim zdołałam uspokoić się na tyle, by udać się w drogę powrotną do moich towarzyszy. Starłam się odgrzebać z pamięci wszystkie wskazówki Mateusza co do drogi i cofać się po własnych śladach. Szło mi całkiem gładko, mimo że kilka razy zwątpiłam w możliwości swojej pamięci. Idąc, cały czas opierałam się o ścianę. Nie czułam się pewnie na własnych zmęczonych nogach, ale starałam się przyspieszyć kroku, by jak najprędzej znaleźć się wśród bliskich. Droga wydawała się trwać w nieskończoność, wreszcie jednak ujrzałam w oddali zejście do lochów. Biegłam dalej, podpierając się ręką ściany. U dołu schodów prowadzących do lochów czekał na mnie Mateusz. Kiedy mnie dostrzegł, wyszedł naprzeciw i szybko znalazł się przy mnie. Z ulgą wsparłam się na jego silnym ramieniu, po czym ruszyliśmy do pomieszczenia, w którym mieliśmy czekać na pozostałych.

Powoli usiadłam, oparłam się o ścianę, i urywanym szeptem opowiedziałam mu wszystko. Dowiedziałam się też, że żadna z dwóch grupek jeszcze nie wróciła. Było to niepokojące, minęło tyle czasu.

Siedzieliśmy jeszcze około pół godziny. Zaczynałam się już poważnie niepokoić, gdy z oddali doszedł nas odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce po tym wraz z Tommaso i Paolo naradzaliśmy się, co robić dalej. Wspólnie

zdecydowaliśmy, że ruszymy za Joasią i Angelo. Nie uszliśmy daleko, gdy się na nich natknęliśmy.

- Znaleźliśmy dziewczyny... - zakomunikował Wojownik.
- Tam nie ma strażników! Ale w sumie wcale się temu nie dziwię.

Spojrzeliliśmy na niego pytająco.

- Obie są w takim stanie, że i tak nie opuściłyby własnej celi - pospieszyła z wyjaśnieniem moja przyjaciółka. - Chodźcie, zaprowadzimy was tam.

Długo szliśmy, znów poruszając się niemal po omacku. Angelo niósł wprawdzie ostatnią z zabranych przez nas pochodni, ale była ona już na wykończeniu.

Lochy zamczyska były bardzo rozległe i miały skomplikowany plan, dlatego Angelo i Joasia mieli małe problemy z odnalezieniem miejsca uwięzienia dziewcząt. Widziałam, że Mateusz chciał im pomóc, ale nie zdradził się, że zna zamek niemalże na pamięć. Staralam się więc tylko wychwytywać nieme sugestie chłopaka i próbować bez wzbudzania podejrzeń wprowadzać je w czyn. W końcu dotarliśmy do celi.

Pomieszczenie było puste. Żadnych sprzętów, prócz wbitych w ścianę obręczy z łańcuchami do pętania więźniów. Nic jednak nie krępowało rąk ani nóg Lucii i Michele. Podeszliśmy do nich wolnym krokiem, bardzo zaniepokojeni. Z obawą spojrzałam na dwa ciała leżące bezwładnie na posadzce. Nie wyglądały dobrze. Ich skóra była bladosina, niezdrowa.

Tommaso, upadłszy na kolana obok Lucii, chwycił siostrę za rękę i drżącym głosem szepnął:

- Ona żyje, prawda? - Spojrzał po naszych twarzach, rozpaczliwym wzrokiem szukając potwierdzenia. Z jego oczu wyzierało przerażenie.

Podeszłam wraz z Angelo do ciał i przyjrzałam się im z uwagą.

Nie czuć było pulsu, brakowało oddechu, do tego ten niezdrowy wygląd skóry... Obie były zupełnie zimne, jak martwe. Jednak, gdy się bliżej przyjrzałam, zauważyłam emanujące od nich nieprzyjemne, zielonkawe światło. Mogło to oznaczać tylko tyle, że są w mocy Zła. Miałam nadzieję, że uda się je odratować... W głębi serca czułam, że obie jeszcze walczą z mrokiem, który zawładnął ich powłokami fizycznymi. Była to jednak tylko nadzieja. Jedyne, co można było dla nich w tej chwili zrobić, to jak najszybciej wydostać je z tego świata.

- Pospieszmy się. Trzeba je stąd zabrać. - Angelo zdawał się czytać w moich myślach.

- Ale jak? - zapytał Paolo. - Nie mamy noszy, a tu nie ma niczego, z czego można by jakieś zrobić. - Miałam wrażenie, że ze strachu chłopak przestał myśleć trzeźwo.

Angelo, nie zważając na słowa Paolo, delikatnie, choć z wysiłkiem, podniósł Michele. Ciało dziewczyny było sztywne jak drewniana belka.

- Bez sensu narażać się na odkrycie, wykorzystując niepotrzebnie Divenę. Dziewczyny nie są aż tak ciężkie, żebyśmy nie dali rady ich unieść - powiedział.

Tommaso i Paolo podnieśli z podłogi ciało Lucii, a Mateusz pomógł Angelo. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Mnie przypadła zaszczytna funkcja przewodnika, dzierżyłam bowiem otrzymaną od Wojownika dogasającą pochodnię.

Wszystko to wydawało mi się cały czas bardzo podejrzane. Z łatwością bowiem wymykaliśmy się strażnikom, wydawać by się mogło, że nikt nie spostrzegł naszej obecności, a dziewczyny nawet nie były pilnowane. Po prostu było za łatwo. Wizyta w świecie Zła - mojego śmiertelnego wroga - nie mogła przecież przebiec tak gładko... Gdzieś mógł być haczyk i bardzo się go obawiałam.

Wydostaliśmy się z lochów i trzeba było teraz poszukać wyjścia na zewnątrz. Jedyным rozwiązaniem był powrót do fosy. Błądziliśmy po salach i korytarzach zamczyska, otwierając wszelkie możliwe, napotykanne po drodze drzwi. Twierdza była jednak jak labirynt i mimo pomocy Mateusza droga ciągnęła się w nieskończoność. Zatrzymaliśmy się w jednym z długich korytarzy, by chwilę odpocząć. Mateusz, rozglądając się za wyjściem, pozostał jeszcze w tyle, więc czekaliśmy na niego. Niestety korytarze i komnaty na tym poziomie były zbyt do siebie podobne i nawet on miał problemy ze znalezieniem drogi.

Gdy pozostali debatowali, co robić dalej, ja z niepokojem zauważyłam, że długi, ciemny korytarz ma tylko dwa wyjścia - to, z którego przyszliśmy i to, do

którego zmierzaliśmy. Wcale mi się to nie spodobało – w razie ataku mogliśmy się okazać uwięzieni w pułapce.

Nagle do moich uszu dotarł znajomy pisk. Moje najgorsze obawy zaczęły się spełniać. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, że dobiega on z obu stron korytarza! Po chwili reszta moich towarzyszy zdała sobie z tego sprawę. Zapanowało niemal wyczuwalne w powietrzu przerażenie, nikt jednak nie śmiał się ani ruszyć, ani wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Wzrokiem dałam tylko znać Angelo, że nie możemy nic zrobić, więc żeby nie próbował używać Diveny do walki. Byliśmy na terytorium wroga, wszystko mogło się tu obrócić przeciwko nam. Pozostało tylko z lękiem czekać na to, co nieuchronnie nadchodziło.

– Ciekaw byłem tylko, kogo wysłali... – Złośliwy, pełen zawiści głos był teraz jedynym dźwiękiem, który docierał do moich uszu. Tak bardzo nie chciałam go słuchać, jednak stale dawał mi do zrozumienia coś bardzo istotnego. – Można się było tego domyślić: wszyscy Divendi to tchórze! Wysłali niemal samych najśłabszych! Nie chcieli ryzykować zbyt wiele, ale musieli jakoś uspokoić swoje sumienia... Tego się właśnie spodziewaliśmy. Gdyby się stawił Vertus albo nawet sam Dziedzic... – Mężczyzna, wypowiadający te słowa, pokiwał w zadumie głową. Wiedziałam już, że nie zdają sobie sprawy z tego, kim jestem. – Ale nie! Ten wasz Dziedzic musi być tchórzliwy i żałosny, skoro boi się konfrontacji z Panem Czary! Sami się zresztą przekonacie,

że jest się kogo bać! - Szyderczy śmiech trzech mężczyzn i kobiety wypełnił pomieszczenie.

Siedzieliśmy jedno obok drugiego pod ścianą jednej z cel w lochach. Lucię i Michele wepchnęli do celi obok. Całą naszą nadzieję pokładaliśmy w Mateuszu, którego tu z nami nie było. Chwilę przed tym, jak usłyszeliśmy piski strażników, którzy nas schwytali, zniknął w poszukiwaniu drogi i mieliśmy nadzieję, że nie dał się złapać. Bardzo bałam się, czy aby nic mu nie jest... Może już się go po prostu pozbyli? Na samą myśl o tym serce mi zamierało, ale gdzieś w jego głębi wiedziałam, że gdyby stało mu się coś złego, wiedziałabym o tym. Nie mogłam się jednak z nim skontaktować myślowo, bo wymagałoby to użycia Diveny, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Pozostało mi więc tylko trwać w niepewności.

Gdy strażnicy zamku zbliżyli się do nas w korytarzu, wszyscy moi towarzysze zaczęli mdleć. Ja nie odczuwałam zupełnie nic, jednak, aby nie wzbudzać podejrzeń, zasymulowałam utratę przytomności. Przeniesiono nas do celi i bacznie pilnowano, zwłaszcza kiedy wszyscy odzyskali przytomność, aż do momentu pojawienia się tu ludzi, którzy teraz z nami rozmawiali. Od początku, odkąd ci ludzie weszli do naszej celi, wiedziałam, kim są. Byli to Zdrajcy, którzy przeszli na stronę Zła mimo złożenia Przysięgi. Tacy jak Atos. Odesławszy strażników zamku, próbowali dowiedzieć się, które z nas było przy Czarze Zła i dlaczego jej dotknęło, budząc jej Pana. Ich pytania podniosły na

duchu - jeżeli nawet samo Zło wiedziało, co się stało, to jego słudzy nie mieli o tym pojęcia.

Na szczęście dla mnie, nikt prócz mnie nie wiedział, o co chodzi Zdrajcom, gdy pytali o Czarę. Jak się jednak okazało, nawet gdyby pozostali znali prawdę, nie miałabym się czego obawiać. Mimo usilnych prób ani prośbą, ani groźbą nie udało się Zdrajcom złamać naszego milczenia. W końcu zniechęceni niepowodzeniem wysłali jednego spośród siebie dokądś. Wrócił niedługo po tym, niosąc w rękach niewielką czarkę z jakimś fosforyzującym płynem, z której wydobywały się opary. Postawili ją przed nami i czekali.

Zdawałam sobie sprawę, z jakim wyrafinowaniem i przemyśleniem z nami postępują. Dopóki jawnie nas nie zaatakowali, obowiązani byliśmy przestrzegać zasad Przysięgi, która zabraniała nam używać Diveny przeciwko tym, którzy nas nie atakują. Stosowali więc wobec nas sposoby niemające nic wspólnego z użyciem siły.

Już po kilku chwilach domyśliłam się przeznaczenia czarki. Opary wydobywające się z niej, które zmuszeni byliśmy wdychać, powodowały, że zrazu niepokój, potem strach, a w końcu przerażenie zaczęły wpełzać na twarze i w serca moich towarzyszy. Na mnie, podobnie jak na samych Zdrajców, zabiegi te nie działały. Musiałam jednak przykładowo symulować, modląc się jednocześnie, by żadnemu z moich bliskich nic poważnego się nie stało.

Widząc, co działo się z nami, na twarze Zdrajców wpełzły niezwiastujące niczego dobrego uśmiechy.

- Jeszcze trochę trzeba poczekać, aż dojrzeją do posłuszeństwa - powiedział jeden z nich. - Teraz na pewno nie uciekną. Zostawmy ich, żeby mogli w spokoju rozkoszować się tym, co Pan nazywa Bólem Istnienia...

Szyderczy śmiech brzmiał w moich uszach jeszcze długą chwilę po tym, jak czworo ludzi zostawiło nas sam na sam z czar ką. Widziałam, że moi towarzysze zastygli w niemym przerażeniu i nie mogli uczynić ani jednego ruchu. Zdrajcy musieli dobrze wiedzieć, jakie działanie mają opary z czar ki, skoro nawet nie zawracali sobie głowy przysłaniem do lochu strażników. Zostawili nas zupełnie samych.

Nie tracąc czasu, gdy tylko kroki w korytarzu ucichły, zdecydowanie wstałam i z gotowością poświęcenia siebie sięgnęłam po czar ką. Parzyła w dłonie, nie zważając jednak na przejmujący ból, wyniosłam ją kilka cel dalej. Wracając, usłyszałam nagle za sobą szelest. Moje serce zamarło. Przez chwilę tkwiłam bez ruchu pośrodku korytarza, gdy nagle poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Nie śmiałam się ruszyć, zacisnęłam tylko powieki. Ktoś odwrócił mnie i ścisnął moją dłoń. Otworzyłam oczy i... zobaczyłam Mateusza. Ulga, jaką poczułam, sprawiła, że głośno odetchnęłam. Prędko uścisnęłam go, po czym pobiegliśmy z powrotem do celi.

Usiłowaliśmy rozbudzić naszych przyjaciół z odrętwienia, nasze zabiegi nie przynosiły jednak skutków. Młodzi ludzie, za których życie czułam się odpowiedzialna, siedzieli pod ścianą bezwładni jak porzucone szmaciane

kukielki, z twarzami wykrzywionymi przerażeniem i szeroko rozwartymi oczami. W końcu zdesperowana postanowiłam użyć Divendiego. Tylko on mógł tu pomóc. Skoro taką cenę miałam zapłacić za życie i zdrowie moich bliskich, byłam gotowa to uczynić. Wprawdzie nie mogłam użyć swojej Diveny, ale miałam nadzieję, że nie jest to adekwatne z użyciem mojego Sługi. Postanowiłam jednak zrobić to przez Mateusza.

W myśli wydałam Divendiemu rozkaz, by w rękach chłopaka pomógł wyrwać z tego dziwnego stanu moich przyjaciół. Mateusz wziął, choć niechętnie, kamień ode mnie, zacisnął go w pięści i czekał. Po chwili od jego ręki zaczęły w kierunku nieprzytomnych biec blade promyczki Diveny. Młodzi ludzie powoli budzili się z przerażającego letargu, w który wprowadziły ich przekłete opary. Po kilku chwilach zaczęli wracać do siebie. Chyba tylko Angelo i Joasia byli świadomi tego, jak dokonało się owo przebudzenie.

Mateusz dyskretnie oddał mi kamień, który szybko włożyłam z powrotem na miejsce. W chwilę później, odnalazłszy Lucię i Michele, błądziliśmy znów po lochach. Nie miałam pojęcia, jakim cudem, ale natknęliśmy się w końcu na tunel, który ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu i radości okazał się prowadzić wprost do miejsca, do którego dążyliśmy, czyli do fosy. Tunel ów najbardziej przywodził mi na myśl średniowieczny sposób pozbywania się nieczystości, ale w owej chwili

najważniejszy dla nas był fakt, że prowadził tam, gdzie chcieliśmy się dostać.

Już niemal przy wylocie wąskiego korytarza usłyszeliśmy za sobą wściekły krzyk Zdrajców, a także serię zgrzytów i zbliżający się stopniowo do nas pisk. Strażnicy byli chyba na naszym tropie. W nasze serca znów wstąpił strach. Na tyle, na ile pozwoliły nam nasze możliwości, przyspieszyliśmy, na oślep prawie szukając w fosie miejsca, gdzie było przejście między światami.

Wiele godzin spędziliśmy w świetle Zła, jednak nad naszymi głowami nadal panowała ciemna, nieprzyjazna noc. Wkrótce dotarliśmy do kamiennej płyty. To tu była brama, którą dostaliśmy się do królestwa Czary. Angelo stanął naprzeciw kamienia i skupił całą swoją uwagę na otwarciu portalu.

Odwróciłam się gwałtownie ku kierunkowi, z którego przybiegliśmy. Zobaczyłam w oddali biegnących w naszą stronę dwóch Zdrajców i trzech Strażników. Pisk i zgrzyty przyprawiły mnie o dreszcze.

- Angelo! - krzyknęłam do Wojownika, który natychmiast się odwrócił. - Mamy tylko jedną szansę!

Chłopak z powagą skinął głową i odwrócił się ku kamieniowi. Stanęłam za nim. Wiedziałam, że muszę mu pomóc, mogłam to jednak zrobić dopiero wtedy, gdy przejście zacznie się otwierać.

Przeciwnicy byli już coraz bliżej, nic się jednak nadal nie działo, mimo że Angelo bardzo się starał. Podejrzewałam, że to nie jest kwestia ilości posiadanej

przez niego Diveny, ale strachu, którym ten świat infekował wszystkich. Nagle ujrzałam tworzące się nad płytą zarysy przejścia. To był sygnał dla mnie. Swoją Diveną wsparłam kuzyna, a przejście już po sekundzie stanęło przed nami otworem.

Zaczęliśmy się kolejno przeciskać przez lukę w czasoprzestrzeni. Angelo miał przejść ostatni. Za sobą słyszałam cały czas zbliżające się krzyki goniących nas przeciwników. Wojownik szybko przeskoczył przez przejście. Ku mojemu przerażeniu nie zdążyło się ono jednak zamknąć.

Stałam naprzeciw szczeliny między światami, tuż obok Angelo, i oczekiwałam na przeciwników. Furia, z jaką nas zaatakowali, wypchnęła Joasię i Tommaso kilka metrów do tyłu. Oboje z impetem gruchnęli o drzewa. Z ust Joasi popłynęła krew.

Odwróciłam się i z wściekłością zaatakowałam, w jednej chwili roztrzaskując w proch dwóch Strażników. Wezbrała we mnie euforia, gdy całą sobą poczułam, że znów w pełni kontroluję swoją wewnętrzną siłę.

Z trzecim Strażnikiem poradził sobie Angelo. Nie zastanawiając się, uderzyłam w jednego ze Zdrajców. Z drugim walczyli pozostali. Walka nie była trudna, zwłaszcza że chroniła mnie tarcza w postaci Divendiego. Niestety jeden z ciosów, który mnie ominął, trafił w ramię Mateusza. Chłopak upadł, a nim zdążył się podnieść, drugi Zdrajca poważnie ugodził Diveną Paolo. Zraniony krzyknął i przeleciawszy w powietrzu kilka metrów, runął na ziemię.

Szybko unieruchomiłam mojego przeciwnika, po czym skierowałam się, by pomóc Angelo, który resztką sił bronił pozostałych przed ciosami ostatniego z naszych wrogów. Zatrzymałam go Diveną i zmusiłam, by padł przede mną na kolana, po czym jednym ruchem ręki odesłałam ich tam, gdzie ich miejsce – do lochów w Pałacu Dziedzica. Vertus był przygotowany na taką ewentualność.

Gdy tylko to zrobiłam, ruszyłam w kierunku przejścia do świata Zła, zamykając je Diveną. Nim jednak jego zarys znikł zupełnie, moim Sługą, w którym rozpałam Biały Ogień, przekreśliłam miejsce, w którym się znajdowały, pieczętując je. W ten sposób przejście zostało raz na zawsze zamknięte, choć miałam pewność, że istniały inne.

Czas uciekał, a troje z moich bliskich było ciężko rannych. Nie wiedziałam również, jak się miała sprawa z dziewczynami. Szybko ruszyłam na pomoc. Pierwszy był Paolo. Jego rany były najgorsze. Ostatkiem sił trzymał się życia, a i ta nitka, łącząca go jeszcze ze światem żywych, zdawała się już pękać. Nie zważając na utrzymanie swojej anonimowości, zaczęłam go uzdrawiać. Blask Divendiego rozświetlał mrok leśnej nocy. Minęło kilka chwil, nim rana zadana mocą złego zupełnie zniknęła. Paolo otworzył oczy i ze zdziwieniem patrzył, jak podrywam się na nogi i biegnę do pozostałych.

Z Tomem nie było najgorzej, więc w pierwszej kolejności zajęłam się Joasią. Jej rany nie były zadane siłami Zła, ale spowodowane uderzeniem o drzewo, dlatego szybciej sobie z nimi poradziłam. Przyszła w końcu pora na

Tommaso, na szczęście i tu nie było większych problemów. Wszyscy troje leżeli jednak jeszcze na ziemi. Mimo iż rany zniknęły, Divena nie była im w stanie przywrócić nadwątlnych sił. Szybko zajęłam się jeszcze ramieniem Mateusza, po czym ruszyłam w kierunku Lucii i Michele.

Wiedziałam, że będzie to trudne i będzie wymagało dużej dawki mojej wewnętrznej siły. Zapytałam Divendiego, co mam robić, i zaczęłam przygotowywać się do przedsięwzięcia. W międzyczasie chwiejnym krokiem zbliżyli się do nas Tom i Paolo, a zaraz za nimi Joasia. Obaj chłopcy usiedli ciężko na ziemi. Moja przyjaciółka stanęła, podtrzymując się drzewa.

Oba ciała leżały równolegle na ziemi. Stanęłam między nimi i wyciągnęłam ponad nie dłonie. Kamień zaśnił na mojej szyi. Divena w postaci leczącego ciepła zaczęła spływać z moich rąk wprost do serc obu dziewcząt. Przez kilka chwil nic się nie działo, lecz potem oba ciała uniosły się pół metra nad ziemią. Twarze zaczęły odzyskiwać swój naturalny kolor, powoli na nowo wstępowało w nie życie.

Moja Divena była nieskończona, jednak ciało miało swoje ograniczenia. Rytuał bardzo wyczerpywał mnie fizycznie. Zaczęłam drżeć i zachwiałam się lekko, a po chwili poczułam, że podtrzymują mnie Angelo i Mateusz. Kilka sekund później ciała znów opadły na ziemię, a Divendi dał mi znak, że już po wszystkim. Divena przestała ze mnie płynąć, opuściłam zmęczone ramiona i cofnąwszy się kilka kroków, ciężko usiadłam na ziemi, opierając się plecami o pień drzewa.

Wszyscy z niepokojem wpatrywaliśmy się w dziewczyny, które powoli zaczynały odzyskiwać przytomność. Paolo i Tom rzucili się do nich, przytulając z radością swoje odzyskane z trudem towarzyszek. Gdy poczułam się na siłach, by wstać, podeszłam do Michele i Lucii. Obie patrzyły na mnie z radością i wdzięcznością – wiedziały, że to ja je uzdrowiłam. Tom i Paolo wstali. Dołączyli także Joasia i Angelo.

- Jak się czujecie? - zapytałam, spoglądając kolejno na wszystkich uzdrowionych.

Joasia uśmiechnęła się, dziewczyny, powoli wstając, skinęły głowami. Paolo wpatrywał się we mnie z wyraźnym zachwytem, co wprawiło mnie w lekkie zakłopotanie. Tommaso natomiast zdawał się totalnie zaskoczony i zdenerwowany. Popatrzył na mnie uważnie, po czym zapytał:

- Kim ty jesteś, że robisz takie rzeczy, których podobno nawet sam Vertus Divendi nie potrafił?

W tym momencie Paolo, nadal patrząc na mnie, upadł na kolana.

- Co ty robisz? - Tom spojrzał na niego zaskoczony. Kuzyn skarcił go.

- Czy ty dalej nie wiesz, przed kim stoisz?

Patrzący na Paolo Tom powoli odwrócił głowę i spojrzał na mnie. W jego wzroku dostrzegłam najpierw niedowierzanie, pomieszaną z jakimś buntem. W końcu jednak jego spojrzenie rozjaśniła iskierka zrozumienia.

Ukląkł i skłonił się nisko. To samo zrobiły Lucia i Michele, mówiąc:

- Dziękujemy ci za przywrócenie nas do życia, Dziedzicu.

Uśmiechnęłam się, a Divendi rozbłysnął na mojej szyi. Po chwili kazałam im wstać.

- Najmniej potrzebuję teraz hołdu. Bardziej pragnę waszego poparcia i zaufania - powiedziałam z przekonaniem, wydobywając te słowa z głębi własnego serca.

Cała czwórka wstała, a Paolo, chwytając mnie za rękę, powiedział z przekonaniem:

- Od samego początku, odkąd zobaczyłem cię pierwszy raz, wiedziałem, że jest w tobie coś niesamowitego.

Nie wiedziałam, co mogę mu odpowiedzieć. Zdobyłam się więc tylko na uśmiech.

XXIV

- Kilka dni odpoczynku bardzo nam się przyda - powiedział Mateusz. - Mamy zapłacony pobyt w schronisku jeszcze za dwie doby.

- To tak jak my - powiedział z entuzjazmem Paolo.

Był późny ranek, koło dziewiątej, słońce świeciło mocno, a pogoda była piękna. Królestwo Zła odwiedziliśmy poprzedniej nocy. Przebywaliśmy tam kilka godzin, podczas gdy tu wskazówka zegara przesunęła się zaledwie o kilka sekund. W świetle letniego słońca nocne wydarzenia nie napawały nas już taką grozą, choć nadal wywoływały nieprzyjemne napięcie.

Nadal odzyskiwałam nadwątlone siły. Siedzieliśmy wszyscy na dużym kocu pod drzewem, w miejscu narodzin Vertusa. Tu w spokoju mogliśmy omówić wszystkie wydarzenia, przez które przeszliśmy, i po prostu spokojnie porozmawiać. Każdy z nas był na swój sposób zmęczony - część dochodziła do siebie po wyleczonych ranach, a wszyscy byliśmy wyczerpani psychicznie.

Wcześniej, w gronie Drużyny Diveny, postanowiliśmy, że do końca będziemy utrzymywać w tajemnicy to, że Joasia

i Mateusz nie należą do rodu Divendi. Ustaliliśmy więc naprędce, że podadzą się oni za dzieci siostry mojej mamy. W ten oto sposób Mateusz i Joasia stali się tymczasowo rodzeństwem.

Od wydarzeń w lesie Paolo i Lucia nie odstępowali mnie ani na krok, przypatrując mi się z nieukrywanym podziwem. Dziwnie się z tym czułam. Przyzwyczaiałam się do moich najbliższych przyjaciół i do tego, że wcale nie traktowali mnie wyjątkowo ze względu na moje posłannictwo - dobrze wiedzieli, że mi to przeszkadza. Nie lubiłam nigdy takiego wywyższania. Nie potrafiłam jednak jeszcze przełamać się, by powiedzieć tej dwójce, aby odnosili się do mnie jak do zwyczajnego Wojownika. W dodatku Angelo starał się mnie, nie wiedzieć czemu, przekonać, że lepiej zostawić to tak, jak jest. Coś mi podpowiadało, że jego rada była słuszna, zdobyłam się więc tylko na to, żeby powiedzieć Lucii i Paolo, by ograniczali się przy obcych. Poza tym drobnym mankamentem uważałam, że to naprawdę świetni młodzi ludzie.

- Ślicznie wyglądasz. - Usłyszałam w myślach głos Mateusza. Uśmiechnęłam się tylko pod nosem. Gdy po kilku chwilach odważyłam się podnieść na niego wzrok, nie patrzył już na mnie. Kiwał tylko głową, przytakując świergoczącej mu coś do ucha Michele. Poczułam lekkie ukłucie zazdrości. Zaraz jednak wyperswadowałam sobie stos myśli, które przyszły mi do głowy. Nie miałam powodów wątpić w wierność Mateusza. Wróciłam do przerwanej rozmowy z Paolo. Mimo wszystko jednak

łapałam się na tym, że co jakiś czas z biciem serca spoglądałam w ich kierunku.

Opadłam z impetem na łóżko, zmęczona po kilkugodzinnej pieszej wędrówce, którą sobie tego dnia zrobiliśmy. Piękne widoki i przyroda przypominały mi trochę czas spędzony na Próbie. Byłam w pokoju na górze, podczas gdy Angelo, Paolo i Tom przygotowywali wszystko, co było potrzebne do zrobienia ogniska, które zaplanowaliśmy sobie na dziś wieczór. Nie miałam pojęcia, co robiła reszta.

Nagle usłyszałam kroki i ciche pukanie do drzwi. Po chwili weszła Michele. Ucieszyła mnie jej wizyta. Uśmiechnęłam się do niej i zapytałam, co się stało.

- Właściwie to nic... - zaczęła, siadając obok mnie na łóżku. - Tak tylko chciałam pogadać.

Przyjrzałam się jej - była piękną dziewczyną. Wysoka, z idealną figurą, lśniące ciemne włosy, opadające kaskadą do łopatek, ślicznie wykrojone usta, ciemna karnacja. Do tego była bardzo wesoła i zawsze uśmiechnięta, a to od razu nastrajało ludzi pozytywnie w stosunku do niej.

- O czym chciałaś porozmawiać? - zwróciłam się do dziewczyny.

- Chciałam... - Przerwała na chwilę, jakby się zastanawiając. - Chciałam porozmawiać o Mateuszu.

Zatkało mnie. Wydawało mi się, że żadne z nich nie domyśla się prawdy dotyczącej zmyślnego pokrewieństwa. Było dla mnie oczywiste, że Michele jednak czegoś musiała

się domyślić, a takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam. Nie mogłam jednak dać po sobie poznać, co czuję. Przez chwilę zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć, na szczęście dziewczyna sama zaczęła temat.

- Bo widzisz - powiedziała - odniosłam wrażenie, że ty i Mateusz świetnie się znacie. On ciągle o tobie mówi. Na początku to nawet wydawało mi się, że on jest w tobie śmiertelnie zakochany. - Spojrzała na mnie uważnie. - Ale później przypomniałam sobie, że przecież jesteście bliską rodziną. - Dziewczyna przyglądała mi się badawczo.

- Zapytałaś go o to? - palnęłam bez sensu, wcale nie zastanawiając się nad tym. Na szczęście wyglądało na to, że dziewczyna nie zauważyła podtekstu tego pytania.

- Oczywiście, że tak. Speszył się trochę, ale zaraz powiedział, że jesteście przyjaciółmi... On tak słodko wygląda, jak się denerwuje... - powiedziała, wgapiając się rozmarzonym wzrokiem w ścianę.

No tego to ona mi nie musi mówić - pomyślałam tylko, czując jednocześnie lekkie ukłucie zazdrości i ulgę, że się nie wygadał.

- No, bo widzisz... - zaczęła i spojrzała mi w oczy. - Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Mateusz to niesamowity chłopak. Bardzo mnie do niego ciągnie... - Uśmiechnęła się, po czym dodała poważnym tonem: - Ale nie wierzę, że jesteście tak bliską rodziną. Nie wiem... to chyba kwestia mojej intuicji... w każdym razie za słabo się z tym kryjecie. Takiej namiętności, jak ta, która jest między wami, nie da się ot tak, po prostu ukryć...

Zmarszczyłam brwi. Przez chwilę zastanawiałam się, co powinnam zrobić. W końcu oznajmiłam najprościej, jak potrafiłam:

- Michele, nie wiem, co powinnam ci teraz powiedzieć.

- Nie musisz mówić nic. Zresztą nie o to mi chodziło, żeby poznać prawdę... Taka tylko mała sugestia: miłości nie da się ukryć. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Odwzajemniłam uśmiech, mówiąc:

- Kocham Mateusza jak nikogo na świecie... ale pozwól, na razie zachowam dla siebie powód, dla którego ukryliśmy przed wami to, że jesteśmy ze sobą... Przepraszam.

- Nie musisz mi nic mówić - powiedziała jeszcze raz dziewczyna. - Wolałam wam po prostu o tym powiedzieć, żebyście uważali, zanim Tommaso się domyśli... On uwielbia takie rzeczy rozdrapywać, a to nic przyjemnego. - Uśmiechnęła się jeszcze raz, po czym wyszła z pokoju, pozostawiając mnie samą ze swoimi myślami.

- No i wtedy właśnie wyszła - skończyłam referować przyjaciółce przebieg rozmowy z Michele.

- W sumie coś w tym jest, że jak się na was patrzy, to widać, że coś was łączy - stwierdziła Joasia. - Widać w spojrzeniu, sposobie, w jaki się do siebie zwracacie... Nie da się tego tak do końca zamaskować...

- Ona chciała nas przede wszystkim przestrzec przed Tommaso... - Zmarszczyłam brwi. - Chyba nie do końca mu ufa. To bardzo dociekliwy chłopak, gdyby się domyślił, że nie jesteśmy rodziną, to drążyłby, dopóki nie dowiedziałaby

się prawdy. A im mniej osób ją zna, tym lepiej. Więc na razie musimy się jakoś ukrywać, tylko nie bardzo wiem jak, skoro takie po prostu udawanie nie przynosi rezultatów... – Spojrzałam na Joasię z nadzieją, że może jej przyjdzie do głowy jakiś genialny pomysł.

– Ja widzę tylko takie wyjście, że do czasu powrotu do domu musicie się zupełnie od siebie odseparować.

Westchnęłam, przyznając w duchu rację przyjaciółce.

– W takim razie muszę z nim porozmawiać...

– No, chyba... – powiedziała, po czym uśmiechnęła się zaczepnie.

– Co? – Spojrzałam na nią podejrzliwie. – Coś kombinujesz?

– Nie – odparła, przybierając anielsko niewinny wyraz twarzy. – Po prostu pomyślałam sobie, że w sumie Michele ma rację. Ja się po prostu już przyzwyczaiałam do waszego widoku...

– Joasiu, nie zaczynaj... – powiedziałam ostrzegawczo, robiąc groźną minę, ale ledwo powstrzymałam się od śmiechu.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza i bezruch, po czym poczułam poduszkę spadającą mi na głowę. Ze śmiechem rzuciłam się na przyjaciółkę, zaczęłyśmy okładać się jaškami. Po kilku minutach zgrzane, ale zadowolone, dałyśmy spokój poduszkom i padłyśmy plackiem na łóżko, śmiejąc się bez opanowania. W końcu, gdy minęła nam głupawka, Joasia podniosła się z łóżka, chwyciła mnie za rękę i powiedziała, ciągnąc w kierunku wyjścia:

- Chodź! Najwyższy czas rozpalić ognisko.

Posłusznie podreptałam za nią. Poszłyśmy na tył budynku. Wszystko, co potrzebne, było już przygotowane. Zająłam się układaniem stosu z zebranych gałęzi. Nawet nie zauważyłam, gdy niebo zrobiło się ciemniejsze, a słońce już niemal w połowie zniknęło za horyzontem.

Położyłam ostatnie dwie gałązki i, rozejrzawszy się uprzednio, czy nikt nie zwraca na mnie uwagi, rozpaliłam Diveną ogień. Usiadłam na ławeczce obok ogniska, a w chwilę później wszyscy pozostali wzięli ze mnie przykład.

Wieczór był przemiły. Opowiadaliśmy sobie różne historie, zjedliśmy pyszną kolację, zaśpiewaliśmy kilka piosenek. Michele w żaden sposób nie okazywała, że jej nastawienie do mnie się pogorszyło. Wręcz przeciwnie – odniosłam wrażenie, że ta rozmowa raczej nas do siebie zbliżyła.

Było bardzo późno, gdy zagasiliśmy ognisko i udaliśmy się do swoich pokoi, więc rozmowę z Mateuszem postanowiłam przełożyć na jutro. W końcu udało mi się zasnąć. Nie było mi jednak dane należycie odpocząć. W środku nocy obudziło mnie delikatne potrząsanie. Machnęłam ręką, chcąc odgonić natręta, i natrafiłam na dziwnie znajomą czuprynę.

Otworzyłam oczy. Obok mojego łóżka klęczał Mateusz. Dawał mi znaki, żebym wyszła z nim na zewnątrz. Potrząsnęłam głową, chcąc dać mu do zrozumienia, że nic z tego i żeby poczekał do rana, i odwróciłam się na drugą

stronę. Obawiałam się, że takie nocne łożenie może wzbudzić jakieś podejrzenia.

Jeszcze chwilę chłopak nalegał, po czym przerwał. Już myślałam, że wyszedł, gdy poczułam, że ktoś ściąga ze mnie koc i bierze na ręce. Nie mogąc zaprotestować, nie budząc przy okazji Joasi, byłam zmuszona dać się wynieść z pokoju.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam zdenerwowana, wyswobodzając się z ramion Mateusza, gdy tylko znaleźliśmy się na korytarzu.

Chłopak nic nie mówiąc, zamknął drzwi do pokoju, wziął mnie za rękę i zaprowadził do wspólnej jadalni. Podeszłam do okna i przysiadłam na parapecie, czekając na to, co powie. Mateusz przytknął lekko drzwi, po czym stanął przede mną i skrzyżował ręce. Robił tak, ilekroć był zdenerwowany.

- Martwię się - powiedział w końcu. - Tommaso zaczął nas podejrzewać... - Spojrzał na mnie znacząco. - Sama wiesz o co.

Gdzieś za plecami usłyszałam szmer. Nie powtórzył się jednak, więc uznałam, że musiałam się przesłyszeć.

- Mateusz... chciałam powiedzieć ci to wcześniej, ale jakoś nie było czasu, a nie chciałam psuć wieczoru... Rozmawiałam dziś po południu z Michele...

- Co? Coś się stało? - Chłopak był wyraźnie zaskoczony.

- Michele wie o nas... Przestrzegła mnie, że musimy uważać na Tommaso, bo on, jeśli się czegoś domyśli, to zacznie to rozdrapywać...

Mateusz stał ze zmarszczonymi brwiami. Powiedział w końcu:

- Ja... Jedna z zasad naszego związku to mówienie sobie o wszystkim... skoro więc mam być wobec ciebie w porządku, to muszę powiedzieć, że odniosłem wrażenie, że Michele mnie kokietuje... i że ma jakieś zamiary. Zaczęła mnie nawet wypytywać o ciebie.

- Wiem o tym - powiedziałam spokojnie. - Mówiła mi...
- Spojrzałam na niego z czułością. - Nawet nie wiesz, jak bardzo doceniam to, że mi o tym mówisz. - Chłopak się uśmiechnął. - Ale powiedz, co z Tomem?

- Tommaso też mnie o ciebie wypytywał. Chciał wiedzieć, skąd taka ogromna „zażyłość”, jak to określił, między nami. - Przerwał na chwilę. - Powiedziałem mu, że się przyjaźnimy, ale mam wrażenie, że nie do końca mi uwierzył.

- A ty byś sobie uwierzył? - Uśmiechnęłam się. - Miejmy nadzieję, że nie będzie za bardzo dociekliwy... Niedługo nasze drogi się rozejdą, a potem i tak wszyscy dowiedzą się prawdy - stwierdziłam.

- Ciekawe, że mimo naszych starań i tak nagle wszyscy zaczynają się domyślać... - Mateusz podszedł i objął mnie.

- Wiesz co? - powiedziałam kokieteryjnie. - Zazdrosna o ciebie byłam... - Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam w nich isierki rozbawienia.

- Byłaś? - powiedział zaczepnie. - Już nie jesteś?

Roześmiałam się tylko i objęłam go za szyję. Pomyślałam, że mogłabym tak trwać choćby do skończenia

świata, a potem jeszcze dłużej.

Nagle drzwi skrzypnęły. Spojrzałam zaniepokojona w tamtą stronę i zobaczyłam czyjś szybko poruszający się cień. Mateusz ruszył w tym samym kierunku, wybiegł na korytarz i zatrzymał się, patrząc przed siebie. Po chwili wrócił, zamknął drzwi i objął mnie delikatnie. Miał zmarszczone brwi.

- Kto to był? - spytałam cicho.

Minęła dłuższa chwila, nim powoli odparł:

- To Paolo...

- Jesteście pewni, że słyszał całą waszą rozmowę? - zapytała Joasia, którą chwilę wcześniej, w środku nocy, wyciągnęliśmy z łóżka.

- Nie jesteśmy pewni, ale chyba lepiej założyć, że tak - odparłam.

Na twarzy Mateusza zagościł cwaniacki półuśmieszek, kiedy mówił z błyskiem w oku:

- Jestem pewien, że widział coś, przy czym fakt, czy słyszał początek naszej rozmowy, jest raczej mało istotny.

- Mateusz! - skarciłam go, rumieniąc się. Kątem oka widziałam, jak Joasia uśmiecha się do niego porozumiewawczo.

- Powinieneś trzymać na wodzy swoje popędy, braciszku - powiedziała, szczerząc zęby.

- Ejże! - Obruszyłam się. - To poważna sprawa!

Siedzieliśmy nadal w jadalni, próbując ustalić jakiś plan działania. Nie było z nami tylko Angelo, który szukał

właśnie Paolo, chcąc go do nas przyprowadzić.

- Może po prostu powiedzieć im prawdę? - zaproponowała Joasia.

Wbiłam wzrok w blat drewnianego stołu i zamyśliłam się. Utrzymanie w tajemnicy tego, że Divenę mają osoby spoza rodu, było ważne, nie mogliśmy pozwolić, by nasz Przeciwnik dowiedział się o tym wcześniej niż wszyscy Wojownicy. A jak się przekonaliśmy - Zło zbyt łatwo mogło dotrzeć do każdego członka naszego rodu. Z drugiej strony nasi towarzysze i tak dowiedzieli się już, kim jestem, więc już teraz obarczeni byli tajemnicą. Nie byłam jednak pewna, czy dokładanie im wiedzy, którą nie będą mogli się, póki co, podzielić, to najlepszy pomysł. W końcu westchnęłam głęboko i powiedziałam:

- Przez własną głupotę się w to wpakowaliśmy. Teraz trzeba z tego wybrnąć. Michele nie będzie dociekała. Ufam jej. Lepiej, żeby Tom o niczym na razie się nie dowiedział. Musimy bardzo uważać. Lucia chyba niczego nie podejrzewa. Co do Paolo... proponuję postąpić z nim tak samo, jak z Michele, czyli powiedzieć mu część prawdy. Tyle, ile możemy.

W chwilę później do pomieszczenia wszedł Angelo, a za nim Paolo. Wojownik stanął obok nas, Paolo natomiast spojrzał na nas niepewnie, jakby ważąc słowa.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Nie miałem zamiaru was podsłuchiwać... tylko Tommaso nagadał mi bzdur. Szedłem do łazienki i zobaczyłem was w jadalni...

Obiecuję, że nic z tego, co widziałem i słyszałem, nie wyjdzie z moich ust.

Uśmiechnęłam się do niego. Nie był w porządku, podsłuchując cudzą rozmowę, ale doceniałam to, że przyznał się do błędu. Znałam go jednak zbyt krótko, by wiedzieć, czy mogę mu w pełni ufać. W końcu zamiast powiedzieć od razu, że nas widział, uciekł przed Mateuszem, podczas gdy naprawdę nie miał się czego obawiać z naszej strony. W przeciwieństwie do Michele kazałam mu przysiąc na Divendiego, że zachowa to wszystko w tajemnicy. Potem tylko pokrótce wyjaśniłam, że niedługo wszyscy dowiedzą się prawdy. Chłopak jeszcze raz nas przeprosił i wyszedł ze spuszczoną głową i miną winowajcy. Zrobiło mi się go trochę żal, spojrzałam na pozostałych i wyszłam za nim. Szedł powoli do swojego pokoju.

- Paolo... - Położyłam mu rękę na ramieniu.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - powiedział, zatrzymując się i odwracając do mnie. - Po prostu spanikowałam. Zrobiłem głupotę i bardzo źle się z tym czuję. Ale nie martw się, tajemnicy dotrzymam. Postaram się też, aby Tom przestał insynuować. - Uśmiechnął się ciepło. - Wiesz, jestem dumny z tego, że mamy takiego Dziedzica.

- Dziękuję - powiedziałam tylko. - Będzie dla mnie zaszczytem walczyć u boku takich Wojowników jak wy.

- Jeszcze nie przeszliśmy Próby - powiedział Paolo.

- Jestem pewna, że wszyscy ukończycie ją pomyślnie. -
Uśmiechnęłam się, po czym ruszyłam do jadalni.

- Za cztery godziny. Nie ma potrzeby się spieszyć -
powiedział Paolo.

- Świetnie - odparłam i uśmiechnęłam się. - Weźcie
swoje rzeczy i chodźmy.

Paolo skinął głową i zniknął za drzwiami pokoju.

Za cztery godziny nasz „kamouflaż”, jak wciąż
z przyzwyczajenia ich nazywałam, miał autobus powrotny
do domu. Zanim się rozstaniemy, musiałam jeszcze parę
rzeczy im wyjaśnić, a że i dla Drużyny nadchodziła pora
powrotu, dlatego postanowiliśmy już z plecakami udać się
na polanę pod drzewo, pod którym przyszedł na świat
Vertus.

Wreszcie całą grupą opuściliśmy schronisko. Dotarłszy
do celu, usiedliśmy na trawie i przez chwilę nikt nic nie
mówił. Rozkoszowałam się zapachem natury, słuchając
szelestu liści drzewa, którego gałęzie roztaczały nad nami
baldachim, rzucający przyjemny cień. Zaczepnęłam
głęboko powietrza, rozkoszując się jeszcze przez chwilę
w milczeniu wonią przyrody. W końcu jednak przerwałam
ciszę, mówiąc:

- Dobiegła końca wasza i nasza misja. Wszystkim
należą się wielkie dzięki za pomoc. Myślę, że możemy to
uznać za pierwszą, niewielką, ale znaczną, wygraną dla nas
potyczkę ze Złem.

- Bez ciebie byśmy sobie nie poradzili - powiedział Paolo, spoglądając na mnie.

- To ja bym sobie nie poradziła bez was - odparłam z przekonaniem. - W królestwie Zła nie mogłam sobie pozwolić na użycie Diveny, żeby nie zdradzić, kim jestem. A bez Diveny niewiele mogłam zrobić. Nie umiałabym się nawet stamtąd wydostać.

- Ale dlaczego? - zapytała Lucia.

- Z tego samego powodu, dla którego jestem zmuszona zakazać wam mówienia o tym, że wiecie, kim jest Dziedzic. Nikt nie może się jeszcze o mnie dowiedzieć. Mam na myśli oczywiście cały nasz ród i wszystkich wtajemniczonych przyjaciół.

Cała czwórka tylko skinęła głowami. Powiedziałam jeszcze o paru drobiazgach, po czym podziękowaliśmy sobie szczerze za wzajemną pomoc, poświęcenie oraz za ten spokojniejszy czas, po zakończeniu misji. Wkrótce czwórka naszych nowych znajomych musiała udać się na autobus, a my, podsumowując kolejny raz wszystkie wydarzenia, również zaczęliśmy szykować się do powrotu.

XXV

Zegar wybił godzinę jedenastą. W powietrzu unosił się zapach mocnego kakao, takiego, jakie potrafiła przyrządzać tylko moja mama. Spojrzałam za okno na nikłe promienie światła rzucanego przez stojącą w oddali latarnię uliczną. Miasto nie było zupełnie martwe i uśpione. Co jakiś czas dało się słyszeć warkot przejeżdżającego samochodu i krzyki wracającej z centrum młodzieży. To jednak nie burzyło spokoju, który panował w salonie.

W świetle jedynej palącej się lampki siedziała moja mama, cierpliwie składając świeżo wyprane ubrania. Ja siedziałam tuż obok, na podłodze u jej nóg, i dobierałam w pary wymieszane skarpetki. Reszta rodziny już spała, Joasia i Angelo również. Mateusz dopiero przed kwadranssem wyszedł do domu, więc ze zniecierpliwieniem czekałam na sygnał myślowy, że już bezpiecznie dotarł. Dopiero gdy go dostałam, mogłam spokojnie przejść do rozmowy z mamą. Relacji z całego przedsięwzięcia wysłuchiwała już wprawdzie wcześniej, gdy tylko wróciliśmy z miejsca narodzin naszego Przodka, ale ani dla mnie, ani dla niej nie była to relacja pełna.

Gdy wreszcie udało mi się zebrać myśli, zaczęłam wywlekać na wierzch to, co zbyt długo może siedziało w środku. Ona tylko słuchała, nic nie mówiąc, pozwalając mi się wygadać. Dopiero gdy umilkłam, podniosła wzrok znad stosów równiutko poukładanych rzeczy i spojrzała na mnie z czułością.

- Jestem dumna z ciebie, córeczko.

Miałam wrażenie, że w jej oczach zaszklily się łzy. Przyciągnęła mnie do siebie, przytuliła i głaskała po głowie jak małą dziewczynkę, którą kiedyś byłam.

- Za szybko dorosłaś. Nie zdążyłam się tobą nacieszyć, a już muszę cię oddać, żebyś mogła ratować innych. To niesprawiedliwe...

- Mamo... - zaczęłam ją uspokajać, widząc jej napięcie - przecież wiesz dobrze, że prędzej czy później spotkamy się w Świecie Diveny.

- Tylko jeśli Zło cię nie opanuje i nie strąci nas wszystkich do otchłani! Boję się o ciebie!

Jeszcze nigdy nie widziałam mojej mamy w stanie takiego roztrzęsienia i bardzo mnie to zmartwiło. To zawsze ona była dla mnie pocieszeniem, a tymczasem na moich oczach ta opoka drżała, jakby miała się załamać. Czułam się, jakbym traciła grunt pod stopami, a jednocześnie uświadomiłam sobie, że przyszedł czas, gdy mogę wreszcie odwdzięczyć się jej, chociaż częściowo, za te wszystkie lata, kiedy miałam w niej podporę. A mogłam to zrobić tylko w jeden sposób - starając się ze wszystkich sił stanąć na

wysokości zadania, jakie zostało przede mną postawione jako Dziedzicowi.

Na szczęście silny charakter mojej mamy i jej wrodzony optymizm wkrótce wzięły górę i chwilowy kryzys został zażegnany. Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie niepewnie, jakby była trochę zła na siebie, że pozwoliła sobie na okazanie strachu.

- To była tylko chwila słabości. Wybacz mi - powiedziała spokojniejszym głosem.

- Jeżeli to była chwila słabości - odpowiedziałam - to jak nazwać moje kryzysy? Tydzień niedomagania? - Roześmiałyśmy się. Sytuacja uległa rozluźnieniu.

Opowiedziałam jeszcze mamie o tym, co widziałam w mrocznych ścianach warowni Zła, o pokonywaniu infekcji, jak źle się czułam, okłamując czwórkę początkujących posiadaczy Diveny, i co przeżywałam podczas całej tej sytuacji z Mateuszem i podejrzeniami.

- Prawdopodobność jest bardzo ważna, kochanie - powiedziała mama. - Ale są sytuacje, kiedy lepszym wyjściem jest zatajenie prawdy. Kłamstwo zawsze jest złe, ale lepiej, jeśli czasem prawda wyjdzie na jaw trochę później. Poza tym nikt nie powiedział, że jej zatajenie jest równoznaczne z kłamstwem. - Westchnęła. - Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałabym dziś poruszyć. - Jej głos przybrał poważny ton, jak zawsze, gdy mówiła o czymś, co było trudne. Spojrzałam na nią uważnie. Była spokojna. - Córeczko, wakacje niedugo dobiegną końca. Mam nadzieję, że rozmyślałaś trochę na temat przyszłości, bo chciałabym

wkrótce usłyszeć twoją decyzję. Wiem, że to trudne, ale czas się kończy.

Zmarszczyłam brwi i siedziałam przez chwilę, nic nie mówiąc. Owszem - myślałam o tym i dojrzewała już we mnie decyzja, ale wcale nie była ona łatwa i przyjemna. W końcu powiedziałam:

- Mamo, myślę, że już wiem, co zrobię. Ale daj mi jeszcze trochę czasu na ugruntowanie tej decyzji. Chcę porozmawiać z kilkoma osobami.

Mama tylko skinęła głową. Wiedziałam, że mnie rozumie.

Weszłam do pokoju i ciężko usiadłam na fotelu przy biurku. Przed kilkoma minutami podjęłam chyba jedną z najważniejszych moich dotychczasowych życiowych decyzji. Postanowiłam ostatnią klasę liceum ukończyć we Włoszech, aby podszkolić sobie język, po czym starać się tam o przyjęcie na studia.

Wiedziałam, że ta decyzja będzie kosztowała mnie wiele smutku i tęsknoty. Wiedziałam też, że związek z Mateuszem może przez to bardzo ucierpieć... Przez ostatnie dni wakacji byliśmy praktycznie nierozłączni. Oczywiście wiedział on o moich rozmyślaniach, nawet je popierał, ale nie stawało się to dla mnie wcale łatwiejsze. Powiedziałam mu nawet o tym, że moja mama zrezygnowała z wyjazdu na studia, żeby nie stracić mojego taty, ale Mateusz szybko wybił mi z głowy ten pomysł, mówiąc:

- Nie rezygnuj tak łątuo z tak dobrze zapowiadającej się przyszłości. Przecież jakoś damy sobie radę. Będziemy mogli się w każdej chwili porozumiewać myślowo. Mi też będzie trudno, ale to nie jest powód, żebyś rezygnowała! Poza tym będę o ciebie spokojniejszy, bo tam będzie czuwał nad tobą Angelo.

To ta rozmowa chyba ostatecznie przekonała mnie do podjęcia takiej decyzji. Pozostało się jej trzymać. Musiałam spojrzeć na tę sytuację okiem osoby dorosłej i to mi pomogło. Jeżeli nie brać pod uwagę spraw Diveny i uczuć związanych z rozłąką z najbliższymi osobami, moja przyszłość przedstawiała się bardzo pozytywnie. Coś jednak czasem trzeba stracić, żeby coś innego zyskać.

Mateusz moją ostateczną decyzję przyjął ze spokojem, nawet się ucieszył. Ale od kiedy się o niej dowiedział, nie uśmiechał się już tak często i nie żartował tak dużo jak zwykle. Na lotnisku przed moim wylotem również był nieswój, choć widziałam, że starał się cały czas wyglądać na zadowolonego.

Na szczęście zaraz po przylocie do Neapolu wpadłam w taki wir zajęć, że nie miałam zbyt dużo czasu na kontemplowanie tęsknoty i bólu z powodu rozłąki. Mój ukochany wkrótce również przeprowadził się, rozpoczął pierwszy semestr studiów i też miał sporo pracy na uczelni, bo jego cowieczorne relacje, przesyłane myślami, z dnia na dzień były coraz mniej przepełnione smutkiem, choć zawsze czułam w nich tęsknotę.

Wolałabym sama na to zapracować, ale to tylko dzięki kontaktom wuja Dominika, u którego zamieszkałam, przyjęła mnie do ostatniej klasy jedna z najlepszych szkół średnich w Rzymie. Tam też mieszkałam przez cztery dni w tygodniu w apartamencie wuja, by w weekendy przyjeżdżać do Neapolu, gdzie piątek i sobotę spędzałam na nauce i powolnym wdrażaniu się w sposób pracy firmy Carmento, a niedzielę na odpoczynku i długich rozmowach z wujem Dominikiem.

W szkole początkowo miałam jeszcze małe problemy z językiem, ale już po dwóch miesiącach zapomniałam, że to nie język mojego dzieciństwa. Znajomi z klasy byli bardzo mili, ale czułam cały czas pewien dystans, na jaki trzymają się nawzajem. Każdy był tam szalenie ambitny i chciał być najlepszy. Dawałam z siebie wszystko, by utrzymać się na przyzwoitym poziomie. Mimo że nie zawsze efekty były najwyższe, to wuj był ze mnie bardzo zadowolony. Za każdym razem, gdy się martwiłam, powtarzał, że liczą się nabyte umiejętności, a nie otrzymana ocena. Ważniejsza była dla niego moja praktyka w jego firmie.

W ciągu tygodnia co dzień widywałam się z Angelo, który również uczył się w Rzymie. Podróże Rzym - Neapol zwykliśmy przebywać razem - było różnie, a poza tym był to jedyny czas, kiedy mogliśmy spokojnie porozmawiać. Resztę czasu zabierała mi nauka. Regularnie też uczestniczyłam w posiedzeniach Rady Diveny.

Co kilka tygodni do willi Carmento na weekend przyjeżdżała Joasia. To były szalone dni, zupełne oderwanie

od codzienności. Zakupy, wycieczki, objadanie się i rozmowy do późna w nocy. Wuj Dominik bardzo chwalił te przyjazdy mojej przyjaciółki, twierdząc, że przywracają na mojej twarzy uśmiech, którego na co dzień tam brakuje. Chwalił też troskę Angelo o mnie, choć początkowo dziwiła go gorliwość mojego kuzyna.

Wuj wiedział o całej tajemnicy Diveny od moich rodziców, ale dopiero na kilka dni przed naszym wspólnym wyjazdem do domu na święta Bożego Narodzenia zebrałam się na odwagę, by z nim o tym porozmawiać.

Był późny, sobotni wieczór. Na zewnątrz było dość chłodno, nawet jak na włoski klimat, więc w wielkim kominku płonął ogień. Jak zwykle po obejrzeniu w salonie wieczornych wiadomości wuj zaszył się w swojej bibliotece – gabinecie. Zapytałam jeszcze Mateusza w myślach, po raz chyba setny, czy to dobra decyzja, a on również po raz setny zapewnił, że tak, po czym delikatnie zapukałam do masywnych drzwi. Weszłam, usłyszawszy ciche zaproszenie.

Wuj siedział za biurkiem, na którym leżały rozłożone stosy papierów i teczek. Na mój widok ściągnął okulary i podniósł się, gestem zapraszając mnie do środka.

- Wejdz, kochana. Myślałem, że to ktoś ze służby. Nieczęsto mam przyjemność mieć wieczorami tak radosne odwiedziny. - Zmrużył oko. - Usiądź, proszę.

- Nie przeszkadzam ci, wuju? - zapytałam, żeby się upewnić.

- Moja droga, znam cię nie od dziś, ani nawet od wczoraj. Przeczynałem od jakiegoś czasu, że masz mi coś ważnego do powiedzenia, więc właściwie można powiedzieć, że czekałem na ciebie. Siadaj i mów.

Trochę jeszcze spięta, usiadłam na stylizowanej na wczesne rokoko sofie. Podniosłam głowę i spojrzałam na uśmiechającego się wuja, który chwilę wcześniej usiadł w fotelu obok. Popatrzyłam w jego pełne ciepła oczy i uświadomiłam sobie, że ten człowiek, który właściwie zawsze był mi bliski, w ciągu tych ostatnich miesięcy stał się moim ojcem i matką. W tym też momencie wszelkie z wątpienie się rozwiało.

- Chciałam z tobą mówić, wuju, o czymś, co już wiesz, choć może o tym nie myślisz - powiedziałam, zastanawiając się jednocześnie usilnie, dlaczego tak owijam w bawełnę, zamiast od razu powiedzieć, o co mi chodzi.

- Zapewne mówisz o tym niezwykłym darze, przekazywanym w twojej rodzinie. - Wuj raczej stwierdził, niż zapytał, przy czym wcale nie wyglądał na zaskoczonego. - Wiem, że jest to dla was coś bardzo ważnego, czemu się wcale nie dziwię. - Kiwnęłam głową. - A twój sposób mówienia sugeruje, że tym żyjesz. O wiele spokojniej podchodziła do tego daru twoja matka. - Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym poparcia i spokoju, jakby już wszystko wiedział.

- Nie mogę podchodzić do tego spokojniej, wujku. Niestety. Bo, jak słusznie zauważyłeś, ja tym żyję, muszę tym żyć... - Przerwałam na chwilę, po czym wzięłam

głęboki oddech i powiedziałam: - W naszej hierarchii Wojowników Diveny, z woli chyba tylko samej Diveny, przypadło mi w udziale zaszczytne ostatnie miejsce.

- To znaczy, że to ty... - Wuj sprawiał wrażenie, jakby potrzebował tylko potwierdzenia.

Skinęłam głową i powiedziałam:

- To znaczy, że jestem Dziedzicem Diveny.

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza. Czułam się wreszcie spokojniejsza i pewna tego, że zrobiłam dobrze.

- To piękne, co powiedziałaś - rzekł wuj - że ten dar to dla ciebie nie sposób na osiągnięcie władzy, ale służba. Jestem z ciebie dumny, zwłaszcza że jesteś dla mnie jak córka. - Uśmiechnął się. - Dlatego proszę, uważaj na siebie.

Kiwnęłam głową, po czym zaczęłam opowiadać o Próbie, misji w miejscu narodzin mojego Przodka i o tym, co mnie jeszcze na pewno czeka. Spać położyłam się, gdy zaczynało już świtać, z przeświadczeniem, że mam ogromne szczęście, że los stawia na mojej drodze tak wspaniałych ludzi jak mój wuj.

- Dałbym wszystko, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła - powiedział Mateusz, patrząc na mnie z czułością.

- Przecież to tylko chwila - odparłam, uśmiechając się.
- Spróbujmy zasłużyć na wieczność.

Szłam z Mateuszem przez znajomy park niedaleko osiedla, na którym mieszkałam. Było popołudnie, łyse drzewa dumnie nosiły na sobie skrzący się biały puch, który

spadł z nieba wczorajszej nocy. Mróz szczypał w nosy i uszy, ale to nie przeszkadzało mojemu rodzeństwu szaleć na śniegu. Dopiero co skończyliśmy budować wielkiego bałwana i rękawiczki im trochę przemokły, więc postanowiliśmy odprowadzić tę kochaną gawiedź do domu na gorącą herbatę z cytryną.

Mały Szymon zrobił nagle ogromny, jak na niego, zamach i rzucił w Mateusza śnieżką, po czym uczynił „w tył zwrot” i zaczął uciekać co sił w krótkich nóżkach.

- O, ty mały łobuzie! - Mateusz udał, że się złości i rzucił się za nim w pogoń.

Ze śmiechem patrzyłam, jak dogania malca, unosi go w powietrze i rzuca się razem z nim w stertę śniegu. Martynka popędziła za nimi. Gdy w końcu przestali się tarzać w białym puchu i śmiać wniebogłosey, otrzepałam dzieciakom kurtki ze śniegu i wzięłam brata na ręce. Ten jednak oznajmił, że koniecznie chce do Mateusza, więc nie oponowałam. Mój ukochany zawsze miał dobry kontakt z Szymonem. Spojrzałam, jak malec naciąga chłopakowi czapkę na oczy, śmiejąc się przy tym radośnie, a Mateusz cierpliwie ją poprawia i jedną ręką podtrzymując mojego braciszka, drugą sprawdza, czy nie za bardzo wyziębiły mu się rączki. Serce mi zadrżało, gdy pomyślałam, jak wspaniałym będzie kiedyś ojcem.

Przyjechałam do domu wraz z wujem Dominikiem poprzedniego dnia. Przywitałam się ze wszystkimi, ale najbardziej nie mogłam się doczekać tego upragnionego spotkania z Mateuszem. Po tych miesiącach rozłąki dużo

rzeczy się zmieniło, musieliśmy znaleźć czas, żeby o tym wszystkim porozmawiać. Tyle tylko, że moje rodzeństwo od wczoraj nie chciało odstąpić mnie ani na krok. Wpadliśmy więc na pomysł, że jeśli zabierzemy dzieciaki do parku, żeby się wyszalały na śniegu, to zmęczą się na tyle, że pójdą wcześniej spać. Nasz niecny plan się powiódł, bo dzieciaki nie zdołały nawet obejrzeć dobranocki. W końcu mieliśmy trochę czasu dla siebie, choć nie za wiele, bo zostały tylko trzy dni do Wigilii, a dom był jeszcze nie do końca posprzątany. Mimo zimna, by nikt nam nie przeszkadzał, postanowiliśmy wybrać się na mały spacer.

Długi czas szliśmy w milczeniu, po prostu ciesząc się tym, że jesteśmy blisko siebie. W końcu Mateusz przerwał ciszę.

- Brakowało mi bardzo twojej obecności. Mimo tego, że cały czas mam przy sobie twoje zdjęcie i że w każdej chwili mogę usłyszeć twój głos. To tak, jakbyś była przy mnie, ale tylko w części. Jakbyś nie była cała moja... - Zatrzymał mnie i obrócił delikatnie ku sobie. - Rozumiesz mnie?

- Czuję to samo - odpowiedziałam. - I w dodatku jestem o ciebie zazdrosna... - Dotknęłam dłonią jego policzka. - Ale co my możemy na to wszystko poradzić?

- Justyna, jesteśmy dorośli. Możemy zrobić bardzo dużo. - Jego ton stał się poważny i stanowczy. - Wiem, że jesteśmy ze sobą krótko, ale znamy się już bardzo długo. Nadal czuję się twoim przyjacielem, ale teraz łączy nas coś więcej. O wiele więcej. Tylko że przez tę rozłąkę oddalamy się od siebie.

- Mateusz, ale...

Nie dał mi skończyć.

- Wysłuchaj mnie do końca, proszę - powiedział.

Spojrzałam mu w oczy i wiedziałam już, że jeżeli tej rozmowy nie skończymy, to bardzo trudno będzie nam być ze sobą. Skinęłam więc tylko głową, a on mówił dalej:

- Bardzo cię kocham, najdroższa. Chciałbym dzielić z tobą całe moje życie... mimo tego, że jesteśmy na to za młodzi... przynajmniej według niektórych. - Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - Ale ta odległość wszystko psuje. Ja mam moje towarzystwo na uczelni, ty masz swoje w szkole i mimo tych codziennych opowieści, jakie sobie snujemy o codzienności, to nie są nasi wspólni znajomi. Tak samo jest z nowymi miejscami, rzeczami. To nas od siebie oddala. Dla mnie ta sytuacja jest bardzo trudna... - Zamilkł i spojrzał na mnie, szukając zrozumienia.

Zmarszczyłam brwi i zapytałam powoli:

- Chcesz, żebym zrezygnowała z moich planów?

- Więc to są twoje plany? - spytał z nutką goryczy. - Nie uwzględniłaś mnie w nich?

- Nie! To nie tak! - zachnęłam się, karcąc się w duchu za kompletnie nietrafiony dobór słów.

- Więc jak? - Jego ton był mieszaniną smutku i nadziei. Czekał na moje słowa.

- Kocham cię - powiedziałam, a on skinął głową. - I to jest właśnie największy problem. Czeka nas walka ze Złem. Dlatego nasz związek nigdy nie będzie normalny, zawsze będzie pełen napięcia i strachu. Zło najpierw, żeby mnie

osłabić, zacznie atakować ludzi najbliższych memu sercu! Poza tym chciałabym, żeby nasz związek opierał się na tym, że chcemy być ze sobą z miłości, a nie dlatego, że wiążą nas sprawy Diveny.

- Rozumiem twoje obawy - powiedział twardym głosem.
- Ale to wszystko mi po prostu nie pasuje. Nie wierzysz w nasze uczucie?

- Wierzę za mocno - odparłam, zatrzymując się i patrząc mu prosto w oczy.

Mateusz chwilę wpatrywał się we mnie, po czym ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

- Przez te ostatnie trzy miesiące rozłąki, będąc wśród nowych znajomych w nowym środowisku, zdążyłem wiele razy przemyśleć i ugruntować swoje patrzyenie na pewne sprawy. Zauważyłem po pierwsze, że... - Zaśmiał się. - To zabawne, ale ludzie w moim wieku, a nawet starsi, patrzą na życie z perspektywy dzieci... Nie myślę w ten sam sposób. Nie wiem, kiedy się tak zmieniłem, bo zauważam w ich zachowaniach samego siebie sprzed... sprzed spotkania ciebie. I sprzed Próby. - Zamyślił się na chwilę. - W każdym razie dojrzałem do pewnych decyzji i doszedłem do wniosku, że bez ciebie wszystko, co robię, nie ma najmniejszego sensu. Nie chcę, żebyś dla mnie rezygnowała ze swojej przyszłości. Chcę po prostu tę przyszłość z tobą dzielić. Chciałbym, abyśmy tę sprawę załatwili jak ludzie dorośli. Dlatego powiedziałem ci, co czuję i myślę. I dlatego proszę cię, abyś przemyślała to, co powiedziałem bardzo dokładnie. Tylko pamiętaj, ja naprawdę kocham cię bez

względu na to, czy łączy nas Divena, czy jakakolwiek inna fantastyczna siła. - Uśmiechnął się do mnie ciepło, a mnie zrobiło się lekko na sercu.

- Ja też pokochałam cię długo przed tym, zanim połączyły nas sprawy Diveny - odparłam.

- Gdyby nie to nasze zakochanie, pewnie nie pojechałbym za tobą do Włoch, ale raczej w góry z chłopakami. I nie stałbym się członkiem Drużyny - dodał.

- Przez moją głupotę. - Zdenerwowałam się nieco. - Gdybym nie zaciągnęła was w labirynt tego zamku...

- Ciii... - Chłopak położył mi palec na ustach. - Pamiętaj, że nic, co związane jest z Diveną, nie dzieje się przez przypadek i bez celu.

Tego wieczoru nie padło już między nami ani jedno słowo. Mateusz odprowadził mnie pod dom, lekko cmoknął w policzek i odszedł. Długo patrzyłam, jak się oddala i staje się coraz mniejszy, aż pomyślałam sobie, że tak właśnie zacznie znikać z mojego życia, jeżeli nic nie zrobię. I zdałam sobie sprawę z tego, że miał rację w tym, co mówił. Ta odległość sprawia, że się cofamy, oddalamy od siebie.

Nie wiem, jak długo tak stałam przed domem, wpatrując się w pustą już dawno ulicę. Zdążyłam nawet trochę zmarznąć, gdy znikąd pojawił się mój ojciec i spojrzał na mnie tak, jakby rozumiał, że cierpię.

- Tato... - powiedziałam. - Czy ja mam prawo do zwykłego szczęścia?

- Wychowałem cię najlepiej, jak umiałem, Justynko. Mimo że jesteś jeszcze młoda, masz już doświadczenie większe niż niejeden człowiek o wiele starszy. Dojrzałaś bardzo szybko i wierzę w to, że podejmiesz dobrą decyzję względem młodego Wersela. - Zarumieniłam się i spojrzałam na tatę. On uśmiechnął się, po czym położył dłonie na moich ramionach i powiedział poważnym tonem: - Pamiętaj, córeczko, o tym, że nie czeka cię zwykłe życie. Czuję, że zbliża się okres niepokoju. Musisz więc wykorzystywać dany ci czas najlepiej, jak potrafisz.

Uścisnął mnie po ojcowsku i zaprowadził do domu na kubek gorącego kakao. Zasnęłam spokojna, mając nadzieję, że decyzja, którą podejmę, będzie dobra. I da mi szczęście.

- To dla ciebie. Połóż pod choinką - powiedziałam, uśmiechając się do Kasi.

- Ty też nie otwieraj swojego przed Wigilią. - Zaśmiała się.

Był dzień Wigilii. Przyszłam odwiedzić przyjaciółkę w domu i poplotkować trochę. Została w naszej starej klasie. Chciałam się dowiedzieć, co słyhać u kolegów i nauczycieli. Chciałam też jeszcze przed Wigilią zobaczyć się z Mateuszem. Niestety nie było go w domu. Poczułam się trochę, jakby czas się cofnął, jakbym znów przyszła do mojej przyjaciółki, żeby przez przypadek na niego wpaść i zamienić choć kilka upragnionych słów... Jakbym się cofnęła do samego początku naszej znajomości. Poczułam

się jak małolata, ale z drugiej strony znów przyznałam rację temu, co mówił – że się od siebie oddaliśmy.

- Hej, co tak się zamyśliłaś? – zapytała Kasia.

- Nie wiem, jak to będzie teraz – powiedziałam posępnie.

- Chodzi o Mateusza? – Skinęłam głową. – Wiem, że mój brat bardzo to przeżywa. Tak bardzo wydorósł... Ma dopiero dwadzieścia lat, ale zachowuje się, jakby miał ze trzydzieści. – Zaśmiała się. – Śmiesznie mieć nagle takiego starego brata, a pomyśleć, że jest tylko półtora roku starszy ode mnie. – Przyjaciółka jak zwykle paplała, żeby mnie oderwać od myślenia. Jednak gdy zobaczyła, że jej zabiegi nie dają efektu, chwyciła mnie za rękę i zapytała: – Rozmawiałaś z nim o tym?

- Tak. Prosił mnie, żebym przemyślała wszystko i dała mu znać, jaką decyzję podjęłam. Ale ja nie wiem, co powinnam mu powiedzieć... O jaką decyzję mu chodzi? – Spojrzałam błagalnie na przyjaciółkę. Ta popatrzyła na mnie w zamyśleniu, po czym stwierdziła:

- Sądzę, że mój brat ma w stosunku do ciebie poważne zamiary. Potrzebuje tylko jakiegoś potwierdzenia z twojej strony. Ale nie mam pojęcia, o co dokładnie mu może chodzić.

Westchnęłam.

- Ja go po prostu kocham – powiedziałam.

- To mu po prostu to powiedz.

XXVI

- Zaraz siadamy do stołu! - Głos babci dochodził do mnie z kuchni, po chwili usłyszałam tupot dziecięcych nóg na schodach.

Wróciłam z salonu do kuchni po kolejny półmisek z wigilijnym daniem. Jak co roku przyjechała do nas babcia, no i gościliśmy oczywiście wuja Dominika. Atmosfera była pełna radości i spokoju. Właśnie takich świąt z rodziną teraz najbardziej potrzebowałam. Moje myśli jednak cały czas wędrowały w okolice domu stojącego kilka ulic dalej.

Kiedy wcześniej byłam u Kasi, Mateusza nie było. Nie chciałam wysłać mu wiadomości, żeby się pospieszył i wracał, bo po pierwsze - nie miałam pojęcia, gdzie jest, a po drugie - czułam, że nim porozmawiamy ponownie, musimy dać sobie trochę czasu. Na szczęście zdołałam wręczyć mu prezent. Wpadł na chwilę przed moim wyjściem, objął, złożył życzenia i wymógł na mnie obietnicę, że jutrzejszy dzień spędzę z nim. Nie mogłam obiecać mu całego dnia, ale popołudnie i wieczór - owszem, co zresztą robiłam z przyjemnością, widząc, jaki był tego dnia radosny.

Po kolacji odbyło się otwieranie prezentów - raj dla mojego rodzeństwa. Zwłaszcza że w tym roku wuj Dominik nie szczędził pieniędzy na rozpieszczanie Szymona i Martynki. Jakby chciał zadośćuczynić temu, że zabrał im siostrę. Radość i piski rozanielonych dzieciaków rozbrzmiewały przez cały wieczór.

Ten świąteczny dzień uświadomił mi, jak bardzo brakowało mi mojej rodziny. Na co dzień po prostu o tym nie myślałam, ale w takich momentach jak ten zaczynałam rozumieć, jak kruche jest to ciepło domowego ogniska. Te przemyślenia uświadomiły mi, że zbliża się czas, kiedy i ja stanę przed zadaniem zbudowania takiego ogniska. I wiedziałam już, że jest tylko jedna na tym świecie osoba, którą widziałam w roli drugiej połowy tego interesu.

- Z chęcią dałbym mu w pysk! - powiedział Mateusz ze złością.

- Spokojnie... - Ścisnęłam go za rękę. - Dobrze, że nie dałeś mu się sprowokować.

Przed kilkunastoma minutami Mateusz przyszedł po mnie. Najpierw poszliśmy na spacer, a potem chciał mnie dokądś zabrać samochodem ojca, więc musieliśmy wrócić do jego domu. Szliśmy sobie spokojnie brzegiem parku, kiedy nagle znikąd wyłonili się starzy znajomi Mateusza - Łysy i Bastek. Herszt puścił na nasz widok wiązankę, ale na szczęście Mateusz zdołał się opanować i zignorował chłopaka. Teraz starałam się go uspokoić. Zachowanie Łysego było poniżej wszelkiego poziomu i uważałam, że nie

było sensu się niepotrzebnie złościć. W końcu Mateusz przyznał mi rację, westchnął głęboko i uśmiechnął się.

Dotarliśmy do domu, wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy. Nie wiedziałam, dokąd Mateusz miał mnie zamiar zabrać. Za żadne skarby nie zgodził się tego zdradzić. Byłam jednak pełna pozytywnych myśli, bo nie sprawiał już wrażenia tak zdesperowanego i smutnego jak poprzednim razem, gdy rozmawialiśmy. Cieszyło mnie, że nie naciskał na moją decyzję, o którą prosił, ale zachowywał się zupełnie normalnie, jakby nie było tamtej rozmowy. Choć wiedziałam, że musimy do niej wrócić.

Jechaliśmy ponad godzinę, aż dotarliśmy do miasta, w którym Mateusz studiował. Chłopak zaparkował auto, po czym wziął mnie za rękę i prowadził sobie tylko znanymi uliczkami. W końcu weszliśmy do małej, przytulnej kawiarenki, urządzonej w ciemnym drewnie, umeblowanej antykami i mnóstwem pnących się kwiatów. Nie wiem, skąd mój chłopak tak dobrze znał mój gust, ale trafił genialnie – bardzo mi się tu podobało. Okna były przysłonięte, a światło rzucały małe, halogenowe lampki, tworząc niepowtarzalny klimat. W tle leciała przyjemna muzyka. Lokal był w większości zajęty, ale okazało się, że Mateusz wcześniej zarezerwował dla nas stolik.

Usiedliśmy w przytulnym kąciku i złożyliśmy zamówienie. Dopiero teraz spojrzałam na Mateusza. Wyglądał tak przystojnie w czarnej koszuli rozpiętej pod szyją. I cudownie pachniał. Dlatego też nie dziwiłam się znanym kelnerce, która, gdy przyniosła nasze

zamówienia, cały czas wpatrywała się w mojego chłopaka z zachwytem. Uśmiechnęłam się tylko pod nosem. Mateusz chyba zorientował się, co mi chodzi po głowie, bo spojrzał na dziewczynę z ukosa, po czym puścił do mnie oczko i uśmiechnął się.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, dzieląc się przeżyciami i emocjami, które grały w nas, gdy byliśmy daleko od siebie. Poczułam, jak ta rozmowa różni się od relacji, które sobie zdawaliśmy co wieczór przez ostatnie trzy miesiące. Cieszyłam się, że dzięki Divenie mogliśmy kontaktować się myślowo, ale nic nie zastąpi prawdziwej rozmowy, bliskości drugiej osoby. Napawaliśmy się więc oboje tą obecnością.

- Chciałbym cię o coś zapytać - powiedział Mateusz, kiedy już skończyliśmy posiłek i na stole pozostała tylko szklanka wody Mateusza i zamówiona przeze mnie lampka czerwonego wina. - Czy myślałaś nad tym, co ci powiedziałem?

- Oczywiście. - Skinęłam głową, spinając się nieco, i odłożywszy na talerz serwetkę, którą nieświadomie miałam, chciałam schować rozedrgane dłonie pod stół. Mateusz był jednak szybszy. Ujął mnie za ręce i otoczył je swoimi dłońmi. Ten jego uspokajający dotyk sprawił, że odprężyłam się nieco. Wiedziałam, że przez ten gest chłopak chce mi dać do zrozumienia, że mnie wspiera i rozumie. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

- Jeżeli już się zdecydowałaś, co myślisz o przyszłości naszego związku, chciałbym to usłyszeć - powiedział

w końcu, spoglądając mi w oczy.

Przez chwilę tylko siedzieliśmy, patrząc na siebie. W końcu wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

- Nie do końca wiem, czego ode mnie oczekujesz. Ale wiem od innych i sama czuję, że bardzo dojrzałam, od kiedy dowiedziałam się, że jestem Dziedzicem. Nie wiem, czy to Divena tak na mnie działa, czy nowe doświadczenia, jednak wiem, że się zmieniłam. Że minął czas beztroski, a przyszedł czas na odpowiedzialne decyzje. - Spojrzałam na niego. - Chcę więc, żebyś wiedział, że kocham cię nad życie. I jeśli twoje zamiary są tak poważne, jak mówiłeś, to... może to po staroświecku zabrzmieć, ale: daję ci nadzieję... - Uśmiechnęłam się do niego niepewnie, rumieniąc się po czubki uszu.

- Najdroższa... - wyszeptał tylko. Jego oczy wprost promieniały radością i miłością. Poczułam, że i mnie ogarnia radość. - Będę się więc o ciebie starał - dodał jeszcze, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd płaskie, podłużne pudełeczko.

- Co to? - zapytałam, gdy mi je podał.

- Nie dałem ci jeszcze prezentu świątecznego. - Uśmiechnął się ciepło.

Powoli rozwiązałam złotą wstążeczkę i rozerwałam delikatnie granatowy papier w gwiazdki. Oczom moim ukazało się aksamitne etui. Niepewnie spojrzałam na chłopaka, który gestem i uśmiechem zachęcił mnie do otwarcia pudełka. Zrobiłam więc to i zobaczyłam znajdujący się wewnątrz prześliczny złoty łańcuszek, gustowny,

a przede wszystkim wyglądał na mocny na tyle, by utrzymać pustą na razie oprawę wisiora. Spojrzałam na Mateusza.

- Wreszcie będziesz miała na czym zawiesić Divendiego. Zobacz, został zrobiony tak przemyślnie, że nie trzeba go będzie oddawać do złotnika do oprawy.

Spojrzałam na niego czule. Pomyślał o wszystkim.

- Tak bardzo cię kocham... - powiedziałam.

- Nie mów mi tego teraz - odparł ku mojemu zaskoczeniu, a w jego oczach zapaliły się znajome iskielki. - Nie, kiedy jesteśmy w kawiarni i nie mogę cię pocałować...

Wkrótce opuściliśmy przytulne miejsce, a w drodze powrotnej do domu zahaczyliśmy jeszcze o jezioro. Chcieliśmy pospacerować jego brzegiem. Wiał tylko delikatny wietrzyk, a zachód słońca był przepiękny.

Mateusz wziął ode mnie Divendiego i wstawił do oprawy, założył mi go na szyję i zaraz opatulił mnie szalikiem. Obrócił mnie ku sobie, objął i przysunął do siebie. Objęłam go za szyję, a on powiedział:

- Jak już będę duży i mądry, to nie będę nosił zimowej kurtki, bo to ogranicza ruchy, jak się chcę do kogoś przytulić. - Roześmialiśmy się oboje, po czym, jak para dzieciaków, rzuciliśmy się w śnieg i zaczęliśmy się nim obrzucać.

W końcu zasapana wylądowałam na plecach, śmiejąc się nadal i nie mając siły się podnieść. Mateusz pochylił się nade mną i spojrzał głęboko w oczy. Uśmiechnęłam się do niego.

- Czy teraz mogę? - zapytałam.

- Co? - zdziwił się.

- Powiedzieć, że cię Kocham? - Uśmiechnął się łobuzersko, słysząc moje słowa.

- Czy ja wiem... - Mrugnął. - No dobra. Niech ci będzie. Możesz. - Oberwał śniegiem, który naprędce zgarnęłam w rękę. Potarł moją czapkę, po czym spojrzał na mnie z czułością.

- Kocham cię - powiedziałam.

- Ja ciebie też - odparł i pocałował mnie.

Do domu wróciliśmy przemoczeni. Wieczorem rozkichałam się na całego, ale byłam zbyt szczęśliwa, by się przejmować przeziębieniem.

- No to zostaje nasz pub, tak jak w zeszłym roku. Biorą tylko sto pięćdziesiąt złotych od pary, więc nie jest tak źle. A przynajmniej będziemy, jak dobrze pójdzie, wszyscy razem. - Kamil podjął za całą naszą paczkę ostateczną decyzję, gdzie wybierzemy się na zabawę sylwestrową.

Na wyciągniętej przez Filipa kartce wszyscy się zaraz zapisali, w miarę możliwości parami, i oddaliśmy kartkę w ręce Kamila. Jego w tym głowa, żeby wpisać nas na listę gości. Nasza sytuacja była o tyle uprzywilejowana, że ciotka Kamila była właścicielką pubu, a że od lat tam chodziliśmy i nie był to nasz pierwszy spędzany tam Sylwester, mogliśmy mieć pewność, że - mimo iż było późno - miejsca dla nas się znajdują. Zabawa zapowiadała się więc świetnie.

Rzeczywiście spotkaliśmy się w pełnym gronie. Razem przywitaliśmy Nowy Rok i bawiliśmy się do samego rana. Tańczyliśmy do ostatnich sił, w przerwach rozmawiając i śmiejąc się, jak za dawnych czasów, jeszcze zanim wyjechałam do Włoch, a część paczki wyemigrowała na studia. Czułam się, jakby nic od tamtej pory się nie zmieniło. I było mi z tym bardzo dobrze.

Byłam tym bardziej z siebie zadowolona, gdyż udało mi się skojarzyć pewną bardzo mi bliską parę. Kasia nie miała z kim pójść na zabawę sylwestrową, a wiedziałam, że mimo swojej gadatliwości i przebojowości jest zbyt nieśmiała, by zaproponować któremuś z chłopaków, żeby poszedł tam z nią na stopie koleżeńskiej. Namówiłam więc Filipa, który też nie miał partnerki, żeby zaprosił Kasię. Początkowo trochę się wahał, ale ostatecznie przekonałam go.

- Zobacz - powiedziałam do Mateusza, gdy tańczyliśmy jakąś powolną piosenkę.

- Co? - zapytał, rozglądając się dyskretnie.

- Twoja siostra i Filip. Tacy w siebie wpatrzeni...

- No, no, no... ładnie. Ale z ciebie swatka. - Zaśmiał się.

A może coś z tego będzie? - pomyślałam i uśmiechnęłam się do tych swoich myśli. Do domu wróciliśmy rankiem, zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi.

- Oczywiście. Nawet nad tym myślałem, ale to się da załatwić - zapewnił Mateusz, po czym spojrział w drzwi, w których właśnie się pojawiłam.

Był dzień mojego wyjazdu do Włoch. Spałam trochę dłużej, ponieważ samolot mieliśmy dopiero późnym popołudniem. Wielkie było moje zdziwienie, gdy wychodząc z pokoju jeszcze w piżamie, usłyszałam dobiegający z kuchni głos Mateusza rozmawiającego z moją mamą. Wróciłam więc do pokoju, ubrałam się szybko i zeszłam na dół.

- Coś się stało? - zapytałam, poprawiając rozczochrane jeszcze włosy.

- A co się miało stać? - zapytała mama, patrząc porozumiewawczo na Mateusza.

- Nie wiem - odparłam i spojrzałam podejrzliwie na chłopaka.

- No co? - zapytał, uśmiechając się tajemniczo. - Rozmawiałem tylko z twoją mamą.

Wzruszyłam ramionami i podeszłam do lodówki. Mama wyszła z kuchni, a Mateusz podszedł i przytulił mnie.

- Co ty kombinujesz? - zapytałam, wyswobadzając się z jego ramion i wyjmując z szafki szklanki, żebyśmy mogli napić się soku.

- Staram się o ciebie - powiedział i uśmiechnął się szelmowsko. - Dziękuję - dodał, gdy podałam mu szklankę z sokiem.

- U mojej mamy? - zdziwiłam się.

- U wszystkich, u których to możliwe. Odwiozę was dziś na lotnisko. Mam jeszcze sprawę do twojego wuja. Możesz zobaczyć, czy już wstał?

- Mhm - mruknęłam ze zdziwieniem i poszłam na górę.

Wuj, jak to miał w zwyczaju, obudził się bardzo wczesnym rankiem, zjadł śniadanie i teraz czytał gazetę. Poprosił, żeby przysłać Mateusza do pokoju gościnnego. Nie wnikałam, co to za konszachty ma nagle mój ukochany z połową mojej rodziny. Przypuszczałam, że i tak prędzej czy później się dowiem. Zeszłam więc z powrotem na dół, wysłałam Mateusza do wuja, po czym, zjadłszy śniadanie, poszłam pakować swoje rzeczy.

Mateusz odwiózł nas na lotnisko. Nasze pożegnanie nie było takie jak ostatnio. Ja byłam spokojna, choć nieco smutna, natomiast Mateusz wydał mi się nawet zadowolony. Uścisnął mnie mocno i powiedział:

- Nie martw się. Skończysz semestr, a ja postaram się odwiedzić cię w czasie ferii zimowych. Tylko miesiąc nie będziemy się widzieli.

Miał rację. To było dla mnie niezwykle. Jeszcze kilka tygodni temu byłam w dołku - od trzech miesięcy się z nim nie widywałam, czułam, że się od niego oddalam, a teraz? Kolejne rozstanie, ale łatwiejsze niż poprzednie - no i tylko na miesiąc. Ponadto sprawa naszego związku została w pewnym sensie ugruntowana. Ja podjęłam decyzję i pozostawiłam Mateuszowi wolną rękę.

Do Neapolu dotarliśmy późną nocą. Na szczęście do rozpoczęcia nauki miałam jeszcze dwa dni, więc zdążyłam na nowo przyzwyczać się do południowego klimatu i naukowej atmosfery, przypominając sobie, co to znaczy szkoła.

Jak przez mgłę docierało do mnie, że te ostatnie zimowe dni gdzieś uciekają. Może za bardzo byłam zaaferowana ocenami na pierwszy semestr ostatniej klasy, a może raczej moje dni stały się jakąś rutyną. Jedyne, co trzymało na przyzwoitym poziomie moje samopoczucie, to świadomość, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, już wkrótce zobaczę Mateusza.

Wreszcie otrzymałam wypis ocen semestralnych i przyjechałam z Rzymu do neapolitańskiej willi wuja Dominika z większym niż zazwyczaj bagażem. Miałam ponad dwa tygodnie wolnego. Cieszyłam się na ten odpoczynek, zwłaszcza że miała nas odwiedzić moja rodzina. Na miejscu dowiedziałam się od wuja, że moi rodzice i rodzeństwo przyjadą za dwa dni. Uścisnęłam go więc tylko i pobiegłam do swojego pokoju na piętrze. Tam, nie rozpakowawszy się jeszcze, od razu postanowiłam skontaktować się z Mateuszem.

Od czasu pamiętnego wieczoru w kawiarni nasze rozmowy zmieniły się. Były częstsze i, choć nadal obfitowały w spontaniczność i gadanie o głupotach, stały się bardziej poważne, pełne planów, rozmów o przyszłości, ale i o sprawach Diveny. Bardzo mnie to cieszyło, byłam totalnie w nim zakochana, nie potrafiłam myśleć o niczym i nikim innym. Na szczęście udawało mi się jakoś mobilizować do nauki, co zawdzięczam też wsparciu Mateusza. Zresztą i on nie miał lekko na uczelni, lada dzień miał zdawać egzaminy. Od tego, jak one mu pójda,

uzależnione było to, czy zdoła wygospodarować czas, by mnie odwiedzić.

- Kochanie, jak ci idzie nauka? - wysłałam.

- Jeszcze tylko powtórki i być może za trzy dni będzie już po wszystkim! - odpowiedział niemal natychmiast z entuzjazmem. Uśmiechnęłam się, gdy usłyszałam jeszcze:
- Nie mogę się doczekać, kiedy cię znów zobaczę...

- Jeszcze tylko trochę. Minie, ani się obejrzysz! - wysłałam i skończyłam tę krótką rozmowę. Nie chciałam zabierać mu tak cennego czasu. Znałam jednak jego ambicję i zdolności, więc byłam pełna dobrych myśli. Z uśmiechem na ustach zabrałam się do rozpakowywania swoich rzeczy. Kilkanaście minut później ubrawszy się ciepło, wyszłam do ogrodu i ruszyłam do pamiętnej altanki, w której po raz pierwszy zobaczyłam Kamień Diveny. Zwykle to tam udawałam się, kiedy miałam się przenieść na posiedzenie Rady. Dotarwszy na miejsce, usiadłam na ławeczce, chwyciłam w dłoń Divendiego i zamknąwszy oczy, przeniosłam się do Pałacu Dziedzica. Po tylu razach teraz robiłam to odruchowo. Podniosłam powieki i uśmiechnęłam się do wszystkich członków Rady. Nie widziałam ich niemal od miesiąca, ponieważ zależało mi na tym, by mieć czas na naukę. Przez ten okres sami kierowali wszystkimi poczynaniami, stosując się do moich instrukcji.

- Witajcie. Możemy zaczynać - powiedziałam, uśmiechając się. Podano mi raporty, wykaligrafowane starannie na pięknym papierze. Zawsze byłam pod wrażeniem tego, jak wszyscy tu dbali o piękno, nawet w tak

małych rzeczach. Zapoznałam się z nimi szybko i stwierdziłam z zadowoleniem, że wszystko idzie po naszej myśli.

Posiedzenie nie było długie. Ruszyły przygotowania do przedstawienia Dziedzica wszystkim Wojownikom. Udało nam się ustalić wstępny czas tego wydarzenia dla członków Głównej Czasoprzestrzeni na wiosnę. Zdałam się całkowicie na Radę, jeśli idzie o przygotowania. Ponoć już dawno ceremonia została zaplanowana, teraz pozostało tylko jej przygotowanie. Zapewne nie obędzie się bez podniosłych mów i symbolicznych gestów, na które nieszczególnie miałam ochotę. Ale nie było innego wyjścia, jak podporządkować się tradycji. Pozostawiłam jeszcze Radzie kilka wskazówek, po czym wróciłam do altanki.

- Ale cóż to znów za pomysł? - usłyszałam. - Żeby jeździć taksówką, podczas gdy wystarczyło dać znać i wysłałbym po ciebie samochód!

Zaciekawiona słowami wypowiedzianymi przez wuja, zaczęłam schodzić po schodach. Z pokoju kominkowego wybiegł nagle Szymon - rodzice z rodzeństwem już od dwóch dni gościli u wuja. Zobaczywszy mnie, odwrócił się w kierunku, z którego przybiegł, po czym położył paluszek na ustach, sugerując, żeby wszyscy siedzieli cicho.

- Szymon? - Spojrzałam zdziwiona na podekscytowanego braciszka. - Co się stało?

Chłopiec podbiegł do schodów, zaczekał na mnie i wyciągnął rączkę.

- Oć! Oć szybko! - powiedział i gdy chwyciłam go za nią, pociągnął mnie w kierunku pokoju kominkowego.

Zdziwiona dałam się mu poprowadzić. Weszłam do pomieszczenia i zaniemówiłam. Na środku, przy stercie bagaży, stał Mateusz.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, co zrobić. Zasłoniłam dłonią usta i stałam jak wmurowana, patrząc to na niego, to na uśmiechających się rodziców i wuja. W końcu Mateusz powiedział:

- Witaj...

Zrobiłam to, co podyktowały mi uczucia. Podbiegłam i rzuciłam mu się po prostu na szyję.

Kilkanaście minut później siedzieliśmy wszyscy, nadal w pokoju kominkowym, rozmawiając.

- Jak mogliście to przede mną ukrywać? - zapytałam z niedowierzaniem rodziców, dowiedziawszy się, że już od jakiegoś czasu wiedzieli o planowanym wcześniejszym przyjeździe Mateusza.

- Chłopak chciał ci sprawić niespodziankę, więc jak mogliśmy odmówić mu pomocy? - Zaśmiał się tato.

- Buuu... jesteście straszni. - Udałam, że się obrażam, a tato w zamian pokazał mi język. Roześmialiśmy się wszyscy.

Kilkanaście minut później, chcąc wreszcie spędzić kilka chwil tylko ze sobą, poszliśmy z Mateuszem do biblioteki wuja.

- Niesamowitą niespodziankę mi zrobiłeś - powiedziałam, zarzucając mu ręce na szyję. - Dziękuję.

Usiedliśmy na sofie i wtuliłam się w niego, tak jak o tym marzyłam od kilku tygodni.

- Miałem nadzieję, że pójde po ciebie do pokoju, ale skoro zeszłaś sama... - Uśmiechnął się. - Ale i tak byłaś bardziej zaskoczona, niż się spodziewałem. - Pocałował mnie w czubek głowy. - Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, ale o niej powiem ci dopiero wtedy, gdy dostanę od kogoś wiadomość.

- Oho... mężczyzna mojego życia zrobił się tajemniczy? - Zaśmiałam się. - Teraz będzie mnie zżerać ciekawość... Jesteś straszny!

- Mhm, jestem - powiedział pokornie. - A teraz powiedz, co u ciebie.

- Nieee... lepiej mów, jak twoje egzaminy.

- Nie mogę powiedzieć - odparł tajemniczym głosem.

- Mateusz, czy wszystko jest w porządku? - Podniosłam się i spojrzałam na niego, marszcząc brwi. Jego tajemniczość, mimo uśmiechu, jaki miał na twarzy, zaniepokoiła mnie i zaintrygowała.

- W najlepszym - odparł, uśmiechając się. - Szykuję dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, ale nie chcę jej zdradzać, zanim wszystko nie będzie pewne. Tymczasem powiedz, jak się wszystko układa.

- Z czym?

- Ze wszystkim. - Spowaźniał. - Jak sprawy Diveny?

- Ech... - Westchnęłam. - Szykujemy się do przedstawienia Dziedzica. Czas nagli. Ale nie pozwoliłam Vertusowi na zawracanie sobie głowy teraz, kiedy miałam

egzaminów semestralnych w szkole. Zwłaszcza że część przedmiotów właśnie się kończyła. Ustaliliśmy tylko, że on i Rada Diveny wszystkim się zajmą, a cała impreza odbędzie się późną wiosną, jak już będę po maturze. Jeszcze sami dokładnie nie wiemy kiedy.

- Rozumiem. A co u Joasi? Kilka razy rozmawiałem z nią przez internet, ale ostatni raz był już dawno temu. W zasadzie to przede mną... wiesz, nauka, egzaminy... - Pokiwałam głową.

- Ma się jak najlepiej. Była tu nie dalej jak dwa tygodnie temu. Nie może niestety spotkać się z nami w czasie przerwy zimowej, ale już wie na pewno, że na wakacje przyjeżdża do babci.

- Świetnie. - Ucieszył się. - A kiedy przyjedzie Angelo?

- Z tego, co wiem, to jutro. Ale skąd ty w ogóle wiesz, że ma przyjechać? - Zdziwiło mnie to.

- Kochanie, to jest część mojej niespodzianki. Angelo jest moim przyjacielem i jednym z członków Drużyny Diveny. Nikogo innego nie poprosiłbym o pomoc.

Spojrzałam na niego z zaciekawieniem, ale i z wyrzutem. Mógł po prostu niczego nie mówić, a tak tylko drażnił się ze mną.

- Jesteś okropny... Gadasz o czymś, o czym nie mam pojęcia...

- Dowiesz się, słońce. Dowiesz się jutro - powiedział tylko i przytulił mnie mocno.

- Nie wierzę... - powiedziałam, nadal niesamowicie zaskoczona spoglądając na Mateusza i Angelo. - Po prostu nie wierzę...

- Uwierz - poradził Wojownik. - Jeśli nie jemu, to mnie. Tak nawiasem mówiąc... - Nachylił się konspiracyjnie w moim kierunku. - Ja też nie wierzyłbym mu, bo przez ciebie nie pamięta o niczym. Kiedyś zapomni o własnej głowie. - Mrugnął do mnie.

- Ale jak? - Nadal nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam.

- Po prostu. - Mateusz jeszcze raz powiedział to, w co ciężko mi było uwierzyć: - Zdałem egzaminy na bardzo dobry. To był warunek, żebym starał się na pierwszym roku o wyjazd na studencką wymianę. I udało się. Przez najbliższy semestr będę studiował w Rzymie. A jeżeli moje wyniki nadal będą tak dobre, mogę się starać o przeniesienie na stałe na rzymski uniwersytet.

- No a lokum? - zapytałam z troską.

- Właśnie dlatego czekałem na Angelo. Udało mi się znaleźć mieszkanie, właściwie kawalerkę do wynajęcia; będziemy mieszkali we dwóch. Ale odpowiedź dostaliśmy dopiero dziś, więc to nie było nic pewnego.

- Zawsze można było jeszcze poprosić wuja Dominika o pomoc - powiedziałam.

- Justyś, i tak nadużywam jego gościnności, jakkolwiek dobrym nie byłby przyjacielem mojego dziadka - odparł, dodając po chwili: - Ale wiem i bardzo doceniam to, że mogę na niego liczyć.

Siedzieliśmy w trójkę w salonie, pijąc poranną kawę. Angelo przyjechał przed dwiema godzinami. Rodzice i wujek wyjechali do miasta, zabierając ze sobą dzieciaki, więc w domu było w miarę cicho.

Nie mogłam wyjść z zaskoczenia nad tym, co zrobił Mateusz. Teraz znów mogliśmy naprawdę być ze sobą. Był niesamowity. Dowiedziałam się, że to o staraniu się o stypendium we Włoszech rozmawiał w czasie świąt z wujem Dominikiem i moimi rodzicami. Dopiero teraz poczułam, że naprawdę się o mnie stara, mimo że przecież byliśmy razem. Byłam mu za to niewymownie wdzięczna. Ferie zimowe zapowiadały się wspaniale.

- Jeszcze nie wiem, o co chodzi, ale sądząc z zachowania Vertusa, sytuacja może być krytyczna - powiedziałam do Mateusza i Angelo, którzy spojrzeli po sobie z zaniepokojeniem.

Szybkim marszem zdążaliśmy do altany, w której składałam Przysięgę, aby mieć kilka chwil spokoju na spotkanie z Vertusem. Przodek wezwał mnie dziś do Świata Diveny bardzo niespodziewanie i powiedział, że koniecznie musimy wszyscy porozmawiać. Prosił, byśmy znaleźli gdzieś jakieś spokojne miejsce, bo to może trochę potrwać. Uprzedziłam więc wuja, że nie będzie nas przez jakiś czas, i z duszą na ramieniu prowadziłam chłopców do parku. W całym tym zamieszaniu cieszyłam się z jednego - że Vertus pojawił się, kiedy spędzaliśmy weekend u wuja, a nie w czasie zajęć.

Dotarliśmy do altany, niemal wbiegliśmy po jej schodach i usiedliśmy obok siebie. Zaczęło się niecierpliwe oczekiwanie, które na szczęście nie trwało długo. – Vertus po kilku minutach się pojawił. Albo raczej to my się pojawiliśmy w innej czasoprzestrzeni.

Przodek spojrzał na nas powoli i uważnie.

– Sprawa jest poważna – zwrócił się po chwili do mnie.

– Sugeruję jak najszybsze spotkanie Rady Diveny. Zło jest już najwidoczniej przygotowane do Wojny, bo podjęło działania, mające nakłonić nas do wypowiedzenia jej.

– Ale co się stało? – dociekał Angelo.

– Niedawno pojawiły się w Głównej Czasoprzestrzeni portale. Drzwi takie, jakimi dostaliście się i wróciliście ze świata Czary Zła. Ich ilość na razie się nie zwiększa, ale tylko Kamień Diveny może je na dobre zamknąć. – Vertus spojrzał na mnie, dodając po chwili: – Oczywiście, co zrobisz, Dziedzicu, to twoja decyzja. Ja jednak nalegam na zebranie Rady. Chciałbym, żebyś zabrała na nią Angelo.

Wojownik spojrzał na niego zdziwiony, ale w jego wzroku można też było dostrzec zadowolenie z takiego wyróżnienia.

– Ty, Mateusz, musisz jeszcze pozostać w ukryciu. Joanna także. Myślę, że dobrze by było, gdybyście całą Drużyną jak najprędzej się zebrali. Już wkrótce nadejdzie moment, kiedy Dziedzic zostanie przedstawiony Wojownikom. Póki co, do samego końca sprawy musimy trzymać w tajemnicy.

Zamyśliłam się. Gdzieś w tym wszystkim tkwił haczyk. Odnalezienie go zajęło mi chwilę, ale nie było zbyt trudne.

- To niebezpieczne dla nas... - powiedziałam, marszcząc brwi. - Dla mnie...

Pozostali spojrzeli w moim kierunku, a Angelo zapytał:

- Co jest niebezpieczne?

Podniosłam głowę, ale zamiast na pytającego, spojrzałam na Vertusa.

- Zło zapewne wie, że tylko za pomocą Kamienia Diveny można skutecznie zamknąć te portale. A Divendi słucha przecież tylko mnie. Więc będą tych bram strzegli jak oka w głowie. Nie po to jednak, by nam się nie udało ich zamknąć, ale po to, by poznać tożsamość Dziedzica...

Chwilę jeszcze trwałam w zamyśleniu, po czym wstałam. To samo zrobili pozostali. Powiedziałam pewnym głosem:

- Proszę o zebranie się Rady Diveny pojutrze wieczorem. Angelo i ja przeniesiemy się do Pałacu... o siedemnastej. Będziesz już po zajęciach, prawda? - zwróciłam się do Wojownika, który potwierdzająco skinął głową. - Więc postanowione. Do zobaczenia, Vertusie.

Przodek skłonił się, a my znów znaleźliśmy się w altanie.

XXVII

- Czekaj... Dziedzicu, czekaj... nie spiesz się, by nie utracić szansy, którą da ci los, jeżeli poczekasz. - Usłyszałam nagle krystalicznie czysty głos w swoich myślach wraz z towarzyszącym mu dźwiękiem dzwoneczków. Zatrzymałam się na środku chodnika zaskoczona. Nie słyszałam tego głosu od dawna, od wydarzeń w miejscu narodzin Vertusa. Jeśli teraz Żywioły miały mi coś do przekazania, musiało wydarzyć się, albo też nadchodziło coś ważnego. Chwilę wcześniej, wracając z zajęć w szkole, zastanawiałam się, co powiem Radzie Diveny na dzisiejszym zebraniu. Mieliśmy postanowić, co zrobić w sprawie portali, które Zło pootwierało w Głównej Czasoprzestrzeni. Czyżby rada Żywiołów dotyczyła właśnie tego? I czy rozsądnie było jej posłuchać?

Pogoda była wyjątkowo paskudna. Jak na środek śródziemnomorskiej wiosny było zdecydowanie zbyt chłodno i mokro. Deszcz siąpił nieprzyjemnie, równie niemiłe były twarze przechodniów - każdy zajęty swoimi sprawami, zły, że musiał dziś opuścić swój ciepły, suchy kąć. Wyrwałam się z zamyślenia, strząsnęłam mżawkę

z płaszczyka i ruszyłam dalej. Po drodze do mieszkania chciałam wstąpić po coś do sklepu, bo trzeba było zrobić obiad - Mateusz miał, jak co tydzień, wpaść po zajęciach i pomóc w gotowaniu. Później zjawi się Angelo, udamy się na zebranie Rady, a potem z powrotem do nauki.

Do egzaminu dojrzałości zostało już tylko kilka dni. Był to dla mnie czas trudny, zapracowany, nawet Mateusza nieco zaniedbywałam. Vertus dobrze wiedział, że moje codzienne życie jest dla mnie niezwykle ważne, choćby po to, by utrzymać równowagę psychiczną. Dlatego też na moją prośbę planował sprawy związane z Diveną tak, by nie kolidowały one ze zwykłymi, codziennymi sprawami, za co byłam mu bardzo wdzięczna. Ale dzisiejsze spotkanie z Radą nie było wcześniej przewidziane. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię z tymi portalami do Świata Zła, ale na pewno trzeba będzie podjąć kroki, by zacząć monitorować sytuację w całej Głównej Czasoprzestrzeni.

Zamyślona mijałam kolejne ulice, praktycznie na pamięć idąc do domu. Nagle kątem oka dostrzegłam, jak zza rogu wyskoczyła szybko jakaś postać. Chwyciła mnie wpół i nim zdążyłam zareagować, zaciągnęła w wąskie, brudne przejście między budynkami. Już miałam zamiar krzyknąć, wołając o pomoc, kiedy zorientowałam się, że znam tego człowieka.

- Vittorio! Co ty, u licha, wyprawiasz? - zapytałam ze złością, szamocząc się i próbując uwolnić się z jego uścisku.

- Biorę sobie ciebie... - szepnął mi do ucha. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po plecach,

przestraszyłam się nie na żarty i zaczęłam szamotać w jego uścisku. W końcu, śmiejąc się złośliwie, uwolnił mnie. Zdenerwowana stanęłam naprzeciw niego i ze wzburzeniem zapytałam:

- Zwariowałaś?

- Na twoim punkcie - odparł, uważnie mi się przyglądając, z odpychającym błyskiem w oku. - Nie podoba ci się niespodzianka?

Jak gdyby nic się nie stało, zrelaksowany, oparł się o mokrą ścianę bloku i niedbałym ruchem włożył ręce do kieszeni. Przemyślnie zaciągnął mnie aż za kontener ze śmieciami, żeby nikt z ulicy nie mógł nas zobaczyć. Zadrżałam. Z pozoru wyglądał niegroźnie, ale już nie raz widziałam w jego oczach odbicie Zła.

Vittorio był chłopakiem mojej koleżanki z klasy, Olgi. Zwykle po zajęciach przyjeżdżał po nią pod szkołę swoim samochodem. Z Olgą miałam dość dobry kontakt, więc wielokrotnie wychodziłyśmy razem po lekcjach z budynku. No i tak go, na własne nieszczęście, poznałam.

Niemal od razu zwrócił na mnie uwagę. Najpierw proponował mi odwożenie do domu, przy okazji podrzucania Olgi. Kiedy, zaniepokojona jego nachalnością, przestałam pojawiać się przed budynkiem szkoły po zajęciach, zaczął swoją dziewczynę o mnie wypytywać. Oczywiście nie wiedziałam o tym, dopóki Olga mi nie powiedziała. A powiedziała dopiero po tym, jak z nim zerwała.

Później zaczął na mnie czatować przed szkołą. Kiedy kilka razy odmówiłam wybrania się na przejażdżkę jego samochodem, zaczął mnie niemal prześladować. Oczywiście wielokrotnie pytałam, o co mu chodzi, ale zawsze tylko się głupkowato śmiał. A ja za każdym razem, gdy z nim rozmawiałam, czułam, jakbym rozmawiała z jakimś cieniem czy odbiciem Twarzy Zła – jakby ten chłopak był przesycony Złem. Dlatego zawsze miałam się przy nim na baczności, zawsze też starałam się być przygotowana na zareagowanie Diveną, gdyby coś nieprzyjemnego miało się wydarzyć. Chłopak nie miał nic wspólnego z rodem Divendi, nie mógł więc być jednym ze Zdrajców, ale całkiem prawdopodobne, że był pod wpływem Zła. Był jak opętany wpływami mojego Przeciwnika, wybuchowy i nieobliczalny. Ale gdzieś tam pod spodem był zwyczajnym chłopakiem, więc nie mogłam zrobić mu krzywdy.

Kiedy zaczął się letni semestr szkoły, Vittorio widział mnie kilkakrotnie z Mateuszem, ale obecność mojego chłopaka widocznie wcale go nie odstraszyła. Wprawdzie dał sobie spokój z nagabywaniem, ale często mnie śledził – widywałam go przemykającego uliczkami czy też jadącego powoli swoim autem i przyglądającego mi się.

- Wcale nie podoba mi się twoja niespodzianka! - krzyknęłam. - Nie życzę sobie, żebyś za mną łąził!

Chłopak zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Jak tam twój mężczyzna? Żyje jeszcze? - zapytał szyderczo po chwili, zupełnie nie zwracając uwagi na moje oświadczenie. Zaniepokojona jego słowami, wysłałam

szybko w myślach wiadomość do Mateusza z pytaniem, czy wszystko w porządku. Odpowiedział od razu:

- Zaraz będę pod twoim mieszkaniem. Gdzie jesteś?

- Dwie przecznice w kierunku szkoły, w przejściu między blokami... Mógłbyś tu przyjść? - poprosiłam.

- Idę. - Usłyszałam jeszcze, po czym odwróciłam się i spojrzałam na Vittorio.

Wiele razy zachodziłam w głowę, czego mu w życiu brakuje, że stoczył się aż do sprzymierzenia ze Złem. Przecież miał wszystko - począwszy od bogatych rodziców, dobrego wykształcenia, ślicznej dziewczyny, którą paskudnie skrzywdził, a skończywszy na urodzie. A tego ostatniego naprawdę nie można mu było odmówić - był niesamowicie przystojny. Czarne włosy, czarne oczy, oliwkowa karnacja, świetna sylwetka... Gdyby nie to spojrzenie i nie to władcze, pretensjonalne wręcz zachowanie wobec innych... Niestety było mało prawdopodobne, by to, co się z nim działo, było od niego zależne.

W którymś momencie swojego życia musiał wybrać nie tę drogę, co trzeba i teraz za własną zgodą stał się narzędziem w rękach mojego Przeciwnika. Może i to narzędzie nie było skierowane bezpośrednio przeciwko mnie - Zło nie znało jeszcze mojej tożsamości. Ale skoro potrafiło wpływać na ludzi, którzy w życiu dokonali po prostu kilku złych wyborów, było to dla mnie niepokojące ostrzeżenie, że mój wróg jest coraz silniejszy.

- Vittorio, proszę, zostaw mnie w spokoju... - poprosiłam, mając nadzieję, że skończy się najwyżej na fizycznej konfrontacji i uniknę użycia Diveny.

- Ale przecież ja nic złego tobie nie robię! Chciałbym cię po prostu mieć... Czy to takie trudne do zrozumienia? - Spojrzał na mnie, zaciekawiony. Dostrzegłam zgniłozielony błysk w jego oczach i dreszcz przebiegł mi po plecach.

Chwilę jeszcze stał tak, tylko patrząc. Już chciałam odejść, kiedy podbiegł, popchnął mnie tak mocno, że uderzyłam plecami o ścianę sąsiedniego budynku, po czym chwycił za nadgarstki. Wyraz jego twarzy w ciągu tej krótkiej chwili zmienił się ze spokojnego w niespodziewanie zaciekły.

- Nie wiesz, że zawsze dostaję to, czego chcę?

- Puść mnie! - krzyknęłam. - Nie chcę zrobić ci krzywdy!

- Krzywdy? - Zaśmiał się i przybliżył twarz do mojej twarzy. Spróbowałam mu się wyrwać. Chłopak wzmocnił uścisk i zapytał: - Pozwoliłem ci odejść, że się tak wyrywasz?

Jeszcze bardziej zbliżył do mnie swoją twarz, jakby chcąc mnie pocałować. Odwróciłam głowę akurat w momencie, kiedy nad kontenerem mignęła mi znajoma, jasna czupryna.

- Mateusz! - krzyknęłam, szamocząc się. Chłopak ścisnął moje nadgarstki jeszcze mocniej, własnym ciałem przyciskając mnie do ściany, o którą byłam oparta.

- Czemu się drzesz? Zamknij się, ty... - zdążył powiedzieć Vittorio, zanim dostał w szczękę. Przewrócił się na ziemię, a ja wzięłam głęboki oddech i chcąc się uspokoić, oparłam głowę o ścianę, rozmasowując nadgarstki.

- Pokaż... - Mateusz wziął moje ręce i zaczął je delikatnie masować. - Przepraszam... - szepnął, gdy się do niego przytuliłam. - Nie powinnaś sama chodzić, kiedy ten koleś się włóczy po okolicy.

Cmoknął mnie w policzek, po czym odwrócił się do Vittorio, który zaczynał się właśnie zbierać z ziemi.

- Nigdy więcej nie chcę cię widzieć przy mojej dziewczynie, rozumiesz?!

Chłopak tylko spojrzał na nas i pobiegł w drugą stronę. Mateusz tymczasem objął mnie i ruszyliśmy w stronę domu.

- Wiesz, że to nie do końca jego wina, prawda? - zapytałam cicho po kilku chwilach. - Widzę w jego oczach, że jest pod wpływem Zła.

Chłopak westchnął z rezygnacją.

- Wiem, że jesteś od powrotu ze Świata Zła wyczulona na takie rzeczy. Ale zrozum, to, że ktoś jest zły, nie oznacza, że mu to nie odpowiada. On się taki stał z własnej woli, sam oddał się w ręce Zła. Może kiedyś uda mu się stamtąd wyrwać. - Popatrzył na mnie z uwagą. - Nie możesz uratować całego świata. A przynajmniej nie od razu.

Do mieszkania dotarliśmy po kilku minutach. Otworzyłam szybko drzwi i weszliśmy do środka. Ściągnęłam płaszcz i zobaczyłam, że cały jest

wybrudzony. Musiałam nim nieźle wyczyścić elewację tego budynku, do którego przycisnął mnie Vittorio.

- Świetnie... - Jęknęłam, demonstrując Mateuszowi plamy. - Mam nadzieję, że zejda.

- A ja mam nadzieję już więcej nie zobaczyć tego typu. Cholernie działa mi na nerwy. Najchętniej dałbym mu pięścią do zrozumienia, żeby się trzymał od ciebie z daleka.

- Spokojnie. - Przytuliłam się do niego. - Nic się przecież nie stało...

- Wiem, że mogłabyś bez trudu obronić się przed nim Diveną - powiedział i spojrzał na mnie z zastanowieniem. - Nie zapominaj o tym. Wolę, by cały świat dowiedział się o twoich ukrytych talentach, niż żeby miała stać ci się krzywda.

Uśmiechnęłam się tylko lekko. Owszem, Vittorio nie miał ze mną szans. Ale nie mogłam tak po prostu użyć na nim Diveny. Tajemnica musiała zostać zachowana. Poza tym miałam okazję dać Mateuszowi pole do popisu. W końcu każda kobieta potrzebuje, by mężczyzna o nią zawalczył, by się dla niej wykazał. Szkoda tylko, że akurat w taki sposób stało się to dziś.

Spojrzałam raz jeszcze na Mateusza. Ochłonął już nieco i przestał być taki spięty jak zawsze po tego typu konfrontacjach. Wysunęłam się więc delikatnie z jego objęć i rozczochrałam mu włosy. Chłopak zaśmiał się, pocałował mnie czule, po czym zabraliśmy się za przygotowanie obiadu.

- Angelo Divendi - przedstawił się chłopak, skłaniając nisko głowę przed wszystkimi obecnymi w długiej, jasnej sali. Uczestniczył w spotkaniu Rady po raz pierwszy.

Tak jak zawsze, w Pałacu Dziedzica, zebrała się cała Rada Diveny - wszyscy członkowie, żyjący i ci, którzy dla Głównej Czasoprzestrzeni byli już umarli. Pojawiliśmy się z moim Wojownikiem jako ostatni. Szybko usiedliśmy na wyznaczonych dla nas miejscach. Równy ze mną, jak nakazywały zasady kurtuazji, usiedli wszyscy pozostali. Vertus siedział na drugim końcu długiego stołu, naprzeciw mnie.

Rozpoczęły się obrady. Trwały dość długo, trzeba było dokładnie rozważyć każde za i przeciw. W końcu należało podjąć wszystkie decyzje, co było moim obowiązkiem. Wzięłam głęboki oddech, spojrzałam jeszcze raz w kierunku Vertusa, który uśmiechnął się pokrzepiająco, i zaczęłam mówić.

- Drodzy członkowie Rady Diveny, którzy od wieków strzeżecie naszych tajemnic i przygotowujecie wszystkich członków naszego rodu do Wojny ze Złem. Proszę, nie zważajcie na mój młody wiek i brak doświadczenia, ale wysłuchajcie tego, co mam do powiedzenia.

Spojrzałam po twarzach zebranych. Wszystkie wyrażały spokój i oczekiwanie na to, co powiem. Tylko jedna twarz się wyróżniała. Z oczu Vertusa biła duma. Spojrzał na mnie porozumiewawczo i dodał mi tym otuchy.

- Tak jak wcześniej było zaplanowane, już wkrótce ujawnię się Wojownikom. Spotkanie odbędzie się w Świecie

Diveny. Oczywiście proszę Radę, aby kontynuowała przygotowania i o wszystko zadbała. Mam nadzieję, że całość uroczystości nie potrwa dłużej niż dwa dni. Zaraz po tym odbędzie się oficjalne zebranie Rady i ogłosimy Wojownikom nasze postanowienia co do rozpoczęcia Wojny. Im krócej będziemy bowiem zwlekać z podjęciem tej decyzji, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że nasz Przeciwnik się o czymś dowie. – Wzięłam głęboki oddech i zdecydowanym głosem powiedziałam: – Chciałabym jednak zaznaczyć, że im później ujawnię się Wojownikom, tym lepiej. Musicie mi zaufać. Być może wszystko odbędzie się dopiero latem... – Spojrzałam na zgromadzonych. Na ich twarzach zobaczyłam zdziwienie, wszyscy bowiem byli przekonani, że jeżeli termin spotkania się zmieni, to raczej przyspieszę go, niż opóźnię. Jednak po tym, jak chwilę przed spotkaniem usłyszałam jeszcze raz głos Żywiołów, ugruntowałam się w decyzji, aby pójść za ich radą. – Wróćmy jeszcze do portali między światami. Proszę Radę Diveny o zorganizowanie grup Wojowników, które będą wymiennie czuwać w ich okolicach i w razie potrzeby interweniować. Proszę też, aby przekazywali wam, a w mnie, regularne raporty z tego, co tam się dzieje. O innych decyzjach poinformuję was, kiedy uznam za stosowne. Dziękuję.

Rada dobiegła końca. Wraz z Angelo wróciliśmy do mojego mieszkania. Była późna noc. Mateusz miał czekać na nas, ale zasnął, rozciągnięty na fotelu. Kuzyn udał się jeszcze do kuchni, żeby nastawić wody na późną herbatę,

a ja delikatnie zbudziłam mojego ukochanego. Mimo późnej pory uparł się, żebyśmy jeszcze tej nocy porozmawiali o tym, jakie decyzje zapadły na spotkaniu. Byłam jednak stanowcza i odmówiłam.

- Musimy z tym poczekać, aż będziemy wszyscy razem. Cała Drużyna.

- Tak to właśnie wygląda - powiedział Angelo, kończąc referowanie przebiegu spotkania Rady Diveny, które odbyło się raptem dwa dni temu.

Byliśmy wszyscy w komplecie - cała Drużyna. Siedzieliśmy w moim mieszkaniu w Rzymie, ale już następnego dnia mieliśmy zamiar jechać do Neapolu, do wuja. Jutro jeszcze miałam mieć lekcje. W uprzywilejowanej sytuacji był tylko Angelo, który w piątki nie miał zajęć. Joasia natomiast już skończyła lekcje w szkole, więc mieli wolne aż do egzaminów, które miała zdawać w tym samym czasie, co ja.

Bardzo cieszyłam się ze spotkania z przyjaciółką. Już dawno się nie widziałyśmy. Obiecałyśmy sobie długą rozmowę, ale na to mogłyśmy sobie pozwolić dopiero, kiedy już dotrzemy do Neapolu. Póki co ustaliliśmy tylko, że skoro nazajutrz Angelo nie ma zajęć, to on zaopiekuje się Joasią w ciągu tego beczynnego dnia, na co zresztą skwapliwie się zgodził.

W końcu nadszedł dzień ostatnich lekcji w szkole przed egzaminami. Nauczyciele potraktowali godziny lekcyjne bardzo luźno, więc w zasadzie nie robiliśmy niczego

związanego z nauką. Po lekcjach, kiedy zbierałam się już do wyjścia, podeszła do mnie wystraszona lekko Olga, prosząc o zamienienie kilku słów na osobności. Nie mogłam odmówić, zwłaszcza że zwróciło moją uwagę to, że dziewczyna jest roztrzęsiona.

- Chciałam cię ostrzec... - powiedziała cicho, gdy wreszcie zdołałyśmy znaleźć jakiś cichy kąt, w którym można było spokojnie porozmawiać.

- O czym mówisz? - Zaniepokoiłam się poważnie, gdyż dziewczyna wyglądała na bardzo przestraszoną.

- O Vittorio... - Zasłoniłam usta ręką. - On... spotkał się ze mną i groził, że jeszcze cię dorwie... Mówił tak trochę bez ładu i składu. On nie jest w stanie zrobić wiele, bo po ostatnich wyczynach, kiedy wyrzucili go ze studiów, jest cały czas pod czujnym okiem rodziców. Ale proszę cię, uważaj na niego... - Spojrzała na mnie błagalnym niemal wzrokiem.

- Spokojnie... - powiedziałam cicho, przyglądając się dziewczynie badawczo. Olga drżała na całym ciele. - Mój Boże... - powiedziałam po chwili. - Co on ci zrobił?

Dziewczyna nie zdołała powstrzymać potoku łez. Przytuliłam ją delikatnie, nie wiedząc, co więcej mogłabym dla niej zrobić. Poczułam się strasznie, sama nie wiem dlaczego. Nic z tego nie stało się z mojej winy. A może jednak był jakiś sposób, by go z tego wyciągnąć? Może powinnam zadbać o to, by nauczyć się pomagać takim właśnie ludziom, którzy dobrowolnie poddawali się wpływowi Zła i krzywdzili innych?

Nie mogłam być nieczuła na błagalne ostrzeżenia Olgi, więc obiecałam, że będę na siebie uważać. W zamian jednak poprosiłam ją, by w miarę możliwości, dla jej własnego dobra, zaprzestała kontaktów z Vittorio. Kiedy dziewczyna zdołała opanować się na tyle, by wyjść na ulicę i wrócić do domu, odprowadziłam ją na przystanek autobusowy. Wracalam stamtąd szybko, bo lada chwila powinien pod szkołą pojawić się Mateusz. Niemal biegiem przybyłam na umówione miejsce, jednak, na swoje nieszczęście, zamiast niego spotkałam tam chłopaka, przed którym ostrzegała mnie Olga.

Vittorio stał spokojnie, oparty o kamienny słupek, jeden z wielu, jakie stały wzdłuż alei wiodącej od ulicy do budynku naszej szkoły. Uśmiechał się i jak zwykle wyglądał niesamowicie przystojnie. W jego oczach jednak nie umiałam odnaleźć niczego dobrego.

- Witaj - powiedział, zmierzwszy mnie uprzednio wzrokiem. - Jak się masz?

- W porządku, dziękuję - odparłam kulturalnie. - Wybacz, ale się spieszę - powiedziałam, chcąc jak najprędzej odejść, ale chłopak był szybszy i chwycił mnie mocno za rękę, zatrzymując.

- Czego chcesz ode mnie tym razem? - zapytałam sucho.

- Chodź ze mną - powiedział dziwnie znajomym tonem, od którego ciarki przebiegły mi po plecach. To było przerażające, jak bardzo przypominał mi w takich momentach Twarz Zła. Spróbowałam mu się wyrwać, co

skomentował beznamiętnie: - Ile razy mam ci uświadamiać, że wszelki opór w niczym ci nie pomoże?

- Uważaj, bo jeżeli posuniesz się za daleko, jestem pewna, że niejedne oczy to zobaczą... Na przykład oczy twojego ojca - powiedziałam. Na te słowa chłopak puścił moją rękę, rozglądając się niepewnie wokół. - Teraz wybacz, ale naprawdę muszę już iść - powiedziałam, oddalając się. Może nie było z nim aż tak źle, skoro były jeszcze rzeczy, których się obawiał. - I jeszcze jedno. - Odwróciłam się ostatni raz na chwilę. - Daj spokój Oldze!

Chłopak zmrużył tylko złośliwie oczy. Ja natomiast odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w kierunku ulicy. Po chwili usłyszałam jeszcze jego wołanie.

- Do zobaczenia!

Wzdrygnęłam się tylko i przyspieszyłam kroku, przez co w bramie wpadłam na Mateusza.

- Co ci jest? - zapytał zaskoczony, ochraniając mnie w porę przed upadkiem. - Wszystko w porządku?

- Tak... - powiedziałam, ale widząc, jak marszczy brwi, sprostowałam: - Właściwie nie. Przed chwilą spotkałam Vittorio...

- Gdzie? - zapytał zaniepokojony. Odwróciłam się w kierunku szkoły, zastanawiając się, czy przypadkiem chłopak jeszcze tam jest. Niestety, zdążył się już ulotnić. Skinęłam więc tylko głową w tamtą stronę. Mateusz rozejrzał się, a nie widząc nikogo, zapytał, czego chciał chłopak.

- Mnie... - odpowiedziałam. - To jest jedyna i stała odpowiedź na to pytanie, które zadaję mu za każdym razem, kiedy go widzę. Odpowiada niezmiennie tak samo. Chce mnie. I naprawdę wierzy, że mnie dostanie.

- Nie dostanie. Ja mu ciebie nie oddam - odparł Mateusz poważnie. Uśmiechnęłam się do niego.

W drodze powrotnej do mieszkania opowiedziałam mu o rozmowie z Olgą i o jej ostrzeżeniu. Zmartwił się jeszcze bardziej, ale zaraz go uspokoiłam, że przecież przez najbliższy czas Vittorio nie będzie miał szans, żeby mnie zobaczyć. Wprawdzie Mateusz miał jeszcze zajęcia, a potem egzaminy, ale ja do samego egzaminu maturalnego miałam wolne, a w obecnej sytuacji wolałam zostać w Neapolu, u wuja. Nie było więc powodu do obaw.

- Nie umiem dłużej... Po prostu nie potrafię dłużej czekać... - szepnęłam, słysząc po raz kolejny głos Żywiołów.

- Czekaj... zaufaj i czekaj. Wszystko będzie dobrze.

Westchnęłam ciężko i opadłam na fotel. Byłam w swoim pokoju, w rezydencji wuja. Właśnie wróciłam z ostatniego egzaminu i teraz pozostało mi tylko czekać na wyniki i składać podanie o przyjęcie na studia. Tym jednak obiecał zająć się wuj, ponieważ ja chciałam jak najszybciej wracać do domu. Jedyne, co mnie jeszcze trzymało, to egzaminy Angelo i Mateusza. Obaj obiecali zdać je we wcześniejszych terminach i wyglądało na to, że im się uda. Mimo tego jednak miałam wrażenie, że wszystko dzieje się za wolno.

W ciągu ostatnich dni, jak na złość, akurat w czasie egzaminów, dostałam wiele niepokojących wiadomości o tym, co działo się przy portalach w Głównej Czasoprzestrzeni. Zło powoli, ale bez przerwy, wyciągało swoje macki coraz dalej i dalej. Coraz częściej spotykałam na swojej drodze ludzi zainfekowanych jak Vittorio. A Żywioły wciąż radziły czekanie.

Walczyły we mnie dwa bieguny. Jeden krzyczał, żeby jak najszybciej wziąć sprawy w swoje ręce i rozpocząć Wojnę, nawet bez wcześniejszego ujawniania się Wojownikom. Drugi nakazywał usłuchanie rady Żywiołów. Byłam rozdarta. Na domiar złego to, co się działo, zmuszało mnie, bym jak najszybciej opowiedziała się za jedną ze stron. A sytuacja nie była ciekawa.

Nie dalej jak dwa dni temu pojawił się Vertus z wiadomością, że przejścia w czasoprzestrzeni zaczynają oddziaływać na zwykłych ludzi. Człowiek, który za długo przebywał w pobliżu portalu, potrafił w kilka minut później bez żadnego powodu kogoś okraść czy nawet popełnić morderstwo. Wiedziałam więc, że jeżeli czegoś nie zrobię, Czara przepelni się szybciej, niż byłoby to dla nas pożądane. Od dwóch dni chodziłam w kółko i gorączkowo myślałam, co zrobić, mniej przejmując się nawet ostatnim egzaminem. Tylko czasami zaglądał do mnie stroskany wuj Dominik, pytając, czy wszystko w porządku i czy nie mógłby mi jakoś pomóc.

- Ile jeszcze mam czekać? Przecież widzicie, co się dzieje... - powiedziałam, po raz kolejny zwracając się do

Żywiołów, bo od niedawna wiedziałam, że kiedy chcę, to mogą mnie one usłyszeć. Znów rozbrzmiały delikatne dzwoneczki i usłyszałam:

- Dziedzicu, czekaj... Nic więcej zrobić nie możemy... Zrobimy, ale jeszcze nie nadszedł na to czas.

- Ja nie wiem... nie wiem, czy dam sobie z tym radę. Mam wrażenie, jakbym zgadzała się na to, by Zło działało na niewinnych ludzi. A przecież tylko Divendi może zamknąć te bramy... - Wstałam i po raz kolejny zaczęłam przechadzać się nerwowo po pokoju. Nagle olśniło mnie. Zatrzymałam się i spojrzałam za okno.

- Właśnie... - mruknęłam do siebie. - Tylko Divendi może zamykać bramy...

Szybko wezwałam Vertusa i poprosiłam o kontakt z Mercedes - kobietą, od której dowiedziałam się, że jestem Dziedzicem. Była jedną z niewielu żyjących w Głównej Czasoprzestrzeni członków Rady Diveny. I jedną z nielicznych, która mogła mi pomóc.

Jakieś piętnaście minut później zadzwonił telefon. Odebrałam go, a po drugiej stronie usłyszałam znajomy głos.

- Witaj, Mercedes. Mam do ciebie nietypową prośbę. Proszę, jak najszybciej skontaktuj mnie z Paolo Divendi. To jest jeden z chłopaków, którzy byli ze mną w świecie Zła. Poproś go o stawienie się w obecnym miejscu mojego pobytu.

- Zaraz się tym zajmę, Dziedzicu.

- Dziękuję - powiedziałam.

- To ja dziękuję za to, że mogę być pomocna - odparła Mercedes, a ja usłyszałam w jej głosie, że się uśmiecha.

- Do zobaczenia - skończyłam. - Mam nadzieję, że w spokojnych okolicznościach.

- Tak przedstawia się sytuacja. Nie muszę chyba dodawać, że zobowiązuję cię do milczenia? - upewniłam się. Paolo przecząco pokręcił głową. Był zmartwiony tym, co usłyszał.

- Postaram się zrobić, co w mojej mocy. Ale nie obiecuję wiele... - Spojrzał na mnie. - Powiem szczerze: boję się. Nie jestem odważny.

- Jesteś Divendi, mój drogi. To wystarczy, bym ci zaufała. Chociaż już nawet wśród nas pojawili się tacy, którym ufać nie wolno. - Zamyśliłam się. Widziałam kątem oka, że chłopak przyglądał mi się z uwagą, ale jeśli cisnęły mu się na usta jakieś komentarze, powstrzymał się od wypowiedzenia ich.

- Gdzie pojedziemy najpierw? - zapytał po chwili.

- Zobaczysz. Za dwa dni będziemy wszyscy w komplecie. Wtedy naradzimy się z Vertusem.

- To będzie niebezpieczne... - Paolo zamyślił się. - Nie wiadomo, czy coś złego się nam nie przytrafi. - Spojrzał pytająco na mnie i siedzącego obok Mateusza. Niechętnie skinęłam głową. - Chciałbym więc coś ci ofiarować.

Spojrzałam na chłopaka zaskoczona, nie wiedząc, o czym mówi, ale szybko się zorientowałam, kiedy uklęknął na jedno kolano i chwycił mnie za rękę. Szybko wstałam,

wysłuchałam tego, co mówił, i z radością przyjął go do Drużyny Diveny. Czułam w głębi serca, że to dobra decyzja. Zwłaszcza że narażam chłopaka na wielkie niebezpieczeństwo. Tyle tylko, że wydawał mi się on jedyną osobą, nienależącą do Rady, która wiedziała, kim jestem i była w stanie mi pomóc.

Już wcześniej poinformowałam Vertusa i Radę o swoich zamiarach. Wyjaśniłam im, jak to w czasie, gdy wszyscy przebywaliśmy w świecie Zła, Mateusz posłużył się Kamieniem Diveny na mój rozkaz i wszystko się udało. Istniała więc szansa, że jeżeli powierzę któremuś z Wojowników zadanie posłużenia się Divendim, to w ten sposób uda się zamknąć przynajmniej część portali w czasoprzestrzeni. Nie mogłam jednak zadaniem tym obarczyć któregokolwiek z członków Drużyny - Mateusza i Joasi, bo nie należeli do rodziny, ani Angelo, bo był moją prawą ręką, a przez niego Zło bardzo szybko dotarłoby do mnie. Musiał to być ktoś, kto jest poinformowany i godny zaufania, ale do tej pory nie miał zbyt wiele do czynienia z Dziedzicem.

Mój plan więc został wprowadzony w życie. Rada już przygotowywała dla mnie specjalną listę z lokalizacją portali, a grupy stróżujących tam Wojowników były przygotowywane na nasze przybycie. Pomnożyliśmy strażę i staraliśmy się, bez wzbudzania podejrzeń, stworzyć osłonę Diveny, aby na tyle, na ile to było możliwe, zmniejszyć oddziaływanie Zła z przejść w czasoprzestrzeni na zwykłych ludzi.

Angelo właśnie dziś zdawał swój ostatni egzamin, a zaraz po nim mieliśmy wrócić do domu. Rodzice czekali, także Joasia była już u swojej babci. No i oczywiście z nami jechać miał Paolo. Dopiero stamtąd mieliśmy zamiar wyruszyć na wyprawę. Dzięki wujowi, który udostępnił nam środek komunikacji pod postacią samochodu i swojego prywatnego odrzutowca, i który uruchomił swoje znajomości, żeby ułatwić nam jak najszybsze dotarcie do wszystkich miejsc, mieliśmy szansę załatwić sprawy w ciągu zaledwie dwóch do trzech tygodni. Musieliśmy polegać na zwykłych formach komunikacji, ponieważ teleportowanie, zwłaszcza tak dużej grupy osób, na pewno wzbudziłoby podejrzenia naszego Przeciwnika. Byłam wujowi niezmiernie wdzięczna, a kiedy mu to powiedziałam, odparł tylko, uśmiechając się, że zrobiłby o wiele więcej dla swojej przybranej córki.

Plan był świetny, jednak jego powodzenie na razie stało pod znakiem zapytania. Nie mogliśmy mieć żadnej pewności, czy nam się powiedzie... i co stanie się, jeżeli się nie uda. A co, jeżeli Zło dowie się, co robimy, i każdy portal zamknąć będzie coraz trudniej? Otrząsnęłam się z tych myśli i spojrzałam na Mateusza, siedzącego obok mnie.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął mi do ucha.

- Mam nadzieję. - Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Wiedziałam tylko, że maszyny zdarzeń, która właśnie ruszała, nic nie jest już w stanie powstrzymać. Jak się to wszystko skończy? Czy przeżyjemy? Czy w ogóle kiedykolwiek będziemy mogli po prostu normalnie żyć? Jak

przez mgłę usłyszałam, że Paolo wychodzi z pokoju,
a potem zasnęłam z wycieńczenia, otoczona ciepłymi
i bezpiecznymi ramionami Mateusza.

XXVIII

- Wydawało mi się, że to wszystko będzie proste. Wrócimy do rodzinnego miasta jakby nigdy nic, a potem polatamy po świecie, pozamykamy te portale i wrócimy do domu. I wszystko będzie w miarę w porządku. Ale czuję, że nic nie jest dobrze... - Westchnęłam ciężko, co zresztą zdarzało mi się ostatnio coraz częściej.

- Ja też mam trudności z zachowywaniem pozorów normalności. Cały czas martwię się, że coś może pójść nie tak - powiedział Mateusz i ścisnął mocniej moją rękę.

Przed kilkoma godzinami przyjechaliśmy wreszcie do domu. Przywitaliśmy się z rodzinami, spotkaliśmy z Joasią, ulokowaliśmy Angelo i Paolo, aż w końcu uciekliśmy do parku, szukając odrobiny prywatności. Czułam, że w najbliższym czasie nie będziemy mieli zbyt wielu możliwości, żeby na spokojnie porozmawiać i pobyć ze sobą.

Pogoda była bardzo ładna. Gdyby nie to, że wybieraliśmy się lada dzień na akcję, z której nie wiadomo było, czy wrócimy cali, byłabym bardzo zadowolona.

- Hej... - Mateusz objął mnie w pasie. - Uśmiechnij się troszkę do mnie.

Popatrzyłam na chłopaka i obdarzyłam go najradośniejszym uśmiechem, na jaki było mnie stać. Chyba wypadł kiepsko, bo Mateusz zrobił minę, udając, że się obraża. Roześmiałam się serdecznie z jego wygłupów.

- No, teraz lepiej - powiedział, szczerząc się.

- Głuptas... - Pokiwałam głową, śmiejąc się jeszcze.

Już prawie rok byliśmy razem, a nadal czułam się tak bardzo w nim zakochana, jakby to był pierwszy dzień naszego związku. Każde spotkanie było jak pierwsza, długo wyczekiwana randka, a każde rozstanie, jakbyśmy się mieli już nigdy nie zobaczyć. Śmiać mi się czasem z nas chciało, jak potrafiliśmy spontanicznie żegnać się ze sobą, bo Mateusz musiał wyskoczyć na chwilę do sklepu naprzeciwko. Wariactwo! Ale dodawało mi to tyle energii i radości...

- Justyna?! Mateusz?! - Usłyszeliśmy nagle z daleka, po czym rozległo się głośne szczekanie psa. Jurand podbiegł i zaczął się radośnie witać ze mną.

- Ejże, a ja? - Spojrzał z wyrzutem na psa Mateusz. Roześmiałam się.

- Nie wierzę! To naprawdę wy! - Mocno uścisnęłam wciąż zaskoczonego Filipa. Chłopak przywitał się jeszcze z Mateuszem, po czym odsunął się kawałek i zmierzył nas wzrokiem. - Wyglądacie jak stare małżeństwo. - Puścił do mnie oko. Uśmiechnęłam się i spojrzałam na Mateusza.

W jego oczach zobaczyłam wesołe, łobuzerskie iskierki, których tak dawno tam nie było.

- Dokąd się wybierasz? - zapytałam w końcu.

- Ach, to, moja kochana, jest słodką tajemnicą... -
Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Jak to tajemnicą? - zapytałam.

Filip spojrzał na mnie uważnie i zaczepnie powiedział:

- W sumie, gdyby nie ty, to niczego do ukrycia by nie było...

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- Od kiedy? - zapytałam, patrząc na niego znacząco.
Kątem oka zobaczyłam, że na twarzy mojego ukochanego pojawił się wyraz bezgranicznego niezrozumienia.

- Od trzech tygodni... - odparł.

- Dopiero? - Zdziwiłam się. - Sądziłam, że szybciej to załatwisz.

- Załatwiłbym, ale wiesz przecież, że to nie dotyczy tylko mnie. Krok po kroku i stało się.

- No ale dlaczego nie powiedziałeś od razu? Już tyle czasu trzymaliście mnie w niepewności! - Udałam, że się obrażam.

- No, typowa kobieta. Chcieliśmy tak na żywo. Chociaż nie wiem, czy za tę zdradę nie zostanę skrytobójczo zamordowany... - Komicznie udał zmartwienie.

Roześmiałam się z tej jego miny i ze szczęścia, po czym uścisnęłam go jeszcze raz serdecznie.

- Wszystkiego najlepszego, Filipie!

- Eee... tego... czy ktoś może powiedzieć mi, o co tu chodzi? - zapytał w końcu Mateusz, drapiąc się po głowie.

- Nie wiesz? - Byłam zaskoczona. Chłopak pokiwał przecząco głową. - I nie domyślasz się? - Powtórzył gest. - Widzisz... bo oto przed tobą stoi twoja przyszła rodzina... - Spojrzałam na niego znacząco.

Popatrzył na mnie, zmarszczył brwi i powiedział:

- No wiem.

- Ech, faceci... wszystko na tacy muszą mieć podane... - Pokiwałam głową, śmiejąc się. - Nie chodzi o mnie, tylko o niego.

- O ciebie? - Mateusz totalnie zdezorientowany spojrzał na przyjaciela.

- I o twoją siostrę - powiedział Filip, kiwając przy tym głową.

Mateusz ostentacyjnie klepnął się ręką w czoło.

- No nie mów... - Twarz mojego chłopaka rozjaśniła się. - No to witaj w rodzinie!

- Ale jak mogłaś nawet słowem nie wspomnieć? - zapytałam jeszcze raz Kasię.

- Chcieliśmy oboje zrobić ci niespodziankę. - Przyjaciółka uśmiechnęła się. - Taka jestem szczęśliwa! - dodała, a jej wzrok mówił, że się rozmarzyła.

- Hej, hej! - zawołałam. - Wracaj tu do mnie!

Po spotkaniu w parku razem z Mateuszem postanowiliśmy odprowadzić Filipa, a że z Kasią się jeszcze nie zdążyłam przywitać, to nadarzyła się ku temu wspaniała

okazja. Wyszła na zewnątrz, uścisnęłyśmy się i odeszłyśmy kawałek od chłopców, żeby spokojnie zamienić parę słów.

Byłam niesamowicie szczęśliwa z powodu przyjaciółki i Filipa. Miałam nosa co do nich, jak umawiałam ich ze sobą na ostatnią zabawę sylwestrową. Najpierw myślałam, że szybko coś z tego wyniknie, ale nie wynikało nic. Potem już myślałam, że nic z tego, chociaż oboje co jakiś czas napomknęli, że się spotykają. Aż tu nagle taka niespodzianka!

- Już jestem. - Kasia uśmiechnęła się szeroko.

- Coś mi się wydaje, że będę skoligacona ze wszystkimi moimi przyjaciółmi. - Zaśmiałam się.

Kasia spojrzała na mnie.

- Planujecie już coś z Mateuszem? - zapytała.

Pokręciłam przecząco głową.

- Na razie nie rozmawiamy o tym, jeszcze tyle przed nami... - powiedziałam powoli, a oczyma wyobraźni zobaczyłam walkę ze sługami mojego Przeciwnika. Otrząsnęłam się jednak szybko i dodałam: - Ale ja, na dziś dzień, nie wyobrażam sobie nikogo innego przy moim boku. Wydaje mi się, że on czuje podobnie.

- No to się cieszę. Taka z was śliczna para... Nawet nie wiesz, jak niesamowicie do siebie pasujecie, zwłaszcza charakterami. Jesteście zupełnie inni i chyba dzięki temu tak świetnie się uzupełniacie. - Uśmiechnęłam się szeroko do przyjaciółki, po czym skinęłam głową w kierunku Filipa.

- Wam życzę tego samego. Powiedz mi tylko, jak się sprawuje mój drogi przyjaciel?

- Wspaniale. Żałuję, że wcześniej go tak dobrze nie znałam... - Kasia spojrzała na mnie. - Dlatego tym bardziej jestem ci wdzięczna. Poszłam z nim wtedy na Sylwestra tylko ze względu na ciebie, bo wiedziałam, że go dobrze znasz i bardzo lubisz. No i że przyjaźni się z moim bratem. I byłam pewna, że nie poleciałabyś mi kogoś, z kim kiepsko bym się bawiła. No i udało ci się. - Uśmiechnęła się. - Był dla mnie podporą, kiedy wyjechałaś, a codziennie zaczęliśmy się spotykać po wyjeździe Mateusza. Nie było ciebie, nie było mojego brata i gdyby nie Filip, czułabym się bardzo samotna. Wszyscy z paczki są cudowni, ale wiesz, jak trudno mi jest nabrać do kogokolwiek zaufania.

- Wiem doskonale. Dlatego tym bardziej się cieszę, że Filip ci pomógł.

- Przyjechaliście na całe wakacje? - zapytała przyjaciółka.

- Niezupełnie - powiedziałam. - Pojutrze wyjeżdżamy jeszcze na jakieś trzy tygodnie na małą wyprawę, którą zorganizował nam mój wuj - wyjawiałam Kasi ustaloną wcześniej przez nas wersję. Wolnym krokiem zbliżyłyśmy się do chłopaków.

- Całe trzy tygodnie? - Kasia była zawiedziona.

- Może nie całe, ale coś koło tego - odpowiedział za mnie Mateusz, który usłyszał pytanie siostry. - Ale to niewiele. Później nie będziemy się stąd ruszać. - Puścił do Kasi oczko, uśmiechnął się i chwycił mnie za rękę, dając mi do zrozumienia, że najwyższy czas zostawić zakochanych

samym sobie. Umówiliśmy się jeszcze na spotkanie z całą paczką nazajutrz i po chwili nas nie było.

Poszliśmy w stronę parkowego stawu, żeby dłuższą, ale przyjemniejszą drogą dotrzeć do mojego domu.

- Cieszyłbym się, gdyby wytrwali w tym związku - powiedział nagle Mateusz.

- A co? Odezwały się w tobie jakieś opiekuńcze uczucia? - Uśmiechnęłam się zaczepnie.

- No a jak? Przecież to moja młodsza siostra! Muszę się nią opiekować.

- Ech, przecież twoja siostra nie jest już dzieckiem i sama świetnie daje sobie radę.

- Nie jest już dzieckiem? - Mateusz udał zdziwienie.

- Jest w moim wieku, kochanie.

- No właśnie - powiedział i oberwał pięścią w ramię.

- A co to było? - zapytał.

Zaśmiałam się.

- Super hiper lewy sierpowy - powiedziałam.

- Oho... mam ci oddać? - Zrobił groźną minę, a ja zaczęłam uciekać w głąb parku.

- Spróbuj! - krzyknęłam w jego kierunku.

Wygłupialiśmy się jak dzieciaki, dopóki nie dotarliśmy do domu. Tam trzeba było porzucić sielankę i wyjaśnić mamie powody naszej wyprawy. Powrót do rzeczywistości po tych chwilach beztroski jak zwykle nie był zbyt przyjemny.

- Prowadź, proszę - powiedział krótko Paolo do jednego z Wojowników, którzy pełnili straż przy pierwszym z portali, do którego się udaliśmy.

Wysoki, nieco ponury mężczyzna, który przybył na spotkanie z nami, tylko skinął głową i zrobił, o co prosiliśmy. Jego małomówność była trochę krępująca, ale chyba lepsza, niż gdyby zaczął nas wypytywać o szczegóły misji. Nie czekając, ruszyliśmy za nim. Twarze ukryliśmy wcześniej pod czapkami i chustkami. Byliśmy odsłonięci tylko na tyle, by dobrze widzieć. Nie mogliśmy ryzykować tego, że ktoś dowie się, kim jesteśmy. Zwłaszcza że byli z nami Joasia i Mateusz.

Nieznajomy Wojownik szybkim krokiem prowadził nas sobie tylko znanymi uliczkami Paryża. Był środek nocy, co nie pomagało nam w zorientowaniu się, w którą stronę zmierzamy. Musieliśmy więc polegać na człowieku, który był naszym przewodnikiem. W końcu dotarliśmy do stacji metra i zeszliśmy schodami w podziemia miasta. Na dole wszystko było rozświetlone. Przynajmniej tak mi się początkowo wydawało. W pewnym momencie dostrzegłam jednak, że w jednym z końców stacji, w samym kącie, jest jakby ciemniej, a powietrze wydaje się drgać tak, że obraz się zamazuje. Wiedziałam już, co to znaczy. Dotarliśmy do otworu w czasoprzestrzeni.

Tak jak podejrzewałam, właśnie tam zaprowadził nas przewodnik. Jego misja skończyła się, więc Paolo, który pełnił w czasie misji rolę przywódcy, nakazał mu opuścić stację i wraz z pozostałą częścią straży czuwać przy

wyjściu. Mężczyzna, skinąwszy głową, ruszył ku schodom i zostaliśmy sami.

Nadszedł moment, kiedy mieliśmy się przekonać, ile warta jest ta ostatnia deska ratunku, której się chwyciliśmy. Podałam Paolo Błękitny Kamień, a w myślach rozkazałam mojemu Słudze, by był Wojownikowi posłuszny, gdy ten będzie próbował zamknąć portal. Paolo z wahaniem spojrzał jeszcze raz na mnie, po czym odwrócił się w kierunku bramy. Uniósł w górę drżącą rękę, w której trzymał Divendiego rozjarzonego Białym Ogniem. Położyłam dłoń na jego ramieniu, chcąc dodać mu tym otuchy. Chłopak, nie zastanawiając się dłużej, pewnym ruchem nakreślił w powietrzu duży, pochyły krzyżyk, przekreślając przejście. Powietrze zawibrowało mocno, zimny podmuch powietrza próbował zbić nas z nóg. Narysowany przez Paolo znak zamykający rozjarzył się oślepiającym blaskiem. W tym samym momencie portal został zamknięty, a w ciemnym dotąd kącie zrobiło się nagle jasno.

Jeszcze chwilę staliśmy w bezruchu, po czym Angelo odetchnął głęboko i powiedział:

- Udało się...

Błękitny Kamień tymczasem zgasł. Paolo podał mi go delikatnie, więc wzięłam go z jego rąk i schowałam szybko.

Udało się - pomyślałam. - Ale to dopiero początek. Wiem, że to brzmi jak jakiś wyrok, ale taka jest prawda. Spokój odzyskam dopiero, kiedy wszystkie przejścia będą zamknięte.

Mateusz chwycił mnie za rękę i ścisnął. Spojrzałam na niego z wdzięcznością za ten gest wsparcia.

- No to ruszajmy dalej - powiedział Angelo i wszyscy skierowaliśmy się w kierunku schodów.

Kilka godzin po zamknięciu pierwszego portalu staliśmy już przed zadaniem zamknięcia drugiego. Ze względu na to, że otwory znajdowały się, według listy, w centrach największych miast świata, do dyspozycji mieliśmy tylko noc, kiedy na ulicach nie było zbyt wielu ludzi. Udało nam się jednak jeszcze tej samej nocy dostać z Paryża do Londynu. I tu, w samym centrum, znajdował się otwór w wąskim przejściu między budynkami, które od razu przywiodło mi na myśl niemiłe spotkanie z Vittorio w Rzymie.

Tak jak i poprzednio, do portalu doprowadził nas nieznany nam Wojownik. Kiedy odszedł, podałam Kamień Paolo. Chłopak już miał nakreślać znak zamykający portal, kiedy w ciemnej masie powietrza pojawiły się znajome rysy jakiejś postaci i rozległ się nagle przejmujący, niemiły pisk.

- To jeden ze Strażników! - krzyknął Angelo. Nim jeszcze skończył mówić, przeciwnik zaatakował go, próbując dosięgnąć go swoimi pazurami. Rzuciłam się, by pomóc mojemu Wojownikowi, kiedy pojawił się kolejny. Temu stawili czoła Paolo i Mateusz. Walka nie była długa, nasi przeciwnicy nie spodziewali się chyba próby zamknięcia portalu, ponieważ nie zabrali żadnej broni. Gdy tylko udało nam się ich pokonać, Paolo szybkim ruchem zamknął przejście i mogliśmy odetchnąć.

Oparłam się ciężko o ścianę jednego z budynków i westchnęłam. Paolo dyskretnie podał mi Divendiego, którego szybkim ruchem schowałam. Zza rogu wychyliła się sylwetka Wojownika, który przyprowadził nas w to miejsce. Biegł, co sugerowało, że usłyszał odgłosy naszej walki.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał niepewnie, zaniepokojonym tonem.

- Teraz już tak - odpowiedział mu Angelo. - Dziękujemy za twoją służbę. Dobięła ona końca. Przejście zostało zamknięte. - Na twarzy niewiele starszego od nas chłopaka odmalowała się ulga. - Musimy już iść.

Nie tracąc czasu, wróciliśmy na lotnisko, gdzie stał samolot wuja Dominika. Przebraliśmy się, wzięliśmy nasze bagaże i udaliśmy się na poszukiwanie jakiegoś hotelu, żeby przespać się w normalnych warunkach, a nie jak dotąd - na fotelu w samolocie. Potrzeba nam było wypoczynku, bo następnej nocy mieliśmy do zamknięcia dwa kolejne przejścia.

Nagle pojawienie się strażników przy zamykaniu portalu zaniepokoiło mnie bardzo. Oznaczało bowiem jedno - Zło zorientowało się już, co robimy, i byłam pewna, że nie ma zamiaru ułatwiać nam zadania. Należało się niestety spodziewać więcej trudności, a więc niewykluczone, że będziemy zmuszeni wkrótce poprosić innych Wojowników o pomoc.

- Zamknęliśmy już cztery portale, ale zostało nam jeszcze kilka. Nie możemy tak tego zostawić -

powiedziałam stanowczo.

Lecieliśmy właśnie nad Atlantykiem do Nowego Jorku, a naprzeciw mnie siedziała Mercedes.

- Co więc planujesz, Dziedzicu? - zapytała kobieta.

- Zło najprawdopodobniej podejrzewa, że Paolo to Dziedzic. A ja nie mogę go dłużej narażać na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony im więcej przejść uda nam się zamknąć, tym lepiej. - Zastanowiłam się. - A gdyby tym razem ktoś inny posłużył się Kamieniem Diveny?

- Ja mogę to zrobić - zgłosił się szybko Angelo.

Pokręciłam przecząco głową.

- Więc ja to zrobię. - Usłyszałam z ust Mercedes. Spojrzałam na nią z uwagą. W jej oczach była determinacja i chęć pomocy. Nie bała się. - Proszę, nie wahaj się, Dziedzicu.

Popatrzyłam na nią uważnie raz jeszcze. Ta dojrzała, doświadczona kobieta, Wojownik, członek Rady Diveny, powierzała swój los w moje ręce, gotowa poświęcić życie na jedno moje skinienie...

Podjęłam decyzję.

- Najchętniej zrobiłabym to sama... - powiedziałam, zwracając się do wszystkich obecnych w kabinie samolotu. - Ale dla dobra wspólnej sprawy nie mogę. Następne przejście zostanie na mój rozkaz zamknięte przez Mercedes.

Tak jak postanowiłam, Mercedes zamknęła piąty i dwa kolejne portale. Później na zmianę z Paolo na mój rozkaz

używali Błękitnego Kamienia. Wreszcie zostało już tylko jedno przejście, które zostawiliśmy na sam koniec. Znajdowało się ono w Rzymie.

W miarę jak zamykaliśmy coraz to kolejne otwory w czasoprzestrzeni, było nam coraz trudniej. Moce Zła zwiększały się, za każdym razem sług naszego przeciwnika przybywało więcej. I więcej siły i energii musieliśmy włożyć w walkę, by pozamykać wszystkie portale.

Gdy wylądowaliśmy w Rzymie, samochód wysłany przez wuja już na nas czekał. Postanowiliśmy bowiem, przed zamknięciem ostatniego portalu, trochę odpocząć. I przygotować się odpowiednio. Już z zamknięciem ostatniego otworu był problem - walka była tak trudna i wyczerpująca, że ledwo wyszliśmy z niej cało. Postanowiłam więc, że do zamknięcia ostatniego portalu zaangażuję jeszcze Franco i Marco - członków Rady Diveny rezydujących w Głównej Czasoprzestrzeni, którzy wraz z Mercedes dawno temu przybyli do rezydencji wuja Dominika, by przekonać się, czy jestem Dziedzicem.

Minął zaledwie rok od tamtych wydarzeń, ale mnie wydawał on się teraz wiecznością. Tyle się od tamtego czasu zmieniło. Z nic niewiedzącej członkini rodu Divendi stałam się jego przywódczynią, osobą, na której wszyscy polegają.

Dotarliśmy w końcu do rezydencji wuja Dominika i po serdecznych powitaniach z panem domu udaliśmy się wszyscy na odpoczynek. Mimo tego, że pora była późna, Mateusz poprosił, byśmy się wybrali na spacer. Dawno nie

mieliśmy okazji porozmawiać spokojnie, więc mimo zmęczenia z chęcią przystałam na jego propozycję.

Pomysł Mateusza okazał się świetny. Czyste powietrze odświeżyło nas i dodało energii. Noc była jasna i ciepła, powietrze pachniało oszałamiająco. Nie czułam się już tak zmęczona. Ponadto spokój i cisza, jakie tu panowały, były niepowtarzalne. Tak mi tego brakowało...

- Idealna noc na oglądanie gwiazd... - powiedziałam, gdy usiedliśmy na mostku nad strumieniem i odchyliłam twarz ku niebu.

- Masz rację - odparł po chwili Mateusz. - Ale nie tylko na oglądanie gwiazd. - Nie patrzyłam na niego, ale w tonie jego głosu usłyszałam, że się uśmiecha.

- Tak dawno nie rozmawialiśmy - powiedziałam w końcu.

- Czytasz mi w myślach. - Chłopak się zaśmiał.

- Nie - odparłam cicho. - Po prostu znam ciebie i siebie. Już się zdążyłam stęsknić za naszymi rozmowami.

- Mam nadzieję, że przyjdzie taki czas, kiedy staniemy przed perspektywą nieustannej rozmowy ze sobą - powiedział Mateusz, po czym spojrzał na mnie.

- No, no, już uwierzę, że chciałbyś do końca życia gadać tylko ze mną... - Spojrzałam na niego, starając się obrócić wszystko w żart. Chłopak jednak nie pozwolił mi na to, tylko chwycił mnie za rękę. Spojrzałam na niego.

- Nie zmieniłem swoich zamiarów co do ciebie, odkąd ci je zdradziłem - powiedział. - W dalszym ciągu mam zamiar się o ciebie starać.

Spojrzałam na niego uważnie, czując dreszcz niepokoju, po czym powiedziałam:

- Wiem o tym.

- Tylko czuję, że wciąż jest jakaś blokada w tobie.

Zastanowiłam się nad jego słowami. Chłopak nie mówiąc nic, czekał na to, co powiem. W końcu przerwałam ciszę:

- Nadal obawiam się, czy plany, które będziemy snuć, mają jakikolwiek sens... Chyba po prostu nie chcę planować czegoś, co może się nigdy nie spełnić - wyznałam w końcu obawy, które męczyły mnie, od kiedy sprawy Diveny zaczęły nabierać coraz większego znaczenia. - Boję się o ciebie. Jeżeli Przeciwnik dowie się, że jest coś poważnego, co nas wiąże, w pierwszej kolejności zechce mi to odebrać.

Mateusz przez chwilę jeszcze milczał, po czym przysunął się bliżej i objął mnie.

- To nieprawda, że nasze plany nie mają szans, by się spełnić. A nawet jeśli nie wszystko pójdzie tak, jak byśmy chcieli, to czy nie mamy prawa chociaż do chwili tylko dla siebie? Nie mamy prawa do marzeń? Nie możemy na jakiś czas zapomnieć o wszystkim i po prostu być ze sobą?

- Mateusz... od samego początku nasz związek jest przepleciony sprawami Diveny... To są moje sprawy... właściwie nasze, bo i ty bierzesz w nich czynny udział. I nie możemy się od tego oderwać. - Spojrzałam na niego poważnie. - Kocham cię bardzo mocno. I właśnie dlatego chcę cię chronić. Zależy mi na tym coraz bardziej, im głębiej brniemy w kierunku Wojny. I im bardziej zdaję sobie

sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwo może ci grozić ze względu na mnie. Dlatego proszę, nie zmuszaj mnie do żadnych pochopnych decyzji, które mogą skończyć się źle nie tylko dla ciebie...

- Zaufaj mi, proszę - szepnął chłopak z nadzieją w głosie. - Na nikim i niczym innym nie zależy mi tak, jak na tobie.

- Ja czuję to samo - powiedziałam powoli. - Dlatego z ciężkim sercem, ale muszę powiedzieć, że im bliżej do Wojny, tym bardziej skłaniam się ku rozważeniu, czy nie lepiej... - Zamilkłam, a przez moje ciało znów przebiegły dreszcze. Nie potrafiłam nawet wypowiedzieć słowa „rozstanie”, ale Mateusz doskonale wychwycił sens moich słów. Jego reakcja była zgoła inna, niż się spodziewałam. Zamiast słowa sprzeciwu, chłopak po prostu przytulił mnie mocniej i powiedział:

- I ja się boję tego wszystkiego. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakie się wpędzamy. Ale proszę, obiecaj mi coś...

- Co takiego? - Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Jeżeli nawet przyjdzie taki moment, że będziemy zmuszeni się od siebie oddzielić, obiecaj, że pozwolisz mi zrobić wszystko, byśmy później do siebie wrócili.

Uśmiechnęłam się lekko i po chwili powiedziałam cicho:

- Obiecuję...

Od chwili, gdy zaczęliśmy się przygotowywać do wyprawy mającej na celu zamknięcie ostatniego z portali,

czułam, że coś jest nie tak. Wszyscy zachowywali się spokojnie, ale wyczuwalne było jakieś napięcie. Ponadto, mimo że mieliśmy całą noc do dyspozycji, wszyscy spieszyli się i nawzajem poganiali. Wreszcie, uzbrojeni i przygotowani najlepiej, jak mogliśmy się przygotować, wyruszyliśmy.

Wiedziałam już, co się stało, kiedy zaczęliśmy zbliżać się do zaułka, w którym według raportu znajdował się portal. Zaczęły do nas bowiem docierać znajome, nieprzyjemne piski i krzyki. Przyspieszyłam kroku, a towarzysze poszli za moim przykładem. W końcu zaczęliśmy biec.

Kiedy dotarliśmy do celu, okazało się, że spełniły się moje najgorsze przypuszczenia. Wojownicy, mający pełnić straż przy przejściu, walczyli ze sługami Zła... Niestety walka nie szła im dobrze, ponieważ po stronie naszego przeciwnika było trzykrotnie więcej walczących. Jeden z Wojowników leżał bezładnie rozciągnięty pod ścianą kamienicy, twarzą obrócony ku ziemi. Obiecałam sobie zająć się nim, jak tylko sytuacja zostanie opanowana.

Serce we mnie na moment zamarło, kiedy zdałam sobie sprawę z naszej sytuacji. Przez parę sekund nie potrafiłam zmusić się, by ruszyć się z miejsca. Wtedy w moich myślach pojawił się znajomy delikatny dźwięk jakby dzwoneczków, który sprawił, że obudził się we mnie Diedzic. Wiedziałam już, że dam radę, w jednym momencie wszystkie obawy i niezdecydowanie gdzieś pierzchły i ruszyłam na pomoc walczącym Wojownikom. W końcu udało nam się opanować

sytuację. Wszędzie pełno było prochu, w który zamieniali się Strażnicy, kiedy ginęli. Niestety przeszkadzało to w koncentracji i skutecznie utrudniało widoczność. Nie wiedziałam, co się dzieje, zwłaszcza że nagle znów usłyszałam głośne piski, od których ciarki przebiegły mi po plecach. Zaniepokojona usiłowałam rozejrzeć się dookoła. W pewnym momencie z tumanów kurzu wynurzył się Marco i podbiegłszy do mnie zdyszany, najciszej jak mógł, powiedział:

- Proszę, Aido Nicoletto, powierz mi Kamień, bym mógł zamknąć przejście...

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Przecież Mercedes miała zamknąć ostatni portal... - spróbowałam przekrzyczeć piski i odgłosy walki.

- Mercedes jest ranna! - odkrzyknął Marco. - Pospieszmy się!

Nie zastanawiając się dłużej, dałam mu prędko Divendiego i wyruszyłam na poszukiwanie rannej. Błądziłam niemalże po omacku za plecami Wojowników, kiedy nagle natknęłam się na leżące na ziemi ciało. To był Wojownik, który leżał nieprzytomny, już kiedy tutaj przybyliśmy. Uklęłam przy rannym, chcąc sprawdzić, jak poważne ma obrażenia. Odwróciłam bezwładne ciało, gdyż leżało twarzą do ziemi, i zamarłam. Przede mną leżała Michele.

Rany dziewczyny były najprawdopodobniej śmiertelne, ale wyczułam słaby oddech i puls. Szczęściem niemalże wszyscy Strażnicy zostali już pokonani, ale Wojownicy

jeszcze byli zajęci, więc spiesząc się, zaczęłam uzdrawiać chorą. Zajęło mi to parę chwil i trochę energii, ale w końcu Michele otworzyła oczy i spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Po pierwszym szoku uśmiechnęła się, co wyglądałoby promiennie, gdyby nie jej poszarzała skóra i zaczerwienione z przemęczenia oczy. Z wysiłkiem chwyciła mnie za dłoń, ściskając ją lekko.

Wstałam, pomogłam podnieść się dziewczynie i ruszyłam, by wspomóc pozostałych Wojowników w walce. Kilka chwil później ostatni z portali do świata Zła został zamknięty. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Marco dyskretnie oddał mi moją Sługę.

Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu Mercedes. Na szczęście kobieta była przytomna. Siedziała pod ścianą jednego z budynków, jej noga bardzo krwawiła. Podbiegłam do niej, starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, i szybko ją uzdrowiłam. Tymczasem pozostali zdążyli się otrząsnąć i uporządkować miejsce walki. W końcu, nie zwlekając, ruszyliśmy w drogę powrotną.

Wszyscy Wojownicy, którzy pełnili straż, odeszli w pośpiechu, by powiadomić bliskich o sukcesie, ale tak jak przypuszczałam, Michele została jeszcze chwilę z nami. Odciągnęłam ją na bok i powiedziałam:

- Michele, nie możemy teraz swobodnie rozmawiać. Spotkajmy się jutro.

- Z radością! - odpowiedziała dziewczyna.

Ustaliłyśmy szybko miejsce i godzinę, po czym rozstaliśmy się w pośpiechu.

Ostatni z portali został zamknięty, miałam więc nadzieję na odrobinę odpoczynku przed dalszą walką. Byłam o wiele spokojniejsza, a i moim przyjaciołom udzieliła się atmosfera radości i poczucie wygranej bitwy. Bo była to nasza pierwsza wygrana potyczka ze Złem.

XXIX

- Nareszcie odrobina spokoju... - powiedziałam rozmarzonym głosem do mojego chłopaka.

- Niewiele nam już takich zostało - odparł Mateusz.

- Ale mnie podnosisz na duchu, nie ma co. - Zaśmiałam się. - Cieszymy się tym, co mamy.

- A co mamy? - zapytała zbliżająca się właśnie do nas Karolina.

- Parę chwil odpoczynku, moja droga - odparłam.

- Racja. Trzeba z tego korzystać. I ja mam właśnie zamiar to zrobić. - Uśmiechnęła się szeroko, pytając po chwili: - Idziecie popływać?

Spojrzałam na Mateusza i oboje zgodnie podnieśliśmy się z leżaków, po czym razem z koleżanką dołączyliśmy do reszty znajomych czerpiących pełnymi garściami z uroków lata nad brzegiem zalewu.

Kilka dni temu wróciliśmy z Włoch zadowoleni z sukcesu. Cieszyłam się, tym bardziej że dane mi było przyjąć Michele do Drużyny Diveny. Tym sposobem Drużyna została skompletowana, jak dowiedziałam się od głosu Żywiołów, który usłyszałam w myślach. To był kolejny,

choć niezaplanowany, wielki krok w przygotowaniach do Wojny. Pozostało mi tylko przedstawić pełną już Drużynę Radzie Diveny i ujawnić się Wojownikom.

Tymczasem, przed ujawnieniem się pozostałym członkom rodu, mieliśmy jeszcze trochę czasu na wypoczynek. Przyjechaliśmy więc, jak za starych dobrych czasów, na kilka dni nad zalew z całą naszą paczką. Była z nami też Joasia, która świetnie czuła się w towarzystwie naszych przyjaciół. Pozostali członkowie Drużyny, a także Mercedes, Franco i Marco wrócili do swoich domów. Tak było najbezpieczniej, bo gdyby Zło nas tropiło, to teraz ślad rozpełzł się i przeciwnik miałby niemałe problemy ze zlokalizowaniem naszej grupy.

Wskoczyłam do wody i podpłynęłam do siedzącej na pomoście Joasi, która beztrudno wymachiwała nogami, rozmawiając z Pawłem, i śmiała się co chwila. A miała zapewne z czego, bo Paweł miał doskonałe poczucie humoru, o czym niejednokrotnie przekonałam się, chodząc z nim przez wiele lat do tej samej klasy.

Gdy podpłynęłam, chłopak szybko poderwał się i pomógł mi wejść na pomost, przy czym zdawał się nie odczuć żadnego wysiłku. Nic zresztą dziwnego, skoro nie dość, że był wysokim koszykarzem, to razem z Mateuszem od kilku lat trenował sztuki walki. Kilka minut później, już o własnych siłach, wygramolił się z wody Mateusz i położył się plackiem na deskach, wydając z siebie przeciągły, głośny wydech. Ciemnowłosy koszykarz, stojący za mną, roześmiał się, mówiąc:

- Oj, stary, coś ci te studia nie służą!
- Służą, ale nie kondycji - odparł Mateusz.

- Mmmm... - zamruczał, ku rozbawieniu Joasi, Paweł, unosząc wysoko brwi, po czym zapytał kolegę, który w międzyczasie zdołał podnieść się do pozycji siedzącej: - A nie chciałbyś zapisać się na wakacyjny trening razem ze mną? Trzy razy w tygodniu przez dwa miesiące. Plan możemy układać sobie sami, a cena nie jest wygórowana. Co ty na to?

- Niezły pomysł! - zaciekawił się Mateusz. - Ale nie wiem, czy Justyna mi pozwoli. - Spojrzał na mnie i puścił oczko. Zaśmiałam się, mówiąc ironicznie:

- Mówisz, jakbyś liczył się z moim zdaniem... Rób, co chcesz, bylebyś nie zapominał o mnie. - Uśmiechnęłam się.

Chłopak zbliżył się i cmoknął w policzek, mówiąc:

- Nie ma takiej opcji w moim centrum zarządzania.

- No... i bylebyś nie zapominał się po treningu umyć - powiedział ze śmiertelną powagą Paweł, po czym wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

W ciągu ostatnich dni spędzanie czasu z przyjaciółmi dawało mi wiele radości i uspokojenia. Chłonełam je jak sucha gąbka wodę, tak bardzo było mi to potrzebne. Zwłaszcza że przygotowania do ujawnienia się Dziedzica były w ostatnim stadium. Był wtorek, a spotkanie Wojowników w Świecie Diveny miało, według kalendarza Głównej Czasoprzestrzeni, odbyć się w najbliższy weekend. Nie bałam się samego ujawnienia, ale perspektywa pełnych patosu uroczystości przysparzała mi wiele zdenerwowania.

Joasię i Mateusza do Pałacu Dziedzica miał wieczór wcześniej zabrać Vertus. Pozostali Wojownicy mieli się przenieść na wielki dziedziniec przed Pałacem w sobotni poranek i pozostać w Świecie Diveny do niedzieli wieczorem, według zegara Głównej Czasoprzestrzeni. Czas tam biegł swoim własnym torem, dawało nam więc to szansę, że będziemy nieco dłużej cieszyć się swoją obecnością. Świętowanie i przygotowania do Wojny miały potrwać kilka tygodni. Wszyscy potrzebowali się rozluźnić i przeżyć ostatnie chwile radości przed przystąpieniem do tego, na co wielu z Wojowników czekało już bardzo długo.

Wyczułam na sobie czyjś wzrok. Podniosłam głowę. To Paweł przyglądał się Mateuszowi i mnie. Gdy nasze oczy spotkały się, chłopak tylko uśmiechnął się do mnie znacząco i pokazał uniesionego do góry kciuka, chcąc dać mi do zrozumienia, jak bardzo podoba mu się to, że jesteśmy razem. Odwzajemniłam uśmiech. Już po chwili ze śmiechem strząsałam z siebie wodę, którą ochlapał nas Paweł, wskakując z impetem do zalewu.

Był późny wieczór, a z otwartego szeroko okna mojego pokoju wpadało do wewnątrz ciepłe, pachnące latem powietrze. Nazajutrz Joasia i Mateusz mieli udać się wraz z Vertusem do Świata Diveny, by tam oczekiwać na uroczystość ujawnienia się Dziedzica Wojownikom. Postanowiliśmy spędzić ten wieczór razem... albo raczej moja Drużyna tak postanowiła. Ja zbyt się denerwowałam całym tym stosem ceregieli, jakie były wyczyniane wokół

mnie, by myśleć o przyjemnym spędzaniu czasu. No i, choć nie przyznawałam się do tego otwarcie, obawiałam się, jak przyjmą mnie Wojownicy. Moi przyjaciele starali się podtrzymać mnie na duchu.

Nigdy nie lubiłam być w żaden sposób wyróżniana i wywyższana, nawet jeśli chodziło o wyróżnienia naukowe czy sportowe. Nie umiałam na to reagować i było to dla mnie bardzo krępujące. Tymczasem odbyłam tego popołudnia rozmowę z Vertusem, mającą w jego mniemaniu przekonać mnie do tego, że powinnam się zachowywać jak Dziedzic i wręcz wymagać od innych szacunku do siebie.

- Rozumiem, że takiego zachowania będą wszyscy oczekiwać, ale to jest dla mnie zupełnie nienaturalne - jęknęłam.

- Dla ciebie nienaturalne, kochanie, ale Wojownicy, zwłaszcza ci bardziej wiekowi, mogliby swobodne zachowanie odczytać na opak - tłumaczył Mateusz.

- Właśnie - przytaknęła Joasia.

- A my przecież i tak wiemy, jaka jesteś naprawdę. - Uśmiechnął się Angelo. - Jednak dla dobra sprawy powinnaś założyć tę maskę władczyni i zrobić na tych, których masz prowadzić, jak najlepsze wrażenie.

- Wiem, że macie rację - powiedziałam powoli po kilku chwilach. - Nie mam widocznie innego wyjścia, jak tylko się przemóc. Może w Świecie Diveny pójdzie mi to łatwiej... - Zamyśliłam się, dodając po chwili, bardziej do siebie niż do pozostałych: - Tam czuję się naprawdę, jakbym była na właściwym, swoim miejscu.

Przez chwilę błądziłam myślami po cudownej dolinie, w której leżała Noribia, przywołując wspomnienia tej pięknej krainy. Jej pól, wzgórz, łańcuchów górskich, oceanu o niesamowitej, ciemnoturkusowej barwie, wreszcie swojego Pałacu. Te obrazy zawsze sprawiały, że czułam się podniesiona na duchu i pewniejsza siebie. Tam było moje miejsce i czułam to całą sobą.

- Opowiedz nam. - Słowa Joasi wyrwały mnie z rozmyślenia. Spojrzałam na nią nieprzytomnie, jeszcze nie do końca powróciwszy myślami do swojego pokoju. - Opowiedz nam o Świecie Diveny - poprosiła jeszcze raz.

Spojrzałam na nią, potem na Angelo i Mateusza. Wszyscy z zaciekawieniem czekali na moje słowa. Żadne z nich jeszcze nie widziało tej cudownej krainy - nawet Angelo, który był we wnętrzu Pałacu Dziedzica, nie widział nic poza dwoma pomieszczeniami, w których byliśmy. Uśmiechnęłam się. Ich twarze też się rozjaśniły.

- Świat Diveny tylko trochę przypomina naszą Główną Czasoprzestrzeń, ale naprawdę różnic jest tak wiele, że właściwie nie jest do niej podobny. Może nieco z wyglądu, ale posiada zupełnie odmienne od naszego właściwości.

Przede wszystkim jest mniejszy od Ziemi. Nie dane było mi poznać dokładnie rozkładu tego, co moglibyśmy nazwać kontynentami, ale mogę powiedzieć, że jest ich trzy. Prócz tego jest sporo wysp. To świat najpiękniejszych krajobrazów, jakie kiedykolwiek w życiu mogliście oglądać. Kolory są tam żywsze, zapachy intensywniejsze, doznania głębsze. To jakby raj... - Zamknęłam na chwilę oczy,

przypominając sobie najdrobniejsze nawet szczegóły krajobrazów, które w cudowny sposób zapadły mi w pamięć. Po chwili mówiłam dalej: - Świat Diveny był zakryty przed oczami Wojowników, prócz niewielkiego jej skrawka, do chwili, kiedy się pojawiłam. Znakiem tego, że przybyłam do Świata Diveny, było podniesienie się mgły, która zalegała na pozostałych obszarach, kryjąc również Pałac Dziedzica. Krótco po Próbie, o czym wam nigdy nie mówiłam, odbyłam podróż wraz z Vertusem. Teleportowaliśmy się dzięki Divenie do różnych miejsc, oglądając dopiero co odkryte przed ludzkimi oczami obrazy, kolejne krajobrazy, z których, pod wpływem mojej obecności, podnosiła się mgła. Zachwyt, jaki mnie wtedy ogarnął... Nie, tego nie da się wyrazić słowami. - Poczułam, że na wspomnienie tego przeżycia moje policzki zapłonęły z przejęcia. Westchnęłam głęboko i mówiłam dalej: - Przez całe wieki Wojownicy, którzy umarli dla Głównej Czasoprzestrzeni, przybywali do Świata Diveny, do tej części, która była dla nich dostępna, i tu się osiedlali. Jakimś nieznanym mi zmysłem wyczuwali, gdzie znajduje się Pałac Dziedzica, mimo że był ukryty przed ich oczami, i tam właśnie osiedlało się ich najwięcej. Tak powstała stolica naszego świata: Noribia. Jest usytuowana w pięknej, rozległej kotlinie, otoczonej trzema pasmami gór: Sevres, Karfen i Tallen. Schodzą się one jakby w trójkąt, w którego najostrzejszym kącie, między pasmem Sevres i Tallen, u stóp góry Norib, stoi Pałac. Właśnie od tej góry wzięła nazwę stolica. Pasma Karfen, zza którego w Świecie Diveny

wschodzi słońce, jest najdłuższe i ciągnie się aż po sam brzeg oceanu Ademarskiego. Te góry skrywają jakąś tajemnicę... - Zamyśliłam się po raz kolejny. - Jeszcze nie wiem jaką, ale wszystko już wkrótce stanie się jasne. - Zamilkłam.

Cisza zaległa w pokoju. Wpatrywałam się przed siebie, nie zauważając jednak tego, na co patrzyłam. Myślami byłam znów w górach Karfen. Tam działo się coś, co nie było dla mnie do końca zrozumiałe. I miało związek z Żywiołami. Postanowiłam jednak nie zawracać sobie tym głowy. Potrząsnęłam nią więc i spojrzałam na przyjaciół. Uśmiechali się.

- Świat Próby też się tam mieści. Jest na jednym z trzech kontynentów. Otoczony murem Diveny, by nikt, kto jest wewnątrz, nie mógł się wydostać na zewnątrz i na odwrót. Ponadto część, gdzie Wojownicy przechodzą Próbę, rządzi się swoimi prawami. Nie tylko przyroda, ale i bardzo często zabudowania zmieniają się tam w jednej chwili, dostosowując się do potrzeb Próby. - Znów przerwałam na chwilę. - Niedługo wszyscy będziemy wspólnie patrzeć na te widoki.

Mateusz, siedzący obok mnie, przygarnął mnie ramieniem bliżej. Przytuliłam się do niego.

- To było piękne - szepnął mi do ucha. Uśmiechnęłam się.

- To był tylko prosty opis - wysłałam do niego myśl.

- Gdy opowiadałaś - powiedział chłopak na głos - wydawało mi się, jakbym tam był.

- Też miałem takie wrażenie - przytaknął Angelo. Joasia tylko pokiwała głową.

Wszyscy byliśmy w jakiś sposób wzruszeni. Nasze odczucia stały się nagle jednością. I ta jedność w połączeniu z tęsknotą i zachwytem spoglądała w kierunku krainy, o której właściwie już teraz każde z nas mogłoby powiedzieć, że jest naszym domem. Krainy, o którą już wkrótce przyjdzie nam walczyć, ryzykując własne życie.

Słońce świeciło jasno, niebo było nieskazitelnie czyste. Lekki wietrzyk delikatnie muskał moje włosy. Stałam na niewysokiej skale, górującej nad stolicą Świata Diveny - Noribią - rozległym miastem, jakie przez wieki zdążyło rozwinąć się u stóp Pałacu Dziedzica. Urocze domki otoczone zadbanymi ogródkami, bliżej centralnej części miasta piękne kamienice, gdzieniegdzie niewielkie pałacyki, wstęga rzeki wijąca się u stóp góry Norib, na zboczu której stał Pałac, uliczki, ułożone w ten sposób, że wszystkie docierały do pałacowego gościńca wiodącego do mojego prawdziwego domu.

Wszystko było takie spokojne, jednak były to tylko pozory. Wiedziałam bowiem, że już od dłuższego czasu w każdym z tych domów odbywają się intensywne przygotowania do Wojny. Wojownicy ćwiczą, zbroją się, starają się przygotować na to, że być może przyjdzie im poświęcić swoje życie. Spokój, tak delikatny, jak mydlana bańka. Bałam się chwili, kiedy ona pęknie, a wiedziałam

przecież, że pęknąć musi. Mieliśmy jednak jeszcze trochę czasu.

Ze wszystkich stron przybywali Wojownicy, by spędzić wspólnie w Noribii ten wyjątkowy dzień, kiedy poznają Dziedzica. Dzień, w którym wreszcie spełnią się nadzieje, jakie przez wieki pokładali w mającym nadejść wodzu. Nie byłam pewna, czy te nadzieje spełni młoda, słaba i delikatna kobieta, jaką byłam. Wiedziałam jednak, że zrobię wszystko, by je ziścić. Jeszcze raz wciągnęłam aromatyczne, morskie powietrze w płuca, po czym ruszyłam, schodząc ze skały. Chciałam pomóc w przygotowaniach do wieczornej uroczystości.

Jako że Dziedzic pochodzi z rodu Divendi, tak i spomiędzy nich miał wyjść, by ich poprowadzić. Dlatego właśnie przebywałam razem ze wszystkimi w Noribii. Dawało mi to zresztą dużo radości i ciekawych doświadczeń.

Obserwowałam, jak z dystansem początkowo odnosili się wszyscy, przybyli z Głównej Czasoprzestrzeni do tych, którzy dla niej są już umarli. Potem widziałam powolne otwieranie się na siebie, pierwsze uśmiechy, znajomości, rozmowy, sympatie. Ci ludzie, mimo iż pochodzili z zupełnie różnych czasów, tu byli po prostu tacy sami. Nie rzucały się w oczy różnice kulturowe, a wszystkich łączyła zgodność interesów. Dla każdego dobro i miłość były priorytetami, wszyscy jednakowo czekali na Dziedzica, wszyscy szykowali się do walki, gotowi oddać życie, byleby tylko Zło zostało pokonane.

Przygotowania do wieczornego świętowania szły pełną parą. Przed Pałacem, na ogromnym placu, przygotowanym specjalnie w tym celu, oraz w pałacowych ogrodach ustawiano stoły, przy których mieliśmy później świętować, wszędzie wieszano piękne ozdoby. Z otwartych po raz pierwszy dla Wojowników kuchni, znajdujących się na parterze Pałacu, dobywały się niesamowite aromaty przyrządzanych potraw.

W przygotowaniach brali udział wszyscy - również ci, którzy nie mogli być obecni przy ujawnieniu się Dziedzica, czyli członkowie rodu mający niewielką Divenę, małżonkowie Wojowników i ich przyjaciele - pomocnicy Wojowników. Pomocnicy również tu przebywali, jeżeli przed śmiercią w Głównej Czasoprzestrzeni wyrazili taką chęć przed członkami Rady Diveny. Wszyscy ci mieli poznać mnie dopiero później. Sama chwila ujawnienia była przeznaczona tylko dla Wojowników.

Taty Martynki i Szymona nie było tu z nami. Z Głównej Czasoprzestrzeni na uroczystości do Świata Diveny mogli przybyć tylko Wojownicy. Jedynie babcia i mama towarzyszyły mi w podróży. Razem też zajęłyśmy pokój udostępniony nam przez mieszkającą w Noribii rodzinę Wojownika Maurice'a. Maurice był przemiłym człowiekiem, a także członkiem Rady Diveny, on i jego rodzina pochodzili z osiemnastowiecznej Anglii. Otworzyli swój dom na przybycie nie tylko nasze, ale i Angelo, który zadbał o to, byśmy mieszkali niedaleko siebie. Mój Wojownik przybył

wraz z ojcem i dwoma starszymi braćmi. Wszyscy czworo byli niesamowicie do siebie podobni.

Już od dwóch dni byliśmy w Świecie Diveny. Mieliśmy zatem z Angelo mnóstwo czasu, by porozmawiać, czego ostatnio bardzo nam brakowało. Poza tym wiedzieliśmy, że niewiele już takich spokojnych dni nam zostało, więc wykorzystywaliśmy w pełni te, które jeszcze były. Widząc go w oddali, niosącego jakąś skrzynię, zapewne z kolejną porcją ozdób, przygotowywanych specjalnie na tę szczególną okazję, pomachałam do niego. Zatrzymał się, więc ruszyłam szybciej w jego kierunku.

- Masz może jakieś wiadomości od Joasi i Mateusza? - zapytał, gdy podeszłam.

- Przedwczoraj, tuż po przybyciu do Świata Diveny, miałam jeszcze od nich wieści. Zdaje się, że byli z Vertusem gdzieś w górach. Miał coś do załatwienia i ciągnął ich tam ze sobą. Od wczoraj się jednak nie odzywają - odparłam.

- Są już pewnie tutaj, w dolinie. - Angelo spojrzał w dal, zamyślonym wzrokiem. - To dobrze - dodał po chwili, uśmiechając się do mnie. - Bardzo mi tu dobrze, ale jakoś nieswojo bez nich.

- Zgadza się z tobą - powiedziałam, ruszając razem z nim w stronę placu. - Tak bardzo przyzwyczałam się, że jeżeli robię cokolwiek, co dotyczy spraw Diveny, to z reguły jest przy mnie moja Drużyna. Cieszę się, że jesteś tutaj.

- Nie mógłbym inaczej. - Wojownik się zaśmiał. - Przynależę ci i sobie, że nie odstąpię cię ani na krok, póki mi sił wystarczy. Jestem twoim aniołem stróżem.

- Wiem. - Uśmiechnęłam się. - Ale tak nie będzie zawsze.

- Nie wybiegajmy zbyt daleko w to, co nadejdzie - odparł.

Dotarliśmy do placu, kuzyn otworzył skrzynkę i zabraliśmy się do pracy. Nieopodal nas po krótkim czasie zauważyłam obecność pozostałych Wojowników z Drużyny. Jak im nakazał Vertus, nie mogli dać po sobie poznać, że mnie znają. Mieli natomiast czuwać w pobliżu. W Świecie Diveny zasadniczo byłam bezpieczna, ale to było tylko „zasadniczo”. Nadszedł czas, kiedy nie mogliśmy być pewni niczego.

Martwiłam się trochę o Joasię i Mateusza. Nie odzywali się, a właściwie nie odzywał, bo tylko z Mateuszem porozumiewałam się za pomocą myśli. Oboje przybyli do Świata Diveny dzień przed nami, eskortowani przez Vertusa. Potem, jak powiedział mi mój Przodek, byli gdzieś w górach Karfen, gdzie Vertus musiał coś sprawdzić. Nie wnikałam w jego skomplikowane, tajemnicze i wiecznie niejasne dla mnie przedsięwzięcia. Od wczoraj jednak ani od Vertusa, ani od Mateusza nie miałam znaku życia. Zapewne już tu byli, ale nie miałam pojęcia, gdzie ulokował ich mój Przodek. Mogłam się tylko domyślać, że są gdzieś w pobliżu Pałacu.

Wiedziałam, że zobaczę przyjaciół wieczorem. Miałam bowiem przedstawić całą Drużynę Wojownikom, a tego obawialiśmy się wszyscy. Joasia i Mateusz byli osobami szczególnymi. Nie należeli do rodziny, ale w jakiś sposób

należeli do rodu, bo przekazałam im Divenę. To było trochę jak eksperyment i właśnie dlatego nie byliśmy pewni, jak zostaną przyjęci przez Wojowników Diveny. A może niepotrzebnie się przejmowałam i zastanawiałam nad tym? Może nie ma sensu się martwić na zapas? Poza tym jesteśmy wszyscy po tej samej stronie barykady... - Pokręciłam bezwiednie głową.

- O czym tak intensywnie rozmyślasz? - zapytał nagle Angelo, uśmiechając się.

- Ojej... - zająknęłam się, na co kuzyn się roześmiał.

- Wyglądałaś, jakbyś prowadziła jakąś niezwykle absorbującą rozmowę wewnętrzną.

- Czasami wydaje mi się, że za dobrze mnie znasz. - Pokręciłam głową, śmiejąc się. - Faktycznie, zastanawiałam się... nad tym, jak Wojownicy przyjmą Joasię i Mateusza - powiedziałam, ścisząc głos.

- Nie martw się za dużo sprawami, na które nie masz wpływu - odparł Angelo. - Wszystko będzie dobrze.

- Będzie - powtórzyłam za nim, mając nadzieję, że samo powtarzanie pomoże mi szybciej w to uwierzyć, i wróciłam do wieszania ozdób.

Wszyscy Wojownicy stali na wielkim placu, za sobą mając długie stoły, przy których mieli zasiąść do świętowania. Był późny wieczór. Niebo było już ciemne, tylko na zachodzie mieniło się jeszcze barwami chowającego się za horyzont słońca. Wokół paliły się lampiony, wszędzie było pełno kolorowych ozdób.

W powietrzu unosiła się niesamowita woń kwiatów, a choć ocean nie był zbyt blisko, cuda tego Świata pozwalały, aby lekka bryza przynosiła ze sobą ożywczy zapach morskiej wody.

Wojownicy byli ubrani w niebieskie szaty ze Znakiem Diveny na piersiach. Oczy wszystkich zwrócone były w stronę Pałacu, przed którego wrotami, wciąż jeszcze zamkniętymi, znajdował się na podwyższeniu długi stół przygotowany dla Dziedzica, Vertusa i członków Rady Diveny, a także, o czym nie wiedzieli Wojownicy, dla Drużyny. Wszyscy ze zniecierpliwieniem czekaliśmy na to, co się zdarzy.

Wreszcie od strony Pałacu nadeszli członkowie Rady na czele z Vertusem. Wszyscy byli odziani w powłóczyste błękitne, złoto zdobione szaty, na czołach mieli piękne diademy. Wolnym krokiem weszli na podwyższenie, ustawiając się półkolem po lewej i prawej stronie Vertusa. Protoplasta rodu stanął na środku, mając za plecami wrota od Pałacu Dziedzica. Wyglądał niezwykle dostojnie. Spojrzał powoli na wszystkich Wojowników, uśmiechnął się i zawołał donośnie:

- Witajcie, Wojownicy Diveny! - Zebrani wydali powitalny okrzyk. - Nareszcie nadszedł ten dzień! Wielu z was czekało nań przez wieki, niektórzy przybyli do nas prosto z Próby. Wszyscy bardzo staraliście się przygotować to miejsce, by było godne Dziedzica Diveny. Ogłaszam więc, iż istotnie, Dziedzic jest już na świecie i działa!

Pomruki radości i podekscytowania rozlegały się przy kolejnych zdaniach. Moje serce na zmianę przyspieszało i zwalniało. Ścisnęłam mocno dłoń stojącego obok mnie Angelo. Vertus przerwał na chwilę, po czym wrócił do kontynuowania swojej przemowy, tym razem zwracając się bezpośrednio do mnie.

- Nasze nadzieje pokładamy w tobie, Dziedzicu Diveny! Wiem, że nas nie zawiedziesz! Rada Diveny oddaje władzę w ręce prawowitego władcy! - Vertus zrobił kolejną pauzę, po czym powiedział: - To z rodu Divendi Dziedzic się wywodzi, więc spomiędzy was, Wojownicy, wyjdzie.

Przez nasze szeregi przebiegł szmer zdumienia. Niektórzy nawet zaczęli się rozglądać, mając zapewne nadzieję, że Dziedzic czymś szczególnym będzie się wyróżniał i zdołają go dostrzec, zanim sam postanowi się ukazać. Uścisnęłam jeszcze ręce mamy i babci, po czym powolnym krokiem zaczęłam przemieszczać się między Wojownikami w kierunku podwyższenia.

- Dziedzic jest już w posiadaniu Kamienia Diveny, który jest mu posłuszny. Tylko on może otworzyć drzwi Pałacu, tylko on może nas poprowadzić, tylko on może pokonać Zło!

Vertus rozejrzał się, szukając mnie wzrokiem, a widząc, że zbliżam się powoli do niego, uśmiechnął się. Skinął na Marco, który podał mu białą szatę, podobnie jak szaty członków Rady wyszywaną złotem, ze Znakiem Diveny przesytytym błyskawicą na piersiach. Obok Marco stanęła Mercedes, trzymając aksamitną poduszeczkę, na której spoczywał diadem i berło.

Byłam już coraz bliżej. Niektórzy Wojownicy zdziwieni patrzyli na mnie, zastanawiając się pewnie, po co idę do przodu, większość jednak nie zwracała na mnie uwagi. Odczytałam to jako dobry znak - skoro moi Wojownicy nie rozpoznawali we mnie Dziedzica, to znaczy, że wszelkie środki bezpieczeństwa zadziałały. Zatrzymałam się wśród Wojowników stojących na samym przodzie. Wzięłam głęboki oddech, pomyślałam, że wreszcie spełnia się moje przeznaczenie, i moją duszę napełniło poczucie, że jestem na właściwym miejscu, po czym ruszyłam powoli ku obsypanym płatkami róż schodom.

- Dziedzic przybywa! - krzyknął Vertus, po czym odsunął się, robiąc mi miejsce.

Każdy schodek, który pokonywałam, był wyzwaniem. Szłam powoli, słysząc za sobą zdumienie, niezrozumienie, wreszcie i radość wyrażaną na rozmaite sposoby. Bałam się, a jednocześnie byłam spokojna. Resztką sił pokonałam ostatni schodek i podniosłam oczy na mojego Przodka. Vertus spojrzał na mnie wzrokiem spokojnym, pełnym dostojeństwa i dumy. Uśmiechnął się pokrzepiająco, a ja zrozumiałam, że to ze mnie jest dumny.

Skierowałam wzrok na wielkie i wspaniałe główne wejście do Pałacu. Do tej pory nikt nie otworzył jeszcze tych drzwi. Wyciągnęłam rękę w ich kierunku, dotykając ich delikatnie Diveną. Nigdy wcześniej nieużywany zamek stuknął cichutko i wrota zaczęły się powoli rozchyłać, ukazując piękny korytarz. Prowadził na wielki dziedziniec,

z królującą na jego środku wspaniałą fontanną, z której tryskał wesoły strumień wody.

Jeszcze raz spróbowałam uspokoić skołatane serce, po czym powoli odwróciłam się twarzą do Wojowników. Wyciągnęłam Kamień Diveny spod niebieskiej szaty, którą miałam na sobie. Rozłożyłam delikatnie ręce i uśmiechnęłam się. Lekki wietrzyk zafalował w moich włosach, a Divendi uniósł się przede mną i rozjarzył Białym Ogniem. Przez chwilę trwała niesamowita cisza, po czym nagle gruchnęły okrzyki nieskrywanego entuzjazmu.

Wszelki niepokój i niepewność mnie opuściły. Poczułam niesamowitą radość i ekscytację. Po raz pierwszy w życiu miałam absolutną pewność, że jestem we właściwym miejscu i we właściwym czasie, że to było mi przeznaczone. Uśmiechnęłam się szerzej.

Poczułam, że Vertus nakłada na mnie białą szatę. Pomogłam mu, po czym pozwoliłam, by włożył mi na skronie złoty diadem i wzięłam z jego rąk berło. Spojrzałam znów na Wojowników, którzy jeszcze głośniejszym głosem wyrazili swoją radość, po czym dałam im do zrozumienia, że chcę do nich przemówić. Na całym placu zaległa niczym nieprzerywana cisza.

- Wojownicy Diveny! - krzyknęłam. Mimo moich obaw i drżenia, którego nie umiałam opanować, mój głos zabrzmiał donośnie i czysto. - Oto jestem Dziedzicem Diveny! Divena została mi przeznaczona na samym początku, wraz z imieniem Aida Nicoletta. Divena to część mojej duszy, jej mądrość jest moją mądrością, jej potęga

jest moją potęgą. - Mówiłam to, co podpowiadał mi mój Sługa. - Oto nadeszły dni, kiedy Czara Zła się przepelnia. Dane mi więc było przyjść na świat, by pokonać Zło! Ale nie zdołam zrobić tego sama. Kim jest bowiem król bez swoich poddanych? Kim wódz bez swojego wojska? Kim rodzic bez swoich dzieci? - Rozejrzałam się powoli, spoglądając na skupione twarze Wojowników. Wszyscy słuchali mnie z zapartym tchem. - Wy jesteście moimi poddanymi, moim wojskiem, moimi najbliższymi! To wy pokonacie Zło! A ja stanę na waszym czele, poprowadzę was i będę walczyć najdzielniej, jak potrafię! Będę walczyć do ostatniej kropli krwi, wiedząc, że stoicie przy moim boku! Razem pokonamy naszego wroga! - Zrobiłam krótką pauzę, spoglądając na twarze, pałające nadzieją i odwagą. - Teraz mamy czas dla nas. Nim zaczniemy walczyć, uradujmy się z tego, że nadeszła chwila, kiedy wreszcie Dziedzic zjednoczył się ze swymi Wojownikami!

Plac i cała okolica jeszcze raz rozbrzmiały entuzjastycznym okrzykiem radości. Kiedy Wojownicy zamilkli, ponownie zwróciłam się do nich.

- Dziedzic zebrał już Drużynę Diveny. Oto oni! - Spomiędzy Wojowników wynurzyli się powoli członkowie Drużyny. Weszli na podwyższenie i od razu otrzymali od Rady Diveny podobne do mojej białe szaty i diademy, po czym stanęli za mną. - To jednak jeszcze nie wszyscy! Są w Drużynie również Pomocnicy, którym w Świecie Próby przekazałam Divenę.

Na te słowa zza członków Rady wyszli Joasia i Mateusz. Oboje z pozoru spokojni, jednak widziałam, że są zdenerwowani i niepewni. Uśmiechnęłam się do nich. Włożyli białe szaty Drużyny z wyszytą podobizną Znak, jaki nosili na ramionach, po czym dołączyli do pozostałych. Spojrzałam po kolei na moich biało odzianych przyjaciół i uśmiechnęłam się. Teraz już nie byłam sama. Odwróciłam się do Wojowników ze słowami:

- Nadszedł czas radości! Radujmy się! - Po raz kolejny rozległy się okrzyki i oklaski, po czym Wojownicy zasiedli do stołów. Rozpoczęła się biesiada.

Podeszłam do mojej Drużyny, przytulając każdego po kolei. W końcu zostali tylko Angelo i Mateusz. Zbliżyłam się do mojego Wojownika i uścisnęłam go ciepło, mówiąc:

- Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie.
- Aido Nicoletto, to dopiero początek - powiedział.
- Chciałabym, abys był oficjalnie moim doradcą. Prawą ręką - powiedziałam z nadzieją.
- To dla mnie zaszczyt, Dziedzicu - odparł i skłonił się lekko, jak nakazywały zasady. Uśmiechnęłam się z ulgą, po czym pozwoliłam mu odejść do pozostałych.

Został już tylko Mateusz. Spojrzałam na niego z miłością. Uśmiechnął się, podszedł, objął mnie i uniósł w powietrze, obracając się przy tym. Roześmiałam się na głos.

- Tak tęskniłem... - szepnął.
- Przecież to tylko trzy dni - odparłam ze śmiechem.

- Aż trzy! - Zaśmiał się, przytulił mnie mocniej, chwycił mnie za rękę, po czym udaliśmy się, by usiąść na przygotowanych dla nas miejscach.

XXX

- Oni będą mi zawsze towarzyszyć - zakończyłam oficjalnie przedstawiać Drużynę Radzie. - Wczorajsze uroczystości były naprawdę poruszające i doskonale zorganizowane, za co dziękuję wam wszystkim. Skoro zaś jest to już za nami, nadszedł moment, by zaplanować, co dalej.

Siedzieliśmy w białej sali, w której już kilkakrotnie odbywały się posiedzenia Rady. Jedyna różnica była taka, że teraz cała Drużyna była tu w komplecie. Siedziałam u szczytu stołu, po prawej stronie mając zamysłonego Angelo, Mateusza i Joasię, a po lewej Paolo i Michele, którzy wyglądali na nieco spiętych.

- Pięcioro najbliższych Dziedzicowi ludzi. To dobrze, że jesteście - powiedziała Mercedes, a kilkoro starszych członków Rady skinęło głowami, przytakując jej słowom.

- Zwłaszcza że są to tak różne osoby - dodał Maurice. - W różnorodności jest nasza siła. Nią może udać nam się zaskoczyć przeciwnika.

Skinęłam głową, przyznając mu rację.

- Najważniejszą sprawą, zanim wypowiemy Wojnę Złu, jest skontaktowanie się z Żywiołami. One obiecały nam

pomoc. Trzeba zatem ustalić pewne rzeczy. Vertusie, ty wiesz, gdzie je można w Świecie Diveny spotkać, prawda? To daleka podróż? Muszę z nimi porozmawiać.

- Dziedzicu, chcesz iść sama? - zapytała Mercedes. Skinęłam głową. - Czemu cała Drużyna nie może iść z tobą?

- Niepotrzebne zamieszanie. Sama świetnie sobie poradzę. Większa ilość osób zwróciłaby tylko niepotrzebnie na siebie uwagę.

- Ja pójdę z tobą - powiedział stanowczym głosem Mateusz. Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Nie odmawiaj, nalegam - przesłał myślą.

- Zgoda - odparłam po chwili, stwierdziwszy, że może i dobrze będzie mieć towarzystwo. - Ale nikt więcej. Podczas mojej nieobecności wszelkie decyzje będzie podejmował Angelo. Jemu przekazuję pełnię władzy - zaczęłam mówić nieco głośniej, chcąc zaznaczyć, że te słowa są bardzo ważne. - Jest moim doradcą i prawą ręką, on będzie was prowadził, jeżeli mnie zabraknie.

Mój głos rozbrzmiał w dużej sali głośnym echem. Wszyscy siedzieli nieruchomo, zmrożeni nadal jakby wiszącymi w powietrzu słowami. Nie dowierzali, że taka sytuacja może kiedykolwiek nastąpić, albo też nie chcieli dopuścić do siebie takiej myśli. Byłam jednak pewna, że każdy członek Rady doskonale pojął wagę mojego oświadczenia. Moim obowiązkiem było zadbać o Wojowników w razie, gdyby coś mi się przytrafiło, więc czułam się zobligowana do powołania kogoś, kto mnie

zastąpi. Ciszę przerwał Angelo, spłoszonym głosem mówiąc:

- To dla mnie zaszczyt, Aido Nicoletto. Postaram się stanąć na wysokości zadania. Wolałbym jednak raczej starać się nie dopuścić do takiej sytuacji... Będę cię bronił do ostatnich sił. - Ostatnie słowa wypowiedział głośno i pewnie. Pozostali odetchnęli cicho, a ja uśmiechnęłam się tylko do mojego kuzyna. Tak jak i ja świetnie sobie zdawał sprawę z tego, że nie mogliśmy być pewni tego, co nas czeka, więc moja deklaracja była jak najbardziej na miejscu.

- Idźmy więc dalej. Kiedy tylko nasze plany zostaną uzgodnione z naszymi sojusznikami, ruszymy do walki. Coraz mocniej czuję, że z Czary zaczyna się sączyć smolisty płyn, zalewając Główną Czasoprzestrzeń kawałek po kawałku. - Zmarszczyłam brwi i przeszedł mnie dreszcz na wspomnienie tej wizji. Miałam ją zaledwie wczoraj, przed uroczystością. Pozostała tak żywa, jakbym w tej chwili stała przy Czarze Zła. Już tak niewiele brakowało, by smolista ciecz zaczęła się przelewać poza brzeg tego przekłętego naczynia.

- Ruszymy do walki bez zapowiedzi? - zapytał Marco.

- Oczywiście, że nie. To by było za bardzo w stylu naszego wroga. My mamy swoją godność, która nakazuje nam po prostu wypowiedzieć Wojnę. W jaki sposób, to się jeszcze okaże - powiedziałam. - Martwię się jednak czym innym... Wypowiemy Wojnę, będziemy się starali dążyć do bezpośredniego starcia tu, w Świecie Diveny, stykającym

się ze Światem naszego Przeciwnika. Do walnej bitwy prędzej czy później dojdzie. Obawiam się jednak tego, że to będzie później.

Przerwałam na chwilę, chcąc zebrać rozprasające się wciąż myśli.

- Jak wiecie, jeszcze zanim dowiedziałam się, że jestem Dziedzicem, zaczęłam miewać wizje. Zdarzają mi się one zresztą do tej pory. Ukazywała mi się w nich Twarz Zła. Kilka razy chyba świadomie zwracała się do mnie. W większości przypadków jednak wydaje mi się, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że ktokolwiek ją słyszy. Za każdym razem spotkanie z Twarzą kosztuje mnie wiele wysiłku i bólu, nie mogę ich w żaden sposób kontrolować, pojawiają się, kiedy chcą. Realizm wizji pogłębił się, odkąd dotknęłam Czary Zła. Ale nie będę wchodzić w dalsze szczegóły. Powiem tyle, że w czasie ostatniej wizji usłyszałam coś, co pozwala mi sądzić, że pierwszy atak Zła skierowany będzie na Główną Czasoprzestrzeń. Musimy jak najskuteczniej odparować ten cios.

- Ale jak? - zapytał ze zdziwieniem i nutką niedowierzania w głosie jeden z członków Rady.

- Niestety, nie będziemy tego wiedzieć, dopóki atak się nie zacznie - odparłam z rezygnacją. - Musimy uświadomić sobie jedno: nasz Przeciwnik jest bardzo silny i nie należy go bagatelizować. Jeżeli atak na Główną Czasoprzestrzeń faktycznie nastąpi, postaramy się działać możliwie jak najszybciej. Ale do tej walki zaangażować możemy jedynie

Wojowników tam żyjących, i to nie wszystkich. Musimy być przezorni, atak może przecież nastąpić z dwóch stron.

Zgromadzeni przy stole pokiwali twierdząco głowami. Ucieszyło mnie ich poparcie.

- Związane z bitwą jest dowodzenie armią. Mówię o bitwie walnej, tej, która rozstrzygnie sprawę, ale także i o tych mniejszych. Niestety nie czuję się wystarczająco swobodnie w dowodzeniu armią, proszę więc Radę o wybranie przynajmniej dziesięciu osób, które mają większe doświadczenie. Spotkam się z nimi i omówimy szczegóły.

- Pani, pozwolisz, że ja zorganizuję tę grupę? - powiedział jeden z członków Rady, wstając z krzesła. Był około czterdziestoletnim, postawnym mężczyzną, o smolistych czarnych włosach i ciemnoniebieskich oczach. - Nazywam się Edmondo. Służyłem w wojsku, byłem prawą ręką dowódcy. Potrafię dowodzić armią i rozpoznać ludzi, którzy też się na tym znają. - Po tych słowach skłonił lekko głowę.

Spojrzałam na niego z uwagą. Faktycznie, wyglądał na wojskowego. Niewątpliwie znał się na taktyce wojennej, a ponadto był członkiem Rady, wobec czego mogłam mu zaufać.

- Dobrze więc, Edmondo. Znajdź dla mnie grupę dowódców. Jak tylko wrócę z podróży, spotkam się z wami, by omówić taktykę.

Mężczyzna skinął jeszcze raz głową i usiadł.

- Ostatnia sprawa, jaką chciałam poruszyć, to Zdrajcy. - W sali rozległ się szmer niezadowolenia. - Znacie już tożsamość wszystkich? Kto zajął się tą sprawą?

- Ja, Dziedzicu - powiedział Maurice, wstając. - Wraz z kilkorgiem innych ludzi ustaliliśmy, kogo z Wojowników brakuje.

- Słucham więc - zachęciłam.

Maurice odchrząknął.

- Kilkunastu nieżyjących już dla Głównej Czasoprzestrzeni oraz troje żyjących. W ostatnich czasach, gdy siła Zła wzrastała, także tych, którzy przeszli na jego stronę, znalazło się więcej. Jest wśród żyjących Zdrajców również pięcioro, którzy nie są Wojownikami. Dwóch nie przeszło Próby Diveny, jakimś sposobem uwolnili się ze Świata Próby i schronili w Zamku Zła. Potem wrócili do Głównej Czasoprzestrzeni. Kolejnych troje nie było wezwanych na Próbę. - Maurice wziął głęboki oddech. Widać było, że nie sprawia mu przyjemności mówienie o tych sprawach. - Jednym ze Zdrajców był Atos, którego pokonałaś i który siedział w Pałacowych lochach pilnie strzeżony, dopóki nie dosięgła go klątwa za złamanie Przysięgi. Dwóch kolejnych też odesłałaś do Pałacu po zamknięciu portalu w miejscu narodzin Vertusa, ich również dosięgła klątwa. Pozostali ukrywają się. Nie wiemy, gdzie są.

Mężczyzna stał jeszcze chwilę. Skinęłam głową w jego stronę, pozwalając mu usiąść.

- Dziękuję, Maurice. Powinniśmy wobec tego zająć się tą sprawą. Po powrocie z podróży będę nalegała na spotkanie z żyjącymi w Głównej Czasoprzestrzeni Wojownikami.

- Zajmę się tym - powiedziała Mercedes.

- Dziękuję ci - odparłam, po czym zwróciłam się do pozostałych: - Dziękuję wam wszystkim za przybycie i pomoc. Wojownicy z Głównej Czasoprzestrzeni mogą wracać do siebie. Rada niech wykonuje polecenia, jakie im dałam. O kolejnym spotkaniu zostaniecie powiadomieni. Proszę, żeby została w sali Drużyna Diveny oraz Vertus. Dziękuję raz jeszcze.

Wstałam, a wraz ze mną podnieśli się pozostali. Kiedy członkowie Rady wyszli, Vertus przysiadł się bliżej i rozpoczęliśmy naradę z Drużyną.

- Angelo, ciebie proszę o dopilnowanie wszystkiego. Zwłaszcza o to, by nasilić poszukiwania Zdrajców. Kiedy tylko ustalimy, gdzie przebywają, będziemy musieli się z nimi rozprawić. Sami damy sobie, mam nadzieję, radę. Tymczasem obserwujcie z uwagą wszystko, co w Głównej Czasoprzestrzeni będzie się działo. Cokolwiek, co można by zinterpretować jako atak Zła, musi być natychmiast doniesione. Nie próbujcie się z Przeciwnikiem rozprawić w pojedynkę, jeżeli nie będzie to konieczne. Starajcie się też, proszę, być nierozłączni. Im większymi grupami będziemy się poruszać, tym bezpieczniejsi będziemy. - Wszyscy skinęli głowami. - Pamiętajcie, że chroni was Znak. Kiedy Zło będzie w pobliżu, rozbłyśnie błękitnym

światłem. Niech to będzie ostrzeżenie dla was. Nie chodzi mi o to, byście uciekali przed Przeciwnikiem jak tchórze. Jednak walka ze Złem w pojedynkę niesie ogromne ryzyko przegranej, a my nie możemy pozwolić sobie na straty.

Przerwałam na chwilę i rozejrzałam się, spoglądając po kolei na twarze otaczających mnie przyjaciół.

- Nie zniosłabym, gdyby coś wam się stało. Proszę, uważajcie na siebie - powiedziałam, po czym wstałam. Pozostali zrobili to samo, skłonili głowy i ruszyli ku wyjściu.

Zatrzymałam Vertusa i Mateusza, dając im do zrozumienia, że chciałabym jeszcze z nimi porozmawiać o kwestii podróży. Usiedliśmy więc w trójkę, a kiedy drzwi za Drużyną zamknęły się, powiedziałam:

- Vertusie, jak wygląda sprawa z Żywiołami? Będąc w Świecie Diveny, czuję ich obecność. Słyszałam już wiele razy ich głos, choć to dla mnie niewytłumaczalne... Wyjaśnij mi i powiedz, co zrobić, by z nimi porozmawiać.

Vertus uśmiechnął się, po czym zaczął opowiadać.

- I dla mnie to było niewyobrażalne. Świat Diveny nie został stworzony przeze mnie. Nie jestem całkowicie pewien, ale wszystko wskazuje na to, że powstał wraz z moimi narodzinami, ja go tylko udoskonaliłem. Są jednak pewne prawa, którymi się rządzi i na które nie mamy wpływu. O ile więc w Głównej Czasoprzestrzeni czym są żywioły, każdy widzi i wie, o tyle tu jest trochę inaczej. Nadal są to te same żywioły, jednak tu są one żywe i świadome, myślą, mówią, kierują swoimi siłami. Kiedy to odkryłem, zrozumiałem, że od wieków było im

przeznaczone stać się naszymi sojusznikami. Ja też słyszałem ich głos, delikatny i ciepły. Wyruszyłem więc na poszukiwanie jego źródła. Samego źródła nie znalazłem, jest dobrze ukryte i zapewne objawi się, kiedy samo uzna za stosowne. Wiem jednak, gdzie można z nimi porozmawiać.

- Wspaniale - powiedziałam. - Mów więc.

- Całkiem niedaleko, w górach Karfen, tych, zza których w Świecie Diveny wschodzi słońce, znajduje się jaskinia. Bije w niej źródło, a jej wnętrze oświetlone jest jakimś niesamowitym blaskiem. Tam trafiłem, prowadzony przez Divenę. Tam też rozmawiałem z Żywiołami.

Słowa Vertusa wywołały na mnie ogromne wrażenie. Gdzieś w pokładach swojej pamięci odgrzebałam wspomnienie, kiedy to stojąc przed Czarą Zła, usłyszałam głos Żywiołów. Miałam wtedy wrażenie, że znajduję się w jaskini. Wspomnienie stało się nagle jasne i oczywiste.

- Teleportowanie się w to miejsce nie wchodzi w grę - mówił dalej Vertus. - Ale to dobrze. Tę drogę najlepiej odbyć na własnych nogach jak pielgrzymkę. Czeka was trudna podróż. Będzie ona jednak względnie bezpieczna. Złu nadal trudno jest dostać się do Świata Diveny, choć nie jest to już dla niego niemożliwe. - Przerwał na chwilę. - Wyruszcicie wczesnym rankiem. Po dotarciu na brzeg oceanu pójdziecie wzdłuż niego, na wschód. Pierwszą noc spędzicie przy plaży. Drugiego dnia znów wyruszyacie o świtaniu. W samo południe skróćcie w kierunku gór. Późnym wieczorem powinniście znaleźć się u ich stóp. Wraz z kolejnym świtem skierujecie się na trzeci szczyt od strony

morza. Prowadzi nań ledwie widoczna ścieżka. Mniej więcej w połowie drogi do szczytu znajduje się jaskinia. Powinniście wejść do niej o zachodzie słońca. Lepiej nie potrafię wytłumaczyć wam, jak iść. Musicie się jednak bardzo pilnować. Zło w każdej chwili może zaatakować. Nasz Przeciwnik zbiera wielkie siły. Uważajcie na siebie.

- Dziękuję, Vertusie - powiedział Mateusz. - Poradzimy sobie.

- Wiem - odparł mój przodek, uśmiechając się i kiwając w zamyśleniu głową. - Wiem.

Był wczesny ranek, słońce powoli wynurzało się z za gór Karfen, oświetlając piaszczystą plażę i oszałamiająco pachnące iglaste lasy rosnące nieco dalej od brzegu. Byliśmy coraz bliżej gór, w południe mieliśmy już skręcić w ich stronę. Mateusz szedł tuż obok, dźwigając plecak z całym naszym prowiantem i potrzebnym dobytkiem. Uparł się, że sam wszystko będzie niósł. Nie chcąc urazić jego męskości, zgodziłam się, pod warunkiem, że ja wezmę koce i butelkę z wodą dla siebie.

- Przyznam ci się do czegoś - powiedział nagle, przerywając ciszę. Jego wyraz twarzy wyrażał skupienie, wargi miał zaciśnięte, a na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Proszę - zachęciłam.

Spojrzał na mnie uważnie, po czym wyrzucił z siebie:

- Chyba jestem zazdrosny.

Z zaskoczenia zatrzymałam się gwałtownie. On zrobił jeszcze kilka kroków, po czym też przystanął i spojrzał na mnie.

- Nie spodziewałam się takiego... wyznania. O co, jeśli można wiedzieć? - zapytałam, starając się, by zabrzmiało to łagodnie, choć trudno było mi ukryć zmieszanie.

- Raczej o kogo - sprostował, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział: - Skoro już zacząłem, to skończę. Chodzi o Angelo.

- O mojego kuzyna? - Moje zdziwienie było coraz większe. Nic z tego nie rozumiałam. - Przecież nie dałam ci powodu...

- Nie, nie dałaś mi powodu myśleć, że zależy ci na nim inaczej niż tylko jak na przyjacielu - przerwał mi uspokajającym głosem i uśmiechnął się lekko. - Chodzi mi o coś zupełnie innego. O jego, jak by to ująć... pierwszeństwo przede mną. Zwłaszcza tutaj, w Świecie Diveny. I we wszystkich sprawach i sytuacjach, które Diveny dotyczą.

Zastanowiłam się chwilę nad jego słowami.

- Faktycznie, jako Wojownika i członka Drużyny faworyzuję go - powiedziałam prosto i szczerze. - Jest moją prawą ręką, doskonale się rozumiemy. Mogę na nim całkowicie polegać. Jest zawsze obok mnie... Jest zawsze obok mnie, a ty zaraz za nim. - Podniosłam wzrok na mojego chłopaka. - O to chodzi?

- W pewnym sensie. - Skinął głową i spojrzał mi prosto w oczy. - Ale nie zrozum mnie źle. Nie chcę, byś jego mną

zastąpiła. Nie nadaję się na twojego doradcę, bo nie jestem Wojownikiem, nie wychowywano mnie do walki. Ale nie chciałbym też, żebyś mnie od siebie odsuwała, kiedy chodzi o sprawy Diveny. Chcę brać pełny udział w tym, co ciebie dotyczy, zwłaszcza jeśli mam cię w tym wszystkim jakoś wspierać.

Westchnęłam, uśmiechając się lekko. Spojrzał na mnie i też się uśmiechnął jakby przepaszająco. W którymś momencie chyba za bardzo wczułam się w rolę Dziedzica Diveny, a zapomniałam o człowieku, który był mi najbliższy.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli. Ostatnio często przedkładałam sprawy Diveny nad wszystko inne. - Zastanawiałam się przez chwilę. - Sama czułabym się podobnie... Ale to nie znaczy, że kiedy coś dotyczy Diveny, to nie jesteś mi potrzebny.

- Wiem. - Mateusz uśmiechnął się, chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy dalej. - Właściwie to chciałem tylko, żebyś wiedziała, że są we mnie takie uczucia. Mam nadzieję, że nie masz mi tej zazdrości za złe.

- Uczucia nie podlegają ocenie moralnej. Ale cieszę się, że mi o tym powiedziałeś - odparłam. - Dziękuję za twoją szczerość.

- Co ty, jaka szczerość?! - Puścił oczko. - Chcę po prostu, żebyś częściej mi pokazywała, jak mnie bardzo lubisz.

- Głuptas. - Zaśmiałam się. - Nie lubię cię przecież - dodałam zaczepnie.

- Ani ja ciebie. - W oczach Mateusza zapaliły się iskielki. - Ani troszeczkę.

- Ani odrobinę? Odrobineczkę? - dopytywałam ze śmiechem.

- Wcale - odparł Mateusz z kamienną twarzą, po czym nie wytrzymał i roześmiał się. Zawtórowałam mu.

Nagle chłopak spojrzał zaczepnie w moim kierunku, puścił moją dłoń i ściągnął plecak sobie, potem mnie. Zdziwiona czekałam, co zrobi dalej, a ten chwycił mnie w ramiona i pędząc przed siebie, wbiegł do wody, rzucając się w nią razem ze mną. Jeżeli ktoś byłby w pobliżu, nasze wrzaski mogłyby śmiało wzbudzić w nim podejrzenia o mordowaniu kogoś na plaży.

Szczyty gór pięknie wyglądały w blasku księżyca. Obozowaliśmy z Mateuszem u stóp pierwszego z nich. Księżyc świecił srebrnym blaskiem. Za dwa, może trzy dni powinna być pełnia. Zastanie nas, kiedy będziemy wracać z tej wyprawy.

Mateusz twardo spał. Ja, nie mogąc zasnąć, siedziałam przy rozpalonym przez nas ognisku i dokładałam suchych gałązek, by nie zgasło. Rozmyślałam, wsłuchując się w spokojny oddech mojego ukochanego. W oddali głośno skrzeczały jakieś ptaki, zapewne polujące nocą w lasach.

W pewnym momencie poczułam znajomy, zniechęcony chłód. Jak przez sen dotarło do mnie tylko, że Divendi lekko załśnił, otaczając mnie ochronną tarczą. Potem była już tylko Twarz. Przeróżająca, tchnąca złem.

Wizja była tak realistyczna, że czułam otaczający mojego Przeciwnika odór. Spojrzałam w dół na Czarę. Jedna maleńka kropla smolistego płynu spłynęła po jej brzegu, sprawiając, że przeszedł mnie bolesny dreszcz. Zatrzymała się na krawędzi, po czym oderwała się i spadła cichutko na posadzkę. Przeszył mnie przeraźliwy ból, krzyknęłam, a czas jakby nagle stanął w miejscu. To było jak agonia, moje serce pękało z rozpacz, ból fizyczny tylko zwielokrotniał i podkreślał męki mojej duszy. Błagając w duchu, aby to się już skończyło, liczyłam kolejne upływające sekundy, potem minuty. Niestety jeszcze nie zobaczyłam wszystkiego, co miałam zobaczyć.

Nagle Twarz znad Czary przesunęła się nad kroplę. Odrobina smolistej, przeklętej cieczy na podłodze rozpalila się do czerwoności i zaczęła parować, wytwarzając wokół Twarzy gryzący dym. Mój przeciwnik roześmiał się w głos, a ja zobaczyłam, że zaczyna mu wyrastać tułowie, potem nogi i ręce. Wśród straszliwego pisku pojawiających się zewsząd Strażników jego śmiech rozbrzmiewał przerażająco.

W chwilę później wszystko umilkło. Jeden ze Strażników przyodział szybko swojego Pana, który stał nieruchomo, twarzą obrócony do Czary. Z mieszaniną nienawiści i dumy wpatrywał się w skapujący płyn.

- Nareszcie! - Usłyszałam z jego ust. - Odrodziłem się! Wielki Sumer znów chodzić będzie po ziemi, panować będzie w swoim Królestwie! Jednego mi już tylko potrzeba.

Sług! Niewolników! A tych, którzy spróbują stanąć mi na drodze, strącę na wieki do Otchłani!

Pisk i zgrzyty zagłuszyły wszystko. Przestałam słyszeć. Czułam tylko, że coś mną potrząsa. Opuścił mnie chłód, ból zelżał, pozostał tylko niepokój. Bezwładnie osunęłam się na ziemię, nie mogąc kontrolować własnego ciała. W ostatniej chwili podtrzymał mnie Mateusz.

Powoli otworzyłam oczy. Nadal przechodziły mnie dreszcze, byłam bardzo wyczerpana. Mateusz otulił mnie kocem, ogarnął ramieniem i przytulił, opierając się plecami o jakiś głaz.

- Nie mów nic - powiedział na pozór spokojnym głosem.
- Spróbuj zasnąć.

Spojrzałam na niego jakby przez mgłę.

- Sumer... - Chłopak popatrzył na mnie ze zdziwieniem, nic nie rozumiejąc. - Nazywa się Sumer... - wydukałam, po czym, zmęczona i zmarznięta, zasnęłam.

Skalny korytarz, do którego weszłam, był oświetlony jakimś niezwykłym światłem. Nie umiałam dostrzec, gdzie było jego źródło. Rozejrzałam się, z zachwytem spoglądając na to cudo natury. Ściany korytarza lśniły, mogłam w nich ujrzeć swoje zdeformowane odbicia. Z oddali dobiegał mnie cichy szmer. Było to zapewne źródło, o którym mówił Vertus. Ruszyłam korytarzem dalej.

Żałowałam, że Mateusz nie może zobaczyć tego niesamowitego widoku, jednak wiedziałam, że muszę wejść tu sama. Dotarłam w końcu do dość obszernej jaskini. Tu

światło było nieco jaśniejsze. Na środku było źródło, woda zbierała się w niewielkim zagłębieniu. Przez chwilę miałam wrażenie, że już tu kiedyś byłam, że znałam dobrze to miejsce, jednak szybko wyperswadowałam to sobie.

Uklękałam obok źródła i nachyliłam się nad wodnym lustrem, zachwycona jego kryształową czystością i pięknem. Po chwili usłyszałam dochodzący ze wszystkich stron naraz dźwięk dzwoneczków. W wodzie pojawiły się najpierw jakby iskierki światła, które zaraz zbiegły się w jednym punkcie, tworząc świetlistą kulę tuż pod powierzchnią wody. Spojrzałam na nią z radością. Dzwoneczki zabrzmiały głośniej, a kula rozjarzyła się. W sercu czułam, że oznacza to uśmiech.

- Jesteś wreszcie! - Usłyszałam. - Tyle czekaliśmy na ciebie! - Przy każdym słowie kula pulsowała światłem.

- Jak dobrze znaleźć się przy was... - Westchnęłam i powiedziałam to, co podpowiadało mi serce.

- Wojna się zbliża. Sumer jest już w pełni sił.

- Skąd wiecie o jego imieniu? - zdziwiłam się.

- Nie wiesz wszystkiego. Dlatego musiałaś tu przybyć. By odkryć prawdę.

Przez chwilę panowała cisza. Kula światła przygasła, a ja w jakiś sposób wiedziałam, że daje mi czas na zastanowienie się. Musiałam podjąć decyzję, czy jestem gotowa poznać prawdę. Czymkolwiek miała ona być.

Niezrozumienie i niedowierzanie toczyły we mnie walkę z podświadomością, która krzyczała głośno, że prawda jest ukryta głęboko we mnie. Pokręciłam jeszcze raz głową, nie

mając pojęcia, co to wszystko ma znaczyć. Miałam wrażenie, że moje wnętrze nagle zaczyna się w jakiś sposób przeobrażać. Tysiące sprzecznych myśli przelatywało mi przez głowę, jakby nagle wbrew mojej woli zapanował tam totalny chaos. Spróbowałam się wyciszyć, ale niewiele to dało. Musiałam podjąć decyzję - szukać w tym nieładzie jakiegoś sensu, czy też spróbować raz na zawsze wyrzucić to z głowy i nie szukać więcej. Myślom towarzyszyła burza emocji, których pochodzenie było dla mnie równie niezrozumiałe. Trwałam tak dłuższą chwilę, po czym przełamując jakąś wewnętrzną blokadę, poprosiłam:

- Pomóście mi zrozumieć...

Jeszcze przez chwilę kula jarzyła się przytłumionym blaskiem, po chwili jednak rozbłysła, a ja usłyszałam słowa prawdy.

- Sumer, Zły Pan, istnieje tak długo, jak długo istniejemy my. Jest naszym wiecznym wrogiem. Dawno temu niemal udało nam się go pokonać. Ale ocalał i ukrył się. Jego pożywieniem było wszelkie ludzkie zło zbierające się odtąd w Czarze. Wiedzieliśmy, że Czara w końcu się przepełni. Połączyliśmy więc naszą siłę - tak właśnie powstała Divena. Całą naszą potęgę oddzieliliśmy od siebie, zostawiając tylko tyle, ile potrzeba nam było do egzystowania i zapewnienia bezpieczeństwa sobie i... tobie. Oddaliśmy bowiem naszą siłę komuś, kto potrafi nas poskromić... Człowiekowi. Ale to musiał być człowiek zupełnie wyjątkowy. Dlatego właśnie wybraliśmy cię i zachowaliśmy do tego czasu. Twoja dusza pławiła się

w Divenie przez wiele wieków. Jest z nią tak zespolona, że nic nie zdoła was od siebie oddzielić.

Słuchałam z zapartym tchem, nie dowierzając, a jednocześnie wiedząc, że to wszystko jest prawdą. Uświadamiałam sobie, że zawsze o tym wiedziałam, było to gdzieś we mnie głęboko ukryte. Od momentu, kiedy weszłam do jaskini, miałam wrażenie, że nie przyszłam się dowiedzieć niczego, czego już wcześniej bym nie wiedziała. To było, jakby łuski spadły mi z oczu, a ja zaczęłam widzieć wszystko jasno i wyraźnie, teraz wreszcie mogłam dostrzec prawdę.

- Dziecku, które narodziło się, dotknięte naszą błyskawicą, daliśmy część twojej Diveny, wraz z wiedzą, która miała przygotować armię Wojowników, a jednocześnie ludzi, którzy będą ci bliscy. Daliśmy im Divendiego jako insygnium i zostawiliśmy ich, aby sami dbali o swój rozwój. Nie mogliśmy zrobić nic więcej. To nie była już nasza Wojna. Całą nadzieję położyliśmy w tobie, wiedząc, że nas nie zawiedziesz, Dziedzicu Diveny, Siły Żywiołów.

Stałam wpatrzona w pulsującą kulę i poczułam, jak ciepło i błoga cisza wypełniają moje wnętrze. Napełnił mnie spokój, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

- Nie zdawałaś sobie nawet sprawy, jak wszystko wokół radowało się, kiedy wreszcie przyszaś na świat, kiedy dorastałaś i dojrzewałaś. Kiedy przygotowywałaś się do spełnienia swojego przeznaczenia, nie wiedząc nawet o tym. - Przez chwilę znów kula była ciemniejsza. Wreszcie usłyszałam to, co było dla mnie najważniejsze. - Pamiętaj

zawsze o tym, kim jesteś. Nie tylko Córką Żywiołów, ale przede wszystkim człowiekiem. Masz swoją godność, tożsamość, uczucia, rodzinę. Jesteś żywą istotą, zdolną kochać. Nie możesz o tym zapomnieć.

- Nie zapomnę - powiedziałam, przepełniona zrozumieniem i radością, a kula jeszcze raz się rozjarzyła. Wraz z nią zajaśniał Divendi, mój obrońca. W chwilę później dzwoneczki umilkły, kula rozproszyła się. Nieruchomo wpatrywałam się jeszcze przez dłuższą chwilę w falującą taflę wody, nie mogąc uwierzyć, a jednocześnie nie mogąc nie wierzyć.

- Przede wszystkim jestem człowiekiem. - Usłyszałam swój własny głos, który wreszcie wyrwał mnie z odrętwienia.

Schyliłam się, nabrałam w dłoń wody i napiłam się. Dotknęłam czule skały, na której klęczałam, po czym wstałam, powoli kierując się ku wyjściu.

- Przede wszystkim człowiekiem - powtórzyłam raz jeszcze i wyszłam na zewnątrz.

- Jestem Córką Żywiołów - powtórzyłam jeszcze raz, tym razem dla samej siebie, jakby to miało rozwiązać moje wątpliwości.

- Piękną mają córkę. - Uśmiechnął się Mateusz.

Spojrzałam na niego z czułością.

- Najbardziej niepojęte jest dla mnie to, że wiedziałam o tym - powiedziałam. - Gdzieś podświadomie, na dnie serca zawsze miałam świadomość tego, że to nie przy

poczęciu zaczęła się moja historia. Kiedy to sobie uświadamiam, stało się dla mnie oczywistym, że wiedziałam. Ale zanim usłyszałam prawdę na własne uszy od samych Żywiołów, nikt nie byłby w stanie czegoś takiego mi wmówić. – Przez chwilę siedziałam zamyślona.

– Czyli jesteś ode mnie starsza? – zapytał chłopak z rozbawieniem, chcąc oderwać mnie od tych poważnych rozmyślań.

– Jestem dla ciebie o wiele za stara – odparłam grobowym tonem.

– W takim razie może powinienem zwracać się do ciebie per „babciu”? – drażył dalej.

– Wolałabym jakoś bardziej dostojnie. Może „Pani”?

– Moja Pani – powiedział ciepło.

– Już dwudziesty rok mi leci, więc się nie nabijaj. – Pokazałam mu język.

– Jeszcze się nie rozsypujesz, więc nie jest źle – odparł zaczepnie.

– Ooo! – Udałam wielkie oburzenie. – Jak śmiesz tak zwracać się do wiekowej damy?! – Roześmialiśmy się oboje.

Plaża w blasku księżyca wyglądała cudownie. Płomień ogniska wesoło tańczył nad suchymi gałęziami. Uśmiechnęłam się w duchu do siebie. Sprawy Diveny układały się dobrze. Ujawnienie się Wojownikom przeszło bardzo sprawnie, zostałam zaakceptowana, a nawet przyjęta z entuzjazmem, czego się nie spodziewałam. Na Drużynę, jak również na Joasię i Mateusza patrzono przychylnie. Przygotowania do Wojny trwały, znaleźmy

nawet w niewielkim stopniu plany Przeciwnika. Wiedziałam też, jak uzbroić Wojowników. Prawda, wyjawiona mi przez Żywioły, otworzyła w mojej pamięci schowek, w którym ukrytych było sporo cennych wskazówek.

- Divena powstała z połączenia największych sił Żywiołów, po czym została od nich oddzielona - powiedziałam Mateuszowi. - Mimo tego oddzielenia nadal pochodzi od nich. Ma różne cechy, którymi można dowolnie sterować. Mianowicie nabiera specyficznego charakteru, jeżeli ktoś świadomie zużytkuje ją jako siłę patronującego mu Żywiołu. Już raz się z tym zetknęliśmy, pamiętasz?

- Pewnie. Gdyby nie to, nie byłoby mnie tutaj. Woda przenika ziemię i gasi ogień.

- Tak... - przyznałam. - Moje łzy usunęły twoją gorączkę po walce z tygrysem.

- Łzy, czyli woda. To znaczy, że i tobie tylko jeden żywioł patronuje?

- Kiedy jestem w ludzkim ciele, używanie tego żywiołu będzie mi przychodziło najnaturalniej. Pozostałe jednak też są w pełni na moje usługi.

Położyłam się na plecach i spojrzałam w niebo. Mateusz kawałek dalej zrobił to samo. Leżeliśmy, milcząc. Z nikiem innym wspólne milczenie nie przynosiło mi tyle spokoju. W końcu przerwałam jednak ciszę, chcąc podzielić się z Mateuszem tym, co czułam w jaskini Żywiołów.

- Wiesz... - zaczęłam.

- Tak?

- Tam w jaskini... kiedy weszłam do środka, kiedy patrzyłam na ściany, na światło, na źródło, kiedy nabrałam w płuca powietrza... w jakiś sposób czułam, że już tam byłam. I to nie przez krótką chwilę. Wydawało mi się, jakbym wróciła do siebie.

- Jeżeli tam właśnie jest siedziba Żywiołów, to pewnie i ty tam przebywałaś. Więc byłoby to zrozumiałe.

- Chyba jednak nie o to chodzi. - Pokręciłam przecząco głową.

- O co więc? - zapytał.

- Podobne uczucie mam, kiedy jestem w Pałacu. Czuję, że to mój dom. - Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się głęboko.

W końcu Mateusz powiedział:

- Uważam, że za dużo o tym myślisz. Pamiętaj, co powiedziały ci Żywioły: jesteś przede wszystkim człowiekiem. Nie wgłębiaj się zanadto w sprawy Diveny. Tylko tyle, ile jest niezbędne. A wszystko, co poza tym, zostaw. Bo staniesz się przez to mniej obecna dla ludzi, bardziej dla sprawy. - Chłopak wziął głęboki oddech. - Cudownie, że wielkie siły uznały, że oddadzą ludzkości swoją potęgę, byśmy mogli przeciwstawić się naszemu Przeciwnikowi, wcielonemu Złu. Dobrze, że tego nie ukrywają. Ale proszę cię, bądź sobą. Jeżeli nie dla nas... jeżeli nie dla mnie, to przynajmniej dla siebie. Żebyś się nie zagubiła.

Mądrość, przebijająca przez jego słowa, uderzyła mnie. Gdyby nie on, może za jakiś czas już nie pamiętałabym o tej

najważniejszej przestrodze Żywiołów. Zbeształam siebie w myślach, po czym sięgnęłam ku ręce Mateusza. Nasze dłonie splotły się.

- Masz rację - powiedziałam. - Dziękuję za ten kubał zimnej wody.

- Do usług - odrzekł, uśmiechając się.

Morfeusz porwał nas w swoje objęcia, jak tylko zamknęliśmy oczy.

XXXI

- Edmondo, dziękuję ci bardzo za tę listę - powiedziałam i skłoniłam przy tym lekko głowę, jak nakazywał zwyczaj. - Spotkam się z wami dziś wieczorem, tuż po zachodzie słońca, w białej sali narad w Pałacu. Na razie dziękuję.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł. Popatrzyłam jeszcze raz na zrobioną przez niego listę z imionami osób, które jego zdaniem najlepiej ze wszystkich Wojowników znały się na taktykach wojennych. Wyglądało na to, że będę musiała całkowicie mu zaufać w tym osądzie, gdyż żadne z imion, prócz Maurice'a, nie wydawało mi się znajome. Oczywiście każdy członek naszego rodu otrzymywał wykształcenie w dziedzinie wojskowości i strategii, jednak to była tylko teoria. Natomiast na liście Edmondo znajdowali się praktycy - członkowie rodu, którzy w Głównej Czasoprzestrzeni służyli w wojsku, dowodząc armiami.

Odwróciłam się do Vertusa. Stał przy oknie jednego z pokoiów przylegających do moich apartamentów, w którym przyjmowałam wszelkich pojedynczych gości.

- Znasz ich zapewne, Vertusie. - Podałam mu kartkę. - Możesz mi coś o nich powiedzieć?

Ciemnoniebieskie oczy, tak bardzo podobne do moich, przebiegły szybko listę.

- To ludzie godni zaufania - stwierdził po chwili, w zamyśleniu kiwając głową. - Jeden tylko żyje jeszcze w Głównej Czasoprzestrzeni. Wprawdzie zadbalismy o to, byś go nie poznała, zanim się ujawniłaś Wojownikom, ale jestem pewien, że wiesz, kto to jest.

- O kim mówisz? - zapytałam zdziwiona i zaciekawiona jednocześnie.

- O Valdemaro Divendi. To ojciec Angelo.

- Nie miałam pojęcia, że ma coś wspólnego z wojskowością! - Zdziwiłam się. - Angelo nigdy o tym nie mówił... Zresztą, prawdę mówiąc, niewiele opowiadał mi o swoim ojcu.

Vertus uśmiechnął się tylko.

- Chyba po prostu nie jest z niego zbyt dumny - powiedział na głos to, co pomyślałam chwilę wcześniej.

- Być może ma ku temu dobry powód - odparłam natychmiast. - Ale nie powinnam szufladkować go na podstawie cudzego poglądu. Nawet jeśli jest to pogląd jego syna.

- Masz rację - poparł mnie. - Kiedy zatem macie zamiar opuścić Świat Diveny?

- Jak tylko odbędziemy naradę wojenną - odpowiedziałam. - Już dość długo tu jesteśmy. Dużo też czasu w Głównej Czasoprzestrzeni minęło od mojego tu przybycia.

- A co z Wojownikami żyjącymi w Głównej Czasoprzestrzeni? - zapytał Vertus. - Odesłałaś ich do domów, mimo że miałaś się z nimi spotkać?

- Uznałam, że na jakiś czas możemy to odłożyć - odpowiedziałam. - Dopóki Sumer nie zaatakuje Głównej Czasoprzestrzeni, dopóty nie będziemy wiedzieli, jak ów atak odparować. A nie zdołamy przygotować się na wszystko. W razie czego zebranie się tutaj nie będzie dla nikogo stanowiło problemu, dlatego bez sensu uprzedzać wypadki.

- Skoro tak zdecydowałaś. - Vertus skinął głową. - Chyba się za bardzo tym gorączkuję. Bezczynność mnie drażni, choć w obecnej sytuacji opanowanie ma swoje solidne uzasadnienie.

Uśmiechnęłam się i chcąc podtrzymać go na duchu i nieco uspokoić, powiedziałam:

- Bardzo długo kazano ci czekać na to, co właśnie nadchodzi. Nie dziwię się więc, że jesteś niecierpliwy. Jednak właśnie cierpliwość jest cnotą, potrzebną nam teraz jak powietrze.

Narada przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Jasny księżyc lśnił, rzucając srebrne światło przez wielkie okna białej sali narad w Pałacu. Powietrze było przejrzyste, krajobraz za oknem cudowny. Chwilami spoglądałam na niego, chociaż wiedziałam, że nie mogę się teraz rozpraszać.

Mimo tego, że czas płynął tu inaczej niż w Głównej Czasoprzestrzeni, czułam się zupełnie wyczerpana tymi kilkoma zaledwie godzinami dywagacji na tematy wojskowe. Ocieężałe powieki najchętniej opadłyby same, ale nie pozwalałam im. Potrząsnęłam głową, odpędzając sen, i spojrzałam po raz kolejny na stosy papierów rozłożonych na całym stole.

Zakładaliśmy, że decydujące starcie będzie miało miejsce tu - w Świecie Diveny. Byłoby to nam oczywiście na rękę, gdyż byliśmy u siebie, mogliśmy się lepiej przygotować. Plan obejmował przede wszystkim ulokowanie niewielkich oddziałów w górach, zorganizowanie obozu w okolicach miasta, no i przerobienie samej Noribii na szpital dla rannych i magazyn na żywność i uzbrojenie. Broń i amunicja, wsparta naszą Diveną, będzie nam niewątpliwie bardzo użyteczna w potyczkach ze stworami będącymi na usługach Przeciwnika. Prace nad konserwacją uzbrojenia i wytworzeniem nowego miały ruszyć już najbliższego ranka.

Nie wiedzieliśmy, jak przygotować się na ewentualność ataku Zła na Główną Czasoprzestrzeń. Bardzo liczyliśmy na nasz wywiad - Wojownicy żyjący w Głównej Czasoprzestrzeni kilka lat temu stworzyli w części zelektronizowane centrum, mające rzut na całą ziemię i mogące wychwytywać poziom Diveny i ruchy Zła w poszczególnych miejscach. W ten właśnie sposób poznaliśmy już wcześniej lokalizacje, gdzie powstawały

przejścia, które pozamykaliśmy wspólnie z Drużyną. W ten też sposób teraz zorientowaliśmy się, gdzie są miejsca, które najłatwiej będzie naszemu Przeciwnikowi zaatakować. Na szczęście nie było ich wiele – jedynie cztery miejsca na kuli ziemskiej były podatne na utworzenie portalu do Świata Zła na tyle dużego, by przedostała się przez niego cała armia.

- Moglibyśmy je zabezpieczyć Diveną przed atakiem – powiedziałam, gdy sprawa została mi przedstawiona. - Myślę jednak, że lepiej tego nie robić. Prawdopodobieństwo, że tu właśnie Zło zaatakuje, jest bardzo duże. Jeżeli wzmocnimy te miejsca, Przeciwnik będzie musiał przebić się gdzie indziej. A gdzie, tego nie będziemy wiedzieli. Lepiej, żebyśmy byli przygotowani w konkretnym miejscu, niż musieli się przemieszczać, tracąc cenny czas.

- To prawda – rzekł Edmondo.

Maurice, który też był jednym z wyższych dowódców, energicznie przytaknął, dodając:

- Dla ułatwienia oznaczmy te terytoria cyframi. - Pochylił się nad, leżącą tuż przede mną mapą i zaczął po niej kreślić kawałkiem grafitu. - To będzie strefa pierwsza, tu druga, trzecia i czwarta. W okolicy każdego trzeba będzie ulokować oddziały Wojowników żyjących w Głównej Czasoprzestrzeni.

- A w razie ataku walkę szybko przerzucić do Świata Diveny – podsumował Valdemaro.

Skinęłam z zadowoleniem głową. Jeszcze przez pół godziny rozprawialiśmy na temat szczegółów owego zabezpieczenia. Chcieliśmy podstępem przenieść się do Świata Diveny razem z naszymi przeciwnikami. A tu mielibyśmy przygotowany kontratak. Cała akcja dywersyjna miała szansę powodzenia.

- Pozostało jeszcze jedno - powiedziałam. - Valdemaro Divendi... - zwróciłam się do ojca Angelo - ciebie proszę o trzymanie pieczy nad Wojownikami żyjącymi w Głównej Czasoprzestrzeni. Niech prowadzą w miarę możliwości normalne życie. Nie potrzebujemy zwracania na siebie uwagi. Organizuj ich jednak, przysposabiaj do walki i w miarę możliwości gromadź w jak największych grupach. Tylko oni będą tam walczyć, jeżeli atak Zła będzie wycelowany w nasz świat...

Ojciec mojego najlepszego przyjaciela skinął w milczeniu głową. Miałam nadzieję, że nie wyczuwał dystansu, jakiego do niego nabrałam z uwagi na opowieści kuzyna. Ufałam, że uda mi się go przewyciężyć, gdyż nie był powodowany zachowaniem tego człowieka, ale uprzedzeniami innych. Uśmiechnęłam się do niego i skinęłam głową. Jego twarz pozostała poważna.

- Udam się teraz do Głównej Czasoprzestrzeni - zwróciłam się do pozostałych. - Przygotowania w Noribii mają ruszyć najpóźniej za kilka godzin. Bądźmy czujni. I proszę, uważajcie na siebie.

Wstałam, wszyscy pozostali również się podnieśli. Skłoniłam się w ich kierunku, po czym podeszłam do okna

i otworzyłam je, chłonąc spokój nocy. Dowództwo zaczęło wychodzić. Został tylko Vertus, z którym chciałam zamienić jeszcze kilka słów, nim wrócę do domu. Obróciłam się w jego kierunku i, ku mojemu zaskoczeniu, ujrzałam u jego boku Valdemaro. Podeszłam do niego i spojrzałam na ojca Angelo pytającym wzrokiem.

- Pani - zaczął, skłoniwszy lekko głowę. Odpowiedziałam skinieniem. - Chciałem tylko poznać twoje plany względem mojego syna.

Zmarszczyłam brwi. Przecież doskonale je znał. Powtórzyłam je jednak po raz kolejny.

- Angelo będzie w domu, z rodziną. Potem, jeżeli czas pozwoli, będzie kontynuował naukę. Jeśli Zło wykona swój ruch wcześniej, niż my zaatakujemy, będzie już niezmiennie przy moim boku, jako członek Drużyny i mój doradca. Aż do chwili, kiedy, mam nadzieję, wszystko się skończy.

- Pani. - Valdemaro jakby wahał się, czy wyrazić na głos swoje myśli. - Ja... - Zmarszczył brwi i zamilkł. Nie wiedziałam, o co może mu chodzić. Wyglądał jednak, jakby bił się z myślami, zacisnął mocno dłonie w pięści i przez chwilę wpatrywał się w posadzkę niewidzącym wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytałam delikatnie, nie chcąc go przynaglać, ale starając się dać do zrozumienia, że jeżeli potrzebuje pomocy, to wystarczy powiedzieć. Byłam bardzo spięta tą sytuacją, ale starałam się tego po sobie nie pokazać. Vertus stał tylko w niewielkim oddaleniu i nie odzywał się ani słowem.

Mężczyzna spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem i niepewnie powiedział:

- Wstyd mi... - Zaskoczona spojrzałam na niego. - Zapewne rozmawiałaś już, pani, z Angelo. Wstyd mi za to, jak próbowałam go wychować. Szczęściem, gdy tylko w jakikolwiek sposób udało mi się wykrzywić jego charakter, natychmiast prostował go mój ojciec... - Zapatrzył się w podłogę, ale myślami błędził gdzieś daleko. Widziałam, że to, co mówił, sprawiało mu niemałą trudność, jak zresztą każdemu człowiekowi o silnym charakterze, który musiał przyznawać się do błędu. Twarz miał lekko zaczerwienioną, usta raz po raz zaciskał w wąską kreskę. - Miałem nadzieję, nieskrywaną zresztą, że jeden z moich synów jest Dziedzicem. Dwóch starszych okazało się nimi nie być. Największe nadzieje zacząłem więc pokładać w najmłodszym, Angelo... i udało mi się chyba spacyć jego patrzenie na ciebie. - Spojrzał z żalem i niepewnością prosto w moje oczy. - Wybacz mi.

- Nie masz za co przepraszać - powiedziałam po chwili spokojnie. - Angelo sam przejrzał na oczy, mimo że na początku sprawił mi trochę przykrości. Ale teraz jest dla mnie kimś bardzo bliskim. Być może to wpajane mu przez ciebie nastawienie było mu potrzebne. Być może bez tego, że musiał się przełamać i zrozumieć pewne rzeczy, nie byłby teraz tym człowiekiem, jakim się stał. - Przerwałam na chwilę i wzięłam głęboki oddech. - Cieszę się, że powiedziałaś to, co leżało ci na sercu. Jednak katowanie się błędami przeszłości zostaw tym, którzy są głupi. Raczej

spróbuj wyciągnąć z nich nauki na przyszłość i zadośćuczynić. Bardzo na ciebie liczę, jeżeli chodzi o dowództwo nad Wojownikami w Głównej Czasoprzestrzeni. - Zawahałam się przez chwilę, nie chcąc, by mnie źle zrozumiał. - Oczywiście nie mam na myśli tego, żebyś próbował jakoś odkupić swoje winy. Po prostu zamiast rozpamiętywaniem tego, czego już nie zmienisz, zajmij się tym, co zrobić możesz i potrafisz. A ufam twoim umiejętnościom i talentom. O syna się nie martw, to już dorosły mężczyzna i Wojownik.

Valdemaro spojrzał na mnie, jego twarz po raz pierwszy chyba wyglądała tak spokojnie i ufnie. Wydawało mi się, że patrzę na innego człowieka. Uśmiechnęłam się do niego. Tym razem to odwzajemnił. Ze skrępowaniem, ale niezwykle pewnie chwycił mnie za dłoń i powiedział:

- Nie zawiodę cię, Dziedzicu.

- Wiem - odparłam, ściskając jego rękę.

Pożegnaliśmy się szybko i wyszedł. Vertus tymczasem stał i wpatrywał się we mnie z rozbawieniem.

- Aido Nicoletto, nie studiowałaś aby jakiejś psychologii? Bo skąd u ciebie taka znajomość ludzkiej psychiki? W jakiś cudowny sposób zawsze wiesz, co komu powiedzieć.

- Nie żartuj, Vertusie. - Roześmiałam się.

- Przecież ktoś musi rozładowywać, choćby żartami, to napięcie, które ostatnio coraz częściej Wojownicy wokół ciebie tworzą - powiedział, podchodząc do mnie.

- Coś jest w tym, co mówisz - przytaknęłam. - Ale czemu się dziwisz? Wojna za pasem. Właściwie to wszyscy ze zniecierpliwieniem i strachem przygotowujemy się, sami do końca nie będąc pewni do czego. To naturalne, że tworzy się napięcie. Oby tylko Wojownicy umiejętnie je zażegnawali, a nie kłócili się ze sobą... - Spojrzałam jeszcze raz w kierunku okna.

- Córka Żywiołów... - powiedział Vertus jakby do siebie, spoglądając w moim kierunku. Nie odwróciłam jednak wzroku od Noribii. - Kto by pomyślał, że to tak wszystko się zaczęło...

Uśmiechnęłam się tylko pod nosem. I ja nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Choć musiałam przyznać przed samą sobą, że odkąd się wszystkiego dowiedziałam, przybyło mi pewności siebie. A z drugiej strony nadal czułam się bardzo zaskoczona tym, że o wszystkim zdawałam się doskonale wiedzieć. Tyle tylko, że prawda, zapisana we mnie, była jednocześnie przede mną ukryta.

- To jest niesamowite - powiedziałam do Vertusa, wpatrując się nadal w nocny krajobraz. - Odnoszę wrażenie, że noszę w sobie dwie natury. Przeszkadza mi to, że prowadzę dwa życia, ale czuję, że powoli one splatają się w jedno... Jestem kimś niezwykłym, dzieckiem największych sił tego świata, obdarzonym ich Diveną. Ta świadomość jest jakby naturalna, ale jednocześnie przeszkadza mi ta moja inność. Ale jestem też człowiekiem, a raczej, jak powiedziały mi Żywioły, przede wszystkim człowiekiem. -

Odwróciłam się do Vertusa, patrząc na niego błagalnie. – Tak się boję, Vertusie, że popadnę w jakąś pychę, że zacznę się uważać za lepszą od innych...

Starzec spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– Nie sądzę, żeby ci to groziło. Znam cię już dobrze. A nawet, jeśli byłoby takie niebezpieczeństwo, to masz przy sobie wspaniałych przyjaciół... przede wszystkim Mateusza. Na nim polegaj. On ci pomoże przez to wszystko przebrnąć. Nie sądzę, żeby to, że jest przy tobie, było przypadkiem. Sądzę raczej, że w sprawach związanych z Diveną nic nie dzieje się przez przypadek.

Pokiwałam w zamyśleniu głową, po czym, spojrzawszy po raz ostatni na Noribię pogrążoną w głębokim śnie, odwróciłam się.

Przodek uścisnął mnie na pożegnanie i powiedział:

– Teraz czas na ciebie, moja droga. Czas wrócić do rzeczywistości i zmierzyć się z nią. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Machina ruszyła i teraz zatrzymać jej się już nie da. Zajmę się wszystkim tutaj, o to się nie martw. I będę ze zniecierpliwieniem wyglądał twojego powrotu. Bo pamiętaj, że sama twoja obecność niesie nam nadzieję.

Gorące i wilgotne lipcowe powietrze nie pozwalało na swobodne oddychanie. Całymi dniami siedziałam więc w domu u siebie, czasem u Kasi i Mateusza, a wieczory tylko spędzałam z przyjaciółmi w mieście, to spacerując, to siedząc w pubie, to znów kąpiąc się w rozgrzanej słońcem wodzie zalewu.

Z satysfakcją przyjmowałam gratulacje z powodu dostania się na studia. Jak się bowiem okazało, z moimi wynikami maturalnymi nie było żadnego problemu z przyjęciem na wybrany przeze mnie kierunek. Ekonomia, zarządzanie i prawo - to w tych przedmiotach miałam się kształcić, by potem móc przejąć firmę wuja, którą zapisał mi w testamencie. Trochę obawiałam się matematyki, ale szczęśliwie Mateusz studiował pokrewny kierunek, a że radził sobie naprawdę świetnie, liczyłam na jego pomoc.

Oboje byliśmy niezwykle uradowani takim obrotem sprawy, zwłaszcza gdy okazało się, że Mateusz może zostać na uczelni we Włoszech. Roztaczała się więc przed nami wspólna przyszłość. Ciągle tylko obawiałam się, że może zostać brutalnie i nieodwracalnie przerwana ze względu na to, co nas czeka. Staralam się jednak nie myśleć o tym za wiele, stosując się do rad Mateusza i cieszyć się tym, co mieliśmy.

Cieszyłam się również ze względu na Kasię i Filipa. Ich związek cudownie się rozwijał i z przyjemnością na nich patrzyłam. Teraz wprawdzie Filip musiał wyjechać na kilka dni z rodzicami do chorej babci na drugi koniec kraju, ale Kasia bynajmniej się przy nas nie nudziła. Właśnie siedząc u niej w pokoju, planowaliśmy kolejny wieczór.

- A może jednak ten koncert? - zapytał Mateusz. - Wezmę samochód od taty, przecież to jest niecała godzina drogi. Powinien się zgodzić.

- Niech ci już będzie. - Jego siostra wykrzywiła usta. - Zmuszę się i pojedę posłuchać tej chałtury, ale tylko ze

względu na to, że w domu się zanudzę. – Mrugnęła do mnie.

– O, proszę! Chałtury? – Mateusz był nie do zdarcia, jeżeli chodzi o przekomarzanie się. – Ciekawe więc, czemu trzy albumy tej chałtury leżą obok twojego sprzętu stereo?
– Ze śmiechem ruszył w kierunku stosu płyt mojej przyjaciółki.

– Zostaw to, diable wcielony! – Kasia ze śmiechem ruszyła za nim, usiłując przewrócić brata na kanapę, a sama chowając się za fotelem, na którym siedziałam, ponieważ dzięki zaskoczeniu udało jej się to. Przekomarzanie trwało od ponad godziny, odkąd tu przyszliśmy, więc brzuch bolał mnie już od śmiechu.

– Ja diabeł? No to ty jesteś diabllica, skoro ci na dole twierdzą, że jesteśmy rodzeństwem. – Pokazał siostrze język, gramoląc się z kanapy. Kasia udała, że gra na nosie, wykrzywiając się przy tym. Mateusz jednak, ku jej rozczarowaniu, nie podniósł się, ale rozciągnął się na kanapie z głośnym westchnieniem.

– Mam dość. Proszę o przerwę. – Wydobył z siebie resztkę sił, robiąc z dłoni literę „T”.

Kasia ze śmiechem usiadła na fotelu naprzeciw mnie, mówiąc:

– No i skapitulował.

– To jak? Jutro na ten koncert jedziemy? – upewniłam się.

Przyjaciółka pokiwała głową. Tymczasem mój chłopak podniósł się i, położywszy mi z impetem dłoń na kolanie, powiedział tonem hrabiego:

- Kochanie, wychodzimy!

Spojrzałam na niego z udawaną obrazą majestatu i odparłam:

- Twoje maniery pozostawiają bardzo wiele do życzenia.

- Znaczy, że nie wychodzimy? - zapytał potulnie.

Rozczochrałam dłonią jego przydługie już, jasne włosy, chwyciłam za rękę i, podniósłszy się, odparłam:

- Co ja z tobą mam... Cyrk na kółkach! Chodźmy.

Pożegnałam się jeszcze z Kasią i poszliśmy na spacer. Powinnam była być już dawno w domu, ale późne popołudnie było zbyt przyjemne, bym umiała odmówić sobie leniwej przechadzki.

Słońce nie prażyło już tak mocno - było po godzinie dziewiętnastej, wiał natomiast przyjemny wietrzyk. Postanowiliśmy wybrać się do parku, idąc jednak naokoło, tak, żeby przez centrum miasta dojść do tej części, gdzie znajdował się staw, przy którym lubiłam przesiadywać wczesnym rankiem. Do parku dotarliśmy dopiero po godzinie łażenia bez celu po mieście.

Usiadłam ciężko na ławce, w cieniu wierzby płaczącej, wyciągając zmęczone nogi przed siebie. Niewielu spacerowiczów tu docierało - to był koniec parku, raczej średnio zadbany. Gałęzie drzew były już bardzo długie, dotykały bujnej trawy, ścieżek i powierzchni wody. Nie każdy dobrze się czuł w tej dziczy pozostawionej samej sobie, ale mnie coś tu ciągnęło. Może to, że to miejsce tak bardzo przypominało mi obcowanie z przyrodą w czasie Próby. A może przyciągał mnie dziki urok tego stawu?

Odetchnęłam głęboko i spojrzałam w kierunku mojego chłopaka. Patrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Coś się stało? Mam coś na twarzy?

- Tak. Uśmiech - odparł. - Bardzo piękny uśmiech. - Zarumieniłam się. Chłopak zauważył to i dodał ze śmiechem: - Teraz to jest najpiękniejszy uśmiech na całym świecie.

Objął mnie, a ja oparłam głowę na jego ramieniu. Długą chwilę milczeliśmy, delektując się ciszą, lekkim wietrzykiem i złotymi refleksami słonecznego światła, odbijającymi się w wodzie. W końcu Mateusz odezwał się niespokojnym tonem:

- Żle chyba znoszę tę beczyność.

- Co masz na myśli? - zapytałam, marszcząc brwi.

- No bo gdybym wiedział, że teraz mamy konkretną ilość czasu na zagospodarowanie, tobym coś zaplanował, zrobił. A tak w każdej chwili może pojawić się tu ktoś, kto powie, że atak się zaczął. - Przerwał na chwilę, po czym dodał sucho: - Nie cierpię tego uczucia.

- A ja się cieszę - odparłam po chwili. Spojrzał na mnie zdziwiony. - No bo możemy się niecierpliwic razem. Możemy to robić kreatywnie, możemy się wspierać. Jest też moja mama i babcia, i one są w tym razem z nami. Zwariowałabym chyba, gdybym miała to wszystko przeżywać w samotności!

- Zacie prawisz, milady - powiedział, puszczając mi oczko i gładząc mnie po plecach. - Cieszę się, że mnie prostujesz.

- Mylisz się, kochanie. To raczej ty prostujesz mnie - odparłam z uśmiechem.

- Prostujemy siebie nawzajem - zakończył spór. - I to chyba całkiem skutecznie, bo raczej robisz to, co ci każe. - Zaśmiał się i zarobił szturchańca w bok. - Aj, no ugodziłaś mnie w samo serce! - Zaśmiał się.

- Przepraszam - powiedziałam przymilnie. Roześmialiśmy się oboje.

Przez kilka następnych chwil znów milczeliśmy, napawając się spokojem i ciszą.

- Chciałbym, żeby to trwało wiecznie - mruknął chłopak, otwierając powoli oczy, które zamknął, zapadając w półsen. - Chciałbym, żebyś zawsze była obok. Chciałbym, żebyś za mnie wyszła...

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Czy to są oświadczyzny? - zapytałam.

Uśmiechnął się i pocałował mnie w czubek nosa.

- W pewnym sensie. Do oświadczyzn brakuje jeszcze kwiatów i pierścionka. No i powinienem wyglądać trochę bardziej elegancko.

- Masz rację - przytaknęłam, śmiejąc się. - Nie chcę cię nawet widzieć bez garnituru!

- No ma się rozumieć - przytaknął. - Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, ale zapytam: jaka byłaby twoja odpowiedź?

Uśmiechnęłam się szeroko do swoich myśli.

- Nie powiem ci. Nie można robić falstartu! - Chłopak spojrzał na mnie z udawaną złością.

- Więc nie chcesz zostać moją żoną? - zapytał poważnie, choć w jego oczach tańczyły iskiereki radości.

Spojrzałam na niego i cicho powiedziałam:

- O niczym innym nie marzę...

XXXII

Wyciągnęłam gorące ciasto z pieca i położyłam na blacie lady, która oddzielała kuchnię od pokoju gościnnego. Pokój był nieco niżej niż kuchnia, a schodki do niej były nieustannie okupowane przez małego Szymona. I teraz malec siedział, wpatrując się we mnie z zaciekawieniem.

- Co, dzióbku? - Pochyliłam się nad chłopcem, chcąc pocałować go w policzek. Oczywiście zasłaniał się rączkami, ale połaskotałam go i dał się złapać.

Po kuchni i pokoju rozszedł się zapach czekolady, którą mama rozpuściła, żeby polać świeżo upieczone ciasto. Z pokoju, zachęcony aromatami, przydreptał zaraz tato, a za nim babcia Julia.

- A gdzie Marcia? - zapytałam o siostrę.

- Na dwoże posła do kolezanki się bawić - odparł poważnie Szymon, ze skupieniem kręcąc kółkiem od koparki, którą właśnie się zajmował.

- Gdyby nie to, na pewno by tu warowała. - Tato się zaśmiał.

- Miłość do czekolady ma w końcu po tobie - zawołała mama z głębi kuchni.

Babcia pochylała się nad ciastem i wciągnęła w nozdrza zapach.

- Cudowne! - powiedziała. - Bardzo się postarałaś, kochanie. - Mrugnęła do mnie znacząco.

- Och... - Machnęłam tylko ręką, co zresztą od rana robiłam, słysząc ciągle dogadywania mojej rodziny. Lada chwila miał przyjechać wuj Dominik. Zorganizowaliśmy więc z Mateuszem spotkanie przy popołudniowej kawie u mnie w domu. Miał przyjść jego dziadek, pan Jakub. No i oczywiście Mateusz z rodzicami.

Zadzwoił telefon taty, więc odebrał. Rozmawiał krótko, a gdy się rozłączył, rzucił tylko, że jedzie na lotnisko i wybiegł z domu. Polałam ciasto czekoladą, ozdobiłam jeszcze i pobiegłam na górę, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Przygotowania, jak podejrzewałam, zajęły mi więcej czasu, niż mogłam na nie przeznaczyć. Przeraziłam się jednak, słysząc na dole najpierw głos taty i wuja Dominika, a kilka chwil później dzwonek do drzwi sygnalizujący przybycie gości. Spojrzałam jeszcze w lustro i z zadowoleniem stwierdziłam, że rumieniec, jaki ze zdenerwowania wypłynął na moją twarz, ładnie komponuje się ze wzorami na włożonej naprędce sukience. Wzięłam jeszcze raz głęboki oddech i ruszyłam na dół.

Powitanie z wujem Dominikiem było jak zwykle bardzo ciepłe i serdeczne. W tym człowieku miałam swojego drugiego ojca. Chwilę później uścisnęłam serdecznie jego przyjaciela, pana Jakuba Wersela. Przywitałam się też

z panią Weroniką i panem Tomkiem i rozejrzałam się, szukając wzrokiem swojego chłopaka. Nie było go jednak wśród przybyłych. Zdziwiona udałam się więc do kuchni wraz z mamą, żeby pomóc jej w podaniu kawy, herbaty, ciasta i innych smakołyków.

- Kochanie, wyjmij jeszcze kieliszki do szampana, napijemy się później - powiedziała mama. - A teraz śmigamy do gości.

Wyciągnęłam szybko kieliszki, postawiłam na tacy i podreptałam za mamą do salonu.

Goście, ku mojemu zdziwieniu, jednak nie częstowali się niczym. Usiadłam na brzegu kanapy, tuż przy mamie, i przysłuchiwałam się rozmowie. Pani Weronika zapytała o moje studia, na co wuj Dominik zaczął rozwlekać się, jak to znakomicie sobie radzę z nauką, wprawiając mnie tym samym w lekkie zakłopotanie. Czułam się jakoś nieswojo. Mój chłopak gdzieś zniknął, a goście zachowują się co najmniej dziwnie, spoglądając na mnie ukradkiem.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Tato natychmiast poderwał się na równe nogi, nie dając mi nawet szansy podniesienia się z miejsca. Przy stole zapanowała cisza jak makiem zasiał. Usłyszałam przytłumione głosy z przedpokoju, po czym zobaczyłam wracającego stamtąd tatę.

- Justynko, masz gościa - powiedział, tajemniczo się uśmiechając. Wstałam, a wraz ze mną wstali wszyscy. W tym momencie to już naprawdę poczułam się bardzo spięta, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Spojrzałam

niepewnie na tatę, po czym ruszyłam w kierunku przedpokoju. Nie zdążyłam jednak dotrzeć nawet do połowy drogi, kiedy zza drzwi wynurzył się Mateusz.

Stałam jak wryta. Nigdy jeszcze nie widziałam mojego ukochanego w takim stanie. Stał, zdenerwowany jak podłotek, dotarł do mnie cudowny zapach perfum, które dostał ode mnie na gwiazdkę. Włosy miał świeżo obcięte, na sobie elegancki garnitur, błękitną koszulę i krawat, w trzęsącej się ręce ścisnął piękny bukiet czerwonych róż. Na twarzy natomiast gościł mu wyraz panicznego strachu pomieszanego z niepewnością i determinacją. Spojrzał na gości wokół stołu, a zaraz potem na mnie.

Uśmiechnął się niepewnie i podał kwiaty, mówiąc:

- To dla ciebie...

Podeszłam bliżej, wzięłam od niego bukiet, powąchałam i uśmiechnęłam się do niego z zachwytem. W tej samej chwili zobaczyłam, że przestał zwracać uwagę na cokolwiek poza mną. Jego zdenerwowanie gdzieś się ulotniło, a z twarzy i oczu wyzierała sama miłość. Chwycił moją dłoń, uklęknął na jedno kolano i powiedział:

- Justynko... czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

To mówiąc, wyjął z kieszeni marynarki pudełeczko ze ślicznym pierścionkiem. Stałam jak wryta, spoglądając na złoty krążek ze szlachetnym kamieniem w środku. Zaskoczenie ustąpiło jednak szybko miejsca wypełniającemu mnie poczuciu ogromnej radości.

Spojrzałam Mateuszowi w oczy i na wpół płacząc, na wpół śmiejąc się, wyszeptałam:

- Tak...

Wstał, pocałował mnie i objął mocno, podnosząc lekko nad ziemię. Poczułam, że tak jak ja, cały drży. Postawił mnie z powrotem na ziemi i spojrzał na mnie, po czym roześmiał się na głos. Zawtórowałam mu. Goście również zaczęli klaskać i śmiać się. Mateusz tymczasem założył mi na palec pierścionek, po czym wziął mnie na rękę. Objęłam go za szyję i pocałowałam. Z radości ledwo mogłam oddychać, a przez łzy niewiele widziałam. Byłam tak niesamowicie szczęśliwa, jak chyba nigdy wcześniej... I wiedziałam już, z jakiej okazji był szampan.

Tydzień już minął od naszego przyjazdu do Włoch. Była połowa września. Chcieliśmy się jeszcze spotkać z Joasią, Michele, Paolo i Angelo. Od tego roku akademickiego mieliśmy mieszkać w jednym mieście. To oznaczało nie tylko pełne możliwości mobilizacyjne Drużyny, ale i to, że mogliśmy po prostu być razem. Mieliśmy też możliwość przetestowania na własnym przykładzie tego, co dzięki mojej nowej wiedzy mogło przydać nam się w walce ze Złem. Chodziło o wyszczególnienie pewnych skłonności Diveny każdego z nas według patronującego Żywiołu. No i doskonalenie się w użytkowaniu tych konkretnych cech.

Jechaliśmy właśnie z Mateuszem terenowym samochodem wuja Dominika na umówione spotkanie. Michele wraz ze swoim ojcem - Wojownikiem, którego

jeszcze niedane mi było poznać osobiście – zaofiarowali nam swoją gościnę. A że mieszkali praktycznie na odludziu, mogliśmy używać tam swobodnie Diveny i nie bać się, że zostaniemy zauważeni. Z wdzięcznością więc przyjęliśmy propozycję. Teraz pozostało nam tylko zabrać z Rzymu pozostałą trójkę członków Drużyny.

Zatrzymaliśmy się na przedmieściu. Tam do auta wsiadł Paolo, wrzuciwszy uprzednio swoje rzeczy do wielkiego bagażnika. Następnym przystankiem był apartament wuja, w którym mieszkałam. Tutaj umówieni byliśmy z Angelo. Joasia miała na nas czekać koło swojego mieszkania z drugiej strony centrum. Było nam to po drodze.

Dwie godziny później siedzieliśmy już przed ładnym, jednorodzinny domem, w którym mieszkała rodzina Michele. Jej ojciec, Bruno, przyjął nas bardzo serdecznie, zapowiadając rychłą wizytę drugiej córki, Lydii – również Wojownika. Matka obu dziewcząt niestety zmarła kilka lat wcześniej. Lydia wyszła szczęśliwie za mąż zaledwie zeszłego lata. Dowiedziałam się, że specjalnie wzięła wolne w pracy, by móc choć przez chwilę ze mną porozmawiać. Jak zwykle czułam się nieswojo, kiedy traktowano mnie wyjątkowo. Musiałam jednak z cierpliwością i uśmiechem na to pozwalać.

Lydia miała pojawić się dopiero następnego ranka, więc gdy tylko uznałam, że spędziliśmy z gospodarzem wystarczająco dużo czasu, by odejść, nie sprawiając mu przykrości, poprosiłam Michele, by zaprowadziła nas w jakieś odosobnione miejsce.

- Zastanawiałam się już wcześniej, gdzie będzie najbezpieczniej - powiedziała, idąc tuż przy mnie i trzymając mnie lekko za łokieć. - Założyłam, że będzie potrzebne nam miejsce ustronne w celach ćwiczeniowych, no i takie, gdzie nie dojrzą nas niepowołane oczy. Jest, kilometr w głąb lasu, polana, na której sporo czasu temu mój ojciec uczył mnie posługiwania się Diveną.

- Świetnie - odparłam. - I masz pewność, że jest bezpieczne?

- Całkowitą. W razie czego tato jest poinformowany i gdyby coś zauważył, najszybciej, jak to możliwe, da nam znać. Ale możemy być spokojni, to nasze prywatne tereny, które ogrodziliśmy i oznaczyliśmy tabliczkami, więc obcy się tu nie kręcą.

Skinęłam głową, a Michele wysunęła się na przód i ruszyła pewnie ścieżką w las. Szliśmy za nią w rzędki, gałęzie smagały nas, a ja wyrzucałam sobie, że wybrałam się do tej dziczy w koszulce na ramiączkach. Trawa była wysoka i trudna do przebycia, ale na szczęście szybko zamieniła się na przykryte igliwem poszycie obrosnięte mchem. Żadne z nas nie odzywało się ani słowem. Słyszeć było tylko nasze kroki i trzaski łamanych gałązek. Czasem odezwał się z oddali jakiś ptak. W końcu wyszliśmy na dużą polanę, trochę przypominającą miejsce narodzin Vertusa, choć na jej środku nie było wielkiego znajomego drzewa.

Rozejrzałam się wokół, idąc w kierunku środka polany, i uśmiechnęłam się, czując na sobie promienie słońca. Na środku leżały całkowicie odarte z kory pnie dwóch drzew,

przyniesione tutaj chyba specjalnie po to, by na nich usiąść. Chwilę później zajęliśmy na nich miejsca.

Spojrzałam na swoich towarzyszy, którzy cierpliwie czekali na moje słowa.

- Kochana moja Drużyno Diveny - zaczęłam, a przyjaciele uśmiechnęli się do mnie. - Gdy byliśmy jeszcze w Pałacu, opowiedziałam wam to, co usłyszałam od Żywiołów. Mieliście trochę czasu, by się z tym oswoić. Mnie przyszło to niełatwo... - Zmarszczyłam brwi. - Ale nie o tym mamy mówić. Teraz bowiem porozmawiamy o broni. Otóż wiem już, jak można wychwycić z Diveny, jaką każdy z was otrzymał, jej charakterystyczne cechy odpowiadające jednemu z czterech żywiołów. Wszystko po to, by te cechy stały się dominujące i byście się nauczyli jak najlepiej je wykorzystywać.

- Wytłumacz, proszę, po co? - zapytał Paolo. - Sama Divena w takim stanie, w jakim ją odziedziczyliśmy, nie wystarczy?

- Być może by wystarczyła. Jednak jeżeli wszystko pójdzie dobrze i dany Wojownik będzie walczył Diveną, która nabierze cech danego Żywiołu, wtedy uderzenie Diveny ma szansę być nawet kilkakrotnie większe, a przede wszystkim skuteczniejsze przeciw naszym wrogom. Wasza wewnętrzna siła nie straci nic ze swojego czystego, naturalnego charakteru. Będziecie nadal mogli używać jej, jak używacie teraz, ale Żywioł każdemu patronuje tylko jeden, więc zaczniemy się od siebie trochę bardziej różnić.

Przerwałam na chwilę, spoglądając na pozostałych. Słuchali w skupieniu, całkowicie pochłonięci moimi słowami.

- Zadbaliśmy już o to, by dowódcy podzielili nas tak, by każdy patrol i każdy oddział posiadał zróżnicowanych w charakterze Diveny Wojowników. Ale zanim jeszcze wszyscy pozostali przejdą tę przemianę, chciałam ją eksperymentalnie przeprowadzić z wami. Nie jesteście oczywiście żadnymi królikami doświadczalnymi, ale od kogoś trzeba zacząć. Mam nadzieję, że mogę na was liczyć.

- Wszyscy spokojnie kiwnęli potakująco głowami. - Oczywiście to wyspecjalizowanie poniesie ze sobą konsekwencje. Trzeba będzie nauczyć się działania zespołowego tak, by się wzajemnie uzupełniać. Dlatego pytanie do was, Michele i Paolo. Wiecie, jakie Żywioły wam patronują?

- Mnie ziemia - powiedziała dziewczyna.

- A mnie ogień. - Paolo wyszczerzył zęby.

- Cudownie! - Ucieszyłam się. - Kolejna rzecz, która udowadnia spójność i kompletność Drużyny Diveny. Jako że Joasia i Mateusz to Pomocnicy Wojowników, stworzycie wraz z nimi duety. Dziewczyny będą walczyły Diveną ziemi, chłopcy Diveną ognia. Angelo Diveną powietrza, a ja, by dopełnić całość, jaką tworzymy - Diveną wody. Chyba że stanę twarzą w twarz ze Złem. Wszystkie Żywioły będą mi wtedy potrzebne.

- Nie myślmy tak daleko, przynajmniej jeszcze nie teraz - powiedziała Michele.

Uśmiechnęłam się tylko smutno. Mateusz chwycił moją dłoń i uścisnął. Dobrze wiedział, że wciąż się tym trapię, ale może Michele miała rację. Czułam, że niedługo zabraknie takich chwil, kiedy będę mogła sobie pozwolić na to, by nie myśleć o tym, że wkrótce przyjdzie mi walczyć z uosobieniem Zła. Bo to było moim przeznaczeniem od samego początku istnienia Diveny. Dlaczego więc nie skorzystać z tej chwili i dać sobie odpocząć od zmartwień? Podniosłam się z pieńka, gestem pokazując przyjaciołom środek polany.

- Każde z was będzie kolejno stawało przede mną. Kamień Diveny dokona przemiany - powiedziałam tylko, wyjmując mojego Sługę.

Przygotowałam się i stanęłam w oczekiwaniu, nie chcąc sama wybierać pierwszej osoby, na której miała się dokonać przemiana. Przyjaciele spojrzeli po sobie. Z szeregu niemal natychmiast wysunął się Paolo, patrząc na mnie pytająco.

- Stań tu, naprzeciw mnie. Gdy Kamień zabłyśnie Białym Ogniem, uderzysz w niego swoją Diveną. Proszę tylko, byś swoją siłę uczynił widoczną dla nas. Divendi powinien zadziałać jak lustro. Ale nie bój się, nie zrani cię. Przemieni tylko odbity promień Diveny, a gdy ten do ciebie wróci, przeistoczenie się dokona.

Chłopak posłusznie zrobił, o co prosiłam. Kamień zaśnił, Paolo uderzył go błękitnym promieniem Diveny. Odbity od mojego Sługi promień miał kolor ognistopomarańczowy. Paolo w pierwszym instynktownym odruchu chciał odsunąć się z drogi promienia, ale zgodnie

z moimi wskazaniem pozostał na miejscu. Po chwili znak Wojowników na jego ramieniu zaśnił, przybierając kolor ognia, dokładnie taki, jaki miał powracający do niego promień. Trwająca ułamki sekund przemiana została zakończona. Chłopak uśmiechnął się i ze stoickim spokojem uderzył Diveną w najbliższe drzewo. Złamało się z trzaskiem pod wpływem pomarańczowego promienia i stanęło w ogniu. Szybko wyciągnęłam przed siebie dłoń i zgasłam pożar.

Pozostali już bez obaw podchodzili do przemiany i testowali na niewinnym drzewie swoje nowe umiejętności. Znak dziewcząt oraz promień ich Diveny przybrał barwę złotą, znak Angelo - jasnozieloną. Ja nie potrzebowałam przechodzić przemiany, mogłam bowiem, jako ich Córka, używać dowolnie wszystkich czterech Żywiołów. Najpewniej jednak czułam się, używając intensywnie niebieskiego promienia wody.

- Kwestią waszej woli jest to, czy promień przemienionej Diveny będzie widoczny czy bezbarwny. Tego musicie się jednak dopiero nauczyć, tak jak uczyliście się ukrywać go wcześniej, przed przemianą. Również musicie poćwiczyć solidnie panowanie nad swoją Diveną - powiedziałam.

- O, tak. Zgadza się - stwierdził dobitnie Paolo. - Jak pierwszy raz po przemianie delikatnie użyłem promienia, okazał się o wiele mocniejszy, niż przypuszczałem.

- Na nowo będziemy musieli uczyć się wyczuwać swoją Divenę - dodała Joasia, uśmiechając się. - Czuję się teraz

niemalże jak Wojownik.

- To jest ciekawe - powiedziałam. - Przed przemianą ani ty, ani Mateusz nie mogliście wygenerować promienia, a to jeden z głównych sposobów wykorzystywania Diveny w walce.

- Teraz możemy - powiedział Mateusz. - Tym lepiej dla nas. Może już nie będziesz tak drżała, myśląc o tym, jak będziemy walczyć. - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Nie będę? Ależ oczywiście, że będę! - Zaśmiałam się. - Muszę przecież mieć coś, czym mogłabym się przejmować.

- To może - Mateusz objął mnie - zacznij się przejmować na przykład tym, co będziemy robić za tydzień? Żeby nie umrzeć z nudów przy tym trenowaniu.

- Jak znudzisz się trenowaniem tutaj, możemy sobie zawsze wypalić kolejną polanę. - Wyszczrzył się Paolo.

- O, nie... - jęknęłam. - Moi ogniści panowie, surowo zabraniam!

Nasz śmiech odbijał się echem od leżących gdzieśgdzie głazów i wpadał między drzewa, niknąc bez śladu.

- Dziedzicu, wszyscy są już gotowi - powiedział Maurice, wchodząc do białej sali narad. - Czekają na placu przed Pałacem. Będą się ustawiać rzędami po dziesięć osób, jak kazałaś, pani.

- Dziękuję ci bardzo, Maurice - odparłam, po czym skinąwszy na Vertusa, ruszyłam ku wyjściu.

Było upalne przedpołudnie. Za ledwie godzinę wcześniej przybyliśmy wraz z Drużyną do Świata Diveny. Uprzedzony o wszystkim Vertus zadbał o to, by Wojownicy przygotowani byli do przemiany. Czasu mieliśmy coraz mniej, atak Zła mógł nastąpić w każdej niemal chwili. Przemiany Diveny Wojowników musieliśmy więc dokonać hurtowo. Na szczęście było to możliwe. Miałam nadzieję zdążyć do wieczora.

Wyszłam przed Pałac i ruszyłam ku placowi, gdzie stała już przygotowana pierwsza grupa Wojowników. Wszyscy byli poinformowani, w jakim celu mieli się zebrać. Nie chciałam bowiem tracić cennego czasu na długie wyjaśnienia. Byłam bardzo wdzięczna Vertusowi, że zrobił to za mnie i że mogłam od razu przystąpić do dzieła. Wyjęłam mojego Sługę, rozpałam w nim Biały Ogień i skinęłam na Wojowników, którzy zaatakowali Divendiego. Dziesięć promieni o czterech różnych barwach powróciło do tych, którzy je wygenerowali. Znaki na ramionach zalsniły, Wojownicy uśmiechnęli się do mnie niepewnie i zrobili miejsce następnym.

Wszystko szło dobrze i sprawnie, choć z każdą mijającą godziną czułam się coraz bardziej zmęczona. Byłam już wyczerpana, gdy stanęła przede mną ostatnia grupa Wojowników – byli to główni dowódcy naszej Armii Diveny. Dostojnie skłonili się przede mną, co odwzajemniłam, zgodnie ze zwyczajem. Dokonałam ich przemiany i zgasłam Kamień Diveny. Skłoniłam się przed dowódcami po raz kolejny i zachwiałam przy tym lekko z wycieńczenia.

Poczułam podtrzymujące mnie ramię Mateusza. Uśmiechnęłam się do niego i pozwoliłam Drużynie zaprowadzić się do Pałacu, do jednej ze swoich komnat. Wszyscy wyszli z pomieszczenia, został tylko Vertus i mój narzeczony. Zwróciłam się do Przodka:

- Vertusie, ja już wykonałam swoje zadanie. Teraz pozwól, że wrócę do Głównej Czasoprzestrzeni. Tam bardziej będę potrzebna, jak tylko zaczną się ataki. Tobie pozostawiam zadanie czuwania nad Wojownikami. Muszą na nowo nauczyć się posługiwania Diveną, szczególnie zwracając uwagę na generowanie promienia. To nasza główna broń. - Przerwałam na chwilę, czekając na potwierdzenie z jego strony. Skinął głową. - Przekaż też, proszę, dowódcom, by dokonując podziału Wojowników na oddziały, zadbali o różnorodność. Musimy nauczyć się działać czteroosobowymi grupami, by wszystkie Żywioły ze sobą współpracowały. A gdy tylko Wojownicy już się oswoją z nowymi możliwościami swojej Diveny, niech dowódcy przeprowadzą niezbędne ćwiczebne manewry.

Vertus jeszcze raz skinął głową. Widziałam, że również był zmęczony.

- Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć? - zapytał.

Zamyśliłam się. Istotnie, miałam wrażenie, że o czymś zapomniałam. Po chwili przyszło mi do głowy, o co chodziło.

- Vertusie, czy udałoby się, w razie potrzeby, teleportować Wojowników z Głównej Czasoprzestrzeni tu, i z powrotem tam, tyle że w inną lokalizację?

Przodek zmarszczył brwi.

- Sądzę - powiedział powoli - że nie byłoby to niemożliwe. Jednak nie byłbym w stanie wykonać tego masowo. Wiesz przecież sama, że to kosztuje sporo wysiłku. Jeżeli jednak tu moje siły chwilowo nie będą potrzebne, mogę przeznaczyć je na transport Wojowników z Głównej Czasoprzestrzeni.

- Gdyby nastąpił atak w naszym świecie - wyjaśniałam - trzeba będzie szybko przemieścić Wojowników. Normalna podróż za długo potrwa, więc szybciej będzie, jeśli teleportujemy ich do Świata Diveny i z powrotem do Głównej Czasoprzestrzeni, tyle że w inne miejsce, tak jak wtedy, gdy z Drużyną przenieśliśmy się do miejsca twoich narodzin. - Vertus skinął głową. - Poinformuj o tym w moim imieniu Valdemaro i niższych dowódców z Głównej Czasoprzestrzeni, proszę.

- Aido Nicoletto, czy zechcesz zobaczyć i wypróbować rodzaje broni, jakie udało nam się stworzyć, zanim zaczniemy je produkować dla wszystkich? - zapytał jeszcze.

- Czy dowództwo już je widziało? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- Tak. Potwierdzili przydatność - odparł Vertus.

- Wasze zdanie mi wystarczy. Gdy tu wrócę, kiedy już atak się rozpocznie, chciałabym, by w Pałacu dla mojej Drużyny i dla mnie takie zestawy broni były przygotowane. I potrzebowała będę jeszcze kogoś, kto wyjaśni nam, jak jej używać - powiedziałam.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł. - Broń jest banalnie prosta w użyciu, a jej skuteczność jest

bardzo wysoka. Nie będę rozwodził się nad szczegółami, ale muszę powiedzieć, że poprawia celność, co w czasie walki bardzo się przyda. Teraz pozwól, że zajmę się Wojownikami.

Skłonił się jeszcze, po czym wyszedł, a ja położyłam się ciężko na ozdobnym materacu.

Mateusz spojrzał na mnie z troską.

- Wyglądasz kiepsko - powiedział, zmarszczywszy czoło.

- Umiesz prawić komplementy... - odparłam z udawanym przekąsem.

Chłopak położył się obok mnie, tak, że mogłam oprzeć głowę na jego ramieniu.

- Justyna, martwię się o ciebie - odparł. - Boję się, że tak mocno angażując się emocjonalnie w to, co się dzieje, zbyt szybko się wypalisz. A potrzeba ci będzie dużo siły, bo nie wiadomo, co nas jeszcze czeka.

Wtuliłam się w jego silne ramiona. Wiedziałam, że ma całkowitą rację, ale nie umiałam sobie z tym poradzić. Byłam zmęczona, przejęta i miałam tylko ochotę zasnąć.

- Cieszę się, że jesteś tu ze mną - szepnęłam ukochanemu do ucha. Chwilę później byliśmy już w Rzymie, w apartamencie wuja Dominika, w Głównej Czasoprzestrzeni.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że ludzie ode mnie z roku, ze studiów, chcą zorganizować jakieś wspólne wyjście na imprezę z okazji nowego semestru? - zapytał Mateusz przy

obiedzie. Skinęłam lekko głową. – Więc jest ono jutro po zajęciach.

– Świetnie. A o której kończysz?

– Dopiero o dziewiętnastej trzydzieści. Zapowiada się raczej jakaś nocna impreza, nie wrócimy do domu zbyt wcześnie – odparł.

– Wrócimy? To mam iść z tobą? – Zdziwiłam się, bo nie przypominałam sobie, by mówił o wspólnym wyjściu.

– Oczywiście – odparł. – Ustaliliśmy ze znajomymi, że zabieramy osoby towarzyszące. Poza tym – sięgnął po dokładkę – nie wyobrażam sobie pójścia gdzieś bez mojej drugiej połówki. Mój Boże, ten sos jest genialny! Jak to dobrze, że tak cudownie gotujesz.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się i zarumieniłam.

– Ale koniecznie muszę zacząć coś trenować, bo w ten sposób się odżywiając, już wkrótce będę wyglądał jak beczułka.

– Na razie ci to nie grozi. – Roześmiałam się, głaszcząc go po przedramieniu. – Widzę przecież, jak studia wyciągają z ciebie wszystkie soki. Muszę o ciebie dbać.

– A ja muszę dbać o ciebie. – Chłopak uśmiechnął się. – Żebyś nie zamartwiała się całymi dniami. Dlatego jutro, jeżeli czas będzie nam na to dany, wybierzemy się razem na tę imprezę.

Sprzątnęłam szybko po obiedzie, pozwoliłam Mateuszowi wyjść na chwilę na balkon, a sama sięgnęłam po podręczniki i wrzuciłam je do swojej torby. Niedługo miałam wyjść na kolejne zajęcia.

Dzwonek do drzwi zwabił mojego narzeczonego z powrotem do mieszkania. Zdziwiłam się, nie spodziewałam się bowiem gości. Za drzwiami stał zasapany Angelo. Był bardzo zdenerwowany. Wszedł szybko, zamknął za sobą drzwi, po czym odwrócił się do nas, mówiąc:

- Nie mogłem szybciej... Mam dla ciebie wiadomość od mojego ojca. Zaczęło się.

- Gdzie? - zapytałam tylko, czując, jak przez moje ciało przebiega dreszcz niepokoju, a żołądek skręca się w supeł.

- W Trójce - odparł Wojownik.

Numeryczne nazwy terytoriów najbardziej podatnych na atak świetnie się przyjęły. Od razu zaczęłam się zastanawiać nad transportem, jednocześnie sięgając po telefon, by zwołać pozostałych członków Drużyny. Ruszyć musieliśmy natychmiast.

- Aido... - powiedział Angelo - to nie wszystko. - Skierowałam na niego zdziwione spojrzenie. - To nie cała wiadomość. Ojciec jest teraz w Centrum, tam, skąd ma obraz na całą Główną Czasoprzestrzeń. Nie podejrzewałam, że Centrum znajduje się w piwnicach mojego domu, ale tak właśnie jest. Ojciec czeka tam na nas.

- Więc dajmy znać pozostałym, że spotkamy się na miejscu. Mam nadzieję, że zdążymy dojechać do Neapolu - powiedziałam, patrząc przy tym na Mateusza. Nie było mowy o teleportacji do i ze Świata Diveny. Wróg obserwował wszystko, a my zdecydowanie nie chcieliśmy zdradzać mu, gdzie jest nasza główna kwatera kontrolna.

- Dobrze, że tym razem posłuchałem cię i wzięłem samochód od twojego wuja. - Narzeczony spojrzał na mnie porozumiewawczo, po czym ruszył po swoje rzeczy. Kilka minut później byliśmy już w drodze do Neapolu.

XXXIII

Dom liczył sobie już ponad wiek, ale był niezwykle zadbane. Do piwnicy schodziło się po kamiennych schodkach. Trzeba było minąć korytarzyk, gdzie matka Angelo poukładała na półkach rozmaite konfitury i przetwory, dalej przejść do pomieszczenia, gdzie przechowywano wino. Tam jedna z półek była już odsunięta od ściany. Za tym zakamuflowanym przejściem znajdował się niewysoki, wyłożony kamieniem tunel, prowadzący do Centrum. Pomieszczenie zavalone było całą masą elektroniki. Na ścianie naprzeciw wejścia duży ekran wyświetlał mapę Ziemi. Przy sprzęcie siedziało kilkunastu Wojowników. Valdemaro ruszył w moim kierunku, nawet nie próbując ukryć podenerwowania. Wszyscy pozostali dopiero wtedy zauważyli moje przyjście i wstali ze swoich krzeseł, kłaniając się. Odparłam na ich ukłon skinieniem i prosiłam, by wrócili do pracy. Twarze kilkorga z nich wydały mi się znajome, musiałam ich poznać na uroczystościach w Świecie Diveny.

- Dziedzicu, witaj. Wszyscy Wojownicy, jakich zdolny byłem zmobilizować, już ruszyli na miejsce ataku. Niedługo

powinni tam być. Posłałem z nimi trzech niższych rangą dowódców, którzy zgromadzą Wojowników i zaatakują wroga.

- Dobrze - odparłam.

- To jednak nie wszystko. - Valdemaro zmarszczył brwi i spojrzał wymownie na mapę. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam dwa migające na czerwono punkciki.

- Jedyńka... - powiedziałam tylko, a zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Sprawa bardzo mocno się komplikowała; jeśli nie opanujemy sytuacji wystarczająco szybko, wszystkie nasze plany mogą wziąć w łeb.

- Atak zaczął się na chwilę przed waszym przyjściem - wyjaśnił dowódca. - Co teraz rozkażesz, pani?

- Pozostałe siły trzeba skierować tam. W Centrum powinno zostać kilkoro Wojowników, by mieć pieczę nad wszystkim. - Rozejrzałam się uważnie po sporym pomieszczeniu. - Ta cała aparatura nie działa tak, jak powinna, bez Diveny? - Valdemaro skinął głową i szybko rzucił kilka słów do stojącego przy ekranie Wojownika. Ten zabrał rękę z kolumienki z metalową płytką zamiast blatu i natychmiast różnobarwne plamy na mapie, wraz z czerwonymi punkcikami, znikły. Ucichła też lwia część aparatury w pomieszczeniu. Słyszeć było tylko jednostajny szum kilku komputerów.

- Valdemaro, nasi ludzie w Trójce lada chwila będą walczyć. Tych, którzy jeszcze nie wyruszyli, skieruj natychmiast do Jedyńki. Tam uda się też Drużyna. W Trójce dowodzenie pozostawiam tobie. Najszybciej, jak to tylko

możliwe, spróbujcie przenieść siebie i przeciwników do Świata Diveny, gdzieś za góry Tallen. Tam będzie najbezpieczniej dla Noribii, która może się tego nie spodziewać. Vertus jednak na pewno szybko zareaguje. - Skinęłam lekko głową, dając dowódcy do zrozumienia, że skończyłam.

- Tak jest, Dziedzicu. Przeniesiemy, jak wcześniej mówiłaś, Wojowników do Świata Diveny, a stamtąd Vertus wyśle ich do Jedyunki. Kiedy tylko walka się zakończy, ruszymy wam na pomoc. - Valdemaro skłonił się i od razu zabrał się do dzieła.

Ja zwróciłam się natomiast do członków Drużyny, którzy już byli w komplecie:

- Kochani, mamy niewiele czasu. Wyjedziemy za miasto, zostawimy samochód w bezpiecznym miejscu i przeniesiemy się na miejsce bitwy. Zbyt długo zajęłoby nam podróż na drugi koniec świata, a nie możemy się przenieść bezpośrednio stąd, ponieważ tak duży ruch Diveny w pobliżu domu mógłby zakłócić prawidłowe funkcjonowanie Centrum, no i zdradzić jego lokalizację. - Ruszyłam spieszonym krokiem ku wyjściu. Pozostali podążyli szybko za mną.

- To możemy wszyscy tak po prostu przenieść się w inne miejsce Głównej Czasoprzestrzeni? - spytał zdziwiony Paolo, dotrzymując mi kroku na schodach.

- Niezupełnie - odpowiedziałam - ale mogę przenieść nas do Świata Diveny i stamtąd z powrotem do Głównej Czasoprzestrzeni, tyle że w inne miejsce. - Paolo uniósł

wysoko brwi. Wsiadliśmy szybko do samochodu i zapięliśmy pasy, a Mateusz odpalił silnik i wrzucił bieg.

- I jesteś całkowicie pewna, że uda ci się zabrać nas ze sobą? - chciała upewnić się Joasia.

- Oczywiście. Na tym też polega przecież plan bitwy - odparłam. - I mam nadzieję, że się powiedzie...

Sawanna rozciągała przed nami swój suchy, trawiasty krajobraz. Karłowate drzewa, porastające z rzadka teren, nie dawały schronienia ani przed prażącym słońcem, ani przed czujnymi oczami naszych przeciwników. Wojownicy jednak przybywali szybko i od razu organizowali się we wcześniej wyznaczone oddziały. Było ich dwanaście. Wojsko ruszyło w kierunku zgniłozielonej łuny, mającej w niewielkim oddaleniu. Przeciwnik był na tyle daleko, że nie wiedzieliśmy, jaką formę przybrał ani jak bardzo jest liczny. Wątpiłam jednak, by Sumer pojawił się osobiście, raczej wysłał swoich sługusów, licząc na to, że nim się zorientujemy, uda im się narobić jak najwięcej szkód.

Drużyna szła dzielnie przy moim boku na samym czele Wojska. Moi przyjaciele otrzymali lekkie tuniki przypominające kolczugi, takie, jakie nosili pozostali Wojownicy. Były one wykonane z nieznanego w Głównej Czasoprzestrzeni lekkiego metalu, wydobywanego w Świecie Diveny, w górach Sevres. Wojownicy wydobywali go już od wieków, jako że był on naładowany Diveną, a co za tym idzie, miał właściwości ochronne przed siłami Zła. Na szczęście kolczug wystarczyło dla Drużyny. Zabrakło

tylko jednej, zdecydowałam więc, że to właśnie ja pójdę bez niej. Byłam przecież chroniona przez Kamień Diveny lepiej niż przez jakiekolwiek opancerzenie. Nie byłam wprawdzie pewna, czy Divendi będzie w stanie obronić mnie przed potężnymi siłami Zła, którymi władał Sumer, ale był niezawodny, jeśli chodziło o ataki zwykłych jego sługusów.

W miarę jak zbliżaliśmy się do przeciwników, zgniłozielona łuna światła stawała się coraz wyraźniejsza. Stawiałam stopę za stopą, nie zastanawiając się, nie odczuwając niepewności ani strachu. Jakby na część mojego umysłu zapadła jakaś zasłona, odcinając to, co przeszkadzałoby mi teraz, kiedy powinnam myśleć tylko o walce. Wydawszy wcześniej wszelkie instrukcje wszystkim niższemu dowódcy, którzy byli tu z nami, mogłam skupić się na taktyce Drużyny.

Szliśmy, jeden obok drugiego, ramię przy ramieniu, w równym rzędzie. Mój Sługa świecił coraz jaśniej, im bardziej zbliżaliśmy się do łuny. Również coraz mocniej lśniły znaki na naszych ramionach, prześwitując przez ubrania.

- Lewe i prawe skrzydło okrąży przeciwnika tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Musimy pokonać wszystkich, nie możemy pozwolić na to, by ktokolwiek wyrwał się z naszego potrzasku - mówiłam. Moi przyjaciele milczeli, ale wiedziałam, że z uwagą mnie słuchają. Na ich twarzach wypisana była determinacja, oczy błyszcząły odwagą. Kilka kroków za nami maszerowały pierwsze szeregi Wojowników. Słysząc było jedynie równomierny stukot

naszych butów o suche podłoże. Niestety nasze oddziały nie były tak duże, jak na to liczyłam. Byliśmy jednak tymi, którzy walczą w imieniu dobra, a już sama świadomość tego dodawała nam otuchy i pewności siebie.

- Kochani - zwróciłam się jeszcze do Drużyny, widząc, że przeciwnicy już nas zauważyli i formują bojowy szyk. - Musimy trzymać się razem. Naszym zadaniem będzie wyszukać i unieszkodliwić wszystkich dowódców tej plugawej hałastry. Dopiero za chwilę dowiemy się, jak oni wyglądają, ale nie sądzę, by było nam trudno ich rozpoznać. Będą pewnie silniejsi od swoich podwładnych; im szybciej sobie z nimi poradzimy, tym szybciej cała reszta popadnie w chaos. - Westchnęłam. - Proszę, uważajcie na siebie.

Byliśmy już blisko. Do naszych uszu docierał nieprzyjemny, głośny pisk i zgrzyty, a także przeróżne skrzeki, wycia i warczenia. Dzicz, tworząca armię wroga, była rozmaitej maści, od przygarbionych półludzi, obrośniętych gęstą sierścią, przez pokraczne istoty przypominające pomieszanie małpy z niedźwiedziem i przerażające jaszczury o powykręcanych cielskach, aż po poznanych już przez nas wcześniej Strażników. Zarówno półludzie, jak i pozostałe człekokształtne potwory nosili na sobie zbroje dostosowane do ich potrzeb. Miotali wściekle długimi mieczami, a w rękach niektórych półludzi pojawiały się ogniste kule.

Zaatakowaliśmy bez uprzedzenia. Nie czas był na zbędne tu ceregiele powitalne i wymiany ukłonów. To była

tylko niewielka bitwa. Z bojowym okrzykiem ruszyliśmy przeciw sobie.

Jak podejrzewałam, nietrudno było zorientować się, kto przeciwnikami dowodzi. Ku mojemu zdziwieniu większość dowódców, z długimi czerwonymi halabardami, była potężnymi jaszczurami, które, mimo swojej zwierzęcej postaci, miały zaskakująco inteligentne i wręcz ludzkie oczy. Oczy, z których wyzierała nienawiść.

Zaatakowałam Strażnika biegnącego w moim kierunku. Została z niego tylko smuga prochu, opadającego powoli na ziemię. Torując sobie drogę wśród walczącego motłochu, szybko udało mi się dotrzeć do pierwszego z dowódców. Gdy jaszczur mnie spostrzegł, jego przerażająco ostre zęby błysnęły w łunie zgniłozielonego światła. Warknął i uderzył. Jego zakłęcie odbił Kamień Diveny, co kreatura przyjęła z zaskoczeniem. Wykorzystałam ten moment zwątpienia i uderzyłam Diveną wody, generując niezbyt silny, ale wystarczający promień. Opasłe cielsko zważyło się ciężko na przysypaną coraz grubszą warstwą prochu ziemię. Ominęłam trupa, który już się rozsypywał, i ruszyłam dalej.

Po moich obu stronach dzielnie walczyli członkowie Drużyny, atakując większość tych sługusów Zła, którzy rzucali się na mnie. Dzięki temu mogłam swobodnie niemal posuwać się do przodu, szukając kolejnych dowódców armii Przeciwnika i rozprawiać się z nimi.

W pewnym momencie zobaczyłam, że Joasia, ugodzona w udo ognistą kulą przez jednego z półludzi, pada na ziemię. Moje serce zadrżało. Angelo spojrzał na mnie tylko

w przelocie i teleportował ranną dziewczynę do Świata Diveny, zapewne do Pałacu. Odetchnąłam, wiedziałam bowiem, że tam szybko się nią zajmą i że nie powinnam się teraz o nią martwić.

Wojownicy tymczasem dzielnie walczyli. Szczęściem przeciwnicy nie spodziewali się tak silnego kontrataku, więc i przygotowani na niego nie byli. Dlatego też nasze straty były na razie niewielkie. A że walka szła szybko i sprawnie, uznałam, że nie ma potrzeby przenoszenia jej do Świata Diveny. Stracilibyśmy na to zbyt wiele energii. Sama Divena nie mogła wprawdzie nagle osłabnąć czy się wyczerpać, jednak przy jej intensywnym wykorzystaniu opadały z sił nasze ciała.

Kolejni dowódcy padali u moich stóp, a ja nieprzerwanie parłam dalej. Brzydziłam się zabijania, jednak wiedziałam, że to, co robimy, zabijaniem nie jest. Jest pokonywaniem sług tego, który pragnie wszystkie niewinne ludzkie istoty skazać na wieczne męki. Czułam, że nie jestem sobą. Od chwili, kiedy padł zaatakowany przeze mnie pierwszy Strażnik, miałam wrażenie, że przestałam być człowiekiem. Jakby on się schował gdzieś w głębi mnie, żeby nie przeszkadzać i przeczekać to, co się działo. Byłam Córką Żywiołów. Ta część mnie po raz pierwszy w moim życiu tak mocno zdominowała drugą. Mój duch, wielowiekowy i niewyobrażalnie silny, walczył, wykorzystując moją ludzką fizyczność dla swych potrzeb. Czułam, jakby był kimś, kogo pierwszy raz widzę, kimś, kto był o wiele silniejszy, niż się kiedykolwiek spodziewałam.

Kimś, kto był Dziedzicem. A jednak czułam też, że ten w pewnym sensie obcy mojemu człowieczeństwu duch, który kierował moim ciałem i umysłem, nie był tak naprawdę obcy. To byłam ja.

Walka była ciężka, jej odgłosy brzmiały w moich uszach długo jeszcze po tym, gdy wszystko się skończyło. Zgniłozielone światło, jakim błyszczał portal do Świata Zła, przez który uciekały niedobitki oddziałów nieprzyjaciela, powoli zaczynało słabnąć. Szybko więc usunęłam wszystkich Wojowników z pola walki i używając Diveny, przerzuciłam ciała naszych wrogów na drugą stronę. Nie wszystkie, jak się okazało, ulegały natychmiastowemu zdegradowaniu. Zdjęłam swojego Sługę z szyi i zamknęłam nim portal. Potem ruszyłam szybko w kierunku Wojowników, kilkunastu z nich było bowiem rannych. Jakimś cudem nikt z naszych nie zginął. Bitwa była jednak dość krótka, a przeciwnicy nieprzygotowani, więc część Wojowników, stojących na tyłach naszych szyków, nawet nie wzięła w niej udziału.

Nad pustym już polem, gdzie walczyliśmy, unosił się jeszcze nieprzyjemny pył, utrudniając nam oddychanie. Ranni leżeli, cicho pojękując, na grubej warstwie prochu, przykrywającego ziemię. Mimo że zmęczona, wiedziałam, że muszę dopełnić swoich obowiązków i przenieść słabych Wojowników do Świata Diveny, by tam ich opatrzone. Nie wiedziałam jeszcze, czy będę w stanie wyleczyć rany, zadane mocą Złego. Sprawdzić to mogłam dopiero w Świecie Diveny. Tam też warunki do rekonwalescencji

były daleko lepsze niż tu, w Głównej Czasoprzestrzeni. Miałam nadzieję, że te warunki pomogą szybko dojść do siebie Joasi.

Podziękowałam serdecznie Wojownikom i nakazałam, byśmy przenieśli się razem do Świata Diveny, a stamtąd do domów, gdzie mieli szykować się do walnej bitwy. Czułam, że miała ona już wkrótce nadejść. Rannych, wraz z Drużyną, przeniosłam do Noribii.

Gdy tylko poczułam pod stopami kamienie, którymi wybrukowana była główna ulica miasta, zasłona w moim umyśle opadła. Poczułam, że we mnie znów prym wiedzie człowiek, a nie pradawny duch. Dziedzic przestał dominować - chwilowo spełnił swoje zadanie i nie był potrzebny. Moje człowieczeństwo delikatnie wystawiło głowę ze swojej kryjówki i, widząc, że już po wszystkim, raźnie wysunęło się naprzód. Razem ze swoim lękiem przed zabijaniem, ze strachem, wrażliwością i delikatnością. One teraz wzięły górę i gdyby nie obecność Mateusza, który był przy moim boku, nie wiem, jak przyjąłabym okropności tego, co zrobiłam na polu walki. Wiedziałam, że to było słuszne. I tylko ta świadomość jeszcze mnie trzymała przed zrezygnowaniem z dalszego udziału w bitwach. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że tak jak i teraz, ta druga część mnie, gdy przyjdzie chwila walki, znów przejmie kontrolę.

Nie czas był jednak na zastanawianie się nad własną moralnością. Musiałam jak najszybciej dowiedzieć się, co z trójką. Rozejrzałam się powoli.

Uliczki stolicy, wypełnione kręcącymi się tam i z powrotem Wojownikami, zaniepokoiły mnie. Rannych, których przeniosłam tu z Głównej Czasoprzestrzeni, szybko zabrano i zajęto się nimi. Wszyscy gdzieś biegali, nawoływali jedni drugich. Niewielu tylko, zauważając mnie, przystawało, kłaniając się lekko. Większość była zbyt przejęta, a może zbyt zszokowana tym, co się działo. To już nie było to samo spokojne miasto, jakim ujrzałam je, będąc tu po raz pierwszy. Była wojna. I jej okropności dotarły aż tu, druzgocąc łagodność tego miejsca.

Zmarszczyłam brwi i dopiero teraz poczułam, że łzy spływają mi po policzkach. Otarłam je szybko, nie chcąc, by ktokolwiek z Wojowników je zobaczył. Mateusz chwycił mnie za rękę.

- Aido, chodźmy do Pałacu. Tam możemy się spodziewać Joasi, Vertusa i dowódców - powiedział miękko. - Jak tylko porozmawiamy, zajmę się tobą. Nie płacz już. - Starł jeszcze jedną łzę, która podstępem wymknęła się na mój brudny policzek. Chłopak cmoknął mnie lekko w czoło i dałam mu się poprowadzić.

W Pałacu, w białej sali narad, istotnie zastaliśmy Vertusa i dowódców. Dyskutowali zacięcie o czymś, na mój widok jednak zamilkli. Zaniepokojony Valdemaro podszedł w moim kierunku.

- Wszystko w porządku, Dziedzicu? Jak się czujesz? - Pozostali spoglądali na mnie z troską.

- Spokojnie, to tylko pył pozostały ze Strażników. Ja czuję się świetnie - uspokoiliam go. Wiedziałam, że w ich

oczach, choć piastowałam najwyższe stanowisko, byłam jednocześnie słabą kobietą. Stąd ich delikatność i dbałość o mnie. To było ujmujące, jednak nie działało na poprawę mojej pewności siebie.

- Trzeba było ją zobaczyć, jak ścierała na proch sługi Zła. - Mateusz zaśmiał się, jakby czytając w moich myślach. Rozładował napięcie, dowódcy uśmiechnęli się z satysfakcją, ale mnie i tak szybko odholowano na fotel u szczytu stołu. Po chwili przy stole zasiedli pozostali. Spojrzałam pytająco na Valdemaro. Ten wstał, skłonił się lekko w moim kierunku, jak nakazywał obyczaj, i powiedział:

- Cieszymy się, że walka w Jedynce przebiegła pomyślnie. Jeżeli chodzi o drugą, równoległą bitwę, również była dla nas wygrana. Zdezorientowani naszym nagłym pojawieniem się przeciwnicy nie zdążyli nawet uformować szyku i zaatakować. Przenieśliśmy ich do Świata Diveny, za pasmo Tallen, jak sugerowałam. Kosztowało nas to sporo energii, ale tam czekali już kolejni Wojownicy. Walka zawrzała, strat po naszej stronie właściwie nie było. Niedobitki oddziałów przeciwnika otworzyły gdzieś na swoich tyłach portal i uciekły do Świata Zła. Nim zdążyliśmy się zebrać, by ruszyć wam na pomoc, w Noribii pojawili się ranni Wojownicy, którzy poinformowali nas, że walka już skończona.

- Bardzo mnie to cieszy, Valdemaro. Dziękuję za twoją służbę i poświęcenie - powiedziałam zadowolona. - Teraz proszę, powiedzcie, gdzie jest Joasia? - pytanie

skierowałam do wszystkich, jednak wzrok utkwiłam w Vertusie. Ten uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Leży w swojej komnacie. Jej rany nie są śmiertelne. - Moje serce znów zadrżało. - Jest bardzo dzielna, mimo bólu nie straciła przytomności. Ale potrzebny jest jej odpoczynek. Zajmują się nią twoja matka i żona Maurice'a - skończył.

Skinęłam wolno głową, już spokojniejsza, choć moje serce nadal drżało. Zwróciłam się jeszcze raz do dowódców:

- Dziś nie rozmawiamy już o Wojnie. Czuję, że to, co ma nadejść, przyjdzie szybko, ale jeszcze nie teraz. Przeciwnik także potrzebuje się przegrupować i przemyśleć dalsze działania. - Zamilkłam na chwilę. - To, co przeszliśmy dzisiaj, to było preludium. Odpocznijmy, a jutro z samego rana spotkajmy się tutaj, przy tym stole, by wyciągnąć z dzisiejszych wydarzeń wnioski. Skorygujemy taktykę, omówimy sposoby reagowania. Jutro. Dziś zaopiekujmy się tymi, którzy w walce dali się zranić w imię dobra, za które walczą. Spróbujmy się uspokoić i nabrać sił.

Dałam znak, że spotkanie skończone, dowódcy więc wyszli. Ja zaś, wraz z depczącą mi po piętach Drużyną, ruszyłam za Vertusem do komnaty, gdzie odpoczywała ranna Joasia.

Dziewczyna leżała na łóżku, przykryta do połowy kocem. Wyglądała na spokojną, choć na jej twarzy pojawiał się chwilami wyraz bólu. Na nasz widok uśmiechnęła się słabo. Mimo że chciała, nie pozwolono jej się podnieść.

Usiadłam obok niej na łóżku i chwyciłam ją za rękę, głaszcząc wierzch dłoni i czując, jak ściska mi się gardło.

- No i co żeś narobiła? Postarałaś się dla nas o rozrywkę, żebyśmy mieli kogo odwiedzać? - powiedziała, chcąc wywołać uśmiech na jej twarzy. Przyjaciółka ścisnęła mocno moją rękę.

- Ktoś musi dbać i o rozrywkę. - Uśmiechnęła się słabo.
- Nie jest ze mną aż tak źle... choć dobrze by było, gdybyś uрониła łezkę nad przyjaciółką - dodała, spojrzawszy porozumiewawczo na Vertusa, który stanął nagle tuż przy mnie. Spojrzałam na niego.

- Aido Nicoletto, prawdopodobnie i teraz twoje łzy będą miały leczniczą siłę. Jeśli tak, ranni Wojownicy szybko będą stawali na nogi - mówiąc to, sypnął mi w oczy jakimś gryzącym proszkiem, po czym delikatnie zebrał z moich policzków gromadzący się tam obficie słony płyn. Jak poprzednio, woda w małym naczynku, dotknięta wcześniej Diveną, zalśniła błękitnym blaskiem, gdy tylko znalazły się w niej moje łzy.

Kiedy skończył, uśmiechnęłam się do niego i otarłam podaną przez niego chusteczką piekące jeszcze nieco oczy i to, co zostało na moich policzkach. Vertus podał Valerii - żonie Maurice'a - miseczkę z wodą, prosząc, by zaraz po naszym wyjściu obmyła rany Joasi. Przyjaciółka tymczasem spojrzała wokół i powiedziała:

- Jestem naprawdę zaszczycona! Cała Drużyna przyszła mnie odwiedzić. - Uśmiechnęła się, ale zaraz na jej twarzy pojawił się bolesny grymas.

- Chodźmy już - zdecydowałam. - Joasia potrzebuje odpoczynku. Nasza obecność w niczym jej nie pomoże. Możemy zajrzeć jeszcze wieczorem.

Uścisnęłam po raz ostatni dłoń przyjaciółki i ucałowałam ją w czoło.

- Wracaj do zdrowia - szepnęłam jej do ucha. - Potrzebujemy cię.

Spojrzałam jeszcze raz na telefon komórkowy. Upewniwszy się po raz kolejny co do wyświetlonej tam daty i godziny, odłożyłam aparat na półkę. Jednak nie miałam omamów. Zawsze czymś zupełnie niezrozumiałym była dla mnie różnica czasu tu i w Świecie Diveny. Nasza podróż do Centrum i walka w Jedynce trwały razem coś około dwóch godzin. Tymczasem mimo że spędziliśmy w Świecie Diveny półtora dnia, tu wskazówka przesunęła się zaledwie o kilka minut. Stwierdziłam więc z zadowoleniem, że spóźniłam się wprawdzie na dzisiejsze ćwiczenia na uczelni, ale jutro będę znów mogła spokojnie iść na zajęcia, nie denerwując się, że kilka dni miałam wyjętych z życiorysu.

- Nadal masz ochotę iść na tę imprezę ze znajomymi z grupy? - zapytałam Mateusza, który leniwie wyciągnął się na kanapie w salonie.

- A ty masz ochotę? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Jestem trochę zmęczona... - zaczęłam, ale nie dał mi skończyć.

- Skoro to jest zaledwie „trochę”, to wybierzmy się - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nie chcąc się z nim sprzeczać, posłusznie poszłam do swojego pokoju, żeby się przygotować. Chłopak tymczasem wyszedł z mieszkania, obiecując wpaść po mnie za dwie godziny. Wieczór zapowiadał się dość ciekawie. Miałam nadzieję, że pomoże mi się trochę oderwać od rzeczywistości. A wszystko dzięki Mateuszowi, który może wcale nie miał ochoty na imprezę, ale świetnie zdawał sobie sprawę, że takie oderwanie się od myśli jest mi teraz bardzo potrzebne.

XXXIV

Łzy bezsilności i smutku płynęły mi powoli po twarzy, którą ukryłam w dłoniach. Ani ciepły wiatr, ani delikatne promienie słońca nie nadażały z ich wysuszeniem. Godzina za godziną mijały, a ja tkwiłam bez ruchu na szczycie góry Norib. Wylewałam swoją bezradność, żal i strach, drząc na całym ciele. Usiłowałam pozbyć się napięcia, jednak jego nie ubywało. W myślach tłukło mi się nieustannie jedno tylko pytanie: dlaczego?

Spojrzałam w dół – na Pałac, na otaczające go ogrody, na położoną w dole Noribię. Po swej lewej stronie miałam pasmo gór Tallen, po prawej ciągnęły się góry Sevres. Naprzeciw mnie, w oddali, majestatycznie wznosił się łańcuch gór Karfen. Daleko za górami Sevres widziałam spokojną taflę oceanu Ademarskiego, w której przeglądało się słońce. To wszystko było takie piękne! Ale cena, jaką za to płaciłam, była zbyt wysoka. Wolałabym już nic nie mieć... Tylko że to nie był mój wybór, nie mogłam nic zmienić.

Pożegnałam już wuja Dominika, pożegnałam Główną Czasoprzestrzeń, świat, w którym się wychowałam – nie miałam bowiem zamiaru tam wracać, dopóki Wojna ze Złem

się nie skończy. A walna bitwa lada dzień mogła się zacząć. Miałam tylko pewność, że odbędzie się w Świecie Diveny. I to tu właśnie było teraz moje miejsce. Musiałam być przy moich Wojownikach, z moją Drużyną. Musiałam ich poprowadzić, stanąć naprzeciw Zła. Nie bałam się, nie dbałam o siebie. Raczej dałabym siebie zabić, jeżeli tylko mogłabym uchronić te życia, które zostały zabrane. Ale nie mogłam. Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to uczcić pamięć tych, którzy polegli. Jeszcze raz wróciłam myślą do niedawnych, bolesnych wydarzeń.

Było wczesne piątkowe popołudnie – zaledwie wczoraj, już w Neapolu, dotarła do mnie wiadomość o nagłym, zmasowanym ataku sługusów Zła w Czwórce. Choć zdawaliśmy sobie sprawę, że taka sytuacja może nastąpić, to nie byliśmy na tak silny atak przygotowani. Podświadomie wiedziałam, że jeżeli tym razem opuszczę Główną Czasoprzestrzeń, to przyjdzie mi do niej wrócić tylko wtedy, jeżeli wygramy Wojnę. Dlatego znacząco uścisnęłam wuja Dominika, który od razu zorientował się, że jest to pożegnanie. Przyrzekł, że będzie nieustannie na mnie czekał.

Przenieśliśmy się wraz z Drużyną do Czwórki. Terytorium porośnięte było gęstym lasem. Trwała już zażarta walka. Rzuciliśmy się wspólnie w wir bitwy. Niestety oddziałów przeciwnika było bardzo dużo. Zbyt wiele jak dla nas. A dobrze wiedziałam, że na polu walki znajdowali się wszyscy Wojownicy, żyjący w Głównej Czasoprzestrzeni. Nie było najmniejszych szans na posiłki.

Nie poddawaliśmy się jednak. Kreatury padały jak koszone zboże. Niestety i w naszych szeregach nie obeszło się bez strat. Na moich oczach jeden z jaszczurów wgryzł się w szyję leżącej bez tchu Lydii. Michele na szczęście tego nie widziała, Paolo jej na to nie pozwolił, świadomie odwracając uwagę dziewczyny od siostry. Jakiś czas później na rękach Angelo ostatnie tchnienie wydał śmiertelnie ugodzony Tommaso.

Bitwa była bardzo ciężka, poległa jedna czwarta naszych oddziałów. Mogliśmy jednak poszczycić się tym, że po stronie Zła straty były o wiele większe. Walka nie została rozstrzygnięta, przeciwnicy, jak podczas potyczki w Trójce, otworzyli na tyłach swoich oddziałów portal, przez który wrócili do Świata Zła. W pewnym sensie dobrze się stało, gdyż Wojownicy w naszych szeregach opadali już z sił. Wolałam nawet nie myśleć, co by było, gdyby to potrwało jeszcze dłużej. Zginęło i tak zbyt wielu z nas. Nie umiałam pogodzić się z myślą, że już ich nigdy nie zobaczę. Tak wysoka była cena, jaką płaciliśmy. Ufałam jednak, że te życia nie zostały oddane na próżno. Że ich poświęcenie nie pójdzie na marne. Właśnie ze względu na nich nie powinnam się poddawać, ale brnąć dalej przed siebie.

- Najdroższa... - Usłyszałam nagle w myślach delikatny szept mojego narzeczonego. - Nie chciałem ci przeszkadzać, bo wiem, że potrzebowałaś trochę samotności. Jednak wszyscy bardzo niepokoją się o ciebie. Proszę, powiedz, gdzie jesteś, albo chociaż kiedy wrócisz... Wszystko jest w porządku?

Głos chłopaka był pełen troski. Nie potrafiłam jednak odpowiedzieć. Po chwili usłyszałam go jeszcze raz.

- Aido Nicoletto, błagam, odezwij się... Bardzo się o ciebie niepokoję.

- Wszystko w porządku. Niedługo wrócę - wysłałam szybko.

- Na pewno w porządku?

- Nie... - odesłałam po chwili. Nie umiałam go okłamać.

- Proszę, pozwól mi być przy tobie. - Usłyszałam.

Poczułam się jak osoba wyzbyta współczucia dla innych. Przecież nie tylko ja cierpiałam z powodu śmierci bliskich. Zamiast więc ująć trosk tym, którzy opłakiwali poległych, dodawałam im powodów do zmartwień. Miałam prawo do chwili samotności, ale czas tu uciekł tak szybko, że sama zaczęłabym się bardzo martwić, gdyby ktoś inny tak zniknął. Wstałam więc zdecydowanie i ruszyłam stromą ścieżką w dół.

- Schodzę z góry Norib. Nie martw się o mnie - wysłałam Mateuszowi. Mogłam tylko podejrzewać, że chłopak wyjdzie mi naprzeciw. Moje przypuszczenia szybko się sprawdziły. Mateusza spotkałam w połowie ścieżki. Spojrzał na mnie, zlustrował moje brudne ubranie, zmarszczył brwi na widok pyłu na włosach i twarzy, zajrzał głęboko w oczy i poczułam, że wie o wszystkim, o czym myślałam tam, na górze. Bez słowa objął mnie i przycisnął mocno do siebie. Trwaliśmy tak w uścisku kilka długich chwil. W końcu ruszyliśmy razem w dół, ku Pałacowi.

- Jadłaś coś? - zapytał chłopak. - Z bitwy wróciliśmy już kilka godzin temu, a ty wyglądasz, jakbyś przybyła tu przed chwilą.

- Och... - jęknęłam. - Nie jadłam, nie myłam się, nie odpoczęłam... Nie mogłam - powiedziałam cicho.

- Kochanie, teraz więc pójdziesz, weźmiesz kąpiel, przebierzesz się w coś czystego, zjesz kolację. Razem ze mną, żebym mógł cię przypilnować. A później zejdziemy do Noribii. Wojownicy potrzebują teraz twojej obecności. Powinnaś być z nimi w tych trudnych chwilach. Trzeba by też zająć się rannymi. Oczywiście są już pod dobrą opieką, ale na pewno ucieszą się na twój widok.

Chłopak był stanowczy, a z jego słów przebijała mądrość, której mnie teraz brakowało. Pragmatyczne podejście Mateusza pomogło mi zapanować nad emocjami, które targały mną we wszystkie możliwe strony. Potrzebowałam go tak bardzo, jak Wojownicy potrzebowali mnie. Gdyby go zabrakło... Nie chciałam nawet o tym myśleć.

Wędrowałam od drzwi do drzwi, od domu do domu już od kilku godzin. Towarzyszyli mi Mateusz i Angelo. Smutek dominował na twarzach tych, których spotykałam. Jednak widziałam, jak promienieli na mój widok. W niewytłumaczalny dla mnie sposób moja obecność była dla nich pocieszeniem.

- Przyszła nasza nadzieja... - szepnął jeden z ciężko rannych Wojowników, kiedy weszłam do jego pokoju.

Z uśmiechem otarłam jego rany dotkniętą Diveną wodą, do której wpadły moje łzy. To, co kiedyś uratowało Mateusza od śmierci, teraz przywracało zdrowie rannym.

Wszystko starałam się robić z uśmiechem. To było jedyne, co mogłam teraz dać moim bliskim. Uśmiech, obecność i dobre słowo. Osobisty kontakt z każdą z osób był o wiele cenniejszy niż najbardziej płomienne przemowy, wygłaszane z wiszącego wysoko balkonu. Jednak wiedziałam, że i takie przemowy przyjdzie mi wygłaszać.

Z ostatniego domu wyszliśmy późną nocą. Wszyscy byliśmy wycieńczeni, padaliśmy z nóg. Jednak to, co zrobiliśmy, dało nam namiastkę szczęścia. Jeżeli cokolwiek mogło pomóc mi w wyjściu z depresji, to właśnie to, że mogłam wesprzeć innych i przysporzyć im choć trochę radości. Podziękowałam moim towarzyszom i ruszyliśmy wspólnie do Pałacu. Chcieliśmy jeszcze napić się herbaty i porozmawiać.

Nagle od strony Pałacu nadbiegł jeden z dowódców – Aleksander. Zdyszany skłonił się przede mną i powiedział:

- Dziedzicu! Chwilę zaledwie temu wrócił jeden z patroli, stacjonujących w górach Sevres. Mówią, że za pasmem powstała jakaś zgniłozielona łuna!

Spojrzałam przerażona na moich bliskich. Nie byłam pewna, czy to już był główny atak, jednak wszystko zależało teraz od szybkości naszej reakcji. Wydałam polecenie bicia w dzwony Noribii. Wysłałam też posłańca, by przekazał instrukcje przygotowania dziesięciu oddziałów Wojowników

z tych, którzy stacjonowali w otaczającym Noribię od wschodu i południa obozie. Sama pospieszyłam do Pałacu.

- Wiedziałam, że Wojna ze Złem będzie bardzo trudna. Dopiero jednak kiedy zaczęłam tracić bliskie mi osoby, naprawdę odczułam, jak wiele będzie mnie kosztować ta walka. - Westchnęłam i spojrzałam na Mateusza.

Siedzieliśmy w sali tronowej Pałacu Dziedzica. Dopiero co skończyło się spotkanie z dowódcami, podsumowujące nasze wygrane i straty wczorajszej nocnej bitwy za pasmem Sevres. To była czwarta potyczka tej Wojny, jak na razie najdotkliwsza, wygrana przez nas, jednak okupiona potokami krwi Wojowników. Nasze siły, mimo że znaczne, powoli słabły, a docierały do mnie wiadomości od naszych zwiadowców, że Zło szykuje kolejne oddziały swoich kreatur.

Mateusz spojrzał na mnie z niepokojem, chwycił mnie za rękę. Był bardzo zmartwiony i zmęczony. Ten krótki czas, od chwili wypowiedzenia Wojny, odbił się mocno na jego twarzy. To nie był już chłopak, ale dojrzały mężczyzna, doświadczony w walce, świadomy, jak cenne i jak ulotne jest życie.

- Przeciwnik wziął w tej bitwie przykład z nas. Zaatakowano osoby, którym powierzałam dowództwo nad naszymi oddziałami - ciągnęłam. - Od nich wymaga się najwyższej odwagi, żeby swoją postawą dawali przykład innym. Zło doskonale wiedziało, że pozbawienie naszego Wojska dowództwa spowoduje chaos i niezdecydowanie

w naszych szeregach. I tak się stało. Staram się jednak ze wszystkich sił trzymać Wojowników w ryzach. Wiesz, że nie potrafię już usiedzieć w Pałacu, ale krążę ciągle po całej Noribii i po obozie, tam i z powrotem. Zaglądam w ich najciemniejsze nawet zakamarki, najwięcej czasu poświęcając oczywiście rannym. Staram się podtrzymywać Wojowników na duchu. Ale sama nie wiem, ile jeszcze tak dam radę. Jeżeli ja osłabnę w wierze w to, że wygramy, to i oni zrezygnują...

Schowałam twarz w dłoniach, próbując oddzielić się nimi od świata. Mateusz spojrzał na mnie uważnie.

- Kochanie... wszędzie tam, gdzie idziesz, nagle słońce wychodzi zza chmur, a wokół zaczyna rozbrzmiewać radosna pieśń Żywiołów... Widzę, ile Wojownikom daje twoja obecność. Musisz być silna! Jesteś dla nich jedynym oparciem.

- Jestem dla nich oparciem... - powtórzyłam jak echo jego słowa, po czym spojrzałam na niego uważnie i dodałam: - A ty jesteś moim...

Wokół rozbrzmiewał tylko głuchy stukot butów o kamieniste podłoże. Wraz z kilkunastoma oddziałami rażno, choć z duszami na ramionach maszerowaliśmy naprzeciw wrogowi. Kilka dni wcześniej nasz przeciwnik teleportował do Świata Diveny całe swoje Wojsko, daleko za łańcuchem gór Karfen, nad brzegiem Oceanu Ademarskiego. Nie rozpoczął jednak ataku, ale, jak donieśli nasi zwiadowcy, przygotowywał zaplecze i rozstawiał obóz,

szykując się najwidoczniej do walnego ataku. Nie Pomieszkał jednak odwrócić naszej uwagi. Teleportował część swoich oddziałów za pasmo Tallen. Wiadomość dostaliśmy dopiero niedawno, więc zebrawszy się jak najprędzej, ruszyliśmy pieszo przeciw nim.

Nasi zwiadowcy donieśli o czymś jeszcze – przeciwnicy po teleportacji byli bardzo wycieńczeni, co dawało nam spore szanse na wygraną bitwy małym kosztem. Teleportowanie w Świecie Diveny było możliwe, o czym wiedziałam już od jakiegoś czasu. Jednak nie dla każdego, a ci, którzy to potrafili, tracili wiele siły. Podobnie jak ci, którzy byli przenoszeni. Dlatego właśnie zdecydowałam, że wyruszymy przeciw sługom Zła na własnych nogach. Choćby zajęło to dużo czasu, nie będziemy aż tak zmęczeni, jak nasi wrogowie.

Ciągnęłam nogę za nogą, starając się nie okazywać zmęczenia. Najmniejsza oznaka słabości mogłaby być odczytana przez moich towarzyszy jako zniechęcenie, a do tego nie mogłam dopuścić. Musiałam okazywać tylko i wyłącznie swoją siłę, dla ich i swojego dobra. To na mnie się opierali, na mnie liczyli i we mnie pokładali nadzieję. Ogromny był ciężar tej odpowiedzialności, ale wiedziałam, że nikt inny temu nie podoła – tylko ja miałam w sobie przedwiecznego ducha Dziedzica, stworzonego przez Divenę Żywiołów. Więc choć moje ciało drżało ze zmęczenia i napięcia, choć moje myśli kuliły się ze strachu przed śmiercią bliskich, szłam naprzód. Cały Świat Diveny jakby protestował przeciwko temu, że pojawiły się tu siły Zła.

Zazwyczaj ciepła, słoneczna pogoda teraz zmieniła się, na niebie wisiały ciężkie burzowe chmury, wiał nieprzyjemny wiatr. Z każdym krokiem czułam, że moje człowieczeństwo usuwa się w cień ducha, władającego Diveną. Cieszyłam się z tego, ale z drugiej strony gdzieś w głębi świadomości wciąż miałam przekonanie, że to niedobrze, że moje dwie natury są w taki sposób od siebie oddzielone. Zacisnęłam jednak wargi i szłam dalej naprzód, wsłuchując się w równomierny stukot ciężkich butów o ziemię.

Wreszcie stanęliśmy naprzeciw armii przeciwnika i nie czekając, z okrzykiem ruszyliśmy do walki. Jak i poprzednio, dawaliśmy z siebie wszystko, siekąc wroga. I tak jak poprzednio, tak i teraz na mój umysł zapadła zasłona, Dziedzic wysunął się naprzód i przejął całkowitą kontrolę nad moim ciałem.

Walczyłam z zapałem, tylko co odważniejsi ze sług Zła stawali ze mną do walki. Większość uchodziła przede mną, byłam bowiem dla nich przeciwnikiem nie do pokonania. Ja jednak nie dawałam za wygraną i atakowałam, czyniąc spustoszenie w szeregach wroga. Wokół unosił się proch, zapach potu i krwi oraz fetor ciemnej posoki, jaka płynęła w żyłach jaszczurów. W pewnej chwili zaniepokojona zauważyłam, że część Drużyny została zatrzymana gdzieś z tyłu. Przy mnie zostali tylko Michele i Mateusz. Odwróciłam się i zaczęłam szukać pozostałych wzrokiem. Walczyli nieopodal, powoli torowałam więc sobie drogę w ich kierunku, kiedy coś nagle mi ją zatarasowało.

Najpierw pojawiła się przede mną zgniłozielona łuna. Delikatny zarys portalu czasoprzestrzennego wyostrzył się. Zaskoczona, zatrzymałam się, nie bardzo wiedząc, czego się mogę spodziewać. Niektórzy z walczących wokół zatrzymali się na chwilę, obserwując niespodziewane zjawisko.

Nagle silny podmuch zwałił mnie z nóg. W portalu zarysowała się niewyraźna sylwetka wysokiej postaci w długim płaszczu. Moje serce zadrżało, poczułam przejmujący chłód, a w nozdrzach nieprzyjemny odór. Wokół mnie rozległ się gwałtowny, triumfalny wrzask sług Zła. Podniosłam się szybko, stając niepewnie na trzęsących się nogach. Spojrzałam przed siebie.

Miałam wielką ochotę odwrócić wzrok, jednak wiedziałam, że byłoby to oznaką strachu. Przede mną stał Sumer we własnej osobie. Jego odrażająca twarz, o paskudnym zielonkawym odcieniu, usiana fioletowymi plamami, obrzydzała mnie. Spojrzał na mnie świdrująco swymi czerwonymi, pałającymi nienawiścią oczami. Kamień Diveny na mojej szyi zabłysnął jaśniej.

Wytrzymałam wzrok Przeciwnika. To pozwoliło odejść strachowi, jaki przez chwilę zdawał się mieć nade mną kontrolę. Stałam pewniej na nogach i przygotowałam się do ataku. Sumer zaśmiał się szyderczo, odchyliwszy głowę do tyłu, po czym nagle spowaźniał. Uderzył, potężnym zaklęciem zwalając mnie po raz wtóry z nóg. Udało mi się jednak odparować kolejny cios i uderzyć wroga. Zachwiał się, a ja skoczyłam na równe nogi, atakując powtórnie. Tym razem jego kontra była mocniejsza, ale ja byłam lepiej

przygotowana. Nie udało mu się przewrócić mnie. Wiedziałam jednak, że muszę zaatakować inaczej, nie świetlistym promieniem.

Spróbowałam unieść przeciwnika nad ziemię. Nie udało mi się to, kreatura jednak zachwiała się. Wykorzystałam to i znów uderzyłam. Potworny pisk rozdarł powietrze, zagłuszając wszystkie inne odgłosy, gdy mój promień drasnął Sumera w ramię. Czerwone oczy zabłyśły. Czułam jego wściekłość. Zaatakował z całym impetem, lecz mimo że odparowałam cios, znów znalazłam się na mokrej od krwi ziemi. Już chciałam kontratakować, kiedy Sumer zniknął przed moich oczu. Ku mojemu przerażeniu pojawił się tuż obok Mateusza, atakując go. Ten wprawdzie odchylił się, unikając ciosu, Sumer jednak nie dał za wygraną. Zbliżył się do niego gwałtownie, chwycił mocno za przegub ręki i razem zniknęli.

Po portalu już po sekundzie nie było śladu, a ja krzyczałam, ile sił w płucach. Z rozpaczą rzuciłam się na wrogów, nie zważając na to, że taki pęd osłabia moją zdolność unikania ciosów. Czułam pulsujący na mojej piersi Kamień Diveny. Tylko on chronił mnie przed atakami, na które nie zwracałam już uwagi. Obraz otoczenia zamazał mi się przed oczami. Zdecydowanym ruchem otarłam gorące łzy, płynące po policzkach. Nie czułam się dobrze. Dziedzic ustąpił miejsca człowiekowi. Rozhisteryzowanej kobiecie.

I wtedy usłyszałam delikatny dźwięk dzwoneczków. To Żywioty przybywały na ratunek, potęgując Divenę Wojowników. We mnie zaś zaczęła się ostra walka między

człowiekiem a duchem, którym byłam od wieków. Moje wnętrze rozdarł potworny ból, a po chwili poczułam niewytłumaczalny pokój i siłę. To dwie części mnie starły się i zamiast walczyć, ściśle połączyły się ze sobą. Nie byłam już rozerwana, po raz pierwszy poczułam w sobie prawdziwą, czystą Divenę. Niesamowite przeżycie trwało ułamek sekundy, wątpiłam, czy ktokolwiek zauważył zmianę. Wyciągnęłam ręce w górę, unosząc się lekko nad ziemią, i dotknęłam swoją wewnętrzną siłą wszystkich Wojowników. Po chwili opadłam ciężko na ziemię. Wiedziałam już, że walka była wygrana. I choć moje serce nadal rozdzierała rozpacz, czułam, że dopiero teraz jestem w całości sobą.

Joasia trzymała moją głowę na kolanach, głaszcząc delikatnie moje włosy. Szloch co jakiś czas wstrząsał jeszcze moim ciałem, czułam, że zupełnie opadłam z sił. Ta noc, noc po bitwie za pasmem Tallen, była najgorszą nocą mojego życia. Sumer, porywając Mateusza, uderzył w najczulsze miejsce - w moje serce. W jakiś niewytłumaczalny sposób wiedziałam, że chłopak żyje. Bałam się jednak, że męki, przez jakie musiał przechodzić, mogą być gorsze od śmierci.

W przypiływie rozpacz, tuż po zakończeniu walki, chciałam teleportować się do Świata Zła i szukać ukochanego. Szybko jednak Angelo wybił mi to z głowy. W pierwszej chwili miałam ochotę go za to znienawidzić. Ale kiedy dotarło do mnie, co tak naprawdę chciałam

zrobić, na jakie niebezpieczeństwo wystawić siebie i wszystko to, o co walczyliśmy, miałam chęć samą siebie spoliczkować. Przecież na to właśnie liczył Sumer. Na swoim własnym terytorium miałby nade mną sporą przewagę. Podziękowałam więc Angelo i oddałam się w ręce swojej przyjaciółki.

Joasia starała się choć odrobinę ulżyć mi w bólu. Wiedziałam jednak, że jej starania pójdą na marne, jeżeli ja sama nie zechcę się podnieść i stawić czoła przeciwnościom. Pozwoliłam sobie na rozpacz, ale wiedziałam, że nie może ona trwać bez końca.

Podniosłam głowę z kolan Joasi, wstałam i powoli podeszłam do okna mojej sypialni. Widok, na który patrzyłam tak często, nadal trwał niezmienny i napawający spokojem. W moim wnętrzu działo się tak wiele, przechodziłam walkę za walką. A przyroda pozostawała niewzruszona na burzę w ludzkim sercu. Odwróciłam się w stronę przyjaciółki. Joasia siedziała na łóżku. Poranne promienie słońca, wynurzającego się powoli zza gór Karfen, oświetlały zmęczoną i zatroskaną twarz przyjaciółki, jej podkrążone i zaczerwienione z braku snu oczy. Ona tak wiele potrafiła dla mnie poświęcić. O wiele więcej powinnam teraz oczekiwać od siebie. Dla niej, dla Mateusza, dla innych.

Spojrzałam znów przez łyzy na krajobraz za wielkim oknem, na Noribię, na nasz obóz i na góry Karfen, za którymi czaił się wróg.

- To chyba w niczym nie pomoże - powiedziałam po chwili. - Moja rozpacz nie pomoże Mateuszowi. A może zniweczyć wszystko. Przecież o to chodzi Sumerowi, prawda? Jest mi strasznie ciężko bez niego, ale... - Kolejna niechciana łza spłynęła po mojej twarzy. Otarłam ją szybkim ruchem dłoni. - Ale ja się nie dam, choćby ze względu na niego...

Westchnęłam ciężko. Joasia podeszła do mnie powoli i stanąwszy obok, objęła mnie ramieniem. Słońce oświetliło nasze twarze, skierowane ku wschodowi.

Uśmiechnęłam się lekko. To było łatwiejsze, niż początkowo mi się wydawało. A bałam się, że nigdy już się nie uśmiechnę. Jednak to właśnie mój uśmiech podnosił na duchu Wojowników. Nie płomienne słowa i zapewnienia. Jakże cieszyłam się, że jeszcze potrafię się uśmiechać.

Po najcięższej nocy mojego życia wstał nowy dzień. Musiałam wyjść naprzeciw rzeczywistości. Wiedziałam, że im dłużej będę ten moment oddalała, tym będzie mi trudniej. Ruszyłam więc do Noribii tuż po wczesnym śniadaniu, zupełnie sama. Uliczki dobrze już znanego mi miasta powoli budziły się do życia, pełnego smutku i napięcia. Słońce jednak świeciło jak zawsze jasno i ciepło.

Jednego z Wojowników poprosiłam, by sprowadził kogoś, kto czuwał nad rannymi. Niedługo potem wędrowałam od domu do domu, od namiotu do namiotu, docierając do kolejnych rannych i lecząc ich uzdrawiającą siłą mojego Żywiołu. I uśmiechałam się, mimo delikatnych,

a jednak znaczących i współczujących spojrzeń Wojowników, których spotykałam.

Minął ranek, przyszło południe, jednak nie spieszyło mi się na posiłek do Pałacu. Z cennego czasu, jaki mi pozostał, chciałam każdą chwilę oddać tym, którzy mnie potrzebowali. Nagle jednak, idąc jedną z uliczek na przedmieściach, usłyszałam delikatny dźwięk dzwoneczków. Zatrzymałam się gwałtownie i przeprosiłam dwie towarzyszące mi kobiety, wyjaśniając, że muszę przez chwilę być sama. One tylko skłoniły głowy i odeszły, uśmiechając się pokrzepiająco.

Spojrzałam przed siebie. Niedaleko stąd było do skały, z której spoglądałam na Noribię, gdy przybyłam do miasta pierwszy raz. Rażno ruszyłam, zastanawiając się, co do powiedzenia tym razem mają Żywioty. Szybko znalazłam się za miastem, wspięłam się stromą ścieżyną i usiadłam na skale. Zamknęłam oczy, uspokoiłam oddech i czekałam. Żywioty odezwały się szybko.

- Córko... jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Musisz jak najszybciej udać się na wielką wyspę na Oceanie Ademarskim, na południe od Noribii. Tam wytworzyła się Bariera, za którą powinnaś się dostać... za którą możesz się dostać tylko ty.

- I co tam zastanę? - zapytałam.

- Kolejną tajemnicę tego świata. Zachowasz ją dla siebie, dopóki nie nadejdzie czas na jej wyjawienie. Tam porozmawiamy jeszcze raz. Teraz nawet w Świecie Diveny nasze rozmowy nie są bezpieczne. Wędruj prędko.

Dzwoneczki ucichły tak nagle, jak rozbrzmiały. Wstałam i pewnym krokiem ruszyłam w kierunku Pałacu. Dotarłam tam szybko, wzięłam tylko najpotrzebniejsze rzeczy i wyszłam na dziedziniec, na którym czekała już na mnie Drużyna wraz z Vertusem. Spojrzałam na przyjaciół i uśmiechnęłam się. Nie wypadło to chyba zbyt przekonująco.

- Przede mną ważna misja, muszę wyruszyć natychmiast. Nie wiem, kiedy wrócę, ale postaram się jak najszybciej - powiedziałam jednym tchem.

- A co z nami? Mamy czekać? - zdziwił się Paolo.

- Wyruszam sama, stosując się do zaleceń Żywiołów. Waszej trosce powierzam wszystko to, co będzie się działo tutaj pod moją nieobecność.

- Nie powinienem ci na to pozwolić - powiedział stanowczo Angelo.

- Nie powinieneś stawać Córce Żywiołów na drodze - odpowiedział mu Vertus. Wojownik tylko z pokorą skinął głową, choć widziałam, że miał ochotę postawić jakąś kontrę. Spojrzałam wymownie w jego kierunku. Z trudem zaakceptował moją decyzję.

Nie chcąc tracić więcej czasu, pożegnałam się szybko i ruszyłam. Postanowiłam teleportować się za Noribią. Po pierwsze, żeby nie dać Wojownikom powodu do niepokoju, że znikam. A po drugie, chciałam przez jakiś czas побыć sama. Intensywny spacer był najlepszym sposobem. Dwie godziny później, u stóp gór Sevres, zatrzymałam się, wyjęłam swego Sługę i poprosiłam o pomoc w teleportacji.

Cel był daleki, wolałam raczej zaufać Divendiemu niż sobie. Zwłaszcza że wyspę widziałam tylko raz.

W moim Słudze rozpałił się Biały Ogień. Kamień posłusznie przeniósł mnie dokładnie tam, gdzie miałam się znaleźć.

XXXV

Teleportacja trwała ułamki sekund. Powoli otworzyłam oczy. Otaczała mnie bujna łąka, porośnięta ogromną ilością kolorowych kwiatów, które rozstaczały wokół siebie niezwykle piękny zapach, delikatny i przyjemny. Niedaleko, za plecami miałam brzeg oceanu, który gdzieś tam porastały iglaste, karłowate drzewa.

Przede mną zaś była Bariera. Ledwie widoczna, błękitnawa, półprzezroczysta kopuła, otaczająca całą wyspę. Nie obejmowała jedynie tego wąskiego pasa łąk tuż przy brzegu, na którym się znajdowałam.

Nie było czasu na zastanawianie się. Od razu ruszyłam w stronę Bariery, chcąc ją pokonać. Podeszłam do kopuły i spróbowałam dotknąć jej ledwie widocznej powierzchni. Gdy jednak tylko zbliżyłam rękę, lśniąca tafla zafalowała i wygenerowała coś na kształt elektrycznego impulsu, który skutecznie odepchnął mnie o kilka metrów do tyłu i poparzył dłoń. Syknęłam, upadłszy na obolałą rękę. Szybko podniosłam się i pozwoliłam mojemu Słudze, by wyleczył oparzenie. Już po chwili nie było po nim śladu. Tak

samo, jak w mojej głowie nie było nawet śladu pomysłu, jak mogłabym się dostać na drugą stronę Bariery.

Usiadłam zrezygnowana na trawie i westchnęłam przeciągle. Trzeba było działać, ale nie wiedziałam, co zrobić. Spojrzałam w niebo i płynące po nim chmury i odruchowo zaczęłam bawić się Kamieniem Diveny. Nikt nie może przejść przez Barierę oprócz mnie? A co ja takiego mam, że mogę? Zmarszczyłam brwi, podejrzewając, że rozwiązanie jest prostsze, niż mi się wydaje. Że jest na wyciągnięcie ręki... i nagle uprzytomniłam sobie, co trzymam w dłoni.

- Przecież Divendi otwiera wszystkie drzwi... - mruknęłam do siebie, wstając z trawy.

Zbliżyłam się powtórnie do Bariery na bezpieczną odległość i rozpałam Biały Ogień w moim Słudze, rozkazując mu, by otworzył dla mnie w błękitnej kopule pewne przejście. Brzegi portalu zaśniły jasno, a ja ruszyłam do przodu i po chwili byłam już po drugiej stronie.

Nie było tu inaczej niż tam. Jednak gdy tylko przejście się zamknęło, poczułam się odizolowana. Rozejrzałam się ponownie i nie bardzo wiedząc, co powinnam zrobić, ruszyłam po prostu przed siebie. Powoli wspięłam się na szczyt wznoszącego się najbliższej wzgórza i spojrzałam w dół, na las i niewielką dolinkę, w której zauważyłam jakiś ruch.

Zmrużyłam oczy. Jeżeli mnie wzrok nie mylił, tuż przy brzegu lasu stało co najmniej kilkadziesiąt szałasów i najwidoczniej obozowali tam jacyś ludzie. Byłam coraz

bardziej zaskoczona. Czy to była ta tajemnica, o której mówiły Żywioły? Z sercem na ramieniu ruszyłam w kierunku prowizorycznego osiedla.

Im bardziej się zbliżałam do szałasów, tym pewniejsza byłam, że ludzie, którzy tam się znajdowali, zauważyli moją obecność i zbierają się, by wyjść mi naprzeciw. Byłam już całkiem niedaleko, mogłam usłyszeć rozlegające się wśród mieszkańców wyspy krzyki. Powoli spora grupa osób ruszyła w moim kierunku. Nagle jedna z nich wysunęła się na czoło i zaczęła biec ku mnie. Przyjrzałam się uważniej i... zamarłam.

Zatrzymałam się, poczułam, że się trzęsę i upadłam na kolana. Gorące łzy popłynęły mi po twarzy. Wyciągnęłam ręce ku nadbiegającym i już po chwili ścisnęłam mocno Tommaso, Lydię, dowódców, wszystkich tych, których sądziłam, że straciłam na zawsze.

- Ale... jak? - zapytałam zdezorientowana, gdy wreszcie wyswobodziłam się z ich objęć i wraz z kilkorgiem usiadłam przy obozowym ognisku.

- Żebyśmy to wiedzieli... - Tommaso tylko wzruszył ramionami. Pozostali milczeli.

- Poczułem ogromny ból... - odezwał się w końcu jeden z dowódców o imieniu Martin. - A później dziwną błogość. I obudziłem się tutaj, nieopodal obozu. Było tu już od niedawna kilkunastu Wojowników, którzy postawili sobie szałas i czekali. Razem z kilkoma wyprawiliśmy się tam, skąd przybyłaś, Dziedzicu. Dotarliśmy aż do Bariery.

I wtedy zrozumieliśmy, że dla Świata Diveny pozostaniemy martwi dopóty, dopóki Zło nie zostanie pokonane.

- A jeżeli nasz Wróg wygra... - powiedział cicho Tommaso.

- Tylko wiara w naszą siłę da nam wygraną - powiedziałam, nie pozwalając mu skończyć. - Teraz już wszystko rozumiałam. Żadna istota żywa nie może tu wejść. Ani martwa stąd wyjść. Chyba że ożyje na nowo dzięki potężnej sile - Divenie, która pokona Zło.

- A ty, Aido Nicoletto? Nie każesz nam chyba wierzyć w to, że nie żyjesz? - zapytała Lydia, marszcząc brwi.

- Widocznie te prawa mnie nie dotyczą. Same Żywioty nakazały mi tu przyjść, by odkryć tę tajemnicę Świata Diveny. A potem zachować ją dla siebie - powiedziałam, dodając po chwili: - Ogromnie się cieszę, że widzę was zdrowych i całych.

Zgromadzeni wokół mnie Wojownicy uśmiechnęli się ciepło i pokrzepiająco. Ja zaś zupełnie nieświadomie rozglądałam się w poszukiwaniu znajomej, wytęsknionej twarzy, z nadzieją jej ujrzienia. Uprzytomnił mi to dopiero jeden z dowódców, Ronald, mówiąc po prostu:

- Nie ma go tu, Aido Nicoletto. - Zmieszałam się i potrząsnęłam głową, z początku nie rozumiejąc, o czym mówi. Dopiero po chwili do mnie dotarło. - Nie ma go tu. Choć z całego serca życzyłbym tobie i sobie, by był. Lepiej umrzeć niż znaleźć się w niewoli Sumera...

- Jak... skąd... - Nie byłam w stanie wydobyć więcej ze ściśniętego gardła.

- Właśnie to zaburzyło koncentrację mojej uwagi na przeciwniku, z którym walczyłem. Wykorzystał moją chwilę nieuwagi i ugodził mnie zatrutym ostrzem.

Spojrzałam na niego smutno, przepraszająco. Uśmiechnął się tylko, potrząsając lekko głową, jakby chciał powiedzieć, że to nie moja wina.

- Pojawienie się Sumera na wszystkich wokół wywarło wrażenie. Nie mniejsze niż twoja walka z nim. Kilka razy zamarło we mnie serce, gdy cię uderzał. Ale nie dałaś się pokonać. - Uśmiechnął się jeszcze raz. Tym razem odwzajemniłam uśmiech.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy, czas jednak naglił. Musiałam ruszać w drogę powrotną. Żegnając się, jeszcze raz uścisnęłam wszystkich najbliższych.

- Do zobaczenia, kochani - powiedziałam znacząco na odchodnym. - Wierzcie w to, że się wkrótce zobaczymy.

Nie odpowiedzieli. Tylko długo jeszcze, gdy odwracałam się, by spojrzeć za siebie, widziałam ich stojących i patrzących w moim kierunku.

Szybko pokonałam ostatnie wzgórze i szłam w kierunku Bariery. Zatrzymałam się dopiero nieopodal niej, usiadłam pod niewielkim drzewkiem, odetchnęłam. To, co widziałam, czego się dowiedziałam, było dla mnie ogromnym szokiem. Musiałam po nim ochłonąć, uspokoić się, zanim wrócę do Noribii. Miałam przecież tę tajemnicę zachować dla siebie.

- Ale dlaczego miałam się o tym dowiedzieć? - spytałam na głos samą siebie.

- By być spokojną. - Usłyszałam w odpowiedzi delikatny głos, któremu jak zawsze akompaniowały dzwoneczki. - By śmierć kolejnych osób nie była dla ciebie już tak wielkim bólem, jak poprzednie. Byś szybciej dochodziła do siebie. By twoje człowieczeństwo, bardzo dobre i czułe, zupełnie nie zdominowało twojej drugiej natury... a właściwie drugiej jej części.

- Więc wiecie o mojej wewnętrznej walce? - Byłam zaskoczona.

- Jakże moglibyśmy nie wiedzieć o tym, co przechodzi nasza Córka? Złączenie się twojego ducha z człowieczeństwem, ściśle i nierozzerwalne, choć bolesne, było niezbędne, by umożliwić ci korzystanie w pełni z Diveny. Utrata bliskiej osoby tylko ten proces przyspieszyła.

- Ale co teraz... co będzie... - Głos uwiązł mi w gardle.

- Los twego ukochanego nie jest nam znany. Ale wiesz sama, że żyje. A póki żyje, jest jeszcze nadzieja...

Głos Żywiołów był miękki, pokrzepiający. Przełknęłam ślinę. Otarłam spoconą twarz dłonią i podniosłam się.

- Mam jeszcze na tyle siły, by mieć nadzieję - powiedziałam tylko.

- Zaczekaj, Dziedzicu... - Usłyszałam. - To jeszcze nie wszystko.

Zatrzymałam się, z pokorą usiadłam i znów wsłuchałam się w znajomy głos.

- Kiedy nadejdzie czas rozstrzygnięcia przedwiecznego sporu, wzmocnimy siły Wojowników Armii Diveny. Jednak

użycie ostatecznej broni leży tylko w twoich możliwościach. Nie martw się, będziesz wiedziała, co i kiedy zrobić. Wspieraj nadzieję Wojowników. Jeżeli zabraknie wiary w zwycięstwo, zwycięstwa nie będzie. Strach i przerażenie służą Złu. Niech więc nie opanowują szeregów twojej Armii.

- Staram się, jak mogę. I będę starać się nadal - powiedziałam.

- Nie będziesz nigdy sama. - Dzwoneczki zamilkły, a ja ruszyłam z powrotem. Do domu.

Paolo powoli położył dłoń na metalowej płytce, wieńczącej kolumnienkę, generując słaby Promień. Natychmiast cała martwa, półelektroniczna aparatura rozjarzyła się, zaczęły mrugać rozmaite kontrolki, zaszumiały mechanizmy, a wielki ekran przed nami wyświetlił mapę.

Byliśmy wraz z Drużyną w Centrum. Do Głównej Czasoprzestrzeni przenieśliśmy się przed kilkoma chwilami. Musieliśmy sprawdzić, czy nasz Przeciwnik nie działa za naszymi plecami właśnie tutaj. Ku naszemu zdumieniu i uldze okazało się jednak, że nie. Po raz kolejny okazywało się, że mądrość nie zawsze idzie w parze z inteligencją. Nasz Wróg był, owszem, piekielnie inteligentny - i pod względem taktycznym, i technicznym, i wieloma innymi - ale zwykłą głupotą z jego strony było zostawienie Głównej Czasoprzestrzeni samej sobie.

- Bardzo nam to na rękę, że Sumer wycofał stąd swoje macki - stwierdził Angelo.

- Tak... - odparłam powoli, z zastanowieniem.

- Co? - zdziwił się. - Nad czym się zastanawiasz?

- Sumer zaangażował wszystkie swoje siły w plan ataku na Świat Diveny, który już wkrótce wcieli w życie. Wojska ma już prawie przygotowane, jak donoszą nasi zwiadowcy - powiedziałam powoli.

- No i? - dopytywał się Angelo, a pozostali z zaciekawieniem czekali na moje słowa.

- Jeżeli był tak głupi, porzucając wszystko tutaj, logicznie rzecz biorąc, jego głupota ma prawo się powtórzyć. Skoro więc wycofał się stąd i nie ogląda się za siebie, może i tam nie będzie się oglądał? Wobec tego miałby sens manewr sugerowany przez Vertusa, a mający na celu okrążenie jego wojsk.

- W takiej sytuacji tak. Ale jeżeli on właśnie na to czeka? - Angelo nie wydawał się przekonany.

- Jeżeli nie spróbujemy, nie dowiemy się - stwierdził Paolo. - A to może być bardzo skuteczne. Nie musimy manewru wykonywać od razu. Wszystko zależy też od tego, gdzie walna bitwa będzie miała miejsce.

- Omówimy to z dowódcami, jeżeli starczy nam czasu - stwierdziłam, patrząc kolejny raz na mapę. Nie było na niej ani jednej oznaki Zła.

Stałam tak jeszcze chwilę, wędrując myślami bardzo daleko od miejsca, gdzie przebywałam. Nagle poczułam na ramieniu dłoń Joasi. Wzdrygnęłam się i zmieszłam. Przyjaciółka odgadła, wokół kogo kręciły się moje myśli.

Skinęłam na Paolo, by zdjął dłoń z panelu sterującego. Cała aparatura zamarła, cisza, jaka nas otoczyła, była przytłaczająca. Nikt się nie poruszył, nikt nic nie powiedział. Jakby czas się nagle zatrzymał.

- Chodźmy stąd - powiedziałam w końcu, zaciskając pięści. Wszyscy energicznie i z ulgą ruszyliśmy ku wyjściu.

- Czy to pewne? - zapytałam jeszcze raz. Zwiadowca smutno kiwnął głową. Podziękowałam mu i pozwoliłam odejść.

- Zaczęło się więc - powiedział stojący obok mnie Vertus, dosłownie wyjmując mi to zdanie z ust.

- Zarządzam natychmiastową naradę dowództwa na dziedzińcu i postawienie całej Armii w stan gotowości. Proszę czekać na dalsze rozkazy - powiedziałam spokojnie do kilku niższych rangą dowódców, którzy zwyczajowo przebywali w pobliżu mnie, by przydać się właśnie w takiej sytuacji. Ci skłonili się i pobiegli szybko, by przekazać dalej moje zarządzenia. Odwróciłam się do stojącej za mną Drużyny. - Szykujmy się do bitwy - powiedziałam.

- Aido Nicoletto. - Vertus skłonił się lekko. - Chciałbym, żebyście ty i twoja Drużyna poświęcili mi teraz trochę czasu.

- Nie jestem pewna, czy mamy go na tyle. - Zmarszczyłam brwi, skinęłam jednak potakująco głową.

Vertus zaprowadził nas do niewielkiej sali, piętro niżej. Tam, na samym środku, powieszzone na manekinach, przygotowane były dla nas błyszczące, lekkie kolczugi,

naładowane Diveną tak, że delikatnie jarzyły się błękitnawym światłem.

- One są zdolne ochronić was przed wieloma niespodziewanymi ciosami wrogów. Teraz załóżcie je szybko - powiedział Vertus, mnie wskazując tę będącą na środku.

- Ona mnie przecież nie ochroni... - powiedziałam cicho, ale posłusznie pozwoliłam włożyć ją na siebie.

Z tyłu powiewała biała peleryna z wyhaftowanym Znakiem, jaki nosiłam na ramieniu. Taki sam Znak widniał z przodu kolczugi, wygrawerowany na srebrnej płytce. Znikąd pojawiło się kilka kobiet, niosących na jedwabnych poduszeczkach diademy członków Drużyny, broń i moje insygnia. Pozwoliłam włożyć sobie na skronie diadem, po czym delikatnie wzięłam z podusieczki broń i berło i zatknęłam je za wysadzany szlachetnymi kamieniami pas, podtrzymujący kolczugę. Na szczęście metal, z którego wykonane były te wszystkie rzeczy, był lekki, niemal nie odczuwaliśmy jego wagi.

Kolczugi były piękne i jednocześnie proste, ale i tak uważałam, że nie była to oprawa na bitwę. Nie mogłam jednak marudzić. Mój ród miał swoje tradycje i odmowa włożenia czegoś, co było przyszykowane na długo, zanim pojawiłam się na świecie, mogłaby ich bardzo urazić. Poza tym taka reprezentacyjność na przedzie Armii mogła dodać pewności siebie Wojownikom.

Nie mogliśmy zwlekać ani chwili dłużej. Vertus, w podobnej do naszych kolczudze, otworzył przed nami drzwi i ruszyliśmy pewnym krokiem na dziedziniec. Tam

czekali już dowódcy. Na mój widok stanęli w półkolu i skłonili się. Odpowiedziałam na ich ukłon, po czym wzięłam głęboki oddech i przemówiłam.

- Nadszedł moment rozpoczęcia walnej bitwy. Za chwil kilka staniemy naprzeciw wojsku naszego Wroga. Niech nie ogarnia was niepewność na widok przeciwnika, ale niech niezachwiana będzie wasza wiara. Niech waszych serc nie opanuje strach, ale niech jaśnieje wasza nadzieja. - Spoglądałam w oczy każdego z dowódców. Płonęły ogniem walki, odwagą i determinacją. - Od wieków przygotowaliśmy się do tej chwili. I nie możemy pozwolić, by to wszystko poszło na marne. By tyle dobrych istot zginęło w katuszach. Występujemy przeciwko Złu jako obrońcy niewinnych! Nasza czystość przeciw ich plugastwu! Nasza odwaga przeciw ich kręactwu! Prawda przeciw kłamstwu, Divena przeciw Złu! - Dowódcy wydali triumfalny okrzyk, ich twarze były twarzami prawdziwych Wojowników. - Znacie na wylot nasze plany taktyczne. W razie niepowodzenia czy wyjątkowych sytuacji losy bitwy powierzam wam.

Skłoniłam się i ruszyłam ku obozowi, przed którym już stały gotowe do wymarszu oddziały Armii Diveny.

Walka trwała od co najmniej dwóch godzin. Siły przeciwnika się wyczerpywały. Wiedziałam już jednak, że Sumer nie wykorzystał całego swojego wojska. Nie potrafiłam tylko zrozumieć, na co czeka. Czyżby chciał nas

osłabić? Bałam się, że wróg szykuje jakiś paskudny podstęp.

Wojna ze Złem z Czary Zła nie polegała tylko i wyłącznie na walce Diveną. Wszyscy Wojownicy musieli dbać o swoje wnętrza, by nie zagnieździły się w nich uczucia, które rodziłyby negatywne, złe owoce. Bowiem skoro mieliśmy występować w imieniu dobra, musieliśmy być dobrzy. I to nad tym pracowali przez wieki członkowie mojego rodu. Nad tym też musiałam czuwać osobiście, dodając otuchy, by nie rodził się strach, świecąc przykładem odwagi, by nie narodziło się tchórzostwo, wybaczać, by Wojownicy nie znienawidzili wroga mimo zła, jakie wyrządza. Dlatego też obawiałam się bardzo, że Sumer planuje coś, co złamać by miało dobre serca Wojowników.

Nagle rozległ się dziwny, niski odgłos jakby uderzenia bębna. Na ten dźwięk wszyscy słudzy naszego Przeciwnika zatrzymali się, zaprzestając walki, i jęli się wycofywać. Wojownicy jeszcze przez chwilę atakowali, ale zauważywszy, co się dzieje, zaczęli instynktownie łączyć się w większe grupy w oczekiwaniu na kolejny atak.

Drużyna skupiła się wokół mnie. Wszyscy ciężko oddychaliśmy i rozglądaliśmy się niespokojnie wokół siebie. Zupełnie nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Nagle tuż przede mną zamajaczyła znajoma już, zgniłozielona poświata, otaczająca otwierający się powoli portal między światami. Chwilę później stałam naprzeciw mego śmiertelnego wroga.

Nie czekając na zachętę z jego strony, uderzyłam Diveną. Zgiął się wpół, najwyraźniej nie spodziewał się ataku tak szybko. Nie odpowiedział jednak kontratakiem. Przygotowałam się więc do zadania kolejnego ciosu. Sumer jednak ze śmiechem odsunął się przed moich oczu. Nie rozumiałam jego zachowania. Przecież dążyliśmy do rozstrzygnięcia tej Wojny właśnie poprzez walkę między nami obojgiem - ucieleśnienie Zła przeciw Divenie Żywiołów, obrońcy dobra. Tymczasem, gdy wszystko wskazuje na to, że do tego rozstrzygnięcia ma właśnie dojść, mój przeciwnik uciekał? Nie, w to nie mogłam uwierzyć.

Nagle moje serce ogarnął strach. A co, jeśli mój śmiertelny wróg szykował jakiś podstęp? Jego nienawiść i zakłamanie nie znają granic. Moja wyobraźnia nie była w stanie objąć ogromu okrucieństwa Sumera. Z przestraszeniem spojrzałam przed siebie, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał mój Przeciwnik.

Zadrzałam. Odjęło mi mowę i poczułam, jak jakaś nieznana mi siła paraliżuje moje ruchy. Bezsilność, rozpacz, niedowierzanie, a przede wszystkim wściekłość wypełniły mnie w jednym momencie. Przede mną stał Mateusz. Choć nie miałam żadnej pewności, że to był on. Jego sylwetka była jakby potężniejsza i złowroga. Odziany w czarne szaty, przypominające stroje Strażników, które przydawały jego posturze ciężkości. W moją stronę spoglądały przepełnione szyderstwem i nienawiścią oczy o rubinowoczerwonych tęczówkach, żarzących się niczym węgle.

Zacisnęłam mocno powieki i spróbowałam się opanować. Widząc to, Sumer zaśmiał się kpiąco. Bardzo podobny jemu śmiech dobiegł z ust Mateusza. Otworzyłam oczy i spojrzałam na mojego ukochanego jeszcze raz. Stał tam nadal i śmiał się. W tym momencie dotarło do mnie, co Sumer mu zrobił. To już po prostu nie był on.

Ogarnęła mnie bezsilność, ale i strach, bowiem zdałam sobie sprawę z sensu, jaki tkwił w tym okrutnym podstępie. Miałam znienawidzić mojego Wroga za krzywdę, jaką mi wyrządził. Zapalać do niego nienawiścią tak potężną, by przestać logicznie myśleć i ponieść klęskę. Bo już samo to uczucie byłoby moją klęską. Dziedzic Diveny Żywiołów, stając do walki ze Złem, nie mógł odczuwać czegoś tak złego, bo to przeczyłoby naturze jego istnienia. Ja, Córka Żywiołów, nie potrafiłam nienawidzić. Ale ja - człowiek - mogłam. Moje dwie części przez tę nienawiść musiałyby się od siebie oddzielić, by się wzajemnie nie zniszczyć. A jeżeli tak by się stało, cały sens poświęcenia Żywiołów, oddania ich Diveny człowiekowi, zniknąłby, a świat opanowałoby Zło.

Z wielkim bólem walczyłam w swoim wnętrzu, zastanawiając się, czy ta walka nie będzie trudniejsza od tej decydującej, jaką miałam stoczyć z Sumerem. Po mojej twarzy pociekły łzy bólu. Gdy już wydawało mi się, że wszystko stracone, kiedy niemalże słyszałam, jak nienawiść oddzieliła od siebie moje dwie natury, usłyszałam delikatny dźwięk dzwoneczków i poczułam wypełniające mnie światło.

Powoli otworzyłam oczy, wiedząc, że mimo bólu i rozpaczki pokonałam nienawiść do mojego śmiertelnego wroga, przebacząc mu. Zaskoczenie na jego twarzy malowało się aż nadto wyraźnie. Z wściekłością zniknął mi z oczu, a ja w tym samym momencie poczułam, że Mateusz mnie atakuje.

Kamień Diveny odparł atak i zanim chłopak zdążył uderzyć drugi raz, znokautowałam go Diveną. Zadaliśmy sobie jeszcze kilka uderzeń, nim pojawili się wokół mnie członkowie Drużyny i kilku dowódców Wojska. Walka się kończyła, błagalnym wzrokiem spojrzałam więc na Angelo, a ten ze zrozumieniem wydał szybko rozkaz obezwładnienia Mateusza i uwięzienia go w pałacowych lochach. Chłopak bronił się zaciekle, nie dając za wygraną, Wojownikom jednak udało się w końcu opanować sytuację i wkrótce zniknęli mi z oczu. Obok mnie pozostał tylko milczący Angelo.

- Jak on mógł to zrobić... - szepnęłam po dłuższej chwili, kiedy już wokół było cicho. Nadal czułam na sobie zszokowany i współczujący wzrok Wojowników, którzy opuszczali pole bitwy.

- Poradziłaś sobie... - powiedział kuzyn delikatnie, po bratersku obejmując mnie ramieniem i starając się dodać otuchy.

Spojrzałam na niego i bez słowa przytuliłam się, szukając schronienia przed rzeczywistością. Chwilę tak staliśmy, bez słów wspierając siebie nawzajem. Przyjaźń mojego Wojownika była dokładnie tym, czego

potrzebowałam w tej chwili. Miałam jednak świadomość, że i on cierpi z powodu Mateusza. Cisza, jaka nas ogarnęła po koncercie wrzasków, pisków i zgrzytów, była niemal obca.

- Tak. Poradziłam sobie - powiedziałam w końcu, kiedy już opanowałam się na tyle, by ruszyć z powrotem do Pałacu. Otarłam z policzków łzy, pomieszane z pyłem z pola bitwy. Przed nami była co najmniej godzina marszu. Oczywiście mogliśmy się szybko tam przetransportować, ale wolałam przebyć drogę w tradycyjny sposób. Byłam wdzięczna Angelo, że zdecydował się mi towarzyszyć.

- Czy coś da się zrobić? - spytał chłopak powoli.

- To nie był on - powiedziałam, zaciskając wargi. Po chwili wymownej, ciężącej nam na sercach ciszy dodałam: - Nie wiem, co Sumer z nim zrobił, ale ten człowiek, z którym walczyłam, to nie był Mateusz.

- Ale może jest jeszcze szansa na ratunek?

- Nie wiem. Chciałabym mieć nadzieję, ale nie potrafię jej w sobie wykrzesać. - Spuściłam nisko głowę i szłam dalej. Angelo, dotrzymując mi kroku, nie odzywał się ani słowem.

Schyliłam się i uklęknęłam na kamiennej posadzce. Niedaleko moich kolan, za grubymi, wzmocnionymi Diveną kratami, leżał mój ukochany. Chłopak był ledwie żywy po walce, jaką stoczył z usiłującymi go pochwycić Wojownikami.

- Mateusz... - szepnęłam, próbując zapanować nad targającymi mną emocjami.

Zobaczyłam, że chłopak powoli otwiera oczy. Mimo ciemności tęczy w kolorze rubinu rozbłysły jakimś wewnętrznym blaskiem. Przez plecy przebiegł mi dreszcz, gdy usłyszałam głucho, słabe, ale jakże wrogie warknięcie, wydobywające się spomiędzy jego zaciśniętych szczęk.

- Ciebie już tam nie ma, kochany... - powiedziałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Rubinowe spojrzenie jakby się nasiliło, nim się zorientowałam, chłopak poderwał się resztką sił na równe nogi i mimo krat spróbował mnie zaatakować. Okratowanie jednak, naładowane Diveną, odrzuciło go z potężną siłą pod przeciwległą ścianę celi. Jego ciało powoli osunęło się na ziemię, na wykrzywionej bólem twarzy zobaczyłam raniącą moje serce wściekłość.

- Jak można być tak okrutnym? - szepnęłam cicho do samej siebie i powoli wstałam z klęczek. - Wybaczyłam ci, Sumerze, ale nigdy ci tego nie zapomnę.

Droga do mojej komnaty w Pałacu nigdy nie była dla mnie tak trudna.

- To, że nie ma już Mateusza, nie daje ci powodu do tego, by przestać myśleć o nas. Nie jesteś przecież sama!

Joasia starała się za wszelką cenę wyrwać mnie z szoku, w jakim tkwiłam jeszcze po brutalnym niemal przebudzeniu z nocnego koszmaru. Dantejskie sceny, jakie mi się przyśniły, sprawiły, że krzyczałam przez sen tak głośno, że pobudziłam chyba połowę mieszkańców Pałacu. Joasia

obudziła mnie, potrząsając mną mocno i chlapiąc mi twarz wodą, gdyż nie mogłam dojsć do siebie.

- Na litość, jesteśmy wszyscy przy tobie! - Nie dawała za wygraną, dopóki nie uznała, że jestem wystarczająco przytomna, by móc uwierzyć, że to, na co przed chwilą jeszcze patrzyłam, było tylko snem. Sama na środku piekielnego pustkowia, przed oczami mająca jedynie katowanego Mateusza, i niemogąca nic zrobić, nijak mu pomóc... Dzięki staraniom przyjaciółki sceny zaczęły się powoli zamazywać, a moi bliscy, prócz Joasi, udali się z powrotem do łóżek.

Spojrzałam na przyjaciółkę z wdzięcznością. Wyrwanie mnie z tego koszmaru to był nie lada wyczyn. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie. Powoli usiadłyśmy na fotelach, stojących przy oknie. Ktoś w międzyczasie zdążył przynieść w małym dzbanku gorącą herbatę i dwie filiżanki. Po kilku chwilach poczułam, jak do gardła spływa mi delikatny, ciepły płyn. Ziołowa herbata z melisą miała pomóc mi się uspokoić. O przyrządzenie napoju podejrzewałam mamę.

- Już dobrze? - spytała Joasia, widząc mój uśmiech. Sama już się uspokoiła, choć w jej oczach nadal widziałam troskę.

- Dziękuję ci - powiedziałam tylko.

- Nie dziękuj - odparła. - Musiałam coś zrobić, bo pobudziłabyś tym krzykiem całą Noribię. - Zaśmiałyśmy się obie. Przyjaciółka przyjrzała mi się z uwagą i zapytała: - Jak się czujesz?

- Sama nie wiem. Ten sen mnie zdruzgotał... - Spojrzałam za okno na świecące jasno gwiazdy i uśpioną stolicę u stóp góry Norib. - Przebolełam to, co stało się z Mateuszem... w jakimś stopniu. Staram się to trzymać z daleka od siebie, choć przeraźliwie boli. Jednak jestem dumna, ale i zaskoczona własną siłą. Udało mi się przebaczyć Sumerowi jego czyn i tym samym zniweczyć jego pokrętny plan sprowadzenia Dziedzica na stronę Zła. To byłaby klęska najgorsza z możliwych. Gorzej, niż gdybym po prostu zginęła w walce z jego ręki, przegrywając pojedynek... - dodałam w zamyśleniu.

Przyjaciółka patrzyła na mnie z niepokojem. Byłam jej wdzięczna za obecność przy mnie i za wsparcie.

- Proszę cię, zawsze pamiętaj, że jesteśmy przy tobie - powiedziała cicho. Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się przepraszająco.

- To raczej ja jestem od tego, by wspierać was - odparłam. - Nie mogę i nie potrafię myśleć wciąż tylko o sobie i o tym, co przeżywam. To nienaturalne. Wiem, że jesteście przy mnie i że mnie wspieracie, i jestem wam za to wdzięczna. Ale wiem, że nie jestem jedyną osobą, która cierpi po stracie Mateusza. On był członkiem Drużyny, naszym przyjacielem... Jest mi niesamowicie trudno mówić o nim w czasie przeszłym, jednak nie wiem, czy stan, w jakim jest teraz, da się jeszcze odwrócić... - Moje ściśnięte z bólu serce zadrzało.

Spuściłam wzrok na swoje kolana i zorientowałam się, że chusteczka, która leżała jeszcze kilka minut wcześniej

obok filiżanki z herbatą, teraz przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Pomięta, porozrywana na drobniutkie, poskręcane kawałeczki, walające się tu i ówdzie na moich kolanach i na podłodze. Joasia chwyciła moje dłonie, nadal mnące delikatny papier, i ścisnęła je mocno, a potem objęła mnie i przytuliła. Bez słów wyraziła to, czego potrzebowałam.

Niecałą godzinę później położyłam się i szybko zapadłam w niespokojny sen.

XXXVI

Nie miałam pojęcia, jak pomóc Mateuszowi. Wiedziałam tylko, że umiera. Nie jego dusza, której obecności i tak nie mogłam być pewna, ale jego ciało. To, co w niego włożył Sumer, wyniszczało go fizycznie. A ja czułam, że razem z nim umiera część mnie. Wiedziałam, że niewiele pozostało już czasu.

Powoli przestawałam wierzyć w to, że da się cokolwiek zrobić. Jednak mimo tego, że podczas kilku odwiedzin w lochach upewniłam się, że Mateusz już nie jest sobą, nie mogłam przestać zastanawiać się, jak znaleźć dla niego ratunek. To było rozpaczliwe poszukiwanie nadziei, której brak tak boleśnie mi doskwierał.

Mogłam spróbować się zwrócić o pomoc do Żywiołów. Było to jednak skrajnie niebezpieczne. Byłabym bowiem zmuszona przetransportować chłopaka do jaskini Żywiołów. Ale Mateusz, uwolniony z otoczonego Diveną więzienia, od razu by mnie zaatakował. Najbardziej obawiałam się nie samego ataku, ale tego, że to będzie ostatnia rzecz, jaką uda mu się zrobić. Patrząc jednak na niego, wiedziałam, że

jeżeli kiedykolwiek chcę tego spróbować, to jedyny i ostatni moment właśnie nadszedł.

Wojownicy nadal odpoczywali i pielęgowali rannych po kolejnej bitwie, która odbyła się zaledwie kilkanaście godzin wcześniej. Ja zaś, nie mówiąc nic nikomu, przemknęłam cicho do lochów, gdzie czekał na mnie Vertus, którego przywołałam. Gdy stanęłam obok niego, przy celi Mateusza, spojrzał na mnie smutno, ale i ze zrozumieniem.

- Więc jednak decydujesz się wypróbować ostatnią szansę - powiedział bardziej, niż zapytał. Moja odpowiedź była oczywista, więc nie odezwałam się wcale. - Tego się obawiałem, ale i miałem nadzieję, że się na to zdecydujesz - dodał po chwili mojego milczenia.

- To jest jego ostatnia szansa... - powiedziałam. - Moja zresztą też. Nie mogę jej nie wykorzystać. Nie wybaczyłabym sobie tego.

Vertus skinął tylko głową i dając mi gestem do zrozumienia, bym się przygotowała do teleportacji, otworzył celę chłopaka.

- Proszę, uważaj na siebie - powiedział z troską. - Będę czekał w sali tronowej.

Uśmiechnęłam się do niego, choć wcale nie było mi do śmiechu. Spojrzałam na leżącego pod przeciwległą ścianą Mateusza i zobaczyłam, że się przebudza. Mimo jego osłabienia wiedziałam, że nie można go lekceważyć. Jednak, aby go ze sobą teleportować, musiałam mieć z nim kontakt fizyczny. Nie wahając się dłużej, podeszłam do niego i chwyciłam zdecydowanie za ramię. Poczułam, że tracę

grunt pod nogami pod działaniem procesu teleportacji. Chłopak spróbował się mi wyrwać. Nie puściłam go jednak, dopóki nie znaleźliśmy się w wejściu do jaskini Żywiołów.

Mateusz rzucił się w najodleglejszy ode mnie kąt, nieświadomie, a bardzo szczęśliwie dla mnie zmierzając w głąb jaskini. Powoli podążyłam za nim, patrząc, jak sukcesywnie się cofa. Wprawdzie nie był dłużej otoczony kratami naładowanymi Diveną, lecz sama moja obecność, kiedy był tak osłabiony, była widać dla niego bolesna.

Wreszcie dotarliśmy oboje do właściwego wnętrza jaskini. Ostrożnie rozejrzałam się wokół siebie. Urok tego miejsca zaparł mi dech w piersiach. Będąc tu wcześniej tylko raz, zapamiętałam to miejsce jako jedno z najpiękniejszych, jakie odwiedziłam. Jednak rzeczywistość okazała się o wiele piękniejsza od moich najpiękniejszych wspomnień. Kątem oka dostrzegłam, że w źródleku na środku jaskini zaczyna tworzyć się, jak poprzednio, kula światła. Przez chwilę zabłysła we mnie maleńka iskierka nadziei.

Moje chwilowe zamyślenie, mimo ostrożności, zostało wykorzystane przez Mateusza. Chłopak ostatkiem sił rzucił się w moim kierunku, atakując. Jeszcze zanim go odepchnęłam, zobaczyłam w ułamku sekundy coś, co zapalony przed chwilą płomień nadziei od razu ugasiło. W oczach chłopaka dostrzegłam bezbrzeżną nienawiść. Tak przerażającą i tak głęboką, że zadrżałam. W jednej chwili zrozumiałam, że tylko wydawało mi się, że przebolełam stratę mojego ukochanego. Że odsuwanie i tłumienie całego

gromadzącego się we mnie bólu jest tylko chwilowym i do tego bardzo ryzykownym rozwiązaniem.

Nie pozwoliłam, by mnie uderzył, mocno odpychając go Diveną. Mateusz jednak nie dał za wygraną i zaatakował ponownie, choć z mniejszą siłą. Nie miał ze mną żadnych szans, jednak nie dawał mi jednocześnie możliwości na zwrócenie się do Żywiołów. Świetlista kula unosiła się powoli nad źródłem, rozświetlając fantazyjnym blaskiem wnętrze całej jaskini. Niemal ze łzami w oczach odparowałam kolejny cios chłopaka, bojąc się, że tym razem już go zabijam. Ja, która kochałam go tak bardzo, że byłam gotowa oddać za niego życie. Mimo niebezpieczeństwa przybyłam tu z nim, by wypróbować ostatnią deskę ratunku, a on nie pozwalał się ratować.

Nie. Przecież to nie jest Mateusz – poprawiłam siebie w myślach. Chłopak tymczasem, ostatkiem sił, podniósł się na nogi. Widziałam, że już ledwo się trzyma, jednak nienawiść w jego oczach nie zelżała ani na chwilę. Zaatakował. Z ciężkim sercem uderzyłam go raz jeszcze. Chłopak, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, wpadł prosto do źródlanej sadzawki. I wtedy stało się coś, czego nie oczekiwałam.

Ciało tylko na chwilę zanurzyło się w wodzie, bo już kilka sekund później uniosło się na wysokość świetlistej kuli, drżąc w konwulsjach. Wokół rozległ się znajomy dźwięk dzwoneczków, a kula światła wniknęła w Mateusza. Chłopak zaczął opętańczo wrzeszczeć i rzucać się, jednak nieznaną siłą nadal trzymała go mocno w powietrzu.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak zaczyna wychodzić z niego jakby duch pod postacią płomieni ognia. I usłyszałam, że teraz krzyczy już nie jednym, ale dwoma głosami.

Świetlista kula opuściła ciało Mateusza, atakując delikatnym jak nić promieniem obcego ducha, którego Sumer musiał umieścić w ciele mojego ukochanego. Płomienie nabrały białej barwy i rozpierzchły się, znikając. Krzyk umilkł, a chłopak z pluskiem wpadł do wody.

Rzuciłam się w jego kierunku, mając nadzieję, że jeszcze żyje. Jasna kula, wisząca nad nim, zapulsowała. Spojrzałam na nią z wdzięcznością. Wiedziałam, że nie potrzebuję używać słów, by podziękować. Zresztą, nie umiałabym słowami zrobić tego należycie. Uśmiechnęłam się więc tylko, a kula znów zapulsowała i znikła, a wraz z tym umilkł dźwięk dzwoneczków.

Szybko stanęłam nad Mateuszem i, chwytając go pod ramiona, pomagając sobie Diveną, wyciągnęłam go z wody, układając delikatnie na skalistym dnie jaskini. Przyłożyłam mu drżącą dłoń do czoła, delikatnie dotknęłam szyi w miejscu, gdzie powinien być wyczuwalny puls. Nie czując go jednak, szybko przyłożyłam ucho do jego piersi, z drzeniem wyęzając słuch. I nagle, w ogarniającej nas ciszy, przerywanej tylko delikatnym szumem wody, usłyszałam najpiękniejszy i najbardziej pożądany przeze mnie dźwięk – bicie jego serca.

Podniosłam się i ostrożnie przetransportowałam go przed jaskinię, na słońce, gdzie znów ułożyłam na ziemi

i spróbowałam ocucić. Wreszcie chłopak poruszył się i z trudem otworzył oczy. Zadrżałam i pozwoliłam sobie utonąć w ich zieleni. Chwyciłam jego dłoń, którą delikatnie ścisnął. Widziałam, że był dezorientowany, jakby zupełnie nie wiedział, gdzie jest i co się stało. Jednak gdy patrzył na mnie, dostrzegałam w jego oczach miłość.

Uśmiechnęłam się do niego, lecz jego obraz nagle mi się zamazał... Po policzkach spłynęły mi gorące łzy. Chłopak delikatnie się uśmiechnął. W chwilę potem jakby przestał nagle mnie zauważać, zrobił się śmiertelnie blady i stracił przytomność. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z bezmiaru mojej głupoty. Chwilę wcześniej walczyliśmy, Mateusz był bardzo poraniony i mógł w każdej chwili wykrwawić się na śmierć. Niewiele myśląc, teleportowałam się wraz z nim do sali tronowej Pałacu. Vertus już czekał. I był przygotowany do niesienia ratunku.

Joasia i Michele obudziły mnie na trzy godziny przed świtem, mocno zdenerwowane. Gdy tylko się ubrałam i wyszłam do pokoju, w którym przyjmowałam gości, zastałam tam niecierpliwie oczekujących mojego pojawienia dowódców Armii Diveny. Od razu poinformowali mnie, że wróg znów wszczął atak. Wojownicy formowali się już w szyk bojowy i czekali tylko na wyjście Drużyny, by stanęła na ich czele.

Kolejna bitwa, po której Wróg się znowu wycofa, czy też w końcu staniemy przed rozstrzygnięciem Wojny? Jeśli Zło znów zacznie uciekać, będę musiała temu zapobiec.

Nadszedł czas, by rozstrzygnąć tę walkę. Nie mówiąc nic, ruszyłam, by się przygotować. Z sercem na ramieniu zakładałam ubranie i kolczugę, włożyłam na głowę diadem, a za pas wetknęłam niewielkie berło i swoją broń. Spojrzałam na pozostałych członków Drużyny. Byli już gotowi i czekali na mój znak.

- Kochani... to już teraz. Myślę, że tym razem wszystko się rozstrzygnie. Dziękuję wam za waszą obecność, za to wszystko, co robiliśmy razem. Dziękuję za te piękne więzi przyjaźni, jakie się między nami zrodziły. Te dary są bezcenne. Niech one będą naszą pociechą i motywacją w walce. Razem pokonamy Sumera i jego wojsko. Za nami pójdą Wojownicy.

Przyjaciele spoglądali na mnie, jednocześnie pełni odwagi i pewni siebie, ale też spięci i zdenerwowani. Być może po raz ostatni widzieliśmy siebie nawzajem. Nie było wiadome, co się stanie podczas walki. Przecież jednego z nas już zabrakło... Wzdrygnęłam się lekko, kiedy poczułam na ramieniu czyjąś dłoń.

- Idź do niego - powiedział półgłosem Angelo. Pozostali tylko skinęli głowami.

Spojrzałam na mojego Wojownika z wdzięcznością. Powiedział to, czego najbardziej potrzebowałam. Zasugerował, abym jeszcze raz spojrzała na Mateusza. Być może żegnając się z nim.

Siedziałam przy nim całą noc, strzegąc wraz z Vertusem tej ostatniej iskielki życia, która się w nim tliła. Kolejne dni miały być dla niego krytyczne. Jedynym pocieszeniem dla

mnie w tej sytuacji była świadomość, że znów jest sobą, że Żywiołom udało się uwolnić jego duszę spod władzy demona, którego Sumer włożył w jego wnętrze. Dopiero przed pięcioma godzinami Vertus zmusił mnie, bym poszła się przespać. I miał rację; gdyby nie ten krótki sen, nie byłabym zdolna stanąć na czele wojska. Ale nie mogłam też iść tam, nie pożegnawszy się z ukochanym.

Szybkim krokiem podążyłam do komnaty, w której leżał Mateusz. Vertus stał przy jego łóżku, gorączkowo tłumacząc coś dwóm obecnym tam kobietom. Rozpoznałam w nich opiekunki rannych w głównym szpitalu w Noribii. Najwyraźniej Vertus zostawiał chłopaka ich pieczy.

Kiedy tylko zostałam zauważona, obie kobiety, skłaniając się lekko, odsunęły się, umożliwiając mi dostęp do łóżka. Bez słowa podeszłam, przyklękłam przy jego brzegu i dotknęłam dłonią wymizerowanej twarzy Mateusza. Mój narzeczony nawet nie drgnął. Był przeraźliwie zimny.

- Okryjcie go czymś jeszcze! - rzuciłam, odwracając się do stojących za mną. - Zróbcie coś, proszę... - Poczułam, że Vertus kładzie mi rękę na ramieniu.

- Aido Nicoletto... Justynko...

- Jest jeszcze szansa? - zapytałam drżącym głosem.

- Niewielka - odparł powoli, choć miałam świadomość, że kłamie, chcąc dodać mi otuchy. Jedna z kobiet okryła Mateusza. - Powinniśmy już iść.

Skinęłam głową. Vertus ruszył w kierunku wyjścia. Odwróciłam się jeszcze raz do Mateusza.

- Kocham cię... - szepnęłam do jego ucha i delikatnie pocałowałam go w policzek, po czym szybko ruszyłam za swoim Przodkiem.

Nie można było dłużej zwlekać. Walna bitwa musiała zostać rozstrzygnięta.

Słońce jeszcze nie wstało. Pole bitwy oświetlały tylko jasne promienie Diveny i płomienne ataki przeciwników. Efekt był porażający. O wiele pewniej szłaby Wojownikom walka w świetle dnia. Sumer zapewne celowo tę właśnie porę wybrał na atak.

Ruszyłam do przodu. Wokół trwała bitwa, moje uszy jak miecz przeszywał dobiegający zewsząd ostry, do głębi przenikliwy pisk i kakofonia zgrzytów. Te odgłosy niesamowicie przeszkadzały się skoncentrować walczącym Wojownikom. Tak bardzo chciałam im pomóc, jednak wiedziałam, że nie potrafię. Jedynym sposobem na zakończenie tego wszystkiego było definitywne pokonanie Sumera. Nie można było zrobić nic innego i od samego początku zdawałam sobie z tego sprawę.

Gdzieś w głębi mojej duszy zapadła już decyzja, by doprowadzić do walki twarzą w twarz z moim największym wrogiem. Moment był idealny. Nie miałam nic do stracenia... prócz życia. Ale od kiedy mój wróg zniszczył to, co było mi najdroższe, nie zależało mi już tak bardzo na własnym istnieniu. Zmienił wnętrze mojego ukochanego w przesycone złem wnętrze potwora. Teraz chłopak, mimo że uwolniony od demona, umierał. Paradoksalnie Sumer,

zamiast utrudnić mi decyzję, która miała doprowadzić do konfrontacji, ułatwił mi ją. Rozpacz, jaka mnie wypełniała, podsyciała moją determinację.

Parłam do przodu, do miejsca, gdzie stał Sumer. Przeciwnik szybkimi ruchami dłoni porażał Wojowników zgniłozielonymi błyskawicami. Był całkowicie opanowany, atakował jakby od niechcienia. Mimo że wyglądał na niepokonanego, nie bałam się go. Torując sobie drogę w kierunku swego przeznaczenia, wciąż miałam przed oczami umierającego Mateusza.

Nagle poczułam ból, jakby coś we mnie pękło. I zorientowałam się, że nie czuję już obecności Mateusza, jaką czułam nieustannie, odkąd przekazałam mu Divenę. Zamarłam. Czyżby...

- Nie! - wrzasnęłam głośno, wznosząc wzrok w niebo. I to mnie uratowało. Bo gdybym spojrzała na Sumera, niechybnie zapalałabym nienawiścią, którą już od dawna próbował we mnie wzniecić.

Drżałam na całym ciele. Spojrzałam w kierunku swego wroga. Dostrzegł mnie i uśmiechnął się. Zapewne domyślił się, co spowodowało moją reakcję.

- Żywioły, przybądźcie! - krzyknęłam jeszcze raz w niebo. - Niech nadejdzie obiecana przez was pomoc! I niech wzmocni Armię!

Rozległ się dźwięk dzwoneczków, słyszalny dla wszystkich. Zerwał się wiatr, niosąc ze sobą drobinki ziemi i deszczu, a zza szczytów gór padły na nas pierwsze promienie o wiele za wcześnie wschodzącego słońca.

Bardziej czułam, niż obserwowałam, że Wojownikom przybywa sił. Nieustannie parłam dalej, w kierunku Sumera.

Pan Czary Zła spoglądał na mnie, czekając, aż się zbliżę. Nie uczynił żadnego ruchu, jego spojrzenie jednak mówiło wszystko. Nienawiść i pogarda, jaka z niego wyzierała, była dla mnie jak obelga. Staliśmy naprzeciw siebie dłuższą chwilę, jakby nie zauważając toczącej się wokół nas bitwy.

Wtedy Sumer zaatakował. Nie byłam przygotowana na tak silny cios. Na szczęście Kamień Diveny zdołał mnie obronić. Upadłam jednak kilka metrów od Sumera, który zaśmiał się szyderczo.

- Jesteś przekonana, że tego chcesz, o wielki Dziedzicu Diveny? - mówiąc to, uderzył we mnie jeszcze raz. Tym razem odparowałam atak.

Walczyliśmy długo, porażając siebie nawzajem, odparowując ciosy i znów atakując. Czułam, że robię się coraz słabsza. Sumer wydawał się natomiast wychodzić z walki zupełnie bez szwanku. Owszem, widziałam, że moje ataki godzą w niego i zadają mu ból. Jednak wydawał się nie męczyć. Podejrzewałam, że była to tylko zagrywka z jego strony, bym uwierzyła, że nie dam rady go pokonać.

Ponownie upadłam. Ale nie na długo pozostałam dłużna Sumerowi. Niestety coraz częściej w mojej głowie tłukła się myśl, że ta walka nie ma sensu. Owszem, zadajemy sobie ból. Owszem, pozbawiamy co jakiś czas przeciwnika siły i zdolności do walki. Ale rozgrywka jest tak bardzo

wyrównana, że mogłaby tak trwać do końca świata i nie zostałyby rozstrzygnięta.

I wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że istnieje jedno jedyne rozwiązanie. Wiedziałam już, jakim sposobem mogę pokonać Sumera. Gdzieś w moim wnętrzu usłyszałam głos Żywiołów, który mówił, że by pokonać Zło, muszę historię Diveny zakończyć tak samo, jak się ona zaczęła. Przeciwnik atakował błyskawicami. Musiałam więc dać się jedną z nich zabić. Wtedy historia zatoczy krąg i znajdzie rozwiązanie.

Przez myśl przemknęły mi twarze moich najbliższych. Mama, tato, babcia, moje rodzeństwo, wuj Dominik, Kasia i Filip, Vertus, Angelo, Joasia, Mateusz... Poczułam, jak łza spływa mi po policzku.

- To dla was... - szepnęłam, po czym powstrzymałam Kamień Diveny przed odbiciem śmiertelnej błyskawicy, ciśniętej w tym samym momencie przez Sumera...

Ogarnął mnie paralizujący ból... Wszystko zaczęło rozmazywać się i zatracać kształty. Wszechogarniające cierpienie miało odcień szkarłatu... I jeszcze ten zapach. Tak wstrętny, tak... odrętwiający. Każdą część, każdą komórkę mojego ciała przeszywał ból nie do zniesienia. Krzyczałam, ale nie słyszałam własnego krzyku, nie mogłam opanować mojego drżącego w konwulsjach ciała. Nie panowałam już nad niczym.

Niespodziewanie ból zelżał.

Co się stało? Dlaczego ja tutaj... Dlaczego ja to czułam?! Coś było nie tak... To nie tak miało być! Przecież

miałam po prostu... zniknąć. Umrzeć. Przestać istnieć, wraz z Diveną. Tak samo jak wtedy, gdy powstała, tak samo teraz miała zniknąć, wraz z moim istnieniem.

Skąd ten ból? Skąd ten zapach? Nie rozumiałam... Nie byłam w stanie pojąć... Przecież... Przecież powinnam nie żyć.

I wtedy wszystko ogarnęła ciemność.

Tkwiłam w nicości. Nawet ja nie istniałam, choć przecież... byłam... nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Czy to była Otchłań? Więc jednak przegrałam walkę... Tylko gdzie są pozostali? Czy i moi najbliżsi zostali tak srogo ukarani? Ciemność była jakby lepka, ogarniała mnie nieustanna bezsilność.

Czas zdawał się stać w miejscu, jedyne, czego byłam świadoma, to moje myśli.

Nagle dostrzegłam światło. Uznałam, że musiało mi się ono przywidzieć. Skąd bowiem w nicości Otchłani światło? Przez chwilę czułam nadzieję, ale bałam się, że to może być tylko przywidzenie. Pragnienie zbliżenia się do światła było jednak we mnie mocniejsze, niż myślałam. Choć niczego nie kontrolowałam, czułam, że zmierzam w tamtym kierunku, jakby ciągnęła mnie tam tylko moja wola. Ku mojemu niedowierzaniu zaczęłam zbliżać się do jasnej łuny.

Powoli wynurzałam się z gęstej ciemności. Kiedy byłam już na tyle blisko, by uwierzyć, że to, co widziałam, nie było tylko przywidzeniem, poczułam ogarniający mnie ból. Krzyknęłam. To znaczyło, że jednak jestem nadal w swoim

ciele. Świadomość posiadania kolejnych jego części była bardzo dotkliwa.

Chwilę trwało, nim z ogromnym wysiłkiem zdołałam unieść powieki. Oślepiła mnie jasność, więc zamknęłam je znowu. Podjęłam jednak kolejne próby, powoli oswajając się ze światłem. Wolno uniosłam do oczu obolałą rękę i dłonią dotknęłam swoich powiek. Wszystko było ze mną w porządku, tylko każda część ciała przejęta była bólem.

Usłyszałam wokół siebie szmery, nie wiedziałam jednak, co one mogą oznaczać. Po raz kolejny powoli uniosłam powieki i...

- Najdroższa... - Usłyszałam wyraźniej, spoglądając na twarz Mateusza.

Przetarłam jeszcze raz oczy. Nie mogłam się mylić. To naprawdę był on. A obok niego stali moja mama, tato, babcia, Vertus i cała Drużyna. Wszyscy byli zatroskani, ale uśmiechnięci.

Wciągnęłam głęboko powietrze i nie mogłam powstrzymać już cisnących się do oczu łez. Moim ciałem wstrząsnął szloch. Ci, których kocham, żyją i mają się dobrze! I Mateusz... Przecież ja czułam, jak odszedł... Co się stało? Nie rozumiałam, ale nie to było teraz najważniejsze... Drżałam, płacząc i czułam jednocześnie, jak ból w całym moim ciele powoli ulatnia się i znika. Mateusz delikatnie objął moje dłonie i złożył na nich pocałunek. Po tym, co nas spotkało, nie wierzyłam, że kiedykolwiek jeszcze poczuję jego dotyk.

- Dziękuję - powiedziałam do mojego Przodka, kiedy podtrzymując mnie lekko, wprowadził mnie do białej sali narad i usadowił na fotelu u szczytu stołu. Przy jego jasnym blacie siedziała już cała Rada Diveny. Drużyna weszła do środka zaraz za mną.

Kiedy wszyscy już zajęli swoje miejsca, mogliśmy wreszcie rozpocząć obrady.

- Szanowna Rado, droga moja Drużyno Diveny - zwróciłam się do zebranych. Mój głos był pewny, choć czułam się jeszcze bardzo osłabiona. - Spotykamy się tutaj w jakże radosnym dla mnie dniu, kiedy mocą Żywiołów zostałam przywrócona do życia. Wiem, że wiele trosk przydałam wam swoją pozorną śmiercią. Nawet ja jednak, kiedy już wiedziałam, że muszę ofiarować swoje życie, by pokonać Sumera, nie przypuszczałam, że tak to się wszystko skończy. Tak właśnie - powiedziałam głośniejszym głosem, widząc zaskoczenie na twarzach zebranych - celowo w czasie bitwy nie odparłam ataku Sumera. Jak zapewne wielu z was wie, lub widziało, moja walka z naszym śmiertelnym wrogiem była bardzo wyrównana. Gdy zdałam sobie z tego sprawę, nadszedł właściwy moment, by Żywioły zdradziły mi tajemnicę. Tajemnicę, którą aż do tej pory utrzymywały w sekrecie. A była to broń. Jedyna, jaką mogłam pokonać Sumera. Historia Diveny musiała zatoczyć krąg i wrócić do miejsca, w którym się zaczęła. Musiałam oddać swoje życie. Pozwolić się uderzyć błyskawicą, tak jak błyskawicą uderzona została matka Vertusa. I umrzeć, tak jak i ona umarła, by Divena mogła zaistnieć wśród ludzi.

Nie myślałam o sobie, myślałam tylko o was... o tych, których kocham. I czułam, że wasze życia są dla mnie o stokroć ważniejsze niż moje własne. Nie zastanawiałam się więc długo nad decyzją, ale ofiarowałam siebie... - Przerwałam na chwilę i spojrzałam na siedzącego przy drugim końcu stołu Przodka. Spojrzał na mnie z dumą i radością. - Resztę niech opowie Vertus.

Wywołany skinął powoli głową i odczekał chwilę, aż między zgromadzonymi opadnie napięcie. Wrażenie, jakie zrobiłam na nich swoimi słowami, było porażające. W ich oczach widziałam nieskrywane przerażenie, mieszające się z radością i podziwem. Przodek podniósł się powoli ze swojego miejsca, a gdy oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, kontynuował moją opowieść.

- Przyznam się, że zamarłem na chwilę, kiedy zobaczyłem, jak Aida Nicoletta, Dziedzic Diveny, Córka Żywiołów, zostaje pokonana przez Sumera. Moje serce zadrżało. Ale wtedy zauważyłem, że jej ciało uniosło się w powietrze i jak lustro odbiło błyskawicę. Kamień Diveny zajaśniał, a Sumer, uderzony odbitym ciosem, krzyknął. Twarz wykrzywiła mu się w okropnym grymasie, aż wreszcie jego ciało rozpadło się w proch. Był to ten sam moment, kiedy słudzy Zła stali się niezdolni do walki. Zaczęli tracić kształty i rozpadać się wśród zgrzytów i wrzasków. Wojownicy złękli się, a wielu przybiegło tam, gdzie jeszcze przed chwilą walczyła ich przywódczyni. Również i Drużyna szybko zbiegła się w miejsce, gdzie na zroszonej krwią trawie leżała Aida Nicoletta. Niewiele

myśląc, przenieśliśmy ją do Pałacu. W pewnym momencie coś tknęło mnie, bym poszedł zobaczyć, co z Mateuszem. Był to ostatni moment na uratowanie go. Zabrałem od Dziedzica Kamień Diveny i słuchając poleceń Żywiołów, które zaczęły do mnie przemawiać, zwróciłem chłopakowi życie. Jego ciało było już martwe. Jednak było coś, co łączyło go jeszcze z tym światem. Divena mogła przywrócić go życiu, gdyż została mu przekazana przez Aidę Nicolette w czasie Próby.

Niektórzy z członków Rady z zaciekawieniem spoglądali w kierunku mojego narzeczonego. Vertus odetchnął głęboko i mówił dalej:

- Przez ponad dobę ciało Córki Żywiołów nie dawało żadnych oznak życia, ale w jakiś sposób byliśmy pewni, że nie było też martwe. Nie wiedzieliśmy, czy to już koniec, czy możemy jakoś jej pomóc, czy może tak to wszystko ma się skończyć... Nagle, kilka godzin temu, Divendi zapulsował delikatnie Białym Ogniem i w chwilę później Córka Żywiołów z trudem otworzyła oczy. To jest cud! Wojna została wygrana! Sumer zginął. Zło z Czary Zła zostało pokonane, a oddane przez wzgląd na miłość życie zostało zwrócone.

Z jego ciemnoniebieskich oczu, ku zaskoczeniu wszystkich, popłynęły łzy. Podniosłam się i mimo osłabienia podeszłam do niego. Objął mnie i przytulił.

- Dziękuję ci - powiedział. Ja tylko uścisnęłam go mocniej.

W sali tymczasem rozległy się oklaski i okrzyki radości. Każdy z członków Rady podchodził i przytulał mnie, usłyszałam wiele ciepłych, płomiennych słów i podziękowań, żarliwych zapewnień o dumie i szacunku. Wkrótce potem wraz z Vertusem wyszłam przed wielką bramę Pałacu, gdzie oczekiwały nas tłumy Wojowników. Na mój widok rozległ się triumfalny okrzyk radości. Zostałam z nimi przez jakiś czas, ale zmęczenie i wyczerpanie dawało mi się we znaki. Gdy więc pierwsza euforia i poruszenie minęły, poszłam zdrzemnąć się trochę do swoich komnat. Nie mogłam jednak zasnąć, po godzinie leżenia podeszłam więc do okna i trwałam tak dłuższą chwilę w zamyśleniu.

Co teraz będzie? Miałam tu zostać i już na wieki, pławiąc się w szczęściu i triumfie, rządzić Wojownikami? Nie było to takie znowu nieprzyjemne rozwiązanie. Ale miałam życie do przeżycia. I nie zamierzałam z niego zrezygnować. Było jednak jeszcze coś, co mnie zastanawiało. Zło zostało pokonane, jednak, jak przekonałam się, gdy tylko doszłam do siebie, Divena Żywiołów nie opuściła ani mnie, ani też żadnego z Wojowników. Musiałam dowiedzieć się, co to oznacza.

Kula światła, unosząca się nad źródłem, zapulsowała lekko. Uśmiechnęłam się w jej kierunku, ciesząc oczy pięknymi barwami, jakimi mieniła się jaskinia Żywiołów. To tu dowiedziałam się, kim jestem, tutaj też Mateusz został uwolniony spod władzy demona, którego Sumer włożył

w jego ciało. Piękne miejsce, pełne najpiękniejszych wspomnień.

- Córko nasza! - Usłyszałam. - Cieszymy się, że tu jesteś.

- I ja się cieszę - odparłam. - Przyszłam podziękować wam za to, że zwróciliście mnie życiu.

Przez chwilę słychać było tylko dzwoneczki. Jakby było coś, nad zdradzeniem czego Żywioły dopiero się zastanawiały. Po chwili usłyszałam:

- Byłaś od początku przeznaczona na śmierć, Aido Nicoletto.

Moje wnętrze zadrżało. Co w takim razie tu robiłam?

- Nie bój się, nie każemy ci raz jeszcze oddać swojego życia. Jednak to, co usłyszałaś przed chwilą, jest prawdą. Nie spodziewaliśmy się jednak tego, że cię pokochamy... Kiedy postanowiliśmy, że człowiekowi oddamy naszą Divenę, by pokonał Zło, wiedzieliśmy, że to ofiarność do końca z jego strony będzie ceną za sukces w walce. Bezinteresowne oddanie życia z miłości ma siłę tak wielką, że pokonuje wszelkie Zło. Jednak twoja dusza była tu z nami bardzo długo. Zakochaliśmy się w naszym dziecku. A widząc, jak dobrym człowiekiem się stałaś, nasza miłość tylko wzrosła. Dlatego nie mogliśmy tak po prostu dać ci umrzeć. Ryzykowaliśmy przegranie walki, ale to było silniejsze. I udało się. Wydobyliśmy twoją duszę z nicości i zwróciliśmy światłu.

Plakałam. Z wdzięczności i z radości. Wreszcie mogłam odetchnąć. Wypełniłam swoje zadanie i od tej chwili

mogłam po prostu być szczęśliwa.

- Dlaczego nadal mam Divenę? - zapytałam jeszcze.

- Jest ona z tobą nierozzerwalnie zespolona. Jest jednak ważny powód, dla którego nie chcemy zabrać jej Wojownikom. Sumer został pokonany. Lecz ludzie mieszkający w Głównej Czasoprzestrzeni nie przestaną z tego powodu czynić zła. Zadanie dla twojego rodu polega teraz na tym, by starać się nie doprowadzić do jego ponownego nagromadzenia. Czary Zła już nie ma. Tak samo jak czasoprzestrzeń, w której znajdował się Świat Zła, została unicestwiona. Jednak strzec trzeba Głównej Czasoprzestrzeni przed pojawieniem się kogoś, kto mógłby pokusić się o wskrzeszenie dzieła Sumera. To jest zadanie dla was. Demony Zła bowiem nie śpią.

- A więc nasza historia wcale się nie kończy... - powiedziałam cicho.

- Jedynie zatoczyła krąg. Nie wiemy, czy przyjdzie nam zatoczyć go jeszcze raz. Ale teraz już zawsze będziemy z tobą.

- Wracam do Głównej Czasoprzestrzeni - powiedziałam.

- Przeżyj swoje życie jak prawdziwie dobry człowiek. Bądź dla innych przykładem, ale nie zaniedbuj tu swoich obowiązków jako Dziedzic. Bo nim na wieki pozostaniesz.

Dźwięk dzwoneczków umilkł, kula światła zanurzyła się w źródle i rozproszyła w maleńkie iskierki. Z ciężkim sercem wstałam i powoli wyszłam z jaskini. Spojrzałam na góry, las i brzeg oceanu u moich stóp i uśmiechnęłam się. To był mój dom. Ale życie biegło dalej. Wiedziałam, że co

jakiś czas będę musiała tu zawitać. Jako władczyni tej krainy miałam wobec niej mnóstwo obowiązków. Jednak na razie moje myśli zaprzętały tylko powrót do normalnego życia.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powtórzyłam po raz kolejny, znużona już lekko po całym dniu tak niezwykle ważnych przeżyć. Gdy wszystkie gratulacje i życzenia zostały już złożone, poprawiłam fałdy białego materiału, by nie przeszkadzały mi w chodzeniu, i ujęłam ramię Mateusza. Chłopak poprowadził mnie pod namiot w ogrodzie wuja Dominika, gdzie ustawione były stoły, a także parkiet przeznaczony do tańca.

Goście rozsunęli się, robiąc nam miejsce, a Mateusz z galanterią poprosił mnie do tańca. Popłynęły dźwięki muzyki, granej przez kameralną orkiestrę, a ja popłynęłam lekko w tańcu po parkiecie, prowadzona przez mojego świeżo poślubionego męża. Serce skakało mi z radości. Kątem oka widziałam, jak do tańca ruszyli nasi rodzice, świadkowie - Joasia i Angelo, oraz wuj Dominik, który porwał do tańca moją babcie.

Spojrzałam na Mateusza, który uśmiechnął się ciepło i delikatnie mnie pocałował, po czym powiedział cicho:

- To jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Przytuliłam się do niego mocniej, pytając jednocześnie:

- A to nie było wtedy, kiedy Żywioły przywróciły mnie do życia?

- To też. - Uśmiechnął się. - Powiedzmy więc, że jest równie szczęśliwy. Teraz też przecież oboje zaczynamy nowe życie. Razem na zawsze, moja najdroższa żono...

Długo jeszcze tańczyliśmy z gośćmi, którzy praktycznie nie pozwalali nam być razem. Wreszcie nadszedł czas przeniesienia się do Świata Żywiołów. Tam czekał nas kolejny ceremoniał. Połączenie naszego wesela z koronacją. Nie mogliśmy ominąć tej uroczystości, gdyż Wojownicy czekali na nią od trzech lat, odkąd wygraliśmy wojnę z Sumerem. Mimo zmęczenia nie miałam też serca pozbawiać mojej rodziny widoku ich władczyni w dniu ślubu. Wiedzieliśmy, że niezwykle im na tym zależy.

Przewidując, że uroczystości w Świecie Diveny potrwać dość długo, zapowiedzieliśmy wujowi Dominikowi, że wrócimy kolejnego dnia, by wyjechać w podróż poślubną. Oddaliliśmy się wraz z Wojownikami nieco od namiotu i teleportowaliśmy się do Świata Diveny.

Uroczystości koronacyjno-weselne były dopięte na ostatni guzik. Gdy wreszcie dobiegły końca, byliśmy wycieńczeni. Przebraliśmy się więc i nic nikomu nie mówiąc, teleportowaliśmy się we dwoje do jaskini Żywiołów. Tam dopiero, przy kojącym dźwięku dzwoneczków, dane nam było odetchnąć.

- Nie przypuszczałem, że ślub z tobą może być tak męczący - powiedział Mateusz, spoglądając na mnie z iskierkami rozbawienia.

- Uważaj, do kogo mówisz. - Podniosłam dumnie głowę.
- Jestem Justyna Aida Nicoletta Divendi Carmento Wersel,

królowa tego świata.

- Moja ukochana żona... - szepnął, całując mnie w ucho. Zaśmiałam się tylko i powiedziałam:

- Kocham cię.

Stałam na ciepłej, rozgrzanej słońcem skale, spokojnie obserwując bawiącego się na plaży, trzyletniego jasnowłosego chłopca. Plaża, która była własnością wuja Dominika, już od kilku lat stawała się niejednokrotnie miejscem mojej ucieczki, zarówno przed sprawami Głównej Czasoprzestrzeni, jak i Diveny. Wietrzyk delikatnie muskał moje włosy i targał sukienkę.

Nagle usłyszałam zbliżające się ciche kroki. Mój mąż objął mnie delikatnie, jakby bał się, że jestem z porcelany i stłukę się przy najlżejszym powiewie wiatru. Przytuliłam do niego twarz.

- Jak się czuje moja królowa? - zapytał, delikatnie głaszcząc mnie po moim coraz większym brzuchu.

- Najszczęśliwsza na świecie - powiedziałam, uśmiechając się.

W chwilę później jednak uśmiech zniknął z mojej twarzy, gdy zobaczyłam, co dzieje się tuż przy brzegu. Bawiący się malec nagle uniósł pulchną rączkę przed siebie i bez wysiłku uniósł w powietrze stojący kilka metrów dalej głąz.

- Kryspinie, nie rób tego! Pamiętaj, że ktoś może cię zobaczyć! - Mateusz strofował chłopca, który z niewinną

minką podbiegł do nas i zatrzymał się tuż przy moich nogach.

- Mamo, mamó! - zawołał.

Wyciągnęłam do niego ręce. Chłopczyk pociągnął mnie w dół tak, że musiałam usiąść na piasku. Również i Mateusz wylądował obok mnie. Zaśmiałam się, gdy Kryspin przykleił się, podobnie jak jego tatuś, do mojego brzucha. Przez chwilę nasłuchiwał, niemal nie oddychając, po czym z poważną miną powiedział:

- Jakie to szczęście, że mój blacisek ma się dobrze!

Roześmialiśmy się zgodnie, a Kamień Diveny na mojej szyi zabłysnął. Zachodzące słońce powoli chowało się za horyzont.